

# OPEN

AUTOBIOGRAFIA TENISISTY

ANDRE AGASSI

BUKOWY LAS

ANDRE AGASSI

# OPEN

AUTOBIOGRAFIA TENISISTY

przełożył  
Jarosław Rybski

BUKOWY LAS

TYTUŁ ORYGINAŁU: *Open. An Autobiography*

Copyright © 2009 by AKA Publishing, LLC.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

This translation published by arrangement with Alfred A. Knopf,  
an imprint of the Knopf Doubleday Group, a division of Random House, Inc.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2011

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2011

ISBN 978-83-63431-01-3

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: © Martin Schoeller/August

PROJEKT OKŁADKI: Paweł Cezar

KONSULTACJA TENISOWA: Monika Schneider

REDAKCJA: Anna Wawryszuk

KOREKTA: Dorota Sideropulu

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl, e-mail: biuro@bukowylas.pl



WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Dedykuję Stefanie, Jadenowi i Jaz

*Nie można stwierdzić, co nas ogranicza, zamyka, zdaje się nas grzebać, choć człowiek odczuwa obecność pewnych barier, pewnych wrót i ścian. Czy to wszystko jest fantazją, wytworem wyobraźni? Nie sądzę. I wtedy ktoś mówi: Mój Boże! Czy to na długo, czy na zawsze, czy na wieczność całą? Wiesz, co uwalnia człowieka z takiej niewoli? Bardzo mocne uczucie. Przyjaźń, braterstwo, miłość – właśnie one za sprawą swej przemożnej siły i jakiejś mocy magicznej otwierają nasze więzienie.*

Vincent van Gogh w liście do brata, czerwiec 1880



Otwieram oczy i nie wiem, gdzie ani kim jestem. Nie jest to znów tak bardzo niezwykle uczucie – połowę życia spędziłem, nie wiedząc. Mimo to jest jakoś inaczej. Ta dezorientacja jest bardziej przerażająca. Bardziej krańcowa.

Spoglądam w górę. Leżę na podłodze obok łóżka. Teraz sobie przypominam. Przeniosłem się z łóżka na podłogę w środku nocy. Jak zwykle. Dobrze robi mi to na kręgosłup. Zbyt długie leżenie na miękkich materacach powoduje ból nie do wytrzymania. Liczę do trzech, po czym rozpoczynam długotrwały, trudny proces wstawania. Z kasznięciem i jękiem przewracam się na bok i zwijam do pozycji embrionalnej, a następnie przekręcam na brzuch. Teraz muszę odczekać, aż krew zacznie żywiej krążyć w żyłach.

Obiektywnie rzecz biorąc, jestem młodym człowiekiem. Mam trzydzieści sześć lat, ale budzę się, jakbym miał dziewięćdziesiąt sześć. Po trzech dekadach biegu co sił, zatrzymywania się w miejscu, wyskakiwania wysoko i ciężkiego lądowania moje ciało jest jakby ciałem obcego człowieka, szczególnie o poranku. Również mój umysł zdaje się należeć do kogoś innego. Otwierając oczy, jestem dla siebie obcą osobą i nic w tym odkrywczego, że rankiem to uczucie jest jeszcze silniejsze. Przypominam sobie pośpiesznie najbardziej podstawowe informacje. Nazywam się Andre Agassi. Moja żona to Stefanie Graf. Mamy dwójkę dzieci, syna i córkę

w wieku pięciu i trzech lat. Mieszkamy w Las Vegas, w stanie Newada, ale obecnie przebywamy w apartamencie hotelu Four Seasons w Nowym Jorku, ponieważ biorę udział w US Open 2006. Moim ostatnim US Open. Właściwie w moim ostatnim turnieju tenisowym w życiu. Gram zawodowo w tenisa, choć go nienawidzę, ale to mroczne i tajemne uczucie, które towarzyszy mi przez całe życie.

Kiedy ostatnia informacja dotycząca mojej świadomości zapada mi w jaźń, podnoszę się na kolana i szeptem błagam: Proszę, niech to już się skończy.

A następnie: Jeszcze nie jestem gotów na ten koniec.

Teraz z sąsiedniego pokoju słyszę Stefanie i moje dzieci. Jedzą śniadanie, rozmawiają, śmieją się. Dojmujące pragnienie, by ich zobaczyć, dotknąć, w połączeniu z łaknieniem kofeiny sprawiają, że wstaję. Nienawiść podnosi mnie na kolana, a miłość stawia na nogi.

Zerkam na zegar na nocnym stoliku. Wpół do ósmej. Stefanie pozwoliła mi pospać dłużej. Zmęczenie w ostatnich dniach jest wykańczające. Pomijając osłabienie fizyczne, targają mną wyczerpujące emocjonalne burze wywołane zbliżającą się emeryturą. Teraz, wychodząc z samego środka zmęczenia, dopada mnie fala bólu. Chwytam się za plecy. Plecy wczepiają się we mnie. Czuję się tak, jakby ktoś zakradł się w nocy i założył mi blokadę kierownicy na kręgosłup. Jak mam grać w US Open z blokadą na kręgosłupie? Czyżbym miał zaprzepaścić ostatni mecz w swojej karierze?

Urodziłem się z zeszywniającym zapaleniem stawów kręgosłupa, co oznacza, że ostatni kręg kręgosłupa oddzielił się od pozostałych, zaatakował, zbuntował się. (Jest to główny powód, dla którego chodzę, stawiając palce do wewnątrz). Przez ten jeden rozregulowany kręg nerwy mają mniej miejsca wewnątrz kręgosłupa i przy najmniejszym nawet ruchu odczuwają tę ciasnotę. Do tego należy dorzucić, że dwa przestawione dyski i kość nie przestają rosnąć w bezskutecznym wysiłku, by osłonić uszkodzony obszar, a moje przewody nerwowe odczuwają prawdziwą klaustrofobię. Kiedy nerwy na tych ściśniętych odcinkach zaczynają protestować, gdy wysyłają sygnały ostrzegawcze, przez nogi przebiega fala bólu, przy której zasysam powietrze i zaczynam mówić różnymi językami. W tym momencie ukojenie przynosi jedynie położenie się i odczekanie. Jednak czasami taka chwila przychodzi w środku meczu. Wtedy jedynym ratunkiem jest zmiana stylu gry – sposobu wykonywania zamachów,

biegania; wszystko należy robić inaczej. Wtedy dopada mnie skurcz mięśni. Każdy unika zmiany – mięśnie nie mogą tego znieść. Zmuszone do przestawienia się, przyłączają się do buntu kręgosłupa i po chwili całe ciało znajduje się w stanie zażartej wojny domowej.

Gil, mój trener, mój przyjaciel, mój zastępczy ojciec wyjaśnia to w ten sposób: Twoje ciało daje ci sygnał, że już nie chce tego robić.

Moje ciało od dłuższego czasu zachowuje się w ten sposób, odpowiadam Gilowi. Niemal tak długo jak ja sam.

Jednak od stycznia moje ciało zaczęło to do mnie wręcz wykrzykiwać. Mój organizm nie łaknie emerytury – on już dawno na nią przeszedł. Moje ciało przeprowadziło się na Florydę, kupiło sobie tam mieszkanie i białe spodnie sansabelt. Dlatego też prowadzę negocjacje ze swoim ciałem, prosząc, by raz na jakiś czas na kilka godzin wróciło z emerytury. Większość tych negocjacji wspieram zastrzykiem z kortyzonu, który czasowo zagłusza ból. Zanim jednak zastrzyk zadziała, sam potrafi nieźle dać mi w kość.

Dostałem jeden wczoraj, żebym mógł grać dziś wieczorem. Był to trzeci zastrzyk w tym roku, trzynasty w całej mojej karierze i jak dotąd najbardziej niepokojący. Lekarz, nie mój stały doktor, powiedział mi opryskliwie, żebym się położył. Wyciągnąłem się na stole twarzą w dół, a pielęgniarka szarpnięciem ściągnęła mi spodnie. Lekarz wyjaśnił, że musi wbić siedmiocalową igłę jak najbliżej zaognionych nerwów. Nie mógł jednak wkłuć się bezpośrednio, bo przeszkadzały mu przerośnięte dyski i narośl kostna. Jego starania, by ominąć to miejsce i rozpiąć blokadę, wywołały otepiający ból. Najpierw wbił igłę. Następnie ustawił nade mną wielką maszynę, żeby zobaczyć, na ile igła zbliżyła się do nerwów. Musiał niemal otrzeć się igłą o nerwy, jak powiedział, nie dotykając ich. Gdyby tak się stało, nawet gdyby nieznacznie o nie zahaczył, ból uniemożliwiłby mi dokończenie turnieju. To też spowodowałoby zmiany w życiu. Manewrował igłą, wkłuwając się i wyciągając ją, aż łzy napłynęły mi do oczu.

W końcu trafił. Strzał w dziesiątkę, powiedział.

Kortyzon wpłynął do środka. Z powodu palącego strumienia zagryzłem wargi. Potem poczułem ucisk. Miałem wrażenie, jakbym leżał na stole szalonego balsamisty. Niewielka przestrzeń wewnątrz mojego kręgosłupa, tam gdzie są stłoczone nerwy, wypełniała się do granic możliwości. Ucisk narastał i pomyślałem, że pękną mi plecy.

Lekarz powiedział, że takie objawy dają pewność, że wszystko idzie jak trzeba.

Trzymam się kurczowo pańskich słów, doktorze.

Wkrótce ból był cudowny, niemal słodki, ponieważ należał do tych, które poprzedzają nadchodzącą ulgę. Ale być może każdy ból jest właśnie taki.

Moja rodzina zachowuje się coraz głośniejsze. Kuśtykam do salonu naszego apartamentu. Mój syn Jaden i moja córka Jaz, widząc mnie, podnoszą rwetes. Tatuś! Tatuś! Podskakują do góry i chcą na mnie wskoczyć. Przygotowuję się na ten skok, zamierając w miejscu niczym mim odgrywający drzewo w zimie. Zatrzymują się w ostatniej chwili, bo wiedzą, że tatuś jest bardzo kruchy, rozpadnie się na kawałki, kiedy dotkną go za mocno. Gładzę je po twarzach i całuję w policzki, po czym dołączam do nich przy stole.

Jaden pyta, czy to już dzisiaj.

Tak.

Grasz?

Tak.

A potem będziesz miał tę emeryturę?

To nowe słowo, które poznał, podobnie jak jego młodsza siostra. Emerytura. Kiedy je wypowiadają, zawsze przeciągają ostatnią głoskę. Bo dla nich emerytura ciągnie się w nieskończoność i zawsze mówią o niej w czasie teraźniejszym. Może wiedzą o czymś, o czym ja nie mam pojęcia.

Jeśli wygram, to nie, synku. Jeśli dzisiaj wygram, to będę grał dalej.

Ale jak przegrasz – to możemy wziąć pieska?

Dzieciom emerytura kojarzy się ze szczeniakiem. Wraz ze Stefanie obiecaliśmy im, że kiedy skończą się moje treningi, kiedy przestaniemy jeździć po świecie, możemy kupić im szczeniaka. Może nazwę go Kortyzon.

Tak, kolego, kiedy przegram, kupimy pieska.

Uśmiecha się. Ma nadzieję, że tatuś przegra, ma nadzieję, że tatuś dozna zawodu, który przyćmi wszystko inne. Nie rozumie – a niby jak miałem mu to wytłumaczyć? – bólu przegranej, bólu gry. Sam zrozumiałem to dopiero po trzydziestu latach, robiąc bilans własnej psychiki.

Pytam Jadena, co dzisiaj robi.

Idzie zobaczyć kości.



Patrzę na Stefanie. Przypomina mi, że zabiera je dzisiaj do Muzeum Historii Naturalnej. Dinozaury. Myślę o swoich wykrzywionych kręgosłupach. Wyobrażam sobie mój szkielet wystawiony w muzeum wraz z innymi dinozaurami. *Tenisozaurus Rex*.

Jaz przerywa moje rozmyślenia. Podaje mi swoją bułeczkę. Chce, żebym wybrał z niej jagody, zanim ją zje. Nasz poranny rytuał. Każda jagoda musi zostać usunięta z chirurgiczną precyzją, co wymaga nie lada wprawy i koncentracji. Trzeba wbić nóż, przeciąć wokół, dostać się do jagód, nie dotykając ich ostrzem. Skupiam się na pieczywie i myśl o czymś innym niż tenis przynosi mi ukojenie. Jednak kiedy podaję Jaz bułeczkę, choć nie wiem, jak bardzo bym udawał, że w ogóle nie kojarzy mi się z piłką tenisową, moje mięśnie na plecach drgają z niecierpliwości. Zbliża się ten moment.

Po śniadaniu, gdy Stefanie i dzieci całują mnie na do widzenia i biegną do muzeum, siadam w ciszy przy stole, rozglądam się po hotelowym apartamencie. Przypomina wszystkie hotelowe apartamenty, w których mieszkałem, tylko że ten jest wzorcowy. Czysty, szycowny, wygodny – to hotel Four Seasons, więc sprawia urocze wrażenie, choć wciąż jest kolejną wersją tego, co nazywam Niedomem. Niebytem, gdzie egzystują sportowcy. Zamykam oczy, starając się skupić na tym, co mnie czeka dziś wieczorem, ale moje myśli wędrują w inną stronę. Ostatnio moje myśli mają tendencje retrospektywne. Przy byle okazji wracają do początku, ponieważ znajduję się blisko końca. A przecież nie mogę na to pozwolić. Jeszcze nie. Nie mogę dopuścić do rozpamiętywania przeszłości. Wstaję i chodzę wokół stołu, sprawdzając poczucie równowagi. Kiedy czuję się w miarę stabilny, ostrożnie kieruję się pod prysznic.

Jęczę i krzyczę pod strumieniem gorącej wody. Zginam się wolno, dotykam mięśnia czworogłowego, zaczynam budzić się do życia. Mięśnie się rozprężają. Skóra śpiewa. Pory otwierają się. Ciepła krew zaczyna krążyć w żyłach. Czuję, jak coś się budzi. Życie. Nadzieja. Ostatnia kropla młodości. Mimo to nie wykonuję żadnych gwałtownych ruchów. Nie chcę wystraszyć kręgosłupa. Pozwalam mu na drzemkę.

Wycierając się przed lustrem w łazience, spoglądam w swoją twarz. Przekrwione oczy, siwiejący zarost – twarz zupełnie odmienna od tej, z którą zaczynałem. Ale również inna niż ta widziana w tym samym lustrze w zeszłym roku. Kimkolwiek jestem, nie jest to już chłopiec

rozpoczynający tę odyseję, nawet nie przypominam mężczyzny sprzed trzech miesięcy, który oświadczył, że ta odyseja wkrótce się zakończy. Przypominam raketę tenisową, w której wymieniano czterokrotnie rączkę i siedmiokrotnie naciąg – czy można ją wciąż traktować jak tę samą raketę? Jednak gdzieś w tych oczach wciąż widzę jak przez mgłę tego samego chłopca: na początku w ogóle nie chciał grać w tenisa, chciał to rzucić, rzucał to wielokrotnie. Widzę tego złotowłosego wyrostka, który nienawidził tenisa, i zastanawiam się, jak postrzeżałby tego łysego faceta, który wciąż nienawidzi tego sportu, a jednak gra. Czy byłby wstrząśnięty? Rozbawiony? Czułby dumę? Robię się znużony i pod wpływem tych pytań pogrążam się w letargu, a jest dopiero południe.

Proszę, niech to się już skończy.

Jeszcze nie jestem gotów na ten finał.

Zakończenie kariery nie różni się wcale od końca meczu. Celem jest dotrwanie do tego momentu, znalezienie się w pobliżu mety, gdyż emanuje magnetyczną siłą. Kiedy jest się tak blisko, człowiek czuje, jak ta siła go ciągnie i można ją wykorzystać, by przejść na drugą stronę. Jednak na chwilę przed tym, kiedy człowiek znajduje się w jej zasięgu, albo tuż po tym, odczuwa inną moc, równie silną, która go odpycha. Jest to zjawisko niewytłumaczalne, mistyczne, owe dwie przeciwstawne siły, obie działające z równą mocą. Wiem to, ponieważ całe życie poświęciłem podążaniu za jedną, walcząc z drugą, i czasami tkwiłem w zawieszeniu, odbijając się między nimi na podobieństwo piłki tenisowej.

Dziś wieczorem – mobilizuję się w myślach – będzie mi potrzebna żelazna dyscyplina, by okiełznać obie siły i wszystko inne, co mi się przytrafi. Ból kręgosłupa, złe piłki, paskudna pogoda, obrzydzenie do samego siebie. Przypominanie tej prawdy jest formą umartwiania się, ale również rodzajem medytacji. W ciągu dwudziestu dziewięciu lat gry w tenisa nauczyłem się jednego – życie będzie rzucało mi kłody pod nogi, będzie ciskać we mnie wszystkim, może z wyjątkiem zlewu kuchennego, ale na koniec przywali też i zlewem. Moja praca polega na unikaniu tych przeszkód. Jeśli dam się im zatrzymać albo rozkojarzyć, nie wykonam pracy, a niewykonanie jej wywoła żal, który sparaliżuje mnie skuteczniej niż ból kręgosłupa.

Leżę w łóżku ze szklanką wody w ręce i czytam. Kiedy męczy mi się wzrok, włączam telewizor. *Dziś wieczorem. Druga runda US Open! Czy będzie to pożegnanie Andre Agassiego?* Moja twarz pojawia się przez

chwilę na ekranie. Jest inna niż ta widziana dzisiaj w lustrze. Moja twarz z kortu. Przyglądam się temu nowemu obliczu w krzywym zwierciadle telewizora i niepokój wzrasta. Czy to była ostatnia reklama? Czy po raz ostatni CBS promowała jeden z moich meczów?

Nie mogę pozbyć się uczucia, że wkrótce umrę.

To nie przypadek, myślę, że tenis używa języka życia. Przewaga, serwis, błąd, as, podstawowe żywioły tenisa mają swój początek w codziennym życiu, ponieważ każdy mecz jest życiem w miniaturze. Nawet struktura tenisa, to, jak jedno wyłania się z drugiego jak w ruskiej matrioszce, naśladuje życie. Punkty zamieniają się w gemy, które zamieniają się w sety, a te przechodzą w turnieje i wszystko jest ze sobą tak ściśle powiązane, że każdy punkt może okazać się punktem zwrotnym. Przypomina mi to sekundy przechodzące w minuty, następnie minuty w godziny. Każda godzina może być tą najwspanialszą. Lub najgorszą. Wybór należy do nas.

A skoro tenis jest życiem, więc to, co idzie za nim, musi przypominać niepoznaną pustkę. Na tę myśl robi mi się zimno.

Stefanie wpada wraz z dziećmi do apartamentu. Opadają na łóżko, a mój syn pyta, jak się czuję.

Dobrze, dobrze. Jak tam kości?

Ale było fajowsko!

Stefanie podaje im kanapki oraz sok i ponownie wywabia je za drzwi.

Oznajmia, że mają umówioną zabawę.

Jak my wszyscy.

Teraz mogę się zdrzemnąć. W wieku trzydziestu sześciu lat mogę zagrać mecz, który przeciągnie się do północy jedynie wtedy, gdy wcześniej się zdrzemnę. Kiedy już mniej więcej wiem, jak się nazywam, chcę zamknąć oczy i udawać, że mnie nie ma. Gdy otwieram je ponownie, mija godzina. Mówię na głos: Już czas. Dość zabawy w chowanego. Znów biorę prysznic, ale różni się on od porannego. Popołudniowy jest zawsze dłuższy – trwa mniej więcej dwadzieścia dwie minuty – i nie służy wybudzaniu czy higienie. Popołudniowy prysznic ma mnie zdopingować, zmobilizować.

Tenis jest sportem, w którym zawodnik mówi do siebie. Żaden inny sportowiec nie gada do siebie tyle, ile tenisista. Oczywiście miotacze, golfiści, bramkarze mruczą pod nosem, ale tenisiści rozmawiają z sobą – odpowiadają sami sobie. W ferworze gry tenisiści wyglądają jak ludzie niespełna rozumu, którzy wyszli na otwartą przestrzeń, coś bredzą, klną i przeprowadzają poważne debaty z własnym *alter ego*. Dlaczego?

Ponieważ tenis jest cholernie samotną grą. Jedyne bokserzy są w stanie pojąć samotność tenisisty – chociaż mają do dyspozycji sekundantów z narożnika i trenerów. Nawet przeciwnik boksera jest poniekąd towarzyszem z ringu, kimś, z kim można się mocować i do kogo można stękać. W tenisie staje się twarzą w twarz z wrogiem, wymienia z nim ciosy, lecz bez dotykania czy rozmawiania z nim ani też z kimkolwiek innym. Przepisy zabraniają tenisistom rozmawiać na korcie nawet ze swoim trenerem. Ludzie czasami wymieniają lekkoatletów jako podobnie samotnych zawodników, ale ja się z tego śmieję. Biegacz przynajmniej czuje obecność i zapach przeciwników. Znajdują się na wyciągnięcie ręki. W tenisie zawodnik jest jak na bezludnej wyspie. Ze wszystkich sportów uprawianych przez kobiety i mężczyzn tenis jest najbliższy przymusowej izolacji, która niezmiennie prowadzi do dialogowania z samym sobą, co dla mnie zaczyna się już podczas popołudniowego prysznica. To właśnie tutaj zaczynam do siebie wygadywać różne wariactwa raz za razem, aż zaczynam w nie wierzyć. Na przykład, że osoba niemal upośledzona ruchowo jest w stanie startować w US Open. I że trzydziestosześcioletni mężczyzna może pokonać przeciwnika wchodzącego w swój najlepszy wiek. W swojej karierze zwyciężyłem w ośmiuset sześćdziesięciu dziewięciu meczach, co daje mi piąte miejsce wśród wszystkich tenisistów na świecie. Wiele z tych spotkań zostało wygranych podczas popołudniowego prysznica.

Z wodą szumiącą w uszach – dźwiękiem przypominającym ryk dwudziestu tysięcy kibiców – przywołuję z pamięci poszczególne zwycięstwa. Nie te, które oni by zapamiętali, ale takie, na wspomnienie których wciąż budzę się w nocy. Ze Squillarim w Paryżu. Z Blakiem w Nowym Jorku. Z Pete'em w Australii. Następnie przypominam sobie kilka porażek. Kręcę głową z zażenowaniem. Mówię sobie, że dzisiaj będzie to sprawdzian, do którego przygotowywałem się przez dwadzieścia dziewięć lat. Cokolwiek się dzisiaj wydarzy, już przez to przechodziłem przynajmniej raz w życiu. Jeśli będzie to sprawdzian fizyczny czy psychiczny, to dla mnie nic nowego.

Proszę, niech to się już skończy.

Nie chcę, żeby się skończyło.

Zaczynam płakać. Opieram się o ścianę prysznica i daję się ponieść emocjom.

Goląc się, wydaję sobie surowe polecenie: Zbieraj pracowicie punkt po punkcie. Niech każdy punkt przeciwnika słono go kosztuje. Bez względu na to, co się stanie, trzymaj głowę wysoko. I na miłość boską, ciesz się każdą chwilą albo przynajmniej postaraj się cieszyć pojedynczymi momentami, nawet bólem, nawet przegraną, jeśli tak ma być.

Myślę o swoim przeciwniku Marcosie Baghdatisie i zastanawiam się, co on robi w tej chwili. Jest tu nowy, ale nie jest typowym nowicjuszem. Plasuje się na ósmym miejscu w światowym rankingu. Jest wielkim, silnym, młodym Grekiem cypryjskim w środku doskonałego roku w swej karierze. Dotarł do finału Australian Open i do półfinału Wimbledonu. Znam go dość dobrze. Podczas ostatniego US Open zagraliśmy treningowy set. Zwykle nie gram takich setów z innymi zawodnikami podczas turniejów wielkoszlemowych, ale Baghdatis poprosił mnie o to z rozbijającą uprzejmością. Cypryjska telewizja kręciła o nim materiał i zapytał mnie, czy zgodziłbym się, żeby nas sfilmowali razem na treningu. Jasne, powiedziałem. Czemu nie? Wygrałem 6–2, a po wszystkim mój przeciwnik był cały w lansadach. Zrozumiałem, że jest takim człowiekiem, który uśmiecha się zarówno wtedy, gdy jest zadowolony, jaki i wtedy, kiedy jest zdenerwowany, i nie można dociec jego stanu ducha. Przypominał mi kogoś, ale nie pamiętałem kogo.

Powiedziałem Baghdatisowi, że grał trochę jak ja, a on odparł, że to nie przypadek. Dorastał z moimi zdjęciami rozwieszonymi na ścianach pokoju i starał się naśladować mój styl gry. Innymi słowy, dziś wieczorem będę grał ze swoim lustrzanym odbiciem. Będzie zagrywał z końca kortu, wcześniej odbijał piłkę i grał tuż nad siatką, tak jak ja. Będzie to mecz, w którym będziemy starali się okiełznać przeciwnika, trzymać go w ryzach i narzucić swój styl gry, wzajemnie szukając szans na posłanie z bekhendu piłki tuż nad siatką. Nie ma mocnego serwisu, ja też nie, co oznacza długą wymianę piłek, długie wypady, znaczną utratę energii i mnóstwo czasu. Przygotowuję się na gwałtowne wypady, kombinacje, tenis na wyniszczenie, najbardziej brutalną formę gry.

Oczywiście główna różnica między mną i Baghdatisem jest natury fizycznej. Mamy różne ciała. On ma moje dawne ciało. Jest zwinny, szybki, skoczny. Będę musiał pokonać siebie sprzed dwudziestu lat, jeśli uda mi się zmusić starszy egzemplarz do ciągłego ruchu. Zamykam oczy i mówię: Kontroluj to, co możesz kontrolować.

Powtarzam to na głos. Wypowiadanie takich rzeczy na głos dodaje odwagi.

Zakręcam wodę i wychodzę spod prysznica, cały drżąc. Tak łatwo jest być dzielny pod strumieniem gorącej wody. Napominam się jednak, że odwaga pod gorącym prysznicem nie ma nic wspólnego z prawdziwą odwagą. Na koniec nie jest ważne to, co się czuje, same czyny muszą dodać odwagi.

Stefanie wraca z dziećmi. Czas na Wodę Gila.

Bardzo się pocę, bardziej niż inni zawodnicy, dlatego muszę się odpowiednio nawodnić przed meczem. Pochłaniam buteleczki magicznego eliksiru, jaki opracował dla mnie Gil, mój trener od siedemnastu lat. Woda Gila jest mieszanką węglowodanów, elektrolitów, soli, witamin i jeszcze kilku innych składników, które Gil trzyma w ścisłej tajemnicy. (Majstrował przy tej recepturze dwadzieścia lat). Zwykle zaczyna mnie pić dzień wcześniej i zmusza do picia swojej wody aż do meczu. Następnie popijam ją sobie podczas gry. W kolejnych stadiach piję różne odmiany, a każda z nich ma inny kolor. Różowy dodaje energii, czerwony pozwala dojść do siebie, a brązowy uzupełnia zapasy organizmu.

Dzieci uwielbiają pomagać mi w przygotowaniu Wody Gila. Biją się o to, kto będzie otwierał torebki z proszkiem, trzymać lejek, a kto będzie nalewał wodę do plastikowych butelek. Jednak wyłącznie ja mogę pakować butelki do torby wraz z odzieżą, ręcznikami, książkami, okularami i opaskami na nadgarstki. (Moje rakiety jak zwykle idą na końcu). Wyłącznie ja dotykam mojej torby tenisowej, a kiedy jest w końcu zapakowana, leży przy drzwiach jak torba ze sprzętem jakiegoś mordercy na zlecenie, co jest oznaką tego, że zbliża się godzina zero.

O piątej Gil dzwoni z recepcji.

Jesteś gotowy?, pyta. Czas do boju. Zaczęło się, Andre. Zaczęło się.

Obecnie wszyscy używają zwrotu „zaczęło się”, ale Gil mówi tak od lat i nikt nie potrafi powiedzieć tego tak jak on. Wtedy czuję, jak odpalają moje silniki, adrenalina tryska wszystkimi porami. Wtedy mam wrażenie, że mógłbym unieść samochód nad głową.

Stefanie zbiera dzieci przy drzwiach i uświadamia im, że tatuś musi już iść. No, co się mówi?

Jaden krzyczy: Skop mu tyłek, tatusiu!

Skop tyłek, powtarza Jaz, naśladując brata.

Stefanie całuje mnie i nic nie mówi, bo cóż może więcej dodać.

W samochodzie jadącym do centrum szykownie ubrany Gil siedzi na przednim siedzeniu. Czarna koszula, czarny krawat, czarna marynarka. Ubiera się przed każdym meczem tak, jakby szedł na randkę w ciemno albo jechał załatwiać mafijne porachunki. Co jakiś czas sprawdza wygląd swoich długich czarnych włosów w lusterku bocznym bądź wstecznym. Ja siedzę z tyłu z Darrenem, moim instruktorem, Australijczykiem, który zawsze ma na sobie hollywoodzką opaleniznę i uśmiech, jakby właśnie przed chwilą wygrał w lotto. Przez kilka minut nikt się nie odzywa. Nagle Gil zaczyna nucić jedną z naszych ulubionych piosenek, starą balladę Roya Clarka, a jego głęboki bas wypełnia wnętrze samochodu:

*Choć udajemy, idąc przez życie,  
Że jeszcze dziś los padnie w mig.*

Patrzy na mnie i czeka.

Dośpiewuję: *To ogniska w deszczu nie rozpali nikt.*

Wybucha śmiechem. Ja też się śmieję. Przez chwilę zapominam o szarpiającej nerwy tremie.

Dziwna sprawa z tą tremą. Czasami człowiek tylko biegnie do toalety. Innym razem ma nieustanną ochotę na seks. Kiedy indziej znowu chce mu się cały czas śmiać i tylko wyczekuje walki. Rozpoznanie rodzaju tremy jest pierwszą powinnością zawodową podczas jazdy na kort. Trzeba ją wy badać, odczytać, co chce przekazać na temat stanu umysłu i ciała, bo jest to pierwszy krok, żeby zaczęła działać na twoją korzyść. Jest to jedna z tysiąca lekcji, jakiej nauczyłem się od Gila.

Pytam Darrena, co sądzi o Baghdatisie. Czy mam dzisiaj grać szczególnie agresywnie? Tenis polega na dozowaniu odmierzonych dawek agresji. Należy być na tyle agresywnym, aby kontrolować zdobywanie punktów, ale nie na tyle, by stracić kontrolę i wystawić się na niepotrzebne ryzyko. Mam następujące pytania dotyczące Baghdatisa: W jaki sposób będzie chciał mi zrobić krzywdę? Jeśli rozpoczynam bekhendem wymianę piłek, niektórzy zawodnicy będą cierpliwi, inni od razu będą chcieli pokazać, na co ich stać i zaczną atakować bądź grać zdecydowanie przy siatce. Ponieważ nie grałem z Baghdatisem poza naszym treningowym setem, chcę wiedzieć, jak zareaguje na konserwatywny sposób rozgrywania piłki. Czy postawi się i będzie grał po przekątnej, czy też odejdzie i zagra na czas?

Darren stwierdza: Stary, myślę, że jeśli będziesz prowadził zbyt konserwatywną wymianę piłek, to możesz oczekiwać, że on się dostosuje i zacznie napierać na ciebie z forhendu.

Aha.

Jeżeli będzie zmuszony do grania bekhendem, to nie będzie mu tak łatwo skracać gry. Nie zechce się narażać. Jeśli więc zobaczysz, że naprawdę kończycie z bekhendu, będzie to oznaczało, że nie wkładasz odpowiedniej pary w wymianę piłek.

Czy dobrze się rusza?

Tak, to niezły sprinter, ale nie czuje się dobrze zepchnięty do defensywy. Lepiej się rusza w ataku niż w obronie.

Hmm.

Zajeżdżamy pod stadion. Gromadzą się kibice. Rozdają kilka autografów, następnie znikam w niewielkich drzwiach. Idę długim tunelem do szatni. Gil poszedł porozmawiać z ochroną. Zawsze informuje ich o wszystkim, żeby dokładnie wiedzieli, kiedy wychodzimy na kort, by poćwiczyć, i kiedy tam wrócimy. Wraz z Darrenem zostawiamy bagaże i kierujemy się wprost do sali ćwiczeń. Kładę się na stole i podstawiam pierwszemu masażysty, który do mnie podchodzi, by rozmasował mi plecy. Darren znika, po czym wraca po pięciu minutach, niosąc osiem świeżo naciągniętych rakiet. Kładzie je na mojej torbie. Wie, że sam będę chciał je włożyć do środka.

Mam obsesję na punkcie mojej torby. Utrzymuję ją w pedantycznym porządku i jestem bezwzględny, jeśli o nią chodzi. Torba jest moją aktówką, walizką, skrzynką na narzędzia, pudełkiem na drugie śniadanie i paletą. Zawsze jej potrzebuję. To torbę wnoszę na kort i z kortu ją wynoszę, w dwóch sytuacjach, kiedy moje zmysły są niesłychanie wyostrzone, czuję więc każdy gram bagażu. Gdyby ktoś włożył parę kraciastych skarpet do mojej torby tenisowej, to bym o tym wiedział. Torba tenisowa przypomina serce – trzeba zawsze mieć świadomość, że jest przy tobie.

Pozostaje jeszcze kwestia funkcjonalności. Moich osiem rakiet musi być ułożonych w torbie w porządku chronologicznym, ostatnio naciągnięte na dole, a te dawniej naciągnięte na górze, bo rakiety tracą siłę naciągu. Zawsze zaczynam mecz najdawniej naciągniętą rakieta, bo wiem, że to rakieta o najbardziej miękkim naciągu.

Naciąganiem moich rakiet zajmuje się prawdziwy artysta ze starej szkoły i Starego Świata, Czech Roman. Jest najlepszy w swoim fachu i tak powinno być – naciąg może zdecydować o meczu, mecz o karierze,



a kariera o życiu wielu ludzi. Kiedy wyjmuję z torby świeżo naciągniętą rakietę i serwisem rozpoczynam mecz, naciąg może mieć wartość setek tysięcy dolarów. Ponieważ gram dla rodziny, dla mojej fundacji charytatywnej i szkoły, każda struna przypomina przewód w silniku samolotu. Przy tym wszystkim, co pozostaje poza moim wpływem, staram się usilnie kontrolować tych kilka aspektów, na które mogę mieć wpływ, a naciąg rakiet jest jednym z nich.

Praca Romana jest kluczowa dla mojej gry, dlatego zabieram go w trasę. Oficjalnie jest mieszkańcem Nowego Jorku, ale kiedy gram w Wimbledonie, przenosi się do Londynu, a gdy startuję we French Open, zmienia się w paryżanina. Od czasu do czasu, czując się zagubiony i samotny w jakimś obcym mieście, siedzę z Romanem i przyglądam się, jak naciąga rakietę. Nie chodzi o brak zaufania. Wręcz przeciwnie – obserwując mistrza w działaniu, uspokajam się i wyciszam. Patrząc na to, uświadamiam sobie, jak ważna we współczesnym świecie jest dobrze wykonana praca.

Roman dostaje rakietę prosto z fabryki, zawsze są w opłakanym stanie. Na oko wyglądają identycznie, ale on rozróżnia je niczym twarze w tłumie. Obraca je w tę i w tę, marszczy brew i robi w myślach obliczenia. W końcu zaczyna pracę. Najpierw zdejmuje fabryczną rączkę i nakłada moją, robioną na zamówienie, którą wymodelowano dla mnie, kiedy miałem czternaście lat. Rączka jest czymś tak indywidualnym i niepowtarzalnym jak odcisk palca. Odzwierciedla nie tylko kształt mojej dłoni i długość palców, ale także układ zgrubień na ręce i siłę mojego uścisku. Roman, wykonując rączki do rakiet, posługuje się odlewem mego chwytu. Następnie owija odcisk cielecą skórą, którą ugniata, aż uzyska odpowiednią grubość. Milimetrowa różnica pod koniec czterogodzinnego meczu jest tak samo odczuwalna i tak samo przeszkadza, jakbym miał kamyk w bucie.

Po dopasowaniu rączki Roman wciąga syntetyczne struny. Zacieśnia je, poluzowuje, zacieśnia, dopasowuje z takim pietyzmem, jakby zakładał struny na skrzypce. Następnie na struny kładzie szablon z logo firmy, maluje i energicznie macha rakietą, aż tusz z mazaka wyschnie. Niektórzy rysują logo tuż przed meczem, co uważam za przejaw braku troski i profesjonalizmu. Tusz ściera się wtedy o piłki, a nie ma gorszej rzeczy niż grać z facetem, który barwi piłki na czerwono i czarno. Lubię łąd

i porządek, co wyklucza grę piłką powalaną farbą. Bałagan odwraca uwagę, a odwrócenie uwagi na korcie oznacza potencjalnie przegrany mecz.

Darren otwiera dwie puszkę piłek i wkłada sobie dwie w kieszeń. Biorę łyk Wody Gila, po czym po raz ostatni przed rozgrzewką idę do toalety. James, ochroniarz, prowadzi nas tunelem. Jak zwykle wcisnął się w jaskrawożółtą koszulkę i mruga do mnie, jakby chciał powiedzieć: My, ochroniarze, powinniśmy być bezstronni, ale ja trzymam za ciebie kciuki.

James uczestniczy w zawodach US Open prawie tak długo jak ja. Już wiele razy prowadził mnie tym tunelem i to zarówno po wspaniałych zwycięstwach, jak i po gorzkich porażkach. Duży, uprzejmy, z twarzą twardziela poraną bliznami, które James nosi z dumą, jest nieco podobny do Gila. Niemal jakby nabierał jego cech podczas tych kilku godzin na korcie, kiedy wychodzę ze strefy wpływów swego trenera. Są ludzie, których obecność dodaje otuchy na US Open – koledzy z administracji obiektu, chłopaki od podawania piłek, masażyści – ich widok zawsze podnosi na duchu. Przypomina, gdzie i kim jesteś. James znajduje się na szczycie tej listy. Jest jedną z pierwszych osób, których wypatruję, wchodząc na stadion Arthura Ashe'a. Widząc go, wiem, że wróciłem do Nowego Jorku i jestem w dobrych rękach.

Od 1993 roku, kiedy w Hamburgu jeden z widzów wbiegł podczas meczu na kort i dźgnął nożem Monicę Seles, organizatorzy US Open przydzielili każdemu z zawodników po jednym ochroniarzu, który siedzi za krzeselkiem w czasie wszystkich przerw i zmian. James zawsze pilnuje, żeby usiąść za mną. Jego nieumiejętność zachowania bezstronności jest niezmiernie wzruszająca. Podczas ciężkiego meczu zwykle zauważam zaniepokojone spojrzenie Jamesa i szepczę: Nie martw się, James, dopadnę dziś tego faceta. Zawsze wtedy parska śmiechem.

Teraz jednak, prowadząc mnie na kort treningowy, nawet się nie uśmiecha. Wygląda na smutnego. Wie, że to może być nasz ostatni wspólny wieczór. Mimo to nie łamie naszego przedmeczowego rytuału. Mówi jak zawsze:

Pomogę ci z tą torbą.

Nie, James, tylko ja mogę ją nosić.

Opowiedziałem mu, że kiedy miałem siedem lat, widziałem Jimmy'ego Connorsa, który kazał nieść za sobą torbę, jakby był Juliuszem Cezarem. Wtedy przyrzekłem sobie, że zawsze sam będę nosił swoją.

No dobra, uśmiecha się James. Wiem, wiem, pamiętam. Chciałem tylko pomóc.

Wtedy pytam: James, będziesz mnie dzisiaj wspierał?

Będę cię pilnował jak żrenicy oka, o nic się nie martw. Nie przejmuj się niczym, tylko zajmij się tym, co masz zrobić.

Wyłaniamy się z tunelu we wrześnieowy wieczór, zachodzące słońce zabarwiło na fiolet i pomarańcz niebo doprawione smogiem. Zanim zaczynam trening, podchodzę do trybun, wymieniam uściski dłoni z fanami, rozdaję kilka autografów. Są tu cztery korty treningowe i James wie, że chcę zająć ten najbardziej oddalony od publiczności, żebyśmy mogli mieć z Darrenem nieco prywatności podczas rozgrzewki i omawiania strategii.

Jęczę, zagrywając piłkę wysokim bekhendem w odpowiedzi na forhend Darrena. Nie próbuj tego dziś wieczorem, ostrzega. Baghdatis zrobi ci tym krzywdę.

Naprawdę?

Zaufaj mi, stary.

I twierdzisz, że dobrze się rusza?

Tak, całkiem nieźle.

Odbijamy przez dwadzieścia osiem minut. Nie wiem, dlaczego zauważam takie szczegóły – długość popołudniowego prysznic, czas trwania rozgrzewki, kolor koszulki Jamesa. Nie chcę tego, ale dostrzegam wszystko i wiem, że te detale zostaną w moich wspomnieniach na zawsze. Moja pamięć nie przypomina wnętrza torby tenisowej: nie mam wpływu na jej zawartość. Wszystko tam wchodzi i zdaje się już nigdy jej nie opuszczać.

Z plecami jest w porządku. Czuję zwykłą sztywność, ale zniknął otepiający ból. Kortyzon działa. Mam się dobrze – choć oczywiście definicja słowa „dobrze” ewoluowała w ciągu ostatnich lat. Czuję się lepiej, niż kiedy otworzyłem oczy dzisiaj rano i opanowały mnie myśli, by poddać mecz. Może mi się uda. Oczywiście jutro słono za to zapłacę, ale nie myślę o dniu jutrzejszym, tak jak nie rozwodzę się nad tym, co było wczoraj.

Znów w szatni ściągam przepocone ubranie i wskakuję pod prysznic. Mój trzeci prysznic tego dnia jest krótki, praktyczny. Nie ma czasu na wskazówki ani płacze. Nakładam suche szorty i koszulkę, po czym wyciągam się wygodnie w szatni. Piję wciąż Wodę Gila, tyle, ile się da, bo jest już wpół do siódmej i mecz zacznie się za godzinę.

Nad stołem wisi telewizor, staram się więc obejrzyć wiadomości. Nie potrafię. Idę do biur i spoglądam na sekretarki oraz organizatorów US Open. Są zajęci. Nie mają czasu na pogaduszki. Wychodzę przez wąskie drzwi. Przyjechała Stefanie z dziećmi. Są na niewielkim placu zabaw przed szatnią. Jaden i Jaz na zmianę ślizgają się na plastikowej zjeżdżalni. Stefanie jest wdzięczna, widzę to wyraźnie, że może zająć się dziećmi i nie myśleć o meczu. Jest bardziej podenerwowana niż ja. Wygląda, jakby była niemal zirytowana. Jej zmarszczka na czole mówi: To się już powinno dawno zacząć! No, dalej! Uwielbiam, kiedy moja żona rwie się do walki.

Rozmawiam z nią i z dziećmi przez kilka minut, ale nie słyszę ani słowa z tego, co mówią. Mój umysł jest już gdzieś daleko. Stefanie widzi to. Czuje. Nie wygrywa się dwudziestu dwóch turniejów wielkoszlemowych bez wyczulonej intuicji. Posyła mnie z powrotem do szatni: Idź. My tu zostaniemy. Zrób, co masz zrobić.

Nie będzie oglądać meczu z poziomu kortu. To dla niej za blisko. Zostanie w łoży wraz z dziećmi, na zmianę krążąc po niej jak lew, modląc się i zakrywając oczy.

Do szatni wchodzi Pere, jeden z bardziej doświadczonych masażyistów. Widzę, która z tac jest przeznaczona dla mnie – ta z dwiema wielkimi gąbkami i kilkunastoma paskami przyciętej już taśmy. Leżę na jednej z sześciu kozetek, a Pere siada przy moich nogach. Przygotowanie stóp do walki jest niezwykle brudnym zajęciem, stawia więc kosz na śmieci pod kozetką. Podoba mi się to, że Pere jest schludny, dokładny, jest Romanem odcisków. Najpierw za pomocą patyczka z wacikiem nakłada na skórę atramentową, klejącą maź i podbicie robi się fioletowe. Mam fioletowe stopy od czasów, kiedy Reagan został prezydentem. Teraz Pere rozpyła utwardzacz. Czeką, aż wyschnie, i smaruje gąbką każdy odcisk. Przychodzi kolej na paski taśmy, które wyglądają jak papier ryżowy. Błyskawicznie przywierają do mojego ciała. Masażyista zawija dwa paluchy, aż robią się duże jak świece w silniku. W końcu zawija podbicie stóp. Zna miejsca, na które spadam po wyskoku, które poddawane są największym naciskom, i tam dodaje więcej taśmy.

Dziękuję mu i wkładam buty, nie wiążąc sznurówek. Gdy wszystko zaczyna zwalniać, napięcie rośnie. Jeszcze do niedawna było cicho na trybunach, teraz jest bardziej niż głośno. Powietrze wypełnia szum, odgłosy zajmującej miejsca publiczności, która siada pospiesznie, bo nie chce przegapić ani sekundy tego, co ma nastąpić.

Wstaję i rozluźniam mięśnie nóg.

Już nie siądę.

Staram się zrobić krótką przebieżkę po korytarzu. Nieźle. Plecy się trzymają. Cały organizm jest gotów.

Widzę Baghdatisa po drugiej stronie szatni. Jest przebrany i poprawia włosy przed lustrem. Zarzuca nimi, czesze je, związuje je z tyłu. Ojej, dużo ma tych włosów. Teraz wkłada na głowę białą indiańską opaskę. Ustawia ją w idealnej pozycji, po czym po raz ostatni pociąga za kitkę. Jest to zdecydowanie bardziej wytworny rytuał przedmeczowy niż zawijanie odcisków na stopach. Przypominam sobie, jak ja podchodziłem do swoich włosów na początku kariery. Przez chwilę czuję zawiść. Brakuje mi włosów. Przeciagam dłonią po łysej czaszce i czuję wdzięczność, że włosy są ostatnią rzeczą, którą muszę się dzisiaj przejmować.

Baghdatis zaczyna się rozciągać, robić skłony. Stoi na jednej nodze i podciąga kolano drugiej do klatki piersiowej. Nie ma nic bardziej niepokojącego niż widok rywala robiącego różne wygibasy, popisującego się jogą i tai chi, kiedy ty możesz tylko lekko dygnąć. Teraz wygina biodra, ja nie odważyłem się tak forsować, odkąd skończyłem siedem lat.

A jednak przesadza. Jest zdenerwowany. Niemal słyszę jego układ nerwowy, który szemrze niczym publiczność na stadionie. Obserwuję zachowanie jego masażyistów – u nich też wyraźnie wyczuwa się nerwowość. Po mowie ciała, po ich twarzach i rumieńcach widać, że wiedzą, iż szykują się na uliczną burdę i nie mają pewności, czy tego chcą. Zawsze lubiłem przyglądać się nerwowemu poruszeniu w szeregach przeciwnika, jak pokazują werwę przepełnioną niepokojem. To dobry znak, ale również przejaw szacunku.

Baghdatis dostrzega mnie i się uśmiecha. Przypominam sobie, że robi to, kiedy jest zadowolony i nerwowy, ale nie można poznać, który to stan. I znów myślę, że mi kogoś przypomina, ale nie wiem kogo.

Unoszę dłoń. Powodzenia.

On też unosi dłoń. Idący na śmierć pozdrawiają cię...

Chowam się w tunelu, by zamienić ostatnie słowo z Gilem, który zajął strategiczny kąt, gdzie może się skryć przed wszystkimi, jednocześnie mając oko na wszystko. Obejmuje mnie, mówi, że mnie kocha i że jest ze mnie dumny. Odnajduję Stefanie i całuję ją po raz ostatni. Podskakuje, kołysze się i tupie. Wszystko by dała, żeby włożyć spódniczkę, złapać rakietę i dołączyć do mnie na korcie. Moja zadziorna żona. Stara się

uśmiechnąć, ale wychodzi jej z tego tylko skrzywienie ust. Widzę na jej twarzy wszystko, co chce mi powiedzieć, ale nie mówi nic. Słyszę każde słowo, które w sobie dusi: Ciesz się, smakuj każdą chwilę, chłoń wszystko, dostrzegaj każdy ulotny szczegół, bo to może być ten ostatni wieczór i chociaż nienawidzisz tenisa, po dzisiejszym dniu może będzie ci go brakować.

To właśnie chce mi powiedzieć, ale tylko mnie całuje i przekazuje to, co zawsze przed moim wyjściem na kort, zachętę, która jest dla mnie równie ważna jak powietrze i Woda Gila.

Złój mu skórę.

Przedstawiciel US Open w garniturze zbliża się do mnie, trzymając w ręku radiotelefon długości mego przedramienia. Zdaje się, że odpowiada za transmisję na żywo i bezpieczeństwo na korcie. Wydaje się odpowiedzialny za wszystko, włącznie z przylotami i odlotami z La Guardii. Pięć minut, informuje.

Odwracam się do kogoś i pytam: Która godzina?

Już czas, odpowiada.

Nie. Chciałem wiedzieć, która jest godzina. Wpół do ósmej? Dwadzieścia po siódmej? Nie wiem tego i nagle staje się to niezwykle istotne. Ale tu nigdzie nie ma zegarów.

Odwracamy się do siebie z Darrenem. Jabłko Adama wędruje mu w górę i w dół. Stary, mówi, odrobiłeś zadanie domowe. Jesteś gotów.

Kiwam głową.

Wyciąga pięść na szczęście. Chodzi tylko o przybicie, jeden raz, bo tak zrobiliśmy, kiedy wygrałem pierwszą rundę na początku tygodnia. Obaj jesteśmy przesądni, dlatego kończymy turniej takim samym gestem, jakim go rozpoczynaliśmy. Patrząc na pięść Darrena i walę dość mocno swoją w jego kłykcie, nie ośmielając się podnieść wzroku, by spojrzeć mu w oczy. Wiem, że Darren się łamie, i wiem też, jakie spustoszenie we mnie zrobiłby ten widok.

Ostatnia rzecz: zawiązuję sznurówki. Zawijam nadgarstek. Zawsze zawijam nadgarstek po kontuzji z 1993 roku. Zawiązuję buty.

Proszę, niech to już się skończy.

Nie jestem jeszcze gotów na ten koniec.

Panie Agassi, już czas.

Jestem gotów.

Wchodzę w tunel trzy kroki za Baghdatisem i znów prowadzi nas James. Zatrzymujemy się, czekamy na znak. Harmider wokół nas potężnieje coraz bardziej. W tunelu jest zimno jak w psiarni. Znam ten tunel tak dobrze jak przedpokój w swoim domu, a jednak dzisiaj zdaje się o kilkanaście stopni chłodniejszy i wielki niczym boisko futbolowe. Spoglądam na boki. Na ścianach wiszą zdjęcia poprzednich mistrzów. Navratilowej. Lendl. McEnroe. Stefanie. Moje. Są to metrowej wielkości portrety wiszące w równych odstępach – zbyt równych jak na mój gust. Przypominają drzewa posadzone na nowym osiedlu. Powtarzam sobie w myślach: Przestań zwracać uwagę na takie szczegóły. Czas się skoncentrować, skupić swój umysł tak, jak tunel zawęża pole widzenia.

Szef ochrony krzyczy: No dobra, uwaga wszyscy, czas zacząć przedstawienie!

Idziemy.

Kiedy wchodzimy w krąg świateł, dokładnie tak jak było ustalone, Baghdatis idzie o trzy kroki z przodu. Nagle drugie światło, oślepiające, nieziemskie światło pada mi na twarz. Kamera telewizyjna. Dziennikarz pyta Baghdatisa, jak się czuje. Mówi coś, czego nie słyszę.

Teraz kamera zbliża się do mojej twarzy i dziennikarz zadaje to samo pytanie.

To może być pański ostatni mecz w karierze, stwierdza.

Jak niby mam się z tym czuć?

Odpowiadam, ale nie mam pojęcia, co mówię. Jednak po latach praktyki mam poczucie, że są to słowa, których ode mnie oczekuje. Po chwili idę już dalej, na nogach, które zdają się należeć do kogoś innego.

Temperatura podnosi się gwałtownie, kiedy zbliżamy się do wejścia na kort. Hałas jest już ogłuszający. Baghdatis wpada tam pierwszy. Wie, jakie poruszenie wywołuje perspektywa mojego przejścia na emeryturę. Czyta gazety. Spodziewa się, że dziś wieczorem zagra rolę czarnego charakteru. Myśli, że jest gotów. Pozwalam mu na to, niech usłyszy, jak harmider publiczności przeradza się w wiwaty. Pozwalam mu wierzyć, że tłum wiwatuje na cześć nas obu. Wtedy dopiero wchodzę na kort ja. Euforia sięga zenitu. Baghdatis odwraca się i uświadamia sobie, że pierwsze wiwaty były na jego cześć, ale teraz wszystko jest dla mnie, wyłącznie dla mnie, co wymusza na nim ponowne zastanowienie się, czy jest w stanie tego dokonać i z czym przyjdzie mu się zmierzyć. Nawet nie dotknąwszy

piłki, spowodowałem zachwianie jego dobrego nastroju. To sztuczka zawodowca. Sztuczka starego wyjadacza.

Tłum drze się coraz bardziej, gdy podchodzimy do naszych krzesełek. Jest głośniejsze, niż podejrzewałem, że będzie, głośniejsze niż kiedykolwiek w Nowym Jorku. Trzymam wzrok nisko, pozwalając wrzawie spłynąć po mnie. Uwielbiają tę chwilę – kochają tenis. Zastanawiam się, co by powiedzieli, gdyby poznali moją tajemnicę. Patrzą na kort. Zawsze stanowiący anomalię mego życia, tym razem jest jedyną ostoją normalności w tym całym zgiełku. Kort, na którym czuję się taki samotny, tak bardzo na widelcu, stał się miejscem, gdzie mam nadzieję znaleźć schronienie przed tą tak bardzo naznaczoną emocjami chwilą.

Pierwszy set niemal przelatuje. Nawet nie wiem, kiedy wygrywam 6–4. Piłka słucha każdego mego rozkazu. Podobnie jak moje plecy. Czuję, że moje ciało jest ciepłe, płynne. Kortyzon z adrenaliną mieszają się w idealnych proporcjach. Wygrywam drugi set 6–4. Widzę już linię mety.

W trzecim secie zaczynam się męczyć. Tracę skupienie i kontrolę. Baghdatis tymczasem zmienia plan gry. Zaczyna walczyć z desperacją, która wydaje się silniejsza niż kortyzon. Stawia wszystko na jedną kartę. Ryzykuje i każde uderzenie przynosi owoce. Piłka przestaje mnie teraz słuchać i zaczyna spiskować z moim rywalem. Uporczywie leci wprost do niego, co dodaje mu pewności siebie. Widzę tę pewność w błysku w oku. Jego początkowa desperacja zmienia się w nadzieję. Nie, w gniew. Już mnie nie podziwia. Nienawidzi mnie, a ja nienawidzę jego. Teraz warczymy na siebie i robimy szydercze miny, starając się odebrać sobie punkty. Tłum karmi się naszą złością, drze się wniebogłose i tupie nogami przy każdej wygranej piłce. Nie klaszcze, ale raczej wali jedną ręką o drugą, wydając prawdziwie pierwotne, jaskiniowe odgłosy.

Wygrywa trzeci set 6–3.

Nic nie jestem w stanie zrobić, by powstrzymać napór Baghdatisa. Wręcz przeciwnie, jest coraz gorzej. W końcu ma dwadzieścia jeden lat i dopiero się rozgrzewa. Odnalazł właściwy rytm gry, odkrył powód, dla którego się tu znalazł, swoje prawo do przebywania w tym miejscu, gdy tymczasem ja wytraciłem pierwszy zapal i zaczynam boleśnie słyszeć zegar tykający w moim ciele. Nie chcę, żeby doszło do piątego seta. Nie poradzę sobie. Świadomość śmiertelności daje znać o sobie, dlatego teraz sam zaczynam podejmować ryzyko. Udaje mi się wyjść na prowadzenie 4–0. Mam



dwukrotne przełamanie serwisu i znów zaczynam dostrzegać linię mety, która jest w moim zasięgu. Czuję, jak jakaś magnetyczna siła pcha mnie w tym kierunku.

I nagle pojawia się druga siła, odpychająca. Baghdatis gra najlepszy tenis w całym roku. Przypomniał sobie, że jest na ósmej pozycji w światowym rankingu. Sięga po sztuczki, o których istnieniu w jego repertuarze nie miałem pojęcia. Ustawiłem poprzeczkę niezwykle wysoko, ale teraz on ją pokonuje i podnosi jeszcze wyżej. Przełamuje moje natarcie i jest 4–1. Serwuje i jest 4–2.

Nadchodzi czas najlepszego gema w całym meczu. Jeśli go wygram, przejmę kontrolę nad tym setem i ponownie skłonię go do myślenia – podobnie jak siebie – że przez chwilę miał niezwykle szczęście. Jeśli przegram, będzie 4–3 i wszystko wróci do poprzedniego stanu. Nasz wieczór po raz kolejny rozpocznie się nowym otwarciem. Chociaż okładamy się od dziesięciu rund, jeśli teraz przegram, walka zacznie się na nowo. Gramy w wariackim tempie. On rzuca na szalę wszystko, daje z siebie maksimum – gem jest jego.

Ma zamiar wygrać ten set. Prędeziej umrze, niż go przegra. Wiem o tym i on o tym wie, podobnie jak wiedzą o tym wszyscy na trybunach. Dwadzieścia minut temu byłem o dwa gemy od zwycięstwa. Teraz jestem na skraju upadku.

Wygrywa 7–5.

Zaczyna się piąty set. Serwuję, drżąc cały, niepewny, czy moje ciało wytrzyma kolejne dziesięć minut oko w oko ze szczeniakiem, któremu z każdym punktem zdaje się ubywać lat i przybywać sił. Powtarzam sobie: Nie pozwól, żeby tak to się skończyło. Rób, co chcesz, ale nie kończ w ten sposób, nie poddawaj się, kiedy już prowadziłeś dwoma setami. Baghdatis też do siebie coś gada, zagrzewa się do walki. Jakbyśmy piłowali pień drzewa jedną piłą, jakbyśmy wymieniali ciosy za pomocą naładowanego elektrycznością wahadła. Robi błąd. Powtarzam jego błąd. Przebija się. Ja przebijam się głębiej. Serwuję przy równowadze i gorączkowo gramy o ten punkt, co kończy się tak, że on zagrywa slajsa, a ja ładuję piłkę w siatkę. Karczę się głośnym krzykiem. Przewaga Baghdatisa. Po raz pierwszy wlokę się za nim.

Otrząśnij się. Kontroluj to, co potrafisz, Andre.

Biorę następny punkt. Znów równowaga. Uniesienie.

Oddaję mu kolejny punkt. Bekhend prosto w siatkę. Przewaga Baghdatisa. Załamanie.

Zdobywa również kolejny punkt, wygrywa gem, wychodzi na 1–0.

Zbliżamy się do krzesełek. Słyszę, jak tłum zaczyna szeptać pierwsze mowy pogrzebowe dla Agassiego. Biorę łyk Wody Gila, współczując samemu sobie, czując starość. Zerkam w stronę Baghdatisa, zastanawiając się, czy jest w buńczucznym nastroju. Ale widzę, jak woła masażystę, by wymasował mu nogi. Prosi o przerwę na masaż. Ma napięty lewy mięsień czworogłowy. Zrobił mi taką krzywdę z kontuzją?

Tłum wykorzystuje przerwę i skanduje: Do roboty, Andre! Andre, do boju! Zaczynają się kołysać. Wyciągają transparenty z moim imieniem.

*Dziękujemy za wszystko, Andre!*

*Tu rządzi Andre!*

W końcu Baghdatis jest gotów. Jego serwis. Po przełamaniu mojej przewagi w meczu powinien być pełen energii, ale najwyraźniej przerwa wybiła go z rytmu. Ja go wybiłem z rytmu. Wygrywam swoje gemy serwisowe.

Utrzymujemy własne podania przez sześć kolejnych gemów. Ściśle ze sobą złączeni gramy gem przy moim serwisie, który zdaje się trwać tydzień i jest najcięższym i najbardziej odrealnionym gemem w mojej karierze. Sapiemy jak dzikie zwierzęta, walimy niczym gladiatorzy na arenie, jego forhend, mój bekhend. Na stadionie wszyscy wstrzymują oddech. Nawet wiatr przestaje wiać. Flagi na masztach oklapły. Przy stanie 40–30 Baghdatis posyła błyskawicznym forhendem piłkę, która zmusza mnie do zmiany pozycji. Ledwo zdążyłem uderzyć piłkę rakietą. Odgrywam ją tuż nad siatką – krzycząc z bólu – a on odbija kolejną bombę na mój bekhend. Rzucam się w przeciwnym kierunku – och, moje plecy! – i dopadam ją w ostatnim momencie, ale skręciłem kręgosłup. Kręgi zakleszczają się i nerwy w środku śpiewają żalobną pieśń. Żegnaj, kortyzonie. Baghdatis posyła piłkę nie do obrony na środek kortu, a ja patrzę, jak przelatuje obok mnie, i wiem, że mimo najszczerzych chęci ten mecz już jest dla mnie przegrany. Odtąd cokolwiek bym zrobił, będzie to ograniczone, będzie miało swoją cenę i odpokutuję za to moim zdrowiem oraz zdolnością poruszania się w przyszłości.

Patrzę przez siatkę, żeby sprawdzić, czy Baghdatis zauważył mój spazm bólu, ale widzę, że utyka. Utyka? Ma skurcz. Pada na ziemię, chwytając się za nogi. Bardziej go boli niż mnie. Bez namysłu zamieniłbym wrodzone

zwyrodnienie kręgosłupa na gwałtowne skurcze nóg. Kiedy wije się na ziemi, uświadamiam sobie, że wystarczy, jeśli teraz tylko będę się trzymał prosto, poodbijam jeszcze trochę tę cholerną piłkę i pozwolę, by jego skurcze wygrały dla mnie ten mecz.

Porzucam wszelkie subtelności i misterne strategie. Powtarzam sobie – tylko podstawy. Kiedy gra się z kontuzjowanym przeciwnikiem, wszystko opiera się na instynkcie i odpowiedniej reakcji. To już nie będzie gra w tenisa, ale brutalny sprawdzian samozaparcia. Żadnych podkręconych piłek, żadnych uników czy tańca na korcie. Teraz wyłącznie prosta wymiana piłek.

Po podniesieniu się z ziemi Baghdatis też porzuca wszelką taktykę i przestaje myśleć, dzięki czemu robi się bardziej niebezpieczny. Już nie jestem w stanie przewidzieć, co zrobi. Jest oszalały z bólu. Nikt nie potrafi odgadnąć posunięć szaleńca, a już na pewno nie na korcie tenisowym. Przy równowadze palę swój pierwszy serwis i wprowadzam drugi, rotacyjny, trudny serwis pędzący ze sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, który odebrał. Udało mu się. Przewaga Baghdatisa.

Kurde. Oklapłem cały. Facet nie może się ruszać, a mimo to odbiera moje asy?

Jeszcze raz znajduję się o jeden kapryśny punkt przed granicą 4–5, co znaczy, że Baghdatis będzie mógł zagrać piłkę meczową. Zamykam oczy. Pierwszy serwis – znów pudło. Uderzam ostrożnie po raz drugi tylko po to, by doprowadzić do wymiany piłek, ale on w przedziwny sposób partoli łatwy forhend. Ponownie równowaga.

Kiedy ciało i umysł balansują na granicy utraty przytomności, tak łatwo zdobyty punkt jawi się niczym ułaskawienie od gubernatora otrzymane przed egzekucją. A i tak niemal zmarnowałem daną mi szansę. Psuję pierwsze podanie. Serwuję drugie podanie, a return odlatuje nie wiadomo gdzie. Kolejny dar. Przewaga Agassiego.

Jestem o jeden punkt od uprzywilejowanego 5–4. Baghdatis krzywi się, zmusza się do wysiłku. Nie poddaje się. Zdobywa punkt. Trzeci raz równowaga.

Obiecuję sobie w duchu, że jeśli będę miał przewagę, to jej nie zmarnuję.

Teraz Baghdatis już nie utyka, widać, że ma poważną kontuzję. Czeka na mój serwis zgięty w pół. Nie mogę uwierzyć, że wciąż stoi, nie mówiąc o tym, jak mi się odcina na korcie. Facet ma tyle serca do gry, ile włosów na głowie. Czuję do niego sympatię, ale jednocześnie powtarzam

w myślach, by nie mieć dla niego litości. Serwuję, on odbiera, a ja w swej gorliwości, by uderzyć w wolną przestrzeń kortu, zagrywam za daleko. Aut. Skucha. Jawna skucha. Przewaga Baghdatisa.

Jednak nie jest w stanie jej wykorzystać. Przy następnej wymianie wali z forhendu daleko za linią. Równowaga numer cztery.

Następuje długa wymiana, która kończy się moim głębokim zagranieniem na jego forhend i on go psuje. Przewaga Agassiego. Znów. Zarzekałem się, że nie zmarnuję takiej szansy, jeśli się znów pojawi i oto ją dostaję. Jednak Baghdatis nie pozwala mi na dotrzymanie tej obietnicy. Szybko zdobywa kolejny punkt. Równowaga numer pięć.

Rozgrywamy absurdalnie długą wymianę piłek o kolejny punkt. Z każdą zagraną z jękiem w moją stronę piłką skraca dystans. Każda piłka odbita przeze mnie z okrzykiem jakimś cudem szybuje nad siatką. Forhend, bekhend, podkręcana, slajs – nagle uderza w piłkę, która ociera się o linię końcową i kapryśnie odskakuje w bok. Przechwytyuję ją, sam nawet nie wiem jak, i przebijam wysokim lobem nad jego głową. Przewaga Baghdatisa.

Trzymaj się podstaw, Andre. Zagoń go, zagoń. Kuleje, więc zmusz go do ruchu. Serwuję, odbija niemrawo i ganim go na prawo i lewo, aż skowycząc z bólu, posyła piłkę w siatkę. Równowaga numer sześć.

Czekając na mój kolejny serwis, Baghdatis opiera się na rakięcie jak starzec na lasce. Jednak po moim pierwszym nieudanym serwisie w przedziwny sposób podpełza bokiem niczym rak i wali z całej siły – piłka szybuje daleko poza zasięgiem mego forhendu. Przewaga Baghdatisa.

To jego czwarta szansa na przełamanie w tym meczu. Posyłam nieśmiały, rachityczny, wręcz rekreacyjny serwis, którego wstydziłbym się w wieku siedmiu lat, a jednak Baghdatis przechodzi do defensywy. Nacieram na jego forhend. Siatka. Równowaga numer siedem.

Kolejny raz serwuję pierwszym serwisem. Wyciąga rakiętę, ale piłka nie chce przelecieć nad siatką. Przewaga Agassiego.

Znów piłka gemowa. Przypominam sobie dwukrotnie złamaną obietnicę. Teraz, to ostatnia szansa. Czuję już skurcze w plecach. Z ledwością mogę się odwrócić, nie mówiąc już o tym, żeby zagrać piłkę na drugą stronę kortu z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Oczywiście marnuję pierwsze podanie. Chcę zaserwować prawdziwą bombę z drugiego podania, agresywnego asa serwisowego, ale nie jestem w stanie. Po prostu fizycznie nie jestem w stanie. Powtarzam sobie: Atakuj ze środka, uderzaj piłki na

wysokości barku, ganiaj go z jednej strony na drugą, aż zaczną pluć krwią. Tylko nie rób podwójnych błędów serwisowych.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Kort się kurczy. Patrę, jak na moich oczach stopniowo się zmniejsza. Czy wszyscy widzą to, co ja? Kort ma teraz wymiary karty do gry, jest tak mały, że nie jestem pewien, czy zmieściłaby się na nim piłka, gdybym przeszedł na drugą stronę i chciał ją tam położyć. Wyrzucam piłkę do góry, serwuję z nadludzką siłą. Oczywiście błąd. Równowaga numer osiem.

Tłum krzyczy z niedowierzaniem.

Udało mi się nie zepsuć pierwszego serwisu. Baghdatis fachowo returnuje. Mając wolną lewą stronę jego połowy kortu, zagrywam piłkę głęboko na jego bekhend, ponad dwa metry od niego. Rzuca się w jej stronę, macha niemrawo rakieta, nie udaje mu się. Przewaga Agassiego.

Przy dwudziestym drugim punkcie gema, po krótkiej bieżaninie, Baghdatis w końcu wbija piłkę bekhendem w siatkę. Gem dla Agassiego.

Podczas przerwy patrę, jak Baghdatis siada. To wielki błąd. Błąd młodego człowieka. Nie wolno siadać przy skurczach. Nie wolno informować organizmu, że przyszedł czas na odpoczynek, a potem wykrzyknąć: Żartowałem! Ludzkie ciało jest niczym rząd federalny. Mówi: Rób, co chcesz, ale jeśli cię złapią, nie okłamuj mnie. Dlatego mój przeciwnik nie będzie już w stanie serwować. Nawet nie wstanie z tego krzesła.

I wtedy wstał i utrzymał swój serwis.

Czego ten człowiek dosypuje do płatków śniadaniowych?

Och, tak. Zapomniałem. Młodość.

Przy stanie 5 do 5 gramy jak na szczudłach. Robi błąd, idzie na całość. Kontruje i wygrywam. Prowadzę 6–5.

Jego serwis. Prowadzi 40–15. Jest o jeden punkt od doprowadzenia do tie-breaku.

Uzyskuję równowagę.

Następnie zdobywam kolejny punkt i teraz mamy piłkę meczową.

Następuje szybka, brutalna wymiana. On wali na oślep z forhendu i kiedy tylko piłka odbija się od jego naciągu, ja wiem, że będzie aut. Wiem, że wygrałem ten mecz i w tej samej chwili uświadamiam sobie, że nie znalazłbym w sobie siły, by po raz kolejny machnąć rakieta.

Podchodzę do Baghdatisa przy siatce, ściskam jego drżącą dłoń i pędem schodzę z kortu. Nie mam odwagi się zatrzymać. Muszę być dalej w ruchu.

Wlokę się przez tunel na ostatnich nogach z torbą zwisającą z lewego barku. Czuję, jakbym miał ją przewieszoną przez prawe ramię, bo całe ciało mam poskręcane. Kiedy docieram do szatni, tracę zdolność chodzenia. Nie mogę też stać. Osuwam się na podłogę. Leżę na ziemi. Pojawiają się Darren i Gil, ściągają mi torbę z ramienia i przenoszą mnie na kozetkę. Ekipa Baghdatisa kładzie go na leżance obok mnie.

Darren, co mi jest?

Leż sobie, stary. Wyciągnij się.

Nie mogę, nie mogę...

Gdzie cię boli? Czy to skurcz?

Nie, mam ucisk w gardle. Nie mogę oddychać.

Co?

Nie mogę... Darren. Nie mogę... oddychać.

Darren pomaga obłożyć mnie lodem, unosi mi ramiona, woła lekarza. Błaga mnie, żebym zaczerpnął powietrza, żebym się rozluźnił.

No już, puszczaj, stary. Rozluźnij się. Jesteś cały spięty. Opuść już sobie, no już.

Ale nie mogę. W tym cały problem, prawda? Nie mogę sobie odpuścić.

Widzę nade mną kalejdoskop twarzy. Gil ściska mnie za ramię, podając napój regeneracyjny. Kocham cię, Gil. Stefanie całuje mnie w czoło i się uśmiecha – z radości czy z niepokoju, nie wiem. O tak, oczywiście, właśnie wtedy widziałem ten sam uśmiech. Masażysta mówi, że lekarze już idą. Włącza telewizor nad stołem. Żeby mnie czymś zająć, zanim przyjdą.

Staram się patrzeć w ekran. Słyszę jęk z lewej strony. Wolno odwracam głowę i widzę Baghdatisa na leżance obok. Przy nim uwija się jego ekipa. Rozmasowują mu spięte mięśnie, rozluźniają paraliżujący ucisk. Stara się leżeć bez ruchu, choć widać, że ma też skurcze w pachwinach. Zwija się w kłębek i błaga ich, żeby zostawili go w spokoju. Wszyscy wychodzą z szatni. Zostajemy tylko we dwóch. Odwracam znów wzrok w stronę ekranu telewizora.

Chwilę później coś każe mi ponownie spojrzeć na Baghdatisa. Uśmiecha się do mnie. Jest szczęśliwy czy zdenerwowany? Może jedno i drugie. Też się do niego uśmiecham.

Słyszę moje nazwisko z głośnika telewizora. Odwracam głowę. Pokazują fragmenty meczu. Pierwsze dwa sety, tak bardzo zwodnicze. Trzeci, kiedy Baghdatis zaczyna wierzyć we własne siły. Czwarty – walka na noże. Piąty,

niekończący się dziewiąty gem. Urywki najlepszego tenisa, jaki zagrałem w życiu. Najlepszego, jaki kiedykolwiek widziałem. Komentator mówi, że to był klasyczny pojedynek.

Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Spostrzegam, że Baghdatis wyciąga do mnie rękę. Na twarzy ma wypisane: Udało się nam. Chwytam jego dłoń i tak zostajemy, trzymając się za ręce, kiedy w telewizorze widać mrugające obrazy naszej bitwy na śmierć i życie.

W końcu mój umysł trafia tam, gdzie chciał trafić. Nie jestem już w stanie tego powstrzymać. Wcale nie pytając, mój umysł przenosi mnie w wir przeszłości. A ponieważ zapisuje najdrobniejsze szczegóły, widzę wszystko wyraźnie, z dojmującą przejrzystością, każdą porażkę, każde zwycięstwo, rywala, napad złości, wypłatę, dziewczynę, zdradę, dziennikarza, żonę, dziecko, strój, list od fana, ciężki mecz i bolesną stratę. Jakby drugi odbiornik telewizyjny nad moją głową pokazywał urywki z ostatnich dwudziestu dziewięciu lat, a wszystko wirowało w technikolorze.

Ludzie często pytają mnie, jak wygląda życie tenisisty, a ja nie potrafię im tego opisać. Niemniej to jedno słowo jest najbliższe prawdy. Bardziej niż cokolwiek innego przypomina to szarpiący, przerażający, podniecający, niesamowity wir. Wytwarza nawet nieznaczną siłę odśrodkową, z którą walczyłem przez prawie trzy dekady. Teraz leżąc na plecach pod stadionem Arthura Ashe'a, ściskając dłoń pokonanego przeciwnika i czekając na pomoc, robię to, co mogę zrobić. Przestaję z nim walczyć. Po prostu zamykam oczy i patrzę.



Mam siedem lat i mówię do siebie, bo się boję i dlatego też, że jestem jedyną osobą, która mnie słucha. Szepczę pod nosem: Rzuć to Andre, poddaj się. Odłóż rakieta i zejź z tego kortu, no już. Idź do domu i zjedz coś dobrego. Pobaw się z Ritą, Philly czy Tami. Usiądź z mamą, kiedy będzie robić na drutach albo układać swoje puzzle. Czyż to nie miła perspektywa? Byłoby jak w niebie, co nie, Andre? Żeby tak to rzucić? Żeby już nigdy nie zagrać w tenisa?

Nie mogę. Nie tylko dlatego, że mój ojciec ganiałby za mną po domu, wymachując rakieta, ale też dlatego, że coś w moim wnętrzu, gdzieś w środku, jakiś niewidzialny mięsień nie pozwala mi na to. Nienawidzę tenisa, nienawidzę go z całego serca, a mimo to będę grał dalej, odbijał piłki cały ranek, całe popołudnie, bo nie mam wyboru. Bez względu na to, jak bardzo bym chciał przerwać, nie mogę. Błagam się w myślach, żebym przestał, ale wciąż gram, a sprzeczność między tym, czego chcę, a tym, co naprawdę robię, zdaje się kwintesencją mojego życia.

W tym momencie moja nienawiść do tenisa koncentruje się na smoku, maszynie do wyrzucania piłek zmodyfikowanej przez mojego zionącego ogniem tatę. Jest czarny jak noc, osadzony na wielkich gumowych kołach i ma na boku wymalowany wielkimi literami napis PRINCE. Na pierwszy rzut oka smok wygląda zupełnie jak maszyna do wyrzucania piłek, jaką



można spotkać w każdym klubie tenisowym w Ameryce, ale w rzeczywistości jest to żywe, zionące ogniem stworzenie rodem wprost z moich komiksów. Smok ma mózg, ma wolę, czarne serce oraz straszliwy głos. Zasysając kolejną piłkę do swego brzucha, wydaje serię upiornych odgłosów. Kiedy w jego gardzieli zwiększa się ciśnienie, ryczy straszliwie. Gdy piłka z wolna podchodzi mu do pyska, skrzeczy. Przez chwilę smok wydobywa z siebie dość głupekowate dźwięki, podobne do maszyny do produkcji krówek, połykającej Augustusa Gloopa w *Charliem i fabryce czekolady*. Ale kiedy bierze mnie na cel i strzela we mnie piłką z prędkością dwustu kilometrów na godzinę, słyszę mrożący krew w żyłach ryk. Za każdym razem się uchylam.

Mój ojciec celowo stworzył takiego potwora. Dodał mu aluminiową tubę i wąski aluminiowy łeb, które odrzuca całym korpusem, kiedy bucha ogniem. Tato ustawił smoka tak, że strzela kilka stóp wyżej, i przesunął go tak, że zrównał z siatką, dlatego smok góruje nade mną. Mając siedem lat, jestem mały jak na swój wiek. (Wydaję się drobny, z powodu stałego skrzywienia ust i wizyt u fryzjera co dwa tygodnie, gdzie przycinają mi włosy od garnka). Kiedy stoję na wprost smoka, wyglądam filigranowo. Czuję się drobny. Bezradny.

Mój ojciec chciał, żeby smok górował nade mną nie tylko dlatego, żeby wzbudzał mój szacunek i przyciągał uwagę. Chciał, żeby piłki wystrzeliwane z paszczy stworza lądowały u moich stóp, jakby były zrzucone z samolotu. Trajektoria lotu sprawiała, że piłek nie można było odbijać w konwencjonalny sposób – musiałem wyciągać się, by w nie trafić, bo inaczej spadałyby mi na głowę. Tyle że tacie nawet to nie wystarczało. Uderz wcześniej, krzyczał. Uderz wcześniej!

Mój ojciec wykrzykuje wszystko dwukrotnie, czasami trzykrotnie, a czasami dziesięciokrotnie. Mocniej, wrzeszczy, mocniej. Ale po co? Bez względu na to, jak mocno uderzam, bez względu na to, jak wcześnie, piłka do mnie wraca. Każda z nich posłana na drugą stronę siatki dołącza do tysięcy, które już leżą na korcie. Nie setek. Tysięcy. Toczą się w moją stronę powracającymi falami. Nie mam miejsca, by się odwrócić, zrobić wy krok czy obrócić się wokół własnej osi. Nie mogę się poruszyć, nie następując na piłkę – a jednak nie mogę na nią stanąć, bo tato by tego nie zniósł. Kiedy ktoś stanął ojcu na piłkę tenisową, ten darł się tak, jakby mu nastąpił na gałkę oczną.

Co trzecia piłka wyrzucana przez smoka uderza w tę, która już leży na ziemi, i odskakuje na bok. Dostosowuję się w ostatniej chwili, przechwytyuję piłkę wcześniej i posyłam ją wprawnym ruchem za siatkę. Wiem, że to nie jest zwykły refleks. Wiem, że jest bardzo niewiele dzieci na świecie, które w ogóle zobaczyłyby tę piłkę, nie mówiąc już o jej odbiciu. Jednak nie jestem dumny z mojego refleksu ani też nie jestem za niego chwalony. Przecież tego właśnie się ode mnie oczekuje. Odbicie jest sprawą oczywistą, przepuszczenie piłki porażką.

Ojciec twierdzi, że jeśli będę odbijał dwa i pół tysiąca piłek dziennie, to będzie równało się siedemnastu tysiącom pięciuset piłkom na tydzień, więc pod koniec roku będę miał na koncie prawie milion odbitych piłek. Wierzy w statystykę. Liczby, jak mawia, nie kłamią. Dziecko odbijające milion piłek rocznie będzie niepokonane.

Uderzaj wcześniej!, drze się tato. Do cholery, Andre, uderzaj wcześniej! Napieraj na piłkę, napieraj!

Teraz to on na mnie napiera. Krzyczy mi prosto do ucha. Nie wystarczy, że trafiam we wszystko, co wyrzuca na mnie maszyna – tato chce, żebym uderzał mocniej i szybciej niż smok. Chce, żebym pokonał smoka. Na samą myśl panikuję. Powtarzam sobie: Nie potrafisz pokonać smoka. Jak można pokonać coś, co się nie męczy? Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to smok bardzo przypomina mojego tatę. Tylko że ojciec jest dużo gorszy. Przynajmniej smok stoi na wprost mnie, tam, gdzie go mogę zobaczyć. Mój tato stoi za mną. Rzadko mam okazję go widzieć, tylko go słyszę, bo dzień i noc krzyczy mi do ucha.

Bardziej podkrecaj przy slajsie! Uderzaj mocniej. No mocniej uderzaj! Nie w siatkę! Do cholery, Andre! Nigdy w siatkę!

Nic tak bardzo nie wyprowadza mojego ojca z równowagi, jak zagranie piłki w siatkę. Nie podoba mu się, gdy odbijam za wysoko czy też za daleko, ale kiedy trafiam w siatkę, aż się cały spienia. Błędy to jedna sprawa, uderzenie w siatkę to coś nieporównywalnie gorszego. Ojciec powtarza raz po raz: Siatka to twój największy wróg.

Podniósł mojego największego wroga o dobre kilkanaście centymetrów wyżej, niż przewidują przepisy, żeby było jeszcze trudniej go unikać. Wydaje mu się, że jeśli pokonam zadaną przez niego wysokość, pewnego dnia nie będę miał najmniejszych problemów na Wimbledonie. Nieważne, że nie chcę tam grać. To, czego ja chcę, jest całkowicie bez znaczenia. Czasami oglądam w telewizji Wimbledon wraz z ojcem i obydwa

kibicujemy Björnowi Borgowi, bo jest najlepszy, niezmordowany i najbardziej przypomina smoka – ale ja nie chcę być Borgiem. Podziwiam jego talent, jego energię, styl, jego umiejętność zatracenia się w grze, lecz jeśli kiedykolwiek wykształcę w sobie te zdolności, to zastosuję je raczej do czegoś innego niż do gry w turnieju. Do czegoś, co sam wybiorę.

Uderzaj mocniej, krzyczy mój ojciec. Uderzaj mocniej. A teraz bekhendy. Bekhendy, mówię.

Czuję, że ramię za chwilę mi odpadnie. Chciałbym zapytać: Jak długo jeszcze, tatusiu? Ale nie pytam. Robię, co mi każe. Walę z całej siły, a po chwili jeszcze mocniej. Przy jednym uderzeniu sam się zdziwiłem jego siłą i precyzją. Choć nienawidzę tenisa, podoba mi się uczucie idealnego uderzenia w piłkę. To jedyne ukojenie. Kiedy robię coś w sposób doskonały, raduję się ułamkiem sekundy zdrowego rozsądku i spokoju.

Smok jednak odpowiada mi z równą perfekcją, wyrzucając kolejną piłkę szybciej.

Krótki zamach do tyłu, instruuje ojciec. Krótki – właśnie tak. Muśnij piłkę, muśnij ją.

Przy rodzinnym stole tato czasami coś demonstruje. Opuść raketę pod piłkę, mówi, i muskaj, muskaj. Wykonuje ruchy malarza delikatnie wywijającego pędzlem. Być może była to jedyna czynność, którą ojciec pokazywał w delikatny sposób.

Pracuj nad wolejami, mówi – czy też stara się. Jest Ormianinem urodzonym w Iranie i mówi pięcioma językami, choć żadnym dobrze, a jego angielski ma mocny akcent. Myli „v” z „w”, więc brzmi to jak „łolejami”. Ze wszystkich jego poleceń, to należy do najbardziej ulubionych. Wykrzykuje je, aż zaczynam słyszeć to przez sen. Pracuj nad łolejami, łolejami.

Tak bardzo napracowałem się nad tymi łolejami, że już kortu nie widzę. Spod warstwy żółtych piłek nie wystaje już ani skrawek zielonego cementu. Szuram nogami niczym staruszek. W końcu nawet mój ojciec musi przyznać, że za dużo tu piłek. Bez sensu taka robota. Jeśli nie będę mógł się ruszać, nie wyrobimy dziennej normy dwóch i pół tysiąca piłek. Obraca dmuchawę, wielką maszynę do suszenia kortu po deszczu. Oczywiście tam, gdzie mieszkamy – w Las Vegas, w stanie Nevada – prawie nigdy nie pada, więc mój ojciec używa dmuchawy do zaganiania piłek tenisowych. Podobnie jak w przypadku maszyny do wyrzucania piłek, to urządzenie również usprawnił, robiąc z niego jakąś upiorną istotę. To moje

najwcześniejsze wspomnienia w życiu: miałem pięć lat i mój ojciec wyciągnął mnie z przedszkola, by zaprowadzić do zakładu spawalniczego, żebym popatrzył, jak powstaje ta wariacka, podobna do wielkiej kosiarki do trawy maszyna zdolna jednocześnie przesunąć setki piłek naraz.

Teraz patrzę, jak pcha dmuchawę, obserwuję, jak piłki tenisowe pierzchają przed nim, i bardzo im współczuję. Skoro smok i dmuchawa żyją własnym życiem, to może piłki też są żywe. Może robią to, co ja bym zrobił, gdybym mógł – uciekają przed moim ojcem. Po umieszczeniu wszystkich piłek w narożniku mój ojciec bierze szuflę i pakuje je do stojących w rzędzie metalowych pojemników na śmieci, beczek na pomyje, z których karmi smoka.

Odwraca się, widzi, że się przyglądam. No i na co, do cholery, tak się gapisz? Odbijaj, odbijaj!

Bołą mnie ramiona. Nie mogę odbić już ani jednej piłki.

Odbijam jeszcze trzy.

Nie wytrzymam ani minuty dłużej.

Wytrzymuję dziesięć.

Mam pomysł. Przypadkowo czy też celowo posyłam piłkę za płot. Udaje mi się walnąć w nią drewnianą ramą rakiety, więc rozlega się głuchy stukot. Robię tak, kiedy potrzebuję chwili przerwy i przychodzi mi do głowy, że muszę być całkiem niezły, skoro potrafię na życzenie źle odbić piłkę.

Mój ojciec słyszy, jak piłka uderza o drewno, i podnosi wzrok. Widzi, jak piłka opuszcza kort. Przeklina. Ale słyszał, że piłka uderza o rant, wie więc, że był to przypadek. Poza tym przynajmniej nie uderzyłem w siatkę. Wychodzi ciężkim krokiem z podwórka na pustynię. Mam teraz cztery i pół minuty na zaczerpnięcie oddechu i obserwowanie jastrzębi krążących leniwie nad moją głową.

Mój ojciec lubi strzelać do jastrzębi. Nasz dom pokrywają jego ofiary, martwe ptaki leżące na dachu w takiej ilości, jak piłki na korcie. Mówi, że nie lubi jastrzębi, bo rzucają się na myszy i inne bezbronne stworzenia pustyni. Nie może znieść myśli, że mocniejszy poluje na słabszego. (Ta zasada obowiązuje również wtedy, gdy idziemy na ryby: jeśli coś złapie, całuje rybkę w pokryty łuskami łebek i wypuszcza do wody). Oczywiście nie ma oporów przed żerowaniem na mnie, nie widzi nic złego w tym, jak łapię oddech zawieszony na jego haczyku. Nie widzi w tym żadnej sprzeczności. Sprzeczności nic go nie obchodzą. Nie rozumie, że jestem najbardziej bezbronnym stworzeniem na tej zapomnianej przez Boga i ludzi

pustyni. Ciekawe, czy gdyby zdawał sobie z tego sprawę, traktowałby mnie inaczej?

Wkracza z powrotem na kort, ciska piłkę do metalowego pojemnika i zauważa, że gapię się na jastrzębie. Robi wściekłą minę. Co ty robisz, do kurwy nędzy? Przestań się zamyślać. Żadnego, kurwa, zamyślenia się!

Siatka jest największym wrogiem, ale zamyślenie się to grzech śmiertelny. Mój ojciec uważa, że jest ono źródłem wszelkiego zła, ponieważ jest przeciwstawne do działania. Kiedy tato przyłapuje mnie na zamyśleniu, snuciu marzeń na jawie na korcie tenisowym, zachowuje się tak, jakby przyłapał mnie na podkradaniu mu pieniędzy z portfela. Często zastanawiam się, w jaki sposób mogę przestać myśleć. Ciekawe, czy mój tato krzyczy na mnie, żebym przestał myśleć, bo wie, że z natury jestem myślicielem. A może swoim wrzaskiem zmienił mnie w myśliciela? Czy moje myślenie o sprawach innych niż tenis jest aktem nieposłuszeństwa?

Chciałbym, żeby tak było.

Nasz dom wygląda jak zarośnięta buda z lat siedemdziesiątych, pokryta białym tynkiem z łuszczącym się ciemnym śladem na łączeniach. W oknach są kraty. Dach pod warstwą martwych jastrzębi ma drewniane gonty, z których wiele już się poluzowało bądź wypadło. W drzwiach wisi dzwonek, brzęczący za każdym razem, kiedy ktoś wychodzi albo wchodzi do domu, niczym na ringu bokserkim.

Mój ojciec pomalował wysoką betonową ścianę otaczającą dom na jasnozielony kolor. Dlaczego? Ponieważ zielony jest barwą kortu tenisowego. Ponadto mojemu ojcu odpowiada ten kolor, kiedy daje komuś wskazówki, jak do nas dojść: skręć w lewo, dojdź do połowy ulicy i szukaj domu z jasnozielonym ogrodzeniem.

Jakbyśmy cały czas spraszali gości.

Ze wszystkich stron dom otacza pustynia i dalej też jest pustynia, która jest dla mnie synonimem śmierci. Usianą kłującymi krzakami, szarłatami niesionymi przez wiatr, na której drzemią zwinięte w kłębek grzechotniki, pustynia wokół naszego domu zdaje się nie mieć innego przeznaczenia poza tym, że spełnia funkcję wielkiego wysypiska niepotrzebnych ludziom przedmiotów. Materaców, opon samochodowych, innych ludzi. Vegas – kasyna, hotele, Strip – jawi się w oddali jak połyskujący miraż. Mój ojciec codziennie udaje się do pracy w stronę tego mirażu. Jest kierownikiem sali w jednym z kasyn, ale nie chce mieszkać bliżej miejsca pracy.

Wyprowadziliśmy się na to pustkowie, do centrum zadupia, do serca nicości, ponieważ jedynie tutaj mojego ojca było stać na dom z dostatecznie dużym podwórkiem, by wybudować na nim kort tenisowy.

To kolejne wspomnienie z wczesnego dzieciństwa: jeździmy z ojcem i agentem sprzedaży nieruchomości po Vegas. Mogło to być zabawne, gdyby nie było takie przerażające. Jeździliśmy od domu do domu i za każdym razem, kiedy samochód agenta dopiero się zatrzymywał, ojciec wyskakiwał z niego i już szedł podjazdem. Agent dreptał tuż za nim i paplał cały czas o szkołach w okolicy, o współczynniku przestępczości, o oprocentowaniu kredytu, ale tata go nie słuchał. Patrząc prosto przed siebie, wparowywał do domu, przechodził przez salon, kuchnię i wychodził na podwórko z tyłu budynku, gdzie wyciągał taśmę mierniczą i odmierzał 10,9 metra na 23,7 metra, czyli wymiary kortu tenisowego. Raz za razem krzyczał: Nie zmieści się! No, chodźmy już! Idziemy! Mój ojciec wracał miarowym krokiem przez kuchnię, salon i wychodził na podjazd, a agent sprzedaży nieruchomości z trudem za nim nadążał.

Oglądaliśmy też dom, w którym bardzo chciała zamieszkać moja starsza siostra Tami. Błagała, by go kupić, ponieważ dom był w kształcie litery T – T jak Tami. Mój ojciec niemal to zrobił, prawdopodobnie dlatego, że myślał: T jak tenis. Mnie też się ten dom podobał. Tak samo mojej mamie. Jednak podwórko było o kilkanaście centymetrów za krótkie.

Nie zmieści się! Idziemy!

W końcu zobaczył dom, który miał tak wielkie podwórko, że tato nie musiał go mierzyć. Stał pośrodku, wolno się obracając i wpatrując jak sroka w kość z szerokim uśmiechem, jakby widział przyszłość.

Sprzedane, powiedział cichym głosem.

Jeszcze dobrze nie wnieśliśmy ostatniego kartonowego pudła, kiedy mój tato już zaczął budować wymarzony kort. Wciąż nie wiem, jak on to zrobił. Ani dnia nie przepracował na budowie. Nie wiedział niczego na temat betonu, asfaltu i systemu odpływowego. Nie przeczytał na ten temat żadnej książki ani też nie konsultował tego ze specjalistą. Po prostu nosił jego obraz w głowie i rozpoczął urzeczywistnianie tego marzenia. Podobnie jak w wielu innych życiowych sytuacjach, mój tato powołał kort do życia przez wymuszenie, dzięki swej brutalnej i energicznej żądzy życia. Myślę, że mógł zastosować ten fortel również w moim wypadku.

Oczywiście potrzebna mu była pomoc. Wylewanie betonu to nie przelewki. Dlatego też co rano zawoził mnie do Sambo, restauracji na

Stripie, w której zatrudnialiśmy kilku emerytów z bandy włóczącej się po tamtejszym parkingu. Moim ulubieńcem był Rudy. Mężczyzna z twarzą pooraną bliznami i wydatnym brzuchem zawsze patrzył na mnie, uśmiechając się półgębkiem, jakby miał pewność, że nie wiem, jak się nazywam ani gdzie jestem. Rudy wraz ze swą bandą wracali z nami do domu, a tam ojciec mówił im, co trzeba zrobić. Po trzech godzinach szliśmy z tatą do McDonalda i kupowaliśmy wielkie torby big maców i frytek. Po powrocie mój ojciec pozwalał mi zadzwonić dzwonkiem, który wzywał pracowników na lunch. Uwielbiałem wynagradzać Rudy'ego za pracę. Uwielbiałem przyglądać się, jak je niczym wygłodniały wilk. Bardzo podobała mi się myśl o ciężkiej pracy odpowiednio wynagradzanej – pod warunkiem że ciężka praca nie wiązała się z odbijaniem piłeczki tenisowej.

Dni spędzone z Rudym i big macami zacierają się w pamięci. Nagle tato ma swój kort na tyłach domu, co oznacza, że stoi już moje więzienie. Pomagałem karmić bandę skazańców budujących moją celę. Pomagałem mierzyć i malować białe linie, które będą mnie pętały. Dlaczego to zrobiłem? Nie miałem wyboru. Był to powód, dla którego robię wszystko.

Nikt mnie nigdy nie spytał, czy chcę grać w tenisa, nie mówiąc już o tym, żeby zrobić z niego sposób na życie. W rzeczywistości mama uważała, że zostanę księdzem. Powiedziała mi jednak, że ojciec na długo przed moim urodzeniem zdecydował, że będę zawodowym tenisistą. Kiedy miałem roczek, potwierdziłem jego przewidywania. Obserwując grę w ping-ponga, wodziłem oczami za piłką, nigdy nie odwracałem głowy. Tato zawołał mamę.

Popatrz, powiedział. Widzisz, jak rusza samymi oczami? Wrodzony talent.

Mama opowiadała mi, że gdy jeszcze byłem w kojcu, ojciec zawieszał instalację z piłek tenisowych nad moją głową i zachęcał, żebym walił w nie raketką do ping-ponga przytwierdzoną do rączki. Kiedy skończyłem trzy lata, podarował mi odpiłowaną raketę i powiedział, żebym walił we wszystko, na co mi przyjdzie ochota. Wspecjalizowałem się w strzałach z solniczek. Spodobało mi się serwowanie nimi przez zamknięte okna. Asem serwisowym unieszkodliwiłem psa. Mój ojciec nigdy się o to nie złościł. Wściekał się na wiele innych rzeczy, ale nigdy, że coś mocno uderzyłem raketą tenisową.

Jako czterolatka zabierał mnie, bym poodbijał sobie z tenisowymi sławami, które przejeżdżały przez miasto, poczynając od Jimmy'ego

Connorsa. Tato twierdził, że Connors jest jednym z najlepszych tenisistów na świecie. Na mnie większe wrażenie zrobiło to, że miał włosy obcięte od garnka tak jak ja. Kiedy skończyliśmy, Connors powiedział mojemu ojcu, że z całą pewnością będę bardzo dobry.

Tyle to sam wiem, powiedział rozzłoszczony tato. Bardzo dobry? On będzie pierwszym graczem na świecie.

Szukał potwierdzenia u Connorsa. Szukał kogoś, z kim mógłbym pograć.

Za każdym razem, kiedy Connors zjawiał się w Vegas, tato naciągał mu rakiety. Mój ojciec jest naciągaczem pierwszej wody. (Któż lepiej niż mój staruszek byłby w stanie wytworzyć i utrzymać napięcie?). Zawsze było tak samo. Rankiem Connors dawał mu pudło rakiet i osiem godzin później spotykaliśmy się z nim w jakiejś restauracji na Stripie. Ojciec puszcza mnie przodem. Trzymam rakiety z poprawionym naciągiem. Pytam szefa sali, gdzie siedzi tenisista, a ten wskazuje mi jego stolik. Wysła mnie do najodleglejszego rogu, gdzie pośrodku swojej świty siedzi Connors oparty plecami o ścianę. Wyciągam ostrożnie rakiety w jego stronę, nie mówiąc ani słowa. Rozmowa przy stoliku zamiera gwałtownie i wszyscy patrzą na mnie z góry. Gwiazda szarpnięciem zabiera mi rakiety i kładzie je na krześle. Przez chwilę czuję się ważny, jakbym trzem muszkietierom dostarczył świeżo naostrzone szpady. Wtedy Connors mierzwi mi włosy, rzuca jakąś sarkastyczną uwagę na mój temat czy też mojego ojca i wszyscy przy stoliku parszają śmiechem.

Im jestem lepszy w tenisie, tym gorzej idzie mi w szkole, co mnie boli. Lubię książki, ale czuję, że mnie przerastają. Lubię swoich nauczycieli, ale niewiele rozumiem z tego, co do mnie mówią. Chyba nie uczę się jak moi rówieśnicy, nie umiem tak przetwarzać wiedzy. Mam pamięć jak słoń, ale problemy z koncentracją. Trzeba mi tłumaczyć wszystko po dwa–trzy razy. (Może dlatego tato krzyczy do mnie zawsze dwa razy?) Ponadto wiem, że każda chwila spędzona przeze mnie w szkole jest solą w oku mego ojca – uczęszczam do szkoły kosztem tenisa. Tak więc nie przepadając za szkołą i marnie sobie w niej radząc, zawieram z tatkiem niepisane przymierze.

Są takie dni, kiedy odwożąc mnie wraz z rodzeństwem do szkoły tato mówi z wymuszonym uśmiechem: No, urwisy, zrobimy tak – zamiast jechać do szkoły, zawiozę was do Cambridge Racquet Club? Będziecie mogli pograć cały ranek. No i co wy na to?

Wiemy, co chce usłyszeć, więc jesteśmy posłuszni. HUUURA!



Tylko mamie nie mówcie, dodaje tato.

Cambridge Racquet Club jest długą, zatęchłą, zadaszoną dziurą na wschód od Strip. Jest na nim dziesięć kortów i unosi się specyficzny smrodek – prochu, potu, maści rozgrzewających oraz cierpki odór czegoś, co dawno przekroczyło datę ważności, czego nigdy nie byłem w stanie rozpoznać. Ojciec traktuje Cambridge jak nieformalną przybudówkę do naszego domu. Stoi z właścicielem, panem Fongiem, i przyglądają się nam bacznie, pilnując, żebyśmy grali i nie marnowali czasu na gadanie i śmichy-chichy. W końcu wydaje z siebie krótki gwizd – dźwięk, który rozpoznałbym na końcu świata. Wkłada palce do ust, dmucha ostro i to oznacza: gem, set, mecz, zostawcie to i jazda do samochodu.

Moje rodzeństwo zawsze przerywa grę przede mną. Rita, najstarsza, Philly, mój starszy brat, i Tami – wszyscy dobrze grają w tenisa. Jesteśmy jak tenisowa rodzina Adamsów. Ale ja, najmłodszy, maluch, ja jestem najlepszy. Mój ojciec mówi tak mnie, mojemu rodzeństwu, panu Fongowi: Andre jest wybrańcem. To właśnie dlatego poświęca mi najwięcej uwagi. Jestem ostatnią nadzieją rodu Agassich. Czasami szczególnie podoba mi się to skupienie mego taty na mnie, a czasami wolałbym być niewidzialny, bo on jest przerażający. Stać go na wiele.

Na przykład często sięga kciukiem i palcem wskazującym do nosa i szykując się do wyciskającego łzy z oczu kroku, wrywa czarne włosy z nozdrza. To jego sposób pojmowania higieny osobistej. W tym samym duchu goli się, nie używając pianki czy kremu. Po prostu drapie jednorazową maszynką po suchej brodzie i policzkach, zdzierając skórę, po czym zostawia strużki krwi, aż wyschną.

Pod wpływem stresu czy też rozkojarzenia mój ojciec często gapi się w przestrzeń i mamrocze: Kocham cię, Margaret. Zapytałem kiedyś mamę: Do kogo tato tak się odzywa? Kto to jest Margaret?

Moja mama opowiada, że kiedy tato był w moim wieku, jeździł na łyżwach na zamrożonym stawie i lód się pod nim załamał. Wpadł w szczelinę, zaczął się topić – nie oddychał przez dłuższą chwilę. Wyciągnęła go z wody i przywróciła do życia kobieta o imieniu Margaret. Nigdy wcześniej jej nie spotkał i nie zobaczył jej też później, ale często widzi ją w myślach, mówi do niej i dziękuje najczulszym ze swych głosów. Mówi, że wizja Margaret dopada go jak jakiś atak. Nie ma świadomości, że to się dzieje, i później jedynie pamięta piąte przez dziesiąte.

Tato ma naturę gwałtownika i zawsze jest skory do bitki. Stale boksuje się z cieniem. W samochodzie trzyma stylisko od siekiery. Wychodzi z domu z garścią soli i pieprzu w kieszeniach na wypadek, gdyby natrafił na jakąś burdę uliczną i musiałby kogoś oślepić. Oczywiście najzacieklejsze boje toczy sam z sobą. Ma chroniczne sztywnienie karku i nieustannie musi poluzowywać kości szyi gniewnymi szarpnięciami i skręcaniem głowy. Kiedy to nie skutkuje, otrzepuje się jak pies po wyjściu z wody, aż kości szyi zaczynają strzelać niczym pękający popcorn. A kiedy i to nie pomaga, używa ciężkiego worka do boksowania, który wisi na uprzęży za domem. Staje na krześle, zdejmuje worek i wsuwa szyję w uprząż. Następnie wykopuje krzesło i spada z wysokości około metra na dół, a uprząż wyhamowuje upadek. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem, jak to robi, przechodziłem z pokoju do pokoju. Podniosłem wzrok i zobaczyłem swego ojca, jak odrzuca krzesło, zawisa na szyi ze stopami metr nad ziemią. Nie miałem wątpliwości, że się zabił. Podbiegłem do niego cały rozdygotany.

Widząc przerażenie na mojej twarzy, warknął: Co się, kurwa, z tobą wyrabia?

Jednak większość potyczek toczy z innymi i jak zwykle zaczynają się one bez ostrzeżenia w najmniej przewidzianym momencie. Na przykład podczas snu. Boksuje się przez sen i często popycha i bije moją śpiącą matkę. Również w samochodzie. Mój tato niewiele rzeczy lubi tak, jak jazdę swoim zielonym oldsmobilem z silnikiem Diesla i śpiew wraz z Laurą Branigan, której głos dobiega z przedpotopowego magnetofonu. Ale jeśli inny kierowca zrobi mu wbrew, jeśli zajędzie mu drogę albo nie da sobie zajechać drogi przez ojca, wtedy wszystko już leci lawinowo.

Pewnego dnia jadę z tatą do Cambridge i on wdaje się w pyskówkę z innym kierowcą. Zatrzymuje auto, wysiada, nakazuje mężczyźnie wyłączyć ze swego samochodu. Tamten odmawia, bo mój ojciec już trzyma stylisko siekiery w ręce. Wściekły, roztrzaskuje trzonkiem światła tamtego samochodu z przodu i z tyłu, rozbryzgując szkło na wszystkie strony.

Innym razem ojciec wyciąga rękę przed moją twarzą, by wycelować z broni w innego kierowcę. Trzyma spluwę na wysokości mojego nosa. Patrzę prosto przed siebie. Nie ruszam się. Nie wiem, jakie przewinienie popełnił tamten człowiek, tylko że jest to motoryzacyjny odpowiednik uderzenia piłką w siatkę. Czuję, jak palec mojego ojca tężeje na języku spustowym. Wtedy dobiega mnie odgłos pospiesznej rejterady tamtego i towarzyszący temu dźwięk, który słyszę niezmiernie rzadko – śmiech taty.

Sam śmiech mógłby gościa wypatroszyć. Powtarzam sobie, że zapamiętam tę chwilę na zawsze – mój ojciec zaśmiewa się z bronią przy mojej twarzy – zapamiętam, choćbym miał dożyć setki.

Kiedy chowa broń do skrytki w samochodzie i rusza, odwraca się do mnie. Tylko nie mów mamie, nakazuje.

Nie wiem, po co to w ogóle mówi. Cóż zrobiłaby moja mama, gdyby się dowiedziała? Nie protestuję ani słowem. Czyżby mój ojciec myślał, że kiedyś musi być ten pierwszy raz?

Pewnego deszczowego dnia w Vegas jedziemy razem, by zabrać mamę z biura. Stoję na końcu długiego siedzenia, wygłupiam się i śpiewam. Mój ojciec zmienia pas, by skręcić. Jakiś kierowca ciężarówki trąbi na nas. Najwyraźniej mój tato zapomniał włączyć kierunkowskaz. Ojciec pokazuje mu środkowy palec w pogardliwym geście. Robi to tak szybko, że niemal dostaję w twarz. Kierowca drze się do niego. Ojciec puszcza mu wiązanek przekleństw. Tamten zatrzymuje się, otwiera drzwi. Mój tato też się zatrzymuje, wyskakuje z wozu.

Wpełzam na tylne siedzenie, żeby popatrzeć na to przez szybę. Deszcz pada coraz mocniej. Ojciec zbliża się do kierowcy. Ten wyprowadza cios. Tato uchyla się i pięść przeciwnika zsuwa się po jego głowie, po czym zasypuje nieszczęśnika nawałnicą niewidzialnych niemal uderzeń, kończąc ciosem w podbródek. Kierowca pada na ziemię. Jest martwy – jestem tego pewien. Jeśli nie jest, to wkrótce będzie, bo leży na środku drogi i ktoś go zaraz przejedzie. Ojciec wraca do wozu i odjeżdżamy. Zostaję na tylnym siedzeniu, patrząc przez szybę na nieprzytomnego mężczyznę, któremu deszcz kapie na twarz. Odwracam się i widzę, że mój tato coś mamrocze, złorzecząc pod adresem kierownicy. Mamy za chwilę odebrać mamę, a on patrzy w dół, zaciskając i rozkurczając pięści, jakby chciał się upewnić, czy nie uszkodził sobie kłykci. Wtedy patrzy na tylne siedzenie, prosto w moje oczy, choć mam wrażenie, że widzi ową Margaret. Niemal czule zwraca się do mnie: Nie mów mamie.

Takie wspomnienia i wiele innych przychodzą mi do głowy za każdym razem, kiedy myślę o tym, by powiedzieć tacie, że nie chcę grać w tenisa. Oprócz tego, że kocham go i pragnę, żeby był ze mnie dumny, nie chcę go zdenerwować. Nie ośmieliłbym się. Źle się dzieje, kiedy mój tato jest zdenerwowany. Skoro mówi, że mam grać w tenisa, skoro mówi, że mam zostać numerem jeden na świecie, że to moje przeznaczenie, to wypada mi

tylko skinąć głową i słuchać. Jimmy'emu Connorsowi czy też każdemu innemu również dałbym taką radę.

Droga do pierwszej pozycji na świecie wiedzie przez Tamę Hoovera. Kiedy mam skończyć ósmy rok życia, tato dochodzi do wniosku, że nadszedł czas, by skończyć z sesjami ze smokiem na tyłach domu i odbijaniem piłek w klubie Cambridge. Trzeba zacząć regularne pojedynki z prawdziwymi chłopakami w moim wieku z całej Nevady, Arizony i Kalifornii. W każdy weekend rodzina ładuje się do samochodu i jedzie albo na północ drogą numer 95 w stronę Reno, albo na południe przez Henderson i za Tamę Hoovera przez pustynię do Phoenix, Scottsdale czy Tuscon. Ostatnie miejsce, pomijając kort tenisowy, gdzie chcę przebywać razem z tatą, to samochód. Wszystko jest już jednak ustalone. Jestem skazany, by swoje dzieciństwo dzielić między te dwa miejsca odosobnienia.

W przedziale wiekowym zawodników poniżej dziesięciu lat wygrywam siedem turniejów z rzędu. Ojciec przyjmuje to jako rzecz zupełnie naturalną. Po prostu robię to, co mam robić. Jadąc z powrotem przez Tamę Hoovera, patrzę na napis pod masztem: *W hołdzie tym, których zainspirowała wizja uczynienia z samotnych krain ziemi mlekiem i miodem...* Powtarzam to zdanie w myślach. Samotne krainy. Czyż istnieje bardziej osamotniona kraina niż nasz dom na pustyni? Myślę o wściekłości kotłującej się w moim ojcu niczym rzeka Kolorado przy Tamie Hoovera. Przełamanie jej to tylko kwestia czasu. Nie pozostaje nic innego, jak drapać się coraz wyżej.

Dla mnie oznacza to konieczność zwycięstw. Zwycięstw za wszelką cenę.

Jedziemy do San Diego. Morley Field. Gram z Jeffem Tarango, któremu daleko do mojego poziomu, ale wygrywa pierwszy set 6–4. Zamurowało mnie. Jestem przerażony. Ojciec mnie zabije. Zbieram się w sobie, wygrywam drugi set 6–0. Na początku trzeciego seta Tarango skręca kostkę. Staram się go zagonić, każąc mu biegać po całym korcie z bolącą kostką. Ale on tylko udaje. Z jego kostką jest wszystko w porządku. Odbiera moje piłki i atakuje z moich skrótów. Wygrywa każdy punkt.

Mój ojciec krzyczy z trybun: Nie graj więcej skrótów! Nie graj skrótów!

Nie mogę się powstrzymać. Mam swoją strategię. Trzymam się jej.

Dochodzi do tie-breaku. Do dziewięciu. Tam i z powrotem wymieniamy się punktami, aż jest po cztery. I oto nadchodzi. Nagła śmierć. Jeden punkt

za cały mecz. Nigdy nie przegrałem i nie wyobrażam sobie, jaka byłaby reakcja ojca, gdyby tak się stało.

Gram tak, jakby od wyniku meczu zależało moje życie, i tak w istocie jest. Tarango musi mieć ojca podobnego do mojego, bo gra w ten sam sposób.

Odskakuję i zagrywam siarczysty bekhend po krosie. Uderzam piłkę tak, żeby doszło do wymiany, ale ta odbija się mocniej i zjadliwiej niż zamierzałem. Piłka nie do obrony leci o dobry metr poza zasięgiem rakiety Tarango. Krzyczę z radości. Tarango stoi pośrodku kortu, zwiesza głowę i zdaje się, że za chwilę się rozplacze. Wolno podchodzi do siatki.

Zatrzymuje się. Gwałtownie odwraca głowę i patrzy w miejsce, w które uderzyła piłka. Uśmiecha się.

Aut, mówi.

Zatrzymuję się.

Piłka wyszła na aut!, drze się Tarango.

Taka zasada panuje wśród juniorów. Zawodnicy są własnymi sędziami liniowymi. Krzyczą, czy był aut, czy nie, i nie ma od tego odwołania. Tarango postanowił zrobić to, zamiast przyjąć porażkę, i wie, że nikt nie może na to nic poradzić. Unosi dłonie w geście zwycięstwa.

Teraz ja zaczynam płakać.

Na trybunach wybucha pełne szaleństwo, rodzice zaczynają się kłócić, krzyczeć, dochodzi niemal do wymiany ciosów. To nie jest *fair*, to nie jest w porządku, ale taka jest rzeczywistość. Tarango jest zwycięzcą. Nie chcę mu podać ręki. Biegnę do parku Balboa. Kiedy wracam po pół godziny, wszyscy krzyczą, a mój ojciec nie hamuje wściekłości. Nie dlatego, że zniknąłem, ale dlatego, że nie robiłem tego, co mi kazał podczas meczu.

Dlaczego mnie nie słuchałeś? Dlaczego wciąż skracałeś swoje uderzenia?

Po raz pierwszy nie boję się swego ojca. Nieważne, jak bardzo jest na mnie wściekły, moja złość jest dużo większa. Jestem wściekły na Tarango, na Boga, na siebie. Mimo iż wiem, że mnie oszukał, nie powinienem dopuścić do sytuacji, w której mogło to nastąpić. Nie powinienem stawiać wszystkiego na jedną kartę w taki sposób. Ale zrobiłem to i teraz straciłem swój rekord – na zawsze. Nic już tego nie zmieni. Nie mogę znieść tej myśli, lecz nie potrafię przed nią uciec: Jestem niedoskonały. Napiętnowany niedoskonałością. Ze skazą. Milion smoczycy piłek odbitych i po co?

Po latach wysłuchiwania tyrad ojca na temat moich niedoskonałości jedna porażka sprawiła, że wziąłem je sobie do serca. Przyswoiłem cechy ojca – jego niecierpliwość, jego perfekcjonizm, jego furię – aż mój głos przestał brzmieć jak głos ojca, on stał się jego głosem. Tato już nie musi mnie dręczyć. Od tego dnia mogę to robić sam.



Mieszka z nami mama mojego taty. Jest paskudną staruchą z Teheranu, z brodawką wielkości orzecha laskowego na krawędzi nosa. Czasami nie można zrozumieć ani słowa z tego, co mówi, bo nie można oderwać wzroku od brodawki. To i tak nieważne, bo wygłasza te same okropieństwa co poprzedniego dnia i jeszcze wcześniej, prawdopodobnie do mego ojca. Wspomina, że dręczy go, od kiedy był chłopcem i wtedy też często go biła. Zdaje się, że jedynym powodem pojawienia się mojej babci na ziemi było prześladowanie mojego ojca. Kiedy był szczególnie niegrzeczny, kazała mu iść do szkoły w używanych dziewczynskich ubraniach. Dlatego właśnie nauczył się bić.

Gdy starsza pani nie czepia się mego ojca, gęga na temat starego kraju i rodaków, których tam zostawiła. Moja mama mówi, że babcia tęskni za domem. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem te słowa, pytałem się w myślach, jak można tęsknić, skoro się mieszka w domu? W domu mieszka smok. Dom to miejsce, w którym trzeba grać w tenisa.

Skoro babcia tak bardzo chce wrócić do domu, to jestem za. Mam dopiero osiem lat, ale sam zawiózłbym ją na lotnisko, ponieważ powoduje wzrost napięcia domowego, którego mamy aż w nadmiarze. Przez nią tata jest nieszczęśliwy, rozstawia mnie i rodzeństwo po kątach i angażuje się w dziwne współzawodnictwo z moją mamą. Mama opowiada, że kiedy

byłem mały, weszła do kuchni i zastała babcię, która próbowała karmić mnie piersią. Od tamtej pory ich stosunki są niezmiernie skomplikowane.

Oczywiście pod jednym względem dobrze jest, że babcia z nami mieszka. Opowiada dużo o moim tacie, o jego dzieciństwie i to czasami skłania go do wspomnień, powoduje, że się otwiera. Gdyby nie babcia, nie wiedziałbym wiele na temat jego przeszłości, która charakteryzowała się smutkiem i samotnością, co czasem pomaga zrozumieć jego dziwne zachowania i nagłe napady złości. Tak jakby.

Och, babcia mówi z westchnieniem, ale byliśmy biedni. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak biedni. I głodni, dodaje, klepiąc się po brzuchu. Nie mieliśmy co do gęby włożyć, nie było też bieżącej wody ani prądu. I nawet śladu mebli.

No to na czym spaliście?

Spaliśmy na klepisku! Wszyscy razem w jednym maleńkim pokoiku! W starej kamienicy z brudnym dziedzińcem. W jednym rogu podwórka była dziura – toaleta dla wszystkich mieszkańców domu.

Mój ojciec zaczyna jej wtórować.

Po wojnie trochę się poprawiło, dodaje. W jedną noc na ulicach pojawili się brytyjscy i amerykańscy żołnierze. Lubiłem ich.

Dlaczego lubiłeś żołnierzy?

Dawali mi cukierki i buty.

Dali mu też angielski. Pierwszym słowem, jakiego mój tato nauczył się od szeregowców, było zwycięstwo. O tym gadali w kółko, mówi. O zwycięstwie.

Ale byli wielcy, wspomina. I silni. Łaziłem za nimi wszędzie, obserwowałem ich, przyglądałem się im i pewnego dnia zaszedłem za nimi do miejsca, gdzie spędzali wolny czas – był to park w zagajniku z dwoma kortami o glinianym podłożu.

Wokół kortów nie było ogrodzenia, więc co kilka chwil piłka szybowała w nieznane. Mój ojciec biegł i przynosił ją żołnierzom jak wytresowany szczeniak, aż w końcu awansował na ich nieoficjalnego chłopaka do podawania piłek. Później już oficjalnie mianowali go opiekunem kortów.

Ojciec opowiada: Codziennie zamiatałem, podlewałem i grabiłem korty za pomocą ciężkiego walca. Malowałem linie na biało. Cóż to była za praca! Musiałem rozpuszczać kredę w wodzie.

A ile ci płacili?



Płacili? Nic mi nie płacili! Dali mi rakietę tenisową. Straszny to był rzech. Stara drewniana rama z naciągniętym stalowym drutem. Ale uwielbiałem ją. Całymi godzinami odbijałem tą rakieta piłki o ścianę, całkiem sam.

Dlaczego sam?

Nikt inny w Iranie nie grał w tenisa.

Jedynym sportem, który zapewniał memu tacie dostateczną liczbę przeciwników, był boks. Najpierw testował swoją wytrzymałość w wielu burdach ulicznych, a potem, jako nastolatek znalazł się na sali gimnastycznej i zaczął się uczyć techniki bokserskiej. Jak mówili jego trenerzy, miał wrodzony talent. Posiadał szybkość w pięści i lekkość w stopach – oraz do tego zadre w sercu przeciw całemu światu. Jego gniew, z którym wszyscy musieliśmy się borykać, był niezwykłym atutem na ringu. Wywalczył sobie miejsce w kadrze olimpijskiej Iranu, boksując w wadze koguciej, pojechał też na igrzyska w 1948 roku do Londynu. Cztery lata później trafił na igrzyska do Helsinek. Tam też mu się nie poszczęściło.

Sędziowie, gdera. Podpłaceni byli. Cała ta impreza była ukartowana, ustawiona. Świat był nieprzychylnie nastawiony do Iranu.

I dodaje: Ale mój syn... Może znów tenis stanie się dyscypliną olimpijską i wtedy mój syn zdobędzie złoty medal i sprawiedliwości stanie się zadość.

Jeszcze jeden kamyczek na moje, już i tak przeciążone barki.

Kiedy zobaczył kawałek świata jako olimpijczyk, nie potrafił wrócić do tego samego pokoiku z klepiskiem zamiast podłogi, więc wymknął się z Iranu. Załatwił sobie fałszywy paszport i pod przybranym nazwiskiem przyleciał do Nowego Jorku, gdzie spędził szesnaście dni na wyspie Ellis, następnie pojechał autobusem do Chicago, gdzie zamerykanizował swoje imię. Emmanuel zmienił się w Mike'a Agassiego. Za dnia pracował jako windziarz w jednym z luksusowych hoteli w mieście. Wieczorami boksował.

Jego chicagowskim trenerem był Tony Zale, nieustraszony mistrz wagi średniej, często nazywany Człowiekiem ze Stali. Był znanym sportowcem, który wziął udział w trójmeczowej sadze bokserskiej z Rockym Graziano. Zale chwalił mojego ojca, mówił, że ma niezwykły, nieoszlifowany talent, ale błagał go, żeby uderzał mocniej. Uderzaj mocniej, krzyczał Zale na mojego ojca, kiedy ten napażał w mały worek treningowy.

No, mocniej uderzaj. Każdy cios powinien być wyprowadzać od dołu do góry.

Mając Zale'a w swoim narożniku, mój tato wygrał Chicago Golden Gloves, po czym wywalczył sobie prawo do pierwszoligowej walki w Madison Square Garden. Miał to być wielki przełom, ale w dzień, gdy miał się odbyć pojedynek, przeciwnik taty zachorował. Organizatorzy rozpierzchli się po mieście, starając się znaleźć zastępstwo. No dobrze, znaleźli w końcu – boksera o wiele lepszego i do tego wagi półśredniej. Mój ojciec zgodził się na walkę, lecz na kilka chwil przed pierwszym gongiem dostał rozstroju nerwowego. Schował się w łazience, wypełził przez okienko nad kibelem i pociągiem wrócił do Chicago.

Wymykał się z Iranu, wymknął się i z MSG – mój ojciec jest mistrzem sztuki uników, jak sądzę. Nic jednak nie jest w stanie mu umknąć.

Wspomina, że kiedy boksował, zawsze chciał przyjąć najlepszy cios przeciwnika. Mówi mi pewnego razu na korcie: Kiedy wiesz, że przyjąłeś najlepszy cios przeciwnika, a wciąż stoisz, i ten facet o tym wie, jesteś w stanie wyrwać mu serce z piersi. W tenisie jest taka sama zasada. Rzuć wyzwanie sile przeciwnika. Jeśli dobrze serwuje, odbieraj jego podania. Jeśli gra siłowo, przemóź jego siły. Jeśli ma mocny forhend, szczyć się nim, odpłacaj mu pięknym za nadobne, graj mu na forhend do momentu, aż go znienawidzi.

Tato ma specjalne określenie na tego rodzaju kontrującą strategię. Twierdzi, że to jak zrobić przeciwnikowi odcisk na mózgu. Taką to strategią, taką brutalną filozofią piętnuje mnie na całe życie. Zmienia mnie w boksera z rakieta tenisową w dłoni. Co więcej, skoro większość tenisistów szczyć się swymi serwisami, mój ojciec zmienia mnie w zawodnika dobrze grającego w defensywie – odpłacającego za to, czego doznaje na korcie.

Co jakiś czas mój tato też odczuwa tęsknotę za starym krajem. Szczególnie brakuje mu najstarszego brata Isara. Pewnego dnia, zarzeka się, twój stryj Isar wymknie się z Iranu, tak jak mnie się to udało.

Tylko najpierw Isar musi jakimś cudem wyprowadzić pieniądze. Iran się rozpada, wyjaśnia ojciec. Rewolucja wzbiera. Rząd się rozpada. Dlatego też wszystkich bacznie obserwują, pilnują, żeby ludzie nie opróżniali swoich kont i nie uciekali z kraju. Stryjek Isar tym samym w tajemnicy zamienia gotówkę na kosztowności, które następnie ukrywa w przesyłkach i wysyła

nam do Vegas. Za każdym razem, kiedy przychodzi zawinięta w brązowy papier paczka od stryjka, w domu robi się jak w Boże Narodzenie. Siadamy w salonie na podłodze, rozcinamy sznurek, rozrywamy papier i drzemy się wniebogłosy, kiedy pod puszką z łakociami albo w cieście owocowym znajdujemy diamenty, szmaragdy i rubiny. Przesyłka od stryjka Isara przychodzi co kilka tygodni, a po jakimś czasie, pewnego dnia w domu pojawia się największa paczka. To stryjek Isar. We własnej osobie. Stoi w progu i się uśmiecha.

Ty to chyba jesteś Andre.

Tak.

Jestem twoim stryjem.

Wyciąga rękę i gładzi mnie po policzku.

Jest lustrzanym odbiciem mego taty, ale ma całkowicie odmienną osobowość. Ojciec jest surowy i oschły, poza tym przepełnia go wściekłość. Stryjek Isar mówi łagodnym tonem, jest cierpliwy i dowcipny. Jest też geniuszem – w Iranie był inżynierem – dlatego pomaga mi co wieczór odrabiać lekcje. Jest to niezwykła ulga po sesjach naukowych z moim ojcem. Metoda taty polega na jednorazowym wytłumaczeniu, powtórzeniu, a za trzecim razem krzyku i wyzywaniu od głupków, którzy nie potrafią zrozumieć, kiedy ktoś im coś raz tłumaczy. Stryjek Isar wyjaśnia, po czym uśmiecha się i czeka. Jeśli nie zrozumiałeś, nie ma najmniejszego problemu. Powtarza jeszcze raz, łagodniej. Jakby miał mnóstwo wolnego czasu.

Patrzę na stryjka Isara, jak przechadza się po pokojach i korytarzach naszego domu. Chodzę za nim tak samo, jak mój tato za brytyjskimi i amerykańskimi żołnierzami. Kiedy już się oswoiłem ze stryjkiem Isarem i znam go lepiej, lubię huścić mu się na ramionach i wspinać na plecy. On też to lubi. Lubi chuliganić, dawać się łapać i łaskotać swoim bratanicom i bratankom. Co wieczór chowam się za frontowymi drzwiami i wyskakuję, gdy stryjek wraca do domu, bo zawsze go to rozśmiesza. Jego dudniący śmiech jest diametralnie różny od odgłosów wydawanych przez smoka.

Pewnego dnia Isar idzie do sklepu po kilka drobiazgów. Liczę minuty do jego powrotu. W końcu furka otwiera się ze zgrzytem i zatraskuje, co oznacza, że mam dokładnie dwanaście sekund, zanim stryjek wejdzie do domu. Wszystkim przejście od furki do drzwi wejściowych zabiera dwanaście sekund. Kucam za drzwiami i liczę do dwunastu, a kiedy drzwi się otwierają, wyskakuję.

Uuuu!

To nie stryjek Isar, to mój ojciec. Wystraszony krzyczy, cofa się i robi zamach pięścią. Mimo że wkłada w ten cios jedynie ułamek swej siły, jego lewy hak łąduje na mojej szczęce tak, że lecę gdzieś w górę. W jednej sekundzie radosny, podekscytowany, w następnej rozłożony gładko na ziemi.

Mój ojciec staje nade mną skrzywiony. Co się, kurwa mać, z tobą dzieje? Idź do swego pokoju.

Wbiegam do pokoju i rzucam się na łóżko. Leżę tam i drżę cały, nie wiem, jak długo. Godzinę? Trzy? W końcu drzwi się otwierają i słyszę głos ojca.

Weź rakietę. Idź na kort.

Czas spojrzeć smokowi prosto w paszczę.

Odbijam piłki przez pół godziny z tętniącą głową i łzami w oczach. Wciąż słyszę:

Uderzaj mocniej. No mocniej uderzaj, do diabła! I nie w tę cholerną siatkę!

Odwracam się i staję na wprost ojca. Następną piłkę uderzam tak mocno, jak tylko mogę, ale wysoko nad ogrodzenie. Celuję w jastrzębie i już nie chcę udawać, że to przypadek. Mój ojciec patrzy na mnie. Robi groźny krok w moją stronę. Ma zamiar posłać mnie uderzeniem w ślad za piłką, ale zatrzymuje się, mówi do mnie brzydko i nakazuje, bym mu się nie pokazywał na oczy.

Wbiegam do domu i zastaję moją mamę leżącą na łóżku z psami w nogach, czytającą jakiś romans. Uwielbia zwierzęta i nasz dom przypomina poczekalnię gabinetu doktora Dolittle. Psy, ptaki, koty, jaszczurki i wyleniały szczur wabiący się Pani Dupa. Łapię jednego z psów, ciskam nim przez pokój, ignorując obrażony skowyt, i zagłębiam głowę w matczyne ramiona.

Dlaczego tatko jest taki zły?

Co się stało?

Opowiadam jej.

Gładzi mnie po włosach i mówi, że mój tato inaczej nie potrafi. Tatuś robi wszystko po swojemu. Dziwne to, ale tak jest. Musimy pamiętać, że chce dla nas jak najlepiej, prawda?

Po części jestem wdzięczny mamie za ten anielski spokój. Jednak czuję się też zdradzony, choć nie chcę się do tego przyznać. Spokój jest czasem

oznaką słabości. Ona nigdy nie interweniuje. Nigdy nie reaguje. Nie wkracza w różne sytuacje pomiędzy dziećmi i ojcem. Powinna mu powiedzieć, żeby dał spokój, żeby odpuścić, że tenis to nie wszystko.

Nie leży to jednak w jej naturze. Mój ojciec zakłóca spokój, moja matka go utrzymuje. Co rano wychodzi do biura w swoim praktycznym spodniem – pracuje dla stanu Nevada – i wraca zawsze o szóstej, zmęczona do granic wytrzymałości, nie wypowiadając ani słowa skargi. Ostatnią resztką energii przygotowuje kolację. Wtedy kładzie się ze swymi zwierzakami i książką albo zajmuje się innym ulubionym zajęciem – układaniem puzzli.

Raz na ruski rok traci cierpliwość i kiedy to następuje, ma rozmiary biblijnego kataklizmu. Pewnego razu ojciec rzucił jakąś uwagę na temat tego, że w domu jest nieporządek. Moja mama podeszła do szafki, wyjęła dwa opakowania płatków śniadaniowych i zaczęła nimi machać nad głową jak proporcami, rozsypując je wszędzie. Krzychała: Chcesz mieć czysto w domu? To sobie go posprzątaj!

Chwilę później siedziała już całkowicie uspokojona nad swoją układanką.

Szczególnie uwielbia układanki Normana Rockwella. Na kuchennym stole niemal zawsze widać do połowy ułożoną idylliczną scenę z życia idealnej rodziny. Nie wiem, skąd ona czerpie taką radość z układania puzzli. Ten pokawałkowany nieład, ten chaos – jak to niby ma kogoś uspokoić? Ta myśl skłania mnie do podejrzeń, że jesteśmy z moją mamą całkowitymi przeciwieństwami. A jednak wszelkie pokłady łagodności, jakie we mnie drzemią, miłość i współczucie, jakim obdarzam ludzi, musi pochodzić od niej.

Leżąc koło niej i pozwalając się gładzić po włosach, myślę, że jest w niej tyle niezrozumiałych dla mnie cech, a wszystkie koncentrują się w wyborze męża. Pytam ją, jak w ogóle wylądowała z takim facetem jak mój ojciec. Parsknęła śmiechem, w którym słychać było ślady zmęczenia.

Było to bardzo dawno temu, wspomina. Jeszcze w Chicago. Znajomy znajomego powiedział twemu ojcu: Powinieneś umówić się z Betty Dudley, ona jest w twoim typie. I *vice versa*. Tak więc twój tato zadzwonił do mnie pewnego wieczoru do Girls Club, gdzie wynajmowałam umeblowany pokój. Długo rozmawialiśmy, bardzo długo i twój tato wydał mi się słodki.

Słodki?

Wiem, wiem. Ale tak było. Zgodziłam się więc z nim umówić. Pojawił się na drugi dzień w szykownym nowym volkswagenie. Obwiózł mnie po

mieście, nie zatrzymując się w jakimś specjalnie wybranym miejscu, po prostu jeździliśmy w kółko, a on opowiadał mi historię swego życia. Potem zatrzymaliśmy się, by coś zjeść, i ja opowiedziałam mu o sobie.

Moja mama opowiadała o tym, jak dorastała w Danville, w stanie Illinois, trzysta kilometrów od Chicago, w tym samym małym miasteczku, w którym dorastali Gene Hackman, Donald O'Connor i Dick Van Dyke. Powiedziała mu, że ma siostrę bliźniaczkę. Opowiadała o ojcu, zręcznym nauczycielu angielskiego, pilnie strzegącym surowych zasad poprawności tego języka. Mój tato, ze swoim łamanym angielskim nie mógł się nie wzdrygnąć. Najpewniej jednak nie usłyszał tego. Wyobraziłem sobie, jak nie słyszy, co mama do niego mówi na pierwszej randce. Mógł być zbyt zafascynowany jej płonącymi kasztanowymi włosami i jasnoniebieskimi oczami. Widziałem zdjęcia. Moja mama była prawdziwą pięknoscią. Ciekawe, czy spodobał mu się kolor jej włosów, bo był podobny do barwy ziemnego kortu. A może jej wzrost. Miała dobre kilka centymetrów więcej od niego. Wyobrażam sobie, że stanowiło to dla niego wyzwanie.

Mama mówi, że dopiero po ośmiu błogich tygodniach udało mu się ją przekonać, by połączyć opowieści ich życia. Uciekli przed zręcznym ojcem i jej bliźniaczką. Wciąż uciekali. Mój ojciec wywiózł mamę aż do Los Angeles, a kiedy nie mogli znaleźć tam pracy, zabrał ją przez pustynię do powstającego w zawrotnym tempie miasta hazardzistów. Mama zaczęła pracować w administracji stanowej, a ojciec załapał się w hotelu Tropicana, gdzie dawał lekcje tenisa. Nie przynosiło to kokosów, wziął więc sobie drugą pracę, kelnerując w hotelu Landmark. Wtedy dostał etat szefa sali w kasynie MGM Grand, co było na tyle zajmujące, że rzucił dwie pozostałe posady.

W ciągu pierwszych dziesięciu lat wspólnego życia moim rodzicom urodziła się trójka dzieci. Potem, w 1969 roku, moja mama trafiła do szpitala z podejrzanymi bólami brzucha. Trzeba zrobić histerektomię, twierdził lekarz. Jednak drugie badanie wykazało, że jest w ciąży. To byłem ja. Urodziłem się 29 kwietnia 1970 roku w szpitalu Sunrise, trzy kilometry od Stripu. Mój ojciec nadał mi imiona Andre Kirk Agassi, takie jakie nosili jego szefowie w kasynie. Pytam mamę, dlaczego tato nadał mi imiona swoich szefów. Czy byli jego przyjaciółmi? Czy aż tak ich podziwiał? Czy był im winien pieniądze? Nie wie. Oczywiście nie jest to pytanie, które można zadać ojcu wprost. Jego o nic nie można zapytać wprost. Dlatego umieszczam tę informację wśród wielu innych niewiadomych na temat

moich rodziców – wśród całkowicie zaginionych elementów układanki swego istnienia.

Mój ojciec ciężko pracuje, spędzając długie nocne godziny w kasynie, ale tenis jest jego żywiołem, powodem, dla którego wstaje z łóżka. Bez względu na to, gdzie by się nie usiadło w naszym domu, wszędzie widać ślady tej jego obsesji. Pomijając podwórko z tyłu domu i smoka, jest jeszcze laboratorium, znane również pod nazwą kuchni. Maszyna do naciągania rakiet tenisowych i narzędzia zajmują połowę kuchennego stołu. (Najnowsza układanka Normana Rockwella zajmuje drugą stronę – dwie rywalizujące z sobą pasje w jednym pomieszczeniu). Na ladzie kuchennej leży kilka stosów rakiet, wiele przepiłowanych na pół, aby ojciec mógł przypatrzeć się ich wnętrzościom. Chce wiedzieć wszystko na temat tenisa, wszystko, co oznacza dokonywanie wiwisekcji kilku elementów ich organizmów. Wiecznie przeprowadza eksperymenty za pomocą tego czy innego sprzętu. Na przykład ostatnio wykorzystywał zużyte piłki tenisowe, by przedłużyć życie naszych butów. Kiedy guma zaczyna się wycierać, ojciec przecina piłkę tenisową na pół i przykleja każdą z nich do buta.

Mówię do Philly'ego: Nie dość, że mieszkamy w laboratorium tenisa, to jeszcze musimy nosić piłki tenisowe na nogach?

Zastanawiam się, dlaczego tato tak kocha tenis. Jest to kolejne pytanie, którego nie mogę mu zadać wprost. Mam jednak pewne poszlaki. Czasami opowiada o pięknie tenisa, o jego idealnej równowadze siły i strategii. Wbrew swemu niedoskonałemu życiu – a może właśnie dzięki niemu – mój ojciec łaknie doskonałości. Geometria i matematyka znajdują się najbliżej doskonałości ludzkiej, mówi, a tenis opiera się na kątach i liczbach. Leży w łóżku i widzi kort na suficie. Twierdzi, że naprawdę go tam widzi i rozgrywa na tym sufitowym korcie nieskończoną ilość meczów. Aż dziw, że ma siły, by iść do zwykłej pracy.

Jako szef sali w kasynie tato usadza gości podczas występów. Proszę tędy, panie Johnson. Miło panią znowu widzieć, panno Jones. MGM płaci mu minimalną pensję, a resztę dostaje w napiwkach. Utrzymujemy się z napiwków, przez co nasze życie jest dość nieprzewidywalne. Po niektórych wieczorach ojciec wraca do domu z kieszeniami wypchanymi gotówką. Innym razem kieszenie są idealnie płaskie. Cokolwiek wyciąga z tych kieszeni, bez względu na to, czy jest tego bardzo mało, starannie liczy i układa w kupki, po czym zamyka w rodzinnym sejfie. Jest to

czynność, która szarpie nerwy nam wszystkim, bo nigdy nie wiadomo, ile tatko będzie w stanie włożyć do sejfów.

Ojciec uwielbia pieniądze i nie ma z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia, mówi też, że na tenisie można dobrze zarobić. Najwyraźniej pieniądze grają niepoślednią rolę w jego uczuciu do tej dyscypliny. Jest to w jego mniemaniu najkrótsza droga do spełnienia amerykańskiego marzenia. Zabiera mnie na turniej Alana Kinga Tennis Classic, a tam widzimy piękną kobietę w stroju Kleopatry niesioną na główny kort przez czterech półnagich mięśniaków w togach, za którymi kroczy męczyzna przebrany za Cezara, pchając przed sobą taczki wypełnione po brzegi srebrnymi dolarami. Jest to pierwsza nagroda dla zwycięzcy tego turnieju. Mój ojciec gapi się na srebrzystą poświatę połyskującą w słońcu Vegas i wygląda, jakby sobie golnął. Chce tego. Chce, żebym ja to dostał.

Wkrótce po tym brzemiennym w skutki dniu, tuż przed moimi dziewięcymi urodzinami, wykombinował tak, że zostałem chłopcem od podawania piłek na turnieju Alana Kinga. Mnie jednak guzik obchodzi te srebrne dolary – chcę dostać małą Kleopatę. Ma na imię Wendi. Jest jedną z dziewczynek podających piłki, mniej więcej w moim wieku, zjawiskiem w błękitnym wdzianku. Z miejsca zakochuję się na zabój całym sercem i aż do trzewi. Leżę, nie mogąc zasnąć w nocy, i wyobrażam ją sobie na suficie.

Podczas meczów, kiedy ja i Wendi śmigamy obok siebie po dwóch stronach siatki, posyłam jej uśmiech, starając się, by ona go odwzajemniła. W przerwach kupuję jej colę, siadam przy niej i próbuję zaimponować jej moją wiedzą na temat tenisa.

Turniej Alana Kinga przyciąga wielkich graczy i mój ojciec nakłania niemal każdego z nich, by odbili ze mną kilka piłek. Niektórzy są bardziej chętni niż inni. Borg zachowuje się tak, jakby o niczym innym w życiu nie marzył. Connors najwyraźniej chce odmówić, ale nie może, bo ojciec naciąga mu rakiety. Ilie Năstase chce powiedzieć nie, ale tato udaje, że ogłuchł. Năstase, mistrz Wimbledonu i French Open, będący na pierwszym miejscu w rankingu zawodników, wolałby być gdzie indziej, ale szybko odkrywa, że odmówienie mojemu ojcu graniczy z niemożliwością. Ten człowiek jest bezlitosny.

Kiedy gram z Năstasem, Wendi obserwuje nas z fotela przy siatce. Jestem zdenerwowany, a on wyraźnie znudzony – do chwili gdy dostrzeżę Wendi.

Ej, to twoja dziewczyna, Snoopy? Czy ta ślicznotka to twoja ukochana?



Zatrzymuję się. Posyłam mu groźne spojrzenie. Mam ochotę walnąć tego wielkiego, głupiego Rumuna w nos, mimo że jest ode mnie o dwie głowy wyższy i ma przewagę jakichś czterdziestu pięciu kilogramów. Źle się stało, że powiedział do mnie „Snoopy”, ale potem jeszcze ośmielił się mówić o Wendi bez szacunku. Zebrał się niezły tłum – przynajmniej ze dwieście osób. Năstase zaczyna grać pod publiczność, raz za razem mówiąc do mnie Snoopy i drażniąc się ze mną na temat Wendi. A ja myślałem, że to mój ojciec jest bezlitosny.

Chciałbym przynajmniej mieć na tyle odwagi, by powiedzieć: Panie Năstase, zawstydzę pan, proszę przestać. Ale jestem w stanie tylko uderzać coraz mocniej. Uderzać mocniej. Wtedy Năstase znów rzuca coś o Wendi i już mam tego dość, nie zniosę tego dłużej. Rzucam rakieta o ziemię i schodzę z kortu. Năstase, pocałuj mnie w dupę.

Mój ojciec przygląda się temu z otwartymi ustami. Nie jest zły, nie wstydzi się – nie jest zdolny do odczuwania wstydu, bo rozpoznaje własne geny w działaniu. Nie wiem, czy widziałem kiedykolwiek, by był ze mnie bardziej dumny.

Poza okazjonalnymi treningami z grupą tenisistów z najwyższej półki moje publiczne pojedynki polegają głównie na szwindlu. Mam opracowany schemat, jak naciągnąć frajerów. Najpierw wybieram kort na widoku, gdzie gram sam z sobą, odbijając piłkę po całej powierzchni. Następnie, kiedy pojawia się jakiś bezczelny nastolatek albo podchmielony gość, zapraszam ich do gry. Po trzeciej, pozwalam, by złoili mi skórę, jak należy. W końcu najbardziej żalonym z moich głosików pytam, czy nie zechcieliby zagrać o dolara. Może o pięć? Zanim orientują się, co się dzieje, serwuję piłkę meczową o dwadzieścia dolców, co wystarczy, by stawiać Wendi colę przez miesiąc.

Philly nauczył mnie, jak to się robi. Daje lekcje tenisa i często naciąga swoich uczniów. Gra z nimi o stawkę za lekcję, następnie dubluje i gra o wszystko albo nic. Andre, mówi, przy twoim wzroście i wieku powinieneś pławić się w forsie. Pomaga mi opracować i przećwiczyć strategię. Raz na jakiś czas przychodzi mi do głowy, że tylko mi się wydaje, że oszukuję, bo ludzie z ochotą płacą za taki pokaz. Potem będą mogli się chwalić, że widzieli takiego dziewięcioletniego popaprańca, który nie psuje.

Nie wspominam ojcu o moim dorabianiu na boku. Nie widziałby w tym nic zdroźnego. Uwielbia dobry szwindel. Po prostu nie mam ochoty

rozmawiać z nim o tenisie więcej niż to absolutnie konieczne. Wtedy mój ojciec opracowuje własny numer. Ma to miejsce w klubie Cambridge. Kiedy trafiamy tam pewnego dnia, tato wskazuje na mężczyznę rozmawiającego z panem Fongiem.

To Jim Brown, szepcze mi do ucha. Największy futbolista wszech czasów.

Patrzę na olbrzymią masę mięśni ubraną w biały strój tenisisty i elastyczne podkolanówki. Widziałem go już w klubie Cambridge. Kiedy nie gra w tenisa na pieniądze, poświęca się trik trakowi bądź kościom – również za dolary. Podobnie jak mój ojciec, pan Brown bardzo dużo gada o pieniądzach. W tej właśnie chwili żali się panu Fongowi, ile mu przeleciało koło nosa. Miał grać z jednym takim, ale ten facet się nie pojawił. Brown wini za wszystko właściciela klubu.

Przychodzę zagrać, mówi pan Brown, i chcę grać.

Mój ojciec podchodzi do nich.

Szuka pan partnera do gry?

Jasne.

Mój syn Andre z panem zagra.

Pan Brown patrzy na mnie, po czym znów spogląda na mego ojca.

Nie będę grał z ośmiolatkiem!

Dziewięcio-, dziewięciolatkiem.

Ma dziewięć lat? Oooo, przepraszam, nie wiedziałem.

Pan Brown wybucha śmiechem. Kilka osób w pobliżu mu wtóruje.

Widzę, że pan Brown nie bierze mego ojca na serio. Wielki błąd. Wystarczy zapytać kierowcę leżącego na asfalcie. Zamykam oczy i widzę, jak deszcz kapie mu na twarz.

Posłuchaj pan, odzywa się Brown, nie gram rekreacyjnie, rozumiemy się? Gram na pieniądze.

Mój syn zagra z panem na pieniądze.

Czuję, jak kropelka potu wypływa mi spod pachy.

Taa? A za ile?

Mój ojciec śmieje się i mówi: Zastawię swój dom, taka jego mać.

Nie potrzebuję pańskiego domu, stwierdza pan Brown. Mam dom. Powiedzmy, że o dziesięć patyków.

Załatwione, odpowiada tata.

Idę w stronę kortu.

Wolnego!, powstrzymuje mnie pan Brown. Muszę najpierw zobaczyć sałatę.

Pojadę do domu i przywiozę. Zaraz wrócę.

Mój ojciec wypada na zewnątrz. Siadam na krześle i wyobrażam sobie, jak otwiera sejf i wyciąga harmonię pieniędzy. Wszystkie te napiwki, które liczył latami, wszystkie te noce ciężkiej pracy. Teraz to wszystko postawi na mnie. Czuję ogromny ucisk pośrodku klatki piersiowej. Jestem dumny, rzecz oczywista, kiedy tak sobie myślę, jakim wielkim zaufaniem obdarza mnie tato. Ale przede wszystkim jestem przerażony. Co się stanie ze mną, z moim tatą, z moją mamą i rodzeństwem, nie wspominając o babci i stryжку Isarze, kiedy przegram?

Już wcześniej grałem pod taką presją, kiedy ojciec bez ostrzeżenia wybierał mi przeciwnika i kazał go pokonać. Tyle że wtedy były to dzieci i nigdy nie było mowy o pieniądzach. Zwykle działo się to popołudniami. Ojciec wybudzał mnie z drzemki i krzyczał: Bierz raketę! Jest ktoś, kogo musisz pokonać! Nigdy nie przyszło mu do głowy, że śpię, bo jestem wykończony porannym starciem ze smokiem, i że dziewięciolatki nieczęsto ucinają sobie drzemki. Ścierając sen z powiek, wychodzę na zewnątrz i widzę jakiegoś nieznajomego chłopaka, syna Florydy czy Kalifornii, który akurat przyjechał do miasta. Zawsze są starsi i więksi – jak ten punk, który właśnie przeprowadził się do Vegas, słyszał o mnie i po prostu zadzwonił do drzwi. Miał białą raketę Rossignola i głowę niczym dynia. Był ode mnie przynajmniej trzy lata starszy i uśmiechnął się złośliwie, kiedy wyszedłem do niego, bo byłem taki drobny. Nawet kiedy go pokonałem i udało mi się zetrzeć mu z twarzy ten uśmieszek, uspokoiłem się dopiero po kilku godzinach, gdy zagłuszyłem uczucie, że oto właśnie przebiegłem po linie zawieszanej wysoko nad Tamą Hoovera.

Jednak sprawa z panem Brownem jest inna i to nie tylko dlatego, że los oszczędności mojej rodziny zależy od wyniku meczu. Pan Brown zlekceważył mojego ojca, a on sam nie może go znokautować. Chce, żebym ja to zrobił. Dlatego stawka w tym meczu będzie większa niż tylko pieniądze. Pojedynek będzie toczył się o szacunek, męstwo i honor – przeciw największemu futboliście wszech czasów. Wolałbym już zagrać finał Wimbledonu. Przeciwno Năstasemu. Żeby jeszcze Wendi podawała piłki.

Zaczynam sobie z wolna uświadamiać, że pan Brown mnie obserwuje. Gapi się na mnie. Podchodzi do mnie i przedstawia się, ściska moją dłoń.

Jego dłoń to jeden wielki odcisk. Pyta, od jak dawna gram w tenisa i ile meczów wygrałem, a ile przegrałem.

Ja nigdy nie przegrywam, odpowiadam cicho.

Mruży oczy.

Pan Fong odciąga pana Browna na bok i mówi: Nie rób tego, Jim.

Facet sam się prosił, szepcze pan Brown. Głupek z kasą.

Nie rozumiesz, przekonuje pan Fong. Zaraz przegrasz, Jim.

Co ty, do diabła? Toż to dzieciak.

To nie jest zwykły dzieciak.

Chyba oszalałeś.

Posłuchaj, Jim, lubię, kiedy do mnie przychodzisz. Jesteś przyjacielem, a twoja obecność w klubie dobrze wpływa na interesy. Ale kiedy przegrasz z tym małym mecz o dziesięć patyków, będziesz miał mi za złe i możesz przestać tu się pojawiać.

Pan Brown odwraca się, by zmierzyć mnie od stóp do głów, jakby coś mu umknęło za pierwszym razem, kiedy mnie sobie oglądał. Wraca do mnie i zaczyna zasypywać mnie pytaniami.

Jak dużo grasz?

Codziennie.

Nie – ile grasz na raz? Godzinę? Dwie godziny?

Widzę, co robi. Chce się dowiedzieć, jak szybko się męczę. Stara się mnie wysondować, ustalić plan gry.

Wraca tato. Trzyma w ręku garść setek. Macha nimi w powietrzu. Nagle pan Brown już nie jest taki skory do gry.

Zrobimy tak, mówi do ojca, zagramy dwa sety, a potem zdecydujemy, ile postawić na trzeci.

Jak pan sobie życzy.

Gramy na siódmym korcie, tuż za drzwiami. Zbiera się tłumek, który głośno wiwatuje, kiedy wygrywam pierwszy set 6–3. Brown kręci głową. Mamrocze coś do siebie. Wali rakieta o ziemię. Nie jest szczęśliwy, czyli jest nas dwóch. Nie tylko myślę, co jest jawnym pogwałceniem wprowadzonej przez ojca zasady, ale też wiruje mi w głowie. Czuję się tak, jakbym lada chwila musiał wstrzymać grę, bo robi mi się niedobrze.

Mimo to wygrywam drugi set 6–3.

Teraz pan Brown się wściekł. Przykucnął, by zawiązać but.

Mój ojciec podchodzi do niego.

No to co? Dziesięć patyków?

Eee tam, mówi pan Brown. Może zrobimy zakład o pięćset?

Jak pan sobie życzy.

Moje ciało odżywa. Mój umysł się uspokaja. Mam ochotę zatańczyć wzdłuż linii, wiedząc, że nie muszę grać o dziesięć tysięcy dolarów. Teraz mogę machać do woli, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. W ogóle nie myśląc.

Tymczasem pan Brown myśli coraz więcej i gra coraz sztywniej. Nagle posyła mi podstępne szmaty, gra skróty, rotacyjne loby, gania mnie po narożnikach kortu, próbuje zagrywać piłkę z rotacją wsteczną i odstawia całą grę sztuczek. Stara się mnie też zagonić, tam i z powrotem, by mnie zmęczyć. Czuję jednak taką ulgę, że nie muszę grać o całą zawartość tatowego sejfu, że nie daję się zmęczyć i nie chybiam. Pokonuję pana Browna 6–2.

Pot cieknie mu po twarzy, kiedy wyciąga z portfela zwitek nowiutkich banknotów studolarowych. Podaje je tacie, po czym odwraca się do mnie.

Wspaniała gra, synu.

Ściska mi dłoń. Jego odciski są jakby bardziej szorstkie – przeze mnie.

Pyta mnie, jakie mam cele w życiu, jakie marzenia. Zaczynam odpowiadać, ale na to wtrąca się ojciec.

On będzie numerem jeden na świecie.

Nie stawiałbym, że będzie inaczej, odpowiada pan Brown.

Niedługo po pokonaniu pana Browna, gram sparing z moim ojcem w klubie Caesars. Prowadzę 5–2 i serwuję piłkę meczową. Nigdy nie pokonałem taty, a on wygląda tak, jakby za chwilę miał stracić coś zdecydowanie cenniejszego niż dziesięć tysięcy dolarów.

Nagle schodzi z kortu. Weź swoje rzeczy, mówi. Idziemy.

Nie chce dokończyć. Woli się wywinąć, niż przegrać z synem. W głębi duszy wiem, że jest to nasza ostatnia wspólna gra.

Pakując torbę i zapinając pokrowiec na rakieta, czuję większy dreszcz emocji niż wtedy, kiedy pokonałem pana Browna. Jest to moje najśłodsze zwycięstwo w życiu i ciężko będzie je przebić. Wolę to zwycięstwo niż taczki pełne srebrnych dolarówek oraz wszystkie szlachetne kamienie stryjka Isara – bo jest to zwycięstwo, które doprowadziło do tego, że mój ojciec w końcu mi odpuścił.



Mam dziesięć lat i gram w turniejach krajowych. W drugiej rundzie. Przegrywam z kretelem z jakimś chłopakiem, który jest starszy i niby ma być najlepszy w kraju. Wcale mi nie jest z tym lepiej. Dlaczego przegrana tak bardzo boli? Jak w ogóle cokolwiek może tak boleć? Schodzę z kortu i chcę umrzeć. Powłócząc nogami, dochodzę do parkingu. Kiedy mój tato zabiera nasze rzeczy i żegna się z pozostałymi rodzicami, siedzę w aucie i płaczę.

W oknie pojawia się twarz jakiegoś mężczyzny. Jest czarny. Uśmiecha się.

No, jak się masz?, pyta. Nazywam się Rudy.

Takie samo imię, jakie nosił mężczyzna, który pomagał tacie wybudować kort za domem. Dziwne.

Jak masz na imię?

Andre.

Podaje mi dłoń.

Miło cię poznać, Andre.

Mówi, że pracuje u wielkiego mistrza Pancho Segury, który trenuje chłopców w moim wieku. Pojawia się na tych wielkich turniejach, żeby wyselekcjonować nowych zawodników dla Pancho. Kładzie ręce na szybie, opiera się ciężko i wzdycha. Mówi mi, że takie dni jak dziś są bardzo

trudne, wie to, naprawdę bardzo trudne, ale koniec końców wzmocnią mnie. Jego głos jest ciepły, niski, przypomina gorące kakao.

Ten, który cię pokonał, no cóż, przecież to chłopak dwa lata starszy od ciebie! Masz dwa lata, żeby dojść do jego poziomu. Dwa lata to wieczność – szczególnie kiedy się ciężko pracuje. Pracujesz ciężko?

Tak, proszę pana.

Masz jeszcze wiele przed sobą, synu.

Ale ja już nie chcę grać. Nienawidzę tenisa.

Cha, cha! Jasne, że tak. Teraz. Ale w głębi duszy przecież kochasz tenis.

Nie, nienawidzę.

Tylko ci się tak wydaje.

Nie, nienawidzę.

Mówisz tak, bo teraz cierpisz, cierpisz jak jasna cholera, ale to znaczy, że ci zależy. To oznacza, że chcesz wygrywać. Możesz to wykorzystać. Zapamiętaj ten dzień. Postaraj się wykorzystać ten dzień jako motywację. Jeśli nie chcesz znów poczuć tego bólu, rób wszystko, by go uniknąć. Jesteś gotów na to wszystko?

Kiwam głową.

Dobrze, dobrze. No to teraz sobie popłacz. Pocierp jeszcze chwilkę, a potem powiedz sobie, że nadszedł czas, by zabrać się do roboty.

OK.

Wycieram łzy rękawem i dziękuję Rudy'emu, a kiedy odchodzi, jestem już gotowy do treningu. Dawać mi tego smoka. Jestem gotów odbijać piłki całymi godzinami. Gdyby Rudy stał za mną, szepcząc słowa zachęty do ucha, to wydaje mi się, że pokonałbym smoka. Nagle mój tato siada za kierownicą i wolno odjeżdżamy niczym pierwszy samochód w procesji pogrzebowej. Napięcie jest tak duże, że zwijam się w kłębek na tylnym siedzeniu i zamykam oczy. Myślę o tym, żeby wyskoczyć, uciec, odnaleźć Rudy'ego i prosić, by mnie trenował. Albo zaadoptował.

Nienawidzę wszystkich turniejów juniorskich, a najbardziej tych krajowych, ponieważ stawka jest wysoka – odbywają się w różnych stanach, co wiąże się z opłatami za bilety lotnicze, motele, wypożyczone samochody i posiłki w restauracjach. Ojciec płaci, inwestując we mnie, a jeśli przegram, utraci część inwestycji. Kiedy przegram, pograżę cały klan Agassich.

Mam jedenaście lat i biorę udział w krajowych rozgrywkach na kortach ziemnych. Znajduję się w grupie najlepszych, więc nie ma mowy, żebym przegrał, ale przegrywam. W półfinałach. Nawet nie dochodzę do finału. Teraz muszę zagrać mecz pocieszenia. Kiedy przegrywa się w półfinale, każą ci grać mecz, żeby określić, kto zajął trzecie i czwarte miejsce. Co gorsza, w tym meczu pocieszenia staję naprzeciw mojemu nemezis – Davida Kassa. Jest plasowany w klasyfikacji niżej ode mnie, ale w przedziwny sposób staje się niezwykle trudnym do pokonania przeciwnikiem, kiedy mnie widzi po drugiej stronie siatki. Choćbym stawał na głowie, Kass mnie pokonuje i tym razem jest tak samo. Przegrywam w trzech setach. Znów jestem zdruzgotany. Zawiodłem tatę. Naraziłem rodzinę na koszty. Jednak nie płaczę. Chcę, żeby Rudy był ze mnie dumny, tłumię więc łzy.

Na ceremonii wręczenia nagród jakiś mężczyzna rozdaje trofea za pierwsze, drugie i trzecie miejsce. Następnie oznajmia, że w tym roku zostanie przyznany puchar młodzikowi, który wykazał się najlepszą sportową postawą na korcie. Przedziwne, ale wymienia moje nazwisko – może dlatego, że od godziny zagryzałem wargi. Wyciąga nagrodę w moją stronę, macha do mnie, żebym podszedł. Jest to ostatnia rzecz, jakiej pragnę w tej chwili – nagroda za sportową postawę, ale biorę ją od niego i dziękuję, choć coś we mnie wzbiera. To jest niezwykle fajna nagroda. I zawsze zachowywałem się, jak należy. Podchodzę do samochodu, przyciskając nagrodę do piersi, a mój tato jest o krok za mną. On nic nie mówi i ja nic nie mówię. Koncentruję uwagę na stukocie naszych kroków po betonie. W końcu przerywam milczenie. Mówię, nie chcę tego paskudztwa. Mówię to, ponieważ myślę, że on to właśnie chce usłyszeć. Mój ojciec staje koło mnie. Wyrywa mi nagrodę z rąk. Unosi nad głową i ciska nią o beton. Nagroda roztrzaskuje się. Mój tato podnosi największy fragment i jeszcze raz ciska nim o beton, rozbijając na drobne kawałki. Następnie zbiera potrzaskane fragmenty i wrzuca je do stojącego nieopodal kosza. Nie mówię ani słowa. Wiem, że nie powinienem się odzywać.

Gdybym tylko mógł grać w piłkę nożną zamiast tenisa. Nie lubię sportu, ale jeśli już muszę go uprawiać, by zadowolić mego tatę, to o wiele bardziej wolałbym grać w piłkę nożną. W szkole zaczynam grać trzy razy w tygodniu, uwielbiam biegać za piłką z wiatrem we włosach i wołać, żeby mi ktoś podał, wiedząc, że świat się nie skończy, jeśli nie strzelę gola. Los mego ojca, mojej rodziny i planety Ziemia nie spoczywa mi na ramionach



jak brzemię. Jeśli nie wygramy, będzie to wina całej drużyny i nikt nie będzie mi krzyczał do ucha. Stwierdzam, że gry zespołowe to jest to.

Mój tato nie zabrania mi gry w piłkę, ponieważ uważa, że to pomaga trenować pracę nóg potrzebną na korcie. Ostatnio doznałem jednak kontuzji na boisku, naciągnąłem mięsień w nodze. To spowodowało, że opuściłem jeden popołudniowy trening tenisowy. Ojciec nie jest zadowolony. Patrzy na moją nogę, potem na mnie, jakbym celowo się zranił. Ale kontuzja to kontuzja. Nawet on nie może dyskutować z moim organizmem. Wychodzi z domu, głośno tupiąc.

Chwilę później mama patrzy na mój plan lekcji i mówi, że mam dziś po południu mecz. Co zrobimy?, pyta.

Drużyna liczy na mnie, odpowiadam.

Wzdycha. Jak się czujesz?

Myślę, że mogę zagrać.

Dobrze. Włóż strój.

Myślisz, że tatko będzie zły?

Znasz tatusia. Nie potrzebuje wymówki, żeby się zdenerwować.

Zawozi mnie na boisko i tam zostawia. Po kilku przebieżkach po boisku czuję się lepiej. Zaskakująco dobrze. Śmigam między obrońcami płynnie, z gracją, podają mi piłkę i śmieją się wraz z kolegami z drużyny. Wspólnie pracujemy na rezultat. Jesteśmy razem. Dobrze mi z tym. To do mnie pasuje.

Nagle podnoszę wzrok i widzę tatę. Stoi przy furtce na parking, po czym rusza w stronę boiska. Teraz rozmawia z trenerem. A teraz krzyczy na trenera. Trener macha do mnie. Agassi! Wypadasz!

Pędem zbiegam z boiska.

Wsiadaj do wozu, rozkazuje tato. I zdejmij te łańchy.

Biegnę do samochodu i widzę mój tenisowy strój na tylnym siedzeniu. Zakładam go i wracam do ojca. Podaję mu piłkarską koszulkę i spodenki. Wchodzi na boisko i rzuca w trenera moim strojem, przyciskając mu go do piersi.

Po drodze do domu tato mówi, nie patrząc na mnie: Nigdy więcej nie będziesz grał w piłkę.

Błagam go, by dał mi drugą szansę. Żalę się, że nieswojo się czuję sam na takim wielkim korcie. Tenis jest grą osamotnienia, tłumaczę mu. Nie ma gdzie się skryć, kiedy źle się dzieje. Nie ma schronu, nie ma linii bocznej, nie ma neutralnego rogu. Jesteś tylko ty sam, nagi.

Krzyczy, ile sił w płucach: Jesteś tenisistą! Będiesz pierwszym zawodnikiem na świecie! Zarobisz mnóstwo pieniędzy. Taki jest plan i dość już o tym.

Jest niewzruszony i zdesperowany, bo taki sam plan miał wobec Rity, Philla i Tami, ale się nie udało. Rita się zbuntowała. Tami przestała robić postępy. Philly nie miał instynktu zabójcy. Mój ojciec mówi o tym cały czas. Do mnie, do mamy, nawet do samego Philla – prosto w twarz. Mój brat tylko wzrusza ramionami, co jest ewidentnym dowodem na to, że nie ma instynktu zabójcy.

Ojciec mówi Phillowi dużo gorsze rzeczy...

Jesteś urodzonym nieudacznikiem.

Masz rację, dopowiada smutnym głosem. Jestem nieudacznikiem. Urodziłem się, by nim zostać.

Tak, właśnie nim jesteś! Tobie żal przeciwnika! Nic cię nie obchodzi, że możesz być najlepszy!

Philly nawet nie ma siły zaprzeczać. Gra dobrze, ma talent, ale nie jest perfekcjonistą, a dążenie do perfekcji nie jest celem w naszym domu, jest obowiązującą zasadą. Jeśli nie jesteś doskonały, jesteś nieudacznikiem. Urodzonym nieudacznikiem.

Mój ojciec stwierdził, że Philly jest nieudacznikiem, kiedy był mniej więcej w moim wieku i grał w turniejach krajowych. Nie tylko przegrywał, ale też się nie kłócił, kiedy przeciwnicy go oszukiwali, co powodowało, że ojciec robił się na twarzy czerwony jak burak i klął z trybun po asyryjsku.

Podobnie jak moja mama, Philly potrafi wiele znieść, a potem raz na jakiś czas wybucha. Ostatni raz stało się to, kiedy ojciec naciągał rakieta tenisową, mama prasowała, a brat leżał na kanapie i oglądał telewizję. Ojciec cały czas na niego najeżdżał, bezlitośnie kpiąc z jego występu na ostatnim turnieju. Niespodziewanie tonem, którego u niego nie słyszałem, Philly wrzasnął: A wiesz dlaczego nie wygrywam? Przez ciebie! Bo nazywasz mnie nieudacznikiem!

Gapił się na ojca, dysząc z wściekłości. Mama zaczęła płakać.

Od tej chwili Philly wciąż powtarzał: Będę robotem, co ty na to? Chciałbyś, co? Będę robotem, nie będę nic czuł, wyjdę tam i zrobię wszystko, czego chcesz!

Ojciec przerwał naciąganie rakiety i na jego twarzy pojawiła się zadowolona mina. Niemal kojąca. Jezu Chryste, powiedział, w końcu to do ciebie dotarło.

W odróżnieniu od brata kłócę się z przeciwnikami cały czas. Czasem chciałbym umieć tak jak on ignorować przejawy niesprawiedliwości. Jeśli mój przeciwnik oszukuje, jeśli zachowuje się jak Tarango\*, robię się czerwony na twarzy. Zwykle mszczę się przy kolejnym punkcie. Kiedy mój nieuczciwy rywal posyła piłkę na środek kortu, krzyczę, że jest aut, i posyłam mu spojrzenie, które mówi: Jesteśmy kwita.

\* Jeffrey Gail „Jeff” Tarango (ur. 20 listopada 1968 r.) – opisywany wcześniej zawodnik, który był później znany z kłótni z sędziami (szczególnie podczas Wimbledonu), często karany grzywną i zakazem gry (przyp. tłum.).

Nie robię tego, by zadowolić ojca, ale z całą pewnością jest dumny jak paw. Przekonuje mnie: Masz inną osobowość niż Philly. Masz talent, żar – i szczęście. Urodziłeś się z podkową w tyłku.

Powtarza to codziennie. Czasami z przekonaniem, czasem z podziwem – czasem z zawiścią. Blednę, kiedy to słyszę. Martwię się, że dostałem szczęście Philla, jakbym mu je ukradł, ponieważ jeśli ja urodziłem się z podkową w tyłku, to on przyszedł na świat z czarną chmurą nad głową. Kiedy miał dwanaście lat, podczas jazdy na rowerze złamał sobie nadgarstek w trzech miejscach. To był początek niekończącego się pecha. Ojciec był tak wściekły na Philla, że kazał mu dalej startować w turniejach z niesprawnym nadgarstkiem, co pogorszyło znacznie jego stan, przypadłość stała się chroniczna i uniemożliwiła mu grę na zawsze. Z powodu tej kontuzji Philly był zmuszony wykonywać jednoręczne bekhendy, co uważa za straszny nawyk, z którym nie potrafił zerwać nawet po wyleczeniu ręki. Patrę jak mój brat przegrywa i myślę: Złe nawyki plus pech – zabójcza kombinacja. Patrę też na niego, kiedy wraca do domu po kolejnej sromotnej porażce. Ma tak podły nastrój, tak nisko się ocenia, że widać to wyraźnie na jego twarzy, a ojciec jeszcze w nim to pogłębia. Philly siedzi w rogu, zamartwia się przegraną, ale przynajmniej jest to uczciwa walka z samym sobą, jeden na jednego. Wtedy wkracza ojciec. Wpada do domu i pomaga Phillowi w dołowaniu Philla. Bluzgi. Klapsy. Według wszelkich prawideł mój brat powinien już być kłębkim nerwów. Przynajmniej mógłby czuć do mnie niechęć, mógłby mną pomiatać w domu. Jednak po każdym słownym czy fizycznym ataku z własnej ręki czy też ręki ojca Philly zachowuje się bardzo ostrożnie w stosunku do mnie, jakby chciał mnie chronić. Jest delikatniejszy. Chce, żeby mi oszczędzono jego losu. Z tego powodu, chociaż może i jest nieudacznikiem, uważam Philla za zdobywcę największych laurów. Wiem, że to wielkie szczęście mieć takiego starszego brata. Czuję się szczęśliwy, mając nieszczęśliwego

starszego brata? Czy to możliwe? Czy to ma jakiś sens? Kolejna niezdefiniowana sprzeczność.

Philly i ja spędzamy z sobą cały nasz wolny czas. Zabiera mnie ze szkoły na skuterze i jedziemy do domu przez pustynię, gadając, śmiejąc się i przekrzykując owadzie bzyczenie silnika. Mamy wspólną sypialnię na tyłach domu, nasz azyl od tenisa i tatka. Philly jest tak wrażliwy na punkcie swoich rzeczy jak ja, maluje więc białą linię w poprzek pokoju, dzieląc to, co jego, i to, co moje, jak połówki kortu. Ja zajmuję stronę pokoju bliżej drzwi. Wieczorami, zanim wyłączymy światło, rozpoczynamy rytuał, od którego powoli się uzależniam. Siedzimy na skraju łóżek i szepczemy sobie przez linię. Głównie mówi siedem lat starszy Philly. Wylewa swoje żale, otwiera serce, zwierza się z wątpliwości i zawodów. Mówi o tym, że nigdy nie wygrywa. O tym, że jest nazywany nieudacznikiem pierwszej wody. Mówi, że powinien pożyczyć od tatka pieniądze, by móc dalej grać w tenisa, i spróbować zostać zawodowcem. Obydwaj zgadzamy się, że tatko jest ostatnią osobą, której ktokolwiek chciałby być coś winien.

Jednak ze wszystkich trosk Philla największą traumą są jego włosy. Andre, ja łysiejemy. Mówi to tak samo, jakby przekazywał mi hiobową wieść od lekarza, że ma przed sobą jeszcze miesiąc życia.

Ale nie zamierza poddać się bez walki. Łysina jest jedynym przeciwnikiem, z którym Philly będzie walczył z całych sił. Myśli, że powodem utraty włosów jest to, że krew nie dopływa do jego czaszki, więc co wieczór, w trakcie naszych rozmów Philly staje na głowie. Kładzie ją na materacu i unosi stopy, opierając się o ścianę. Modlę się w duchu, by to poskutkowało. Błagam Boga, żeby mój brat, nieudacznik pierwszej wody, nie stracił tego jednego – swoich włosów. Okłamuję go, twierdząc, że widać, jak jego cudowna kuracja działa. Tak bardzo kocham Philla, że powiedziałbym cokolwiek, gdyby to miało poprawić jego samopoczucie. Dla mego brata sam bym stał na głowie przez całą noc.

Kiedy Philly już opowie mi o swoich problemach, czasami zwierzam mu się ze swoich. Jestem wzruszony tym, jak błyskawicznie potrafi się na nich skupić. Wysłuchuje do końca o ostatnich niegodziwościach tatka, mierzy mój poziom frustracji, po czym kiwa głową w zależności od wagi problemu. Przy podstawowych lękach, nieznaczne skinienie. Dla wielkich lęków ma zarezerwowany głęboki ukłon wraz z charakterystycznym zmarszczeniem brwi. Nawet kiedy stoi na głowie, Philly wyraża tym

jednym skinięciem więcej, niż większość ludzi jest w stanie przekazać w pięciostronicowym liście.

Pewnego wieczoru prosi mnie, żebym mu coś obiecał.

Jasne, Philly. Co tylko chcesz.

Nie pozwól nigdy, by ojciec dawał ci pigułki.

Pigułki?

Andre, musisz wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia. To jest bardzo ważne.

Dobra, Philly, rozumiem. Słucham cię.

Następnym razem, gdy wyjedziesz na turniej, jeśli tatko da ci pigułki, nie bierz ich.

Już mi dawał ekscedrynę, Philly. Kazał mi wziąć ten lek przed meczem, bo jest nafaszerowany kofeiną.

Tak, wiem. Ale ja mówię o innych pigułkach. Są takie małe, białe i okrągłe. Nie bierz ich. Choćby nie wiem co.

A jeśli tatko mnie poprosi? Nie odmawia się tacie.

No tak. Jasne. Dobra, daj mi się zastanowić.

Philly zamyka oczy. Widzę, jak krew nabiega mu do czoła, aż staje się fioletowe.

Dobra, mówi. Mam. Jeśli będziesz musiał wziąć tabletki, jeśli zmusi cię do tego, zagraj zły mecz. Podłóż się. Potem, kiedy będziesz schodził z kortu, powiedz mu, że tak się trząśłeś, że nie mogłeś się w ogóle skoncentrować.

Dobra. Ale, Philly, co to za proszki?

Speed.

Co to takiego?

Narkotyk. Daje ci mnóstwo energii. Wiem, że będzie starał się podsunąć ci tego speeda.

A skąd wiesz, Philly?

Dał to wcześniej mnie.

I rzeczywiście na zawodach w Chicago ojciec daje mi tabletkę. Wyciąga ją na dłoni ze słowami: To ci pomoże. Weź to.

Kładzie pigułkę na mojej dłoni. Jest mała. Biała. Okrągła.

Łykam ją i czuję się dobrze. Nie odczuwam wielkiej różnicy. Może jestem nieco bardziej czujny, ale udaję, że jest całkiem inaczej. Mój przeciwnik, starszy ode mnie, nie jest dla mnie wyzwaniem, lecz ja i tak wożę go, przeciągam wymiany, oddaję mu kilka gemów. Robię tak, żeby

mecz wyglądał na trudniejszy, niż naprawdę jest. Schodząc z kortu, mówię do ojca, że nie czuję się dobrze, że wydaje mi się, że zaraz zemdleję, wtedy na jego twarzy odmalowuje się poczucie winy.

Dobra, mówi, pocierając ręką twarz. To nic nie daje. Nie będziemy już tego próbować.

Dzwonię do Philla po turnieju, żeby powiedzieć mu o pigułce.

On na to: No, kurwa, wiedziałem!

Zrobiłem tak, jak mi kazałeś, Philly, i udało się.

Brat rozmawia ze mną tak, jak powinien rozmawiać ojciec. Jest jednocześnie dumny ze mnie i przerażony tym, co się mogło stać. Kiedy wracam do domu, ściskam go z całych sił i spędzamy pierwszy wieczór zamknięci w naszym pokoju, szepcząc przez białą linię, ciesząc się rzadkim zwycięstwem nad tatkiem.

Wkrótce potem gram ze starszym przeciwnikiem i pokonuję go. Jest to sparing, nic wielkiego i jestem dużo lepszy od swego przeciwnika, ale ponownie przeciągam mecz, oddaję punkty, udaję, że pojedynek jest o wiele trudniejszy, tak jak w Chicago. Schodząc z kortu siódmego w Cambridge – z tego samego, na którym pokonałem pana Browna – czuję się wyniszczony, bo tak samo wygląda mój rywal. Powinienem podłożyć się do końca. Nienawidzę przegrywać, ale gardzę tym zwycięstwem, bo pokonanym jest Philly. Czy to uczucie świadczy o tym, iż mam instynkt mordercy? Zmieszany, smutny, żałuję, że nie ma tu tego starszego faceta, Rudy'ego albo tego drugiego Rudy'ego, żeby ich zapytać, co to wszystko znaczy.



Gram turniej w Country Clubie w Las Vegas, walcząc o szansę zdobycia mistrzostwa stanu. Moim przeciwnikiem jest Roddy Parks. Pierwszą rzeczą, jaką u niego zauważam, jest to, że on również ma niezwykłego ojca. Pan Parks nosi na palcu sygnet z mrówką zastygłą w kropli żółtego bursztynu. Pytam go o to przed meczem.

Widzisz, Andre, kiedy świat zginie w nuklearnej zagładzie, przeżyją jedynie mrówki. Dlatego planuję, by mój duch wszedł w ciało jednej z nich.

Roddy ma trzynaście lat, czyli jest dwa lata starszy ode mnie, jest też wyrosnięty ponad swój wiek, a do tego jeszcze ma krótkie, przycięte po wojskowemu włosy. Ale mogę go pokonać. Od samego początku widzę luki w jego grze, słabości. Tyle że jakimś cudem udaje mu się zatuszować luki i pokonać słabości. Wygrywa pierwszy set.

Powtarzam sobie w myślach, by drażyć, by przedzierać się przez te zapory. Wygrywam drugi set.

Pilnując się, gram sprytniej, szybciej. Czuję zbliżającą się linię mety. Roddy jest mój, już po nim. Co to w ogóle za imię – Roddy? Umyka mi jednak kilka punktów i teraz on wznosi ramiona nad głową – wygrał trzeci set 7–5 i cały mecz. Patrzę na trybuny na ojca – spuszcza wzrok i wygląda na zmartwionego. Nie złego – zmartwionego. Ja też jestem zmartwiony, ale

jednocześnie cholernie zły i przepelniony pogardą dla samego siebie. Chciałbym być mrówką zatopioną w sygnecie pana Parksa.

Pakując torbę tenisową, złorzeczę sobie na całego. Nagle znikąd pojawia się jakiś chłopak i przerywa moje tyrady.

Ej, mówi, nie łam się. Miałeś dzisiaj zły dzień.

Podnoszę wzrok. Chłopak jest trochę starszy ode mnie, o głowę wyższy i ma minę, która mi się nie podoba. Jego oblicze jest nieco dziwne. Jakby miał nos i usta nieco przestawione. Do tego ta czapka na głowie i fajansiarska koszulka z małym człowieczkiem grającym w polo? Nie chcę go znać.

A kim ty, kurwa, jesteś?, pytam go.

Perry Rogers.

Wracam do pakowania torby tenisowej.

Nie zrozumiał aluzji. Wciąż bredzi o tym, jak to nie miałem najlepszego dnia, że jestem lepszy od Roddy'ego i pokonam go następnym razem – bla, bla, bla. Stara się być miły, tak sądzę, ale brzmi to, jakby znał się na wszystkim, jakby był następcą Björna Borga, więc prostuję się i robię celowo zwrot w jego stronę. Poczciwista mowa to ostatnia rzecz, której potrzebuję, bo jest bardziej bez sensu niż nagroda pocieszenia, szczególnie z ust chłopaka w koszulce do gry w polo. Zarzucając torbę na ramię, mówię mu: A co ty, kurwa, wiesz o tenisie?

Potem mam z tego powodu wyrzuty sumienia, nie powinienem tak ostro reagować. Później dowiaduję się, że jest tenisistą i bierze udział w tym samym turnieju. Słyszę też, że czuje miętę do mojej siostry Tami, co bez wątpienia jest głównym powodem, dla którego do mnie zagadał. Starał się zbliżyć do Tami.

O ile ja czuję się winny, to Perry jest wściekły. Nastoletnia poczta pantoflowa w Vegas już powtarza: Uważaj na siebie. Perry wziął cię na celownik. Rozpowiada wszystkim, że nie okazałeś mu szacunku i następnym razem, gdy cię zobaczy, skopie ci tyłek.

Kilka tygodni później Tami mówi, że cała paczka idzie na horror do kina, wszyscy starsi ode mnie. Pyta również, czy chcę się z nimi zabrać.

A ten Perry też idzie?

Może.

Dobra, pójdę.

Uwielbiam horrory. Poza tym mam pewien plan.



Mama zawozi nas wcześniej pod kino, żebyśmy mogli kupić popcorn i lukrecję oraz zająć najlepsze miejsca w samym środku środkowego rzędu. Zawsze siadam w samym środku środkowego rzędu. To najlepsze miejsca w kinie. Siedzam Tami po mojej lewej stronie i zajmuję miejsce po prawej. Oczywiście zjawia się Perry-laluś. Skaczę na równe nogi i macham. Ej, Perry! Tutaj!

Odwraca się i mruży oczy. Widzę, że moja życzliwość zbiła go z pantafelów. Stara się przeanalizować sytuację, wyważyć odpowiedź. Po chwili uśmiecha się, w widoczny sposób porzucając urazę, którą miał do mnie. Sunie naprzód i przeciska się przez nasz rząd, po czym wskakuje na fotel obok mnie.

Cześć, Tami, mówi przeze mnie.

Cześć, Perry.

Cześć, Andre.

Cześć, Perry.

Kiedy tylko światła gasną i zaczyna się film, posyłamy sobie spojrzenia.

Pokój?

Pokój.

Film nosi tytuł *Godziny odwiedzin*. Opowiada o szaleńcu, który prześladowuje pewną dziennikarkę, zakrada się do niej, zabija jej gosposię, a potem z niewiadomych powodów maluje się szminką i wyskakuje, kiedy dziennikarka wchodzi do domu. Udaje się jej uciec i w jakiś sposób dotrzeć do szpitala, gdzie, jak sądzi, jest bezpieczna, ale oczywiście wariat ukrywa się w tym szpitalu i starając się odnaleźć dziennikarkę, zabija wszystkich, którzy wchodzą mu w drogę. Tandetne, ale wystarczająco przerażające.

Kiedy się boję, zachowuję się jak kot wrzucony do pokoju z psami. Zamieram, nie drgnie mi ani jeden mięsień. Perry najwyraźniej jest spiętym gościem. W miarę postępu akcji rzuca się i oblewa napojem. Za każdym razem, kiedy zabójca wyskakuje z szafy, Perry podskakuje na fotelu. Kilka razy spoglądam na Tami i wywracam oczami. Jednak nie drwię z reakcji Perry'ego. Nawet nie wspominam o tym, kiedy zapalają się światła. Nie chcę zerwać naszego kruchego traktatu pokojowego.

Wychodzimy z kina z przeświadczeniem, że nie wystarczą nam popcorn, cola i batoniki. Idziemy na drugą stronę ulicy do Winchell's i kupujemy pudełko okrągłych pączków. Perry dostaje z czekoladą. Ja udekorowany kolorową posypką. Jemy pączki przy ladzie i rozmawiamy. Chłopak z całą pewnością ma gadane. Jest niczym sędzia w Sądzie

Najwyższym. Nagle w środku piętnastominutowej rozmowy milknie i pyta sprzedawcę: Czy ten lokal jest otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Taa..., odpowiada sprzedawca.

Siedem dni w tygodniu?

Uhm.

Trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku?

Tak.

W takim razie po co wam zamki w drzwiach wejściowych?

Wszyscy odwracamy się, by popatrzeć. Cóż za błyskotliwe pytanie! Wybucham śmiechem tak gwałtownie, że parskam kawałkami swego pączka. Kolorowe wiórki sypią mi się z ust niczym konfetti. Być może jest to najzabawniejsze, najmądrzejsze pytanie, jakie słyszałem w życiu. Z całą pewnością najzabawniejsze, najmądrzejsze pytanie, jakie ktokolwiek zadał w tym lokalu. Nawet sprzedawca pączków musi się uśmiechnąć i przyznać: Mały, to prawdziwa zagwozdzka.

Czyż życie nie jest podobne?, pyta Perry. Pełne zamków jak w Winchell's i innych trudnych do wytłumaczenia rupieci?

Tak jak mówisz.

Zawsze wydawało mi się, że tylko ja to dostrzegam. A jednak jest chłopak, który nie tylko też to widzi, ale potrafi ubrać to w słowa. Kiedy nasza mama pojawia się, by zabrać mnie i Tami do domu, ze smutkiem żegnam się z moim nowym kumplem Perrym. Już nawet ta jego koszulka poło mnie tak nie wkurza.

Pytam tatę, czy mogę przenocować w domu Perry'ego.

Ani mi się, kurwa, waż, mówi.

Nie zna rodziny Perry'ego na wylot. A nie ufa temu, kogo nie zna. Ojciec podejrzewa wszystkich o wszystko, szczególnie rodziców naszych kolegów. Nawet nie pytam dlaczego i nie marnuję sił na sprzeczkę. Po prostu zapraszam Perry'ego, żeby przenocował u nas.

Perry zachowuje się niezwykle grzecznie wobec moich rodziców. Jest miły dla mojego rodzeństwa, szczególnie dla Tami, chociaż ona delikatnie hamuje jego zapędy. Pytam go, czy chce, żebym go oprowadził po domu. Jasne, odpowiada, więc pokazuję mu pokój, który dzielę z Phillym. Śmieje się, widząc białą linię dzielącą pokój na połowy. Pokazuję mu kort na tyłach domu. Odbija przez chwilę piłki ze smokiem. Wyznaję mu, jak

bardzo nienawidzę smoka, jak kiedyś myślałem, że to żywy potwór. Wygląda na to, że mi współczuje. Widział wystarczająco dużo horrorów, by wiedzieć, że potwory pojawiają się we wszelkiej postaci i wielkości.

Ponieważ Perry również jest miłośnikiem horrorów, przygotowałem dla niego niespodziankę. Mam nagraną na becie kopię *Egzorcysty*. Odkąd widziałem, jak podskakiwał na *Godzinach odwiedzin*, nie mogę się doczekać, jak zareaguje na prawdziwy klasyczny film z tego gatunku. Kiedy domownicy kładą się już spać, wsuwamy kasetę do magnetowidu. Wszystko mnie boli z każdym skrzętem szyi Lindy Blair, ale Perry nawet nie drgnie. *Godziny odwiedzin* przyprawiły go o dreszcze, ale na *Egzorcysty* nawet raz nie podskoczył? Chłopak najwyraźniej ma swoje upodobania.

Po projekcji pijemy napoje i rozmawiamy. Perry przyznaje, że mój ojciec jest bardziej przerażający niż wszystkie strachy z Hollywood, ale dodaje, że jego ojciec jest dwakroć straszniejszy. Jego ojciec, jak mówi, jest ogrem, tyranem i narcyzem – po raz pierwszy usłyszałem to słowo.

Perry tłumaczy, że narcyz to ktoś, kto myśli tylko o sobie. Oznacza to również, że syn stanowi jego wyłączną własność. Ma wizję tego, w jaki sposób powinno się potoczyć życie jego syna i nic go nie obchodzi zdanie syna w tej kwestii.

Brzmi znajomo.

Perry i ja zgadzamy się z tezą, że życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby nasi ojcowie byli jak ojcowie naszych kolegów. Ale słyszę nutę bólu w głosie Perry'ego, bo uważa, że ojciec go nie kocha. Ja nigdy nie kwestionowałem miłości mojego taty do mnie. Chciałbym tylko, by była mniej szorstka, żeby mnie uważniej słuchał i mniej się wściekał. Prawdę mówiąc, czasem chciałbym, żeby mój tato mniej mnie kochał. Może wtedy by nieco odpuścił, pozwolił mi dokonywać własnych wyborów. Mówię Perry'emu, że to, iż nie mam wyboru, to, że nie mam prawa mieć zdania na temat tego, co robię czy kim jestem, doprowadza mnie do szału. Dlatego też myślę intensywnie, niemal obsesyjnie, o tych zaledwie kilku możliwościach, jakie mam – co mogę nosić, co mogę jeść i kogo nazywać przyjacielem.

Kiwa głową. Rozumie.

W końcu znalazłem w Perry'm przyjaciela, z którym mogę podzielić się tymi głębokimi myślami, przyjaciela, któremu mogę powiedzieć o zamkach z Winchell's w moim życiu. Mówię o tenisie, mimo że go nienawidzę. O tym, że nienawidzę szkoły, choć lubię książki. Że mam szczęście, mając

takiego brata jak Philly, mimo jego pecha. Perry słucha, cierpliwie tak jak Phill, ale z większym zaangażowaniem. On nie tylko mówi, potem słucha, a potem potakuje. Perry prowadzi konwersację. Analizuje, opracowuje strategię, produkuje amunicję dla mnie i pomaga mi opracować plan, by poprawić moje życie. Kiedy opowiadam mu o moich problemach, z początku wydają się pogmatwane i błahe, ale Perry potrafi je poukładać w logiczny ciąg, co sprawia, że wygląda to na pierwszy krok do ich rozwiązania. Czuję się tak, jakbym przebywał na bezludnej wyspie, gdzie mogę sobie pogadać wyłącznie z palmami i nagle na brzegu pojawia się mądry, rozważny, wrażliwy rozbitek o bratniej duszy – choć wciąż z tym głupim graczem w polo na koszulce.

Perry zwierza mi się z kompleksów dotyczących nosa i ust. Urodził się z rozszczepionym podniebieniem. Przez to jest bardzo przewrażliwiony i nieśmiały wobec dziewcząt. Przeszedł operację plastyczną i czeka go jeszcze przynajmniej jedna. Pocieszam go, że aż tak tego nie widać. Ma łzy w oczach. Mamrocze coś o tym, że ojciec go za wszystko obwinia.

Większość rozmów z Perrym przeważnie kończy się na temacie ojców, z którego płynnie przechodzimy do kwestii przyszłości. Mówimy o tym, jakimi będziemy ludźmi, kiedy w końcu wyrwiemy się spod wpływu ojców. Obiecujemy sobie, że będziemy się od nich różnić, nie tylko od naszych ojców, ale od wszystkich znanych nam mężczyzn, nawet tych widzianych w kinie. Zawieramy przymierze, obiecując sobie, że nigdy nie sięgniemy po narkotyki czy alkohol. Ślubujemy też, że kiedy będziemy już bogaci, będziemy pomagać światu. Ściskamy sobie dłonie, żeby przypieczętować nasz pakt. To sekretny uścisk.

Perry'ego czeka długa droga do wzbogacenia się. Nigdy nie ma grosza przy duszy. Ja płacę za wszystko. Nie mam wiele – dostaję skromne kieszonkowe plus to, co uda mi się wydębić od gości z hotelu czy kasyna. Ale co mi tam, to co moje, to i Perry'ego, bo został moim najlepszym nowym przyjacielem. Tato daje mi codziennie pięć dolarów na posiłki, a ja wydaję połowę na Perry'ego.

Spotykamy się każdego popołudnia w Cambridge. Wygłupiamy się trochę, odbijamy piłki i idziemy coś przekąsić. Wymykamy się tylnymi drzwiami, przełazimy przez płot i biegniemy przez pustą parcelę do 7-Eleven, gdzie gramy w gry i jemy kupione przeze mnie chipwiche, aż nadchodzi czas powrotu do domu.

Chipwich to nowy rodzaj kanapki lodowej, odkryty niedawno przez Perry'ego. Między dwa pulchne czekoladowe ciastka wciśnięto waniliowe lody – według mojego kumpla, który zdradza objawy uzależnienia, to najlepsze jedzenie pod słońcem. Kocha chipwiche bardziej niż gadanie. Może godzinami rozprawiać na temat ich walorów – a jest to jedna z niewielu rzeczy będących w stanie go zatkać. Kupuję mu te chipwiche w hurtowych ilościach i żal mi go, że nie ma tyle pieniędzy, by móc pofolgować swoim nawykom.

Pewnego dnia jesteśmy w 7-Eleven i nagle Perry przestaje wciągać lodową kanapkę, spogląda na zegar na ścianie.

Kurde, Andre, lepiej wracajmy do Cambridge, moja mama mnie wcześniej odbiera.

Twoja mama?

Taa. Mówiła, żeby czekać na nią przed kortami.

Pędzimy przez pustą parcelę.

Oho!, krzyczy Perry. Już jest!

Patrzę na ulicę i widzę dwa samochody zmierzające do Cambridge – volkswagena garbusa i rolls royce'a z opuszczanym dachem. Widzę, jak garbus mija Cambridge, i wołam do Perry'ego, żeby wyluzował, bo mamy czas. Przegapiła skręt.

Nie!, krzyczy Perry. No dalej, szybciej.

Skręca ile sił w nogach i gna za rollsem.

Ej! Co do diabła? Perry, jaja sobie robisz? Twoja mama ma rollsa? Jesteś... bogaty?

Chyba tak.

Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Nie pytałeś.

Dla mnie stanowi to kwintesencję bogactwa – człowiek jest wtedy bogaty, kiedy nie przyjdzie mu nawet na myśl powiedzieć o tym przyjacielowi. A pieniądze to tak naturalna sprawa, że nie ma co się nad nimi rozwodzić.

Perry jednak jest nie tylko bogaty. Jest bardzo bogaty. Perry jest obrzydliwie bogaty. Jego ojciec, starszy partner w znanej firmie prawniczej, jest właścicielem lokalnej stacji telewizyjnej. Sprzedaje eter, jak określa to Perry. Wyobraźcie sobie. Sprzedaje eter. Stary, kiedy się już sprzedaje eter, to znaczy, że wszystko można. (Najwyraźniej kieszonkowe wypłaca Perry'emu też w eterze).

Mój ojciec w końcu pozwala mi odwiedzić przyjaciela w domu, gdzie odkrywam, że właściwie nie mieszka on w domu, ale w wielkiej posiadłości. Jego matka zawozi nas tam rollsem, a mnie oczy rozszerzają się jak spodki na widok potężnego podjazdu biegnącego po zielonych pagórkach, a później w cieniu wielkich drzew. Zatrzymujemy się przed budynkiem, który wygląda jak szacowne domiszcze Bruce'a Wayne. Całe jedno skrzydło zostało przeznaczone dla Perry'ego i znajduje się w nim między innymi sala jak z marzeń nastolatka ze stołem pingpongowym, bilardem, stołem do pokera, telewizorem z wielkim ekranem, małą lodówką i perkusją. Na końcu długiego korytarza jest sypialnia Perry'ego, której ściany zostały udekorowane dziesiątkami okładek magazynu „Sports Illustrated”.

Głowa mi lata na boki i patrzę na te wszystkie podobizny wielkich sportowców, a na usta ciśnię mi się tylko jedno słowo: Jejku.

Sam to wszystko zrobiłem, chwali się Perry.

Podczas kolejnej wizyty u dentysty oddzieram w poczekalni okładki wszystkich egzemplarzy „Sports Illustrated” i chowam je pod kurtkę. Kiedy podaję je Perry'emu, on tylko kręci głową.

Nie, mówi, tę mam. I tę. Mam je wszystkie, Andre. Mam prenumeratę.

Aha, No dobra, sorrki.

Chodzi o to, że nigdy nie miałem bogatego kolegi. I to takiego, który ma prenumeratę.

Jeśli akurat nie dokazujemy w klubie Cambridge czy też w jego posiadłości, Perry i ja rozmawiamy przez telefon. Jesteśmy nierozłączni. Dlatego jest zdruzgotany, kiedy informuję go, że lecę na miesiąc do Australii, by zagrać tam w kilku turniejach. Sieć McDonald's kompletuje elitarną drużynę amerykańskich juniorów, by zagrała z najlepszymi zawodnikami z Australii.

Cały miesiąc?

Wiem, ale nie mam wyboru. Rozumiesz, ojciec.

Nie jestem do końca szczery. Jestem jednym z dwóch wybranych dwunastolatków, więc rozpiera mnie duma, jestem podekscytowany wyjazdem i jedynie trochę zdenerwowany tak daleką podróżą – lot trwa czternaście godzin. Na użytek Perry'ego ukrywam swoje rozradowanie. Mówię mu, żeby się nie przejmował, bo ani się obejrzy, a wróć i wtedy zrobimy sobie ucztę z chipwichów.

Lecę sam do Los Angeles i już na lotnisku mam ochotę wrócić do Vegas. Jestem przerażony. Nie wiem, dokąd mam iść ani jak odnaleźć się na wielkim terminalu. Mam wrażenie, jakbym był zupełnie nagi w swoim sportowym dresie z emblematem złotych łuków McDonald's na plecach oraz własnym nazwiskiem na piersi. I nagle gdzieś w oddali widzę grupę chłopaków ubranych w takie same dresy. Moja ekipa. Zbliżam się do jednego z dorosłych i się przedstawiam.

Na jego ustach pojawia się szeroki uśmiech. To trener. Mój pierwszy prawdziwy trener.

Agassi, mówi. Ten pistolet z Vegas? Hej, dobrze, że jesteś z nami!

Podczas lotu do Australii trener stoi w przejściu i opowiada, jak będzie wyglądać ta wyprawa. Mamy zagrać w pięciu turniejach, odbywających się w pięciu różnych miastach. Jednak najważniejszy z nich będzie ten trzeci, w Sydney. Tam wystawimy najlepszych przeciwko najlepszym Australijczykom.

Powinno być około pięciu tysięcy kibiców na widowni, mówi. Ponadto transmisja na całą Australię.

To tak *à propos* presji.

Ale są też dobre wiadomości, uśmiecha się trener. Za każdym razem, kiedy ktoś z was wygra turniej, pozwolę mu napić się zimnego piwa.

Wygrywam pierwszy turniej w Adelajdzie bez problemu i w autobusie trener podaje mi zmrożonego fostera. Przypomina mi się Perry i nasz pakt. Myślę sobie, jakie to dziwne, że mnie, dwunastolatkowi serwują piwo. Ale butelka jest tak wspaniale oszroniona, no i patrzą na mnie koledzy z zespołu. Ponadto znajduję się o tysiące kilometrów od domu – a pierdolić to. Biorę łyk. Przepyszne. Osuszam butelkę w czterech łykach, po czym przez resztę popołudnia zmagam się z poczuciem winy. Spoglądam przez okno na przesuwany się australijski busz i zastanawiam się, jak Perry przyjmie te wieści i czy wciąż będzie chciał być moim przyjacielem.

Wygrywam trzy z kolejnych czterech turniejów. Jeszcze trzy piwa. Każde smaczniejsze niż poprzednie, ale z każdym łykiem mają coraz to bardziej gorzki smak.

Perry i ja wracamy do naszych zwykłych zajęć. Horrory. Długie rozmowy. Cambridge. 7-Eleven. Chipwiche. Co jakiś czas jednak spoglądam na niego, czując brzemię swej zdrady.

Idziemy z Cambridge do 7-Eleven i nie mogę już dłużej tego w sobie tłamsić. Poczucie winy zżera mnie od środka. W uszach mamy dwie pary

słuchawek podłączone do walkmana Perry'ego, w którym leci *Purple Rain* Prince'a. Klepię kumpla po ramieniu i mówię mu, żeby zdjął słuchawki.

Co się dzieje?

Nie wiem, jak mam to powiedzieć.

Gapi się na mnie.

No co jest?

Perry, złamałem nasz pakt.

Nie.

Piłem piwo w Australii.

Tylko jedno?

Cztery.

Cztery!

Spuszczam wzrok.

Zastanawia się. Spogląda na wzgórze. Cóż, wzdycha, sami dokonujemy życiowych wyborów, Andre, a ty zdecydowałeś. Zdaje się, że zostałem sam.

Jednak po kilku minutach widać, że zżera go ciekawość. Pyta mnie, jak smakuje piwo, i znów nie mogę skłamać. Mówię mu, że wspaniale. Znów przepraszam, ale nie ma sensu udawać, że czuję wyrzuty sumienia. Perry ma rację – po raz pierwszy stanąłem przed wyborem i dokonałem go. Jasne, że wolałbym nie łamać naszego przymierza, ale nie jestem w stanie czuć się źle z powodu tego, że w końcu skorzystałem z wolnego wyboru.

Perry marszczy brwi jak ojciec. Nie jak mój ojciec czy jego, ale jak taki tato z telewizji. Wygląda tak, jakby miał na sobie rozpinany sweter i palił fajkę. Uświadamiam sobie, że moje przymierze z Perrym u swych podstaw było obietnicą stania się nawzajem ojcem drugiego. Wiązało się z wychowywaniem przyjaciela. Przepraszam jeszcze raz i uzmysławiam sobie, jak mi brakowało Perry'ego podczas tego wyjazdu. Zawieram kolejne przymierze, tym razem z samym sobą, że nie ruszę się już nigdzie z domu.

Mój tato przechwytuje mnie w kuchni. Mówi, że musimy porozmawiać. Ciekawe, czy słyszał o tym piwie.

Każe mi usiąść za stołem. Sam siada naprzeciw mnie. Rozdziela nas niedokończona układanka Normana Rockwella. Rozmowa dotyczy tenisowej szkoły z internatem na zachodnim wybrzeżu Florydy niedaleko Tampa Bay. To pierwsza szkoła tego rodzaju, twierdzi tato. Obóz



szkoleniowy dla młodych tenisistów prowadzony przez byłego spadochroniarza Nicka Bollettieriego.

No i?

No i jedziesz tam.

Co takiego?

W Las Vegas już się nie rozwiniiesz. Pokonałeś tu wszystkich. Pokonałeś wszystkich chłopaków na zachodzie kraju. Andre, pokonałeś wszystkich zawodników z miejscowego college'u! Tutaj już niczego nie mogę cię nauczyć.

Ojciec nie wypowiada tego na głos, ale to oczywiste – pragnie, żeby ze mną było inaczej. Nie zamierza powtórzyć błędów, które popełnił z moim rodzeństwem. Zaprzepaścił ich umiejętności, przeciągając wszystko i naciskając na nich, co jednocześnie całkowicie zburzyło ich wzajemne relacje. Jest tak źle, że Rita niedawno uciekła z legendą tenisa Pancho Gonzalezem, który jest od niej starszy o przynajmniej trzydzieści lat. Ojciec nie chce mnie ograniczać, łamać ani zniszczyć. Dlatego mnie wypędza. Odsyła daleko, po części po to, by ochronić mnie przed nim samym.

Andre, mówi, musisz jeść, spać i pić tenisem. To jedyny sposób, żebyś został najlepszym z najlepszych.

Ja już jem, śpię i piję tenisem.

Ale on chce, żebym jadł, spał i pił gdzie indziej.

Ile kosztuje ta szkoła tenisa?

Jakieś dwanaście tysięcy rocznie.

Nie stać nas na to.

Jedziesz tylko na trzy miesiące. To trzy tysiące dolarów.

Na to też nas nie stać.

To inwestycja. Inwestycja w ciebie. Znajdziemy sposób.

Nie chcę jechać.

Po twarzy mojego ojca widzę wyraźnie, że wszystko już jest postanowione. Koniec pieśni.

Staram się patrzeć na pozytywy tego wyjazdu. To tylko trzy miesiące. Przez trzy miesiące wytrzymam wszystko. Poza tym, co mnie tam może złego spotkać? Może będzie jak w Australii. Może będzie fajnie. Może pojawią się nieprzewidywane korzyści. Może będzie tak, jakbym grał w drużynie.

A co ze szkołą?, pytam. Uczęszczam do siódmej klasy.

Szkoła znajduje się w miasteczku obok, oznajmia tato. Będiesz tam jeździł na pół dnia, a potem popołudniami i wieczorami grał w tenisa.

Niezła harówka. Jakiś czas później mama mówi mi, że widziała w programie „60 Minutes” raport na temat tego całego Bollettieriego, który ujmując rzecz w skrócie, prowadzi zakład wyzyskujący tanią, dziecięcą siłę roboczą.

Wydają dla mnie pożegnalne przyjęcie w Cambrige. Pan Fong jest wyraźnie przygnębiony, Perry wygląda, jakby miał się rzucić z mostu, a mój ojciec robi dobrą minę do złej gry. Stajemy w kółku i jemy ciasto. Gramy w tenisa balonami, a potem nakłuwamy je szpilkami. Wszyscy klepią mnie po plecach i mówią, jaki to będzie czad.

Wiem, odpowiadam. Nie mogę się doczekać spotkania z chłopakami z Florydy.

To kłamstwo brzmi jak celowa skucha, jakbym uderzył piłkę drewnianą ramą rakiety.

Kiedy zbliża się dzień mojego wyjazdu, nie mogę się wyspać. Budzę się, rzucając na łóżku, spocony, na zmierzwionej pościeli. Nie mam apetytu. W jednej chwili pojęcie tęsknoty za domem zyskuje realny kształt. Nie chcę opuszczać domu, mojego rodzeństwa, mamy i przyjaciela. Pomimo domowego napięcia, przeplatanego okazjonalną grozą, dałbym wszystko, byle tylko nie jechać. Mimo bólu, jaki sprawił mi tato, jedyną stałą była jego obecność. Zawsze był przy mnie, za moimi plecami, a teraz go zabraknie. Czuję się opuszczony przez wszystkich. Wydawało mi się, że najbardziej chcę się od ojca uwolnić, a teraz, kiedy mnie odsyła, mam złamane serce.

Ostatnie dni upływają mi na trzymaniu się nadziei, że mama mnie z tego wybawi. Spoglądam na nią ponaglająco, ale odpowiada mi spojrzeniem w stylu: Widziałam, jak złamał trójkę dzieci. Masz szczęście, że wydostajesz się stąd w jednym kawałku.

Tato odwozi mnie na lotnisko. Mama też chce jechać, ale nie może zwolnić się z pracy. Perry zajmuje jej miejsce. Buzia mu się nie zamyka przez całą drogę. Nie wiem, czy chce pocieszyć mnie, czy siebie. To tylko trzy miesiące, mówi. Będziemy pisać listy, pocztówki. Zobaczysz, będzie dobrze. Nauczysz się wiele. Może nawet przyjadę w odwiedziny.

Myślę sobie o *Godzinach odwiedzin*, horrorze klasy C, który oglądaliśmy tego wieczoru, kiedy narodziła się nasza przyjaźń. Perry zachowuje się

teraz tak jak wtedy, tak jak zawsze reaguje na strach – wierci się, podskakuje na fotelu. A ja reaguję w sposób typowy dla siebie. Jak kot wrzucony do pokoju z psami.



Autobus z lotniska staje przy kompleksie szkoły tuż po zmierzchu. Akademia Tenisa Nicka Bollettieriego postawiona na starej pomidorowej farmie nie jest wymyślna w formie i składa się z kilku zabudowań, które wyglądają jak więzienie. Mają też więzienne nazwy. Budynek B, Budynek C. Rozglądam się, niemal spodziewając się zobaczyć wieżyczki strażnicze i zasieki z drutu kolczastego. Jeszcze bardziej złowróżbny widok rozciąga się dalej, gdzie dostrzegam kilka rzędów kortów tenisowych.

Kiedy słońce chowa się za atramentowoczarnymi mokradłami, spada też temperatura. Kulę się w swoim T-shircie. Wydawało mi się, że na Florydzie jest ciepło. Gdy wysiadam z mikrobusu, wita mnie jeden z pracowników i prowadzi prosto do baraku, który jest opustoszały i upiornie cichy.

Gdzie są wszyscy?

W sali do nauki własnej, informuje. Za kilka minut rozpocznie się wolna godzina. To czas między nauką i capstrzykiem. Może pójdziesz do sali rekreacyjnej i przedstawiś się kolegom?

W sali rekreacyjnej zastaję dwie setki urwisów oraz kilka groźnie wyglądających dziewcząt skupionych w grupkach. Jedna z największych grup stoi ściśnięta wokół stołu do ping-ponga z firmy Nerf i bluzga na całego na dwóch grających chłopaków. Opieram się o ścianę i rozglądam po sali. Rozpoznaję kilka twarzy, włącznie z jedną czy dwiema z podróży do

Australii. Tamten chłopak – grałem z nim w Kalifornii. Tamten ziomek o złowrogim wyglądzie – grałem z nim zawzięte trzy sety w Arizonie. Wszyscy sprawiają wrażenie niezwykle uzdolnionych i nadmiernie pewnych siebie. Są tu dzieci wszystkich kolorów skóry, wzrostu, wieku i prawie z całego świata. Najmłodsze mają siedem lat, a najstarsze dziewiętnaście. Przez całe życie wiodłem prym w Las Vegas, a teraz czuję się jak mała rybka w wielkim stawie. Albo w bagnie. A największe z wielkich ryb należą do najlepszych zawodników w kraju – nastoletni supermeni tworzą grupę w odległym rogu.

Staram się obserwować mecz ping-ponga. Nawet tu byłbym zdeklasowany. W domu nikt nie był w stanie mnie pokonać przy stole. A tutaj? Połowa tych chłopaków zmiotłaby mnie z powierzchni ziemi.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ja się tu wpasuję, zaprzyjaźnię z kimkolwiek. Chcę wracać do domu, już teraz, albo przynajmniej zadzwonić, ale musiałbym prosić telefonistkę o rozmowę na koszt abonenta, a wiem, że mój ojciec nie przyjąłby takiego wywołania. Sama świadomość, że nie mogę usłyszeć głosu mamy czy Philla, bez względu na to, jak bardzo bym tego chciał, wywołuje we mnie uczucie paniki. Kiedy kończy się wolna godzina, biegnę do pokoju, kładę się na łóżku, chcąc za wszelką cenę zniknąć w czarnym bagnie snu.

Trzy miesiące, powtarzam sobie. Tylko trzy miesiące.

Ludzie nazywają Akademię Bollettieriego obozem treningowym, ale w rzeczywistości jest to zwykły obóz pracy. I wcale nie taki szykowny. Jemy jakąś papkę – brązowawe mięso, galaretowate steki oraz szarą breję wylewaną na ryż – i śpimy w naszych barakach w rozchwierutanych piętrowych łóżkach ustawionych na wzór wojskowy wzdłuż ścian z dykty. Wstajemy o świcie i kładziemy się tuż po kolacji. Rzadko opuszczamy teren szkoły i mamy śladowy kontakt ze światem zewnętrznym. Podobnie jak zwykli więźniowie, głównie śpimy i pracujemy, a naszym kamieniołomem jest seria żmudnych ćwiczeń. Trenujemy serwis, wejście na siatkę, bekhendy, forhendy i od czasu do czasu gramy sparingi, mające na celu wskazać tych lepszych i tych gorszych. Czasami człowiek czuje się jak gladiator, przygotowujący się do starcia w podziemiach Koloseum. Z całą pewnością trzydziestu pięciu instruktorów, którzy warczą na nas podczas treningów, uważa się za poganiaczy niewolników.

Kiedy nie ćwiczymy, uczymy się psychologii tenisa. Uczestniczymy w zajęciach o umysłowej wytrzymałości, pozytywnym myśleniu i wizualizacji. Uczymy się zamykać oczy i wyobrażać sobie, że wygrywamy Wimbledon, unosząc złote trofeum nad głową. Później idziemy na aerobik albo siłownię, albo na bieżnię wysypaną pokruszonymi muszlami, gdzie biegamy do utraty sił.

Ciągła presja, zabójcza konkurencja, całkowity brak nadzoru dorosłych z wolna zmieniają nas w stado dzikich zwierząt. Panuje tu prawo dżungli. Jakby ktoś kręcił film *Karate Kid* z rakietami tenisowymi czy *Władcę much*, w którym chłopcy posługują się forhendami. Pewnego wieczoru dwóch chłopaków się pokłóciło. Biały i Azjata. Biały chłopak rzuca jakąś obelgę pod adresem żółtej rasy i odchodzi. Przez pełną godzinę Azjata stoi pośrodku baraku, rozciąga się, rozluźnia mięśnie ramion i nóg oraz szyi. Powtarza ruchy zawodnika judo, po czym metodycznie zaczyna owijać sobie kostki. Kiedy biały chłopak wraca, Azjata robi błyskawiczny obrót, wyrzucając nogę w górę, i wyprowadza kopnięcie, które łamie szczękę białemu.

Najbardziej wstrząsające było to, że nie wyleciał ani jeden, ani drugi, co świadczy tylko o ogólnej atmosferze anarchii panującej w Akademii.

Dwóch innych chłopaków toczy zadawniony prymitywny spór. Zwykle objawia się to kpinami, drażnieniem i innymi pomniejszych szykanami – aż jeden z nich podbija stawkę. Przez kilka dni zbiera do wiadra siki i kupę. Następnie późno w nocy wpada do baraku przeciwnika i zakłada mu wiadro na głowę.

Poczucie przebywania w dżungli, ciągłe zagrożenie przemocą lub wpadnięciem w pułapkę nasila się, kiedy po capstrzyku z oddali rozlegają się dźwięki bębna.

Pytam jednego z chłopaków: Co to jest do diabła?

Och. To tylko Courier. Lubi sobie pograć na perkusji, którą przysłali mu rodzice.

Kto?

Jim Courier. Z Florydy.

Po kilku dniach po raz pierwszy mam okazję zobaczyć naszego naczelnika więzienia, założyciela i właściciela szkoły Nicka Bollettieriego. Ma pięćdziesiąt kilka lat, ale wygląda na dwieście pięćdziesiąt, ponieważ opalanie się jest jedną z jego manii oprócz tenisa i zawierania związków małżeńskich. (Ma chyba pięć albo sześć byłych żon, nikt dokładnie nie wie

ile). Jest tak napromieniowany słońcem, tak spieczony licznymi lampami ultrafioletowymi, że ten proces na trwałe zmienił jego pigmentację. Jedyna część twarzy, która nie ma barwy spieczonego steku, to wąsy i czarna, starannie przycięta bródka z wygolonym paskiem na brodzie, co sprawia wrażenie, jakby wciąż miał zawziętą minę. Widzę, jak Nick kroczy przez teren akademii, wściekły czerwonoskóry w półokrągłych okularach przeciwsłonecznych, gromiący kogoś, kto truchta obok niego, starając się dotrzymać mu kroku, i modlę się, żebym nigdy nie musiał się z nim zetknąć bezpośrednio. Patrzę, jak wślizguje się do czerwonego ferrari i znika w tumanie kurzu.

Jeden z chłopaków mówi, że do nas należy mycie i polerowanie czterech sportowych wozów Nicka.

Do nas? To jakaś bzdura.

Poskarż się sędziemu.

Pytam któregoś ze starszych chłopaków weteranów o Nicka. Kim on jest? Co go rusza? Uważa, że to oszust, facet, który wygodnie żyje z tenisa, ale nie kocha tej gry, nawet się na niej specjalnie nie zna. Nie jest taki jak mój ojciec, pochłonięty kątami i liczbami oraz pięknem tenisa. A jednocześnie jest niemal całkowicie taki jak mój stary. Pochłania go zdobywanie gotówki. To gość, który oblał egzamin dla pilotów marynarki wojennej, wylali go z prawa, po czym pewnego dnia zaświtała mu myśl, żeby nauczać gry w tenisa. Wpadłem po uszy w gówno. Dzięki odrobinie ciężkiej pracy i całym pokładom szczęścia, wyrobił sobie pozycję tytana tenisa, mentora. Chłopaki mówią, że można się od niego czegoś nauczyć, ale nie jest cudotwórcą.

Nie wygląda na faceta, dzięki któremu przestałbym nienawidzić tenisa.

Gram sparing, dając niezłe lanie chłopakowi ze Wschodniego Wybrzeża, i nagle orientuję się, że Gabriel, jeden z pomagierów Nicka, stoi za mną i się temu przygląda.

Po kilku kolejnych punktach Gabriel przerywa mecz. Pyta mnie: Czy Nick widział już, jak grasz?

Nie, proszę pana.

Marszczy brwi i odchodzi.

Później w głośniku, z którego głos niesie się po wszystkich kortach szkoły Bollettieriego, słyszę:

*Andre Agassi zgłosi się na główny kort w budynku! Andre Agassi, zgłosić się na główny kort – natychmiast!*

Nigdy moja noga nie postąpiła na głównym zadaszonym korcie i nie widzę powodów, dla których teraz mnie tam wzywają. Biegnę i zastaję na nim Gabriela i Nicka. Stoją ramię w ramię i czekają na mnie.

Gabriel mówi do Nicka: Musisz zobaczyć, jakie ten mały ma uderzenie.

Nick odchodzi, chowając się w cień. Gabriel przechodzi na drugą stronę siatki. Trenujemy przez pół godziny. Od czasu do czasu rzucam ukradkowe spojrzenia przez ramię – ledwo widzę sylwetkę Nicka, który w skupieniu gładzi swoje wąsy.

Pokaż swoje bekhendy, żąda Nick. Jego głos brzmi tak, jakby ktoś pocierał szkło papierem ściernym.

Robię, co mi każe. Pokazuję bekhendy.

A teraz serwis.

Serwuję.

Podejdź do siatki.

Podchodzę do siatki.

Wystarczy.

Podchodzi. Skąd jesteś?

Z Las Vegas.

Jak wypadasz w rankingu krajowym?

Jestem trzeci.

Jak mogę skontaktować się z twoim ojcem?

Jest w pracy. Ma nocną zmianę w MGM.

A może z matką?

O tej porze? Pewnie jest w domu.

Chodź ze mną.

Idziemy wolnym krokiem do biura, gdzie prosi o numer telefonu do mamy. Siedzi w wysokim fotelu z czarnej skóry, niemal odwrócony w drugą stronę. Czuję, że moja twarz ma intensywniejszą barwę czerwieni niż jego. Wykręca numer i rozmawia z mamą. Podaje mu numer do taty do pracy. Znow kręci.

Teraz krzyczy: Panie Agassi! Tu Nick Bollettieri! Tak, tak. Proszę, niech pan mnie posłucha. Powiem panu coś bardzo ważnego. Pana chłopak ma więcej talentu niż wszyscy inni uczniowie, których przyjęła moja akademia. Tak właśnie. W całej swojej historii. I ja go zaprowadzę na szczyt.



O czym on, do diabła, gada? Ja tu jestem tylko na trzy miesiące. Wyjeżdżam za sześćdziesiąt cztery dni. Czy Nick chce mnie tu zatrzymać? Mam tu żyć już na zawsze? Przecież mój tato na to nie pójdzie.

Nick mówi: No właśnie. Nie, to żaden problem. Zrobimy tak, że nie zapłaci pan ani centa. Andre może zostać za darmo. Zaraz podreę pański czek.

Serce mi staje. Wiem, że ojciec nie będzie mógł się oprzeć czemuś, co dostaje za darmo. Mój los został przypieczętowany.

Nick odkłada słuchawkę i przekręca się na fotelu w moją stronę. Nic nie wyjaśnia. Nie pociesza. Nie pyta mnie, czy tego właśnie chcę. Nie mówi nic poza: Wracaj teraz na kort.

Naczelnik więzienia dopisał mi kilka lat do wyroku, więc nie pozostaje mi nic innego, jak wziąć młot i ruszyć do ciężkiej harówki.

Każdy dzień w Akademii Bollettieriego zaczyna się od wążania smrodu. Na otaczających ją wzgórzach znajdują się zakłady przetwórstwa pomarańczy, które wypuszczają toksyczny swąd palonej pomarańczowej skórki. To pierwsza rzecz, jaką czuję, otwierając oczy. Przypomnienie, że to wszystko dzieje się naprawdę, że nie wróciłem do Las Vegas i nie śni mi się to w łóżku na mojej połowie pokoju. Nigdy nie zastanawiałem się nad sokiem pomarańczowym, ale po pobycie w Akademii Bollettieriego nigdy nie będę mógł spojrzeć bez obrzydzenia na galon tego napoju.

Kiedy słońce zaczyna rozwiewać mgły na bagnach, wypalając je ze szczeniem, gnam pod prysznic, by wyprzedzić innych, bo tylko pierwsi będą mieli ciepłą wodę. Mówiąc szczerze, nie jest to prysznic, to wąska dysza strzelająca w kąpiącego się strumieniem kłujących igiełek, pod którym nie tylko nie można się dobrze umyć, ale nawet dobrze zmoczyć. Po prysznicu wszyscy biegniemy na śniadanie podawane w kafeterii, gdzie panuje taki chaos, jakby w szpitalu psychiatrycznym pielęgniarki zapomniały podać pacjentom leki. Lepiej trafić tam wcześniej, bo później jest jeszcze gorzej. Masło będzie posypane okruchami, chleb zniknie, a plastikowe jajka będą zimne.

Prosto ze śniadania pakujemy się do autobusu jadącego do znajdującej się o dwadzieścia sześć minut drogi szkoły w Bradenton. Dzielę swój czas na dwie szkoły, obie przypominające więzienie, ale ta w Bradenton sprawia jeszcze bardziej klaustrofobiczne wrażenie, bo nauka w niej nie ma

większego sensu. W akademii tenisa przynajmniej uczę się czegoś o grze. A w Bradenton dowiaduję się tylko, jaki jestem głupi.

W utrzymanej w kolorystyce czternastu odcieni szarości szkole są wypaczone podłogi i brudne wykładziny. W budynku nie ma ani jednego okna, dlatego też światło pochodzi wyłącznie ze świetlówek, a powietrze jest tu zatęchłe, przepełnione gamą różnorodnych paskudnych woni, głównie wymiocin, zapachów z toalety i odoru strachu. Jest to woń niemal przebijająca smród palonej skórki pomarańczy znanej z Akademii Bollettieriego.

Innym dzieciom, tym z miasteczka, które nie grają w tenisa, najwyraźniej to nie przeszkadza. Niektóre nawet chwają sobie tę placówkę, może dlatego, że mają znośny rozkład obowiązków. Nie muszą łączyć szkoły z karierą półprofesjonalnych sportowców. Nie opanowują ich ataki tęsknoty za domem, które wznoszą się i opadają niczym mdłości. Siedzą po siedem godzin w klasie, potem idą do domu na obiad i oglądają telewizję w gronie rodzinnym. Jednak my, którzy dojeżdżamy z Akademii Bollettieriego, siedzimy w klasie przez cztery i pół godziny, wracamy autobusem do naszych podstawowych zajęć i odbijamy piłki aż do zmierzchu. W końcu padamy bez ducha na prycze, by złapać pół godziny odpoczynku przed powrotem do stanu naturalnego w sali rekreacyjnej. Następnie przez dwie bezsensowne godziny głowy nam się kiwają nad zeszytami, zanim nadejdzie godzina wolnego i capstrzyk. Jest to system dostosowany do produkcji złych uczniów w takim samym tempie i z taką samą skutecznością, jak wydaje z siebie dobrych tenisistów.

Nie lubię niczego, co jest z góry ustalone, więc zbytnio się nie przykładam. Nie uczę się. Nie odrabiam zadań domowych. Nie uważam na lekcjach. I nic mnie to nie obchodzi. Na każdej lekcji siedzę cicho w ławce, gapiąc się na swoje stopy, żałując, że nie jestem gdzie indziej, a tymczasem nauczyciel nadaje coś o Szekspirze, o Bunker Hill czy o twierdzeniu Pitagorasa.

Nauczycieli nie obchodzi, że ich olewam, bo jestem jednym z chłopaków Nicka, a oni nie chcą z nim zadrzeć. Szkoła w Bradenton istnieje dzięki temu, że Akademia Bollettieriego przysyła im co semestr autobus pełen płacących za naukę klientów. Nauczyciele wiedzą, że ich posady zależą od Nicka, więc nie mogą nas oblewać, a my cenimy sobie przywileje wynikające z naszego specjalnego statusu. Odczuwamy pewną wyższość, przeświadczenie, że takie traktowanie nam się należy, nie uświadamiając

sobie, że nie dostajemy tego, co nam przysługuje najbardziej – wykształcenia.

Za metalowymi frontowymi drzwiami szkoły Bradenton znajduje się biuro, centralny układ nerwowy placówki oraz źródło wszelkiego bólu. Stąd wysyła się zawiadomienia i listy z pogrózkami do rodziców. Trafiają tu też niegrzeczni chłopcy. Biuro jest również matecznikiem pani G. i doktora G., małżeństwa kierującego placówką i jak podejrzewam, jednocześnie wypalonych artystów z wesołego miasteczka. Pani G. jest wysoką kobietą pozbawioną talii. Wygląda, jakby ramiona wyrastały jej bezpośrednio z bioder. Stara się zamaskować ten dziwny kształt ciała, nosząc spódnice, które niestety podkreślają ten typ budowy. Na jej twarzy wykwitają dwie plamy niezdrowych rumieńców i trzecia, rozsmarowanej szminki – symetryczna triada o kolorystyce, w jakiej zwykle ludzie utrzymują buty czy pasek. Barwa na policzkach za każdym razem pasuje do koloru plamy na ustach i niemal zawsze odciąga uwagę od garba na plecach pani G. Jednak nic, co włoży, nie jest w stanie przyćmić jej potężnych łap. Ma dłonie wielkości rakiet tenisowych i kiedy pierwszy raz podaje mi rękę, mam wrażenie, że zemdleję.

Stary doktor G. jest o połowę mniejszy, ale wyróżnia się równie wieloma niespotykanymi znakami szczególnymi. Nietrudno spostrzec, co w sobie widzieli. Kruchy, pokurczony doktor G. ma chrome prawe ramię od urodzenia. Powinien je skrywać, trzymać za plecami albo w kieszeni. On jednak rusza nim na wszystkie strony, wymachuje niczym maczugą. Lubi wziąć sobie ucznia na bok na rozmowę w cztery oczy i za każdym razem, kiedy to robi, kładzie delikwentowi swoje chrome ramię na barku i trzyma je tam dopóty, dopóki nie powie, o co mu chodzi. Nic tak nie napędza strachu jak ten gest. Uczeń ma wrażenie, że ktoś położył mu na ramieniu polędwicę wieprzową i czując to jeszcze wiele godzin później, wciąż ma dreszcze.

Pani G. i doktor G. wydali niezliczoną ilość przepisów, a jedną z najsurowiej przestrzeganych zasad jest zakaz noszenia biżuterii. Dlatego też podpadłem, przebijając sobie uszy. Jest to prosty akt buntu, który moim zdaniem jest też ostatnią deską ratunku. Właśnie bunt określał moją codzienną postawę, a taki jego przejaw przynosił jeszcze premię w postaci prztyczka wymierzonego mojemu ojcu, który nienawidził mężczyzn noszących kolczyki. Wielokrotnie słyszałem, jak ojciec mówi, że kolczyki noszą tylko homoseksualiści. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczy moje.

(Kupiłem zarówno punktowe, jak i kółka). W końcu pożałuje, że wysłał mnie tysiące kilometrów od domu i zostawił tu, bym zdziczał.

Wykonuję nieudolne i nieszczerze próby ukrycia mojego akcesorium, naklejając plaster na ucho. Pani G. oczywiście to zauważyła, tak jak na to liczyłem. Wyciąga mnie z klasy i staje naprzeciwko.

Panie Agassi, co ma znaczyć ten opatrunek?

Skaleczyłem się w ucho.

Skaleczył się pan...? Niech pan nie będzie śmieszny. Proszę zdjąć ten plaster.

Ściągam plaster. Widzi ćwieki w uszach i aż się zapowietrza.

W Bradenton nie pozwalamy na noszenie kolczyków, panie Agassi. Na drugi raz spodziewam się, że nie będzie pan miał ani plastra, ani kolczyka.

Pod koniec pierwszego semestru jestem bliski oblania ze wszystkich przedmiotów. Poza angielskim. Wykazuję dziwną biegłość w literaturze, szczególnie w poezji. Uczę się na pamięć znanych wierszy, piszę własne i przychodzi mi to z łatwością. Mamy stworzyć krótki wiersz na temat naszego zwykłego życia i swoją pracę kładę z dumą na biurku nauczycielki. Podoba się jej. Czyta go na głos przy całej klasie. Później koledzy proszą mnie, bym pisał ich prace domowe. W autobusie odrabiam za nich zadania, nie ma sprawy. Nauczycielka angielskiego zatrzymuje mnie po lekcjach i mówi, że mam prawdziwy talent. Uśmiecham się. To zupełnie coś innego niż wtedy, kiedy Nick mówi, że mam talent. Tak mi z tym dobrze, że chciałbym pójść w tę stronę. Przez chwilę wyobrażam sobie, jakby to było, gdybym robił coś oprócz grania w tenisa – coś, co ja bym wybrał. Później idę na kolejną lekcję – matematykę, i marzenie rozpływa się w tumanach wzorów algebraicznych. Nie nadaję się na mola książkowego. Głos nauczycielki matematyki dochodzi do mnie z oddali. Na następnej lekcji, na francuskim, dzieje się jeszcze gorzej. Jestem *tres stupide*. Przechodzę na hiszpański, gdzie jestem *muy estupido*. Hiszpański, myślę sobie, byłby w stanie skrócić moje życie. Nuda, zagubienie mogłyby mnie wykończyć na amen. Pewnego dnia zastaliby mnie w moim fotelu *muerto*.

Stopniowo uczęszczanie do szkoły z trudnego staje się fizycznie wykańczające. Lęk towarzyszący wsiadaniu do autobusu, dwudziestosześciodziesięciminutowej jeździe, niemożliwej do uniknięcia konfrontacji z panią G. bądź doktorem G., wywołuje u mnie chorobę. Najbardziej boję się tej chwili, tej codziennej chwili, kiedy zostaję przyłapanym na całkowitej ignorancji. Na szkolnym nieudacznictwie. Ten

strach jest tak wielki, że z czasem szkoła Bradenton modyfikuje mój pogląd na temat Akademii Bollettieriego. Nie mogę się doczekać wszystkich tych żmudnych treningów i nawet wiążących się z wielkim stresem turniejów, ponieważ przynajmniej nie jestem wtedy w szkole.

Dzięki jednemu szczególnie ważnemu turniejowi omija mnie test z historii w Bradenton, sprawdzian, z którego niechybnie dostałbym lufę. Świątuję ucieczkę spod edukacyjnego topora, patrosząc swoich przeciwników na korcie. Kiedy jednak wracam do szkoły, mój nauczyciel zapowiada, że będę musiał to nadrobić.

Niesprawiedliwość. Przemykam się do biura na test poprawkowy. Po drodze chowam się w ciemnym kącie i przygotowuję ściągę, którą wsadzam do kieszeni.

W biurze jest jeszcze tylko jeden uczeń, rudowłosa dziewczyna z okrągłą, zlaną potem twarzą. Nawet nie mrugnie, nie zauważa mojej obecności. Wygląda, jakby była w śpiączce. Szybko wypełniam test, kopiując odpowiedzi ze ściąg. Nagle czuję na sobie czyjeś spojrzenie. Podnoszę wzrok i widzę, że ruda wyszła ze śpiączki i gapi się na mnie. Zamyka zeszyt i wychodzi. Pospiesznie chowam ściągę w majtki. Wydieram skrawek papieru z zeszytu i naśladowując dziewczynski charakter pisma, kreślę: *Słodki jesteś! Zadzwoń do mnie!* Wpycham kartkę do kieszeni w chwili, gdy do sali wpada pani G.

Odłóż długopis.

Coś nie tak, pani G. ?

Ściągałeś?

Na tym sprawdzianie? W życiu! Jeśli miałbym ściągać, to na pewno nie na tym teście. Ja tu mam wszystko obcykane. Vellee Forge. Paul Revere. Bułka z masłem.

Opróżnij kieszenie.

Wykładam na blat kilka monet, paczkę gumy do żucia i liścik od mojej wymyślonej wielbicielki. Pani G. podnosi karteczkę i czyta ją pod nosem.

Mówię: Zastanawiam się, co mam jej odpisać? Ma pani jakiś pomysł?

Krzywi się i wychodzi. Zdaję test i traktuję to wydarzenie jako moralne zwycięstwo.

Nauczycielka angielskiego jest moją jedyną rzeczniczką. Jest również córką pani G. i doktora G., przekonuje więc z całych sił swoich rodziców, że jestem zdolniejszy, niż wskazywałyby na to moje oceny oraz

zachowanie. Organizuje nawet sprawdzian na poziom IQ, którego wyniki potwierdzają jej opinię.

Andre, prosi, musisz się wziąć w garść. Musisz udowodnić pani G., że nie jesteś taki, jak myśli.

Odpowiadam jej, że biorę się w garść, że robię, co mogę, zważywszy na okoliczności. Tylko że przez cały czas jestem zmęczony grą w tenisa, rozkojarzony presją turniejów i tak zwanych wyzwań. Szczególnie jestem zmęczony wyzwaniem: raz w miesiącu gramy z kimś, kto jest od nas lepszy. Chciałbym, żeby któryś z nauczycieli mógł mi wyjaśnić, w jaki sposób mam się skoncentrować na odmianie czasowników czy rozwiązywaniu zadań z niewiadomymi, kiedy po południu czeka mnie pięciosetowa bijatyka z jakimś osiłkiem z Orlando.

Nie zdradzam jej wszystkiego, bo nie potrafię. Czułbym się jak mięczak, setny raz rozmawiając o swoich szkolnych lękach, kiedy nie wiem, który już raz siedzę w klasie i pocę się jak mysz. Nie mogę jej powiedzieć o swoich problemach z koncentracją, grozie, jaka towarzyszy możliwości wywołania mnie do odpowiedzi, jak ta groza czasami zmienia się w bańkę powietrza gdzieś w brzuchu, która rośnie i rośnie, aż muszę biec do łazienki. Na przerwach przeważnie zamykam się w toalecie.

Jest jeszcze lęk przed towarzyskim odrzuceniem, skazany na niepowodzenie wysiłek, by się wpasować w grupę. W szkole Bradenton potrzeba na to pieniędzy. Większość uczniów wygląda tak, jakby brali udział w pokazie mody, gdy tymczasem ja mam trzy pary dżinsów, pięć koszulek, dwie pary tenisówek – i jedną bawełnianą bluzę w szare i czarne kwadraty, wyciętą pod szyją. W klasie, zamiast myśleć o *Szkarłatnej literze*, zastanawiam się, ile razy w tygodniu upiecze mi się zakładanie tego swetra, i martwię się, co zrobię, gdy będzie cieplej.

Im gorzej idzie mi w szkole, tym większy wzbiera we mnie bunt. Piję, palę trawę i zachowuję się jak skończony idiota. Zupełnie nie dostrzegam tego, że moje oceny są odwrotnie proporcjonalne do wzrostu mojego buntu, ale specjalnie się nad tym nie zastanawiam. Wolę hołdować teorii Nicka. Mówi, że nie idzie mi w szkole, bo mam parcie na świat. Być może jest to jego jedyna w miarę precyzyjna opinia na mój temat. (Zwykle określa mnie jako bezczelnego szpanera, który tylko szuka, gdzie są światła sceny. Nawet mój ojciec wie, że wcale tak nie jest). Moje ogólne samopoczucie ma pewne cechy owego parcia – jest gwałtowne, odruchowe i nie do

powstrzymania – dlatego przyjmuję to zdanie, podobnie jak akceptuję zmiany zachodzące w moim organizmie.

W końcu, kiedy moje oceny osiągnęły dno, mój bunt dociera do punktu przełomowego. Wchodzę do salonu fryzjerskiego w Bradenton Mall i każę fryzjerowi zrobić sobie na głowie irokeza. Ma wystrzyc i wygolić boki, zostawiając pas nastroszonych włosów pośrodku.

Jesteś pewien, chłopcze?

Chcę, żeby był wysoki, nastroszony. I do tego zafarbowany na różowo.

Uwija się z tymi nożycami przez dobre osiem minut. Po czym mówi: gotowe, i obraca mnie na fotelu. Spoglądam w lustro. Kolczyk był dobry, to jest jeszcze lepsze. Nie mogę się doczekać, by spojrzeć pani G. w twarz.

Przed centrum handlowym, kiedy czekam na autobus do Akademii Bollettieriego, nikt mnie nie rozpoznaje. Ci, z którymi się wygłupiałem, z którymi spałem prycza w pryczę, patrzą gdzieś poza mną. W oczach zwykłego obserwatora zrobiłem coś, co wygląda na desperacką próbę wyróżnienia się w tłumie, ale w rzeczywistości pomogłem jedynie samemu sobie, mojemu wewnętrznemu ja, mojej prawdziwej naturze, niewidocznej dla innych. Przynajmniej taki był plan.

Lecę do domu na Boże Narodzenie i kiedy samolot przelatuje przez Strip z kasynami na dole, przechylone prawe skrzydło mruga jak rząd choinek, stewardesa informuje, że musimy jeszcze trochę poczekać w powietrzu.

Wszyscy wydają jęk.

Ponieważ wiadomo, że wszystkich korci już, by pójść do kasyna, mówi dalej, pomyśleliśmy, że miło by było zagrać tu na pokładzie samolotu, zanim wylądujemy.

Owacje.

Niech każdy włoży dolara do papierowej torby przed sobą. Następnie proszę napisać na odcinku biletu numer swego miejsca i wrzucić go do torby. Wyciągniemy jeden z kuponów i osoba siedząca na tym miejscu zgarnie całą pulę!

Zbiera po dolarze od wszystkich, a druga stewardesa zbiera kupony. Staje z przodu samolotu i sięga do torby.

Wielka nagroda przypada pasażerowi na miejscu, proszę o tusz, F9!

To ja siedzę na F9. Wygrałem! Wygrałem! Wstaję i wymachuję rękami. Pasażerowie odwracają się, by na mnie spojrzeć. Słychać jeszcze głośniejsze jęki. Wspaniale, chłopak z różowym irokezem wygrał.

Stewardesa niechętnie podaje mi torbę z dziewięćdziesięcioma sześcioma banknotami dolarowymi. Dalszą część lotu poświęcam na liczenie po kilka razy wygranej, dziękując swojej szczęśliwej gwiazdzie oraz podkowie w tyłku.

Mój ojciec, jak można się było spodziewać, jest przerażony i fryzurą, i kolczykiem. Daleki jest jednak od obwiniania za to siebie czy Akademii Bollettieriego. Nie chce przyznać, że wysłanie mnie tam było błędem, i nawet nie wspomina o moim powrocie do domu. Pyta tylko otwartym tekstem, czy jestem pedałem.

Nie, mówię i idę do swego pokoju.

Philly idzie za mną. Składa mi gratulacje z powodu nowego wyglądu. Nawet irokez jest lepszy niż łysina. Opowiadam mu o mojej wygranej na pokładzie samolotu.

O rany! Co zrobisz z taką gotówką?

Zastanawiam się, czy nie wydać jej na bransoletkę na kostkę dla Jamie. To dziewczyna, która chodzi do szkoły z Perrym. Ostatnim razem, kiedy byłem w domu, dała mi się pocałować. Ale nie wiem – bardzo potrzebuję nowych ubrań do szkoły. Nie mogę już dłużej paradować w tym szaroczarnym swetrze. Chcę się dopasować.

Philly kiwa głową. Trudny wybór, brachu.

Nie pyta dlaczego, skoro się chcę dopasować, mam tego irokeza i kolczyk.

Traktuje moje dylematy tak serio, moje wahania tak poważnie, że pomaga mi w podjęciu decyzji. Postanawiamy, że powinienem wydać forszę na dziewczynę i dać sobie spokój z nowymi ciuchami.

Jednak w chwili, gdy trzymam już tę bransoletkę w dłoni, czuję żal. Wyobrażam sobie siebie z powrotem na Florydzie, jak przebieram się w coraz to nowe ciuchy. Mówię o tym Philly'emu i dostaję nieznaczne skinienie w odpowiedzi.

Rankiem otwieram jedno oko i widzę pochylającego się nade mną Philla, który szczyrzy zęby w uśmiechu. Gapi się na moją pierś. Spoglądam w tym samym kierunku i widzę stosik banknotów.

Co to jest?

Poszedłem zagrać w karciochy, brachu. Udało mi się. Wygrałem sześćset. A więc – co to ma być?

To trzysta dolców. Idź, obkup się.



Ojciec chce, żebym podczas ferii wiosennych zagrał kilka turniejów dla półprofesjonalistów. Noszą one nazwę satelitów, a obowiązuje w nich zasada otwartych eliminacji, czyli każdy może przyjść i zagrać przynajmniej jeden mecz. Odbywają się w miastach na uboczu, bardzo na uboczu, takich jak Monroe w stanie Luizjana czy St. Joe w Missouri. Nie mogę sam tam pojechać – mam dopiero czternaście lat. Dlatego ojciec posyła ze mną jako opiekuna Philla. Ponadto jako partnera do treningów. Philly i mój tato wciąż trwają w przekonaniu, że on też może coś jeszcze osiągnąć w tenisie.

Philly wynajmuje beżowego omni, który wkrótce zmienia się w mobilną wersję naszego pokoju. Jedna strona należy do niego, druga do mnie. Pokonujemy tysiące kilometrów, zatrzymując się jedynie w jadłodajniach, miejscach, gdzie odbywają się turnieje i tam, gdzie można się przespać. Mamy kwatery za darmo, gdyż w każdym mieście zatrzymujemy się u poznanych tam osób, rodzin, które zgodziły się przenocować uczestników spoza miasta. Większość gospodarzy to mili ludzie wyjątkowo entuzjastycznie nastawieni do gry. Nie dość że nieswojo czujemy się u obcych, to jeszcze trzeba odbębnić poranną rozmowę o tenisie przy naleśnikach i kawie. Dla mnie jest to trudne zadanie, ale Philly rozmawia z każdym i często muszę mu dać kuksańca, kiedy się zagada.

Czujemy się, jak wyjęci spod prawa żyjący w drodze, którzy robią to, na co mają ochotę. Rzucamy opakowania po jedzeniu za siebie, wprost na tylne siedzenie. Słuchamy głośnej muzyki, klniemy, ile nam się podoba, mówimy to, co chcemy powiedzieć, nie bojąc się, że ktoś nas poprawi czy wyśmiej. Mimo to nie poruszamy tematu naszych odmiennych celów w tej wyprawie. Philly chce zyskać jeden punkt w ATP, tylko jeden, żeby mógł się przekonać, jak to jest być w rankingu. Ja pragnę uniknąć spotkania z nim na korcie, bo wtedy znów musiałbym pokonać mego ukochanego brata.

Podczas pierwszego challenger'a wygrywam z przeciwnikiem, a Philly zostaje pokonany. Po wszystkim mój brat siedzi w wynajętym samochodzie na parkingu obok stadionu i gapi się na kierownicę, jakby go zamurowało. Z jakiegoś powodu ta porażka boli go bardziej niż inne. Zwija dłoń w pięść i uderza w kierownicę. Mocno. I znów. Zaczyna mamrotać coś do siebie, tak cicho, że nie słyszę. Później coraz głośniej. Po chwili zaczyna krzyczeć, wymyślając sobie od nieudaczników pierwszej wody i raz za razem wali w kierownicę. Jego ciosy są tak mocne, że jestem pewien, iż za chwilę

złamać sobie kość. Myślę o naszym tacie, który markował ciosy przy kierownicy, gdy znokautował kierowcę ciężarówki.

Philly jest wściekły: Powiniennem złamać sobie tę cholerną łapę! Wtedy przynajmniej byłoby po wszystkim! Tato miał rację. Jestem nieudacznikiem pierwszej wody.

W jednej chwili milknie i nieruchomieje. Patrzy na mnie i widzę jego zrezygnowaną minę. Jest spokojny. Jak moja mama. Uśmiecha się – burza minęła i trucizna uszła z organizmu.

Czuję się lepiej, mówi, śmiejąc się i posyłając mi kuksańca.

Wyjeżdżając z parkingu, opowiada mi o moim kolejnym przeciwniku.

W kilka dni po moim powrocie do szkoły Bollettieriego trafiam do centrum handlowego Bradenton. Ryzykuję i wykręcam numer domowy na koszt abonenta. Łeee... odbiera Philly. Ma taki głos, jak wtedy na parkingu.

Dostaliśmy list z ATP.

Taa?

Chcesz wiedzieć, które masz miejsce w rankingu?

Nie wiem – no które?

Masz numer 610.

Naprawdę?

Jesteś sześćset dziesiąty na świecie, brachu.

Co znaczy, że jest tylko sześćset dziewięć osób lepszych ode mnie na całym świecie. Na planecie Ziemia w Układzie Słonecznym jestem sześćset dziesiąty. Walę ręką w ściankę budki telefonicznej i krzyczę z radości.

Linia po drugiej stronie zamiera. Potem słyszę szept Philla, który pyta: Jak to jest?

Nie mogę uwierzyć, jaki ze mnie nieczuły drań, krzyczę Philly'emu do ucha, kiedy on przeżywa zawód. Chciałbym przerzucić na niego połowę moich punktów w ATP. Nieskończenie znudzonym głosem, hamując udawane ziewnięcie, mówię: Wiesz co? To nic takiego. Przereklamowany ten cały ranking.



Cóż więcej mogę zrobić? Nick, Gabriel, pani G., doktor G. – żadne z nich zdaje się nie zauważać moich numerów. Skotłowałem sobie fryzurę, zapuściłem paznokcie, włącznie z tym na małym palcu, który jest o dwa cale dłuższy i pomalowany jaskrawoczerwonym lakierem. Przekłułem sobie ucho, złamałem setkę zasad, naruszyłem capstrzyk, wszczynałem bójki, miewałem napady złości, uciekałem z lekcji, nawet raz wśliznąłem się do baraku dziewczyn. Pochłonałem galony whisky, często siedząc bezczelnie na łóżku, i w przypiływie zuchwałości ułożyłem piramidę z moich poległych żołnierzy. Metrowej wysokości piramidę z butelek Jacka Danielsa. Żułem tytoń, mocne zioło takie jak skoal czy kodiak zamoczone w whisky. Po przegranej wkładałem sobie grudkę wielkości śliwki do ust. Im większa porażka, tym większa grudka. No jak długo jeszcze mam się buntować? Jakiż to nowy grzech mogę popełnić, by pokazać światu, że jestem nieszczęśliwy i chcę wrócić do domu?

Co tydzień jedynym momentem, w którym nie planuję kolejnych aktów rebelii, jest godzina wolnego, kiedy mogę powyglupiać się w centrum rekreacyjnym, albo sobotni wieczór, gdy mogę pójść do centrum handlowego Bradenton i poflirtować z dziewczynami. W sumie to dziesięć godzin szczęścia w tygodniu, a przynajmniej czas, w którym nie wysilam

mózgownicy, by wpaść na jakąś kolejną formę obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Mam wciąż czternaście lat, kiedy Akademia Bollettieriego wynajmuje autobus i zawozi nas na duży turniej do Pensacoli, na północy stanu. Po kilka razy w roku udajemy się na turnieje takie jak ten na całej Florydzie, ponieważ Nick uważa, że to dobry sprawdzian. Nazywa je miarkami. Floryda to tenisowe niebo, mówi Nick, i jeśli okażemy się lepsi niż najlepsi zawodnicy z Florydy, będzie to oznaczało, że jesteśmy najlepsi na świecie.

Bez problemów docieram do finału w swoim przedziale wiekowym, ale pozostałym nie idzie tak dobrze. Wszyscy zostają wykoszeni wcześniej. Tym samym są zmuszeni oglądać moje mecze. Nie mają wyboru, no bo dokąd mogliby pójść? Kiedy skończę, wszyscy wrócimy do autobusu i pojedziemy dwanaście godzin z powrotem.

Nie spiesz się, żartują wszyscy.

Nikt nie ma ochoty spędzić kolejnych dwunastu godzin w tym wlokącym się, zajeżdżającym czymś autobusie. Dla zabawy postanawiam zagrać mecz w dzinsach. Nie w spodenkach tenisowych, nie w dresie, tylko w podartych, wyblakłych, brudnych drelichach. Wiem, że nie wpłynie to na wynik meczu. Mój przeciwnik to kloc. Mógłbym go pokonać z jedną ręką zawiązaną na plecach, mając na sobie strój goryla. Dodatkowo zakreślam sobie konturówką oczy i zakładam najstrojniejszy z moich kolczyków.

Wygrywam mecz zdecydowanie. Pozostali głośno wiwatują. Przyznają mi dodatkowe punkty za styl. W drodze powrotnej wszyscy się mną zajmują i klepią po plecach. W końcu czuję się dopasowany do reszty, staję się jednym z tych fajnych chłopaków, najlepszych. Do tego mam tytoń.

Na drugi dzień, zaraz po lunchu, Nick zwołuje niezapowiedziane zebranie.

Niech wszyscy ustawią się w koło, dudni.

Wskazuje nam miejsce na ostatnim korcie z trybunami. Kiedy dwie setki adeptów tenisa już się uciszyły, zaczyna chodzić na wprost nas i truć o tym, co oznacza bycie jednym z uczniów jego akademii, jak bardzo powinniśmy być dumni z tego, że tu trafiliśmy. Stworzyłem to miejsce od podstaw, mówi, i jestem dumny, że nosi moje imię. Akademia Bollettieriego oznacza doskonałość. Akademia Bollettieriego oznacza klasę. Akademia Bollettieriego jest znana i szanowana na całym świecie.

Milknie.

Andre, możesz wstać na chwilę?

Wstaję.

Wszystko, co powiedziałem o tym miejscu, Andre, ty zszar-ga-łeś. Splugawiłeś to miejsce swoim wczorajszym wygłupem, sprofanowałeś je doszczętnie. Finał w dzinsach, makijażu i z kolczykiem? Chłopie, powiem ci coś bardzo ważnego: jeśli masz zamiar się tak zachowywać, jeśli będziesz ubierał się jak panienka, to powiem ci, co zrobię. W następnym turnieju każę ci założyć spódniczkę. Skontaktowałem się z Ellesse i poprosiłem ich, by wysłali nam kilka spódniczek dla ciebie i założysz je, o tak, bo jeśli taki jesteś, to tak będziemy cię traktować.

Dwie setki uczniów gapią się na mnie. Cztery setki oczu utkwione są we mnie. Wielu się śmieje.

Nick ciągnie dalej: Od tej chwili twój wolny czas zostaje zawieszony. Twój wolny czas należy teraz do mnie. Masz karniaka, panie Agassi. Między dziewiątą a dziesiątą będziesz czyścił wszystkie toalety. Kiedy zostaną już wyszorowane, będziesz patrolował teren. Jeśli ci się to nie podoba, cóż, sprawa jest prosta. Wyjedź. Jeśli masz się zachowywać tak jak wczoraj, to nie chcemy cię tutaj. Jeśli nie jesteś w stanie wykazać, że zależy ci na tym miejscu tak jak nam, to pa, pa.

Ostatnie słowa, pa, pa, brzmią mi wciąż w uszach i roznoszą się po pustych kortach.

To tyle chciałem powiedzieć, stwierdza. Wszyscy wracać do zajęć.

Uczniowie pierzchają, a ja stoję, próbując zdecydować, co mam robić. Mógłbym skłąć Nicka. Mógłbym mu zagrozić. Mógłbym zacząć rozróbę. Myślę o Phillym, potem o Perrym. Co oni by mi radzili zrobić? Myślę o moim ojcu i o tym, jak matka posłała go do szkoły w dziewczęcych ciuchach, żeby go upokorzyć. Tego dnia został wojownikiem.

Nie ma czasu na dywagacje. Gabriel informuje, że moja kara zaczyna się od zaraz. Przez resztę popołudnia, mówi, na kolanka i plewimy. Chwasty.

O zmierzchu, uwolniony od worka z zielskiem, wchodzę do swojej sali. Już się nie waham. Precyzyjnie wiem, co mam robić. Wrzucam ciuchy do torby i idę w stronę autostrady. Przez głowę przelatuje mi myśl, że to przecież Floryda i jakiś niedorozwinięty maniak może mnie zabrać z drogi i nikt już o mnie nie usłyszy. Ale lepiej podróżować z maniakiem, niż zostać z Nickiem.

Mam w portfelu kartę kredytową, którą dał mi ojciec na wszelki wypadek, i myślę, że teraz właśnie nadszedł ten kryzysowy moment.

Kieruję się na lotnisko. Jutro o tej porze będę siedział w pokoju Perry'ego i opowiadał mu całą historię.

Mam oczy szeroko otwarte i szukam wzrokiem szperaczy. Nasłuchuję poszczekiwania ogarów z pogoni. Wystawiam kciuk do góry.

Zatrzymuje się jakiś samochód. Otwieram drzwi i rzuca torbę na tylne siedzenie. To Julio, porządkowy z załogi Nicka. Mówi, że w szkole czeka na mnie ojciec przy telefonie i chce ze mną rozmawiać – ale już.

Wolałbym te ogary.

Mówię ojcu, że chcę wrócić do domu. Relacjonuję, co zrobił Nick.

Ubierasz się jak pedał, stwierdza. Zdaje się, że sobie na to zasłużyłeś.

Przechodzę do planu B.

Tato, skarżę się, Nick psuje mi tenisowe nawyki. Wszystko tu polega na uderzaniu z linii końcowej – nie pracujemy nad moją grą przy siatce. Nie pracujemy nad serwisem czy wolejami.

Ojciec mówi, że chce pogadać z Nickiem na temat mojej gry. Mówi też, że Nick zapewnił go, że kara będzie trwała tylko przez kilka tygodni, żeby wiadomo było, kto tu rządzi. Nie może być tak, że jeden chłopak ma w nosie wszystkie zasady. Muszą pokazać, że potrafią utrzymać dyscyplinę.

Koniec końców ojciec decyduje, że zostaję. Nie mam wyboru. Trzask. Sygnał ciągły.

Julio zamyka drzwi. Nick zabiera mi słuchawkę z dłoni i mówi, że ojciec kazał mu zabrać mi kartę kredytową.

Nie ma mowy, żebym oddał swoją kartę. Jedyne sposoby na to, żeby się stąd wyrwać? Po moim trupie.

Nick stara się ze mną negocjować, a ja nagle sobie uświadamiam: On mnie potrzebuje. Wysłał za mną Julia, dzwonił do mego ojca, a teraz chce mi zabrać kartę kredytową? Powiedział mi, że mam wyjechać, a kiedy sobie poszedłem, ściągnął mnie z powrotem. Sprawdzam jego blef. Pomimo kłopotów, jakie sprawia, najwyraźniej jestem dla niego coś wart.

Za dnia jestem wzorowym więźniem. Plewię chwasty, czyszcze kible, zakładam strój tenisowy. Wieczorami zmieniam się w zamaskowanego mściciela. Wykradam klucz uniwersalny do akademii i kiedy wszyscy już śpią, idę powałęsać się z grupą innych pozbawionych złudzeń uczniów. Gdy ja zatracam się w pomniejszych aktach wandalizmu, takich jak rzucanie bomb z kremu do golenia, moi współnicy malują ściany

w wymyślne graffiti, a na drzwiach biura wypisują slogan: Nick Kutafon. Kiedy Nick każe przemalować drzwi, powtarzają ten numer.

Do podstawowej kohorty spiskowców nocnych wypadów należy Roddy Parks, ten sam chłopak, który dawno temu mnie pokonał, kiedy to poznałem Perry'ego. Roddy zostaje przyłapany. Jego kolega z pryczy puścił farbę. Słyszę, że Roddy został wydalony ze szkoły. I teraz już wiemy, co wystarczy, żeby zostać wyrzuconym. Nick Kutafon. Trzeba przyznać, że Roddy przyjął tę decyzję po męsku. Nie podkablował żadnego z nas.

Oprócz nocnych wygłupów moje postępowanie opiera się na przysiędze milczenia. Ślubuję, że tak długo, jak długo będę żył, nie odezwę się do Nicka wprost. To jest mój kodeks, moja religia i moja nowa tożsamość. Właśnie tym jestem, chłopakiem, który milczy. Oczywiście Nick niczego nie zauważa. Chodzi po korytarzu i mówi coś do mnie, a ja nie odpowiadam. Wzrusza ramionami. Ale inni uczniowie widzą, że nie odpowiadam. Mój status rośnie.

Jednym z powodów całkowitej nieświadomości Nicka jest to, że ma na głowie organizowanie turnieju, który przyciągnie najlepszych młodzików z całego kraju – taką ma nadzieję. Dzięki temu wpadam na kolejny pomysł, jak mu dopiec. Biorę na stronę jednego z instruktorów i napomykam o pewnym chłopaku z Vegas, który idealnie nadawałby się na ten turniej. Jest niezwykle utalentowany, mówię. Za każdym razem, kiedy gramy, sprawia mi nieliczne problemy.

Jak się nazywa?

Perry Rogers.

Położyłem świeżą przynętę w pułapce na Nicka. On teraz żyje odkrywaniem nowych gwiazd i umieszczaniem ich na turniejowej liście. Nowe gwiazdy wywołują zainteresowanie. Nowe gwiazdy przydają blasku Akademii Bollettieriego i podnoszą prestiż samego Nicka jako tenisowego mentora młodzieży. I tak w kilka dni później Perry otrzymuje bilet lotniczy i osobiste zaproszenie na turniej. Leci na Florydę i taksówką przyjeżdża do szkoły. Spotykam się z nim i rzucamy się sobie w objęcia, omawiając numer, jaki mamy zamiar wyciąć Nickowi.

Z kim będę musiał grać?

Z Murphym Jensenem.

O, nie. Jest świetny!

Nie łam się. Dopiero za kilka dni. A teraz musimy to uczcić.

Jedną z licznych zachęt dla uczestników turnieju jest wycieczka do Busch Gardens w Tampa. Po drodze do parku rozrywki wprowadzam Perry'ego we wszystko, opowiadam mu o publicznym upokorzeniu, opisuję, jak mi tutaj źle. I w szkole Bradenton też. Mówię mu, że pewnie wszystko obleję. I widzę, że tu jest w kropce. Po raz pierwszy nie potrafi dobrze pojąć całego problemu. On kocha szkołę. Marzy o pójściu na jakąś dobrą uczelnię na wschodzie, a potem na prawo.

Zmieniam temat. Wypytyuję go o Jamie. Czy wspominała o mnie? Jak wygląda? Czy nosi moją bransoletkę na kostce? Mówię Perry'emu, że chciałbym, aby przywiózł jej z Florydy jakiś wspaniały prezent ode mnie, coś wyjątkowego. Może coś ładnego uda się znaleźć w Busch Gardens.

To byłoby niezłe, zgadza się.

Jesteśmy w Busch Gardens dopiero jakieś dziesięć minut, kiedy Perry dostrzega budkę pełną pluszowych zwierząt. Na jednej z wysokich półek siedzi olbrzymia czarno-biała panda z rozłożonymi łapami i wystającym czerwonym językiem.

Andre, musisz to posłać Jamie!

No tak, ale panda nie jest na sprzedaż. Trzeba wygrać główną nagrodę, a nikt tutaj nie wygrywa. To ustalone. Nienawidzę, gdy coś jest z góry ustalone.

Eee. Trzeba tylko zarzucić dwa gumowe kółka na butelkę coli. Jesteśmy sportowcami. Uda się nam.

Próbujemy przez pół godziny, rozrzucając gumowe kółka po całej budce. Ani jedno z nich nawet się nie zbliża do butelki.

No dobra, mówi Perry. Zrobimy tak. Ty zagadasz panią, która prowadzi ten teatrzyk, a ja zakradnę się od tyłu i założę dwa kółka na butelkę.

Bo ja wiem. A jak nas nakryje?

Ale przypominam sobie: To dla Jamie. Dla Jamie wszystko.

Przywołuję obsługującą: Przepraszam panią, mam do pani pytanie.

Odwraca się: Tak?

Pytam o jakąś błażostkę dotyczącą zasad rzutu kółkiem. Kątem oka widzę, jak Perry na paluszkach wchodzi do budki. Po czterech sekundach wraca na miejsce.

Wygrałem! Wygrałem!

Obsługująca obraca się na pięcie. Widzi dwie butelki coli z założonymi gumowymi kółkami. Wygląda na prawdziwie wstrząśniętą. A później powątpiewa:



Zaraz, zaraz, chłopcze...

Wygrałem! Proszę o pandę!

Nie widziałam...

To nie mój problem, że pani nie widziała. Nie ma tego w zasadach, że pani musi widzieć. Gdzie jest napisane, że pani musi widzieć? Chcę mówić z kierownikiem! Niech pan Busch Gardens sam się tu zjawi! Zapłaciłem dolara, żeby zagrać, a to oznacza zawarcie umowy. Wisi mi pani pandę. Pozwę was. Mój ojciec was pozwie. Ma pani trzy sekundy, by dać mi pandę, którą wygrałem uczciwie, do jasnej cholery!

Perry robi to, co uwielbia, czyli gada. Robi to, co jego ojciec, czyli sprzedaje eter. A obsługująca robi to, czego nienawidzi – pracuje w budce w parku rozrywki. Żaden przeciwnik. Nie chce mieć kłopotów i niepotrzebny jest jej ból głowy. Za pomocą długiej żerdzi zdejmuje pandę i podaje ją. Jest niemal tak duża jak Perry. Ten chwyt ją, jakby była wielkim chipwichek, i uciekamy, zanim obsługująca zmieni zdanie.

Przez resztę wieczoru chodzimy wszędzie w trójkę – Perry, ja i panda. Prowadzimy ją do baru z przekąskami, do toalety i na rollercoaster. Jakbyśmy opiekowali się oczadziłą czternastolatką. Z prawdziwą pandą byłoby mniej kłopotów. Kiedy przychodzi czas na powrót do autobusu, jesteśmy obaj wykończeni i z radością rzucamy pandę na jej miejsce, które całe wypełnia. Ma rozmiary równie imponujące co wzrost.

Mówię: Mam nadzieję, że spodoba się Jamie.

Perry na to: Będzie ją ubóstwiała.

Jakaś mała dziewczynka siada za nami. Ma może z osiem, dziewięć lat. Nie potrafi oderwać wzroku od tej pandy. Ćwierka coś do niej i głaszcze po futerku.

Jaka piękna panda! Skąd ją macie?

Wygraliśmy.

A co z nią zrobicie?

Dam ją koleżance.

Pyta, czy może usiąść koło pandy. Pyta, czy może ją przytulić. Mówię, że proszę bardzo.

Chciałbym, żeby Jamie choć w połowie polubiła pandę tak jak ta dziewczynka.

Razem z Perrym kręcimy się rano po naszym baraku, kiedy Gabriel wsadza głowę przez drzwi.

Stary chce cię zobaczyć.

W jakiej sprawie?

Gabriel wzrusza ramionami.

Idę wolno, nie spieszę się. Zatrzymuję się przed drzwiami biura Nicka i uśmiechając się nieznacznie, przypominam sobie: Nick Kutafon. Będzie nam ciebie brakować, Roddy.

Nick siedzi za biurkiem rozparty w wysokim, skórzanym fotelu.

Wejdz, Andre, wejdz.

Siadam na drewnianym krześle naprzeciw niego.

Chrząka. Byliście wczoraj w Busch Gardens. Dobrze się bawiłeś?

Nie mówię nic. Czeka. Znów chrząka.

Cóż, jak słyszałem, przywiozłeś do domu wielką pandę.

Wciąż patrzę wprost przed siebie.

No właśnie, kontynuuje, moja córka zakochała się w tym pluszaku. Cha, cha, cha.

Przypominam sobie dziewczynkę z autobusu. Oczywiście – to córka Nicka. Jak mogłem to przegapić?

Wciąż mówi tylko o niej, dodaje Nick. No to zrobmy tak. Chcę kupić od ciebie tę pandę.

Cisza.

Słyszysz mnie, Andre?

Cisza.

Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Cisza.

Gabriel, dlaczego Andre się nie odzywa?

On z tobą nie rozmawia.

Od kiedy?

Gabriel marszczy czoło.

Słuchaj no, Andre, po prostu powiedz, ile chcesz za tę pandę.

Nawet mi nie drgnie powieka.

Wiem. To może napiszesz, ile za nią chcesz?

Podsuwa mi kawałek papieru. Nie ruszam się.

Może chciałbyś dwieście dolarów.

Głucha cisza.

Gabriel mówi, że później porozmawia ze mną w sprawie pandy.

Pewnie, zgadza się Nick. Dobra. Przemyśl to sobie, Andre.

Nigdy w to nie uwierzysz, opowiadam Perry'emu w baraku. Chciał dostać pandę. Dla córki. To ta mała z autobusu, córka Nicka.

Jaja sobie robisz. I co powiedziałeś?

Nic nie powiedziałem.

Jak to nic?

Śluby milczenia, pamiętasz? Na zawsze.

Andre, pojechałeś. Nie, nie, to niedobrze. Będziesz musiał to szybko skorygować. Numer jest tego rodzaju. Weźmiesz tę pandę, zaniesiesz ją Nickowi i powiesz mu, że nie chcesz jego forsy, tylko szansy na sukces i wyrwanie się z tego miejsca. Zażadasz dzikich kart, dostępu do prawdziwych turniejów, zmiany zasad postępowania z tobą. Lepszego jedzenia, poprawy warunków. A przede wszystkim tego, że nie będziesz musiał chodzić do szkoły. To jest twoja szansa na wolność. Teraz masz czym targować.

Nie dam temu okurwieńcowi mojej pandy. Po prostu nie mogę. Poza tym, co mam dać Jamie?

Później będziemy się przejmować Jamie. Mówimy tu o twojej przyszłości. Musisz dać Nickowi tę pandę!

Gadamy jeszcze długo po zgaszeniu świateł, kłócąc się żarliwie szeptem. W końcu Perry mnie przekonuje.

A więc, mówi, ziewając, dasz mu ją jutro.

Nie. Gadanie baranie. Idę do biura teraz. Wejdę tam, używając klucza uniwersalnego, i posadzę pandę na wysokim skórzanym fotelu Nicka, tyłkiem do góry.

Następnego dnia rano, przed śniadaniem znów przychodzi po mnie Gabriel.

Biuro. Biegusiem.

Nick siedzi w swoim fotelu. Panda już siedzi pochylona w rogu, gapiąc się w przestrzeń. Nick spogląda na nią, potem na mnie. Mówi: Ty się nie odzywasz. Nosisz makijaż. Zakładasz dzinsy na turniej. Wkręcasz mnie, żebym zaprosił twojego kumpla Perry'ego na turniej, chociaż nie umie grać i tylko żuje gumę, kiedy się przemieszcza. I do tego ta fryzura. Nawet mnie nie wkurzaj tą fryzurą. A teraz dajesz mi coś, o co proszę, ale włamujesz się do mojego biura w środku nocy i kładziesz tego zwierzaka dupą do góry na moim fotelu? Jak ty się w ogóle, do kurwy nędzy, tu dostałeś? Jezu, chłopaku, co z tobą?

Chce pan wiedzieć, co ze mną?

Nawet Nick jest wstrząśnięty brzmieniem mego głosu.

Krzyczę: Raczej co z panem, kurwa mać! Z panem! I jeśli do tej pory pan na to nie wpadł, to jest pan głupszy, niż ustawa przewiduje. Mam pan w ogóle pojęcie, jak tutaj jest naprawdę? Jak to jest mieszkać prawie pięć tysięcy kilometrów od domu, żyć jak w jakimś więzieniu, budzić się o wpół do siódmej, w pół godziny wpieprzać to kijowe śniadanie, ładować się do rozklekotanego rzecha i jechać do tej gównianej szkółki na cztery godziny, potem biegiem z powrotem, znów porcja kupy na talerzu i szybko na kort, i tak dzień za dniem? Ma pan pojęcie, co? Jedyna rzecz, na którą się czeka, na prawdziwą cotygodniową zabawę, zaczyna się w sobotni wieczór w centrum handlowym Bradenton – i teraz jeszcze to człowiekowi zabierają! Pan mi to odebrał! Ta szkoła to piekło i chcę ją spalić, tak żeby kamień na kamieniu nie został!

Nick ma większe oczy niż panda. Ale nie jest zły. Ani smutny. Wygląda na nieznacznie zadowolonego, bo to jest jedyny język, jaki rozumie. Przypomina mi Ala Pacino w *Człowieku z blizną*, kiedy ta kobieta oznajmia: *Z kim, dlaczego, kiedy i jak się z kimś pierdolę, to nie twoja sprawa*, a na to Pacino: *No, nareszcie gadasz do rzeczy, mała*.

Uświadamiam sobie, że Nick lubi prosto z mostu.

Dobra, powiedziałaś, co ci leży na wątrobie. Czego chcesz?

Słyszę głos Perry'ego.

Chcę rzucić szkołę i zacząć się uczyć korespondencyjnie, żebym mógł poświęcić na grę jak najwięcej czasu. Chcę, żeby mi pan pomógł, zamiast wciskać kit. Chcę mieć dzikie karty i dostęp do turniejów. Chcę iść w stronę zawodowstwa.

Oczywiście tak naprawdę wcale tego nie chcę. Perry powiedział mi, czego mam chcieć, i to jest lepsze od tego, co mam teraz. Nawet stawiając te żądania, mam ambiwalentne odczucia. Nick zerka na Gabriela, Gabriel zerka na mnie, a panda patrzy na nas wszystkich.

Przemyślę to, oznajmia Nick.

W kilka godzin po wyjeździe Perry'ego do Vegas Nick przez Gabriela zawiadamia mnie, że dostanę swoją pierwszą dziką kartę na wielki turniej w La Quincie. Ponadto wciągnie mnie na kolejny challenger na Florydzie. Co więcej, mogę już zapomnieć o szkole Bradenton. Ustawi dla mnie program korespondencyjny, tylko musi się zastanowić jak.

Gabriel wychodzi z uśmiechem na ustach. Wygrałeś, mały.

Patrzę, jak wszyscy oprócz mnie wsiadają do szkolnego autobusu, który po chwili odjeżdża w kłębach czarnego dymu, a ja siadam na ławce i zaczynam się wygrzewać w słońcu. Mówię sobie: masz czternaście lat i już nie będziesz musiał chodzić do szkoły. Od tej chwili każdy poranek będzie niczym połączenie Gwiazdki i pierwszego dnia wakacji. Na mojej twarzy pojawia się uśmiech – pierwszy od wielu miesięcy. *Precz z wkuwaniem, precz z wyzyskiem, precz z belferskim wrednym pyskiem\**. Jesteś wolny, Andre. Nigdy już nie będziesz musiał się niczego uczyć na siłę.

\* Cytat ze słynnego utworu Alice Coopera *School's Out* (1971), który na stałe wszedł do języka potocznego w USA (przyp. tłum.).



Wkładam w ucho kolczyk i biegnę na korty. Mam cały ranek dla siebie, wyłącznie dla siebie i poświęcam go na odbijanie piłek. Uderzaj mocniej. Odbijam przez dwie godziny, wkładając w każdy zamach radość z odzyskanej wolności. Czuję różnicę. Piłka wystrzeliwuje z mojej rakiety. Pojawia się Nick i kręci głową. Aż mi żal twojego kolejnego przeciwnika, mówi.

Tymczasem w Las Vegas mama zaczyna w moim imieniu korespondować ze szkołą. Pierwszy list wysyła do mnie. Pisze w nim, że może i jej syn nie ukończy college'u, ale z całą pewnością skończy szkołę. Odpisuję, dziękując jej za odrabianie moich zadań i zdawanie testów. Ale kiedy zdobędzie dyplom, dodaję, może go sobie zatrzymać.

W marcu 1985 roku lecę do Los Angeles i zatrzymuję się u Philla, który mieszka w jakimś wynajętym domku, daje lekcje tenisa i szuka tego, co najważniejsze w życiu. Pomaga mi w treningach do La Quindy, jednego z największych turniejów w roku. Domek jest niewielki, mniejszy niż nasz pokój w Las Vegas, mniejszy niż nasz wynajęty omni, ale nie przeszkadza nam to, bo cieszymy się z ponownego spotkania, pokładając nadzieję w tym, co los mi szykuje. Jest tylko jeden problem: nie mamy pieniędzy. Żywimy się pieczonymi ziemniakami i zupą z soczewicy. Później wpadamy na pomysł polewania ziemniaków zupą z soczewicy i *voilà* – podano

śniadanie, lunch i obiad. Cały posiłek kosztuje osiemdziesiąt dziewięć centów i pozwala zapomnieć o głodzie na trzy godziny.

Na dzień przed turniejem jedziemy poobijanym gruchotem Philla do La Quinty. Samochód wyrzuca z siebie wielkie kłęby czarnego dymu. Mamy wrażenie, jakbyśmy podróżowali za pomocą przenośnej letniej burzy.

Może powinniśmy włożyć ziemniaka do rury wydechowej, żartuję.

Pierwszy przystanek robimy przy spożywczym. Stoję przed skrzynką z ziemniakami i mój żołądek wywraca się na drugą stronę. Nie jestem w stanie zmierzyć się z kolejną pyrą. Odchodzę, idę dalej między półki i trafiam na dział z mrożonkami. Moje oko dostrzega szczególnie smakowity kasek. Lody oreo w waflu. Sięgam po nie niczym lunatyk. Biorę pudełko tych lodów z chłodziarki. W drodze do kasy spotykam mojego brata. Wślizgując się za nim od tyłu, delikatnie kładę pudełko z lodami na taśmie.

Spogląda na nie, potem na mnie.

Nie stać nas na to.

Zjem to zamiast ziemniaka.

Podnosi pudełko, patrzy na cenę i wydaje z siebie gwizdnięcie. Andre, to kosztuje tyle co dziesięć ziemniaków. Nie możemy.

Wiem. Kurwa.

Wracając do chłodziarki, myślę: Nienawidzę Philla. Kocham Philla. Nienawidzę ziemniaków.

Zamroczony z głodu wychodzę na kort, by pokonać Brodericka Dyke'a w pierwszej rundzie turnieju La Quinta 6–4, 6–4. W drugiej rundzie wygrywam z Rillem Baxterem 6–2, 6–1. W trzeciej rundzie pokonuję Russela Simpsona 6–3, 6–3. Następnie wygrywam swoją pierwszą rundę w turnieju głównym, grając przeciwko Johnowi Austinowi 6–4, 6–1. Po przerwie w pierwszym secie wpadam jak burza na kort. Mam piętnaście lat i pokonuję dorosłych mężczyzn, łożę im skórę, przepychając się przez rankingi. Wszędzie ludzie pokazują mi sobie palcami i szepczą: O, to ten. To jest ten chłopak, o którym ci mówiłem – fenomen. Jest to najpiękniejsze określenie, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Nagroda za dotarcie do drugiej rundy w La Quincie wynosi dwa tysiące sześćset dolarów, ale jestem amatorem, więc nic nie dostaję. Mimo to Philly dowiaduje się, że organizatorzy będą zwracać zawodnikom koszty. Siedzimy w jego gruchocie i wymyślamy wyimaginowaną listę wydatków, włącznie z domniemanym lotem pierwszą klasą z Las Vegas, noclegiem

w pięciogwiazdkowym hotelu oraz wystawnymi posiłkami w restauracji. Wydaje się nam, że jesteśmy przebiegli, bo nasze wydatki wynoszą dokładnie dwa tysiące sześćset dolarów.

Mamy czelność, żeby tyle żądać, bo jesteśmy z Vegas. Całe dzieciństwo spędziliśmy w otoczeniu kasyn. Uważamy się za urodzonych pokerzystów. Uważamy się za życiowych ryzykantów, wytrawnych graczy. W końcu nauczyliśmy się, jak obstawiać, zanim poznaliśmy tajniki siadania na nocnik. Ostatnio, kiedy szliśmy w Phillym przez kasyno Caesars, mijając jednorękiego bandytę, usłyszeliśmy, jak gra starą melodię z czasów kryzysu *We're in the Money*\*. Zналиśmy tę melodię dzięki tacie, pomyśleliśmy więc, że to jakiś znak. Nie przyszło nam do głowy, że jednoręki bandyta grał tę melodię przez cały dzień. Usiedliśmy przy najbliższym stole do blackjacka i wygraliśmy. Teraz z tą samą buńczucznością wynikającą z naiwności zanoszę naszą listę wydatków do dyrektora turnieju Charliego Pasarella, a Philly czeka w samochodzie.

\* Czujemy już forszę (przyp. tłum.).

Charlie to były zawodnik. Zagrał nawet najdłuższy mecz w historii męskiego singla na Wimbledonie z Pancho Gonzalezem. Pancho jest teraz moim szwagrem – ostatnio wziął ślub z Ritą. Kolejny znak świadczący o tym, że wraz z Phillem czujemy już forszę. Jednak najbardziej dobitnym znakiem ze wszystkich jest to, że jednym z najstarszych kumpli Charliego jest Alan King, organizator turnieju, który widziałem w Vegas, kiedy na kort wjeżdżały taczki ze srebrnymi dolarami i gdzie podawałem piłki wraz z Wendi, tam też po raz pierwszy wszedłem na kort o profesjonalnych wymiarach. Znaki, wszędzie te znaki. Kładę listę na biurku Charliego i robię krok w tył.

Hmm, mruczy Charlie, spoglądając na listę. Bardzo ciekawe.

Słucham?

Zwykle wydatki nie pokrywają się tak precyzyjnie.

Czuję przyływ gorąca.

Twoje wydatki, Andre, wynoszą dokładnie tyle, ile nagroda, którą mógłbyś odebrać, gdybyś był zawodowcem.

Charlie spogląda na mnie znad zsuniętych na nos okularów. Czuję, że moje serce kurczy się do rozmiarów ziarnka soczewicy. Zastanawiam się, czy po prostu nie uciec. Wyobrażam sobie Philla i siebie, mieszkających w gościnnym domku do końca życia. Charlie, tłumiąc śmiech, sięga jednak do kasy i wyjmuje plik banknotów.



Masz tu dwa patyki, mały. I nie naciskaj mnie o te sześć stów.

Dziękuję panu. Bardzo panu dziękuję.

Wybiegam na zewnątrz i daję nura do samochodu Philla. On rusza z piskiem opon, jakbyśmy właśnie obrobili największy bank w La Quincie. Odliczam tysiąc dolarów i rzucam nimi w brata.

Twoja działka z łupu.

Co? Nie! Andre, ciężko na to pracowałeś, brachu.

Jaja sobie robisz? Pracowaliśmy razem. Philly, nie udałoby mi się to bez ciebie! Niemożliwe! Tkwimy w tym razem po uszy, stary.

Obydwaj mamy w pamięci owe trzysta dolarów, z którymi obudziłem się pewnego ranka. Myślmy też o tych godzinach, które spędziliśmy w naszym pokoiku i dzieliliśmy się wszystkim. Podczas jazdy nachyla się w moją stronę i ściska mnie. Później ustalamy, dokąd pojedziemy na obiad. Ślinimy się, chłonąc wzrokiem mijane restauracje. W końcu decydujemy, że okazja jest szczególna i niepowtarzalna, więc wymaga odpowiedniego potraktowania.

Sizzler<sup>\*\*</sup>.

\*\* Sizzler – sieć amerykańskich restauracji z pięćdziesięcioletnią tradycją, której specjalnością są smażone potrawy (przyp. tłum.).

Już mam w ustach smak żeberek, odzywa się Philly.

Ja nie zamierzam poprzestać na zamawianych daniach. Za chwilę wsadzę głowę do misek z sałatkami.

Mają w ofercie krewetki, których możesz zjeść tyle, ile chcesz.

Będą żałować, że w ogóle wpadli na ten pomysł!

Jestem z tobą, brachu!

Przegryzamy się przez Sizzlera w La Quincie, nie zostawiając ani jednego ziarenka, ani jednej grzanki za sobą, a potem siedzimy obok siebie i gapimy się na pieniądze, które nam zostały. Układamy banknoty w rzędy, w stosy, głaszczemy je. Rozmawiamy o naszym nowym kumplu Benjaminie Franklinie. Jesteśmy tak napompowani kaloriami, że najchętniej zaczęlibyśmy prasować te banknoty żelazkiem, delikatnie wygładzając zmarszczki na obliczu Bena.



Wciąż mieszkam i trenuję w Akademii Bollettieriego z Nickiem jako trenerem i czasami towarzyszem podróży, choć bardziej recenzentem moich pomysłów. I mówiąc szczerze, przyjacielem. Nasze zawarte naprędce przymierze przemieniło się w zadziwiająco harmonijną profesjonalną znajomość. Nick uszanował to, że mu się postawiłem, a ja szanuję go za to, że dotrzymuje słowa. Ciężko pracujemy, by osiągnąć wspólny cel – by podbić świat tenisa. Nie spodziewam się wiele po Nicku, jeśli chodzi o strategię – oczekuję po nim współpracy, a nie informacji. Tymczasem on oczekuje po mnie, że moje zwycięstwa trafią do gazet, co pomoże jego akademii. Nie płacę mu pensji, bo nie mogę, ale obaj wiemy, że jeśli przejdę na zawodowstwo, będzie dostawał premię w zależności od moich wygranych. Uważa, że to bardzo hojna oferta z mojej strony.

Wczesną wiosną 1986 roku przemierzam całą Florydę, grając w serii turniejów satelickich. W Kissimmee, Miami, Sarasocie i Tampie. Po roku ciężkiej pracy, który w całości poświęciłem tenisowi, gram dobrze, trafiając do piątego turnieju z serii, do Masters. Dochodzę do finału. I chociaż przegrywam, przysługuje mi czek dla finalisty w wysokości tysiąca stu dolarów.

Chcę go wziąć. Aż mnie skręca, żeby go wziąć. Phillowi i mnie przydałyby się pieniądze. Jednak jeśli przyjmę czek, stanę się już na zawsze

zawodowym tenisistą i nie będzie od tego odwrotu ani amnestii.

Dzwonię do ojca do Vegas i pytam go, co mam robić.

Mój ojciec odpowiada: Jak to co masz robić, do diabła? Bierz forszę.

Jeśli wezmę pieniądze, nie będzie odwrotu. Zostanę zawodowcem.

No i?

Jeśli zrealizuję czek, tato, to po ptokach.

Zachowuje się, jakby były jakieś zakłócenia na linii.

Rzuciłeś szkołę! Masz osiem klas. Jaki masz wybór? Co innego, do cholery, mógłbyś robić w życiu? Chcesz zostać lekarzem?

To dla mnie nic nowego, ale nienawidzę sposobu, w jaki mi to komunikuje.

Mówię szefowi turnieju, że wezmę pieniądze. Kiedy padają te słowa, czuję, jak ulatują gdzieś wszelkie inne możliwości. Nie wiem, jakie mogłyby być, ale – i o to właśnie chodzi – nigdy się nie dowiem. Dyrektor podaje mi czek i gdy wychodzę z jego biura, mam wrażenie, jakbym ruszył długą, bardzo długą drogą, taką, która wiedzie do ciemnego, złowieszczonego lasu.

Jest dwudziesty dziewiąty dzień kwietnia 1986 roku. Moje szesnaste urodziny.

Niedowierzając, powtarzam sobie przez cały dzień: Teraz jesteś zawodowcem. Właśnie tak. Właśnie tym jesteś. Nieważne, ile razy to powtarzam, za każdym razem brzmi fałszywie.

Niewątpliwie dużą zaletą mojej decyzji jest to, że teraz ojciec w trasę wysyła ze mną Philla, by pomagał mi w szczegółach, niemających końca detalach i niuansach bycia zawodowcem, poczynawszy od wynajmowania samochodu, przez rezerwację pokoju hotelowego, a skończywszy na naciąganiu rakiet.

Potrzebujesz go, mówi mi tato. Ale wszyscy trzej wiemy, że Philly i ja potrzebujemy się nawzajem.

W dzień po tym, gdy zostałem zawodowcem, Philly dostaje telefon od Nicka, że jest szansa na podpisanie umowy sponsorskiej. W restauracji Rudy Pelikan spotykamy się z przedstawicielem firmy Nike z Newport Beach. Nazywa się Ian Hamilton.

Zwracam się do niego per panie Hamilton, ale jak twierdzi, powinienem do niego mówić Ian. Uśmiecha się w taki sposób, że do razu mu ufam. Philly jednak pozostaje czujny.

Chłopcy, zaczyna Ian, myślę, że Andre ma przed sobą jasną przyszłość.

Dziękuję.

Chciałbym, żeby firma Nike była częścią tej przyszłości, żeby była partnerem w tej przyszłości.

Dziękuję.

Chciałbym zaproponować wam dwuletnią umowę.

Dziękuję.

Podczas jej trwania Nike zapewni wam sprzęt i zapłaci dwadzieścia tysięcy dolarów.

Za dwa lata?

Za każdy rok.

Ach.

Philly się wtrąca: A co Andre miałby robić w zamian za te pieniądze?

Ian wygląda na zdezorientowanego. Cóż, mówi, Andre będzie robił to, co do tej pory, chłopcze. Będzie dalej Andre. I będzie nosił rzeczy Nike.

Philly i ja spoglądamy po sobie, dwóch chłopaków z Vegas, którzy wciąż uważają, że wiedzą, jak blefować. Ale znikły już gdzieś nasze pokerowe twarze. Zostawiliśmy je w Sizzlerze. Nie możemy uwierzyć, że to się dzieje naprawdę i nie umiemy udawać, że jest inaczej. Przynajmniej Philly ma wciąż odrobinę oleju w głowie i odpowiada Ianowi, że musimy odejść na stronę. Potrzebujemy kilku chwil w samotności, by przedyskutować tę propozycję.

Pospiesznie udajemy się na tyły Rudego Pelikana, by zadzwonić do ojca.

Tato, szepczę, Philly i ja jesteśmy tu z facetem z Nike i on proponuje mi dwadzieścia tysięcy dolarów. Co o tym myślisz?

Zażądaj więcej.

Naprawdę?

Więcej forsy! Zażądaj więcej!

Kończy rozmowę. Razem z Phillym ćwiczymy, co mamy powiedzieć. Odgrywam swoją rolę, a on rolę Iana. Ludzie mijają nas w drodze do toalety, myśląc, że powtarzamy jakiś skecz. W końcu idziemy jak gdyby nigdy nic do stolika. Philly podaje naszą propozycję. Więcej pieniędzy. Ma poważną minę. Wygląda, nic na to nie poradzę, jak nasz ojciec.

Dobra, zgadza się Ian. Myślę, że jakoś się dogadamy. Mam budżet na drugi rok na dwadzieścia pięć tysięcy. Umowa stoi?

Ściskamy sobie dłonie. Później wszyscy wychodzimy z Rudego Pelikana. Philly i ja czekamy, aż Ian odjedzie, po czym zaczynamy podskakiwać i śpiewać *We're in the Money*.

Możesz w to uwierzyć?

Nie, odpowiada Philly. Szczerze? Nie, nie mogę.

Mogę prowadzić z powrotem do L.A.?

Nie. Trzęsą ci się ręce. Wjedziesz na pas zieleni na autostradzie, a na to sobie pozwolić nie możemy. Jesteś wart dwadzieścia kawałków, brachu!

I dwadzieścia pięć na drugi rok.

Przez całą drogę do domu Philla przewodnim tematem naszych rozmów jest kwestia, jaki model taniego, ale fajnego wozu kupimy. Głównie chodzi o to, by kupić taki wózek, który nie strzela kłębamii czarnego dymu z rury wydechowej. Zajechanie przed Sizzlera samochodem, który nie dymi – to byłby dopiero szczyt luksusu.

Mój pierwszy turniej jako zawodowca odbywa się w Schenectady, w stanie Nowy Jork. Docieram do finału turnieju z pulą nagród sto tysięcy dolarów, po czym przegrywam z Rameshem Krishnanem 6–2, 6–3. Jednak nie czuję się źle. Krishnan jest wielki, lepszy niż jego rankingowa pozycja czterdziesta któraś, a ja jestem nieznanym nikomu nastolatkiem, grającym w finale w miarę ważnego turnieju. To niezwykła rzadkość – przegrana bez uczucia porażki. Odczuwam nawet przypływ nadziei, bo wiem, że mógłbym zagrać lepiej, i jestem pewny, że Krishnan też to wie.

Następnie jadę do Stratton Mountain w stanie Vermont, gdzie pokonuję Tima Mayotte'a, który jest dwunasty w rankingu. W ćwierćfinale gram z Johnem McEnroe, czyli równie dobrze mógłbym grać z Johnem Lennonem. Jest żywą legendą. Dorastałem, patrząc, jak gra, podziwiałem go, chociaż często kibicowałem przeciwko niemu, bo jego arcyrywal Borg, był moim idolem. Bardzo by było miło, gdyby udało mi się pokonać Maca, ale to jest jego pierwszy turniej po krótkiej przerwie. On jest wypoczęty, gotowy do walki, poza tym niedawno wskoczył na pierwszą pozycję w rankingu światowym. Tuż przed wejściem na kort zastanawiam się, dlaczego taki zdolny i świetny zawodnik jak Mac potrzebuje w ogóle przerwy. Następnie pokazuje mi dlaczego. Demonstruje przede mną zalety odpoczynku. Pokonuje mnie gładko 6–3, 6–3. Jednak podczas tego przegranego meczu udaje mi się zagrać jedną bombową piłkę, kończący return z forhendu, która eksploduje daleko poza zasięgiem przeciwnika. Na pomeczowej konferencji prasowej McEnroe oznajmia dziennikarzom: Grałem z Beckerem, z Connorem, z Lendlem i nikt nigdy nie posłał mi tak mocnej kontry. Nawet nie widziałem tej piłki.

To jedno zdanie, taka pochwała mojej gry przez zawodnika klasy Maca sprawia, że staję się znany. Piszą o mnie gazety. Piszą do mnie kibice. Philly nagle nie może się opędzić od reporterów pytających o możliwość przeprowadzenia wywiadu. Chichocze za każdym razem po takiej rozmowie.

Dobrze jest być znanym, mówi.

Tymczasem moja pozycja w rankingu rośnie wraz z moją popularnością.

Po raz pierwszy występuję w US Open późnym latem 1986 roku i jestem pełen werwy, by stanąć do zawodów. Później przez okno w samolocie widzę zarys miasta i mój zapal gdzieś się ulatnia. To piękny widok, lecz dość przytłaczający dla kogoś, kto dorastał na pustyni. Tak wielu ludzi. Tak wiele marzeń.

Tak wiele możliwości.

Z bliska, na poziomie ulicy, Nowy Jork jest o wiele mniej przytłaczający, za to wywołuje irytację. Paskudne odory, rozdzierające bębrenki hałasy – no i napiwki. Wychowany w domu, który opierał się na napiwkach, wiem, że trzeba, ale napiwek w Nowym Jorku przybiera zupełnie odmienne wymiary. Sto dolarów kosztuje mnie podróż z lotniska do hotelu. W tym czasie dałem w łapę taksówkarzowi, szwajcarowi w drzwiach, boyowi hotelowemu, recepcjonistce i pozbyłem się całej gotówki.

Ponadto wszędzie się spóźniam. Stale źle szacuję czas, jaki jest potrzebny w Nowym Jorku, by dostać się z punktu A do punktu B. Pewnego dnia, tuż przed rozpoczęciem turnieju, mam umówiony trening na czternastą. Wychodzę z hotelu, myśląc, że mam mnóstwo czasu, by dostać się na obiekt w Flushing Meadows. Wsiadam do czarterowego autobusu i kiedy tak krążymy w śródmiejskim ścisku i jedziemy przez Triborough, wiem, że jestem strasznie spóźniony. Jakaś kobieta informuje mnie, że oddali kort komuś innemu.

Stoję przed nią i błagam o kolejny termin treningu.

A pan to kto?

Pokazuję jej identyfikator, dodając do tego blady uśmiech.

Za nią wisi tablica z powypisywanymi kredą nazwiskami mnóstwa zawodników, na które spogląda dość sceptycznie. Przypomina mi się pani G. Wodzi palcem w górę i w dół po lewej kolumnie.

Dobra, mówi. Szesnasta, kort numer osiem.

Zerkam na nazwisko tenisisty, z którym będę grał.

Przepraszam. Nie mogę trenować z tym zawodnikiem. Najprawdopodobniej spotkam się z nim w drugiej rundzie.

Znów sprawdza coś na tablicy, wzdycha rozdrażniona i teraz zaczynam się zastanawiać, czy pani G. nie ma zaginionej dawno siostry. Przynajmniej nie noszę już irokeza, co z pewnością byłoby dla niej jeszcze bardziej irytujące. Z drugiej strony moja obecna fryzura jest tylko trochę mniej skandaliczna. Mam na głowie miękką płetwę w pasemka z czarnymi odrostami i tlenionymi końcówkami.

OK. Kort siedemnasty, siedemnasta, ale będzie musiał pan się dzielić z trzema innymi.

Mówię do Nicka: Czuję, że to miasto mnie przerasta.

Ee tam. Poradzisz sobie.

To miejsce wygląda o wiele lepiej z dalszej perspektywy.

Jak wszystko.

W pierwszej rundzie staję oko w oko z Jeremym Batesem z Wielkiej Brytanii. Jesteśmy na tylnym korcie z dala od tłumów i centrum zainteresowania. Jestem podniecony. Rozpiera mnie duma. Później przychodzi przerażenie. Wrażenie, jakby to był niedzielny finał. Skurcze tremy atakują mój żołądek w zwartej formacji.

Ponieważ to turniej wielkoszlemowy, tempo meczu jest inne, niż się spodziewałem. Prawdziwie szaleńcze. Gra toczy się w zupełnie zwichrowanym rytmie, którego nie znam. Do tego jest wietrznie, więc punkty śmigają jak skrawki papieru podczas wichury. Nie wiem, co się dzieje. To mi nie wygląda na tenis. Bates nie jest lepszy ode mnie, ale gra lepiej, ponieważ przyszedł tu, wiedząc, czego ma się spodziewać. Pokonuje mnie w czterech setach, po czym spogląda na moją łóżę, gdzie siedzą Philly z Nickiem, i gestem pokazuje im: O, takiego wała. Najwyraźniej Bates i Nick znali się już wcześniej.

Czuję zawód i jestem nieco zażenowany. Wiem, że nie byłem przygotowany ani na swój pierwszy US Open, ani na Nowy Jork. Widzę przestrzeń między tym, gdzie się znajduję, a tym, gdzie chciałbym być, ale mam całkowitą pewność, że potrafię tę przestrzeń wypełnić.

Poprawisz się, pociesza Philly, obejmując mnie ramieniem. To tylko kwestia czasu.

Dzięki. Wiem.

I naprawdę wiem. Słowo. Ale wtedy zaczynam przegrywać. Nie tylko przegrywać, ale przerywać z kretelem. Słabo. Paskudnie. W Memphis

dostałem łomot w pierwszej rundzie. W Key Biscayne podobnie.

Philly, pytam, co się dzieje? Nie mam pojęcia, jak to ugryźć. Czuję się jak suchotnik, jak niedzielny gracz. Pogubiłem się.

Dno osiągam w Spectrum w Filadelfii. Nie jest to obiekt tenisowy, ale zaadaptowana hala do koszykówki, i żeby tylko. Przepastna, źle oświetlona, z dwoma kortami obok siebie, gdzie jednocześnie rozgrywają się dwa mecze. W chwili, gdy gram return, obok też ktoś to robi i jeśli jego serwis leci w moją stronę, a mój w jego, to musimy uważać, żeby się nie walnąć głowami. Mam i tak słabą koncentrację, a tu dodatkowo muszę uważać, żeby nie wpaść na innego zawodnika. Jeszcze nie wiem, jak powinno się lekceważyć to, co rozprasza. Po jednym secie nie myślę i nie słyszę niczego oprócz bicia własnego serca.

Do tego mój przeciwnik jest kiepski, a to dla mnie kolejna przeszkoda. Ze słabymi rywalami gram fatalnie. Dopasowuję się do ich poziomu. Nie mam pojęcia, jak pokierować grą, dostosowując się do stylu przeciwnika, tak jakbym jednocześnie chciał zrobić wdech i wydech. Przeciwno wielkim tenisistom wznoszę się na wyżyny. Wystawiony przeciwko złym zawodnikom zbyt się spieszę, naciskam i nie pozwalam ponieść się grze. Naciskanie jest jedną z najbardziej śmiertelnych pułapek tenisa.

Razem z Phillym wlecemy się do Vegas. Jesteśmy przybici, lecz główny problem polega na tym, że jesteśmy też splukani. Od wielu miesięcy nic nie zarobiłem, a przy kosztach podróży i hotelów, wynajmowania samochodów i posiłków w restauracjach niemal przepuściłem wszystkie pieniądze od Nike. Prosto z lotniska jadę do domu Perry'ego. Zaszywamy się w jego sypialni. I kiedy tylko drzwi się za nami zamykają, czuję się bezpieczny, bardziej zdrowy na umyśle. Zauważam na ścianach nowe okładki ze „Sports Illustrated”. Przyglądam się twarzom sportowych gwiazd i wyznaję Perry'emu, iż zawsze wierzyłem, że będę wielkim sportowcem, czy tego chciałem, czy nie. Brałem to za pewnik. To było moje życie i chociaż sam go sobie nie wybrałem, moim jedynym pocieszeniem była jego nieuchronność. Przynajmniej los ma jakąś logikę. Teraz nie wiem, co szykuje dla mnie przyszłość. Jestem dobry tylko w jednym, ale wygląda na to, że jednak nie tak dobry, jak sądziłem. Może się wypaliłem, zanim na dobre zacząłem. A jeśli tak, to co zrobimy z Phillym?

Zwierzam się Perry'emu, że chciałbym być zwykłym szesnastolatkiem, ale moje życie staje się coraz bardziej popaprane. Anormalne było ponizenie na US Open. To absurd, że w Spectrum musiałem uważać, gdzie



biegnę, by nie zderzyć się głową z jakimś wielkim Rosjaninem. To nienormalne, żeby mną pomiatali w szatni.

Dlaczego tobą pomiatali?

Bo mam szesnaście lat i jestem w pierwszej setce. Ponadto Nick nie cieszy się szczególną sympatią, a mnie kojarzą właśnie z nim. Nie mam żadnych kolegów, żadnych sprzymierzeńców. Nie mam dziewczyny.

Z Jamie koniec. Moja ostatnia miłostka – Gillian, kolejna koleżanka ze szkoły Perry’ego, nie odbiera ode mnie telefonów. Nie chce mieć chłopaka, który jest stale w drodze. Nie mogę jej za to winić.

Perry mówi: Nie miałem pojęcia, że masz aż takie problemy.

Ale jest jeszcze coś na dokładkę, przyznaję się. Jestem splukany.

A co zrobiłeś z dwudziestoma patykami od Nike?

Podróże. Wydatki. Nie jeżdżę w trasy sam, jest Nick, Philly – wszystko się sumuje. Koszty rosną szybciej, kiedy się przegrywa. Bardzo szybko można wydać dwadzieścia kawałków.

Może poprosisz ojca o pożyczkę?

Nie. Absolutnie nie. Za jego pomoc trzeba słono płacić. Staram się od niego wyzwolić.

Andre, wszystko będzie dobrze.

Jasne, pewnie.

Naprawdę, chodzi tylko o to, żebyś był jeszcze lepszy. Zanim się obejrzysz, znów będziesz wygrywał. Nawet okiem nie zdążysz mrugnąć, a twoja twarz znajdzie się na okładce „Sports Illustrated”.

Też coś.

Tak będzie! Ja to wiem. A Gillian? Proszę cię. To gęś. Zawsze miałeś problemy z dziewczynami. Taki już jesteś. Ale wkrótce dziewczyną, która przysporzy ci kłopotów, będzie Brooke Shields.

Brooke Shields? Skąd wzięłeś tę Brooke Shields?

Wybuchła śmiechem.

Bo ja wiem, przeczytałem coś o niej w „Timie”. Kończy Princeton. Jest najpiękniejszą kobietą na świecie, jest inteligentna, sławna i pewnego dnia się z nią umówisz. Nie zrozum mnie źle, twoje życie może nigdy już nie być normalne – ale wkrótce to, co nienormalne, będzie *cool*.

Podbudowany przez Perry’ego lecę do Azji. Mam tylko tyle gotówki, żeby zapłacić za bilety dla siebie i Philla. Gram w Japan Open, wygrywam kilka meczów, po czym przegrywam z Andrésem Gómezem w ćwierćfinale. Następnie lecę do Seulu, gdzie dochodzę do finału. Przegrywam, ale moja

nagroda wynosi siedem tysięcy dolarów, wystarczy, by sfinansować kolejne trzy miesiące szukania odpowiednich zawodów.

Kiedy lądujemy z Phyllym w Vegas, doznaję ulgi. Czuję przyływ energii. Ojciec wychodzi po nas na lotnisko i kiedy idziemy przez Międzynarodowy Port Lotniczy McCarrana, mówię do brata, że podjąłem spontaniczną decyzję. Mam zamiar uściskać tatka.

Uściskać go? Za co?

Mam dobry nastrój. Jestem szczęśliwy, niech to szlag. Dlaczego nie? Zrobię to. To jedyna szansa w życiu.

Ojciec czeka na nas przy bramie w czapce bejsbolowej i okularach przeciwsłonecznych. Pędzę do niego, obejmuję go i ściskam. Nawet nie drgnie. Sztywnieje. Czuję, jakbym obejmował pilota.

Puszczam go i obiecuję sobie, że więcej tego nie zrobię.

Wraz z Phyllym lecimy w maju 1987 roku do Rzymu. Startuję w turnieju głównym, dlatego nasze pokoje są za darmo. Możemy przenieść się z tej nory, którą zarezerwował Philly, gdzie nie ma ani telewizora, ani zasłonki pod prysznicem, do szpanerskiego Cavalieri, położonego na głównym wzgórzu z widokiem na miasto. W ciągu kilku wolnych dni przed turniejem zwiedzamy. Idziemy do Kaplicy Sykstyńskiej i oglądamy freski przedstawiające Chrystusa przekazującego świętemu Piotrowi klucze do nieba. Gapimy się na sufit pomalowany przez Michała Anioła i od przewodnika dowiadujemy się, że artysta był udręczonym perfekcjonistą. Kiedy widział, że jego praca czy też nawet materiały, na których zamierzał pracować, mają choćby najdrobniejsze wady, opanowywała go wściekłość.

Cały dzień spędzamy w Mediolanie, zatrzymując się w kościołach i muzeach. Przez pół godziny stoimy przed *Ostatnią Wieczerzą* Leonarda da Vinci. Słuchamy o jego notatkach zawierających precyzyjne informacje na temat ludzkiego ciała oraz futurystyczne projekty helikopterów i toalet. Obydwaj jesteśmy pod wielkim wrażeniem, że jeden człowiek mógł być tak natchniony. Być natchnionym, szepczę do Philla, to cała tajemnica.

Italian Open rozgrywa się na kortach ziemnych pokrytych ceglaną mączką, nawierzchni, która jest mi obca. Grałem jedynie na zielonych kortach ziemnych, trochę szybszych. Ceglane podłoże jest niczym rozgrzany klej i płynna smoła wylana na ruchome piaski. Na tym czerwonym gównie nie można pokonać przeciwnika, narzekam podczas pierwszego treningu.

Przywołuje wymuszony uśmiech. Wszystko będzie dobrze, pociesza. Musisz się tylko do tego przyzwyczaić. Bądź cierpliwy, nie staraj się kończyć każdej piłki.

Nie mam bladego pojęcia, o co mu chodzi. Przegrywam w drugiej rundzie.

Lecimy do Paryża na French Open. Znów ceglana mączka. Udaje mi się wygrać w pierwszej rundzie, ale dostaję lanie w drugiej. Znów z Phillym próbujemy coś zobaczyć w mieście, by poszerzyć swoją wiedzę. Idziemy do Luwru. Sama ilość zgromadzonych tu obrazów i rzeźb zniechęca nas do zwiedzania. Nie wiemy, dokąd mamy pójść, jak mamy stanąć. Nie możemy pojąć tego, co widzimy. Jak otepiali przechodzimy z sali do sali. W końcu stajemy przed dziełem sztuki, które rozumiemy aż za dobrze. Jest to obraz z okresu włoskiego renesansu przedstawiający nagiego młodzieńca na krawędzi klifu. Jedną ręką trzyma się nagiego, łamiącego się konaru. Drugą przytrzymuje kobietę i dwoje dzieci. Za szyję trzyma go jakiś starzec trzymający również worki, które wyglądają, jakby były wypełnione pieniędzmi. Pod nimi otwiera się otchłań usiana ciałami tych, którzy się nie utrzymali. Wszystko zależy od siły starca – od jego uścisku.

Im młodziej wyglądasz, mówię do brata, tym ciaśniejszy jest uścisk starca na twojej szyi.

Philly kiwa głową. Spogląda na młodzieńca na klifie i szepcze cicho: Trzymaj się, brachu.

W czerwcu 1987 roku jadę na Wimbledon. Mam grać z Francuzem, Henrim Leconte'em na drugim korcie, który jest znany pod nazwą Cementarnego Kortu, ponieważ wielu tenisistów doznało tu druzgocących porażek. Jest to mój pierwszy występ w tym najświętszym dla każdego tenisisty miejscu, ale od chwili, kiedy się tu pojawiliśmy, nic mi się nie podoba. Jestem nastolatkiem wprost z Vegas i bez szkoły. Odrzucam wszystko, co obce, a Londyn jest tak obcy, jak tylko być może. Jedzenie, autobusy, wiekowe tradycje. Nawet trawa na Wimbledonie pachnie inaczej niż w domu, choć tam mamy jej niewiele.

Staje się jeszcze bardziej odstręczający, gdy pojawia się organizator Wimbledonu i w arogancki, wyniosły sposób informuje zawodników, co im wolno, a czego nie. Nienawidzę zasad, szczególnie tych arbitralnych. Dlaczego muszę ubrać się na biało? Nie chcę chodzić tak ubrany. Dlaczego to, co mam na sobie, kogokolwiek obchodzi?

Odbieram to bardzo osobiście, czuję się ograniczany i blokowany, co potęguje wrażenie, że jestem tu niemile widziany. Aby dostać się do szatni, muszę pokazać identyfikator – w dodatku nie do głównej przebieralni. Gram w tym turnieju, ale jestem traktowany jak intruz, nawet nie wolno mi potrenować na kortach, na których będziemy grać. Jestem ograniczony do kortów w hali, nieco dalej od głównego obiektu. W konsekwencji pierwszy raz uderzam piłkę na trawie już na samych zawodach. Cóż to za szok. Piłka nie chce się dobrze odbijać, w ogóle się nie odbija, ponieważ trawa to nie trawa, ale lodowisko posmarowane wazeliną. Tak bardzo się boję, że się pośliznę, że chodzę na paluszkach. Kiedy się rozglądam, by przekonać się, czy brytyjscy kibice widzą moją udrękę, jestem przerażony: mam ich na plecach. Budynek przypomina dom dla lalek. Dopisuję swoje nazwisko do listy tych, którzy polegli na Cmentarnym Korcie. Leconte dokonuje na mnie eutanazji. Mówię Nickowi, że już tu nigdy nie wrócę. Prędeż znów bym uściskał tatę, niż ponownie zagrał na Wimbledonie.

Wciąż mam paskudny nastrój. Kilka tygodni później jadę do Waszyngtonu w dystrykcie Kolumbia. W pierwszej rundzie, grając z Patrickiem Kuhnenem, wychodzę pusty. Wysznięty do kości. Po długiej europejskiej włości nic we mnie nie pozostało. Podróż, przegrane, stres – wszystko to mnie wyczerpało. Do tego panuje okropny upał, a ja nie mam kondycji. Jestem zupełnie nieprzygotowany, więc staję się nieobecny. Kiedy każdy z nas ma po jednym secie, ja mentalnie opuszczam kort. Mój umysł wychodzi z ciała i unosi się nad kortami. Kiedy zaczyna się trzeci set, mnie już dawno nie ma. Przegrywam 6–0.

Podchodzę do siatki, by uścisnąć dłoń Kuhnena. Mówi coś, ale ja go nie widzę ani nie słyszę. Jawi mi się jako kula energii na końcu długiego tunelu. Chwytam torbę i powłócząc nogami, opuszczam korty. Przechodzę przez ulicę i wchodzę do parku Rock Creek, dalej między drzewa i kiedy jestem pewien, że nikogo wokół nie ma, zaczynam wymyślać otaczającej mnie roślinności.

Już dłużej nie zniosę tego gówna! Kurwa, koniec z tym! Rzucam to w cholerę!

Idę dalej, aż dochodzę do polany, na której koczuje grupa bezdomnych. Niektórzy siedzą na ziemi, inni leżą wyciągnięci na kłodach drzewa i śpią. Dwóch gra w karty. Wszyscy wyglądają jak trolle z baśni. Podchodzę do

jednego, który jest wyraźnie zaniepokojony. Rozpinam swoją torbę i wyjmuję kilka rakiet marki Prince.

Masz, chcesz je? No chcesz? Bo mnie już nie będą potrzebne.

Mężczyzna nie jest pewien tego, co się dzieje, ale jest bardziej niż pewien, że w końcu spotkał wariata większego od siebie. Podchodzą jego kumple, a ja mówię do nich: Chodźcie tu, koledzy. W cieniu może być sobie z pięćdziesiąt stopni, ale ja ogłaszam dziś Gwiazdkę.

Rzucam swoją torbę, wyciągam wszystkie rakiety, każda jest warta kilkaset dolarów, i je rozdaję.

Macie, proszę bardzo! Mnie one nie będą już potrzebne, niech to szlag!

Gdy uświadamiam sobie, jak lekka jest moja torba, wracam do hotelu, w którym mieszkamy z Phillym. Siadam na jednym łóżku, a on na drugim, tak jak za starych, pod wieloma względami dobrych czasów. Mówię mu, że mam dość. Nie mogę tego dłużej robić.

Nie sprzeciwia się. Rozumie. Któżby mnie lepiej zrozumiał niż on? Przechodzimy do szczegółów, opracowujemy plan. Jak powiedzieć Nickowi, jak powiedzieć ojcu, jak zarabiać na życie.

A co chciałbyś robić, skoro nie będziesz grał w tenisa?

Nie wiem.

Idziemy na obiad, omawiamy to, analizujemy stan naszych finansów – mamy kilka stów. Żartujemy, że znów zbliżamy się do etapu ziemniaczano-sojowego.

Po powrocie do hotelu widzę, że miga światełko telefonu. Mam wiadomość. Organizatorzy wystawy tenisowej w Karolinie Północnej zadzwonili z informacją, że odpadł im jeden zawodnik. Chcą wiedzieć, czy zagram. Jeśli tak, to gwarantują dwa tysiące dolarów.

Philly zgadza się z tym, że dobrze byłoby skończyć z tenisem, mając trochę grosza w kieszeni.

Dobra, mówię. Mój ostatni turniej. Może dobrze by było, gdybym załatwił sobie jakieś rakiety.

W pierwszej rundzie losuję młodzieńca o nazwisku Michael Chang. Dorastałem, grając z nim. Rywalizowałem z nim w rozgrywkach juniorów i nigdy nie przegrałem. Nawet nie miałem z nim większych problemów. Ponadto ma tylko piętnaście lat i jest dwa lata ode mnie młodszy. Sięga mi do pępka. To przeciwnik, którego przepisałby mi każdy lekarz, by

podleczyć moją steraną psyche. Zaordynowany chłopiec do bicia. Wchodzę z uśmiechem na kort.

Chang jednak przeszedł swoistą metamorfozę od czasu naszego ostatniego spotkania. Bardzo poprawił swoją grę i teraz śmiga po korcie jak szatan. Muszę się nieźle napocić, żeby go pokonać. I jednak mi się to udaje. To moje pierwsze zwycięstwo od wielu miesięcy. Postanawiam zawiesić swoją emeryturę. Tylko na kilka tygodni. Informuję Philla, że chcę pojechać do Stratton Mountain, gdzie tak dobrze mi poszło w zeszłym roku. Stratton będzie idealnym miejscem na mój ostatni triumf.

Lecimy do Vermont z dwoma innymi zawodnikami, Peterem Doohanem i Kellym Everndenem. Kelly mówi, że dostał zaproszenie ze Stratton tuż przed wylotem.

Czy ktoś chce wiedzieć, kto bierze udział?

Ja.

Nie, Andre. Ty nie chcesz.

Aha. Kogo wylosowałem?

Luke'a Jensena.

Kurwa.

Luke jest najlepszym juniorem na świecie i jak dotąd najbardziej obiecującym zawodnikiem w klasyfikacji turniejowej. Zapadam się w fotelu i zaczynam obserwować chmury. Powinienem to rzucić, kiedy miałem okazję. Powinienem dać sobie spokój po meczu z Changiem.

Luke serwuje obiema rękami, raz prawą, raz lewą, dlatego nazywają go Dual Hand Luke, i jest w stanie rozpędzić piłkę z jednej i z drugiej ręki do dwustu kilometrów na godzinę. Dzisiaj jednak, w meczu przeciwko mnie, jego pierwszy serwis trafia w okno, a drugi bronię. Jestem bardziej zaskoczony niż on sam, kiedy rozkładał go w trzech setach i przechodzę dalej.

Następny jest Pat Cash, który właśnie wygrał Wimbledon, dwanaście dni po mojej sromotnej porażce na Cementarnym Korcie. Cash jest niczym maszyna, doskonale ustawiony sportowiec, który dobrze się rusza i kryje siatkę niczym hydra. Nawet nie myślę o tym, że mogę go pokonać, tylko o tym, jak się trzymać najdłużej. Niespodziewanie już na samym początku odkrywam, że nie jest to jego najlepszy dzień i dostaję czyste, proste piłki na wysokości wzroku, do których dobiegam i posyłam na jego połowę kortu. Skoro nie mam szansy na zwycięstwo, skoro chcę jedynie zaznaczyć swoją obecność, jest mi wszystko jedno, więc gram na luzie, co powoduje

coraz większe spięcie u Casha. Wydaje się wstrząśnięty tym, co się dzieje. Partoli pierwsze podania, co pozwala mi wchodzić w kort, a następnie odpłacić pięknym za nadobne przy returnie. Za każdym razem, kiedy zagrywam piłkę kończąca, Cash rzuca mi przez siatkę złowrogie spojrzenia, które zdają się wyrażać: Nie taki był plan. Przecież miałeś tak nie robić.

Z głupoty i poniekąd z arogancji poświęca coraz więcej czasu na robienie zaskoczonych miny przy siatce, zamiast wrócić na linię końcową i pomyśleć o nowej strategii. Po jednej z moich siarczystych kontr uderza dość kiepskim wolejem i znów go mam. Stoi, podpierając się rękami pod boki, gapi się na mnie i wręcz emanuje poczuciem niesprawiedliwości.

Gap się dalej, myślę sobie. Tylko tak dalej.

Pod koniec zachowuje się jak amator i posyła mi takie proste piłki, tak cudownie przewidywalne i niemal wystawione do zaatakowania, że sam czuję, że to niesprawiedliwe. Mam pełne prawo do zdobywania punktów przy każdym uderzeniu. Chciałem tylko zaznaczyć swój ślad, a zostawiam głęboką ranę. Osiągam wstrząsający wynik 7–6, 7–6.

Stwierdzam, że Stratton Mountain jest moją czarodziejską górą. Moim anty-Wimbledonem. W zeszłym roku grałem tu nieco na wyrost, a teraz wypadam dwa razy lepiej. Sielskie otoczenie zapiera dech w piersiach i jest kwintesencją Ameryki. W odróżnieniu od nadętych Angoli, mieszkańcy Stratton mnie znają, a przynajmniej znają wyidealizowany obraz, który sam tworzę. Nie wiedzą o moich problemach z ostatniego roku, o tym, jak rozdałem swoje rakiety bezdomnym i o tym, że chcę zrezygnować. Nawet jeśli by wiedzieli, nie mieliby mi tego za złe. Wiwatują na moją cześć podczas meczu z Jensenem, a kiedy deklasuję Casha, chcą mnie adoptować. To nasz chłopak. Dobrze mu u nas idzie. Zainspirowany ich gromkim dopingiem docieram do półfinału, w którym mam walczyć z Lendlem, numerem jeden na świecie. To mój najważniejszy mecz jak dotychczas. Z Vegas przylatuje ojciec.

Godzinę przed meczem Lendl chodzi po szatni ubrany jedynie w tenisówki. Widząc go tak zrelaksowanym, tak cudacznie nagim tuż przed starciem ze mną, wiem, co nadchodzi. Lanie wszech czasów. Przegrywam w trzech setach. Mimo to schodzę z kortu uniesiony, ponieważ wygrałem drugi set. Przez pół godziny daję najlepszemu na świecie to, na co sobie zasłużył. Mogę się na tym oprzeć. Czuję się dobrze.

To znaczy do chwili, gdy czytam w gazetach, co Lendl ma do powiedzenia na mój temat. Pytany o grę, parska: Dobre były fryzura

i forhold.





Rok 1987 kończę z hukiem. Wygrywam swój pierwszy turniej, od kiedy zostałem zawodowcem. W Itaparica w Brazylii, co jest nie lada wyczynem, bo dokonuję tego przy trybunach pełnych początkowo wrogo nastawionych Brazylijczyków. Gdy pokonuję ich mistrza, Luiza Mattara, fani nie mają do mnie żalu. Wręcz przeciwnie, zostaję honorowym obywatelem Brazylii. Wpadają na kort, unoszą mnie na rękach i podrzucają w górę. Wielu przyszło na korty prosto z plaży. Są wysmarowani masłem kokosowym, w konsekwencji czego ja też. Kobiety w bikini i klapkach obsypują mnie pocałunkami. Gra muzyka, ludzie tańczą, ktoś podaje mi butelkę szampana i każe spryskać nim tłum. Atmosfera karnawału jest idealnym uzupełnieniem mojego wewnętrznego festiwalu. W końcu się przełamałem. Wygrałem pięć meczów z rzędu. (Aby wygrać szlema, uświadamiam sobie z przerażeniem, muszę wygrać siedem).

Jakiś człowiek wręcza mi czek. Muszę spojrzeć na niego dwa razy. Wystawiono go na dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Z czekiem wciąż w kieszeni dzinsów staję w salonie ojca dwa dni później i stosuję nieco leczniczej psychologii. Tato, mówię, jak myślisz, ile zarobię w przyszłym roku?

Ho, ho, ho, cały kraśniej, miliony.

Dobrze, w takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, że kupię sobie samochód.

Marszczy brwi. Szach i mat.

Wiem, czego chcę. Chciałbym kupić białą corvetę ze wszystkimi bajerami. Mój ojciec upiera się, żeby wraz z matką pójść ze mną do salonu, by mieć pewność, że sprzedawca mnie nie wydyma. Nie mogę odmówić. Mieszkam u ojca. Już nie przebywam w Akademii Bollettieriego, więc znów wracam pod ojcowski dach i tym samym pod jego kontrolę. Podróżuję po całym świecie, dobrze zarabiam, zdobywam sławę, a jednak mój starszy wciąż trzyma mnie na kieszonkowym. To niewłaściwe, ale co tam, do diabła, całe moje życie postawiono na głowie. Mam dopiero siedemnaście lat, nie jestem gotów żyć samodzielnie, ledwo mogę sam stanąć na korcie, a jednak właśnie wróciłem z Rio, obejmowałem dziewczynę w stringach jedną ręką, drugą trzymając czek na dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jestem nastolatkiem, który widział za dużo, starym maleńkim, który nawet nie ma swojego konta.

W salonie samochodowym ojciec chodzi tam i z powrotem za sprzedawcą i wkrótce negocjacje zmieniają się w pyskówkę. Dlaczego nie jestem zdziwiony? Za każdym razem, kiedy tato składa nową propozycję, sprzedawca idzie skonsultować się z kierownikiem. Mój ojciec zaciska i rozwiera pięści.

Sprzedawca i ojciec w końcu ustalają cenę. Sekundy dzielą mnie od kupienia wymarzonego samochodu. Ojciec zakłada okulary, ostatni raz spogląda na umowę. Wodzi palcem po spisie opłat. Zaraz, co to jest? Opłata 49,99?

To drobna opłata za papierkową robotę, wyjaśnia sprzedawca.

To, kurwa, nie mój papier. To są wasze cholerne papiery. Sami sobie płacie za swoje papiery.

Sprzedawca nic sobie nie robi z tonu, jakim ojciec wypowiada te słowa. Padają równe ostre odpowiedzi. Mój ojciec ma coś takiego w oczach, to samo spojrzenie, które towarzyszyło znokautowaniu kierowcy ciężarówki. Już sam widok takiej ilości samochodów sprawia, że powraca do niego stara złość z trasy.

Tato, samochód kosztuje trzydzieści siedem tysięcy, a ty kłócisz się o pięćdziesiąt dolarów?

Chcą cię wydymać, Andre! Chcą mnie wydymać. Cały świat stara się mnie wydymać!

Wypada z kantorka sprzedawcy i wchodzi do głównej sali, gdzie przy wysokiej ladzie siedzą szefowie. Krzyczą do nich: Myślicie, że tam w górze jesteście bezpieczni? Myślicie, że jesteście bezpieczni za tą ladą? Może byście tak wyszli tutaj?

Puściły mu nerwy. Jest gotów bić się z pięcioma naraz.

Mama obejmuje mnie i mówi, że teraz najlepiej będzie, jeśli wyjdziemy na zewnątrz i poczekamy.

Stoimy na chodniku i obserwujemy przez dużą szybę salonu, jak ojciec wygłasza te swoje tyrady. Wali pięścią w stół. Wymachuje rękami. Wygląda to jak w jakimś strasznym niemym kinie. Jestem przerażony, ale również czuję ukłucie zawiści. Chciałbym mieć część ojcowskiej furii. Chciałbym wpadać w taki stan podczas trudnych meczów. Ciekawe, co byłbym w stanie osiągnąć w tenisie, gdybym mógł wpaść w taką złość i skierować ją na drugą stronę siatki. Ja jednak złość, która we mnie tkwi, kieruję przeciw sobie.

Mamo, pytam, jak ty to znosisz? Przez te wszystkie lata?

Och, sama nie wiem. Jeszcze nie trafił do więzienia. I nikt go jeszcze nie zabił. Myślę, że mamy dużo szczęścia, wzięwszy pod uwagę wszystkie okoliczności. Mam nadzieję, że przejdziemy przez ten incydent bez jednego ani drugiego i wszystko potoczy się gładko dalej.

Oprócz ojcowskiej furii chciałbym też mieć ułamek matczynego spokoju.

Razem z Phyllym wracamy do salonu na drugi dzień. Sprzedawca podaje mi kluczyki do mojej nowej corvetty, ale traktuje mnie z pełnym współczuciem. Stwierdza, że bardzo różni się od swego ojca i chociaż chce mi powiedzieć komplement, czuję się lekko urażony. Gdy jadę do domu, moja radość z posiadania takiego wozu nieco przygasa. Mówię Phillowi, że teraz wszystko ze mną będzie inaczej. Mijając samochody i zwiększając obroty silnika, dodaje: Nadszedł odpowiedni moment. Muszę przejąć kontrolę nad swoimi finansami. Muszę, kurwa, przejąć kontrolę nad swoim życiem.

W długich meczach brakuje mi pary. A dla mnie każdy mecz jest długi, bo mam taki sobie serwis. Nie mogę w ten sposób wydobyć się z tarapatów i nie zdobywam łatwych punktów, dlatego każdy przeciwnik zatrzymuje mnie na korcie na dwanaście rund jak zawodowy bokser. Poprawia się moja znajomość gry, ale organizm się załamuje. Jestem chudy, kruchy i szybko męczą mi się nogi, a zaraz potem wysiadają nerwy. Skarżę się Nickowi, że

nie mam kondycji, by mierzyć się z najlepszymi w świecie. Zgadza się ze mną. Nogi to podstawa, stwierdza.

Znajduję trenera w Vegas, byłego pułkownika o imieniu Lenny. Jest twardy niczym juta, klnie jak marynarz, a chodzi niczym pirat – to w wyniku postrzału sprzed lat na wojnie, o czym nie chce mówić. Po godzinie spędzonej z Lennym sam bym chciał, żeby mnie ktoś zastrzelił. Niewiele rzeczy sprawia mu większą przyjemność niż poniewieranie mną i wyklinywanie na mnie na czym świat stoi podczas tego procesu.

W grudniu 1987 roku pustynia staje się o wiele zimniejsza niż zwykle o tej porze. Krupierzy przy blackjacku wkładają czapki mikołajów. Palmy oświetlono reflektorami. Dziwki na Stripie noszą świąteczne ozdóbki zamiast kolczyków. Mówię Perry’emu, że nie mogę doczekać się nowego roku. Czuję przypływ sił. Czuję, jakbym zaczynał rozumieć tenis.

Wygrywam pierwszy turniej w 1988 roku w Memphis i piłka ożywa, odbijając się od mojej rakiety. Poprawiam swój forhend. Uderzam piłki, mijając przeciwników. Każdy odwraca się do mnie i rzuca mi spojrzenie, w którym widać pytanie: A ta skąd się tu, do diabła, wzięła?

Zaczynam też dostrzegać to samo na twarzach swoich fanów. Sposób, w jaki mnie obserwują, jak proszą o autograf, jak się drą, kiedy wchodzę na kort, wprawia mnie w zakłopotanie, ale również wywołuje gdzieś w głębi zadowolenie, jakieś ukryte pragnienie, o istnieniu którego nie miałem pojęcia. Jestem nieśmiały – ale lubię skupiać na sobie uwagę. Wzdrygam się, kiedy widzę, że kibice zaczynają się ubierać tak jak ja – ale też mi się to podoba.

W 1988 roku naśladowanie mojego stylu to noszenie dżinsowych krótkich spodenek. Są moim znakiem rozpoznawczym. Są moim synonimem wymienianym we wszystkich artykułach i życiorysach. Co dziwne, to nie ja zdecydowałem, że je włożę – to one wybrały mnie. Było to w 1987 roku w Portland w stanie Oregon. Grałem w Nike International Challenge i przedstawiciele Nike zaprosili mnie do hotelowego apartamentu, by pokazać mi modele z nowej kolekcji. Był tam też McEnroe i oczywiście on miał pierwszeństwo wyboru. Wziął do ręki parę dżinsowych szortów i powiedział: A co to ma być, do cholery?

Oczy zrobiły mi się wielkie jak spodki. Oblizałem usta i pomyślałem: Raaany. Ale fajowskie. Jeśli ci się nie podobają, Mac, to ja je zaklepuję.

W chwili, gdy Mac je odłożył, natychmiast je porwałem. Teraz noszę je na wszystkich swoich zawodach, podobnie jak rzesze moich fanów.

Dziennikarze sportowi sponiewierali mnie za nie. Mówią, że staram się wyróżnić. W rzeczywistości – podobnie jak z irokezem – próbuję się ukryć. Uważają, że staram się zmienić tę grę. A tak naprawdę nie chcę dopuścić, żeby gra zmieniła mnie. Nazywają mnie buntownikiem, ale ja wcale nie chcę nim być, przeprowadzam jedynie codzienną, zwykłą nastoletnią rebelię. To subtelna, ale istotna różnica. W głębi duszy jestem tylko sobą, a ponieważ nie wiem jeszcze, kim jestem, moje próby odgadnięcia tej tajemnicy są strzelaniem na oślep – i oczywiście są pełne sprzeczności. Nie robię niczego więcej, czego bym nie wykręcił w Akademii Bollettieriego. Przeciwstawiam się autorytetom, eksperymentuję ze swoją tożsamością, posyłam sygnały swemu ojcu, wierzę przeciw brakowi wyboru w swoim życiu. Tyle że teraz robię to na większym forum.

Czegokolwiek bym nie zrobił, bez względu na powód, trafia to w sam środek. Już zwyczajowo nazywają mnie zbawcą amerykańskiego tenisa, cokolwiek to znaczy. Myślę, że wiąże się to z atmosferą moich pojedynków. Oprócz zakładania takich samych strojów, kibice mają też moje fryzury. Widzę moją płetwę u mężczyzn i u kobiet. (Na kobietach wygląda lepiej). Schlebia mi to, że mam naśladowców, jestem też zażenowany i całkowicie zmieszany. Nie potrafię sobie wyobrazić tego, że wszyscy ci ludzie chcą być jak Andre Agassi, ponieważ ja sam nie chcę być Andre Agassim.

Co jakiś czas staram się to wyłuszczyć w wywiadach, ale nigdy nie wychodzi tak, jakbym sobie tego życzył. Próbuję być dowcipny, ale wypada to blado albo ktoś się obraża. Usiłuję wykazać się głębią intelektu i sam słyszę, że to, co wygaduję, nie ma większego sensu. Przestaję więc, wracam do oklepanych odpowiedzi i frazesów, mówię dziennikarzom to, co najwyraźniej chcą usłyszeć. Tylko na tyle mnie stać. Skoro sam nie jestem w stanie zrozumieć moich motywów i demonów drzemiących we mnie, to jak niby miałbym to wyłuszczyć dziennikarzom gonionym przez termin?

Żeby było jeszcze gorzej, dziennikarze piszą słowo w słowo to, co mówię, dokładnie co do przecinka, jakby miało to być precyzyjną wykładnią mego credo. Poczekaj, nie pisz tego, ja tylko myślałem na głos. Drażycie temat, na którym znam się najgorzej – piszecie o mnie. Pozwólcie, że sam siebie skoryguję, zaprzeczę samemu sobie. Ale nie ma czasu. Oczekują czarno-białych odpowiedzi, dobrych i złych, motywów przewodnich zawartych w siedmiuset słowach, żeby mogli przejść do następnego tematu.

Gdybym miał na to czas, gdybym posiadał większą samoświadomość, powiedziałbym dziennikarzom, że staram się dowiedzieć, kim jestem, jednocześnie mając ugruntowane pojęcie, kim nie jestem. Nie dbam o ciuchy. Z całą pewnością tenis nie jest moim życiem. Nie jestem tym, za kogo mnie ludzie biorą. Nie jestem showmanem tylko dlatego, że pochodzę z Vegas i noszę krzykliwe stroje. Żadne ze mnie *enfant terrible*, określenie, które pojawia się niemal w każdym artykule na mój temat. Według mnie nie można określać się mianem, którego nie jest się w stanie wymówić). I na miłość boską, nie jestem punkiem. Słucham łagodnego, taniego popu, jaki wykonuje Barry White czy Richard Marx.

Oczywiście kluczem do mojej tożsamości, cechą, której istnienia jestem świadomy, choć nie mogę jej wyjawić dziennikarzom, jest to, że tracę włosy. Noszę długie i napuszone, żeby ukryć ich ubytek. Jedynie Philly i Perry o tym wiedzą, ponieważ są towarzyszami mojej niedoli. Philly nawet poleciał ostatnio do Nowego Jorku na spotkanie z właścicielem Hair Club for Men, by kupić sobie kilka nowych tupecików. W końcu zaprzestał stawania na głowie. Dzwoni do mnie i informuje, jak dużą ofertę ma Hair Club. To szwedzki stół z tupecikami, mówi. Jak bar sałatkowy u Sizzlera, tylko że z włosami.

Proszę go, żeby kupił jeden dla mnie. Każdego ranka znajduję częśćkę mojej tożsamości na poduszce, w zlewie i w brodziku.

Pytam sam siebie: Będziesz nosił perukę? Na turniejach?

Odpowiadam: A jaki mam wybór?

W Indian Wells w lutym 1988 roku przedzieram się jak burza do półfinałów, gdzie napotykam Borisa Beckera z Niemiec Zachodnich, najślynniejszego tenisistę na świecie. Prezentuje się imponująco z szopą włosów koloru nowej jednocentówki i nogami grubymi jak moja talia. Jest u szczytu możliwości, ale wygrywam pierwszy set. Potem przegrywam dwa kolejne, włącznie z bardzo trudnym trzecim. Schodzimy z kortu, obrzucając się wrogimi spojrzeniami niczym byki w rui. Obiecuję sobie, że następnym razem nie dam się pokonać.

W marcu w Key Biscayne staję oko w oko z Aaronem Kircksteinem, dawnym kolegą z Akademii Bollettieriego. Często nas porównują z powodu naszych powiązań z Nickiem oraz niespotykanych umiejętności. Wygrywam dwa sety, po czym zaczynam tracić impet. Kirckstein wygrywa dwa kolejne sety. Na początku piątego zaczynają mnie łąpać skurcze. Wciąż

jeszcze nie mam takiej kondycji, by przejść na wyższy stopień wtajemniczenia. Przegrywam.

Jadę do Isle of Palms niedaleko Charleston i wygrywam swój trzeci turniej. W trakcie turnieju kończę osiemnaście lat. Organizator wyciąga tort na środek kortu i wszyscy śpiewają mi *Sto lat*. Nigdy nie lubiłem urodzin. Kiedy dorastałem, nikt nie przejmował się moimi urodzinami. A teraz jest inaczej. Jestem dorosły, wszyscy to powtarzają. Jesteś dorosły według prawa.

W takim razie to prawo należałoby o kant dupy rozbić.

Jadę do Nowego Jorku na Turniej Championów, ważny, ponieważ jest areną walki dla najlepszych tenisistów na świecie. Ponownie ścieram się z Changiem, który od naszego ostatniego spotkania wyrobił sobie zły nawyk. Za każdym razem, kiedy kogoś pokona, wskazuje na niebo. Dziękuje Bogu za wygraną, Jemu przypisuje wszystkie zasługi, co mnie obraża. To, że Bóg miałby być stronniczy w meczach tenisowych, wziąć stronę Changa, że miałby kibicować wraz z jego fanami, jest dla mnie jednocześnie idiotyczne i obraźliwe. Pokonuję Changa, czerpiąc z każdego uderzenia błuźnierczą satysfakcję. Następnie mszczę się na Kricksteinie. W finale spotykam się ze Slobodanem Živojinowiciem, Serbem lepiej znanym z gry w debla. Pokonuję go w dwóch setach.

Częściej wygrywam. Powinienem być szczęśliwy. Jestem jednak spięty, bo jest już po wszystkim. Cieszyłem się z triumfalnego sezonu na twardych kortach, moje ciało chce, żebym dalej na nich grał, ale zaczyna się sezon na kortach ziemnych. Nagła zmiana jednej nawierzchni na drugą odmienia wszystko. Na ceglanej mączce gra się inaczej i ciało musi się do tego dostosować. Zamiast śmigać z jednej strony kortu na drugą, zatrzymywać się w miejscu i robić zwrot, trzeba się ślizgać, nachylać i tańczyć. Znane mięśnie mają teraz rolę pomocniczą, a mięśnie wcześniej uśpione dominują. Jakby tego bólu było mało, wzięwszy pod uwagę okoliczności, nie wiem, kim właściwie jestem. Nagła zmiana w inną osobę, zawodnika grającego na kortach ziemnych, pogłębia tylko frustrację i lęki.

Jakiś kolega mówi mi, że cztery nawierzchnie tenisowego kortu są niczym cztery pory roku. Każdy ma inne zalety i wymagania. Każdy radykalnie zmienia twój wygląd, przetwarza go na poziomie komórkowym. Po trzech rundach na Italian Open w maju 1988 roku już nie jestem Andre Agassim. I już nie jestem w turnieju.

Lecę w 1988 roku na French Open, spodziewając się mniej więcej tego samego. Wchodzę do szatni na kortach Rolanda Garrosa i widzę, że wszyscy fachowcy od ceglanej nawierzchni opierają się o ściany i mrugają znacząco. Parszywe szczurzyska, tak nazywa ich Nick. Przebywają tu od miesięcy, ćwiczą, czekają, aż pozostali zawodnicy zjadą po meczach na twardej nawierzchni i wylądują w ich gliniastej jaskini.

Pomimo braku wyobrażenia, jaka może być nowa nawierzchnia, sam przyjazd do Paryża wywołuje we mnie wielki wstrząs. Miasto to ma takie same logistyczne problemy jak Nowy Jork i Londyn, są tu olbrzymie tłumy i anomalie kulturowe, ale do tego występuje jeszcze bariera językowa. Ponadto mój wielki niepokój wywołuje obecność psów w restauracjach. Kiedy pierwszy raz wchodzę do kafejki na Polach Elizejskich, jakiś pies podnosi łapę i wypuszcza strumień sików na nogę stolika obok mnie.

Roland Garros żadną miarą nie stanowi ucieczki przed udziwnieniami. Jest to jedyne miejsce, gdzie grałem, które śmierdzi cygarami i fajką. Podczas serwowania, w krytycznym momencie meczu, czuję kłęb fajkowego dymu pod nosem. Mam zamiar odnaleźć fajczarza i upomnieć go, ale jednocześnie nie mam na to ochoty, bo nie mogę sobie wyobrazić, jaki poskręcany hobbit może siedzieć na meczu tenisa, pykając fajkę.

Mimo początkowej niepewności udaje mi się pokonać pierwszych trzech przeciwników. W ćwierćfinale wygrywam nawet z wielkim mistrzem kortów ziemnych Guillermem Pérezem-Roldánem. W półfinale natykam się na Matsa Wilandera. Znajduje się na trzeciej pozycji w światowym rankingu, ale moim zdaniem jest teraz najlepszy. Kiedy jego mecz pokazują w telewizji, przerywam to, co robię, i oglądam. Rozpoczyna wspaniały rok. Już wygrał Australian Open i jest faworytem tego turnieju. Udaje mi się go przetrzymać do piątego seta, potem przegrywam 6–0 z potężnymi skurczami mięśni.

Przypominam Nickowi, że nie gram w Wimbledonie. Przekonuję go: Po co przechodzić na trawę i marnować tyle energii? Zróbmy sobie miesiąc przerwy, odpocznijmy i przygotujmy się na twarde korty latem.

Wręcz tryska entuzjazmem, bo nie musi lecieć do Londynu. Podobnie jak ja nie lubi Wimbledonu. Poza tym chce szybko wracać do Stanów i znaleźć mi lepszego trenera.

Nick wynajmuje chilijskiego ciężarowca o imieniu Pat, który nigdy nie prosi mnie, żebym coś zrobił, jeśli sam tego nie chcę, co bardzo u niego



szanuję. Pat ma jednak nawyk opluwania mnie, kiedy do mnie mówi, i nachylania się nade mną, kiedy podnoszę ciężary tak, że jego pot kapie mi na twarz. Mam ochotę pojawić się u niego w siłowni w plastikowym poncho.

Podstawą treningu Pata jest morderczy bieg po wzgórzu na przedmieściach Vegas. Wzgórze znajduje się na uboczu i jest skąpane w słońcu. Kiedy człowiek zbliża się do szczytu, robi się jeszcze goręcej, jakby był to czynny wulkan. Znajduje się też o godzinę drogi od domu ojca, co wydaje się zupełnie niepotrzebnym dystansem. Nie ma to, jak jechać samochodem do Reno, żeby zrobić przebieżkę. Pat upiera się jednak, że to wzgórze jest lekiem na moje wszystkie niedostatki kondycyjne. Kiedy docieramy do podnóża i wysiadamy z samochodu, Pat z miejsca rusza do biegu i każe mi biec za sobą. Po kilku minutach trzymam się za bok i spływam potem. Kiedy docieramy na szczyt, nie mogę złapać tchu. Według Pata to dobrze. To zdrowo.

Pewnego dnia, kiedy wbiegamy na szczyt, pojawia się poobijana ciężarówka. Wsiada z niej wiekowy Indianin. Podchodzi do nas z drągiem. Jeśli ma zamiar mnie zabić, nie dam rady się bronić, bo nawet rąk nie mogę podnieść do góry. Ani nie ucieknę, bo nie mogę złapać oddechu.

Mężczyzna pyta: Co tu robicie?

Trenujemy. A pan co tu robi?

Przyjechałem nałapać sobie grzechotników.

Grzechotniki! To tu są grzechotniki?

A co, może bieżnia treningowa?

Kiedy przestaję się śmiać, Indianin mówi mniej więcej to, że musiałem urodzić się z podkową w tyłku, bo to wzgórze nazywa się, psia jego mać, Wzgórzem Grzechotnika. Codziennie łapie tu tuzin grzechotników i dzisiaj rano spodziewa się złapać podobną ilość. To prawdziwy cud, że nie nastąpiłem na jakiegoś wielkiego, spiętego węża gotowego do skoku.

Spoglądam na Pata i mam wielką ochotę go opluć.

W lipcu lecę do Argentyny jako najmłodszy zawodnik, jaki kiedykolwiek występował w amerykańskim Pucharze Davisa. Gram dobry mecz przeciw Martínowi Jaite z Argentyny i tłum, choć niechętnie, okazuje mi szacunek. Prowadzę dwoma setami, prowadzę 4-0 w trzecim i czekam na serwis Jaite. Kulę się z zimna, bo tu jest koniec zimy. Musi być poniżej zera. Jaite najpierw trafia w siatkę, a potem posyła w moją stronę rotacyjną piłkę nie

do odebrania, którą jakimś cudem łapię ręką. Wybucho wielka wrzawa. Tłum myśli, że staram się popisać przed ich rodakiem i go lekceważę. Gwiżdżą na mnie przez kilka minut.

Na drugi dzień gazety nie zostawiają na mnie suchej nitki. Zamiast się bronić, reaguję wojowniczo. Mówię, że zawsze chciałem coś takiego zrobić. Prawda jest taka, że było mi zimno i zrobiłem to bez zastanowienia. Byłem głupi, a nie bezczelny. Moja reputacja doznaje dużego uszczerbku.

Tłum w Stratton Mountain wita mnie kilka dni później jak syna marnotrawnego. Gram, by ich zadowolić. Gram, by podziękować im za puszczenie w niepamięć argentyńskiego incydentu. Dzięki temu czemuś, co tkwi w tych ludziach, w szmaragdowych górach, w atmosferze Vermont, wygrywam turniej. Po paru dniach budzę się ze świadomością, że znalazłem się na czwartej pozycji w światowym rankingu. Jestem zbyt zmęczony, by świętować. Po mordędzie Pata, Pucharze Davisa i trudach trasy śpię po dwanaście godzin.

Pod koniec lata lecę do Nowego Jorku, by wystartować w pomniejszym turnieju w New Jersey, przygrywce do US Open 1988. Docieram do finału i natrafiam na Tarango. Pokonuję go gładko i jest to zwycięstwo, które wspaniale smakuje, bo wciąż po zamknięciu oczu widzę, jak Tarango mnie oszukał, kiedy miałem osiem lat. Była to moja pierwsza porażka. Nigdy jej nie zapomnę. Za każdym razem, kiedy zagrywam kończącą piłkę, myślę sobie: Pierdol się, Jeff. Pierdol. Się.

Na US Open jestem w ćwierćfinale. Mam stawić czoła Jimmy'emu Connorsowi. Przed meczem zbliżam się do niego pokornie w szatni i przypominam mu, że już się raz spotkaliśmy. W Las Vegas? Miałeś cztery lata? Grałeś w Caesars Palace? Odbiliśmy kilka piłek?

Dziura w pamięci, przyznaje.

Och. Dobrze. Później spotykaliśmy się kilkakrotnie, kiedy miałem siedem lat. Pamiętasz, przynosiłem ci rakiety? Mój ojciec naciągał ci rakiety za każdym razem, kiedy przyjeżdżałeś do Vegas, a ja ci je przynosiłem do twojej ulubionej restauracji na Stripie.

Nic, mówi, po czym kładzie się na ławce, naciąga długi biały ręcznik na nogi i zamyka oczy.

Odmaszerować.

Pasuje to do wszystkiego, co słyszałem o Connorsie od innych zawodników. To kutas. Niegrzeczny, protekcyjny, egotyczny wał.

A wydawało mi się, że mnie potraktuje inaczej. Myślałem, że okaże mi odrobinę sympatii, zważywszy na naszą długą znajomość.

Właśnie za to, obiecuję Perry'emu, pokonam tego faceta w trzech łatwych setach – i nie zdobędzie więcej niż dziewięć gemów.

Tłum kibicuje Connorsowi. Jest inaczej niż w Stratton. Tutaj to ja wychodzę na łajdaka. Jestem bezczelnym szczeniakiem, który śmie mierzyć się z szacowną legendą. Tłum chce, żeby Connors dokonał niemożliwego i zwyciężył Czas, a ja stoję na drodze temu wymarzonemu scenariuszowi. Za każdym razem, kiedy wiwatują, myślę sobie: Czy oni mają pojęcie, jak ten facet zachowuje się w szatni? Czy wiedzą, co mówią o nim koledzy? Czy w ogóle może im przyjść do głowy, w jaki sposób odpowiada na przyjacielskie powitanie?

Sunę płynnie po korcie, wygrywam bez trudu, kiedy jakiś facet z górnych trybun krzyczy: No, Jimmy, to tylko mały śmieć – a ty jesteś legendą! Przez chwilę słowa te wiszą w powietrzu, potężnieją, powiększają się do rozmiarów grubasa z reklamy Goodyear, wiszącego nad głowami i nagle dwadzieścia tysięcy kibiców wybucha głośnym rechotem. Connors krzywi usta w wymuszonym uśmiechu, kiwa głową i rzuca piłkę na pamiętkę facetowi, który krzyczał.

Tłum eksploduje. Zaczyna się owacja na stojąco.

Napędzany adrenaliną i wściekłością, rozwalam legendę w ostatnim secie 6–1.

Po meczu mówię dziennikarzom o moim przedmeczowym spotkaniu, a oni powtarzają to Connorsowi.

Odpowiada: Lubię grać z osobami, które mogłyby być w wieku moich dzieci. Może to jedno z nich. Spędziłem w Vegas sporo czasu.

W półfinale znów pokonuje mnie Lendl. Wygrywam czwarty set, ale jest za silny. Próbuje go zmęczyć i w konsekwencji sam się doprowadzam do wycieńczenia. Pomimo usilnych starań Kulawego Lenny'ego i Pata, Plującego Chilijczyka, nie umiem stawić czoła zawodnikowi kalibru Lendla. Kiedy wracam do Vegas, powtarzam sobie, że muszę znaleźć kogoś, kogokolwiek, kto przygotowuje mnie do walki.

Nikt nie jest w stanie przygotować mnie też do starcia z mediami, ponieważ w istocie nie jest to bitwa, ale zwyczajna, regularna masakra. Zarówno w gazetach, jak i magazynach każdego dnia pojawia się nowy prasowy elaborat wymierzony przeciwko Agassiemu. Kolejny paszkwil

mający być niby-analizą mojej osoby. Jestem gnojkiem, śmieciem, błaznem, oszustem i fuksem. Stoję wysoko w rankingu w wyniku jakiegoś tajemniczego spisku, zмовy bandy nastolatków. Nie zasługuję na uwagę, którą skupiam na sobie, bo nie wygrałem ani jednego szlema.

Najwyraźniej jednak mam miliony fanów. Dostaję od nich całe worki listów, a nawet zdjęcia nagich kobiet z numerami telefonicznymi nagryzmołonymi na brzegach. A i tak co dnia jestem łajany za swój wygląd, zachowanie oraz zupełnie bez powodu. Przyjmuję rolę zbuntowanego łajdaka, chłonę i wrastam w nią. Wydaje się to częścią moich obowiązków, więc odgrywam ten scenariusz. Po niedługim czasie zostaję zaszufładowany. Mam na zawsze pozostać czarnym charakterem, na każdym meczu i turnieju.

Wracam do Perry'ego. Lecę na wschód i spędzam u niego weekend. Studiuję biznes w Georgetown. Chodzimy na obfite obiady i zabiera mnie do swojego ulubionego baru, do The Tombs, gdzie przy piwie robi to, co potrafi najlepiej. Rozbiera na czynniki pierwsze moje położenie, przetwarza je tak, że staje się bardziej logiczne i zrozumiałe. Ja rozpamiętuję, on redaguje. Przede wszystkim predefiniowuje problem, uświadamiając mi, że są to moje negocjacje ze światem. Przyznaje, że to straszne być wrażliwą osobą codziennie pomiataną na forum publicznym, ale upiera się, że to tylko chwilowe. Istnieje granica czasowa tej tortury. Wszystko się poprawi, mówi, gdy zacznę wygrywać turnieje wielkoszlemowe.

Wygrywać? Ale po co? Dlaczego muszę wygrywać, by ludzie zmienili zdanie na mój temat? Bez względu na to, czy odniosę zwycięstwo, czy doznam porażki, wciąż będę tą samą osobą. Dlatego muszę wygrywać? Żeby zamknąć wredne pyski? Żeby zadowolić bandę dziennikarzy sportowych i reporterów, którzy w ogóle mnie nie znają? Takie mają być warunki owych negocjacji?

Philly widzi, że cierpię, że gorączkowo poszukuję. On też. Poszukiwał przez całe swoje życie i ostatnio wszedł na wyższy poziom eksploracji. Oświadcza mi, że zaczął chodzić do kościoła, może nie takiego zwykłego, w kompleksie biurowym na zachodnich krańcach Vegas. Jest to kościół ekumeniczny i pastor też jest inny.

Ciągnie mnie do tego kościoła i muszę przyznać, że ma rację – pastor John Parenti jest inny. Nosi dzinsy i koszulkę oraz ma długie płowe włosy. Wygląda bardziej na surfera niż na pastora. Jest niekonwencjonalny, co

u niego szanuję. Jest – nie ma innego dobrego określenia – buntownikiem. Podoba mi się również jego wydatny orli nos i smutne psie oczy. Ponad wszystko jednak lubię nienarzucającą się aurę jego kapłańskiej posługi. Upraszcza Biblię. Nie eksponuje ego ani dogmatów. Jest tylko zdrowy rozsądek i jasny przekaz.

Parenti jest tak zwyczajny, że nie chce, aby zwracać się do niego wielebny Parenti. Nalega, żeby nazywać go J.P. Chce, aby w jego kościele ludzie nie czuli się jak w świątyni. Chce, aby wierni czuli się jak w domu, w którym zbierają się przyjaciele. Nie ma żadnych gotowych odpowiedzi, jak twierdzi. Tak się złożyło, że przeczytał kilkanaście razy Biblię od deski do deski i ma kilka spostrzeżeń, którymi chce się podzielić.

Wydaje mi się, że wie więcej, niż mówi. A ja potrzebuję odpowiedzi. Uważam się za chrześcijanina, ale kościół P.J. jest pierwszym, w którym naprawdę odczuwam bliskość z Bogiem.

Co tydzień uczęszczamy tam z Phillym. Nasze pojawienie się jest ściśle obliczone. Kiedy J.P. zaczyna kazanie, wchodzimy do środka, zawsze siadamy z tyłu i pochylamy się w ławie, żeby nikt nas nie rozpoznał. Pewnej niedzieli Philly stwierdza, że chce się spotkać z J.P. Trzymam się z tyłu. Część mnie też chciałaby się zobaczyć z J.P., ale druga połowa jest bardzo nieufna wobec obcych. Zawsze byłem nieśmiały, ale ostatnia lawina prasowych oszczerstw sprawiła, że jestem na granicy paranoi.

Kilka dni później, czując się całkowicie zdruzgotany po przeczytaniu kolejnej porcji oszczerstw na mój temat, jeżdżę po Vegas. Ni z tego, ni z owego parkuję przed kościołem J.P. Jest już późno, światła są wygaszone – oprócz jednego. Zerkam przez okno. Sekretarka ślęczy nad jakimiś papierami. Pukam do drzwi i mówię, że muszę się widzieć z J.P. Informuje mnie, że pastor jest w domu. Nie dodaje, tam gdzie i ty być powinienes. Drżącym głosem pytam, czy mogłaby do niego zadzwonić. Naprawdę muszę z nim porozmawiać. Pogadać z kimkolwiek. Wykręca numer J.P. i podaje mi słuchawkę.

Halo?, rozlega się jego głos.

Cześć. No tak. Nie znasz mnie. Nazywam się Andre Agassi i jestem tenisistą, no i, chodzi o to, że....

Znam cię. Widuję cię w kościele od pół roku. Oczywiście, że cię rozpoznałem. Nie chciałem ci się tylko ładować w życie z butami.

Dziękuję mu za tę dyskrecję, za poszanowanie mojej prywatności. Ostatnio nie doświadczyłem za dużo takiego traktowania. Mówię:

Posłuchaj, może byśmy pobyli trochę z sobą. Pogadali.

Kiedy?

A możesz teraz?

Aha. No, chyba mógłbym przyjechać do zakrystii i spotkać się z tobą.

Z całym szacunkiem, a może ja przyjadę do ciebie? Mam szybki samochód i myślę, że mogę szybciej zjawić się u ciebie, niż ty dojedziesz do mnie.

Milknie. Dobra, odpowiada po chwili.

Jestem na miejscu po trzynastu minutach. Wita mnie w progu.

Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną zobaczyć. Czuję, że nie mam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić.

Czego oczekujesz?

Może mógłbym, ee, bliżej cię poznać?

Uśmiecha się. Słuchaj, nie najlepiej wypadam w roli ojca, stwierdza.

Kiwam głową i śmieję się w duchu. Mówię: Jasne, jasne. Może byłbyś w stanie dać mi jakieś zadanie? Dotyczące życia? Może coś do poczytania?

Żebym był takim twoim mentorem?

No właśnie.

Nie najlepiej wypadam też w roli mentora.

Och.

Rozmowa, wysłuchanie, koleżeństwo – to mogę zrobić.

Marszczę brwi.

Słuchaj, mówi J.P., mam tak samo popieprzone życie jak inni. Może nawet bardziej. Nie nadaję się do roli pasterza. Nie jestem typem pastora. Jeśli szukasz porady, to przykro mi. Jeśli szukasz przyjaciela, na to mogę przystać, tak mi się wydaje.

Kiwam głową.

Przytrzymuje otwarte drzwi, pyta, czy chcę wejść. Ale ja proponuję mu przejażdżkę. Lepiej mi się myśli, kiedy prowadzę.

Wyciąga szyję i widzi moją corvetę. Wygląda niczym prywatny odrzutowiec zaparkowany na podjeździe. Nieco blednie.

Obwożę J.P. po całym Vegas, tam i z powrotem po Stripie, a potem w góry okalające miasto. Pokazuję mu, do czego zdolny jest mój wózek, silnik ożywa na opustoszałym pasie autostrady i ożywam też ja. Opowiadam mu swoją historię dość chaotycznie i niespójnie, a on ma ten sam dar co Perry, bo streszcza wszystko, ubierając to w inne słowa. Rozumie sprzeczności, które mną targają, i wygładza kilka z nich.

Jesteś chłopakiem, który wciąż mieszka u rodziców, stwierdza, ale jesteś znany na świecie. To z całą pewnością twardy orzech do zgryzienia. Starasz się za wszelką cenę wyrazić swoją osobowość w twórczy, artystyczny sposób, ale cokolwiek byś zrobił, jesteś stopowany. To bardzo trudna sprawa.

Opowiadam o pomówieniach, że niby psim śwędem dostałem się do światowego rankingu, że nie pokonałem żadnego dobrego zawodnika i że miałem szczęście. Podkowę w tyłku.

Teraz wszyscy cię chłoszczą, a ty nawet nie polubiłeś świstu bicza, podsumował.

Śmieję się.

Uważa, że to musi być niezmiernie dziwne, kiedy obcym wydaje się, że mnie znają i kochają mnie bez przyczyny, a inni też myślą, że mnie znają i nienawidzą – też bez przyczyny, gdy tak naprawdę ja sam nie za dobrze znam siebie.

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, stwierdzam, że wszystko obraca się wokół tenisa, którego szczerze nienawidzę.

Jasne, pewnie. Ale przecież ty kochasz tenis.

Nie, wcale nie. Nienawidzę.

Opowiadam o moim ojcu. Opowiadam J.P. o krzykach, presji, wściekłości i porzuceniu. J.P. ma dziwną minę.

Ale masz świadomość, że Bóg jest zupełnie inny niż twój ojciec? Wiesz przecież – tak?

Niemal wjeżdżam corvetta na pobocze.

Bóg, tłumaczy mi, jest przeciwieństwem twego ojca. Bóg nie wścieka się na ciebie przez cały czas. Bóg nie drze ci się do ucha, łajając cię za twoją niedoskonałość. Głos, który słyszysz przez cały czas, ten wściekły głos, to nie Bóg. To wciąż tylko twój ojciec.

Odwracam się do niego: Możesz mi wyświadczyć przysługę? Powtórz to jeszcze raz.

Powtarza. Słowo w słowo.

Powiedz to raz jeszcze.

Mówi.

Dziękuję mu. Pytam go o jego życie. Zwierza się, że nie lubi swojej pracy. Nie czuje powołania. Już nie chce być odpowiedzialny za ludzkie dusze. To jest praca na okrągło, nie ma czasu ani na czytanie, ani na refleksje. (Ciekawe, czy to nie jest też przytyk do mnie). Poza tym grożą

mu śmiercią. prostytutki i dilerzy narkotykowi przychodzą do jego kościoła, by się nawrócić, a potem ich alfonsi, ćpuny i rodziny, które utrzymywali ze swego procederu, obwiniają o to J.P.

A jak myślisz, co mógłbyś robić zamiast tego?

Tak w ogóle to jestem autorem piosenek. Kompozytorem. Chciałbym utrzymywać się z pisania muzyki.

Napisał jedną piosenkę. *When God Ran* jest wielkim przebojem na listach z muzyką chrześcijańską. Śpiewa kilka wersów. Ma miły głos i pieśń jest poruszająca.

Mówię mu, że jeśli tak bardzo tego chce i będzie nad tym usilnie pracował, to mu się uda.

Kiedy zaczynam gadać jak trener motywacyjny, wiem, że dopada mnie zmęczenie. Spoglądam na zegarek. Trzecia w nocy.

Ojej, hamuję ziewnięcie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, możesz mnie wyrzucić przy domu rodziców. Mieszkam tu zaraz za rogiem i jestem wycieńczony. Już nie mogę prowadzić. Weź samochód, przywieziesz mi go, kiedy ci będzie pasować.

Nie chcę brać twego samochodu.

Dlaczego nie? To piękna bryka. Pędzi jak wicher.

Rozumiem. A co, jeśli go rozwalę?

Jeśli go rozwalisz, a tobie się nic nie stanie, to będę się tylko śmiał. Gównu mnie obchodzi ten samochód.

Jak długo chcesz, żebym... znaczy, kiedy mam go odwieźć?

Kiedy będziesz chciał.

Odwozi na drugi dzień.

Już jazda do kościoła była wystarczająco niezręczna, stwierdza, rzucając mi kluczyki. Andre, ja uczestniczę w pogrzebach. Nie można podjeżdżać na pogrzeb białą corvetą.

Zapraszam J.P do Monachium na Puchar Davisa. Bardzo wyczekuję tego turnieju, bo nie chodzi tu o mnie, ale o mój kraj. Wyobrażam sobie, że podczas rozgrywek będzie to najbardziej zespołowa forma tenisa, więc oczekuję po tej podróży, że będzie miłą odmianą, mecze będą łatwe i chcę podzielić się tym doświadczeniem z nowym przyjacielem.

Już na początku okazuje się, że wystawiono mnie przeciwko Beckerowi, który ma w Niemczech niemal boski status. Fani drą się tak, jakby chcieli rozwalić cały obiekt. Dwanaście tysięcy Niemców wiwatuje przy każdym



jego machnięciu rakieta i wygwizduje mnie. A jednak pozostaję niewzruszony, bo jestem w dogodnej strefie. Może nie we właściwej strefie, ale za to w swojej. Nie mogę spudłować. Poza tym kilka miesięcy temu obiecałem sobie, że nigdy już nie przegram z Beckerem i trzymam się tej obietnicy. Wyskakuję na prowadzenie w drugim secie. J.P., Philly i Nick kibicują mi jako jedyni i słyszę ich wyraźnie. Piękny dzień w Monachium.

Potem tracę koncentrację, a co za tym idzie, również pewność siebie. Przegrywam gem i podczas przerwy kieruję się do mego krzesła zupełnie zniechęcony.

Nagle kilku niemieckich organizatorów zaczyna coś do mnie trąkotać. Wołają mnie z powrotem na kort.

Gem się nie skończył.

Proszę wrócić, panie Agassi. Proszę na kort.

Becker chichocze. Publiczność wyje ze śmiechu.

Wracam na kort, czując pulsowanie w oczach. Znow jestem w Akademii Bollettieriego, znow poniżony przez Nicka na oczach innych uczniów. Ledwo sobie radzę, kiedy wyśmiewają mnie w gazetach, ale gdy dzieje się to na żywo, jestem rozłożony na łopatki. Przegrywam gem. Przegrywam mecz.

Po prysznicu idę do samochodu przed stadionem, ignoruję J.P., zwracając się do Nicka i Philla. Mówię im: Kto pierwszy wspomni coś o tenisie, zostanie wylany z roboty.

Siedzę na balkonie w monachijskim hotelu, wpatrując się w miasto. Bez zastanowienia zaczynam podpalać różne rzeczy. Papier, ubranie, buty. Od lat jest to jeden z moich tajnych sposobów na radzenie sobie z olbrzymim stresem. Nie robię tego świadomie. Czuję impuls i sięgam po zapałki.

Kiedy mam już małe ognisko, pojawia się J.P. Obserwuje mnie, po czym spokojnie dokłada hotelową papeterię do mojej watry. Potem serwetkę. Ja wrzucam hotelowe menu. Karmimy ogień przez jakiś kwadrans, nie mówiąc ani słowa. Kiedy ostatni płomień gaśnie, pyta mnie: Chcesz się przejść?

Trafiamy do monachijskich ogródków piwnych w centrum. Wszędzie widać rozbawionych, hałaśliwych ludzi. Sączą piwo z litrowych kufli, śpiewając i śmiejąc się. Na odgłos śmiechu drzę cały.

Dochodzimy do dużego, kamiennego mostu ścieżką brukowaną kocimi łbami. Przechodzimy na drugą stronę. Nisko pod nami płynie rwąca rzeka.

Zatrzymujemy się na szczycie mostu. Wokół nie ma żywej duszy. Cichną śpiewy i śmiechy. Słyszemy wyłącznie szum rzeki. Wpatruję się w wodę i pytam J.P.: A jeśli nie jestem tak dobry, jak myślę? Co, jeśli dzisiaj nie miałem złego dnia, tylko najlepszego? Zawsze szukam jakiejś wymówki, kiedy przegrywam. Gdyby nie to i to, to bym go pokonał. Gdybym tego chciał. Gdybym grał jak natchniony. Gdybym wylosował kogo innego. Ale co, jeśli gram najlepiej, jak mogę, bardzo chcę grać i chcę wygrać, a i tak nie jestem najlepszy na świecie?

No właśnie – co, jeśli tak właśnie jest?

Myślę, że wolałbym umrzeć.

Opieram się o barierkę, szlochając. J.P. ma tyle przyzwoitości, tyle mądrości, że nic nie mówi ani nic nie robi. Wie, że nie może nic powiedzieć, nic zrobić i musi jedynie poczekać, aż ognisko się samo dopali.

Na drugi dzień po południu gram przeciwko Carlowi-Uwe Steebowi – znowu Niemiec. Wyczerpany fizycznie i emocjonalnie walczę ze Steebem tak, jak nie powinienem. Owszem, atakuję jego bekhend, który jest jego najsłabszym punktem, ale robię to miarowo. Gdybym narzucił swoje tempo, musiałby wygenerować własne i jego bekhend byłby dużo słabszy. Największa wada mojego rywala ujawniłaby się w całej okazałości. Jednak wykorzystując moje tempo, nisko ścina piłkę, która niemal przykleja się do tej szybkiej nawierzchni. Dzięki mnie jego gra staje się lepsza, niż jest w rzeczywistości. Wszystko dlatego, że staram się uderzać lepiej niż trzeba, pragnę być doskonały. Z serdecznym uśmiechem Steeb przyjmuje moje dary, które działają na korzyść jego pracy nóg oraz sprzyjają taktyce przyszpilenia Agassiego bekhendami, i bawi się świetnie. Później kapitan drużyny Pucharu Davisa, podobnie jak jeden znany dziennikarz sportowy, oskarża mnie o to, że podkładałem się przeciwnikowi.

Problem z moją grą w 1989 roku wiązał się po części z doborem rakiety. Zawsze grałem prince'em, ale Nick namówił mnie do podpisania kontraktu z firmą Donnay. Dlaczego? Ponieważ Nick miał kłopoty finansowe i za dostarczenie mnie Donnayowi sam otrzymał lukratywny kontrakt.

Nie, mówię mu, uwielbiam swojego prince'a.

Ty mógłbyś grać zwykłą miotłą. To nie ma znaczenia.

Teraz, mając w rękach raketę Donnaya, czuję, jakbym rzeczywiście grał miotłą. Jakbym grał lewą ręką, jakbym przeszedł jakiś udar mózgu.

Wszystko jest trochę nie tak. Piłka nie chce mnie słuchać. Piłka nie robi tego, co jej każe.

Jestem w Nowym Jorku i wałęsam się z J.P. Jest dobrze po północy. Siedzimy w obskurnej jadłodajni z tandetnymi, fluorescencyjnymi światłami w gronie licznych klientów kłócących się w kilku wschodnioeuropejskich językach. Przed każdym z nas stoi filiżanka kawy, a ja obejmuję rękami głowę, powtarzając J.P. raz za razem: Kiedy uderzam piłkę nową rakieta, nie mam pewności, dokąd poleci.

Znajdziesz jakieś wyjście, uspokaja mnie J.P.

Jakie? Co mam zrobić?

Nie wiem. Ale ty wiesz. To tylko chwilowy kryzys, Andre. Jeden z wielu. I będą kolejne, co jest tak pewne, jak to, że tu siedzimy. Większe, mniejsze i wszystko pomiędzy. Potraktuj ten kryzys jako ćwiczenie w opanowywaniu kolejnych.

A wtedy rozwiążesz sprawę w trakcie treningu.

Kilka dni później, na Florydzie, kiedy trenuję w Akademii Bollettieriego, ktoś podaje mi nową raketę Prince'a. Odbijam trzy piłki, tylko trzy, i doznaję jakby religijnego objawienia. Każda piłka śmiga jak promień lasera prosto w wyznaczone miejsce, tam, gdzie chcę. Kort otwiera się przede mną niczym rajskie ogrody.

Guzik mnie obchodzą umowy, oświadczam Nickowi. Nie złożę się na ołtarzu jakiegoś tam kontraktu.

Zajmę się tym, obiecuje.

Poprawia raketę Prince'a, robi na niej napisy tak, że wygląda jak donnay, a ja odnoszę kilka łatwych zwycięstw w Indian Wells. Przegrywam w ćwierćfinale, ale nic mnie to nie obchodzi, bo mam znów swoją raketę, mam znów swoją grę.

Na drugi dzień na Indian Wells trzech szefowie Donnaya dokonują desantu.

To nie do przyjęcia!, wykrzykują. Wszyscy widzą, że grasz przemalowanym prince'em. Zrzuńujesz nas. Będziesz odpowiedzialny za bankructwo firmy.

Wasza rakietka będzie odpowiedzialna za mój koniec.

Widząc, że nic sobie z tego nie robię i nie ustąpię, dyrektorzy Donnaya mówią, że skonstruują dla mnie lepszą raketę. Wyruszają, by skopiować prince'a, ale lepiej, niż to zrobił Nick, żeby wyglądała bardziej przekonująco. Zabieram mojego podrabianego donnaya do Rzymu i gram

z chłopakiem, którego znałem jeszcze z juniorów, z Pete'em jak mu tam? Samprasem, chyba Samprasem. Grekiem z Kalifornii. Kiedy grałem z nim jako junior, pokonywałem go bez trudu. Miałem dziesięć lat, on dziewięć. Ostatni raz widziałem go na jakimś turnieju kilka miesięcy temu. Nie mogę sobie przypomnieć, na którym. Siedziałem na pięknym trawiastym wzgórzu obok mojego hotelu, tuż po wygranym meczu. Philly i Nick siedzieli obok mnie. Wyciągaliśmy się, radując świeżym powietrzem i obserwując Pete'a, który właśnie dostał łomot. Trenował na hotelowym korcie po przegranej i niemal każda jego piłka była zła. Na cztery uderzenia, trzy chybione piłki. Miał nieporadny bekhend, jednoręczny, co było dla mnie novum. Ktoś majstrował przy jego bekhendzie i najwyraźniej wszystko zmierzało ku temu, że teraz przyjdzie mu zapłacić za to karierą.

Ten facet nie poradzi sobie w trasie, powiedział Philly.

Będzie miał szczęście, jeśli się zakwalifikuje do turnieju, dodałem.

Ten, kto mu to zrobił, powinien się wstydzić, stwierdził Nick.

Powinno się ich posadzić, zawyrokował Philly. Ma dobre warunki fizyczne. Ponad metr osiemdziesiąt, wspaniale się rusza, ale ktoś spartolił jego styl gry. Ktoś jest odpowiedzialny za to gównu. Ktoś powinien za to beknąć.

Z początku byłem zaskoczony nieprzejednaną postawą Philla. Później uświadomiłem sobie: Philly nie mówił o nim. Widział siebie na miejscu Pete'a. Wiedział aż za dobrze, jak to jest starać się z całych sił i odpaść z turnieju, szczególnie z tym odruchowym jednoręcznym bekhendem. W niedoli i losie Pete'a Philly dostrzegał swoją tragedię.

Teraz w Rzymie widzę, że Pete poprawił się od ostatniego razu, ale nie za bardzo. Serwis ma silny, ale nie błyskotliwy, nie jest to serwis Beckera. Ma szybką rękę, płynnie reaguje i jest bardzo blisko przełomu. Chce posłać mocnego asa i niewiele mu brakuje – nie należy do grona tych zawodników, którzy starają się posłać potężnego asa, ale trafiają przeciwnikowi prosto w raketę. Prawdziwy problem pojawia się po serwisie. Jest niekonsekwentny. Nie może trafić piłką w kort trzy razy z rzędu. Pokonuję go 6–2, 6–1 i idąc do szatni, myślę, że ma przed sobą długą i bolesną drogę. Żał mi faceta. Wydaje się w porządku. Nie spodziewam się jednak zobaczyć go na trasie, już nigdy.

Dochodzę do finału. Staję naprzeciw Alberta Manciniego. Jest to silny, zwalisty zawodnik z nogami niczym pnie drzew, który stosuje niezwykle mocne, penetrujące, a do tego diabło podkręcone odbicia, po których ma się

wrażenie, że na raketę spada piłka lekarska. W czwartym secie mam piłkę meczową, ale tracę punkt – a potem się rozklejam. W przedziwny sposób przegrywam ten mecz.

W hotelu siedzę i oglądam włoską telewizję oraz podpalam sobie różne rzeczy. Myślę, że ludzie nie rozumieją bólu porażki w finale. Człowiek trenuje, podróżuje i cały czas stara się być gotów na wszystko. Wygrywa w jednym tygodniu cztery mecze z rzędu. (Albo w szlemie przez dwa tygodnie sześć meczów). A potem przegrywa finał i to nie jego nazwisko odczytują przy wręczaniu nagrody, to nie jego nazwisko zostaje zapisane w annałach tenisa. Okazuje się słabszy tylko raz, ale i tak jest przegranym.

Jadę w 1989 roku na French Open i po raz trzeci z kolei trafiam na Couriera, kolegę z Akademii Bollettieriego. Jestem faworytem, ale to Courier wywołuje zamieszanie i uciera mi nosa. Wygraża pięścią mnie i Nickowi, rzucając nam wrogie spojrzenia. Co więcej, w szatni robi spektakl wiązania butów i wychodzi pobiegać. Przekaz jest taki: pokonanie Andre nie dało mu wystarczającej dawki emocji.

Później, kiedy Chang wygrywa turniej i dziękuje Jezusowi, że piłka przeleciała na drugą stronę, czuję mdłości. Dlaczego właśnie Chang wygrał szlem przede mną?

Znów omijam Wimbledon. Znów media jednoczą się w chórze szyderstw: Agassi nie wygrywa szlemów, w których bierze udział, a potem odpuszcza ten, który najbardziej się liczy. Odbieram to jednak jak bzyczenie komara. Zaczynam się uodparniać.

Chociaż przyjąłem rolę worka treningowego dla dziennikarzy sportowych, wielkie firmy błagają mnie, bym reklamował ich produkty. W połowie 1989 roku jeden z moich sponsorów, Canon\*, zamawia serię sesji zdjęciowych, również w pustynnych ostępach Nevady i w Dolinie Ognia. Podoba mi się ta nazwa. Codziennie kroczę przez dolinę ognia.

\* Chodzi o kampanię reklamową aparatu Canon Rebel (buntownik) z 1990 roku na rynek amerykański (przyp. tłum.).

Ponieważ jest to kampania reklamowa aparatu fotograficznego, reżyser chce mieć barwne tło. Żywe, jak mówi. Filmowe. Stawia cały kort na środku pustyni, a ja, chcąc nie chcąc, obserwuję robotników i przypominam sobie tatę, który zbudował kort na swojej pustyni. Przeszedłem długą drogę? Ale czy na pewno?

Przez cały dzień reżyser robi zdjęcia, jak trenuję z krwistoczerwonymi górami i pomarańczowymi formacjami skalnymi w tle. Jestem zmęczony, spalony słońcem, chcę zrobić przerwę, ale reżyser jeszcze ze mną nie

skończył. Każe mi zdjąć koszulkę. Jestem znany z tego, że zdejmuję koszulkę w chwilach młodzieńczej fantazji i ciskam ją w tłum.

Następnie chce mnie sfilmować w jaskini, jak posyłam piłkę prosto w kamerę, jakbym miał zamiar stłuc obiektyw.

Następnie przy jeziorze Mead filmujemy kilka scen na tle wodospadu.

Wszystko wydaje mi się głupkowate, idiotyczne, choć nieszkodliwe.

Z powrotem w Vegas kręcimy kilka ujęć na Stripie, a potem koło basenu. Na szczęście wybrali basen w starym dobrym klubie tenisowym Cambridge Raquet. W końcu ustawiamy się do ostatnich ujęć w klubie tenisowym w Vegas. Reżyser wbija mnie w biały garnitur, po czym każe mi zajechać przed wejściowy portyk białym lamborghini. Wsiądz z samochodu, instruuje, odwróć się do kamery, zsuń okulary i powiedz: Wizerunek to wszystko\*\*.

\*\* Gra słów: *Image is everything* – image to jednocześnie wizerunek, ale też obraz, zdjęcie (przyp. tłum.).

Wizerunek to wszystko?

Tak. Wizerunek to wszystko.

Między ujęciami spoglądam na tłum gapiów i dostrzegam Wendi, moją dawną koleżankę od podawania piłek, moją młodzieńczą miłość już podrosłą. Widzę, że ona bardzo się zmieniła od czasu turnieju Alana Kinga.

Ma ze sobą walizkę. Właśnie rzuciła szkołę i po prostu przyjechała do domu. Jesteś pierwszą osobą, którą chciałam zobaczyć, mówi.

Wygląda przepięknie. Ma długie, kręcone brązowe włosy oraz niewiarygodnie zielone oczy. Kiedy reżyser rozstawia mnie po kątach, mogę myśleć tylko o niej. Kiedy słońce zachodzi, reżyser krzyczy: Cięcie! Koniec zdjęć!

Wendi i ja wskakujemy do mojego nowego jeepa z odkrytym dachem i odjeżdżamy z warkotem silnika niczym Bonnie i Clyde.

Wendi pyta: Jak brzmiał ten slogan, który kazali ci powtarzać bez końca przed kamerą?

Wizerunek to wszystko.

A co to ma niby znaczyć?

Bo ja wiem. To film dla firmy produkującej aparaty fotograficzne.

Kilka tygodni później słyszę ten slogan dwa razy dziennie. Potem po sześć razy dziennie. Potem po dziesięć. Przypomina mi huragany w Vegas, te, które zaczynają się od delikatnego, złowróżbnego szelestu liści, na koniec przechodząc w trzydniową, skowyczącą wicherę.

W jednej chwili zaczęto utożsamiać mnie z tym hasłem. Dziennikarze sportowi przypisali ten slogan mojej naturze, mojemu jestestwu. Twierdzą, że na nim opiera się moja filozofia życiowa, moja religia, i wyrokują, że stanie się też on moim epitafium. Mówią, że składam się wyłącznie z wizerunku i nie mam nic poza tym, bo nie wygrałem nawet jednego szlema. Piszą, że ów slogan jest dowodem na to, iż jestem wyłącznie handlarzyną kupczącym swoją sławą, który troszczy się tylko o pieniądze i za nic ma tenis. Kibice na moich meczach drażnią się ze mną: No dalej, Andre – wizerunek to wszystko! Krzyczą te słowa, jeśli reaguję emocjonalnie. Krzyczą, kiedy zachowuję spokój. Krzyczą, kiedy wygrywam. Krzyczą, kiedy przegrywam.

Wszechobecne hasło wraz z falą wrogości, krytycyzmu oraz sarkazmu, jakie wyzwała, jest prawdziwym koszmarem. Czuję się zdradzony – przez agencję reklamową, przez szefów Canona, przez komentatorów sportowych i kibiców. Odczuwam całkowite osamotnienie. Jest tak jak wtedy, kiedy zjawiałem się w Akademii Bollettieriego.

Jednak najbardziej dotyka mnie, kiedy ludzie upierają się, że ja sam określiłem się mianem osoby o pustym wizerunku, że ogłosiłem to wszem wobec, a to tylko z tego powodu, że wypowiedziałem to zdanie w reklamie. Traktują to nijakie hasło jak moją spowiedź – ma to tyle samo sensu, co arestowanie Marlona Brando pod zarzutem morderstwa z powodu jednej kwestii wypowiedzianej w *Ojcu chrzestnym*.

Kiedy kampania reklamowa nabiera tempa, a jej podstępne hasło wpełza na strony gazet do każdego artykułu na mój temat, zmieniam się. Robię się zadziorny, wręcz agresywny. Przestaję udzielać wywiadów. Jadę na całego po sędziach bocznych, przeciwnikach, dziennikarzach – nawet po kibicach. Czuję się usprawiedliwiony, bo cały świat jest przeciwko mnie, świat stara się mnie wydymać. Przeistaczam się w mojego ojca.

Kiedy tłum mnie wygwizduje, kiedy krzyczą: Wizerunek to wszystko!, odkrzykuję do nich: Nie chcę was tu widzieć tak samo, jak wy mnie nie chcecie! W Indianapolis, po szczególnie dołującej przegranej oraz głośnym wygwizdywaniu, dziennikarz pyta mnie, co poszło nie tak. Nie byłeś dziś sobą, mówi z nieszczerym uśmiechem. Coś ci przeszkadzało?

Odpowiadam mu prosto z mostu, żeby pocałował mnie w dupę.

Nikt mnie nie ostrzega, że nie wolno odszczekiwać się dziennikarzom. Nikomu się nawet nie chciało mnie uprzedzić, że warczenie, pokazywanie kłów jedynie ich podkręca. Nie okazuj, że się ich boisz, ale też nie szczerz

do nich zębów. Nawet jeśli ktoś udzieliłby mi tej cennej rady, nie wiem, czy bym z niej skorzystał.

Chowam się. Zachowuję się jak zbieg, którego współnikami są Philly i J.P. Co wieczór chodzimy do starej kawiarni o nazwie Peppermill na Stripie. Pijemy hektolitry kawy, zajadamy się ciastem i gadamy, gadamy bez końca – oraz śpiewamy. J.P. niedawno właśnie zrobił istotny krok w życiu i z pastora przeistoczył się w muzyka – kompozytora. Przeprowadził się do Orange County i poświęcił się muzyce. Wraz z Phillym ryczymy nasze ulubione piosenki, aż pozostali klienci kawiarni odwracają się i patrzą na nas.

J.P. jest również pozbawionym złudzeń satyrykiem, wielbicielem Jerry'ego Lewisa i często robi jakiś slapstickowy numer, aż Philly i ja nie możemy złapać tchu ze śmiechu. Wtedy staramy się przebić J.P. Tańczymy wokół kelnerek, pełzamy po podłodze i w końcu śmiejemy się we trójkę tak mocno, że może to skończyć się zapaścią. Śmieję się częściej, niż kiedy byłem chłopcem i chociaż jest to dość histeryczny śmiech, to i tak ma właściwości terapeutyczne. Śmiech przez kilka godzin późnym wieczorem sprawia, że czuję się jak dawny Andre, choć zupełnie nie znam tej osoby.





Niedaleko domu mojego ojca rozciąga się wielki betonowy kampus Uniwersytetu Nevada – Las Vegas, który w 1989 roku stał się znany ze swoich drużyn sportowych. Drużyna koszykówki to potęga – jej gwiazdy tylko patrzeć a wylądają w NBA. Poprawił się też znacznie skład drużyny futbolowej. Runnin’ Rebels znani są z szybkości i doskonałego przygotowania kondycyjnego. Do tego nazywają się Rebels – i ta buntownicza nazwa jest mi poniekąd bliska. Pat mówi, że na UNLV może być ktoś, kto pomoże mi nabrać kondycji, kiedy jego nie będzie w mieście.

Pewnego dnia jedziemy do kampusu i ruszamy do sali gimnastycznej – nowego budynku, który odstręcza mnie niczym Kaplica Sykstyńska. Tak wiele idealnych ciał. Tak dużo dorosłych mężczyzn. Ja mam metr osiemdziesiąt wzrostu, ważę sześćdziesiąt siedem kilogramów i moje stroje Nike na mnie wiszą. Utwierdzam się, że to był błąd. Oprócz tego, że jestem żałośnie niewymiarowy, wciąż czuję się nieswojo w szkole, w każdej szkole.

Pat, kogo ja oszukuję? Ja przecież tu nie pasuję.

Przyjechaliśmy tutaj, pluje.

Odnajdujemy biuro szkolnego trenera. Mówię Patowi, żeby zaczekał, a ja wejść i pogadam z gościem. Wsadzam głowę przez drzwi i widzę za biurkiem wielkości mojej corvetty prawdziwego giganta. Wygląda jak

posąg Atlasa sprzed Rockefeller Center, który oglądałem podczas swojego pierwszego turnieju US Open, tylko że ten Atlas ma długie czarne włosy, a czarne oczy tak wielkie i okrągłe jak krążki równo poukładanych ciężarów w siłowni. Wygląda na faceta, który może zdusić na placek każdego, kto mu przeszkodzi.

Odskakuję i chowam się za drzwiami.

Ty idź, Pat.

Wchodzi do środka. Słyszę, jak coś mówi. Słyszę w odpowiedzi głęboki baryton. Brzmi, jakby ktoś włączył silnik ciężarówki. Wtedy Pat mnie woła.

Wstrzymuję oddech i wchodzę.

Cześć.

Cześć, odpowiada olbrzym.

Ee, noo, nazywam się Andre Agassi. Gram w tenisa i eee, mieszkam tu w Vegas, no i ...

Wiem, kim jesteś.

Wstaje. Ma ponad metr osiemdziesiąt i ponad sto czterdzieści w kłacie. Przez chwilę myślę, że w złości byłby w stanie odrzucić biurko na bok. On jednak obchodzi je i wyciąga dłoń na powitanie. Największą, jaką widziałem w życiu. Dłoń, która pasuje do ramion, bicepsów i nóg, również rekordowych rozmiarów w moim mniemaniu.

Gil Reyes, przedstawia się.

Miło mi pana poznać, panie Reyes.

Mów mi Gil.

Dobra, Gil. Wiem, że jesteś dość zajęty. Nie chcę zabierać ci czasu. Zastanawiałem się tylko – to znaczy myśleliśmy z Patem – że moglibyśmy namówić cię, żebyś pozwolił nam korzystać co jakiś czas z twojego sprzętu. Bardzo staram się poprawić kondycję.

Jasne, zgadza się. Dźwięk jego głosu przywodzi mi na myśl oceaniczną głębię i rdzeń ziemi. Ale głos ten jest równie miękki, co głęboki.

Oprowadza nas, przedstawia kilku studentom – sportowcom. Rozmawiamy o tenisie, o koszykówce, o różnicach i podobieństwach. Na to wchodzi drużyna futbolowa.

Przepraszam na chwilę, mówi Gil. Muszę zamienić słowo z chłopakami. Rozgośćcie się. Możecie wypróbować urządzenia i popodnosić ciężary, jeśli chcecie. Tylko, proszę, uważajcie. I róbcie to dyskretnie. Sami wiecie, że to wbrew przepisom.

Dziękuję.

Robimy z Patem kilka brzusków na ławeczce, trochę ćwiczeń na nogi, w tym przysiadów z obciążeniem, ale ja wciąż obserwuję Gila. Futboliści zbierają się przed nim i patrzą na niego z podziwem. Jest niczym hiszpański generał przemawiający do konkwistadorów. Wydaje im polecenia. Ty – na ławeczkę. Ty – łap się za ten przyrząd. Ty – do przysiadów. Kiedy mówi, nikt nie odwraca wzroku. Nie żąda od nich uwagi, po prostu ją wymusza. Na koniec każe im się ustawić bliżej w półkolu, i przypomina, że ciężka praca to recepta na ich braki, jedyna recepta. Wszyscy chłoną tę mądrość. Łączą dłonie. Raz, dwa, trzy – Rebels!

Rozłączają się, następnie rozchodzą i zaczynają dźwigać ciężary. Przypominam sobie, jak dobrze było mi w drużynie.

Przychodzę na salę gimnastyczną na UNLV codziennie i kiedy wykonuję skłony i wyciskanie na ławeczce, czuję, że Gil cały czas mnie obserwuje. Wyczuwam, iż zauważa moją złą formę i że inni sportowcy też to widzą. Czuję się jak amator i często mam ochotę sobie pójść, ale Pat zawsze mnie powstrzymuje.

Po kilku tygodniach Pat musi polecieć na wschód. Jakiś losowy wypadek rodzinny. Pukam do drzwi biura Gila i mówię mu, że Pata nie ma, ale zostawił mi zestaw ćwiczeń. Podaję Gilowi kartkę z wytycznymi Chilijczyka i proszę, aby zechciał przećwiczyć je ze mną.

Jasne, mówi Gil, ale dość niewyraźnym głosem.

Przy każdym ćwiczeniu Gil się dziwi. Spogląda na zestaw Pata, międli kartkę w rękach, marszczy brwi. Zachęcam go, by powiedział mi, co mu chodzi po głowie, ale jego mars na czole jedynie się pogłębia.

Pyta mnie: Jaki jest cel tego ćwiczenia?

Nie za bardzo wiem.

Przypomnij mi jeszcze raz, od jak dawna to wykonujesz?

Bardzo długo.

Błagam go, żeby powiedział, o co mu chodzi.

Nie chcę nikomu wchodzić w paradę, zastrzega. Nie chcę krytykować bez potrzeby, ale też nie będę cię okłamywał: jeśli ktoś pisze ci zestaw ćwiczeń na kartce, to nie jest on wart papieru, na którym został napisany. Prosisz mnie, żebym przerobił z tobą zestaw ćwiczeń, lecz w nim nie ma odnośników do tego, czym się zajmujesz, jak się czujesz w danej chwili i na czym powinieneś się skoncentrować. Nie dopuszcza możliwości zmiany.

To ma sens. Pomożesz mi? Może dasz mi jakieś wskazówki?

No dobrze, jaki jest cel tych ćwiczeń?

Opowiadam mu historię o ostatniej przegranej z Argentyńczykiem Albertem Mancinim. Przegonił mnie kondycyjnie, pomiatał mną na korcie niczym łobuz w szkole, który na plaży sypał mi piaskiem w oczy. Miałem wygrany mecz, trzymałem już stopę na karku przeciwnika, ale nie byłem w stanie go wykończyć. Była piłka meczowa. Serwowałem, ale Mancini mnie przełamał, był tie-break, a następnie przełamał mnie trzykrotnie w piątym secie. Nic mi nie pozostało. Muszę się wzmocnić, żeby coś takiego nigdy się nie powtórzyło. Przegrana to jedno, ale zagonienie na korcie to zupełnie inna sprawa. Drugi raz tego nie zniosę.

Gil słucha, nie rusza się, nie przerywa, chłonie wszystko.

Ta kapryśna piłka lata na wszystkie strony, mówię mu, i nie mogę jej cały czas kontrolować. Natomiast powinienem kontrolować swoje ciało. Przynajmniej tak mi się wydaje. Gdybym miał właściwe wskazówki, może się udać.

Gil wciąga do swej potężnej piersi powietrze, po czym wolno je wypuszcza.

Pyta: Jaki masz plan spotkań?

Wyjeżdżam w trasę za pięć tygodni. Letnie turnieje na kortach z twardą nawierzchnią. Ale kiedy wrócę, bardzo bym chciał i poczytywałbym sobie za zaszczyt, gdybyśmy mogli popracować razem.

Dobrze, zgadza się. Coś wymyślimy. Powodzenia w trasie. Zobaczymy się, kiedy wrócisz.

Na US Open w 1989 roku znów gram z Connorem w ćwierćfinale. Jest to pierwsza pięciosetowa wygrana w mojej karierze, po pięciu porażkach. Mimo to znów wywołuje kolejną falę krytycyzmu: powinienem był wykończyć Connorsa w trzech setach. Ktoś twierdzi, że słyszał, jak krzyczę do Philla w moim boksie: Przeciągnę go przez pięć setów, aż będzie jęczał z bólu!

Mike Lipica, komentator sportowy z nowojorskiego „Daily News” wskazuje na moich dziewiętnaście niewymuszonych błędów w trzecim secie i pisze, że przegoniłem Connorsa głównie po to, żeby pokazać, iż jestem wystarczająco wytrzymały na tak długi mecz. Jeśli nie łajają mnie za podłożenie się komuś, to dokopują mi za sposób, w jaki wygrywam.

Kiedy pojawiaam się ponownie w sali gimnastycznej, widzę, że Gil na mnie czekał. Ściskamy sobie dłonie. Jest to początek czegoś nowego.

Prowadzi mnie do stojaków z ciężarami i tłumaczy, ile ćwiczeń wykonywałem nie tak, jak powinienem, ale sposób, w jaki je wykonywałem, był jeszcze gorszy. Prowokuję katastrofę. Zrobię sobie krzywdę.

Przeprowadza przyspieszony kurs motoryki, fizyki i hydrauliki oraz budowy ludzkiego ciała. Żeby wiedzieć, czego oczekuje twój organizm, tłumaczy, żeby pojąć, czego potrzebuje, a czego nie, musisz być trochę inżynierem, nieco matematykiem, po trosze artystą i mistykiem.

Nie za bardzo lubię wykłady, ale gdyby wszystkie prowadziły osoby takie jak Gil, na pewno zostałem w szkole. Chłonę każdy fakt, każdą informację, pewny, że nie uronię z tego ani jednego słowa.

To niesamowite, zapala się Gil, ile istnieje mitów o ludzkim ciele, jak niewiele wiemy na temat własnego organizmu. Na przykład: ludzie wykonują ćwiczenia na pochyłej ławeczce, by poprawić muskulaturę klatki piersiowej. To strata czasu. Nie robiłem tego od trzydziestu lat. Czy to możliwe, żebym miał od tego jeszcze większe mięśnie?

Nie.

Te wykroki, które robisz, ćwiczenie, podczas którego masz ciężar na plecach, jakbyś wchodził po schodach? Aż się prosisz o trwałą kontuzję. Masz dużo szczęścia, że nie zharatałeś sobie kolan.

Jak to?

Wszystko polega na właściwym kącie, Andre. Pod jednym kątem pracują mięśnie ud. Świetnie, doskonale. Pod innym kątem obciążasz kolano, pod wpływem ciężaru wywierasz na nie nacisk. Jeśli zbyt je obciążysz – będzie po sprawie.

Najlepsze ćwiczenia, kontynuuje, opierają się na prawie ciężenia. Tłumaczy mi, jak wykorzystać grawitację i opór, by złamać mięsień tak, aby stał się silniejszy. Pokazuje mi, jak należy ćwiczyć biceps. Prowadzi mnie do tablicy i robi wykres moich mięśni, ramion, stawów i ścięgien. Mówi o łuku i strzale oraz pokazuje mi punkty uciskowe wzdłuż napinanego łuku, następnie przy użyciu tego modelu wyjaśnia, dlaczego bolą mnie plecy po meczach i ćwiczeniach na siłowni.

Opowiadam mu o swoim kręgosłupie, o usztywnieniu kręgosłupa, o przestawionych kręgach. Notuje to, obiecuje, że sprawdzi w książkach medycznych i dowie się wszystkiego.

Konkluzja jest taka, podsumowuje, jeśli będziesz robił to, co do tej pory, to twoja kariera na korcie szybko się skończy. Czekają cię wielkie problemy z kręgosłupem i kolanami. Do tego jeśli będziesz tak ćwiczył ramiona, to wkrótce pojawią się problemy z łokciami.

Wykładając kawę na ławę, Gil podkreśla różne słowa. Lubi położyć nacisk na jedno czy drugie kluczowe słowo. Lubi przełamywać je dla mnie na pół, otwierać je, ukazywać wiedzę w nich zawartą, niczym miąższ w orzechu. Na przykład słowo „kalorie”. Wyjaśnia, że pochodzi ono od łacińskiego *calor*, co oznacza jednostkę miary ciepła. Ludziom się wydaje, że kalorie to coś złego, mówi Gil, ale kalorie to tylko jednostka miary ciepła, a nam potrzeba ciepła. Dzięki pożywieniu dostarczamy organizmowi naturalnego paliwa. Dlaczego ma być w tym coś złego? Kwestia polega wyłącznie na tym, kiedy jesz, jak dużo jesz i co jesz – ot i cała filozofia.

Ludzie sądzą, że jedzenie to coś złego, ale my musimy podsycać nasz wewnętrzny ogień.

Tak, myślę sobie. Mój wewnętrzny ogień tego potrzebuje.

À propos ciepła, dodaje Gil od niechcienia, nienawidzę, gdy jest gorąco. Nie może znieść upału. Jest niezwykle wrażliwy na wysokie temperatury i największą torturą dla niego jest siedzenie na słońcu. Podkreśla klimatyzację.

Zapamiętuję to.

Opowiadam mu o biegach z Patem na Wzgórzu Grzechotnika i o tym, jak się czułem po dobiegnięciu na szczyt. Pyta mnie: Ile biegasz codziennie?

Osiem kilometrów.

Dlaczego?

Nie wiem.

Czy kiedykolwiek podczas meczu przebiegłeś osiem kilometrów?

Nie.

Jak często podczas meczu biegiesz więcej niż pięć kroków w jednym kierunku, zanim się zatrzymasz?

Nieczęsto.

Niewiele wiem na temat tenisa, ale wydaje mi się, że przy trzecim kroku już powinieneś się koncentrować na zatrzymaniu. Bo inaczej odbijesz piłkę i będziesz dalej biegł, co oznacza, że przy kolejnej piłce znajdziesz się poza kortem. Sztuczka polega na tym, by przyspieszyć, uderzyć, dać po hamulcach i zrobić zwrot w drugą stronę. Widzę to tak: to sport, który nie opiera się na bieganiu, tylko na ruszaniu z miejsca i zatrzymywaniu się.

Musisz skoncentrować się na wzmacnianiu mięśni odpowiedzialnych za szybki start i zatrzymywanie się.

Śmieję się i mówię mu, że być może jest to najmądrzejsza uwaga, jaką kiedykolwiek słyszałem na temat tenisa.

Kiedy nadchodzi czas, by zamknąć interes na noc, pomagam Gilowi posprzątać i wyłączam światła. Siedzimy w moim samochodzie i rozmawiamy. W końcu zauważa, że dzwonię zębami.

Czy ten fikuśny wozik nie ma grzejnika?

Ma.

No to dlaczego go nie włączyłeś?

Bo powiedziałeś, że nie lubisz, gdy jest za ciepło.

Zatkało go. Nie może uwierzyć, że to zapamiętałem. I nie może znieść myśli, że cierpiałem w milczeniu tak długo. Włącza ogrzewanie w samochodzie na maksimum. Dalej rozmawiamy i wkrótce dostrzegam kropelki potu na brwiach i nad ustami Gila. Wyłączam ogrzewanie i opuszczam szyby w oknach. Rozmawiamy przez kolejne pół godziny, aż on zauważa, że zaczynam sinieć. Włącza ogrzewanie na ful. W ten sposób okazując sobie wzajemnie szacunek, rozmawiamy aż do wczesnych godzin rannych.

Opowiadam Gilowi swoją historię. O ojcu, o smoku, Phyllym, Perrym. O zesłaniu do Akademii Bollettieriego. Później on mówi o sobie. O dorastaniu na przedmieściach Las Cruces w Nowym Meksyku. Jego rodzice byli rolnikami. Uprawiali pekan i bawełnę. Ciężka praca. Zimą zbiory pekanu. Latem bawełny. Później przeprowadzili się do wschodniego L.A. i Gil szybko dorósł w niebezpiecznych dzielnicach.

To była wojna, wspomina. Zostałem postrzelony. Wciąż mam w nodze dziurę po kuli. Poza tym nie znałem angielskiego, tylko hiszpański, siedziałem więc w szkole jak na tureckim kazaniu i się nie odzywałem. Nauczyłem się angielskiego, czytając artykuły Jima Murraya w „Los Angeles Times” i słuchając w radiu relacji Vina Scully z meczów Dodgersów. Miałem mały odbiornik tranzystorowy i KABC słuchałem co wieczór. Vin Scully był moim nauczycielem angielskiego.

Po opanowaniu języka Gil postanowił skupić się na doskonaleniu ciała, które dostał od Boga.

Stwierdza: Przeżywają tylko najsilniejsi, prawda? Cóż, w naszej dzielnicy nikogo nie było stać na prawdziwe ciężary, więc sami je sobie robiliśmy. Pokazali nam to weterani z pudła. Na przykład wypełnialiśmy

puszki po kawie cementem, wkładaliśmy w nie drąg i tak robiliśmy ciężar do wyciskania. Zamiast ławeczki ustawialiśmy skrzynki po mleku.

Opowiada mi, w jaki sposób zdobył czarny pas w karate, jak stoczył dwadzieścia dwie zawodowe walki włącznie z tą, w której złamano mu szczękę. Ale nie znokautowano mnie, oznajmia z dumą.

Nadchodzi czas, by się pożegnać, bo niebo zaczyna już jaśnieć. Niechętnie ściskam jego dłoń na pożegnanie i zapewniam, że wrócę jutro.

Wiem, odpowiada.

Pracuję z Gilem przez całą jesień 1989 roku. Postępy są duże i moje ciało staje się coraz silniejsze. Jestem o osiemnaście lat młodszy od Gila i staje się on dla mnie substytutem ojca. W pewien sposób również ja jestem dla niego jak syn, którego nigdy nie miał. (Ma trójkę dzieci, same córki). To jedna ze spraw, o której nie rozmawiamy ze sobą. O wszystkim innym jak najbardziej.

Gil i jego żona Gaye mają uroczą domową tradycję. W czwartkowe wieczory każdy członek rodziny może sobie zażyczyć swoje ulubione danie na kolację. Jedna z dziewczynek chce hot doga? Dobrze. Druga życzy sobie naleśniki z czekoladową posypką? Proszę bardzo. W nawyk wchodzi mi odwiedzanie Gila w czwartki i wyjadanie potraw wszystkim domownikom. Wkrótce potem codziennie spożywam posiłki w domu Gila. Kiedy jest późno, kiedy nie mam ochoty jechać do domu, śpię u niego na podłodze.

Gil ma jeszcze jedną tradycję. Bez względu na to, w jak niewygodnej pozycji śpi gość, bez względu na to, jak bardzo połamany może wstać, nie wolno mu przeszkadzać. Dlatego nigdy mnie nie budzi. Sen jest święty. Czasem tylko zarzuca na mnie cienki koc i pozwala mi spać do rana.

Posłuchaj, mówi pewnego dnia Gil, sam wiesz, że bardzo lubimy cię u nas gościć, ale muszę cię o coś zapytać. Dlaczego tak przystojny chłopak jak ty, bogaty, który może spać, gdzie chce, przychodzi do mojego domu w czwartki na hot dogi i śpi zwinięty w kłębek na mojej podłodze?

Lubię spać na podłodze. To dobre na kręgosłup.

Nie chodzi mi o podłogę, tylko w ogóle. Jesteś pewien, że chcesz być tutaj? Przecież masz tak duży wybór.

Żadne miejsce akurat nie przychodzi mi do głowy, Gil.

Ściska mnie. Wydawało mi się, że wiem, co to uścisk, ale człowiek nic o uścisku nie wie, dopóki nie zostanie uściśnięty przez kogoś, kto ma półtora metra w klatce.



W Wigilię Bożego Narodzenia w 1989 roku Gil pyta, czy zechcę go odwiedzić i spędzić święta z jego rodziną.

Myślałem, że nie spytasz.

Kiedy Gaye piecze ciastka, a dziewczynki śpią na piętrze, razem z Gilem siedzimy w salonie na podłodze i rozstawiamy zabawki oraz kolejkę od Świętego Mikołaja. Wyznaję, że nie pamiętam, kiedy czułem taki spokój.

Może wolałbyś iść na jakąś imprezę? Z przyjaciółmi?

Jestem tu, gdzie chcę być.

Przerywam składanie zabawek i spoglądam Gilowi prosto w oczy. Wyznaję mu, że moje życie ani przez jeden dzień nie należało do mnie. Zawsze należało do kogoś innego. Najpierw do ojca. Później do Nicka. I zawsze, ale to zawsze do tenisa. Nawet moje ciało nie było moje do chwili poznania Gila, który robi to, co powinien zrobić każdy ojciec. Sprawić, że rosnę w siłę.

Dlatego też, Gil, to, że tu jestem z twoją rodziną, sprawia, że po raz pierwszy czuję się u siebie.

Dość gadania. Nigdy już cię nie będę wypytywał. Wesołych świąt, synku.



Skoro muszę grać w tenisa, uprawiać najbardziej samotną dyscyplinę sportu na świecie, to nic dziwnego, że poza kortem otaczam się jak najszerzym gronem tych, których lubię. I każda z tych osób ma swoją szczególną rolę. Perry porządkuje mój chaos myśli. J.P. pomaga mi z rozterkami duszy. Nick z podstawami gry. Philly pilnuje szczegółów, ustaleń, ponadto zawsze mnie chroni.

Dziennikarze jadą po mojej świątce. Piszą, że podróżuję z nimi, by karmić swoje ego. Piszą, że otaczam się tak wieloma osobami, bo nie mogę być sam. W połowie jest to prawda. Nie lubię być sam. Jednak ci ludzie wokół mnie to nie jest moja świta, to zespół. Potrzebuję ich towarzystwa, są również źródłem wszelkiej wiedzy oraz porad. To moja ekipa, moja rada nadzorcza, są też moimi guru. Przyglądam się im i czerpię od nich pełnymi garściami. Podchwytuję jakieś wyrażenie od Perry'ego, opowieść od J.P., sposób reakcji czy gest od Nicka. Sporo dowiaduję się na swój temat, tworzę się od nowa, choćby przez imitowanie innych. Jak niby inaczej mógłbym to zrobić? Całe dzieciństwo spędziłem w izolatce, a nastoletnie lata w sali tortur.

I tak zamiast zmniejszyć stan liczebny mojej ekipy, pragnę ją poszerzyć. Chcę formalnie dopisać do niej Gila. Zatrudnić go na pełny etat, żeby

pomagał mi nabierać siły i pracować nad kondycją. Dzwonię do Perry'ego do Georgetown i wyłuszczam swój pomysł.

A w czym problem?, pyta. Chcesz pracować z Gilem? Zatrudnij go.

Tylko że jest jeszcze Pat. Plujący Chilijczyk. Nie mogę go tak po prostu wylać. Nikogo nie mogę wylać. I nawet jeśli byłoby mnie na to stać, jak mógłbym wymagać od Gila, by rzucił prestiżową, dobrze płatną posadę w UNLV, by pracować wyłącznie dla mnie? Kim ja jestem, do kurwy nędzy?

Perry radzi mi, żeby Nick skierował Pata do pracy z innymi swoimi podopiecznymi. Później mówi: Siądź z Gilem i wyłóż mu sprawę. Niech on zadecyduje.

W styczniu 1990 roku proszę Gila, by wyświadczył mi wielki zaszczyt i zechciał pracować ze mną, podróżować i trenować mnie.

I mam zostawić robotę w UNLV?

Tak.

Przecież ja nic nie wiem o tenisie.

Nie łam się. To tak jak ja.

Śmieje się.

Gil, wydaje mi się, że mogę wiele osiągnąć. Myślę, że mogę. A podczas naszej krótkiej znajomości przekonałem się na własnej skórze, że uda mi się to tylko z twoją pomocą.

Nie potrzebuje się długo zastanawiać. Dobrze, odpowiada. Chcę z tobą pracować.

Nie pyta mnie, ile będę mu płacił. Słowo pieniądze nawet nie pada w naszej rozmowie. Mówi, że jesteśmy bratnimi duszami wyruszającymi na wielką przygodę. Wie to niemal od pierwszego dnia naszej znajomości. Mówi, że czeka mnie przeznaczenie. Że jestem jak Lancelot.

Kto to taki?

Sir Lancelot. No wiesz. Król Artur. Rycerze Okrągłego Stołu. Lancelot był najwierniejszym rycerzem króla Artura.

Zabijał smoki?

Każdy rycerz zabija smoki.

Na naszej drodze staje tylko jedna przeszkoda. Gil nie ma siłowni w domu. Będzie musiał przerobić swój garaż – co nieco potrwa, bo chce sam zbudować atlasy.

Chcesz je zbudować?

Będę spawał, naciągał liny na bloczki własnymi rękami. Nie mogę niczego zostawiać przypadkowi. Nie chcę, żebyś odniósł kontuzję. Ja do tego nie dopuszczę.

Myślę o swoim ojcu, który skonstruował maszynę do piłek oraz dmuchawy, i zastanawiam się, czy to nie jest jedyna rzecz łącząca ich ze sobą.

Do czasu, kiedy Gil skończy budowę, dalej pracujemy w UNVL. On zatrzymuje na razie swoją posadę i dalej trenuje drużynę koszykówki Rebels. Mają świetny sezon zakończony wspaniałym zwycięstwem nad Uniwersytetem Duke'a i zdobyciem tytułu Mistrza Kraju. Kiedy wypełnił już wszystkie swoje zobowiązania, a budowa sali zmierza ku końcowi, Gil stwierdza, że jest gotów.

Andre, ale czy ty jesteś gotów? Pytam po raz ostatni, jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

Gil, jestem tego bardziej pewien niż czegokolwiek do tej pory w życiu.

Ja też.

Zapowiada, że dzisiaj pojedzie na uczelnię i zda klucze.

Kilka godzin później, gdy wychodzi z budynku uczelni, czekam tam na niego. Wybucha śmiechem na mój widok i idziemy zjeść cheesburgera, aby uczcić początek naszej współpracy.

Czasami ćwiczenia z Gilem polegają wyłącznie na rozmowie. Nawet nie ruszamy sztangi. Siedzimy na ławeczkach i rozwijamy różne wątki. Jest wiele sposobów, wyjaśnia Gil, by się wzmocnić, i czasami rozmowa staje się jednym z nich. Najpierw przekazuje mi wiedzę na temat ludzkiego ciała, a potem ja uczę go zasad tenisa, opowiadam o życiu w trasie. O tym, jak się organizuje grę, najpierw uczestnicząc w serii mniej ważnych turniejów, później w czterech większych albo w wielkoszlemowych, które wszyscy zawodnicy wykorzystują jako sprawdzian. Mówię mu o kalendarzu rozgrywek, że zaczynamy rok na drugiej półkuli, na Australian Open, a potem po prostu idziemy w ślad za słońcem. Następnie przychodzi sezon kortów ziemnych w Europie, którego kulminacją jest paryski French Open. Później nadchodzi czerwiec i gra na trawie, czyli Wimbledon. Blee... Wywalam język i robię głupią minę. Potem są psie dni, to znaczy sezon nawierzchni twardej, który kończy US Open. Dalej gramy w hali – Stuttgart, Paryż, mistrzostwa świata. Zupełnie jak w *Dniu świstaka*. Te

same obiekty, ci sami przeciwnicy, zmieniają się jedynie lata i punktacja, a z czasem wyniki zlewają się niczym numery telefonów.

Staram się opisywać Gilowi stan mojej psyche. Zaczynam od początku, od podstawowej prawdy.

Śmieje się. Tak naprawdę nie czujesz nienawiści do tenisa, mówi.

Ależ tak, Gil, naprawdę.

Robi dziwną minę, a ja się zastanawiam, czy przypadkiem nie myśli o szybkim odzyskaniu posady na UNLV.

Skoro to prawda, to po co grasz?

Niczego innego nie potrafię robić. Nie umiem. Tenis jest jedyną rzeczą, do której się nadaję. Ponadto mój ojciec dostałby zawału, gdybym to rzucił.

Gil drapie się w ucho. To dla niego nowość. Zna setki sportowców, ale nigdy nie poznał takiego, który nienawidziłby sportu. Nie wie, co powiedzieć. Zapewniam go, że nie można tego skomentować. Sam tego nie rozumiem. Mogę mu tylko powiedzieć, jak to jest.

Mówię też Gilowi o awanturze z hasłem: Wizerunek to wszystko. Czuję poniekąd, że powinien o tym wiedzieć, żeby zrozumiał, w co się pakuje. Cała sprawa złości mnie niepomierne, choć teraz złość zapadła się we mnie głęboko. Trudno o tym rozmawiać, trudno coś poradzić. Odczuwam to tak, jakbym nosił w żołądku łyżkę kwasu. Słyszac o tym, Gil też odczuwa złość, choć jemu dużo łatwiej przychodzi dostanie się do pokładów złości. Chce coś z tym zrobić, od razu. Ma ochotę znokautować kilku szefów agencji reklamowych. Jakiś goguś z Madison Avenue skleca głupie hasło, zmusza cię, byś je wypowiedział przed kamerą i to ma być kwintesencja twojej osoby?, irytuje się.

Tak uważa milion ludzi. I to powtarza. I to pisze.

Wykorzystali cię, stwierdza. Po prostu. Nie twoja wina. Nie wiedziałeś, co mówisz, nie wiedziałeś, jak zostanie to odebrane, przekręcone i przeinaczone.

Nasze rozmowy wykraczają poza granice siłowni. Chodzimy na obiady. Na śniadania. Rozmawiamy przez telefon sześć razy dziennie. Pewnego wieczoru dzwonię do Gila bardzo późno i rozmawiamy przez kilka godzin. Kiedy rozmowa ma się już ku końcowi, pyta: Chcesz przyjechać jutro i poćwiczyć trochę?

Bardzo bym chciał, ale jestem w Tokio.

Rozmawiamy od trzech godzin, a ty jesteś w Tokio? Myślałem, że jesteś w mieście. Czuję się winny, stary. Cały czas ci nadawałem, a ty...

Milknie. Wreszcie odzywa się: Wiesz co? Nie czuję się winny. Eee tam. Czuję się zaszczycony. Potrzebowałeś ze mną pogadać i nie liczyło się, czy jesteś w Tokio, czy w Timbuktu. Kapuję. Dobra, stary. Kapuję.

Od samego początku Gil skrzętnie zapisuje moje ćwiczenia. Kupuje brązową księgę i zaznacza w niej każdy krok, każdy zestaw ćwiczeń, pojedyncze ćwiczenia – codziennie. Zapisuje moją wagę, dietę, puls, podróże. Na marginesie rysuje wykresy, a nawet szkice. Mówi, że chce zapisywać moje postępy, stworzyć bazę danych, do której będzie sięgał w przyszłości. Rozpoczyna studia nade mną, żeby zbudować mnie od podstaw. Jest niczym Michał Anioł oceniający granitowy blok, choć nie odstręczają go moje skazy. Jest jak da Vinci zapisujący wszystko skrzętnie w notatnikach. Dzięki notatkom Gila, staranności, z jaką je prowadzi, temu, że nie opuszcza nawet jednego dnia, przekonuję się, że jestem dla niego natchnieniem równie wielkim jak on dla mnie.

To oczywiste, że Gil zaczyna jeździć ze mną w trasy. Ma opiekować się moją kondycją na meczach, monitorować dietę, pilnować, by moje ciało było odpowiednio nawodnione. (Nie tylko nawodnione. Gil opracował specjalną mieszankę składającą się z wody, substancji odżywczych, soli i elektrolitów, którą powinienem wypić wieczorem przed nadchodzącym meczem). Jego trening w trasie się nie kończy. Wręcz przeciwnie, wtedy staje się jeszcze ważniejszy.

Ustalamy, że naszą pierwszą wspólną wyprawą będzie turniej w Scottsdale w lutym 1990 roku. Uprzedzam, że musimy przyjechać tam kilka dni wcześniej na HIT AND GIGGLE.

Na co?

To taka impreza z gwiazdami, połączona ze zbieraniem pieniędzy na cele charytatywne, żeby zadowolić sponsorów i zabawić kibiców.

Brzmi nieźle.

Co więcej, mówię, pojedziemy tam moją nową corvetta. Nie mogę się doczekać, żeby mu pokazać, jaka jest zrywna.

Kiedy podjeżdżam pod dom Gila, uświadamiam sobie, że jednak nie wszystko dobrze przemyślałem. To sportowe auto, a Gil jest wielki. Samochód jest tak mały, że Gil wydaje się dwa razy większy. Wsiada bokiem, by wpasować się w fotelik pasażera, a mimo to się nie mieści i jego głowa dotyka dachu. Corvetta wygląda tak, jakby za chwilę miała pęknąć.

Widząc Gila wciśniętego w auto w tak niewygodnej pozycji, wduszam pedał gazu, żeby skrócić jego męczarnie. Oczywiście nie potrzebuję wielkiej zachęty. To samochód ponaddźwiękowy. Podkręcamy muzykę i śmigamy z Vegas przez Tamę Hoovera w kierunku skalistych lasów północno-zachodniej Arizony, porośniętych poskręcanymi drzewami Jozuego. Postanawiamy zatrzymać się na obiad przed Kingman. Perspektywa spożycia posiłku w połączeniu z prędkością corvetty, głośną muzyką i obecnością Gila sprawia, że wciskam gaz do dechy. Osiągamy prędkość jednego macha. Widzę, jak Gil robi minę i kręci palcem, udając policyjnego koguta. Spoglądam we wsteczne lusterko i widzę samochód patrolu autostradowego o kilka centymetrów od mego zderzaka.

Policjant bez ceregieli wręcza mi mandat za przekroczenie prędkości.

Nie pierwszy, nie ostatni, mówię do Gila, który tylko kręci głową.

W Kingman zatrzymujemy się w lokalu Carl's Jr, gdzie pochłaniamy olbrzymi lunch. Obydwaj uwielbiamy jeść i obydwaj mamy słabość do fast foodów, rezygnujemy więc z dietetycznej wstrzeźliwości, zamawiając frytki, drugie danie i napoje. Kiedy wciskam Gila z powrotem do corvetty, uświadamiam sobie, że jesteśmy spóźnieni. Musimy nadrobić stracony czas. Daję gaz do dechy i wyjeżdżamy znów na autostradę numer 95. Do Scottsdale mamy ponad trzysta kilometrów. Dwie godziny jazdy.

Dwadzieścia minut później Gil wykonuje znany mi już gest palcem.

Tym razem jest inny policjant. Bierze moje prawo jazdy, dowód rejestracyjny i pyta: Dostał pan ostatnio mandat za przekroczenie prędkości?

Patrzę na Gila. Marszczy brwi.

Cóż, jeśli ostatnio to godzinę temu, to tak, panie władzo, dostałem.

Proszę czekać.

Idzie do radiowozu. Wraca po minucie.

Sędzia chce was widzieć w Kingman.

W Kingman? O co chodzi?

Proszę ze mną.

Proszę ze... – a co z samochodem?

Pana przyjaciel może poprowadzić.

Ale nie możemy po prostu za panem pojechać?

Proszę pana, proszę robić dokładnie to, co powiem, i słuchać mnie, bo inaczej wróci pan do Kingman w kajdankach. Usiądzie pan z tyłu w moim wozie, a przyjaciel pojedzie za nami. Ale już. Wysiadać.

Wsiadam do wozu patrolowego, a Gil jedzie za nami w corvette, która przylega do niego niczym fiszbinowy gorset. Jesteśmy na kompletnym zadupiu i wydaje mi się, że słyszę szaleńcze dźwięki banjo z filmu *Uwolnienie*. Po czterdziestu pięciu minutach zjawiamy się w Miejskim Sądzie w Kingman. Wchodzę za policjantem do sali i stoję przed niewielkim, starszym sędzią ubranym w kowbojski kapelusz i pas z kłamrą wielkości tortowej tacy.

Odgłosy banjo brzmią coraz głośniej.

Rozglądam się po ścianach, szukając dyplomów, jakiegoś dowodu na to, że to naprawdę jest sąd i prawdziwy sędzia. Widzę tylko łby upolowanych zwierząt.

Sędzia zaczyna zasypywać mnie lawiną pytań.

Gra pan w Scottsdale?

Tak, wysoki sędzie.

Grał pan wcześniej w tym turnieju?

Ee – tak, wysoki sędzie.

Kogo pan wylosował?

Proszę?

Z kim będzie pan grał w pierwszej rundzie?

Sędzia, jak się okazuje, jest miłośnikiem tenisa. Ponadto śledzi moją karierę bardzo uważnie. Twierdzi, że mogłem pokonać Couriera we French Open. Ma wiele uwag na temat Connorsa, Lendla, Changa i jakości gry, niedostatku amerykańskich tenisistów. Po podzieleniu się ze mną swoimi uwagami, co trwa niespiesznie przez dwadzieścia pięć minut, pyta: Nie zechciałby pan napisać czegoś dla moich dzieci?

Nie ma sprawy, proszę pana, to jest wysoki sędzie.

Podpisuję wszystko, co mi podsuwa, później oczekuję na wyrok.

No dobrze, mówi sędzia. Skazuję pana na to, żeby im pan nieźle dokopał w Scottsdale.

Słucham? Nie rozu... – znaczy, wysoki sędzie, wracałem tu trzydzieści kilka kilometrów i byłem pewny, że trafię do paki albo zapłacę grzywnę.

Nie! Nie, nie i jeszcze raz nie. Chciałem się tylko z panem spotkać. A teraz lepiej niech kolega zawiezie pana do Scottsdale, bo jeśli pan dostanie jeszcze jeden mandat, to nie wypuszczę pana stąd do czasu, kiedy krowy wrócą z pastwisk.

Wychodzę spokojnie z gmachu sądu, ale do corvetty, przy której czeka Gil, gnam już sprintem. Relacjonuję mu, że sędzia jest fanem tenisa i po



prostu chciał mnie poznać. Gil myśli, że się nabijam. Błagam go, żeby usiadł za kółkiem i zabrał nas spod tego sądu. Odjeżdża wolno. W normalnych okolicznościach Gil jest bardzo ostrożnym kierowcą. Ale jest tak zdenerwowany naszym spotkaniem z siłami prawa i porządku Arizony, że choć jedzie na szóstym biegu, przez całą drogę do Scottsdale utrzymuje prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Oczywiście, jestem spóźniony na imprezę charytatywną. Kiedy zajeżdżamy na stadionowy parking, zakładam swój strój. Zatrzymujemy się przy budce strażnika i mówimy mu, że czekają na nas, że jestem jednym z zawodników. Nie wierzy mi. Pokazuję mu swoje prawo jazdy, które wciąż jeszcze mam, dziękować Bogu. Macha, żeby jechać.

Nie martw się samochodem. Zajmę się nim, zapewnia mnie Gil i dodaje: Teraz leć.

Chwytam moją tenisową torbę i pędzę przez parking. Gil opowiada mi później, że kiedy wszedłem na stadion, wyraźnie słyszał głośny aplauz. Szyby były podniesione, ale i tak słyszał wiwaty tłumów. W tej właśnie chwili zrozumiał, co chciałem mu powiedzieć. Po wydostaniu się z mocy sędziogo z Dzikiego Zachodu, gdy cały stadion powitał mnie gromkim rykiem, zrozumiał. Wyznał mi, że do czasu tej wyprawy nie uświadamiał sobie, że moje życie jest tak – wariackie. Naprawdę nie wiedział, na co się pisze. Powiedziałem mu, że w takim razie jest nas dwóch.

Świetnie bawiliśmy się w Scottsdale. Poznaliśmy się wzajemnie, bardzo szybko, w sposób, w jaki ludzie poznają się w trasie. Podczas jednego meczu w środku dnia wstrzymuję grę i czekam, aż jeden z organizatorów dobiegnie z parasolem do miejsca, gdzie jest Gil. Siedzi w pełnym słońcu i poci się niemiłosiernie. Kiedy organizator podaje mu parasol, ten wygląda na zmieszanego. Spogląda na dół, patrzy na mnie, macha i już wie. W uśmiechu ukazuje cały garnitur zębów i obydwaj wybuchamy śmiechem.

Jednego wieczoru idziemy na kolację do Village Inn. Jest już późno, dlatego zamawiamy półmisek z kolacją łączoną ze śniadaniem. Do restauracji wpada czterech facetów i zajmują łóżę obok. Rozmawiają, śmieją się z mojej fryzury, z moich ciuchów.

Pewnie pedał, podsumowuje jeden z nich.

Z całą pewnością ciota, dodaje jego kumpel.

Gil chrząka, wyciera usta papierową chusteczką, życzy mi smacznego. On już skończył.

Nie jesz więcej, Gil?

Nie, stary. Bijatyka na pełny żołądek, to nie w moim stylu.

Kiedy kończę, Gil stwierdza, że ma do załatwienia pewną sprawę przy sąsiednim stoliku. Jeśli coś się wydarzy, uprzedza, nie przejmuj się, znam drogę do hotelu. Wstaje bardzo wolno. Podchodzi do tamtych czterech. Opiera się o ich stolik. Stolik aż jęczy pod jego ciężarem. Mając ich twarze na wysokości szerokiej piersi, pyta: Lubicie uprzyjemnić posiłki przyjezdnym, co? Ojej, sam miałem zamiar tego spróbować. Co wy tu macie? Hamburgery?

Bierze hamburgera jednego z nich i przegryza go na pół.

Trzeba dodać keczupu, radzi z pełnymi ustami. Wiecie co? Czuję wielkie pragnienie. Chyba łyknę sobie od was napoju. No tak. A teraz mam ochotę porozlewać go wam na stoliku. Chcę – powtarzam, bardzo chcę – żebyście mnie powstrzymali.

Gil bierze duży łyk, po czym wolno, prawie tak wolno, jak prowadził samochód, wylewa resztę napoju na stolik.

Żaden z czwórki nawet nie drgnie.

Gil stawia pustą szklanekę i patrzy na mnie. Andre, jesteś gotowy do wyjścia?

Nie wygrywam tego turnieju, ale to nie ma znaczenia. Jestem zadowolony i szczęśliwy, kiedy wyjeżdżamy w drogę powrotną do Vegas. Przed wyjazdem z miasta zatrzymujemy się, by coś przekąsić w Joe's Main Event. Rozmawiamy o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin, i jesteśmy zgodni, że pierwsza wyprawa to dobry wstęp do wszystkich następnych. W swoim szkicowniku Leonarda Gil rysuje mnie w kajdankach.

Na zewnątrz stajemy na parkingu i wpatrujemy się w gwiazdy. Czuję obezwładniającą miłość i wdzięczność wobec Gila. Dziękuję mu za wszystko, co dla mnie zrobił, a on mówi, że nie muszę mu już dziękować.

Potem wygłasza mowę. Gil, który nauczył się angielskiego z gazet i na meczach koszykówki, wygłasza płynny, śpiewny, poetycki monolog przed lokalem U Joe i teraz żałuję, jak nie wiem co, że nie mam z sobą magnetofonu. Wciąż go pamiętam, niemal słowo w słowo.

Andre, nigdy nie będę starał się ciebie zmienić, ponieważ ty nigdy nie chciałeś zmienić nikogo. Gdybym potrafił, zmieniłbym najpierw siebie. Ale wiem, że mogę dać ci podstawy i schematy do osiągnięcia wszystkiego, co

sobie zamierzyłeś. Na tym polega różnica między koniem od pługą i koniem wyścigowym. Nie można do nich podchodzić w ten sam sposób. Teraz ciągle się słyszy, żeby ludzi traktować równo, a ja nie jestem pewien, czy równo to znaczy tak samo. Jeśli o mnie chodzi, to ty jesteś koniem wyścigowym i zawsze będę cię tak traktował. Będę stanowczy, ale uczciwy. Będę tobą kierował, a nie pchał cię do czegoś. Nie należę do ludzi, którzy umieją precyzyjnie wyrażać swoje uczucia, ale od tej chwili wiedz jedno: stary, zaczęło się. Zaczęło się. Wiesz, o czym mówię? Idziemy w bój i możesz liczyć, że będę stał przy tobie do końca. Gdzieś tam w górze świeci twoja gwiazda. Może nie będę w stanie pomóc ci jej odnaleźć, ale ramiona mam mocne i możesz na nich stawać, kiedy będziesz jej szukał. Słyszysz, co mówię? Tak długo, jak zechcesz. Stań na moich ramionach i sięgnij po nią, stary. Sięgnij.



Po French Open 1990 roku trafiam na pierwsze strony gazet za sprawą różowego ubioru. Na pierwsze kolumny sportowe, a w niektórych przypadkach na stronach z najświeższymi wiadomościami: *Agassi w różach*. Ujmując to ściślej, chodzi o różowe uciskowe spodenki, które miałem na sobie pod potraktowanymi wybielaczem szortami. Tłumaczę dziennikarzom: to nie różowy, ten kolor nazywa się „gorąca lawa”. Jestem zaskoczony, jak bardzo ich to zajmuje. Jestem zaskoczony, jak bardzo sam się przejmuję tym, aby dobrze zapisali nazwę tego koloru. Moje postępowanie wynika z tego, że wolę, aby pisali o kolorze moich majtek niż o wadach charakteru.

Gil, Philly i ja nie chcemy rozmawiać w Paryżu ani z prasą, ani z kibicami. Nie odpowiada nam uczucie alienacji, zagubienia, to, że się na nas wszyscy gapią, kiedy rozmawiamy po angielsku. Zamykamy się więc w pokoju hotelowym, podkreścamy klimatyzację i zamawiamy jedzenie na wynos z McDonalda i Burger Kinga.

Nick jednak dostaje paskudnego ataku klaustrofobii. Chce wyjść, zwiedzać.

Chłopaki, wykrzykuje, jesteście w Paryżu! Jest tu cholerna wieża Eiffla, wiecie? Pieprzony Luwr?

Byliśmy, zaliczyliśmy, mruczy Philly.

Ja nawet nie chcę zbliżyć się do Luwru. I też nie muszę. Mogę zamknąć oczy i od razu widzę to przerażające płótno z mężczyzną na skraju przepaści, któremu z szyi zwiesza się jego ojciec, a z drugiej strony osaczają go ukochane osoby.

Mówię Nickowi, że już nie chcę widzieć niczego ani nikogo. Chcę tylko wygrać ten pierdolony turniej i wracać do domu.

Przechodzę triumfalnie przez początkowe mecze, gram dobrze i nagle znów trafiam na Couriera. Wygrywa pierwszy set w tie-breaku, ale potyka się i oddaje mi drugi. Wygrywam trzeci i później czwarty set, a on może się tylko skulić i skonać, 6–0. Czerwienieje na twarzy. Przybiera barwę „gorącej lawy”. Ogarnia mnie ochota, by mu powiedzieć: Mam nadzieję, że teraz dostarczyłem ci wystarczająco dużo adrenaliny. Ale się nie odzywam. Może dojrzewam. Bez wątpienia staję się coraz silniejszy.

Następny jest Chang. Obrońca tytułu. Gram, czując wielką urazę, bo wciąż nie mogę uwierzyć, że zdobył szlema przede mną. Zazdrość mu etyki gry, podziwiam jego zdyscyplinowanie na korcie – ale po prostu nie lubię faceta. Wciąż powtarza bez zająknienia, że Jezus zstąpił na jego połowę kortu i ta mieszanka egotyzmu z religią prawdziwie mnie odstręcza. Pokonuję go w czterech setach.

W półfinale gram z Jonaszem Svensonem. Dysponuje potężnym serwisem, od którego aż się chwieję, i nie boi się grać przy siatce. Jednak woli szybsze nawierzchnie, więc jestem zadowolony, że przyłapałem go na korcie ziemnym. Ponieważ ma potężny, topspinowy forhend, postanawiam na początku, że pogonię mu kota, wymuszając bekhendy. Raz za razem zagrywam na jego kruchy bekhend, szybko osiągając przewagę 5–1, a Svenson nie jest w stanie się otrząsnąć. Set dla Agassiego. W drugim secie doprowadzam do przewagi 4–0. Odrabia straty na 3–4. Tylko tyle może zrobić. Trzeba jednak przyznać, że odzyskuje wiarę w siebie i wygrywa trzeci set. Wcześniej już byłbym zdruzgotany. Tym razem patrzę na łożę i widzę w niej Gila. Powtarzam sobie w myślach jego mowę na parkingu i wygrywam czwarty set 6–3.

Jestem w finale – w końcu. Mój pierwszy finał w szlemie. Mam grać z Gomezem z Ekwadoru, którego pokonałem kilka tygodni wcześniej. Ma trzydzieści lat i jest tuż przed emeryturą – właściwie myślałem, że już skończył karierę. Wreszcie gazety piszą, że Agassi uświadomił sobie swój potencjał.

I nagle – katastrofa. Wieczorem przed finałem biorę prysznic i czuję, że tupecik, który kupił mi Philly, nagle dezintegruje się pod palcami. Pewnie nałożyłem złą odżywkę. Zaczyna się pruć – cholerstwo rozpada się w rękach.

Czując gwałtowny przyływ paniki, wzywam Philla do mojego pokoju.

Porażka, kurwa! Mój tupecik – patrz!

Bada go.

Wysuszymy i przypniemy z powrotem, uspokaja.

Czym przypniemy?

Wsuwkami do włosów.

Przezesuje cały Paryż w poszukiwaniu wsuwek do włosów. Nie może znaleźć. Dzwoni do mnie i mówi: Co to za wiocha?! Nie mają wsuwek!

W hotelowym lobby spotyka Chris Evert i pyta ją, czy nie ma przypadkiem wsuwek. Nie ma. Pyta go, po co mu one. Philly milczy jak grób. W końcu odnajduje przyjaciółkę naszej siostry Rity, która ma ich całą torbę. Pomaga mi poskładać jakoś to cholerstwo i umieścić na głowie, po czym przymocowuje je przynajmniej dwudziestoma wsuwkami.

Będzie się trzymać?, pytam.

Jasne, że będzie. Tylko się za bardzo nie ruszaj.

Wybuchamy śmiechem.

Oczywiście mógłbym grać bez tupecika, ale po wielu miesiącach drwin, krytyki i docinków zbyt jestem zapatrzony w siebie. Wizerunek to wszystko? Co by zaczęli krzyczeć, gdyby wiedzieli, że noszę tę peruczkę cały czas? Czy bym wygrywał czy przegrywał, gra nic by ich nie obchodziła. Gadaliby wyłącznie o moich włosach. Nie wyśmiewałoby mnie kilkoro uczniów z Akademii Bollettieriego ani też dwanaście tysięcy Niemców na Pucharze Davisa – śmiałyby się cały świat. Zamykam oczy i słyszę ten rechot. Wiem, że tego bym nie zniósł.

Rozgrzewając się przed meczem, modłę się. Nie o wygraną, ale o to, by mój tupecik trzymał się głowy. W normalnych okolicznościach, grając w moim pierwszym szlemie, w finale, byłbym spięty. Ale mój przeredzony tupecik wpędza mnie w stan katatoniczny. Czy się przesuwam, czy nie, mam wrażenie, że bardzo się przesuwam. Wyobrażam sobie, jak z każdym wyskokiem, z każdym rzuceniem się do piłki padam na nawierzchnię niczym jastrząb zestrzelony przez tatę. Słyszę, jak tłum wstrzymuje oddech. Widzę, jak miliony osób nagle przybliżają się do odbiorników

telewizyjnych, jak patrzą po sobie i w dziesiątkach języków i dialektów mówią coś takiego: Czy Andre Agassiemu właśnie odpadły włosy?

Mój plan gry z Gómezem jest odzwierciedleniem skołatanych nerwów, mojej płochliwości. Wiedząc, że nie ma już nóg młodzieńca, wiedząc, że odpuści w piątym secie, planuję przeciągnąć ten mecz, inicjując długie wymiany piłek, by zetrzeć go na proch. Jednak kiedy mecz się zaczyna, widzę wyraźnie, że Gómez też jest świadomy swojej metryki i tym samym chce wszystko przyspieszyć. Gra szybki, ryzykowny tenis. Rzutem na taśmę wygrywa pierwszy set. Przegrywa drugi, ale również rzutem na taśmę. Teraz wiem, że potrwa to najwyżej trzy godziny, a nie cztery, co oznacza, że kondycja nie odegra tu znaczącej roli. Mecz zmienia się w konkurs strzelniczy i Gómez może wygrać takie starcie. Po dwóch setach nietrwających zbyt długo, staję na wprost faceta, który będzie rzeński przez cały czas, nawet jeśli dojdziemy do pięciu.

Oczywiście moja gra jest od samego początku pełna błędów. Naprawdę żalonych błędów. Nie może się udać, bez względu na to, jak długi będzie pojedynek, gdyż nie da się wygrać finałowego meczu w szlemie, grając na przetrwanie, czekając, aż przeciwnik sam się podda. Mój plan, by przegonić go po korcie, jedynie ośmiela Gómeza. Jest weteranem, który wie, że być może jest to jego ostatnia szansa na zdobycie szlema. Jedynym sposobem na pokonanie rywala jest odebrać mu wiarę i pragnienie wygranej, przygniatając go ofensywną grą. Kiedy widzi, że idę na przetrwanie, próbując coś wykombinować, zamiast zdominować kort, dodaje mu to otuchy.

Wygrywa trzeci set. Kiedy zaczyna się czwarty, uświadamiam sobie, że przeliczyłem się jeszcze w jednym. Większość tenisistów zmęczonych meczem traci siłę serwisu. Mają problemy z wysokim do piłki. Ale Gómez wali niczym z procy. On nigdy nie wyskakuje wysoko przy serwisie. Tym samym, kiedy się męczy, obniża wyrzut piłki jeszcze bardziej i jego machina serwisowa staje się niebezpieczniejsza. Oczekiwałem, że serwis mu osłabnie, a tymczasem jest bardziej zjadliwy.

Po wygranej Gómez zachowuje się z jeszcze większą gracją i szarmem. Płacze. Macha do kamer. Wie, że w Ekwadorze stanie się bohaterem narodowym. Ciekawe, jak jest w tym Ekwadorze. Może się tam przeprowadzę. Może jest to jedyne miejsce na ziemi, gdzie udałoby mi się schronić przed wstydem, jaki teraz odczuwam. Siedzę w szatni ze zwieszoną głową i wyobrażam sobie, jak setki dziennikarzy i komentatorów

już ostrzą pióra, nie wspominając o kolegach tenisistach. Jakbym ich słyszał. Wizerunek to wszystko, Agassi to nic. Pan gorąca lava to pan ciepłe kluchy.

Wchodzi Philly. Widzę w jego oczach, że nie tylko mi współczuje – on to też przeżywa. To była również jego porażka. Boli go. Później wypowiada to, co powinien powiedzieć odpowiednim tonem i wiem, że zawsze będę go za to kochał.

Wypierdalajmy z tej dziury.

Gil pcha wózek z naszymi bagażami na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Idę krok przed nim. Zatrzymuję się, by spojrzeć na tablicę odlotów i przylotów. Gil sunie dalej. Wózek ma metalową krawędź, która wbija mi się w odsłonięte ścięgno Achillesa – noszę mokasyny bez skarpetek. Strumyczek krwi tryska na szklistą podłogę. Potem drugi. Ścięgno Achillesa tryska krwią. Gil szybko sięga po bandaż do swojej torby, ale proszę go, żeby się nie przejmował i nie spieszył. To dobrze, uspokajam go. Wszystko pasuje. Paryż powinien utoczyć kroplę krwi z mojego ścięgna Achillesa przed odlotem.

Znów odpuszczam Wimbledon i całe lato mocno trenuję z Gilem. Skończył już montować siłownię w domowym garażu – jest wypełniona kilkunastoma machinami tortur jego konstrukcji oraz ma kilka indywidualnych elementów. W oknie Gil zamontował potężny klimatyzator. Do podłogi przybił gąbczastą wykładzinę. A w rogu ustawił stół do bilardu. Między zestawami ćwiczeń i powtórzeń gramy sobie w snookera. Często siedzimy w tej sali do czwartej nad ranem, bo Gil szuka sposobu na podbudowanie mojej psyche, poprawienie mojej pewności siebie wraz z kondycją fizyczną. Jest zdruzgotany porażką na French Open tak samo jak ja. Pewnego ranka, przed wschodem słońca, mówi mi coś, co zawsze powtarzała jego matka:

*Que lindo es soñar despierto.* Jak pięknie jest śnić na jawie. Śnij na jawie, Andre. Każdy może marzyć podczas snu, ale ty musisz marzyć przez cały czas, powtarzać sobie, co ci się śni i wierzyć w to.

Innymi słowy muszę marzyć podczas finałowego szlema. Muszę grać tak, by wygrać.

Dziękuję mu. Daję mu prezent. Jest to wisiołek ze złotą piramidą, wewnątrz której są trzy obręcze. Przedstawiają Ojca, Syna i Ducha



Świętego. Sam go zaprojektowałem, a wykonał jubiler z Florydy. Mam taki sam kolczyk.

Zakłada go na szyję i widać wyraźnie, że prędzej śnieg spadnie na pustyni, niż on go zdejmie.

Gil lubi na mnie powrzeszczać, kiedy ćwiczę, ale nie przypomina to wrzasku mojego ojca. W jego krzyku słychać miłość. Jeśli przygotowuję się do pokonania własnego rekordu, jeśli szykuję się do podniesienia ciężaru, którego jeszcze nie dźwignąłem, Gil staje w pewnej odległości i woła: Dalej, Andre! No już! Przywal mu! To sprawia, że serce kołacze się w piersi. By jeszcze bardziej mnie zdopingować, czasami mówi, żebym się odsunął i dźwiga swój rekord życiowy – dwieście pięćdziesiąt kilogramów. To niesamowity widok, kiedy mężczyzna kładzie tyle żelastwa na swoją pierś, i zawsze wtedy myślę, że wszystko jest możliwe. Jak pięknie jest pomarzyć. Tylko że marzenia, zwierzam się Gilowi w jakiejś spokojniejszej chwili, są cholernie męczące.

Śmieje się.

Nie mogę ci obiecać, że się nie zmęczysz. Zapamiętaj jedno: mnóstwo dobrych rzeczy oczekuje na ciebie za granicą zmęczenia. Męcz się, Andre. Za tą granicą poznasz samego siebie. Po drugiej stronie zmęczenia.

Pod opieką i pod ścisłym nadzorem Gila zyskuję pięć kilo mięśni do sierpnia 1990 roku. Lecimy do Nowego Jorku na US Open, a ja czuję się drapieżnie niebezpieczny. W łatwym trzysetowym meczu gładko pokonuję Rosjanina Andrieja Czerkasowa. Uderzam celnie, przedzieram się do półfinału, pokonuję Beckera w czterech wściekłych setach i wciąż mam sporo rakietowego paliwa w zapasie. Jedziemy z Gilem do hotelu, żeby popatrzeć na wyłanianie drugiego finalisty, z którym spotkam się jutro. Czy będzie to McEnroe, czy Sampras?

Wydaje się to niemożliwe, ale chłopak, o którym myślałem, że odejdzie w zapomnienie, w przedziwny sposób wychodzi na prostą. Toczy z McEnroe pojedynek na śmierć i życie. Wtedy uświadamiam sobie, że to nie McEnroe zadaje mu bobu, tylko zupełnie odwrotnie, i McEnroe przegrywa. Zupełnie niespodziewanie moim jutrzejszym przeciwnikiem będzie Pete.

Kamera robi najazd na twarz Pete'a i widzę, że niewiele z niego zostało. Również komentator mówi, że stopy ma całe w bąblach. Gil przygotowuje mi Wodę Gila i pompuje ją we mnie, aż mam ochotę zwymiotować, a potem kładę się do łóżka z uśmiechem, myśląc sobie, jak przednia to

będzie zabawa, kiedy jutro zagonię Pete'a na śmierć. Będzie śmigał od linii do linii, z prawa na lewo, z San Francisco do Bradenton, aż pęcherze zaczną mu krwawić. Przypomina mi się stara maksyma taty. Niech mu bąbel wyskoczy na mózgu. Spokojny, wyluzowany, pewny swego śpię twardo niczym ciężarki Gila.

Rankiem czuję, że jestem w stanie zagrać dziesięć setów. Nie martwię się tupecikiem, bo go nie noszę. Wykorzystuję nowy, prosty system kamuflażu, polegający na założeniu szerszej opaski oraz rozjaśnieniu pasemek. Po prostu nie ma mowy, żebym przegrał z Pete'em, nieszczęsnym chłopakiem, którego obserwowałem ze współczuciem rok temu, biedną fujarą, która nie potrafiła utrzymać piłki w korcie.

Pojawia się odmieniony Pete. Taki, który nigdy nie chybia. Toczymy długie boje o każdy punkt, ważny punkt, a on jest bezbłędny. Dobiega do każdej piłki, odbiera wszystkie moje zagrania, śmiga do przodu i do tyłu niczym gazela. Serwuje jak z armaty, leci do siatki, narzuca mi własny styl gry. Tworzy zaporę nie do przebiccia dla moich serwisów. Jestem bezradny. I wściekły. Powtarzam sobie: Nie może być.

Tak, może.

Nie, nie może być.

Nagle zamiast zastanawiać się, jak wygrać ten mecz, zaczynam gorączkowo kombinować, jak go nie przegrać. To ten sam błąd, który popełniłem w meczu z Gomezem, z takim samym rezultatem. Kiedy jest po wszystkim, mówię dziennikarzom, że Pete dał mi popis starego, dobrego, nowojorskiego ulicznego lania. Nie jest to najszcześniejsza metafora, to prawda. Ale tak, zostałem obrabowany. Tak, zabrano mi coś, co należało już do mnie. I nie mogę zgłosić tego na policję, nie ma też nadziei, żeby sprawiedliwości stało się zadość, bo wszyscy i tak będą obwiniać ofiarę.

Kilka godzin później w hotelu otwieram oczy. Leżę w łóżku. To był tylko sen. Przez wspaniałą ułamek sekundy wierzę, że chyba zasnąłem na wietrznym wzgórzu, gdzie Philly i Nick śmieją się z fatalnej gry Pete'a. Śniło mi się właśnie, że Pete pokonał mnie w finałowym meczu szlema.

Ale nie. To rzeczywistość. Obserwuję, jak w pokoju robi się coraz jaśniej, a mój umysł i duch wyraźnie pochmurnieją.



Od chwili gdy Wendi przyszła popatrzeć na zdjęcia do reklamy z hasłem: Wizerunek to wszystko, stanowimy parę. Podróżuje ze mną, zajmuje się mną. Jesteśmy idealnie dobrani, bo dorastaliśmy razem i postanowiliśmy, że będziemy też dorastać dalej. Pochodzimy z tego samego miasta, chcemy tego samego. Kochamy się na zabój, chociaż ustalamy, że nasz związek powinien być otwarty – to jej słowa. Mówi, że jesteśmy za młodzi, żeby się wiązać na stałe, zbyt zdezorientowani w życiu. Ona sama nie wie, kim jest. Została wychowana w rodzinie mormonów, później stwierdziła, że religia jej nie odpowiada. Poszła na studia, ale odkryła, że zupełnie jej nie pasują. Twierdzi, że póki nie dowie się, kim jest naprawdę, nie może mi się oddać całkowicie.

W 1991 roku jesteśmy wraz z Gilem w Atlancie i świętujemy moje dwudzieste pierwsze urodziny. Siedzimy w barze – podejrzanego starej spelunce w Buckhead, otoczeni poprzypalanymi papierosami stołami do bilardu i wszechobecnymi plastikowymi kubkami po piwie. Śmiejemy się w trójkę, pijemy i nawet Gil, który zazwyczaj nie rusza alkoholu, jest nieco wstawiony. Aby uwiecznić ten wiekopomny wieczór, Wendi przynosi kamerę. Podaje mi ją i każe filmować, jak wkłada piłkę do kosza na jednej z tych maszyn do gier. Mówi, że nauczy mnie, jak to robić. Filmuję jej

popisy przez jakieś trzy sekundy, po czym kamera wolno zjeżdża w dół po jej ciele.

Andre, bardzo cię proszę, zabierz obiektyw z mojego tyłka.

Wchodzi banda krzykaczy. Są mniej więcej w moim wieku i wyglądają jak miejscowa drużyna futbolu czy rugby. Rzucają kilka obraźliwych uwag pod moim adresem, po czym skupiają swoją uwagę na Wendi. Są pijani, prostacy i starają się mnie przed nią poniżyć. Przypomina mi się Nastase, który robił to samo czternaście lat wcześniej.

Drużyna rugby kładzie stos ćwierćdolarówek na brzegu naszego stołu do bilardu. Jeden z nich oznajmia: Za chwilę my gramy. Odchodzą ze złośliwymi uśmieszkami na twarzach.

Gil stawia swój plastikowy kufel, bierze ćwierćdolarówki i wolno podchodzi do maszyny z przekąskami. Kupuje torebkę orzeszków i wraca do mnie, do naszego stolika. Wolno wciąga orzeszki, nie odrywając wzroku od rugbistów, aż ci podejmują mądrą decyzję i zmieniają lokal.

Wendi chichocze i rzuca sugestię, że poza wieloma funkcjami i powinnościami Gil mógłby zostać moim ochroniarzem.

Ale on już nim jest, odpowiadam. Jednak to stwierdzenie nie oddaje w pełni rzeczywistości. Nie jest adekwatne. On chroni moje ciało, moją głowę, grę, moje serce do walki i moją dziewczynę. Jest nierozzerwalnym elementem mojego życia. Jest moją opoką.

Sz szczególnie lubię, kiedy ludzie – dziennikarze, kibice czy wręcz świry – pytają go, czy jest moim ochroniarzem. Na jego ustach zawsze wtedy pojawia się uśmiech i mówi: Tknij go, a się przekonasz.

Podczas French Open w 1991 roku przedzieram się przez sześć rund i docieram do finału. To mój trzeci finał wielkoszlemowy. Mam grać z Courierem i jestem faworytem. Wszyscy twierdzą, że go pokonam. Ja też uważam, że go pokonam. Muszę go pokonać. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by było, gdybym przerznął trzeci finałowy mecz wielkoszlemowy z rzędu.

Dobra wiadomość jest taka, że wiem, jak pokonać Couriera. Złoiłem mu skórę rok temu na tym samym turnieju. Zła wiadomość – to starcie bardzo osobiste, co powoduje, że jestem spięty.

Zaczynaliśmy w tym samym miejscu, w tych samych koszarach Akademii Bollettieriego o kilka prycz od siebie. Byłem od niego lepszy i tak bardzo faworyzowany przez Nicka, że przegrana z Courierem w finale

wielkiego szlema przypominałaby porażkę z zółwiem. Żeby było jeszcze gorzej, Chang wygrał szlema przede mną. I Pete. Ale żeby Courier? Nie mogę na to pozwolić.

Wychodzę na kort, by wygrać. Nauczyłem się wiele na błędach w ostatnich dwóch szlemach. Przelatuję przez pierwszy set, wygrywając 6–3, w drugim secie prowadzę 3–1 i dochodzi do break pointu. Jeśli zdobęde ten punkt, wygram set i mecz. Nagle zaczyna padać deszcz. Kibice zakrywają się i pierzchają, żeby się gdzieś schować. Courier i ja wracamy do szatni, gdzie obaj krążymy niczym lwy. Wchodzi Nick i oczekuję od niego porady, zachęty, ale on milczy. Nie mówi nic. Od jakiegoś już czasu wiem, że ciągam się z Nickiem z lojalności, a nie ze względu na jego walory trenerskie. W tym właśnie momencie potrzebuję jednak odrobiny zrozumienia, co jest powinnością każdego trenera. Potrzebuję, żeby oswoił, okiełznał tę naładowaną adrenaliną chwilę, w której się znalazłem. Czy za dużo wymagam?

Po przerwie Courier ustawia się dalej za linią końcową, mając nadzieję, że zamortyzuje moje piłki. Miał czas na odpoczynek, refleksję, nabranie sił i walczy zażarcie, nie dopuszczając do przełamania, a następnie wygrywa drugi set. Teraz jestem zły. Jestem wściekły. Wygrywam trzeci set 6–2. Jest to informacja dla Couriera i dla mnie, że drugi set to przypadek. Przy dwóch setach do jednego czuję, jak linia mety mnie przyciąga. To mój pierwszy szlem. Ledwo sześć gemów ode mnie.

Kiedy zaczyna się czwarty set, przegrywam dwanaście z pierwszych trzynastu punktów. Zaczynam się sypać. Czy Courier gra lepiej? Nie wiem. Nigdy się nie dowiem. Natomiast wiem, że jest to znajome uczucie. Poniżające. Poczucie nieuchronności. Lekkość chwili ulatuje bez śladu. Courier wygrywa set 6–1.

W piątym secie przy stanie 4–4, udało mu się przełamać mój serwis. Teraz chcę już przegrać.

Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć. W czwartym secie utraciłem wolę, a teraz zabrakło mi i chęci. Tak jak na początku meczu byłem pewny wygranej, tak teraz jestem pewien, że skończy się to porażką. I pragnę jej. Wyczekuję. Mamrocę pod nosem: Byle szybko. Skoro porażka to śmierć, wolę, żeby przyszła szybko.

Już nie słyszę trybun. Nie odbieram własnych myśli, tylko szum w głowie. Nie słyszę ani nie czuję niczego poza pragnieniem doznania porażki. Oddaję dziesiąty i decydujący gem piątego seta i składam

Courierowi gratulacje. Przyjaciele mówią, że nigdy nie widzieli u mnie tak zdruzgotanej miny.

Po wszystkim nie robię sobie wyrzutów. Na zimno wyjaśniam to sobie tak: Nie masz w sobie tego czegoś, co pozwala przekroczyć linię mety. Po prostu odpuszczasz – musisz rzucić ten sport.

Przegrana zostawia bliznę. Wendi twierdzi, że niemal ją widzi, znamię jakby po uderzeniu pioruna. Tylko tyle mówi podczas długiego lotu do Las Vegas.

Kiedy wchodzimy do domu rodziców, mój ojciec staje w przedpokoju. Od razu zaczyna na mnie najeżdżać. Dlaczego nie zmieniłeś sposobu gry po przerwie? Dlaczego nie napierałeś na jego bekhend? Nie odpowiadam. Nie ruszam się. Spodziewałem się tej tyrady przez dwadzieścia cztery godziny i teraz już na nią zobojeźniałem. Ale nie Wendi. Robi coś, czego nikt wcześniej nie zrobił, coś, na co, jak miałem nadzieję, odważy się kiedyś moja mama. Rzuca się między nas i pyta: Możemy nie rozmawiać o tenisie przez jakieś dwie godziny? Dwie godziny – bez tenisa?

Mój ojciec milknie i gapi się na nią wstrząśnięty. Boję się, że ją spoliczkuje. A on tylko obraca się na pięcie i wypada z korytarza do swojej sypialni.

Zerkam na Wendi. Nigdy nie darzyłem jej większym uczuciem niż w tej chwili.

Nie dotykam rakiet. Nie otwieram torby tenisowej. Nie trenuję z Gilem. Leżę w łóżku, oglądając horrory z Wendi. Jedynie horrory pozwalają mi oderwać się od wszystkiego, bo odzwierciedlają to, co przeżywałem w piątym secie w meczu z Courierem.

Nick nagabuje mnie, żebym zagrał w Wimbledonie. Śmieję mu się w jego opaloną twarz.

Po upadku trzeba znów wskoczyć na konia. To jedyny sposób, mój chłopcze.

Pierdolę tego konia.

No, daj spokój, uspokaja Wendi. No szczerze, co to zmienia?

Zbyt przybity, by się kłócić, pozwalam Nickowi i Wendi wepchnąć się do samolotu do Londynu. Wynajmujemy piękny, dwupiętrowy dom schowany z dala od głównej drogi nieopodal klubu All England Lawn Tennis and Croquet Court. Ma na tyłach uroczy ogród z różowymi różami i mnóstwem śpiewających ptaków – to przystań, gdzie mogę odpoczywać

i niemal zapominam, po co przyleciałem do Anglii. Wendi sprawia, że czuję się tu jak w domu. Wypełnia go świecami, jedzeniem – i swymi perfumami. Wieczorami gotuje przepyszne potrawy, a rankami pakuje mi śniadanie, żebym zabrał je na trening.

Z powodu deszczu turniej zostaje przesunięty o pięć dni. Ostatniego dnia w przytulnym domu zaczyna nas nosić. Chcę już wyjść na kort. Chcę pozbyć się posmaku po French Open w ustach, albo przegrać i wrócić do domu. W końcu deszcz daje za wygraną. Gram z Grantem Conellem, ekspertem od serwisu i woleja, który nieźle sobie żyje z gry na szybkich nawierzchniach. To dla mnie niezbyt fortunny przeciwnik w pierwszej rundzie po tak długiej przerwie na trawiastym korcie. Wszyscy spodziewają się, że będzie mnie beształ. Psim swędem udaje mi się wygrać w pięciu setach.

Docieram do ćwierćfinału, gdzie gram z Davidem Wheatonem. Mam przewagę dwa do jednego w setach, dwa przełamania w czwartym secie, gdy nagle mój mięsień w biodrze wycina mi numer. Kulejący mogę jedynie oddać mecz. Wheaton wygrywa gładko.

Mówię Wendi, że mogłem go wygrać. Zaczynam się czuć lepiej niż na French Open. Cholerne biodro.

Chyba to jednak dobrze, że chciałem wygrać. Być może moje pragnienia zmieniły kierunek i zaczynają podążać w drugą stronę.

Szybko dochodzę do siebie. Po kilku dniach moje biodro jest jak nowe. Jednak umysł wciąż cierpi. Jadę na US Open i przegrywam w pierwszej rundzie. W pierwszej rundzie. Ale najbardziej przerażający jest styl tej porażki. Gram z Kricksteinem, dobrym, starym Kricksteinem i znów mi się nie chce. Wiem, że mogę go pokonać, a jednak uważam, że nie jest wart mego zachodu. Nie wkładam w to potrzebnej energii. Czuję dziwny spokój wobec braku wszelkiego wysiłku z mojej strony. To brak motywacji, tak po prostu. Nie kwestionuję tego. Nawet nie staram się tego od siebie odegnąć. Krickstein biega, podskakuje, rzuca się do piłek, a ja tylko obserwuję go z wyrozumiałym zainteresowaniem. Dopiero po meczu pojawia się wstyd.

Muszę zrobić jakiś radykalny krok, coś, co rozerwie uwodzicielski uścisk, w jaki najwyraźniej pojmą mnie przegrana. Postanawiam wyprowadzić się na swoje. Kupuję dom z parcelą, który ma trzy sypialnie i mieści się w południowo-zachodniej dzielnicy Vegas, po czym zmieniam go w ucieleśnienie kawalerskiej samotni, niemal w parodię gawry kawalera.

W sypialni robię salon gier ze wszystkimi klasycznymi automatami – Asteroidami, Space Invaders i Defender. Jestem strasznie cienki w te gry, ale mam zamiar się podciągnąć. Przekształcam salon w salę kinową ze sprzętem z najwyższej półki i głośnikami w poduszkach kanap. Zmieniam jadalnię w salon bilardowy. W całym domu rozstawiam cudownie miękkie skórzane fotele oprócz głównego salonu, gdzie instaluję masywną, wypchaną gęsim puchem sofę obitą zielonym welurem. W kuchni stawiam podajnik na wodę Mountain Dew, moją ulubioną, oraz montuję kurki do piwa. Z tyłu domu wstawiam jacuzzi oraz oczko wodne z ciemnym dnem.

A najlepsze jest to, że robię z sypialni jaskinię, wszystko jest kruczoczarne, włącznie z ciężkimi zasłonami, które nie przepuszczają ani jednego promienia słońca. Jest to areszt domowy nastolatka, starego maleńkiego, który postanowił skryć się przed światem. Chodzę po nowym domu, po tej luksusowej kawalerce i pozwalam sobie na buńczuczną myśl, jaki to jestem dorosły.

Ponownie opuszczam Australian Open na początku 1992 roku. Nigdy tam nie grałem i zdaje się, że teraz nie jest najbardziej odpowiedni moment, by zaczynać. Uczestniczę jednak w Pucharze Davisa i radzę sobie całkiem nieźle, może dlatego, że odbywa się na Hawajach. Gramy przeciwko Argentynie. Wygrywam oba mecze. Następnie na dzień przed moim ostatnim pojedynkiem razem z Wendi idziemy pić z McEnroe i jego żoną Tatum O’Neal. Przesadzam i kładę się spać o czwartej rano, zakładając, że ktoś mnie zastąpi w niedzielnym meczu bez znaczenia, często nazywanym martwą gumą.

Jednak nie. Chociaż mam kaca i jestem odwodniony, muszę wyjść i zagrać z Jaite, którego serwisową piłkę złapałem kiedyś ręką. Na szczęście Jaite też ma kaca. Określenie martwa guma pasuje, bo obaj jesteśmy nieżywi i wiotcy. Aby ukryć przekrwione oczy, występuję w okularach przeciwsłonecznych i radzę sobie zadziwiająco dobrze. Gram na luzie. Schodzę z kortu jako zwycięzca, zastanawiając się, jaką lekcję mam z tego wyciągnąć. Czy zastosować tego typu rozluźnianie, kiedy idzie o wielką stawkę? Kiedy gram szlema? Czy na każdy mecz powinienem się zjawiać na kacu?

Za tydzień pojawiaam się na okładce magazynu „Tenis”, grając w moich okularach marki Oakley. W kilka godzin po ukazaniu się czasopisma, kiedy siedzimy w Wendi w mojej kawalerce, przed drzwiami zajeżdża samochód dostawczy. Wychodzimy na dwór. Proszę tu podpisać, mówi dostawca.



Co to jest?

Prezent. Od Jima Jannarda, założyciela firmy Oakley.

Kłapa samochodu unosi się wolno i na podjazd opuszcza się rampa z czerwonym dodgem viper.

Dobrze wiedzieć, że chociaż generalnie przegrywam, wciąż mogę coś reklamować.

Moja pozycja w rankingu leci na łeb na szyję. Wypadam z pierwszej dziesiątki. Jedynie podczas Pucharu Davisa czuję się na swoim miejscu na korcie. W Fort Myers pomagam drużynie USA pokonać Czechosłowację, wygrywając oba mecze. Poza tym jedyna gra, w której robię postępy, to „Asteroidy”.

Podczas French Open w 1992 roku pokonuję Pete’a i dobrze mi z tym. Następnie ponownie natykam się na Couriera, znów w półfinale. Wspomnienia z zeszłego roku wciąż są świeże, bolesne, znów przegrywam – w trzech setach. Ponownie Courier zawiązuje buty i idzie pobiegać. Nadal nie jestem w stanie go wykończyć.

Łąduję na Florydzie w domu Nicka. Kiedy tam jestem, nawet nie biorę rakiety do ręki. Później, chcąc nie chcąc, odbywam krótki trening na twardym korcie Akademii Bollettieriego i wszyscy lecimy na Wimbledon.

Talenty, jakie przyciąga w 1992 roku ten londyński turniej, są niezwykle. Jest Courier z numerem pierwszym w rankingu po wygranych dwóch szlemach. Jest Pete, który staje się coraz lepszy. Jest Stefan Edberg, grający jak nawiedzony. Mnie rozstawiono z numerem dwunastym, choć przy mojej grze powinienem być niżej.

W meczu pierwszej rundy przeciwko Rosjaninowi Andriejowi Czesnokowowi gram jak zawodnik drugiego sortu. Przegrywam pierwszego seta. Wściekły zaczynam kłać na siebie i złorzeczyć, aż sędzia daje mi ostrzeżenie za użycie słowa kurwa. Niemal chcę się do niego odwrócić i zasypać go lawiną kurwa-kurwa-kurwa. Postanawiam go jednak zaszokować, zaskoczyć wszystkich tym, że biorę głęboki wdech i się opanowuję. Następnie dokonuję kolejnego wstrząsającego czynu i wygrywam trzy sety.

Dostaję się do ćwierćfinału. Gram przeciwko Beckerowi, który w ciągu ostatnich siedmiu turniejów sześć razy docierał do finału Wimbledonu. *De facto* to jego kort, jego matecznik, ale już dobrze znam jego serwis.

Wygrywam w pięciu setach rozgrywanych przez dwa dni. Wspomnienia z Monachium, spoczywajcie w spokoju.

W półfinale staję przed McEnroe, trzykrotnym zwycięzcą Wimbledonu. Ma trzydzieści trzy lata, zbliża się do końca kariery i jest nierozstawiony. Mając w pamięci jego obecny status oraz legendarne osiągnięcia, fani oczywiście chcą, by zwyciężył. Ja po części również. Wygrywam jednak w trzech setach. Jestem w finale.

Spodziewam się pojedynku z Pete'em, ale przegrywa w półfinałach z Goranem Ivaniševiciem, wielkim, silnym automatem do serwowania z Chorwacji. Wcześniej dwukrotnie grałem z Ivaniševiciem i za każdym razem pokonywał mnie w dwóch setach. Dlatego współczuję Pete'owi, bo wiem, że wkrótce do niego dołączę. Nie mam szans z przeciwnikiem. Jak zawodnik wagi piórkowej ścierający się z zawodnikiem wagi ciężkiej. Nie wiadomo tylko, czy będzie to zwykłe mordobicie, czy też techniczny nokaut.

Choć zazwyczaj serwis Ivaniševicia jest niezwykle silny, dzisiaj zmienia się w prawdziwe dzieło sztuki. Gania mnie swymi bombami na prawo i lewo, a piłka leci z prędkością ponad dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę. Nie chodzi tylko o prędkość, a o trajektorię. Piłki lądują pod kątem 75 stopni. Staram się nie przejmować. Powtarzam sobie, że asy serwisowe się zdarzają. Za każdym razem, kiedy piłka śmiga obok mnie, mamrocze pod nosem, że przecież nie może tego robić za każdym razem. Po prostu idź na drugą stronę i przygotuj się, Andre. O meczu zdecyduje tych kilka drugich podań.

Wygrywa pierwszy set 7-6 i ani razu nie potrafię go przełamać. Koncentruję się na tym, by nie przesadzić, robić wdech i wydech, pozostać cierpliwym. Gdy przez mózg przebiega mi myśl, że oto właśnie znalazłem się o krok od przegrania mojego czwartego szlema w finale, po prostu ją od siebie odpędzam. W drugim secie Ivanišević posyła mi kilka wrzutek, robi kilka błędów i przełamuję go. Wygrywam drugi set. Potem trzeci. I to niemal mnie wykańcza, bo znów jestem o set od szlema.

Ivanišević podnosi się w czwartym secie i niszczy mnie. Rozwścieczyłem Chorwata. Tym samym traci jedynie kilka punktów. No i znów zaczyna się zabawa. Widzę jutrzejsze nagłówki równie wyraźnie jak rakietę w ręku. Na początku piątego seta biegam w miejscu, by przyspieszyć krążenie krwi i powtarzam sobie: Chcesz tego. Tym razem nie

chcesz przegrać. Problem z poprzednimi trzema szlemami polegał na tym, że niedostatecznie pragnąłeś wygranej i tym samym ci się nie udało, ale teraz chcesz wygrać, więc tym razem pokaż Ivaniševiciowi i wszystkim innym w tym lokalu, że tego chcesz.

Przy wyniku 3–3 serwuję na przewagę. Nie byłem w stanie zaserwować pierwszym podaniem w trakcie całego tego seta, ale tym razem, litościwie, mi się udaje. Chorwat returnuje na środek kortu, ja uderzam na jego bekhend, on zagrywa wysokiego loba. Muszę cofnąć się o dwa kroki. Smecz należy do jednych z najłatwiejszych uderzeń w tenisie. Jest również ucieleśnieniem moich zmagani w szlemach, bo jest zbyt prosty. Nie lubię, gdy coś jest zbyt proste. Jest w zasięgu ręki – uda mi się odebrać? Robię zamach, uderzam jak z podręcznika nad głową i zdobywam punkt. Bronię serwis.

Teraz Ivanišević serwuje przy 4–5. Robi podwójny błąd serwisowy. Jest 30–0 dla mnie. Goran łamie się pod presją. Nie udało mi się go przełamać przez półtorej godziny, a teraz on się łamie sam. Partoli kolejny pierwszy serwis. Rozpada się. Wiem to. Widzę. Nikt lepiej ode mnie nie wie, jak to jest się rozpadać. Wiem, jak to smakuje. Wiem dokładnie, co dzieje się z ciałem Ivaniševicia. Ma ściśnięte gardło. Drżą mu nogi. Ale wtedy wychodzi ze swojego ciała i posyła piłkę na koniec kortu, promień żółtego światła, który muska linię. Z nawierzchni wzbija się tuman kredowego pyłu, jakby strzelił w linię z karabinu szturmowego. Następny jego serwis znów jest nie do odebrania. Nagle jest po 30.

Knoci kolejny pierwszy serwis, udaje mu się z drugim. Odpieram go, on uderza z półwoleja, wbiegam w kort i mijam go, po czym długo idę w stronę linii końcowej. Powtarzam sobie: Możesz to wygrać jednym zamachem. Jednym zamachem. Nigdy nie byłeś tak blisko. Może nigdy więcej ci się to nie trafi.

I w tym sęk. Co będzie, jeśli coś zepsuję tak blisko wygranej? Drwiny. Potępienie. Zatrzymuję się, staram się z powrotem skoncentrować swoją uwagę na Ivaniševiciu. Muszę odgadnąć, w którą stronę zaserwuje. W porządku, typowy mańkut serwuje na bekhend, uderza piłki z boczną rotacją, które powodują, że przeciwnik zostaje zgoniony z kortu. Tylko że Ivanišević nie jest typowym mańkutom. Jego podanie jest przeważnie płaską bombą w środek pola serwisowego. Dlaczego preferuje taki styl, Bóg jeden wie. Może nie powinien tego robić. Ale robi. Tyle o nim wiem. Wiem, że zaserwuje do środka. No i proszę, właśnie to robi, ale trafia

w siatkę. To dobrze, bo była to prawdziwa kometa celowana prosto w linię. I chociaż dobrze odgadłem, ruszyłem we właściwą stronę, to i tak nie byłbym w stanie odebrać tej piłki.

Tłum zaczyna wstawać z miejsc. Proszę o przerwę, żeby odbyć z sobą rozmowę: Zdobądź ten punkt, Andre, bo nie uda ci się to już nigdy więcej. Porzuć nadzieje na błędy serwisowe, nie trzymaj się kurczowo myśli, że spudłuje. Kontrolujesz to, co możesz kontrolować. Odbij tę piłkę z całej siły i jeśli odbijesz mocno, ale spudłujesz, jakoś to przeżyjesz. Będiesz mógł z tym żyć. Jedno odbicie, żadnych wyrzutów sumienia.

Uderz mocniej.

Serwuje na mój bekhend. Wyskakuję w powietrze, robię zamach, ale jestem tak spięty, że piłka odbita na jego bekhend ma mierną prędkość. Jakimś cudem psuje ten prosty wolej. Jego piłka trafia w siatkę i tak po prostu, po dwudziestu dwóch latach i dwudziestu dwóch milionach machnięć tenisową rakieta zostaje zwycięzcą Wimbledonu w 1992 roku.

Padam na kolana. Przewracam się na brzuch. Nie mogę uwierzyć emocjom, które wylewają się teraz ze mnie. Kiedy podnoszę się i staję chwiejnie na nogach, koło mnie pojawia się Ivanišević. Ściska mnie i mówi ciepło: Gratulacje, mistrzu Wimbledonu. Zasłużyłeś sobie dzisiaj na to zwycięstwo.

Wspaniały pojedynek, Goran.

Klepie mnie po ramieniu. Uśmiecha się, idzie do swego miejsca i zawija głowę ręcznikiem. Rozumiem lepiej jego emocje niż moje własne. Gdy siadam na krzeselku i staram się pozbierać, moje serce jest po części z nim.

Jakiś Brytyjczyk, o którym można powiedzieć, że jest „Anglikiem w każdym calu”, podchodzi do mnie i prosi, żebym wstał. Podaje mi wielki, pozłacany puchar. Nie wiem, jak mam go trzymać ani gdzie mam z nim iść. Pokazuje mi, żebym zrobił rundkę wokół kortu. Niech pan trzyma trofeum nad głową, instruuje.

Obchodzę kort, trzymając puchar nad głową. Publiczność wiwatuje. Jakiś człowiek stara mi się odebrać trofeum. Już chcę się z nim szarpać, ale informuje, że chce tylko wygrawerować. Moje nazwisko.

Spoglądam na swoją lożę, macham do Nicka, Wendi i Philla. Wręcz promienieją radością i klaszczą z całych sił. Philly ściska Nicka. Nick ściska Wendi. Kocham cię, Wendi. Robię ukłon w stronę członków rodziny królewskiej i schodzę z kortu.

W szatni przyglądam się swojemu wykrzywionemu odbiciu w pucharze. Zwracam się do niego, rzucając cierpką uwagę: Żebyś ty wiedział, ile cierpienia i bólu mnie kosztowałeś.

Jestem roztrzęsiony, ale też i radosny. Nie powinno być to tak ważne. Nie powinno tak wspaniale smakować. Wciąż spływają po mnie fale emocji – ulgi, uniesienia i nawet jakiś taki histeryczny spokój, ponieważ w końcu zapracowałem na chwilę wytchnienia od krytyków, szczególnie tych z najbliższego kręgu.

Późnym popołudniem, już w naszym wynajętym domu, dzwonię do Gila, który nie mógł przyjechać, ponieważ musiał zostać w domu z rodziną po długim sezonie na kortach ziemnych. Tak bardzo żałuje, że nie mógł być tutaj. Omawia ze mną mecz, plusy i minusy – to niesamowite, jak wiele nauczył się na temat tenisa w tak krótkim czasie. Dzwonię do Perry’ego i J.P., a potem drżącą dłonią wykręcam numer mojego taty w Las Vegas.

Tato? To ja! Słyszysz mnie? No i co powiesz?

Cisza.

Tato?

Nie musiałeś oddawać tego czwartego seta.

Aż mnie zatkało i czekam, nie ufając swemu głosowi. Po chwili mówię: To dobrze jednak, że wygrałem piąty, prawda?

Milczy. Nie dlatego, że ma inne zdanie czy nie zgadza się z tym, ale dlatego, że płacze. Słyszę ciche odgłosy pociągania nosem i ocierania łez – wiem, że jest ze mnie dumny, tylko po prostu nie potrafi tego okazać. Nie mogę winić staruszka za to, że nie umie otworzyć przed nikim serca. To rodzinna klątwa.

W wieczór po finałach odbywa się słynny Bal Wimbledonu. Od lat o nim słyszałem i bardzo chcę iść, ponieważ zwycięzca tańczy ze zwyciężczynią turnieju, a w tym roku, podobnie jak w wielu poprzednich latach, jest to Steffi Graf. Podkochuję się w Steffi, od kiedy zobaczyłem ją, jak udziela wywiadu dla francuskiej telewizji. Jakby mnie piorun strzelił, byłem oszołomiony jej niewymuszoną gracją oraz naturalną urodą. Sprawiała wrażenie – nie wiem, jak to ująć – że wspaniale pachnie. Ponadto można było wywnioskować, że jest dobra, skończenie, nieodwołalnie, z natury, emanując prawością oraz swoistą godnością, o którą już dzisiaj bardzo trudno. Wydawało mi się, że widziałem przez mgnienie oka aureolę nad jej głową. Staralem się posłać jej wiadomość po ostatnim French Open, ale nie

odpowiedziała. Teraz nie mogłem się doczekać, aż zawirujemy na salonach, bez względu na to, że nie mam większego pojęcia o tańcu.

Wendi wie o moich uczuciach wobec Steffi i wcale nie jest zazdrosna. Nasz związek jest otwarty, powtarza mi. Obydwoje mamy ponad dwadzieścia jeden lat. W końcu w przeddzień finału idziemy do Harrodsa, żeby kupić mi smoking, na wszelki wypadek, i Wendi niby żartem rzuca do sprzedawczynie, że chciałem wygrać turniej tylko po to, by zatańczyć ze Steffi Graf.

I tak, po raz pierwszy w życiu wbity w smoking, z Wendi u boku, wchodzę dziarsko na bal. W jednej chwili otaczają nas srebrzystowłose brytyjskie pary. Mężczyźni mają włosy w uszach, a kobiety pachną niczym stary trunek. Wydają się zachwyceni moim zwycięstwem, ale głównie dlatego, że oznacza to napływ świeżej krwi do ich klubu. Kogoś nowego, z kim można porozmawiać na temat tych strasznych, potwornych wydarzeń, jak ktoś określa. Wendi i ja stajemy do siebie plecami niczym para nurków w basenie z rekinami. Staram się rozszyfrować niektóre trudniejsze brytyjskie akcenty. Próbuję wyjaśnić pewnej starszej damie, która wygląda jak Benny Hill, że jestem bardzo podekscytowany tradycyjnym tańcem ze zwyciężczynią Wimbledonu w grze kobiecej.

Niestety, mówi kobieta, w tym roku nici z tego tańca.

Słucham?

Zawodnikom nie za bardzo się to podobało w latach poprzednich. Dlatego też zrezygnowano z tego.

Widzi, jak rzędzie mi mina. Wendi odwraca się i też to widzi – wybucha śmiechem.

Nie puszczam się w tany ze Steffi, ale zostaje mi to w pewien sposób zrekompensowane: zostaniemy sobie oficjalnie przedstawieni. Wyczekuję tego przez cały wieczór. Ściskając dłoń Steffi, mówię jej, że starałem się dotrzeć do niej podczas ostatniego French Open i mam nadzieję, że nie zrozumiała tego opacznie. Dodaję: Bardzo chętnie zamieniłbym z tobą dwa słowa przy okazji.

Nie odpowiada. Uśmiecha się tylko enigmatycznym uśmiechem, a ja nie jestem w stanie stwierdzić, czy jest zadowolona z tego, co właśnie powiedziałem, czy tylko zdenerwowana.



Podobno mam się zmienić po wygranym szlemie. Wszyscy tak uważają. Wizerunek już nie będzie wszystkim. Teraz komentatorzy sportowi utrzymują, że dla Andre Agassiego zwycięstwo to wszystko. Po dwóch latach nazywania mnie oszustem, kuglarzem kortu, buntownikiem bez powodu nadskakują mi. Ogłaszają wszem wobec, że jestem urodzonym zwycięzcą, poważnym zawodnikiem, utalentowanym tenisistą. Mówią, że moja wygrana na Wimbledonie zmusiła ich do zmiany opinii, do dostrzeżenia, kim naprawdę jestem.

Tyle że ja nie odczuwam tego, żeby Wimbledon mnie w jakikolwiek sposób zmienił. W rzeczywistości czuję, jakbym poznał wstydlivą tajemnicę: zwycięstwo nie zmienia niczego. Teraz, kiedy mam już szlema na koncie, znam sekret, do którego dopuszczono ledwie garstkę wybrańców. Wygrana nie jest tak dobra, jak zła bywa porażka i dobre samopoczucie nie trwa tak długo jak chandra. Nawet w przybliżeniu.

W 1992 roku czuję się szczęśliwszy i pewny, ale przyczyną tego nie jest wygrana Wimbledonu. Jest nią Wendi. Zbliżamy się do siebie. Szepczemy sobie obietnice. Pogodziłem się z tym, że nie jest mi pisane być ze Steffi. Była to przyjemna mrzonka, ale ostatnio poświęciłem się Wendi i *vice versa*. Nie pracuje, nie chodzi do szkoły. Wstępowała do kilku college'ów i żaden jej nie odpowiadał. Dlatego teraz spędza cały czas ze mną.

Jednak w 1992 roku bycie razem nagle się komplikuje. Czy to w kinie, czy w restauracji nigdy nie jesteśmy zupełnie sami. Ludzie pojawiają się znikąd, proszą o możliwość zrobienia sobie ze mną zdjęcia, domagają się autografu, oczekują mojej uwagi bądź opinii. Wimbledon uczynił mnie sławnym. Lata wcześniej wydawało mi się, że jestem sławny – dałem pierwszy autograf w wieku sześciu lat – ale teraz odkrywam, że w istocie cieszyłem się tylko złą sławą. Wimbledon wystawił mi certyfikat moralności, poprawił mój wizerunek, przynajmniej zdaniem agentów, menadżerów i specjalistów od marketingu z różnych firm, z którymi spotykam się teraz regularnie. Ludzie chcą się do mnie zbliżyć – wydaje im się, że mają do tego prawo. Rozumiem, że w Ameryce opodatkowane jest dosłownie wszystko. Teraz odkrywam, jak się płaci podatek od sukcesu w sporcie – piętnaście sekund dla każdego fana. Mentalnie jestem w stanie to zaakceptować. Wolałbym tylko, by nie wchodzono mi z butami, kiedy chcę być sam na sam ze swoją dziewczyną.

Po Wendi sływa to jak po kacze. Ma dobre podejście do ludzi nawet w takich sytuacjach. Powstrzymuje mnie przed braniem wszystkiego na poważnie, włącznie ze mną samym. Z jej pomocą postanawiam, że najlepiej jest podchodzić do własnej popularności tak, żeby o niej zapomnieć. Ciężko pracuję nad tym, by wykreślić rozgłos ze swej pamięci.

Niemniej sława to prawdziwy żywioł. Jest niepowstrzymana. Zamykasz przed nią drzwi, to oknem wejdzie. Pewnego dnia okazuje się, że mam mnóstwo znanych przyjaciół, a nawet nie wiem, jak ich poznałem. Zapraszają mnie na przyjęcia, do sal dla VIP-ów, na wystawy i gale, na których zbiera się śmietanka towarzyska i wiele osób prosi o mój numer telefonu czy też wciska mi swój. W taki sam sposób, jak wygrałem Wimbledon, automatycznie zostałem dożywotnim członkiem All England Club, przyjęto mnie również do niezwykle ulotnego klubu Sławnych Ludzi. Wśród moich znajomych znaleźli się teraz Kenny G, Kevin Costner i Barbra Streisand. Zapraszają mnie, bym przenocował w Białym Domu, na kolację z prezydentem George'em Bushem przed spotkaniem na szczycie z Michailem Gorbaczowem. Śpię w sypialni Lincolna.

Jest to dla mnie dość surrealistyczne, a jednocześnie całkiem naturalne. Jestem zaskoczony, jak szybko surrealizm przemienia się w rzeczywistość. Rozmyślam o tym, jakie to nudne być sławnym, jak przyziemni są sławni ludzie. Są zdezorientowani, niepewni, zagubieni i często nienawidzą tego, co robią. Zawsze słyszymy to wyświechtane powiedzenie, że pieniądze



szczęścia nie dają, ale nie wierzymy w to dopóty, dopóki nie sprawdzimy na własnej skórze. W 1992 roku bycie naocznym świadkiem tego wszystkiego wzbogaca mnie o nową dawkę pewności siebie.

Żegluję nieopodal wyspy Vancouver, rozkoszując się urlopem wraz z moim nowym przyjacielem Davidem Fosterem, producentem muzycznym. Wkrótce po wejściu na pokład jachtu Fostera pojawił się Costner i zaprasza nas na swój jacht zacumowany o trzydzieści metrów dalej. Od razu korzystamy z zaproszenia. Mimo że ma jacht, Costner wydaje się zupełnie naturalnym facetem. Jest bezkonfliktowy, dowcipny i w ogóle fajny. Uwielbia sport i jest zagorzałym kibicem, a do tego zakłada, że ja też podzielam jego pasję. Mówię mu zmieszany, że nie kibicuję. Że nie lubię sportu.

Jak to, nie lubię?

Właśnie tak, jak powiedziałem, nie lubię sportu.

Śmieje się. Znaczy, oprócz tenisa?

Najbardziej ze wszystkiego nienawidzę tenisa.

Jasne, jasne. Wiem, że musi być ciężko, ale przecież nie możesz naprawdę nienawidzić tenisa.

Ale tak jest.

Wraz z Wendi dużo czasu podczas tych rejsów spędzamy na obserwacji dzieci Costnerów. Są dobrze wychowane, ujmujące i niezwykle urodziwe. Wyglądają jak wycięte z układanek Normana Rockwella mojej mamy. Wkrótce po poznaniu, czteroletni Joe Costner łapie mnie za nogawkę spodni i spogląda na mnie błękitnymi oczyskami. Krzyczy: Siłujemy się! Podnoszę go i trzymam głowę w dół, a jego chichot jest jednym z najwspanialszych odgłosów, jakie kiedykolwiek słyszałem. Wendi i ja wyznajemy sobie, że zostaliśmy obydwój całkowicie zauroczeni małymi Costnerami, ale w rzeczywistości celowo odgrywamy role ich rodziców. Co jakiś czas przyłapuję Wendi na tym, że odłącza się od grupy dorosłych, żeby znów popatrzeć na małych Costnerów. Widzę, że będzie wspaniałą matką. Wyobrażam sobie, jak wraz z nią wszystko to przechodzę, pomagając jej wychować trójkę zielonookich urwisów. Ta myśl elektryzuje mnie – podobnie jak ją. Poruszam temat rodziny, przyszłości. Nawet nie mrugnie. Ona też tego chce.

Kilka tygodni później Costner zaprasza nas do swego domu w Los Angeles na pokaz nowego filmu *Bodyguard*. Wendi i mnie niezbyt się on

podoba, ale zachwycamy się motywem przewodnim, piosenką *I Will Always Love You*.

To będzie nasza piosenka, postanawia Wendi.

Na zawsze.

Śpiewamy sobie ten utwór nawzajem, a kiedy pojawia się w radiu przerywamy to, czym się właśnie zajmujemy i patrzymy na siebie maślanymi oczami, aż wszystkim wokół robi się niedobrze. Ale nic nas to nie obchodzi.

Mówię Phillowi i Perry'emu, że mogę sobie wyobrazić, jak spędzam z Wendi resztę życia, że wkrótce się oświadczę. Philly kwituje to głębokim skinieniem głowy. Perry też daje mi błogosławieństwo.

Wendi to ta właściwa, informuję J.P.

A co ze Steffi Graf?

Olała mnie. Nie liczy się. Jest tylko Wendi.

Popisuję się przed J.P. i Wendi swoją nową zabawką.

J.P. pyta: Mówisz, że jak to się nazywa?

Hammer. Jeździli na takich podczas wojny w Zatoce.

Mam jeden z pierwszych modeli, które pojawiły się w wersji dla cywili w USA. Jedziemy nim przez pustynię przy Vegas i nagle zakopujemy się w piachu. J.P. żartuje, że pewnie podczas wojny w Zatoce omijali wydmy. Wyskakujemy z wozu i ruszamy przez pustynię. Po południu mam zarezerwowany bilet lotniczy, a jutro gram kolejny mecz. Jeśli nie wydostaną nas z pustyni, wszyscy będą się na mnie wściekać. Ale kiedy tak idziemy i idziemy, mój mecz nagle staje się drugorzędną sprawą. Teraz prawdziwym problemem staje się przetrwanie. Wokół jak okiem sięgnąć nie widać nic, a zaczyna zapadać zmierzch.

Czuję, że oto nadchodzi punkt zwrotny w naszym życiu, wyrokuje J.P. I nie mam tu na myśli zmiany na lepsze.

Dzięki za dodanie mi otuchy.

W końcu dochodzimy do jakiejś szopy. Stary pustelnik pożycza nam łopatę. Pędzimy z powrotem do hummera i w pośpiechu zaczynamy kopać wokół tylnego koła. Nagle moja łopata trafia na coś twardego. Caliche, podobna w strukturze do cementu zbita gleba występująca pod pustyniami Nevady. Czuję że coś mi pęka w nadgarstku. Krzyczę.

Co się stało?, pyta Wendi.

Nie wiem.

Spoglądam na nadgarstek.

Wetrzyj w to trochę ziemi, radzi J.P.

Wykopuję hummera, lecę na miejsce i nawet wygrywam mecz. Jednak kilka dni później budzi mnie nieziemski ból. Jakbym miał złamany nadgarstek. Nie mogę go nawet zgiąć ani w przód, ani w tył. To takie uczucie, jakby ktoś powbijał mi igły i zardzewiałe żyłki w staw. Jest źle. Bardzo źle.

Nagle ból mija, czuję ulgę. Potem niespodziewanie powraca. Jestem przerażony. Wkrótce ból zmienia się z przerywanego w ciągły. Jest do zniesienia rankiem, ale w ciągu dnia potrafię jedynie myśleć o zardzewiałych ostrzach, wrzynających się w moje ciało.

Lekarz mówi, że mam zapalenie ścięgien. A konkretnie *dorsal capsulitis*. Drobne uszkodzenia w nadgarstku, które nie chcą się zagoić. Jest to wynik nadwerężenia. Sposobem na wyleczenie tego jest odpoczynek bądź zabieg operacyjny.

Wybieram to pierwsze. Wyłączam się i troskliwie traktuję swój nadgarstek. Po tygodniach chuchania i dmuchania on wciąż zachowuje się jak zraniony ptaszek, nadal nie mogę ćwiczyć, zrobić ani jednej pompki czy otworzyć drzwi bez skrzywienia ust.

Jedynym plusem kontuzji nadgarstka jest to, że więcej czasu poświęcam teraz Wendi. Zamiast rozpocząć sezon na twardej nawierzchni, początek 1993 roku staje się sezonem Wendi, któremu poświęcam się bez reszty. Cieszy się, że wszystko nagle zaczyna kręcić się wokół niej, ale martwi się też, że zaniedbuje swoje studia. Właśnie zapisała się do nowego college'u. Piątego. A może szóstego. Straciłem rachubę.

Jadąc samochodem przez Rainbow Boulevard, trzymając kierownicę lewą ręką, aby unikać obciążania prawego nadgarstka, opuszczam szybę i podkręcam radio. Wiosenna bryza rozwiewa włosy Wendi. Ścisza radio i mówi, ile to czasu minęło, odkąd naprawdę wiedziała, czego chce.

Kiwam głową i daję głośniej.

Ponownie ścisza radio i mówi, że zapisywała się na różne studia, mieszkała w różnych stanach, że szukała całe życie znaczenia, celu – i nic się jej nie udawało. Nie potrafi jednoznacznie stwierdzić, kim właściwie jest.

Znów kiwam głową. Zgadzam się. Znam to uczucie. Wygranie Wimbledonu nie było w stanie go rozproszyć. Nagle spoglądam na Wendi i uświadamiam sobie, że ona nie rzuca sobie tych spostrzeżeń od tak, od

niechcenia, że ta rozmowa do czegoś prowadzi. Ma coś ważnego do powiedzenia – na nasz temat. Odwraca się na swoim fotelu i patrzy mi w oczy.

Andre, bardzo długo się nad tym zastanawiałam i myślę, że nie mogę być szczęśliwa, zwyczajnie szczęśliwa, dopóki nie stwierdzę, kim jestem i co mam zrobić ze swoim życiem. Nie wiem też, jak mam to osiągnąć, dopóki będziemy razem.

Płacze.

Nie potrafię dłużej być twoją towarzyszką podróży, stwierdza, twoim pomocnikiem, fanką. Cóż, zawsze będę twoją fanką, ale wiesz, co chcę powiedzieć.

Chce odnaleźć siebie, a żeby to zrobić, musi odzyskać wolność.

Tak samo jak ty, dodaje. Nie będziemy w stanie odszukać naszych życiowych celów, jeśli pozostaniemy razem.

Nawet otwarty związek jest zbyt ograniczający.

Nie mogę się z nią spierać. Skoro tak uważa, nie pozostaje mi już nic do dodania. Chcę, żeby była szczęśliwa. I oczywiście w tej samej chwili z radia zaczynają się snuć dźwięki naszej ulubionej melodii. Zawsze będę z tobą. Patrzą na Wendi, starając się zająrzeć jej w oczy, ale odwraca ode mnie twarz. Robię nawrót, odwożę ją do domu i odprowadzam pod drzwi. Ściska mnie mocno i długo.

Odjeżdżam i ledwo udaje mi się dojechać do końca przecznicy. Zatrzymuję się i dzwonię do Perry'ego. Kiedy podnosi słuchawkę, nie mogę nic z siebie wykrztusić. Zbyt mocno płaczę. On myśli, że ktoś sobie robi żarty.

Halo! Jest zdenerwowany. Ha-lo!

Odkłada słuchawkę.

Wykręcam znów jego numer, ale wciąż nie mogę mówić. Znów się rozłącza.

Schodzę do podziemia. Zaszywam się w swojej wielkiej kawalerce, gdzie chleję, śpię i jem co bądź. Czuję kłucie w klatce piersiowej. Opowiadam o wszystkim Gilowi. Twierdzi, że to typowy przypadek złamanego serca. Drobne rany nie chcą się goić. Przetrenowałem się.

Później pyta: A co zrobisz z Wimbledonem? Czas zacząć planować wypad za morze. Czas ruszyć do roboty, Andre. Zaczęło się.

Ledwo mogę utrzymać słuchawkę, nie wspominając już o rakięcie. Mimo to chcę jechać. Potrzebuję czegoś, co pozwoli zapomnieć. Przyda mi się odpoczynek w trasie z Gilem, praca nad wspólnym celem. Ponadto jestem obrońcą tytułu. Nie mam wyboru. Tuż przed naszym wylotem Gil zapisuje mnie na wizytę u lekarza w Seattle, który ponoć jest najlepszy, i ten częstuje mnie zastrzykiem z kortyzonu. Zastryk działa. Przylatuję do Europy i jestem w stanie bez bólu wywijać nadgarstkiem.

Najpierw lecimy do Halle w Niemczech na turniej przygotowujący do Wimbledonu. Spotykamy się tam z Nickiem, który bez większych wstępów zaczyna mnie naciskać o pieniądze. Sprzedał swoją akademię, bo wpadł w długi i był to największy błąd w jego życiu. Sprzedał za bezcen. Teraz potrzebuje gotówki. Nie jest sobą – czy też raczej teraz dopiero zaczyna być sobą. Uważa, że nie dostaje tyle, ile jest wart. Twierdzi, że byłem marną inwestycją. Kształtując mnie, wydał setki tysięcy dolarów, dużo ponad setki tysięcy, które ode mnie dostał. Proszę go, żebyśmy porozmawiali na ten temat w domu, a nie tutaj. Teraz mam na głowie kilka ważniejszych spraw.

Oczywiście, zgadzam się, mówi. Kiedy wrócimy.

Jestem tak roztrzęsiony tą konfrontacją, że na turnieju w Halle padam na pysk w pierwszym meczu, w pierwszej rundzie przeciwko Steebowi. Pokonuje mnie w trzech setach. No i tyle na temat dostrajania się.

Przez rok prawie nie grałem, a jeśli grałem, to źle, zostaję więc najniżej sklasyfikowanym obrońcą tytułu w historii Wimbledonu. Moim pierwszym przeciwnikiem na głównym korcie jest Bernd Karbacher, Niemiec o tak gęstych włosach, że zawsze wyglądają tak samo, od początku do końca gry, co z oczywistych powodów irytuje mnie. Wszystko u Karbachera wydaje się stworzone, by odwracać moją uwagę od gry. Oprócz wzbudzających zawiść loków ma krzywe nogi. Chodzi tak, jakby nie tylko siedział przez cały dzień na koniu, ale przed chwilą z niego zsiadł z otartym tyłkiem po długiej jeździe. Gra bardzo dziwny tenis, który pasuje do jego wyglądu. Ma potężny bekhend, jeden z najlepszych, jaki widziałem, ale używa go, unikając biegania. Nienawidzi biegać. Nienawidzi się ruszać. Czasami też niewiele go obchodzi własny serwis. Pierwszy jest agresywny, ale drugi już wręcz oklapły.

Z moim znieczulonym nadgarstkiem mam własne problemy z serwowaniem. Będę musiał zmienić sposób poruszania się, robiąc tylko niewielki zamach i ograniczając gwałtowne ruchy. Oczywiście sprawia mi to dużo problemów. W pierwszym secie szybko odpływam na 2–5. Za

chwile stanę się pierwszym od dziesięcioleci broniącym tytułu mistrzem Wimbledonu, który odpada w pierwszej rundzie. Zbieram się jednak w sobie, zmuszam się do pogodzenia się z nowym sposobem serwowania i jakimś cudem udaje mi się wygrać. Karbacher wskakuje na swego konia i odjeżdża w siną dal.

Brytyjscy kibice są bardzo mili. Wiwatują, ryczą, nagradzając każdy wysiłek, jaki wkładam w ruch nadgarstka. Brytyjskie brukowce to jednak zupełnie inna sprawa. Są niezmiernie jadowite. Przynoszą sensacyjne wiadomości – jakby nie mieli już o czym pisać – o mojej klatce piersiowej, którą ostatnio wygoliłem. Niewinny zabieg kosmetyczny, a reagują tak, jakbym odciął sobie nogę. Mam kontuzjowany nadgarstek, a oni piszą tylko o moim torsie. Moje konferencje prasowe zmieniają się w zestaw skeczy rodem z Monty Pythona i praktycznie każde pytanie dotyczy moich gładkich mięśni piersiowych. Brytyjscy dziennikarze mają jakąś obsesję na punkcie włosów – gdyby tylko znali prawdę na temat włosów na mojej głowie. Niektóre tabloidy piszą też, że jestem gruby, a kilku reporterów czerpie złośliwą satysfakcję z nazywania mnie Burger Kingiem. Gil stara się zrzucić winę za mój wygląd na zastrzyk z kortyzonu z powodu kontuzji, co czasami powoduje obrzęk, ale nikogo to nie interesuje.

Nic jednak nie fascynuje Angoli tak jak Barbra Streisand. Pojawia się na Korcie Centralnym, by przyjrzeć się mojej grze, i witają ją niemal fanfary. Celebryci zjawiają się na Wimbledonie przez cały czas, ale obecność Barbry wywołuje poruszenie, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie widziałem. Nagabują ją dziennikarze, później na jej temat zadręczając mnie, a tabloidy robią, co mogą, by pomniejszyć znaczenie naszego związku, który jest niczym więcej niż gorącą przyjaźnią.

Chcą wiedzieć, jak się poznaliśmy. Odmawiam odpowiedzi, bo Barbra jest najbardziej nieśmiałą, ceniącą sobie prywatność osobą, jaką znam.

Zaczęło się od Steve'a Wynna, impresaria z kasyna, którego znam, od kiedy byłem mały. Pewnego dnia graliśmy razem w golfa i wspomniałem mu, że podoba mi się muzyka Barbry Streisand. Powiedział, że jest jego dobrą znajomą. I tak zaczęła się seria rozmów telefonicznych moich i Barbry. Kiedy wygrałem Wimbledon, przysłała mi prawdziwie słodki telegram z gratulacjami, mówiąc z nutką sarkazmu, że dobrze jest dopasować w końcu twarz do tego głosu.

Kilka tygodni później zaprosiła mnie na niewielkie spotkanie towarzyskie, odbywające się na jej ranczu w Malibu. Mówiła, że będzie

tam David Foster i kilku innych przyjaciół. W końcu się spotkamy.

W jej posiadłości pełno było małych domków, z których jeden służył za salę kinową. Po lunchu zawędrowaliśmy tam, by obejrzeć pokaz przedpremierowy *Klubu szczęścia*, typowego babskiego filmu, podczas którego myślałem, że zejdem z nudów. Następnie wszyscy przeszliśmy do kolejnego domku, salonu muzycznego z fortepianem stojącym pod oknem. Staliśmy w kręgu, jedząc i rozmawiając, podczas gdy David usiadł przy fortepianie i zagrał zestaw klasycznych wyciskaczy łez o utraconej miłości. Robił cały czas podchody, by skłonić Barbrę do śpiewu. Nie chciała. On nalegał. Odmawiała. Tak się na nią zawziął, aż zrobiło się niezręcznie. Chciałem, żeby się uspokoił. Barbra opierała się łokciami na fortepianie i stała plecami do mnie. Widziałem, jak cała sztywnieje. Była najwyraźniej przerażona perspektywą występu przed ludźmi.

Jednak nie minęło pięć minut, a zaśpiewała kilka wersów. Dźwięk wypełnił pomieszczenie od krokwi do parkietu. Umilkły wszelkie rozmowy. Szkło zadrżało. Talerze zagrzechotały. Moje żebra i kości nadgarstka zaczęły wibrować. Przez chwilę myślałem, że ktoś położył jedną z płyt Barbry na talerzu gramofonu Bose i podkręcił dźwięk do maksimum. Nie mogłem uwierzyć, że istota ludzka jest w stanie wydać z siebie tak potężny dźwięk, że ludzki głos może całkowicie wypełnić każdy centymetr sześcienny pomieszczenia.

Od tej chwili byłem jeszcze bardziej oczarowany Barbrą. Sama myśl, iż ma na własność tak potężny instrument, tak niezwykły talent i nie jest w stanie swobodnie go używać dla własnej przyjemności, była fascynująca. I jednocześnie dobrze mi znana. I przygnębiająca. Wkrótce się spotkaliśmy. Zaprosiła mnie na swoje ranczo. Jedliśmy pizzę i rozmawialiśmy godzinami, odkrywając, jak wiele nas łączy. Jest zadręczającą się perfekcjonistką, która nienawidzi tego, w czym jest mistrzynią. A mimo to, pomimo lat milczenia, wbrew wszelkim wątpliwościom, jakie nią targają, oraz natrętnym lękom przyznała, iż rozważa powrót do sal koncertowych. Zachęcałem ją do tego, mówiąc, że byłoby niedobrze pozbawiać świat takiego głosu, tego zadziwiającego głosu. Ale przede wszystkim powiedziałem jej, że byłoby niebezpiecznie poddawać się lękom. Lęki są niczym medyczne substytuty narkotyków, przekonywałem ją. Poddasz się, ustąpisz choćby o włos, a za chwilę opanuje cię przemożna chęć pójścia na całość. No i co z tego, że nie chce występować? Musi.

Oczywiście przy każdej takiej poradzie czułem się jak hipokryta pierwszej wody. W mojej własnej walce z lękiem i perfekcjonizmem raczej przegrywałem, niż wygrywałem. Rozmawiałem z nią tak jak z dziennikarzami: mówiłem o tym, co wiedziałem, że jest prawdą, i o takich mądrościach, co do których żywiłem nadzieję, iż są prawdziwe, choć w większość z nich nie byłem w stanie sam uwierzyć ani zachowywać się zgodnie z tym, co nakazują.

Po długim letnim popołudniu, które upłynęło nam na grze w tenisa, powiedziała Barbrze o nowej wokalistce, którą widziałem w Vegas, o kobiecie z potężnym głosem, mającym pewne wspólne cechy z głosem Barbry. Chcesz jej posłuchać?

Jasne.

Zaprowadziłem ją do auta i włączyłem płytę tej nowej gwiazdy, Kanadyjki Céline Dion. Barbra słuchała bardzo uważnie, obgryzając paznokieć. Byłem pewien, że sobie myśli: Potrafię to zaśpiewać. Wyobrażała sobie siebie z powrotem na scenie. Znowu czułem, że jej pomagam jak typowy dwulicowy hipokryta.

Moje poczucie hipokryzji osiągnęło punkt kulminacyjny, kiedy Barbra w końcu zmusiła się do występów. Byłem tam, w pierwszym rzędzie – w czarnej czapce baseballowej. Znowu miałem problemy z tupecikiem i bałem się, co pomyślą i powiedzą ludzie. Tego wieczoru oprócz pełnej świadomości swojej hipokryzji poczułem się niewolnikiem strachu.

Bardzo często wraz z Barbrą śmialiśmy się, jaki to wstrząs i skandal towarzyszyłby temu, gdyby ktoś odkrył nasze spotkania. Ustaliliśmy, że pasujemy do siebie i co z tego, że ona jest ode mnie starsza o dwadzieścia osiem lat? Lubimy się, a publiczne głosy oburzenia jedynie dodają smaczku naszej znajomości. Przez nie nasza przyjaźń jest niejako zakazana, jest pewnym tabu – kolejnym elementem mojej ogólnej rebelii. Umawianie się z Barbrą Streisand jest niczym zakładanie „gorącej lawy”.

Nadal, jeśli jestem zmęczony i nie w sosie, jak zwykle na Wimbledonie, takie umniejszanie tej sprawy boli. A Barbra dała jeszcze dziennikarzom nową amunicję, mówiąc jednemu z nich, że jestem mistrzem zen. Gazety miały używanie dzięki tej uwadze. Wszędzie zaczynam słyszeć cytaty o mistrzu zen, który na krótko zastępuje slogan: Wizerunek to wszystko. Nie rozumiem tej reakcji, może dlatego, że nie wiem, kim jest mistrz zen. Mogę jedynie założyć, że to komplement, ponieważ Barbra jest moją przyjaciółką.



Zbywając temat Barbry oraz unikając prasy i telewizji nadal gram w turnieju Wimbledon 1993. Po przeżyciu starcia z Karbacherem pokonuję João Cunha-Silvē z Portugalii, Patricka Raftera z Australii, a później Richarda Krajicką z Holandii. Dostaję się do ćwierćfinału, gdzie czeka na mnie Pete. Jak zwykle to jest Pete. Zastanawiam się, niby jakim cudem mój nadgarstek wytrzyma jego serwis, który znacznie się wzmocnił. Niemniej Pete ma swoje bolączki i kontuzje. Boli go ramię i gra na pół gwizdka. Tak przynajmniej mówią. Nie można było tego stwierdzić, kiedy zaczął grać ze mną. Wygrywa pierwszy set w czasie krótszym, niż zajęło mi przebranie się na turniej. Drugi wygrywa w równie błyskawicznym tempie.

To będzie krótka walka, myślę sobie. Spoglądam na moją lożę, siedzi tam Barbra, a wokół niej tylko błyskają flesze aparatów. Myślę sobie – czy to naprawdę moje życie?

Na początku trzeciego seta Pete zaczyna się chwiać. Ja łapię wiatr w żagle. Wygrywam, podobnie jak i czwarty. Koło fortuny wyraźnie wskazuje na mnie. Widzę, jak na oblicze Pete'a wpełza strach. Jest remis, mamy po dwa wygrane sety i zwątpienie, niedające się z niczym pomylić. Zwątpienie ciągnie się za nim niczym popołudniowy cień na wimbledońskiej trawie. Choć raz to nie ja, ale on krzyczy i wyklina na siebie.

W piątym secie Pete krzywi się, pocierając kontuzjowany bark. Prosi o masażystę. Podczas przerwy, kiedy nad nim pracują, powtarzam sobie, że ten mecz należy do mnie. Dwa Wimbledon z rzędu – to jest coś! Zobaczymy, co wtedy powiedzą te wszystkie pismaki. Albo co ja powiem. No i co, jak wam się teraz podoba Burger King?

Jednak gdy wracamy do gry, Pete staje się inną osobą. Nie odratowaną, nie zrewitalizowaną – całkowicie inną. Znów to zrobił, stłamsił powątpiewającego Pete'a, zrzucił go jak wąż zrzuca skórę. A teraz zajął się na poważnie zrzucaniem mnie z piedestału. Prowadząc 5-4, rozpoczyna dziesiąty gem w secie i posyła mi trzy asy serwisowe. Ale nie takie zwykłe asy. Nawet piłka inaczej świszczy. Brzmi jak odgłosy działa w wojnie secesyjnej. Potrójny meczbol.

Nagle idzie w stronę siatki i wyciąga dłoń, znów zwycięski. Uścisk boli, choć nie ma to nic wspólnego z moim kontuzjowanym nadgarstkiem.

Wracam znów na swoje kawalerskie śmieci w kilka dni po przegranej z Pete'em i mam przed sobą jeden prosty cel. Chcę uniknąć myślenia

o tenisie przez tydzień. Po prostu potrzebuję przerwy. Serce mi krwawi, boli nadgarstek, kości trzeszczą. Przez tydzień muszę nie robić nic – tylko posiedzieć w milczeniu. Bez bólu, dramatycznych zwrotów akcji, serwisów, tabloidów, wokalistek i piłek meczowych. Sączę pierwszą filiżankę kawy, przeglądając „USA Today”, kiedy jeden z nagłówków przyciąga mój wzrok, ponieważ widzę w nim swoje nazwisko. *Bollettieri rozstaje się z Agassim*. Nick mówi w wywiadzie dla gazety, że kończy ze mną współpracę. Chce więcej czasu poświęcić rodzinie. Po dziesięciu latach w ten sposób mnie o tym zawiadamia. Nie zostawia nawet pandy do góry dupą w moim fotelu.

W kilka minut później kurier przynosi list od Nicka. W liście jest to samo, co przeczytałem w gazecie. Przeglądam go kilkanaście razy, po czym wrzucam do pudła na buty. Idę do lustra. Nie czuję się aż tak źle. Nie czuję nic. Odrętwienie. Jakby kortyzon z mego nadgarstka rozpląnął się po całym ciele.

Jadę do Gila i siadam z nim w sali treningowej. Słucha mnie i odczuwa złość, niesmak tak jak i ja.

Cóż, mówię, chyba rozpoczął się sezon polowań na Andre. Najpierw Wendi, a teraz Nick.

Moja świta przerzedza się szybciej niż moje włosy.

Choć nie ma to większego sensu, znów chcę wyjść na kort. Łaknę bólu, który może dać tylko tenis.

Ale nie aż tyle bólu. Kortyzon całkowicie ulotnił się z mojego organizmu i szpilki w nadgarstku są nie do wytrzymania. Idę na wizytę do nowego lekarza, który uważa, że niezbędna jest operacja. Odwiedzam kolejnego doktora – ten twierdzi, że pomoże dłuższy odpoczynek. Biorę stronę tego drugiego. Jednak po miesiącu odpoczynku wychodzę na kort i po jednym zamachu uświadamiam sobie, że operacja jest moją jedyną nadzieją.

Po prostu nie darzę chirurgów zaufaniem. Ufam niewielu osobom, a już szczególnie obrzydliwa jest dla mnie myśl, by zupełnie obcej osobie, człowiekowi, którego ledwo co poznałem, oddać całą kontrolę nad sobą. Aż kulę się na myśl o tym, jak bez świadomości będę leżał na stole operacyjnym, a ktoś zacznie mi grzebać w nadgarstku, którym zarabiam na życie. A co się stanie, jeśli będzie rozkojarzony? Co w sytuacji, gdy trafię na jego zły dzień? Na korcie widzę takie przypadki zbyt często – i ponad połowa przytrafia się mnie. Jestem w pierwszej dziesiątce rankingu

tenisowego, ale są takie dni, gdy można by pomyśleć, że jestem amatorem, który miał fuksa. A co, jeśli okaże się, iż mój chirurg jest Andre Agassim na polu medycyny? I co, jeżeli trafię na dzień, kiedy będzie pijany czy naćpany?

Proszę Gila, żeby towarzyszył mi na sali operacyjnej. Chcę, by pełnił rolę mojego strażnika, mojej opoki i świadka w razie czego. Innymi słowy, chcę, żeby robił to, co robi zawsze. Żeby stanął na straży. Ale tym razem w kitlu i masce.

Marszczy brwi. Kręci głową. Nie jest pewny, czy sobie poradzi.

Gil ma kilka ujmujących wad, takich jak przerażenie wywołane nadmiernym słońcem, choć najbardziej uroczy jest jego lęk przed medycyną. Nie może znieść widoku igieł. Dostaje spazmów, kiedy ma przyjąć zastrzyk przeciwko grypie.

Dla mnie jednak zaveźmie się. Zapewnia: Przemęcę się jakoś.

Jestem twoim dłużnikiem, zapewniam go.

W życiu, zaprzecza. Między nami nie ma czegoś takiego jak długi.

Dziewiętnastego grudnia 1993 roku lecimy z Gilem do Santa Barbara i meldujemy się w szpitalu. Kiedy pielęgniarki paplają między sobą, przygotowując mnie do zabiegu, mówię Gilowi, że jestem tak zdenerwowany, że zaraz zemdleję.

Wtedy nie będą cię musieli usypiać.

Gil, to może być koniec mojej kariery tenisowej.

Nie.

I wtedy co? Co mam robić?

Zakładają mi maskę na nos i usta. Proszę głęboko oddychać... Powieki robią się ciężkie. Walczę co sił, by ich nie zamknąć, walczę o utrzymanie kontroli. Nie odchodź, Gil. Nie zostawiaj mnie. Wpatruję się znad maski chirurgicznej w czarne oczy przyjaciela, obserwując go bez mrugania. Gil tu jest, powtarzam sobie. Gil ma na wszystko oko. Jest na służbie. Wszystko będzie dobrze. Zamykam powieki i czuję, jakby wciągała mnie jakaś mgła, zaś pół sekundy później budzę się, a Gil nachyla się nade mną, informując, że z nadgarstkiem było gorzej, niż przypuszczali. O wiele gorzej. Ale wyczyścili wszystko, Andre i są doskonałe rokowania. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, prawda? Są dobre prognozy.

Zasiadam na swojej zielonej, specjalnie wypchanej sofie, mając w jednej ręce pilota, a w drugiej telefon. Chirurg mówi, że przez kilka dni mój

nadgarstek musi spoczywać wysoko, więc leżę z ręką ułożoną na dużej, twardej poduszce. Choć jestem pod wpływem silnych leków przeciwbólowych, wciąż czuję się ranny, zatroskany i bezbronny. Przynajmniej mam coś, co może odciągnąć moją uwagę. Kobieta. Przyjaciółka Lyndie, żony Kenny'ego G.

Poznałem Kenny'ego G przez Michaela Boltona, którego z kolei spotkałem, grając w Pucharze Davisa. Mieszkamy w tym samym hotelu. I nagle Lyndie dzwoni do mnie i mówi, że trafiła na kobietę idealną.

Cóż, lubię ideały.

Myślę, że spodobacie się sobie.

Niby dlaczego?

Jest piękna, inteligentna, wyrafinowana, dowcipna.

Nie sądzę. Wciąż staram się podnieść po utracie Wendi. A do tego nie lubię, gdy ktoś mi chce kogoś wcisnąć.

Sam będziesz się prosił. Nazywa się Brooke Shields.

Słyszałem o niej.

Co masz do stracenia?

Mnóstwo.

Andre.

Przemyślę to. Masz jej numer?

Nie możesz do niej dzwonić. Jest w RPA i kręci film.

Z pewnością ma jakiś telefon.

Nie. Jest na jakimś pustkowiu. Mieszka w namiocie czy też chacie w buszu. Można się z nią porozumieć tylko faksem.

Dała mi numer faksu Brooke i poprosiła o mój.

Nie mam faksu. To jedyny gadżet, którego nie mam w domu.

Daję jej numer faksu Philla.

I nagle tuż przed moją operacją dostaję telefon od brata.

Mam u siebie faks adresowany do ciebie – od Brooke Shields?

No i tak to się zaczęło. Faksy śmigają tam i z powrotem, korespondencja na koniec świata z kobietą, której nigdy nie spotkałem na żywo. To, co zaczęło się dziwnie, stawało się jeszcze bardziej dziwaczne. Korespondencja wlokła się w ślimaczym tempie i to odpowiadało nam obojgu – żadne z nas się nigdzie nie spieszyło. Ale niezwykła odległość spowodowała również, że bardzo szybko przestaliśmy zachowywać ostrożność. Raptem po kilku przesłanych wiadomościach przeszliśmy od niezobowiązującego flirtu do wyjawiania sobie największych sekretów.

W ciągu paru dni nasze faksy zaczęły nabierać czułości, a następnie intymności. Czuję się tak, jakbym miał się jej zaraz oświadczyć, kobiecie, której nawet nie poznałem ani z nią nie rozmawiałem.

Przestałem dzwonić do Barbry.

Teraz unieruchomiony z zabandażowaną ręką na poduszce nie mam nic innego do roboty, jak tylko wyczekiwać na kolejny faks od Brooke. Gil przyjeżdża co parę dni i pomaga mi z kilkoma wersjami tekstu. Przytłacza mnie fakt, że Brooke jest absolwentką Princeton, gdzie ukończyła literaturę francuską, a ja odpadłem ze szkoły w dziewiątej klasie. Gil odgania ode mnie tego typu myśli i wzmacnia moją pewność siebie.

Nie martw się tym, czy ona cię lubi. Martw się tym, czy ty ją lubisz.

Jasne, mówię. Tak, tak, masz rację.

Proszę go więc, by wypożyczył wszystkie filmy z Brooke Shields i urządzamy sobie festiwal z dwoma jurorami. Robimy popcorn, przygaszamy światła i Gil włącza pierwszy z nich. *Błękitną lagunę*. Brooke gra w nim syrenę w wieku dojrzewania, która tkwi na rajskiej wyspie z chłopakiem. Nowa wersja Adama i Ewy. Przewijamy do tyłu, do przodu, zatrzymujemy klatki i debatujemy nad tym, czy Brooke jest w moim typie.

Nieźle, ocenia Gil. Całkiem nieźle. Z całą pewnością dziewczyna jest warta, by posłać jej kolejny faks.

Zaloty za pośrednictwem faksu ciągną się tygodniami, aż Brooke przysłała krótką wiadomość, w której pisze, że skończyli zdjęcia i wraca do USA. Będzie tu za dwa tygodnie. Ląduje na LAX. Zupełnie przypadkiem jestem w Los Angeles na dzień przed jej przylotem. Udzielam telewizyjnego wywiadu Jimowi Rome'owi.

Spotykamy się w jej domu. Pędzę tam prosto ze studia, wciąż mając na sobie gruby telewizyjny makijaż po wywiadzie z Rome'em. Otwiera drzwi na oścież i wygląda jak prawdziwa gwiazda filmowa z czymś w rodzaju apaszki fruującej przy szyi. I bez makijażu. (A przynajmniej miała go mniej niż ja). Ale ma krótko przycięte włosy, co powoduje, że odczuwam to jako osobisty cios. Przez cały czas wyobrażałem ją sobie z długimi, falującymi włosami.

Ostrzygłam się do roli, mówi.

Roli w jakim filmie? *Szalony balwierz*?

Znikąd pojawia się jej matka. Ściskamy sobie dłonie. Jest serdeczna, choć sztywna. Mam dziwne przeczucia. Wiem instynktownie, że cokolwiek

się wydarzy, nigdy nie dogadam się z tą kobietą.

Zabieram Brooke na kolację. Po drodze pytam: Mieszkaś z matką?

Tak. No, nie. Nie do końca. To skomplikowana sprawa.

Jak zwykle z rodzicami.

Idziemy do Pasta Maria, niewielkiej włoskiej restauracji na San Vincente. Proszę o miejsce w rogu sali, abyśmy mieli nieco prywatności i już po chwili zapominam o matce Brooke, o jej fryzurze, o wszystkim. Ma w sobie niezwykłą wytworność, charyzmę i jest zaskakująco dowcipna. Obydwoje śmiejemy się, kiedy kelner zjawia się przy naszym stoliku i pyta: No to jak, drogie panie, napatrzyłyście się na menu?

Może czas obciąć włosy, stwierdzam.

Pytam o film, do którego Brooke właśnie skończyła zdjęcia w Afryce. Czy podoba się jej zawód aktorki? Opowiada z pasją o przygodach przy kręceniu filmu, emocjach związanych z pracą z utalentowanymi aktorami oraz reżyserami i opanowuje mnie przemożne wrażenie, że jest całkowitym przeciwieństwem Wendi, która nigdy nie wiedziała, czego chce. Brooke doskonale to wie. Ma konkretne marzenia i nie waha się ich opisać, nawet jeśli ma problemy z ich urzeczywistnieniem. Jest o pięć lat starsza ode mnie, bardziej bywała w świecie, bardziej świadoma, ale mimo to otacza ją nimb niewinności, lekkiego zagubienia, co sprawia, że mam ochotę ją chronić przed całym światem. Budzi we mnie Gila, tę część mnie, o której istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia.

Mówimy te same rzeczy, które przekazaliśmy sobie faksem, ale teraz nad talerzami ze spaghetti brzmią inaczej, bardziej intymnie. W naszą rozmowę wkrada się niuans, podtekst, język ciała i feromony. Ponadto bawi mnie bardzo i sama też się śmieje. Ma przepiękny śmiech. Podobnie jak podczas mojej operacji, trzy godziny mijają w ułamku sekundy.

Jest niezwykle miła i słodka, kiedy pyta o operację, bada kilkucentymetrową różową szramę, kiedy tak lekko jej dotyka. Współczuje mi, bo ją też czeka operacja – stóp. Ma zniekształcone palce po latach tańca, lekarze będą je musieli łamać i ponownie nastawiać. Opowiadam jej o Gilu, który stał na straży w sali operacyjnej, a ona żartobliwie pyta, czy mogę go jej wypożyczyć.

Odkrywamy, że pomimo pozornie różnych sposobów na życie, mamy takie same początki. Wie, jak to jest dorastać z aroganckim, ambitnym, szorstkim rodzicem. Jej matka stała się jej menadżerką, gdy Brooke skończyła jedenasty miesiąc życia. Jest jednak pewna różnica – jej matka

wciąż nią kieruje. I są niemal bez pieniędzy, bo kariera Brooke się załamuje. Film w Afryce był pierwszym od dłuższego już czasu dużym zleceniem, jakie dostała. Kręci reklamy kawy w Europie, żeby zapłacić raty hipoteczne. Mówi takie rzeczy zadziwiająco szczerze, jakbyśmy się znali od lat. I nie chodzi tylko o to, że zrobiliśmy wstęp w postaci faksowej korespondencji. Mogę stwierdzić, że ona jest w naturalny sposób otwarta. Chciałbym być choć w połowie taki otwarty. Nie potrafię powiedzieć jej zbyt wiele o własnych rozterkach, chociaż nie mogę uniknąć stwierdzenia, że nienawidzę tenisa.

Śmieje się. Przecież to nieprawda.

Prawda.

Ty nie czujesz nienawiści do tenisa.

Czuję. Nienawidzę go.

Rozmawiamy o naszych podróżach, ulubionej kuchni, muzyce, filmach. Mamy takie samo zdanie o jednym z ostatnio nakręconych obrazów – *Cienistej dolinie* – opowieści o losach pisarza C.S. Lewisa. Wyznaję Brooke, że ten film poruszył we mnie jakąś nieznaną strunę. Przedstawiono w nim bowiem ścisły związek Lewisa z jego bratem. Żyli pod kloszem, odgradzeni od świata. Pojawił się wątek jego strachu przed podejmowaniem ryzyka oraz bólem miłości. Ale nagle pewna niezwykle dzielna kobieta uzmysławia mu, że ból jest ceną za człowieczeństwo i to taką, którą warto za nie zapłacić. Na końcu Lewis zwraca się do swoich studentów: *Ból jest boskim megafonem, by przebudzić głuchy świat*. I mówi dalej: *Jesteśmy niczym bloki kamienia... ciosy Jego dłuta, które tak nas bolą, doskonałą nas*. Opowiadam Brooke, że z Perrym widzieliśmy ten film dwa razy i zapamiętaliśmy niemal połowę listy dialogowej. Jestem poruszony tym, że ona również uwielbia *Cienistą dolinę*. Odczuwam też niejaki podziw, że czytała kilka książek Lewisa.

Dobrze po północy, ślęcząc nad pustymi filiżankami po kawie, nie możemy dłużej ignorować niecierpliwych spojrzeń kelnerów i właściciela restauracji. Musimy iść. Odwożę Brooke do domu i stojąc na chodniku, mam wrażenie, że jej matka obserwuje nas zza kotary w pokoju na piętrze. Całuję Brooke bardzo przyzwoicie i pytam, czy mogę do niej znów zadzwonić.

Proszę, zadzwoń.

Kiedy odchodzę, zauważa dziurę w moich dżinsach. Wkłada w nią palec i drapie mnie paznokciem w kość ogonową. Zanim wbiegnie do środka,

posyła mi jeszcze przebiegły uśmiech.

Jadę wynajętym samochodem wzdłuż Sunset Boulevard. Planowałem wracać do Vegas, bo nawet mi się nie śniło, że randka będzie tak udana i potrwa tak długo, ale jest za późno, by jechać na lotnisko. Postanawiam zatrzymać się na noc w najbliższym hotelu po drodze. Jest to Holiday Inn, który najlepsze czasy ma już za sobą. Dziesięć minut później leżę w łóżku w zatęchłym pokoju na pierwszym piętrze, wsłuchując się w syk ruchu ulicznego, sunącego przez Sunset i drogę 405. Staram się przywołać wydarzenia minionego dnia i co ważniejsze, dojść do jakichś wniosków, rozgryźć ich sens. Powieki jednak robią się ciężkie. Walczę, by ich nie zamknąć, walczę, by jak zwykle nie stracić kontroli, co w obecnej sytuacji kojarzy się z całkowitą utratą swobody wyboru.





Moja trzecia randka z Brooke wypada w przeddzień jej operacji stóp. Jesteśmy na Manhattanie, w salonie na parterze kamienicy, w której mieszka. Całujemy się, jest bardzo miło, ale zdecydowałem, że muszę jej zdradzić prawdę o moich włosach.

Wyczuwa, że coś mnie gryzie. Co jest nie tak?, pyta.

Nic.

Możesz mi powiedzieć.

Chodzi o to, że nie byłem z tobą całkiem szczery.

Leżymy na kanapie. Podnoszę się, biję pięścią w poduszkę i wciągam powietrze. Wciąż szukając właściwych słów, spoglądam na ściany. Są przyozdobione afrykańskimi maskami, o bezokich i bezwłosych twarzach. Upiorne. W dodatku, jakby znajome.

Andre, o co chodzi?

Niełatwo mi to wyznać, Brooke, ale słuchaj... od jakiegoś czasu tracę włosy i noszę tupecik, żeby to ukryć.

Sięgam po jej dłoń i kładę ją sobie na głowie.

Uśmiecha się: Coś czułam.

Naprawdę?

To nic takiego.

Chyba nie mówisz poważnie?

Podobają mi się twoje oczy. I twoje serce. Nie twoje włosy.

Wpatruję się w oczodoły bezwłosych masek i zastanawiam się, czy się nie zakochuję.

Idę z Brooke do szpitala i czekam na nią w sali pooperacyjnej. Jestem tam, kiedy ją przywożą ze stopami obandażowanymi jak moje przed meczem, i jestem, kiedy się budzi. Czuję niezwykły przyptyw opiekuńczości i czułości, które zacierają się, kiedy odbiera telefon od swego przyjaciela, Michaela Jacksona. Nie jestem w stanie rozgryźć jej przyjaźni z Jacksonem, mając w pamięci różne opowieści i oskarżenia. Brooke twierdzi jednak, że on jest taki jak my. Kolejne cudowne dziecko, które nie miało dzieciństwa.

Odwożę Brooke do domu i spędzam z nią kilka dni, kiedy dochodzi do siebie. Pewnego ranka jej matka zastaje mnie na podłodze przy jej łóżku. Jest oburzona. Żeby spać na podłodze? Tak się po prostu nie robi. Zapewniam ją, że wolę spać na podłodze. Z powodu kręgosłupa. Znika, prychnając.

Całuję Brooke na dzień dobry. Twoja matka najwyraźniej wstała lewą nogą.

Spoglądamy na jej stopy. Znów się wygłupiłem.

Muszę wyjechać. Jestem zgłoszony do turnieju w Scottsdale – pierwszy raz po operacji.

Do zobaczenia za kilka tygodni, mówię, znów całując ją i obejmując.

W Scottsdale miałem bardzo dobre losowanie, choć to wcale nie ukoіło moich lęków. Oto nadchodzi pierwszy prawdziwy sprawdzian mego nadgarstka – a co będzie, jeśli się jeszcze nie zaleczył? A jeżeli tylko pogorszę sprawę? Od jakiegoś czasu śni mi się koszmar, w którym w środku meczu odpada mi ręka. Jestem w pokoju hotelowym, zamykam oczy, starając się przekonać siebie, że z nadgarstkiem wszystko w porządku i mecz mi pójdzie – wtedy rozlega się pukanie do drzwi.

Kto tam?

Brooke.

Zjechała tutaj z połamanymi stopami.

Wygrywam turniej i nie czuję najmniejszego bólu.

Kilka tygodni później razem z Pete'em zgadzamy się na wspólny wywiad dla jednego pisma. Pete przychodzi do mojego pokoju hotelowego i jest wstrząśnięty na widok Peaches.

Co, do diabła?, dziwi się.

Pete, poznaj Peaches. To stara papuga, uratowana przeze mnie ze sklepu ze zwierzętami w Vegas, który zbankrutował.

Ładny ptaszek, stwierdza kpiąco Pete.

Ona jest ładnym ptaszkiem, zachwalam. Nie dziobie. Naśladuje ludzi.

Na przykład kogo?

Mnie. Kicha tak jak ja, mówi tak jak ja – tylko że ma bogatsze słownictwo. Pękam za każdym razem, kiedy dzwoni telefon. Peaches drze się: Telefon! Tel-efon!

Opowiadam Pete'owi, że jeszcze w Vegas miałem całą menażerię. Kota o imieniu King, królika Buddy'ego, wszystko, byle tylko zagłuszyć samotność. Nikt nie jest bezludną wyspą. Kręci głową. Najwyraźniej nie uważa tenisa za taką samotną grę jak ja.

Udzielamy wywiadu i nagle czuję się tak, jakbym był w pomieszczeniu z dwiema papugami. Kiedy wciskam kit dziennikarzowi, przynajmniej robię to z pewną swadą, ubarwiam. A Pete gada jak robot, podobnie jak Peaches.

Nawet nie wspominam o tym Pete'owi, ale uważam Peaches za pełnoprawnego członka mojej ekipy, która wciąż rośnie, zmienia się i jest jednym wielkim eksperymentem. Straciłem Nicka i Wendi, ale zyskałem Brooke i Slima, bystrego, słodkiego chłopaka z Vegas. Chodziliśmy razem do podstawówki. Mamy urodziny dzień po dniu – i do tego przyszliśmy na świat w tym samym szpitalu. Slim to dobry kumpel, utracona dusza, więc zatrudniłem go jako osobistego asystenta. Pilnuje domu, wpuszcza faceta od czyszczenia basenu oraz wszystkich fachowców, sortuje pocztę i odpowiada na prośby fanów o zdjęcia z autografami.

Teraz wydaje mi się, że powinienem zatrudnić w zespole menadżera. Odciągam Perry'ego na bok i proszę go, by zajął się moimi bieżącymi sprawami, żeby sprawdził, czy mnie nie naciągają. Przegląda umowy i stwierdza, że rzeczywiście mógłbym sobie radzić lepiej. Obejmuję go, dziękuję – i wpadam na pomysł. A może ty byś został moim menadżerem, Perry? Potrzebuję zaufanej osoby.

Wiem, że jest zajęty. Studiuje na drugim roku prawa na Uniwersytecie Stanu Arizona, harując jak wół. Niemniej namawiam go, by rozważył tę propozycję, choćby na pół etatu.

Nie muszę go dwa razy prosić. Perry chce u mnie pracować i zacząć z kopyta. Poradzi sobie jakoś między zajęciami. Rankami, w weekendy czy

kiedy tam będzie miał czas. Poza tym, że jest to dla niego duża szansa, ta praca pozwoli mu nieco zredukować dług u mnie. Pożyczyłem Perry'emu pieniądze na studia prawnicze, bo nie chciał prosić ojca. Usiadł przede mną pewnego wieczoru, mówiąc mi, jak jego ojciec wykorzystuje pieniądze, by kontrolować innych, a szczególnie jego. Muszę uwolnić się od ojca, wyjawia Perry. Muszę się wyzwolić, Andre, raz na zawsze.

Niewiele jest prośb, które mógłbym spełnić z większą ochotą. Od razu wypisuję mu czek.

Jako mój nowy menadżer Perry ma podstawowe zadanie – znalezienie mi nowego trenera, kogoś na miejsce Nicka. Sporządza krótką listę kandydatów, a na jej szczycie znajduje się pewien facet, który właśnie napisał książkę o tenisie *Winning ugly* (Jak nieczysto zwyciężać).

Perry podaje mi książkę i zachęca do jej przeczytania.

Posyłam mu złe spojrzenie. Dzięki, ale nie. Dość już mam szkółki.

Poza tym nie muszę czytać tej książki. Znam autora – to Brad Gilbert. Dobrze go znam. Jest tenisistą. Wielokrotnie się z nim ścierałem, nawet kilka tygodni temu. Gra zupełnie inaczej niż ja. W tenisie nazywa się ich *junker*, co oznacza, że zmienia tempo gry, pozycję na korcie, stosuje zwody i podstępny. Ma ograniczone umiejętności i demonstracyjnie tym się szczyci. O ile ja gram poniżej swoich możliwości, o tyle Brad jest wytrawnym graczem, wykorzystującym swoje umiejętności do maksimum. Zamiast pokonywać przeciwników, niweczy ich plany i żeruje na błędach. Na mnie żerował, ile wlezie. Jestem zaintrygowany tą propozycją, ale to niewykonalne. Brad wciąż gra. Nawet z powodu mojej operacji i okresu, w którym zawiesiłem mecze, jest plasowany wyżej ode mnie.

Nie, mówi Perry. Brad zbliża się do końca swojej kariery. Ma trzydzieści dwa lata i może być otwarty na propozycję trenowania ciebie. Perry powtarza, że książka Brada zrobiła na nim kolosalne wrażenie, i uważa, że zawiera praktyczną wiedzę, której mi potrzeba.

W marcu 1994 roku, kiedy wszyscy stawiamy się na Key Biscayne na turnieju, Perry zaprasza Brada na kolację do włoskiej restauracji na Fisher Island. Do Café Porte Cervo. Tuż przy wodzie. Jednej z naszych ulubionych.

Jest wczesny wieczór. Słońce właśnie niknie za lasem masztów i żagli łodzi zacumowanych na przystani. Perry i ja zjawiamy się przed czasem, Brad punktualnie. Zapomniałem już, jak charakterystyczny ma wygląd. Jest mroczny, gburowaty, z całą pewnością przystojny, ale nie klasycznej urody.

Nie ma regularnych rysów – sprawiają wrażenie odlanych. Nie mogę pozbyć się przeświadczenia, że Brad należy do starej rasy jaskiniowej, że jest człowiekiem, który ledwo co wylazł z maszyny czasu i jego lud dopiero co poznał sposób na rozpalenie ognia. Być może jego owłosienie prowokuje takie myśli. Głowa, ramiona, bicepsy, barki i twarz pokrywają czarne włosy. Brad ma tyle owłosienia, że jestem zarówno przerażony, jak i zazdrosny. Już same brwi są niezwykle fascynujące. Myślę: tylko z lewej brwi powstałby piękny tupecik dla mnie.

Maître d' Renato mówi, że możemy sięść na tarasie z widokiem na przystań.

Brzmi wspaniale.

Nie, ucina Brad. Co to, to nie. Musimy usiąść w środku.

Dlaczego?

Z powodu Manny'ego.

Przepraszam? Kto to jest Manny?

Manny Komar. Ach te komary, naprawdę mam z nimi problem i wierzcie mi, Manny tu jest, Manny przybył z dużą świtą, Manny mnie lubi. Popatrzcie tylko na nie! Całe roje! No, patrzcie! Nie, muszę usiąść w środku. Z dala od Manny'ego!

Wyjaśnia, że właśnie z powodu komarów ma na sobie dzinsy, a nie krótkie spodenki, choć jest ze trzydzieści stopni i parno. Manny, powtarza, wzdrygając się.

Spoglądamy z Perrym po sobie.

Dobra, zgadza się Perry. W takim razie w środku.

Renato sadza nas przy stoliku pod oknem. Rozdaje karty. Brad przegląda swoje menu i marszczy brew.

Jest problem, zaczyna.

Co takiego?

Nie mają mojego piwa. Bud Ice.

Może mają...

Muszę pić Bud Ice. To jedyne piwo, które piję.

Wstaje i mówi, że pójdzie do sklepu obok, żeby kupić Bud Ice.

Perry i ja zamawiamy butelkę czerwonego wina i czekamy. Nie rozmawiamy podczas jego nieobecności, Brad wraca po pięciu minutach z sześciopakiem i prosi Renato, by wstawił butelki do lodu. Nie do lodówki, upewnia się Brad, bo nie będą dostatecznie schłodzone. Tylko do lodu albo do zamrażarki.

Kiedy Brad w końcu jest zadowolony i wlewa sobie pół butelki w gardło, Perry zaczyna mówić.

A więc posłuchaj, Brad, jednym z powodów, dla których chcieliśmy się z tobą spotkać, jest to, że chcemy, abyś ocenił grę Andre.

Że jak?

Grę Andre. Chcemy, żebyś nam powiedział, co o niej sądzisz.

Co ja myślę?

Tak.

Chcicie, żebym powiedział, co ja myślę o jego grze?

No właśnie.

I mam być szczery?

Prosimy.

Brutalnie szczery?

Niczego nie pomijaj.

Bierze olbrzymi łyk piwa i rozpoczyna wyważoną, precyzyjną i jak zapowiedział – brutalną analizę moich wad jako tenisisty.

To żadna filozofia, stwierdza. Na twoim miejscu, z twoimi możliwościami, twoim talentem, twoim odbiciem i pracą nóg na korcie byłbym bogiem. Ale ty utraciłeś żar, jaki miałeś w wieku szesnastu lat. Tamten malec wyprzedzał uderzenia, był agresywny, no i co się, do cholery, z tym szkrabem stało?

Brad stwierdza, że moim podstawowym problemem stanowiącym zagrożenie dla całej kariery, która z tego powodu może się przedwcześnie zakończyć, problemem, który wydaje się spuścizną po moim ojcu – jest perfekcjonizm.

Zawsze starasz się być perfekcjonistą, podsumowuje, zawsze spalasz się i to ci pierdoli we łbie. Pewność siebie leży i kwiczy właśnie z powodu perfekcjonizmu. Starasz się wygrać każdą piłkę, kiedy spokojna, konsekwentna, zwyczajna gra wystarczyłaby w dziewięćdziesięciu procentach, żeby wygrać.

Mówi rozwlekłe, monotennie, całkiem jakby komar bzycał. Podpiera swoje argumenty sportowymi metaforami ze wszystkich dziedzin, bez wyjątku. Jest zagorzałym fanem sportu i równie zagorzałym zwolennikiem metafor.

Przestań dążyć do nokautu, radzi. Przestań fechtować rakieta. Wystarczy, żebyś grał solidnie. Single, deble i do przodu. Przestań myśleć o sobie oraz o swojej grze i pamiętaj, że facet po drugiej stronie siatki też ma swoje

słabości. Zaatakuj je. Nie musisz być najlepszy na świecie za każdym razem, kiedy wychodzisz na kort. Wystarczy, że będziesz lepszy od tego faceta. Zamiast dążyć do swojego sukcesu, przyczyni się do jego porażki. A jeszcze lepiej, niech on sam to zrobi. Wszystko opiera się na szansach i procentach. Pochodzisz z Vegas, więc powinieneś doceniać siłę szans i procentów. Bank zawsze wygrywa, tak? Dlaczego? Bo szanse są ustawione na korzyść banku. A więc? Obstawiaj bank! Niech szanse sprzyjają tobie. Teraz, starając się, aby każda piłka była idealna, zmniejszasz swoje szanse na wygraną. Zbyt ryzykujesz. Stawiasz wszystko na jedną kartę. Nie musisz aż tak ryzykować. Pierdol to. Żeby tylko piłka była w grze. Tam i z powrotem. Gładko i sprawnie. Miarowo. Bądź jak grawitacja, stary, jak okurwiała grawitacja. Kiedy gonisz za doskonałością, kiedy doskonałość jest twoim nadrzędnym celem, wiesz, co robisz? Gonisz za czymś, co nie istnieje. Cierpią na tym wszyscy wokół ciebie. Sam cierpisz. Doskonałość? Budzisz się doskonały może z pięć razy w roku, kiedy nikt nie jest w stanie cię pokonać, ale te pięć dni w roku nie tworzy idealnego tenisisty. Ani też człowieka, jeśli już o to chodzi. Tylko te pozostałe dni. Wszystko zależy od twojej łepetyny, chłopie. Z twoim talentem, jeśli masz pięćdziesiąt procent gry i dziewięćdziesiąt pięć procent pomysłu, wygrasz. A jeśli masz dziewięćdziesiąt pięć procent gry i pięćdziesiąt procent pomysłu, to przegrasz, przegrasz z kretesem. I znów, skoro pochodzisz z Vegas, pomyśl sobie tak: żeby wygrać szlema, potrzeba ci dwudziestu jeden setów. Tylko tyle. Wystarczy, że wygrasz dwadzieścia jeden setów. Siedem meczów w trzech setach. To dwadzieścia jeden. W tenisie, podobnie jak w kartach, dwadzieścia jeden wygrywa. Blackjack! Skup się na tej liczbie i nie pożałujesz. Upraszczaj, upraszczaj. Za każdym razem, kiedy wygrasz set, mów sobie: Jeden zaliczony. Jeden mam już w kieszeni. Na początku turnieju odliczaj w dół od dwudziestu jeden. To się nazywa pozytywne myślenie, co? Oczywiście, mówię za siebie, kiedy gram w blackjaka, wolę wygrać, mając szesnaście, bo to dopiero jest paskudna wygrana. Nie trzeba mieć dwudziestu jeden. Nie trzeba być doskonałym.

Gada od piętnastu minut. Perry i ja nie przerywamy mu, nie patrzymy na siebie, nawet nie próbujemy wina. W końcu Brad osusza swoje drugie piwo i oświadcza: Gdzie tu jest kibel w tej dziurze? Muszę się odlać.

Gdy znika, mówię do Perry'ego: Bierzemy go.

Od zaraz.

Kiedy Brad wraca, kelner pojawia się, by przyjąć zamówienie. Brad wybiera penne all' arrabbiata z grillowanym kurczakiem i mozzarellą.

Perry zamawia chicken parmesan. Brad spogląda na niego z obrzydzeniem. Zły wybór, kwituje.

Kelner przestaje pisać.

Powinieneś wziąć pierś z kurczaka osobno, a mozzarellę i sos na drugim talerzu. Bo widzisz, wtedy pierś jest na pewno świeża, a nie rozmiękła, poza tym możesz sam kontrolować stosunek kurczaka do sera i sosu.

Perry dziękuje Bradowi za radę w kwestii zamówienia, ale pozostanie przy swoim. Kelner patrzy na mnie. Wskazuję na Brada: Zamawiam to, co on.

Brad się uśmiecha.

Perry odchrząkuje i pyta: A więc, Brad, czy byłbyś zainteresowany posadą trenera Andre?

Musi to przemyśleć. Przez jakieś trzy sekundy. Jasne, zgadza się. Chyba mi się spodoba. Myślę, że mogę ci pomóc.

Pytam, kiedy zaczynamy?

Jutro. Spotkamy się na korcie o dziesiątej rano.

Eee. No cóż. Tu może być problem. Nigdy nie gram przed pierwszą.

Andre, zaczynamy o dziesiątej.

Oczywiście jestem spóźniony. Brad zerka na zegarek.

Wydawało mi się, że umówiliśmy się na dziesiątą?

Stary, ja nawet nie wiem, kiedy jest dziesiąta rano.

Rozpoczynamy grę i Brad zaczyna mówić. Nie przerywa słowotoku, jakby te godziny między wczorajszym monologiem a dzisiejszym treningiem były ledwo wprawką. Rozbiera na czynniki pierwsze mój styl gry, uprzedzając i analizując moje piłki na bieżąco. Główny nacisk kładzie na bekhend w głąb kortu.

W chwili, w której możesz posłać bekhend w głąb kortu, musisz to zrobić. To jest twój złoty strzał. To jest piłka oddająca sprawiedliwość. Twój kapitał. Taką piłką możesz opłacić wiele rachunków.

Gramy kilka gemów, ale przerywa co drugą piłkę, żeby podejść do siatki i powiedzieć mi, dlaczego właśnie zrobiłem największą głupotę na świecie.

Po co to robisz? Wiem, że to prawdziwa bomba, ale nie każda piłka musi nią być. Czasami najlepszą piłką jest ta powstrzymywana, jest to poprawna



piłka, dzięki której twój przeciwnik ma szansę spudłować. Niech tamten się wysiła.

Podoba mi się sposób, w jaki do tego podchodzi. Reaguję na pomysły Brada, na jego entuzjazm, jego energię. W jego twierdzeniu, że doskonałość jest dobrowolna, odnajduję spokój. Doskonałość jest kwestią wyboru i doprowadza mnie do klęski, mogę więc wybrać coś innego. Muszę wybrać coś innego. Nikt wcześniej mi czegoś takiego nie powiedział. Zawsze zakładałem, że perfekcjonizm jest niczym moje przerzedzające się włosy czy zgrubiały kręgosłup. Że jest cechą wrodzoną.

Po lekkim posiłku w środku dnia kładę się z nogami w górze, oglądam telewizję, czytam gazety, siadam w cieniu drzewa – potem wychodzę z domu i wygrywam mecz przeciwko chłopakowi w moim wieku, Brytyjczykowi Markowi Percheyowi. Następny mecz mam z Beckerem, którego teraz trenuje Nick. Po publicznym oświadczeniu, że nie wyobraża sobie trenowania moich rywali, teraz rozpoczął współpracę z moim arcywrogiem. I rzeczywiście Nick siedzi w łożu Beckera. Ten jak zwykle potężnie serwuje, ponad dwieście kilometrów na godzinę, ale Nick w przeciwnym narożniku powoduje, że dosłownie ociekam adrenaliną i jestem gotów przyjąć wszystko, co tylko mój rywal zagra. I Becker o tym wie. Przestaje konkurować i gra dla publiczności. Po secie i przerwie przekazuje swoją raketę dziewczynce od podawania piłek, jakby chciał powiedzieć: Masz, równie dobrze ty możesz zagrać za mnie.

Myślę sobie: Tak, daj jej pograć, pokonam was oboje.

Po wyeliminowaniu Beckera dochodzę do finału. I kto będzie moim przeciwnikiem? Pete. Zawsze ten Pete.

Mecz transmituje krajowa telewizja. Bardzo zdenerwowaliśmy się z Bradem, gdy weszliśmy do szatni i zastaliśmy Pete'a leżącego na ziemi. Pochylają się nad nim lekarz i trener. Główny organizator turnieju trzyma się w pewnym oddaleniu. Pete unosi kolana do góry i jęczy z bólu.

Zatrucie pokarmowe, stwierdza lekarz.

Brad szepcze do mnie: Chyba wygrałeś Key Biscayne.

Organizator bierze nas na stronę i pyta, czy damy Petowi czas na dojdzie do siebie. Czuję, że Brad cały tężeje. Wiem, co chce, żebym zrobił, ale ja zwracam się do organizatora: Niech Pete spokojnie nabierze sił.

Organizator oddycha z ulgą i kładzie mi rękę na ramieniu. Dziękuję panu, mówi. Mamy tam czternaście tysięcy widzów. No i jeszcze ta sieć telewizyjna.

Brad i ja kręcimy się po szatni, przeskakujemy z kanału na kanał w telewizorze, dzwoniemy do ludzi. Wykręcam numer Brooke, która bierze udział w przesłuchaniu do musicalu *Grease* na Broadwayu. Gdyby nie to, byłaby tutaj.

Brad posyła mi złe spojrzenie.

Spokojnie, mówię mu, on prawdopodobnie się nie wyleczy.

Lekarz daje Pete'owi kroplówkę, po czym podnosi go z ziemi. Chwieje się niczym nowo narodzone źrebię. Nie dojdzie do siebie.

Organizator turnieju podchodzi do nas.

Pete jest gotów, oznajmia.

No i kurwa świetnie, stwierdza Brad, my też.

To powinno być krótkie starcie, mówię do Brada.

Ale Pete znów to robi. Posyła na kort swego złego brata bliźniaka. To nie jest ten sam zawodnik, który związał się w kłębek na podłodze w szatni. To nie jest ten Pete, który dostał kroplówkę i się zataczał. Ten jest w pełni sił i możliwości, serwuje podkręcane bomby bez najmniejszych problemów. Gra jak w transie, jest niepokonany i prowadzi 5–1.

Teraz się wściekam. Czuję się tak, jakbym znalazł rannego ptaszka, przyniósł go do domu i pielęgnował, a on potem wydziobał mi oczy. Walczę jak lew i wygrywam set. Przecież odparłem desperacki atak Pete'a. Nie mogło w nim zostać już ani krzty energii.

Tymczasem w drugim secie jest jeszcze lepszy. A w trzecim gra niczym wariat. Wygrywa przewagą dwóch setów.

Wpadam jak burza do szatni. Brad czeka tam na mnie i kipi ze złości. Znów powtarza, że gdyby był na moim miejscu, zmusiłby Pete'a do oddania meczu bez walki. Zażądałby, żeby organizator podzielił wygraną na pół.

To byłoby zupełnie do mnie niepodobne, stwierdzam. Nie chcę wygrywać w ten sposób. Poza tym skoro nie jestem w stanie pokonać faceta z zatruciem pokarmowym, który przed chwilą leżał na ziemi, to nie zasługuję na wygraną.

Brad milknie w jednej chwili. Otwiera szeroko oczy. Kiwa głową. Z tym nie może polemizować. Szanuje moje zasady, choć się z nimi nie zgadza.

Wychodzimy z kortów razem niczym Bogart i Claude Rains w finale filmu *Casablanca*. To początek pięknej przyjaźni. Z kluczowym nowym członkiem ekipy.

Później ekipa przechodzi przez pasmo porażek.

Przyjęcie taktyki Brada jest dla mnie niczym nauka pisanie lewą ręką. Nazywa swoją filozofię Bradtenisem. Ja określam to bradowym nastawieniem. Jak zwał, tak zwał, ale jest to niezwykle trudne. Mam wrażenie, jakbym wrócił do szkółki, nic nie rozumiał i chciał znaleźć się gdzie indziej. Raz po raz Brad wpaja mi, że muszę być konsekwentny, grać spokojnie i być niczym grawitacja. Powtarza to w kółko: Bądź jak grawitacja. Stale naciskaj, przygniataj swego przeciwnika. Stara się sprzedać mi korzyści z wygrywania w nieczysty sposób, cnotę paskudnego zwycięstwa, ale ja potrafię tylko paskudnie przegrywać. I mieć wisielcze myśli. Ufam Bradowi, wiem, że jego rady są precyzyjne, robię wszystko, co mi każe – dlaczego więc nie wygrywam? Porzuciłem perfekcjonizm – dlaczego więc nie jestem doskonały?

Lecę do Osaki, znów przegrywam z Pete'em. Zamiast być jak grawitacja, czuję się jak galareta.

Lecę do Monte Carlo i przegrywam z Jewgienijem Kafielnikowem – w pierwszej rundzie.

Na domiar złego, na konferencji po wygranej pytają Kafielnikowa, jak to jest pokonać mnie przy tylu osobach, które mi kibicują.

Trudno, odpowiada Kafielnikow – bo Agassi jest jak Jezus.

Nie wiem, co to znaczy, ale nie sądzę, żeby był to komplement.

Lecę do Duluth w stanie Georgia i przegrywam z MaliVai Washingtonem. Później w szatni jestem całkowicie przybity. Pojawia się Brad z uśmiechem na twarzy. Dobrze, mówi, za chwilę się stanie.

Patrzę na niego, nic nie rozumiejąc.

Musisz przecierpieć. Musisz przegrać kupę głównianych meczów. I nagle, pewnego dnia w wyrównanym meczu wygrasz i niebiosa się rozstąpią, a ty będziesz miał swój przełom, prorokuje. Potrzeba ci tylko jednego przełomu, jednego otwarcia, a potem nic cię nie powstrzyma w drodze na sam szczyt.

Zwariowałeś.

Uczysz się.

Odbiło ci.

Sam zobaczysz.

Lecę na French Open w 1994 roku i gram pięć wściekłych setów z Thomasem Musterem. Przy jego przewadze 5–1 w piątym secie coś się dzieje. Głowę mam napchaną filozofią Brada, ale teraz dopada mnie

z zewnątrz, nie od wewnątrz. Przynajmniej sobie to jak nigdy głos taty. Mozolnie pnę się i doprowadzam do remisu po pięć. Muster przełamuje mnie. Serwuje piłkę meczową. Mimo to jest 30–40 i wciąż mam nadzieję. Stoję cały spięty, ale on zagrywa bekhend, z którym nie jestem w stanie sobie poradzić. Dosięgam, ale posyłam piłkę w kosmos.

Mecz dla Mustera.

I wtedy czochra mnie po głowie, mierzwi mi włosy. Pomijając, że jest to dość protekcyjny gest, niemal odrywa mój tupecik.

Prawie się udało, śmieje się.

Patrzę na niego przepełniony czystą nienawiścią. Wielki błąd, Muster. Nie dotyka się moich włosów. Nigdy nie waży się tknąć moich włosów. Za to, mówię mu przy siatce, obiecuję ci coś. Nigdy już z tobą nie przegram.

W szatni Brad gratuluje mi.

Dobre nadchodzi, mówi, już jest blisko.

Co?

Kiwa głową. Zaufaj mi – dobre nadchodzi.

Najwyraźniej nie rozumie bólu związanego z tą porażką. A kiedy ktoś czegoś nie rozumie, nie ma sensu mu tego wyjaśniać.

Podczas Wimbledonu w 1994 roku docieram do czwartej rundy i przegrywam o włos z Toddem Martinem. Jestem sponiewierany, przestraszony, zawiedziony. W szatni Brad uśmiecha się i powtarza: Dobre nadchodzi.

Lecimy na Canadian Open. Brad szokuje mnie już na początku turnieju. Dobre teraz nie nadejdzie. Wręcz przeciwnie, widzi kilka złych symptomów na horyzoncie.

Patrzy na mój zestaw przeciwników. ND, wyrokuje.

A cóż to do diabła ma znaczyć?

Nie jest Dobrze. Masz fatalny układ.

Niech no ja spojrzę.

Wyrywam mu kartkę z ręki. Ma rację. Mój pierwszy mecz to łatwizna z Jakobem Hlaskiem ze Szwajcarii, ale w drugiej rundzie wylosowałem Davida Wheatona, który zawsze sprawia mi problemy. Mimo to są w życiu sprawy ważniejsze niż zaniżone oczekiwania. Wystarczy mi powiedzieć, że czegoś nie będę w stanie zrobić. Informuję Brada, że mam zamiar wygrać cały ten turniej.

A kiedy to się stanie, dodaję, założysz kolczyk.

Ja nie lubię biżuterii, oponuje.

Zastanawia się chwilę.

Dobra, zgadza się. Przyklepane i kwita.

Kort na Canadian Open wydaje się niemożliwie mikry, przez co przeciwnik jawi się jako wielkolud.

Wheaton jest w ogóle duży, ale tu w Kanadzie wygląda, jakby miał ze trzy metry. Jest to złudzenie optyczne, ale i tak mam wrażenie, że stoi o krok od mojej twarzy. Rozkojarzony, odnalazłem się, gdy rywal ma dwie piłki meczowe w tie-breaku trzeciego seta.

I wtedy, zupełnie wbrew sobie, biorę się w garść. Zapominam o wszelkich innych sprawach oraz złudzeniach optycznych, odgryzam się i zwyciężam. Robię to, co Brad kazał mi robić. Zwyciężam mecz, który już przegrywałem. Później stwierdzam: To jest ten mecz, o którym mówiłeś, że go wygram. To jest mecz, który wszystko zmieni.

Uśmiecha się, jakbym sam usiadł w restauracji i zamiast chicken parmesan zamówił pierś z kurczaka i osobno ser oraz sos. Bardzo dobrze, świerszczyku. Nacieraj, nacieraj.

Moja gra nabiera tempa, a umysł zwalnia obroty. Przechodzę jak burza przez stawkę i wygrywam Canadian Open.

Brad zakłada diamentowy kolczyk.

Jadąc na US Open w 1994 roku, jestem dwudziesty w rankingu i tym samym nierozstawiony. Żaden nierozstawiony tenisista nie wygrał US Open od lat sześćdziesiątych.

Bradowi się to podoba. Woli, bym był nierozstawiony. Chce, żebyśmy był jak ten joker w talii. Zagrasz z jakimś twardym zawodnikiem w pierwszej rundzie, uważa, a jeśli go pokonasz, wygrasz turniej.

Jest tego pewien. Tak pewien, że przyrzeka ogolić całe ciało, kiedy mi się to uda. Zawsze wytykam Bradowi, że jest zbyt włochaty. Przy nim yeti wygląda jak Kojak. Musi przystrzyc sobie ten dywan na piersiach, ramionach – no i te brwi. Przystrzyc albo zgolić.

Zaufaj mi, mówię mu. Kiedy ogolisz sobie klatę, poczujesz coś, czego jeszcze nigdy nie czułeś.

Wygraj US Open, odpowiada, a też poczujesz coś, czego jeszcze nie czułeś.

Z powodu mojej niskiej pozycji w rankingu w US Open poruszam się poniżej zakresu radaru. (Byłbym jeszcze bardziej niewidzialny, gdyby w pobliżu nie było Brooke i nie robiono jej zdjęć za każdym razem, kiedy

odwróci głowę). To kwestia zawodowa, ubieram się więc stosownie do okoliczności. Mam na sobie czarną czapeczkę, czarne szorty, skarpety i czarno-białe buty. Ale na samym początku pierwszej rundy w meczu przeciwko Robertowi Erikssonowi czuję tę samą plątaninę nerwów. Mam mdłości. Zwalczam to, przypominając sobie słowa Brada, nie pozwalając sobie nawet na jedną myśl o doskonałości. Koncentruję się na zachowaniu spokoju, na pozwoleniu Erikssonowi, by sam przegrał, co też czyni. Pnę się w górę do drugiej rundy.

Tam ledwo pokonuję Guya Forgeta z Francji. Potem eliminuję Wayne'a Ferreirę z Republiki Południowej Afryki w trzech setach.

Następny jest Chang. Rankiem przed meczem budzę się z ostrą biegunką. Mecz się zbliża, a ja jestem słaby, wyczerpany i bełkoce coś niczym Peaches. Gil robi mi dodatkową porcję swojej wody. Ma ona konsystencję ropy naftowej. Wmuszam ją w siebie, niemal dławiąc się na śmierć. Kiedy wypijam do końca, Gil szepce: Dziękuję ci za zaufanie.

I tak trafiam na changowską masakrę piłą łańcuchową. To rzadkie zjawisko – przeciwnik, który ni mniej, ni więcej chce wygrać tak samo jak ja. Od pierwszego podania wiemy, że pójdzie na noże. Na śmierć i życie. Nie ma innego sposobu rozstrzygnięcia tej walki. Ale w piątym secie myśląc, że niechybnie czeka nas tie-break, łapię rytm i przełamuję go już na początku. Posyłam mu wariackie piłki i czuję, że traci grunt pod nogami. To, jak podstępnie zachowuję się w tym meczu, zakrawa niemal na oszustwo po takiej trudnej wymianie ciosów. W ostatnich minutach powinienem mieć z nim więcej problemów, ale okazuje się to nieprzyzwoicie proste.

Na konferencji prasowej Chang opowiada dziennikarzom o zupełnie innym meczu, niż przed chwilą rozegraliśmy. Mówi, że mógł zagrać jeszcze dwa sety. Andre miał szczęście, stwierdza. Co więcej, Chang szczeni się niezmiernie tym, że wyszukał luki w mojej grze i spodziewa się, iż otrzyma za to podziękowania od innych uczestników turnieju. Uważa, że teraz jestem bezbronny. Już po mnie.

Kolejny mecz to spotkanie z Musterem. Dotrzymuję słowa, że już nigdy z nim nie przegram. Muszę z całych sił powstrzymać się, by przy siatce nie rozczochrać mu czuprynki.

Jestem w półfinale. Mam w sobotę grać z Martinem. W piątek po południu z Gilem jemy lunch w P.J. Clarke's. Zamawiamy to, co zawsze w tym lokalu – cheesburgery i tostowane angielskie bułeczki. Siedzimy

w rewirze naszej ulubionej kelnerki. Ona zawsze ma jakąś historyjkę w zanadrzu, jeśli oczywiście klientowi wystarczy odwagi, by jej wysłuchać. Jedząc, przedzieramy się przez stosy nowojorskich gazet. Widzę, że artykuł Lupica dotyczy mnie. Nie powinienem go czytać, ale robię to. Pisze, że co prawda kwestia mojej przegranej na US Open jest otwarta, ale można liczyć na to, że znajdę jakiś sposób, by przerznąć z kretesem.

Agassi, pisze Lupica, po prostu nie jest mistrzem.

Zamykam gazetę i mam wrażenie, że ściany zaczynają na mnie nachodzić, a moje pole widzenia zawęża się do małej kropki. Lupica pisze to z taką pewnością, jakby jasno widział przyszłość. A jeśli ma rację? A co będzie, jeśli to jest moja chwila prawdy i zostanę zdemaskowany jako oszust? Jeśli to się teraz nie zdarzy, to kiedy będę miał kolejną szansę na wygranę US Open? Tak wiele rzeczy się dzieje. Finały to nie przelewki. A jeśli nie jest mi pisane wygranę tego turnieju? Co będzie, jeśli zawsze będę musiał wspominać tę chwilę z żalem? A jeśli Brooke nie jest odpowiednią dziewczyną dla mnie? Jeśli moja ekipa, zebrana z taką pieczołowitością, nie jest tą właściwą?

Gil podnosi wzrok i widzi, jak bledną.

Co się dzieje?

Czytam mu artykuł. Nie rusza się.

Chciałbym kiedyś spotkać tego Lupicę, mówi.

A jeśli on ma rację?

Kontroluj to, co możesz kontrolować.

Jasne.

Kontroluj to, co możesz kontrolować.

Pewnie.

A teraz jedźmy.

Martin, który niedawno pokonał mnie na Wimbledonie, jest śmiertelnie groźnym przeciwnikiem. Dobrze atakuje i potrafi utrzymać zyskaną przewagę. Jest olbrzymi, ma prawie dwa metry, a do tego odbiera serwisy z prawej i lewej strony z równą dokładnością i pewnością. Rozniesie marny serwis, co jest powodem wielkiego niepokoju zawodnika takiego jak ja, który nie jest w tym najlepszy. Natomiast jego serwis jest niezawodnie precyzyjny. Jeśli pudłuje, to o włos. Wali w linię i zupełnie go nie interesuje, żeby trafiać w jej wewnętrzną połowę – on celuje w połowę zewnętrzną. Z jakiegoś powodu jestem lepszy w starciu z tenisistami z dobrym serwisem, którzy często pudłują. Lubię pozorować wypad

w przód, zgadywać, gdzie polecą piłka, ale przy zawodnikach takich jak Martin moje kalkulacje są często błędne, tym samym zostawiając mi mniejsze pole do manewru. Jest to niezwykle groźny przeciwnik dla tenisistów mego pokroju i kiedy zaczyna się nasz półfinałowy mecz, prorokuję za Lupicą, że ma większe szanse ode mnie.

Mimo to już podczas pierwszych kilku gemów uświadamiam sobie, że parę czynników działa na moją korzyść. Martin jest lepszy na trawie niż na twardej nawierzchni. To jest moja nawierzchnia. Ponadto tak jak ja nie rozwija w pełni swoich możliwości. Jest mi bratem w walce z nerwami. Tym samym zwyczajnie, po ludzku rozumiem tenisistę, z którym gram. Dobre rozpoznanie wroga jest niezwykle ważną kartą atutową.

A przede wszystkim Martin ma pewne przyzwyczajenie, które zdradza wszystko. Jedni tenisiści, serwując, patrzą na przeciwnika. Inni spoglądają w przestrzeń. Martin patrzy w konkretny punkt na korcie. Jeśli wpatruje się dostatecznie długo w jakiś punkt, serwuje w przeciwną stronę. Jeśli tylko rzuci okiem, to serwuje właśnie w to miejsce. Można tego nie zauważyć przy stanie 0-0 czy kiedy jest po piętnaście, ale gdy ma szansę na przełamanie, gapi się na ten punkt jak oszalały, jak morderca w horrorze, albo też rzuca okiem i odwraca wzrok od tego miejsca jak początkujący pokerzysta.

Mecz jednak toczy się na tyle gładko, że nie potrzebuję wpatrywać się Martinowi w oczy. Wydaje się rozkojarzony, przytłacza go cała sytuacja, gdy tymczasem ja gram z niezwykłą u mnie determinacją. Widzę wyraźnie, że opanowuje go zwątpienie – niemal słyszę jego myśli – i współczuję mu. Kiedy schodzę z kortu po wygranej w czterech setach, myślę: Musi wydorosnąć. I nagle łapię się na tym. Czy ja naprawdę tak pomyślałem o kimś innym?

W ostatnim meczu stoję naprzeciw Michaela Sticha z Niemiec. Grał już trzykrotnie w finale turnieju wielkoszlemowego i to nie Martin, stanowi zagrożenie na każdej nawierzchni. Jest niczym wybitny sportowiec z olbrzymią rozpiętością wyimaginowanych skrzydeł. Pierwszy serwis ma potężny, trudny i szybki, a kiedy już zacznie, może serwować przez tydzień. Gra z taką precyzją, że człowiekowi aż mowę odejmuje, gdy zdarza mu się spudłować, i należy wtedy wyjść z osłupienia, by obronić punkt. Jednak nawet kiedy pudłuje, przeciwnik i tak nie ma na co liczyć, bo wtedy serwuje po raz drugi, pewnie, jakby zadawał cios kastetem, po którym nie można się podnieść z ziemi. I aby przeciwnikowi nie było za dobrze, gra



Sticha nie ma stałych punktów czy schematów. Nigdy nie wiadomo, czy po serwisie pójdzie do siatki, czy też pozostanie na linii końcowej.

Mając nadzieję na przejęcie kontroli i dyktowanie warunków tego meczu, ruszam szybko, uderzam czysto, sprawnie udając, że nie czuję lęku. Podoba mi się dźwięk, jaki wydaje piłka odbijająca się od mojej rakiety. Podobają mi się odgłosy z trybun, te wszystkie ochy i achy. Tymczasem Stich zaczyna się płoszyć. Kiedy przegrywa się tak szybko jak on w pierwszym secie 6–1, człowiek instynktownie zaczyna panikować. Widzę po jego zachowaniu, że dał się ponieść temu instynktowi.

W drugim secie jednak bierze się w garść i idzie ze mną na noże. Wygrywam 7–6, ale mam dużo szczęścia. Wiem, że mogło być zupełnie inaczej.

W trzecim secie obaj kładziemy wszystko na jedną kartę. Czuję, że już przyciąga mnie linia mety, ale teraz widzę wyraźnie, że mój przeciwnik się zaciął. Jeszcze do niedawna zdarzało mu się ustąpić mi pola, kiedy podejmował niepotrzebne ryzyko, ponieważ stracił wiarę w siebie. Teraz już nie. Gra mądrze, udowadniając mi, że będę musiał mu wyrywać trofeum z całych sił, jeśli tak pragnę je zdobyć. Bardzo chcę. Więc wyrywam. Biegamy tam i z powrotem po korcie, aż dociera do niego, że jestem zdecydowany, że jestem gotów grać z nim przez cały dzień. Dostrzegam, jak łapie się za bok, nie mogąc zaczerpnąć powietrza. Zaczynam wyobrażać sobie, jak będzie wyglądał puchar w mojej kawalerskiej gawrze w Vegas.

W trzecim secie nie dochodzi do przełamania serwisu. Aż robi się po pięć. W końcu przełamuję go i teraz serwuję piłkę meczową. Słyszę głos Brada tak wyraźnie, jakby stał obok mnie. Dalej, graj mu na forhend. Jak masz wątpliwości, to forhend, forhend. Uderzam więc na forhend Sticha. Raz i drugi nie odbiera. Myślę, że dla nas obu wynik jest przesądzony.

Padam na kolana. Łzy napływają mi do oczu. Spoglądam na swoją lożę, na Perry'ego i Philla, Gila i szczególnie na Brada. Wszystkiego można się dowiedzieć o człowieku, kiedy patrzy się na niego w chwili największego swego triumfu. Od samego początku wierzyłem w talent Brada, ale teraz widząc jego czystą, niczym niehamowaną radość z mego sukcesu, wierzę mu bez zastrzeżeń.

Dziennikarze mówią, że jestem pierwszym nierozstawionym tenisistą od 1966 roku, który wygrał US Open. A co ważniejsze, pierwszym, który tego

dokonał był Frank Shields, dziadek piątej osoby w mojej loży. Brooke, która była na każdym meczu, jest równie szczęśliwa jak Brad.

Moja nowa dziewczyna, mój nowy trener, mój nowy menadżer i substytut ojca.

W końcu cały zespół jest w komplecie.



Myślę, że powinieneś pozbyć się tej peruczki, stwierdza Brooke. I tego kucyka. Ostrzyż się na bardzo krótko i daj sobie już z tym spokój.

Wykluczone. Czuję się nagi.

Czuję się wyzwolony.

Czuję się obnażony.

Jakby mi proponowała, żebym wyrwał sobie wszystkie zęby. Mówię jej, że nie ma mowy. Później wyjeżdżam i zastanawiam się nad tym przez kilka dni. Myślę o cierpieniu, jakiego przysparzają mi moje włosy, o niewygodzie związanej z noszeniem tupecika, o hipokryzji, udawaniu i kłamstwach. Może to nie jest taki zły pomysł. Może jest to pierwszy krok w stronę normalności.

Stałem przed Brooke pewnego dnia i powiedziałem: Zróbmy to.

Zróbmy co?

Obetnijmy je. Zetnijmy na zapałkę.

Ustalamy termin rytualnych postrzyżyn na późny wieczór, porę zwykle zarezerwowaną na kino czy imprezy. Ma się to odbyć w kuchni w mieszkaniu Brooke, gdy wróci z teatru. (Dostała rolę w *Grease*). Zrobimy wokół tego szum, zaprosimy kilku przyjaciół.

Perry też przyszedł. I Wendi, chociaż zerwaliśmy z sobą. Brooke jest jawnie zirytowana jej obecnością i *vice versa*. Perry'ego zbija to z tropu.

Wyjaśniam Brooke i Perry'emu, że pomimo naszej romantycznej przeszłości, Wendi wciąż jest moją przyjaciółką, na całe życie. Strzyżenie jest dramatycznym krokiem i potrzebuję obecności moich przyjaciół, by udzielili mi moralnego wsparcia, tak jak potrzebowałam obecności Gila podczas operacji nadgarstka. Mówiąc szczerze, potrzebowałbym również pełnej narkozy podczas tej operacji. Zamawiamy wino.

Matthew, fryzjer Brooke, wkłada mi głowę do umywalki, myje włosy, po czym przyklepia mi je ściśle do czaszki.

Andre – jesteś pewien?

Nie.

A jesteś gotowy?

Nie.

Chcesz zrobić to, patrząc w lustro?

Nie. Nie chcę na to patrzeć.

Sadza mnie na drewnianym krześle i nagle słyszę – ciach. Żegnaj kucyku.

Wszyscy klaszczą.

Zaczyna obcinać włosy po bokach, krótko, blisko skóry. Przypomina mi się irokez, jaki zrobiłem sobie w centrum handlowym Bradenton. Zamykam oczy, czuję, jak mi serce wali, jakbym za chwilę miał zagrać w finale. To był błąd. Może najbardziej znaczący błąd w moim życiu. J.P. ostrzegął mnie, żeby tego nie robić. Powiedział, że za każdym razem, kiedy ogląda mój mecz, ludzie cały czas gadają o moich włosach. Kobiety kochają mnie za nie, mężczyźni nienawidzą. A teraz kiedy J.P. przestał być pastorem i poświęcił się muzyce, pracuje trochę w reklamie, pisze dżingle dla radia i podkłady do reklamówek telewizyjnych, przemawiał więc z pozycji fachowca, oznajmiając: Jeśli chodzi o reklamodawców, to Andre Agassi kojarzy się z włosami. A kiedy znikną włosy Andre Agassiego, znikną też sponsorzy.

Zaproponował też przytomnie, bym przeczytał jeszcze raz biblijną przypowieść o Samsonie i Dalili.

Kiedy Matthew tak tnie i tnie, uświadamiam sobie, że powinienem posłuchać J.P. Czy kiedykolwiek udzielił mi złej rady? Wyobrażam sobie, że z kępami włosów padającymi na podłogę opadały też kawałki mnie samego.

Trwa to jedenaście minut. Po tym czasie Matthew zdziera ze mnie fryzjerski kitel i woła – ta-dam!

Podchodzę do lustra. Widzę obcą mi osobę. Stoi przede mną nieznajomy. Moje odbicie nie różni się, to po prostu nie jestem ja. Ale tak naprawdę, co ja takiego, do diabła, straciłem? Może łatwiej będzie mi w takiej postaci. Przez ten czas spędzony z Bradem, kiedy starałem się naprawić to, co mam w głowie, nigdy nie przyszło mi na myśl, by naprawić to, co mam na niej. Uśmiecham się do swego odbicia, przebiegam palcami po czaszce. Cześć. Miło cię poznać.

Noc zmienia się w poranek, a my usilnie pracujemy nad opróżnianiem kolejnych butelek wina. Czuję uniesienie i ogromną wdzięczność dla Brooke. Miałaś rację, mówię jej. Mój tupecik to była porażka, a naturalne włosy urosły do paradoksalnych rozmiarów, były ufarbowane na trzy różne kolory, co również było brzemieniem przygniatającym mnie do ziemi. To wydaje się takie trywialne – włosy. Ale były one sednem mojego publicznego wizerunku, moim drugim ja i jednocześnie oszustwem.

Teraz to oszustwo leży na kupce na podłodze Brooke. Dobrze się czuję bez włosów. Czuję się prawdziwy. Czuję się wolny.

I tak samo gram. Na Australian Open 1995 wychodzę na kort niczym Incredible Hulk\*. Nie tracąc nawet jednego seta i nie biorąc jeńców, przedzieram się do finału. Pierwszy raz gram w Australii i nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak długo z tym zwlekałem. Podoba mi się nawierzchnia, stadion, upał. Po dzieciństwie spędzonym w Vegas nie odczuwam gorąca tak jak inni zawodnicy, a główną cechą Australian Open jest piekielna temperatura. Tak samo jak we wspomnieniach po French Open zostały mi strużki dymu z cygar i fajek, jeszcze długo po zakończeniu turnieju w zakamarkach pamięci tkwi ten rozpalony piec w Melbourne.

\* Incredible Hulk – bohater komiksowy charakteryzujący się niezwykłą, nawet jak na bohatera komiksów, siłą (przyp. tłum.).

Podobają mi się też Australijczycy i najwyraźniej również oni pałają do mnie sympatią, mimo że to nie ja, tylko jakiś nowy łysol w bandanie, z bródką i kołem w uchu. Gazety komentują mój nowy wygląd. Każdy ma odmienne zdanie. Moi kibice są zdezorientowani. Ci, którzy kibicowali przeciwko mnie, mają nowy powód, by mnie nie lubić. Czytam i słyszę ciąg dowcipów o piratach. Nie miałem pojęcia, że może być ich tak dużo. Ale co mi tam. Powtarzam sobie, że będą musieli przywyknąć do tego pirata i zaakceptować go, kiedy będzie unosił trofeum.

W finale ponownie spotykam Pete'a. Przegrywam pierwszy set do zera. Przegrywam bez polotu, popełniając podwójny błąd serwisowy. Znowu, zaczęło się.

Przed drugim setem proszę o przerwę, by się pozbierać. Zerkam w stronę mojej łoży. Brad wygląda na przybitego. Nie wierzył, że Pete jest lepszym zawodnikiem. Wyraz jego twarzy mówi: To ty jesteś lepszy, Andre. Nie darz go takim szacunkiem.

Pete posyła na moją stronę kortu serię odbezpieczonych granatów, jeden po drugim, czyli jego typowy ostrzał. Niemniej w połowie drugiego seta odnoszę wrażenie, że słabnie. Ciska granatami, lecz one mają zawleczkę. Męczy się fizycznie i emocjonalnie, bo przez ostatnie kilka dni przechodził prawdziwe piekło. Jego długoletni trener Tim Gullickson miał dwa udary i znaleźli u niego guz mózgu. Pete jest w rozpacz. Kiedy szala przechyla się na moją stronę, czuję się winny. Chciałbym przestać, pozwolić Pete'owi wrócić do szatni, wziąć kroplówkę i żeby wyszedł za niego ten drugi Pete, który zawsze kopie mi tyłek na szlemach.

Przełamuję go dwukrotnie. Ramiona mu opadają, przegrywa set.

W trzecim secie dochodzi do nerwowego tie-breaku. Prowadzę najpierw 3-0, a potem Pete zdobywa cztery punkty. Nagle robi się 6-4 i piłka setowa. Wydaję z siebie wrzask jaskiniowca, jakbym był na siłowni z Gilem, i wkładam wszystkie swoje siły w kontrę, która muska siatkę i wpada w kort. Pete patrzy na piłkę, po czym na mnie.

Przy następnym zagranu uderza długi forhend. Stajemy w impasie po sześć. Wściekły rajd kończy się, kiedy zaskakuję go, podbiegając do siatki i posyłam miękki wolej z bekhendu. Działa to tak dobrze, że powtarzam manewr. Set dla Agassiego. Impet jak wyżej.

Czwarty set kończy się oczywistą konkluzją. Trzymam stopę na pedale gazu i wygrywam 6-4. Pete wygląda na pogodzonego z tą porażką. Za dużo tego było. Szczerze mówiąc, kiedy podchodzi do siatki, jest irytująco spokojny.

Jest to mój drugi wygrany szlem z rzędu, a w ogóle trzeci. Wszyscy uważają, że jest najlepszy, ponieważ po raz pierwszy zakończył się zwycięstwem nad Pete'em w finale. Ale myślę, że za dwadzieścia lat będę go pamiętał jako mój pierwszy „łysy” szlem.

Rozmowy błyskawicznie koncentrują się wokół mego wejścia na pierwszą pozycję w rankingu. Pete był na pierwszym miejscu przez siedemdziesiąt tygodni i wszyscy w ekipie uważają, że moim przeznaczeniem jest wykopać go ze szczytu tego tenisowego Olimpu. Powtarzam im, że tenis ma niewiele wspólnego z przeznaczeniem.

Przeznaczenie ma dużo lepszych rzeczy do roboty niż liczenie punktów ATP.

Mimo to stawiam sobie za cel zdobycie pierwszego miejsca w rankingu, ponieważ chce tego moja ekipa.

Zaszywam się w siłowni Gila i trenuję jak wariat. Opowiadam mu o celu, jaki chcę osiągnąć, a on szkicuje plan działań. Przede wszystkim opracowuje nowy kierunek studiów. Rozpoczyna tworzenie listy telefonów i adresów najbardziej uznanych lekarzy sportowych oraz specjalistów od żywienia, dociera do nich, zmienia ich w swoich prywatnych konsultantów. Spotyka się z ekspertami w Amerykańskim Centrum Szkolenia Olimpijczyków w Colorado Springs. Lata z jednego krańca kraju na drugi. Odbywa rozmowy z najlepszymi i najzdolniejszymi badaczami zdrowia i dobrego samopoczucia człowieka. Zapisuje każde słowo, jakie padnie z ich ust, w swoim notesie *à la* da Vinci. Czyta wszystko, co wpadnie mu w ręce od magazynów dla kulturystów po mało znane wyniki badań medycznych oraz raporty na temat odwadniania. Zamawia subskrypcję „New England Journal of Medicine”. W okamgnieniu przekształca się w lotną katedrę, która ma jednego profesora i jeden przedmiot badań. Ciało kursanta – moje.

Następnie wytycza mi fizyczny limit i nagina mnie aż do jego granic. Wkrótce każe mi wyciskać na ławeczce ciężary nieomal dwukrotnie cięższe niż moja waga, od pięciu do siedmiu zestawów o ciężarze ponad stu trzydziestu kilogramów. Zmusza mnie do podnoszenia dwudziestokilogramowych ciężarków w wykańczających, trzystopniowych seriach ćwiczeń, które palą żywym ogniem trzy różne mięśnie ramion. Następnie pracujemy nad bicipsem i tricipsem. Palimy moje mięśnie na popiół. Lubię, kiedy Gil mówi o paleniu mięśni, podpalaniu ich. Lubię w konstruktywny sposób pożytkować swoją piromanię.

Teraz z pomocą zaprojektowanej i skonstruowanej przez Gila maszyny koncentrujemy się na tułowiu. Tak jak przy wszystkich jego maszynach, najpierw sprzęt zełomował i pociął, po czym pospawał na nowo. (Plany w jego notesach zapierają dech w piersiach). Jest to jedyna taka maszyna na świecie, ponieważ pozwala mi ćwiczyć mięśnie brzucha bez udziału wrażliwego kręgosłupa. Teraz popracujemy na serio nad twoimi mięśniami brzucha, mówi, tak je rozruszamy, aż się zapalą, a później przejdziemy do ruskiego twista: będziesz trzymał dwudziestokilogramową żelazną płytę,

takie wielkie koło i będziesz obracał się w prawo i w lewo. To zlikwiduje boczki i skosy.

Na końcu przechodzimy do atlasu rozwijającego mięśnie pleców – *latissimus dorsi*. W odróżnieniu od wszystkich urządzeń tego typu na świecie, Gil stworzył przyrząd nieobciążający moich pleców czy szyi. Pałak, za który ciągnę, pracując nad plecami, jest ustawiony lekko przede mną. Nigdy nie ćwiczę w niewygodnej pozycji.

Kiedy pakuję, Gil ciągle mnie też karmi, co dwadzieścia minut. Chce, żebym spożywał cztery części węglowodanów na jedną część protein, i mierzy przyjęcie pokarmu do ostatniej nanosekundy. To, o jakiej porze jesz, twierdzi, i co jesz, jest kluczem do wszystkiego. Za każdym razem, kiedy pojawia się u niego, wciska mi wysokobiałkową potrawę z mąki owsianej, kanapkę z boczkiem czy bajgla z masłem orzechowym i miodem.

W końcu mój korpus i brzuch błagają o litość – wtedy wychodzimy na zewnątrz i biegamy w górę i w dół po pagórku za domem Gila. Gil Hill. Błyskawiczne zrywy siły i szybkości, w górę i w dół, tam i z powrotem, aż umysł prosi, bym przestał i wtedy biegnę jeszcze raz, kompletnie ignorując ten głos.

O zmierzchu wpełzam do samochodu i często nie jestem pewien, czy będę w stanie włożyć kluczyk do stacyjki. Czasami nawet nie próbuję. Gdy nie mam siły, by go przekręcić, wracam do środka, zwijam się na jednej z ławek i zapadam w sen.

Po obozie kondycyjnym u Gila wyglądam tak, jakbym zamienił swoje stare ciało na nowy, lepszy model. Choć w dalszym ciągu są możliwe pewne usprawnienia. Powinienem bardziej uważać na to, co jem poza salą. Gil jednak nie robi z tego powodu tragedii. Z całą pewnością nie podobają mu się produkty z Taco Bell czy Burger Kinga, ale stwierdza, że czasem muszę odczuwać przyjemność przy jedzeniu. Uważa, że moja psychika jest bardziej krucha niż plecy i nie chce jej zbytnio naginać. Poza tym w końcu trzeba mieć jakieś wady.

Gil to paradoks i obydwaj mamy tego świadomość. Potrafi robić mi wykład na temat zdrowego odżywiania się, patrząc, jak popijam koktajl mleczny. Nie wytrąca mi go z ręki. Wręcz przeciwnie, nawet czasem bierze łyk ode mnie. Naturalnie lubię ludzi pełnych sprzeczności. Podoba mi się również to, że Gil nie jest tyranem. Miałem już ich tylu, że wystarczy na całe życie. Gil rozumie mnie, hołubi i czasami – tylko czasami – dogadza memu apetytowi na niezdrowe jedzenie, bo też je lubi.



W Indian Wells znów staję oko w oko z Pete'em. Jeśli zdołam go pokonać, będę o krok od pierwszego miejsca. Jestem w wyśmienitej kondycji, ale gramy kiepski mecz pełen niewymuszonych błędów. Obydwaj jesteśmy rozkojarzeni. Pete wciąż jest przybity stanem zdrowia swego trenera. Ja martwię się o tatę, który za kilka dni będzie miał operację na otwartym sercu. Tym razem Pete'owi udaje się otrząsnąć z marazmu, a ja wpadam w swój po uszy. Przegrywam w trzech setach.

Biegnę do ośrodka zdrowia UCLA i zastaję tam ojca przywiązanego do urządzeń z długimi rurkami. Przypominają mi maszynę do wyrzucania piłek z mojej młodości. Nie można pokonać smoka. Mama przytula mnie. Oglądał wczoraj twoją grę, mówi. Widział, jak przegrywasz z Pete'em.

Przykro mi, tatku.

Leży na plecach, bezradny, nafaszerowany prochami. Mruga powiekami. Widzi mnie i przywołuje do siebie dłonią. Podejdź bliżej.

Nachylam się. Nie może mówić. Ma w ustach i gardle rurkę. Mamrocze coś niezrozumiale.

Nie rozumiem, tatku.

Znów gestykuje. Nie mam pojęcia, co mi chce powiedzieć. Teraz zaczyna się złościć. Gdyby miał siłę, wstałby z łóżka i powalił mnie na ziemię.

Każe sobie podać kartkę i długopis.

Później mi powiesz, tatku.

Nie. Nie. Kręci głową. Musi mi powiedzieć teraz.

Pielęgniarka podaje mu kartkę i długopis. Gryzmoli kilka słów, po czym muska kartkę ręką. Jak rysownik – artysta, delikatnie muska. W końcu rozumiem.

Bekhend, to się stara powiedzieć. Uderzaj na bekhend Pete'a. Powinieneś częściej atakować bekhend Pete'a.

Pracuj nad wolejem. Uderzaj mocniej.

Stoję tak i odczuwam przemożną chęć wybaczenia mu, bo uświadamiam sobie, że mój ojciec taki już jest, nic nie może poradzić ani zrozumieć siebie. Mój ojciec jest tym, kim jest, zawsze taki będzie, ale chociaż się nie zmieni, chociaż nie potrafi rozgraniczyć miłości do mnie i do tenisa, to jednak czuje tę miłość. Niewielu z nas dane jest naprawdę poznać siebie, może zanim to się stanie, nie pozostaje nam nic innego, jak być konsekwentnymi i upartymi. W moim ojcu dominuje ten upór.

Kładę dłoń mojego taty wzdłuż boku, zmuszając go do zaprzestania gestykulacji, zapewniam go, że rozumiem. Tak, tak, na bekhend. Za tydzień w Key Biscayne będę atakował bekhend Pete'a. I nakopię mu, ile wlezie. Nie martw się, tato. Pokonam go. A teraz odpoczywaj.

Kiwa głową. Jego dłoń wciąż rusza się przy boku, zamyka oczy i zapada w sen.

Tydzień później pokonuję Pete'a w finale turnieju Key Biscayne.

Po meczu lecimy razem do Nowego Jorku, gdzie mamy przesiąść się na samolot do Europy i polecieć na Puchar Davisa. Najpierw jednak, tuż po wylądowaniu ciągnę Pete'a do Eugene O'Neill Theater, żeby zobaczyć Brooke w roli Rizzo w *Grease*. Myślę, że Pete po raz pierwszy jest na przedstawieniu na Broadwayu, ale ja widzę *Grease* już po raz pięćdziesiąty. Znam na pamięć każde słowo z *We Go Together*, który wykonuję z kamienną twarzą ku uciechu wszystkich podczas programu „Late Show with David Letterman”.

Lubię Broadway. Etos teatralny jest mi bliski. Praca aktora na Broadwayu jest ciężka, mozolna, wymagająca, a wieczorne napięcie niezwykle silne. Najlepsi aktorzy przypominają mi sportowców. Jeśli nie dają z siebie wszystkiego, wiedzą o tym doskonale, a jeśli sami tego nie wiedzą, publiczność im to okaże. Jednak Pete'owi wszystko to umyka. Ziewa od pierwszego numeru, wierci się i zerka na zegarek. Nie podoba mu się w teatrze i nie rozumie aktorów, ponieważ nigdy w życiu niczego nie udawał. Uśmiecham się, widząc jego niedolę w przyćmionych światłach schodów na widowni. W przedziwny sposób zmuszenie go do pozostania na całym spektaklu sprawia mi więcej satysfakcji niż pokonanie go w Key Biscayne. *We go together, like rama lama lama...*

Rankiem lecimy concorde'em do Paryża, a później prywatnym samolotem do Palermo. Nie zdążyłem się dobrze ulokować w pokoju, kiedy rozlega się telefon.

Perry.

Trzymam w ręku ostatnie rankingi.

No, dawaj.

Jesteś na pierwszym miejscu.

Strąciłem Pete'a z piedestału. Po osiemdziesięciu dwóch tygodniach na pierwszej pozycji Pete patrzy na mnie z dołu. Jestem dwunastym tenisistą na pierwszym miejscu od dwóch dekad, kiedy rozpoczęli prowadzenie

komputerowych rankingów. Zaraz po Perrym dzwoni jakiś dziennikarz. Mówię mu, że jestem szczęśliwy, poznawszy wyniki rankingu, że dobrze się czuję, słysząc, iż jestem najlepszy.

To kłamstwo. Odczuwam zupełnie coś innego. Czuję to, co chcę czuć. Tego oczekiwałem i tego się spodziewałem. Ale w rzeczywistości jest to pustka.



Przez wiele godzin wałęsam się ulicami Palermo, pijąc mocną czarną kawę i zastanawiając się, co do diabła jest ze mną nie tak. Udało mi się – jestem pierwszym tenisistą na świecie, a jednak odczuwam pustkę. Skoro takie osiągnięcie wywołuje podobne odczucia, nie daje satysfakcji, to po co się spinać? Może po prostu przejść na zasłużony odpoczynek?

Wyobrażam sobie, jak ogłaszam wszem wobec, że mam dość. Dobieram słowa, jakie wypowiedziałbym na konferencji prasowej. Wtedy przed oczami staje mi kilka obrazów. Brad, Perry, mój ojciec, wszyscy zawiedzeni, osłupiali. Ponadto tłumaczę sobie, że rezygnacja z tenisa nie rozwiąże mojego podstawowego problemu, nie pomoże mi zrozumieć, co chcę zrobić ze swym życiem. Zostanę dwudziestopięcioletnim emerytem, co brzmi niemal tak samo jak „wyrzucony z dziewiątej klasy”.

Nie, potrzebuję nowego celu. Przez cały czas głównym problemem było to, że obierałem sobie złe cele. Nigdy naprawdę nie pragnąłem zostać numerem jeden, to inni tego chcieli dla mnie. No i jestem numerem jeden. No i komputer mnie kocha. No i co z tego? Myślę, że to, czego chciałem, od kiedy byłem chłopcem, i teraz też tego chcę, jest o wiele trudniejsze, o wiele bardziej konkretne. Chcę zwyciężyć w French Open. Później wygram wszystkie cztery szlemy. Cały zestaw. Zostanę piątym

człowiekiem, któremu uda się ta sztuczka od czasów rozgrywek open – i pierwszym Amerykaninem.

Niewiele sobie robiłem z rankingów komputerowych, podobnie mało obchodziła mnie liczba wygranych wielkich szlemów. Roy Emerson wygrał ich najwięcej (dwanaście) i nikt nie uważa, że jest lepszy niż Rod Laver. Nikt. Moi koledzy tenisiści wraz ze wszystkimi znawcami i historykami tenisa, których szanuję, zgodnie przyznają, że Laver był najlepszy, że był królem, bo wygrał wszystkie cztery turnieje wielkoszlemowe. Co więcej, zrobił to w jednym roku dwukrotnie. To prawda, wtedy grało się jedynie na dwóch rodzajach nawierzchni, na trawie i na ziemi, ale mimo wszystko ma to posmak boskości. Jest to niebywałe osiągnięcie.

Rozmyślam nad wielkimi zawodnikami minionych epok, jak wszyscy ścigali się z Laverem, jak marzyli o wygraniu czterech szlemów. Opuścili niektóre z nich, bo niewiele ich obchodziła liczba. Interesowała ich wyłącznie wszechstronność. Obawiali się, że nie zostaną uznani za prawdziwie wielkich, jeśli lista ich dokonań będzie niekompletna, jeśli ominie ich jedno, dwa trofea z tych czterech.

Im dłużej zastanawiam się nad wygraniem wszystkich czterech szlemów, tym większe czuję podniecenie. Jest to nagła i niespodziewana informacja o mnie samym. Uzmysławiam sobie, że to jest to, na co tak długo czekałem. Wcześniej dusiłem to pragnienie, bo po prostu zdawało się zwykłą mrzonką, szczególnie wtedy, gdy dwa lata z rzędu dostawałem się do finału French Open i przegrywałem. Ponadto dałem się zepchnąć na ślepy tor przez dziennikarzy sportowych i kibiców, którzy tego nie rozumieją, liczą wygrane przez zawodnika szlemy i używają tej z gruntu fałszywej liczby jako miary wielkości tenisisty. Zwycięstwo we wszystkich czterech szlemach jest prawdziwym Świętym Graalem. Dlatego w 1995 roku w Palermo postanowiłem, że udam się na jego poszukiwanie pełną parą naprzód.

Tymczasem Brooke nigdy nie zaprzestała poszukiwań swego własnego Graala. Jej występy na Broadwayu okazały się wielkim sukcesem i ona nie czuje wewnętrznej pustki. Czuje głód. Chce więcej. Wyczekuje następnego wielkiego osiągnięcia. Jednak propozycje napływają bardzo wolno. Staram się jej pomóc. Powtarzam, że publiczność jej nie zna. Wydaje im się, że ją znają, ale tak nie jest. Jest to zagadnienie, dość dobrze mi znane. Niektórzy uważają ją za modelkę, a niektórzy za aktorkę. Musi doprowadzić do

perfekcji swój wizerunek. Proszę Perry'ego o interwencję, o przyjrzenie się karierze Brooke.

Rozeznanie i stworzenie planu nie zajęło mu wiele czasu. Uważa, że Brooke musi wziąć udział w jakimś serialu telewizyjnym. Jej przyszłość leży bowiem w telewizji. Dlatego też od razu zaczyna szukać scenariuszy i pilotów seriali, w których mogłaby zabłysnąć.

Tuż przed rozpoczęciem French Open 1995 jedziemy z Brooke na kilka dni na Fisher Island. Obydwoje potrzebujemy wypoczynku i snu. Niestety, nie mogę ani odpocząć, ani się wyspać. Nie potrafię przestać myśleć o Paryżu. Leżę w nocy w łóżku napięty jak struna i rozgrywam mecze na suficie.

Ta obsesja ciągnie się dalej w samolocie do Paryża, mimo że leci ze mną Brooke. Teraz nie pracuje, więc może się wymknąć.

To nasz pierwszy wspólny wyjazd do Paryża, mówi, całując mnie.

Tak, odpowiadam, gładząc ją po ręce.

Jak mam jej powiedzieć, że nie są to nawet po części wakacje? Że ta wyprawa w ogóle nas nie dotyczy?

Zatrzymujemy się w hotelu Raphael, nieopodal Łuku Triumfalnego. Brooke podoba się stara, skrzypiąca winda z zasuwaną ręcznie żelazną kratą. Mnie przypada do gustu oświetlony świecami bar przy lobby. Pokoje są niewielkie i nie ma w nich telewizorów, co dla Brada jest nie do pomyślenia. Nie może tego znieść. Wymeldowuje się po kilku minutach i przenosi się do nowocześniejszego hotelu.

Brooke zna francuski, może mi więc pokazać Paryż z nowej, szerszej perspektywy. Dobrze się czuję, przemierzając miasto, ponieważ nie boję się, że się zgubię, a ona wszystko tłumaczy. Opowiadam jej o moim pierwszym pobycie w tym mieście, z Phyllym. O Luwrze i obrazie, który tak bardzo obu nas wystraszył. Jest zafascynowana i chce, żebym ją tam zabrał i pokazał płótno.

Może innym razem, wykręcam się.

Jemy w szykownych restauracjach, odwiedzamy okolice leżące na uboczu, gdzie ja sam bym się nie zapuścił. Niektóre miejsca urzekają mnie, ale do większości podchodzę bez emocji, bo nie chcę się zdekoncentrować. Właściciel jednej z kawiarenek zaprasza nas na dół do swojej starej piwniczki, zapleśniałego średniowiecznego grobowca, wypełnionego zakurzonymi butelkami. Podaje jedną z nich Brooke. Zerka na datę – 1787.

Hołubi butelkę niczym niemowlę, po czym z niedowierzaniem wyciąga ją w moją stronę.

Nie łapię, szepczę do niej. To tylko butelka. I do tego zakurzona.

Rzuca mi gniewne spojrzenie, jakby miała zamiar rozbić mi ją na głowie.

Raz idziemy późnym wieczorem na spacer wzdłuż Sekwany. Brooke obchodzi trzydzieste urodziny. Zatrzymujemy się nieopodal kamiennych stopni biegnących w dół do rzeki, wręczam jej wtedy bransoletkę w kształcie rakiety tenisowej z brylantami. Śmieje się, kiedy zakładam ją na jej nadgarstek i mocuję się z zapięciem. Obydwojgu nam się podoba, jak pięknie odbija się w niej księżycowa poświata. Nagle tuż za plecami Brooke pojawia się jakiś pijany Francuz, staje na kamiennych stopniach i posyła wysoki, zakrzywiony strumień uryny wprost do Sekwany. Z zasady nie wierzę w omeny, ale to wyglądało dość złowroźbnie. Nie potrafię jednak stwierdzić, czy to ma być wróżba dla moich poczynań na French Open, czy też związku z Brooke.

W końcu turniej się zaczyna. Wygrywam pierwsze cztery mecze, nie oddając ani seta. Dla dziennikarzy i komentatorów to ewidentne, iż jestem innym zawodnikiem. Silniejszym, bardziej skupionym. Z misją. Nikt nie widzi tego wyraźniej niż moi koledzy z kortów. Zawsze zauważałem, w jaki sposób tenisiści bez słowa wyznaczają samca alfę w swoim gronie, jak rozpoznają tego, który ma największe szanse na wygraną. Na tym turnieju po raz pierwszy to ja nim jestem. Czuję, jak wszyscy przyglądają mi się w szatni. Nie umyka im żaden mój ruch, drobne czynności, które wykonuję, nawet to, jak układam rzeczy w torbie. Szybciej schodzą mi z drogi, kiedy przechodzę obok, są bardziej skłonni odstąpić stół do masażu. Otacza mnie większy szacunek i chociaż staram się nie brać tego na poważnie, nie mogę powiedzieć, że nie sprawia mi to satysfakcji. Lepiej, żeby mnie to spotykało niż kogoś innego.

Brooke jednak nie dostrzega we mnie żadnej zmiany, nie traktuje mnie inaczej. Nocami siadam w pokoju hotelowym, gapię się przez okno na Paryż niczym orzeł na grani, ona natomiast mówi mi o drobiazgach albo o *Grease*, Paryżu i o tym, co powiedział ten lub tamten na to i owo. Nie rozumie ogromu pracy, jaki włożyłem w sali gimnastycznej Gila, wyzwań, poświęceń i koncentracji, co dało mi większą pewność siebie – ani też poważnego zadania, które jeszcze przede mną. Bardziej ją interesuje, gdzie zjemy kolejny posiłek i jaką nową piwniczkę z winem uda nam się odwiedzić. Bierze moją wygraną za pewnik, chce, żebym się pospieszył i to

wreszcie zrobił, abyśmy się mogli dalej bawić. To nie jest egoizm z jej strony, a jedynie błędne wrażenie, że zwycięstwo jest czymś naturalnym, a porażka wręcz przeciwnie. W ćwierćfinale spotykam Kafielnikowa, Rosjanina, który przyrównywał mnie do Jezusa. Szydę z niego przez siatkę zaraz na początku meczu: Jezus, zaraz wleje ci anteną samochodową. Wiem, że mogę pokonać Kafielnikowa. On też to wie. Ma to wypisane na twarzy. Tymczasem na początku pierwszego seta rzucam się do piłki i czuję, jak coś strzela. Zginacz biodrowy. Ignoruję to, udaję, że nic się nie stało, że w ogóle nie mam biodra, ale to samo biodro powoduje skurcze i ból całej nogi.

Nie mogę się nachylić ani w ogóle ruszyć. Proszę o masażystę, który daje mi dwie aspiryny i stwierdza, że nic nie jest w stanie zrobić. Kiedy to mówi, ma oczy wielkości pokerowych sztonów.

Przegrywam pierwszy set. Potem drugi. W trzecim nadganiem. Mam przewagę 4–1 i publiczność dopinguje mnie do dalszej gry. *Allez, Agassi!* Tyle że z każdą minutą jestem coraz bardziej unieruchomiony. Kafielnikow nie ma problemów i przejmuje grę w tym secie, a ja czuję coraz większy bezwład nóg. To kolejne rosyjskie ukrzyżowanie. *Au revoir*, Graalu. Schodzę z kortu, nawet nie zabierając rakiet.

Głównym sprawdzianem wcale nie miał być Kafielnikow, tylko Muster. Ten z włosami na piankę, który był świetny na twardej nawierzchni. Nawet więc gdyby udało mi się pokonać Kafielnikowa, nie wiem, jak bardzo kuśtykałbym w meczu z Musterem. A obiecałem mu, że już więcej z nim nie przegram, i wiedziałem, co mówię, poza tym miałem duże szanse wygrać. Myślę, że bez względu na to, kto znalazłby się po drugiej stronie siatki, mógłbym dokonać wielkich czynów. Opuszczając Paryż, nie czuję się pokonany, tylko oszukany. No i po sprawie, wiem to. Moja ostatnia szansa. Nigdy więcej nie pojawię się w Paryżu tak silny i młody. Nigdy już więcej nie będę wzbudzał takiego strachu w szatni.

Moja szansa na wygraną w czterech szlemach minęła bezpowrotnie.

Brooke poleciała do kraju wcześniej, więc siedzimy w samolocie tylko z Gilem, który opowiada cicho o tym, jak będziemy leczyć zginacza, jaki mamy plan gry po tym wszystkim, żeby przygotować się do tego, co nas czeka – nawierzchni trawiastej. Tydzień spędzony w Vegas mija nam na słodkim nieróbstwie – tylko oglądamy filmy i czekamy, aż zagoi się moje biodro. Po wykonaniu rezonansu magnetycznego wiadomo już, że kontuzja nie jest trwała. Marne pocieszenie.



Lecimy do Anglii. Jestem rozstawiony z numerem jeden na Wimbledonie 1995, ponieważ wciąż mam numer pierwszy w rankingu tenisistów. Fani witają mnie z entuzjazmem i radością, które bardzo kłóć się z moim nastrojem. Nike jest tu od jakiegoś czasu i podgrzewając nastroje, rozdaje „zestawy Agassi” – samoprzylepne bokobrody, wąsy à la Fu Manchu i bandany. To jest mój nowy *image*. Przekształciłem się z pirata w bandytę. Ludzie starają się wyglądać tak jak ja, co tworzy niesłychanie surrealistyczne widowisko. Jeszcze bardziej surrealistyczne jest to, że także dziewczyny chcą się do mnie upodobnić. Dziewczyny z chińskimi wąsikami i bokobrodami – niemal wywołuje to uśmiech na mojej twarzy. Niemal.

Pada codziennie, ale kibice wciąż tłoczą się na Wimbledonie. Nie bacząc na deszcz i chłód, powodowani miłością do tenisa ustawiają się w długich kolejkach na Church Road. Mam ochotę wyjść do nich, stanąć wraz z nimi i wypytać ich, dowiedzieć się, jakie są przyczyny tak wielkiej miłości. Zastanawiam się, jakby to było, gdybym darzył tę grę taką pasją. Ciekawy jestem, czy sztuczne wąsiska wytrzymują deszcz, czy też rozplývają się jak mój stary tupecik.

Pierwsze dwa mecze wygrywam z łatwością, a następnie pokonuję Wheatona w czterech setach. Jednak czarnym koniem turnieju staje się Tarango, który przegrał, pokłócił się z sędzią przed zejściem z kortu, a następnie jego żona spoliczkowała tego sędziego. Był to jeden z największych skandali w dziejach Wimbledonu. Tym samym zamiast stawić czoła Tarango, gram z Alexandrem Mronzem z Niemiec. Dziennikarze pytają mnie, którego przeciwnika bym wolał, i bardzo chcę im opowiedzieć o oszustwie Tarango, kiedy miałem osiem lat. Nie robię tego jednak. Nie mam zamiaru wdawać się z nim w publiczną pyskówkę i boję się zrobić sobie wroga z jego żony. Mówię dyplomatycznie, że nieważne, z kim gram, choć Tarango stanowiłby większe zagrożenie.

Pokonuję Mronza gładko w trzech setach.

W półfinale staję przeciwko Beckerowi. Pokonałem go ostatnio osiem razy z rzędu. Pete już dostał się do finału i czeka na zwycięzcę meczu Agassi–Becker, czyli oczekuje na mnie, ponieważ każdy finał szlema zmienia się w dobrze znaną już randkę z Pete’em.

Bez problemu zabieram Beckerowi pierwszy set. W drugim wyskakuję na prowadzenie 4–1. Nadchodzę, Pete. Przygotuj się, Pete. I nagle, tak po prostu, Becker zaczyna grać ostrzej, brutalniej. Zdobywa kilka marnych

punktów. Po naruszeniu mojej pewności siebie za pomocą małego gwoźdźca, spada teraz na mnie z kafarem. Gra z linii końcowej, co jest jak na niego niezwykłą taktyką, i zaczyna przeważać pod względem siły. Przełamuje mnie i chociaż wciąż prowadzi 4-2, czuję, jak coś we mnie pęka. Nie moje biodro – mój umysł. Nagle nie jestem w stanie zapanować nad myślami. Myślę o Pecie, o tym że na mnie czeka. Myślę o mojej siostrze Ricie, której mąż Pancho przegrał właśnie długą walkę z rakiem żołądka. Myślę o Beckerze wciąż trenującym z Nickiem, który za bardzo się opalił i ma barwę żeberek z grilla, a teraz siedzi nad nami w łoży mojego rywala. Ciekawe, czy Nick zdradził Beckerowi moje tajemnice – na przykład, czy powiedział mu, jak rozpracowałem jego serwis. (Tuż przed podrzuceniem piłki Becker wystawia język, który niczym mały, czerwony drogowskaz pokazuje miejsce, gdzie celuje). Myślę o Brooke, która przez cały tydzień robiła zakupy w Harrodsie z dziewczyną Pete'a, studentką prawa DeLainą Mulcahy. Wszystkie te myśli kłębią mi się pod czaszką, przez co jestem rozbity, rozkojarzony, a to pozwala Beckerowi na złapanie wiatru w żagle. Nie oddaje już przewagi. Zwycięża w czterech setach.

Jest to jedna z moich najboleśniejszych przegranych w życiu. Po fakcie nie mówię do nikogo ani słowa. Do Gila, Brada czy Brooke – nie odzywam się do nich, bo nie potrafię. Zostałem złamany, postrzelony w trzewia.

Razem z Brooke mamy lecieć na wspólne wakacje. Planowaliśmy je od tygodni. Chcieliśmy się zaszyć w jakimś odległym miejscu, gdzie nie ma telefonów, nie ma innych ludzi, zarezerwowaliśmy więc pobyt na Indigo Island, dwieście czterdzieści kilometrów od Nassau. Po porażce na Wimbledonie chcę odwołać cały wyjazd, ale Brooke przypomina mi, że zarezerwowaliśmy całą wyspę i nie zwrócą nam kaucji.

Poza tym ma to być raj. Będzie nam tam dobrze, zapewnia.

Marszczę brwi.

Tak jak się obawiałem, od chwili przyjazdu raj zmienił się w kolonię karną. Na całej wyspie znajduje się jeden jedyny dom, który jest za mały dla naszej trójki – dla Brooke, dla mnie i mojego wisielczego nastroju.

Brooke wyleguje się w słońcu i czeka, aż się odezwę. Nie przeraża jej moje milczenie, ale też go nie rozumie. W jej świecie wszyscy udają, gdy tymczasem w moim niektórych rzeczy nie można udawać i przechodzić nad nimi do porządku dziennego.

Po dwóch dniach milczenia dziękuję jej za to, że wykazała się cierpliwością, i oświadczam, że wróciłem.

Pójdę sobie pobiegać po plaży.

Zaczynam od leniwego tempa, później przechodzę do krótkich sprintów. Już myślę o powrocie do kondycji, ładując akumulatory na lato na twardych kortach.

Lecę do Waszyngtonu na Legg Mason Tennis Classic. Panuje nieznośny upał. Brad i ja staramy się zaaklimatyzować, trenując w środku popołudnia. Po treningu zbierają się fani i zaczynają zadawać pytania. Niewielu zawodników rozmawia z kibicami, ale ja tak. Lubię to. Zawsze wolałem kibiców niż dziennikarzy.

Po podpisaniu ostatniego autografu i odpowiedzi na ostatnie pytanie Brad mówi, że ma chęć na piwo. Wygląda na to, że coś knuje. Coś się święci. Zabieram go do Tombs, lokalu, do którego uczęszczaliśmy z Perrym, kiedy odwiedzałem go podczas jego studiów w Georgetown. Do baru wchodzi się przez miniaturowe drzwi z ulicy, przechodzi się wąską klatką schodową w dół, do zawilgoconej ciemnicy, gdzie zajeżdża brudnymi toaletami. Jest tu otwarta kuchnia, dzięki czemu możesz obserwować kucharzy przy pracy, i o ile w niektórych miejscach to zaleta, nie jest to plusem Tombs. Znajdujemy wolną lożę i zamawiamy drinki. Brad jest zawiedziony, bo nie mają Bud Ice. Zadowolona się zwykłym Budem. Czuję się wspaniale po treningu, jestem zrelaksowany, sprawny. Nie myślałem o Beckerze przez całe dwadzieścia minut. Brad kładzie temu kres. Z wewnętrznej kieszeni kaszmirowego czarnego pulowera wyciąga zwitek gazet i teatralnym gestem rzuca je na blat.

Becker.

Co?

To powiedział po pokonaniu cię na Wimbledonie.

A co mnie to obchodzi?

Pieprzy jak potłuczony.

Pieprzy o czym?

Czyta.

Becker wykorzystał swoją konferencję prasową po wygranej, by ponarzekać na organizatorów Wimbledonu, którzy promują mnie, wywyższając ponad innych zawodników. Skarży się, że organizatorzy turnieju nagięli zasady, by wyznaczyć moje mecze na Centralnym Korcie.

Utyskuje, że organizatorzy wszystkich najważniejszych turniejów całują mnie w dupę. Później atakuje mnie personalnie. Nazywa mnie elitarystą. Mówi, że nie zadaję się z innymi tenisistami. Ujawnia, że nie jestem lubiany, nie jestem otwarty, a może gdybym był, inni zawodnicy tak by się mnie nie bali.

Ujmując to w dużym skrócie, wypowiada mi wojnę.

Brad nigdy nie przejmował się Beckerem. Zawsze nazywał go B.B. Sokrates, bo uważa, że Becker chce uchodzić za intelektualistę, gdy tymczasem jest przerośniętym wieśniakiem. Brad jest teraz tak wzburzony, że nie potrafi usiedzieć w łóży w Tombs.

Andre, mówi, jak wojna, to, kurwa, wojna. Wspomnisz moje słowa. Znów natkniemy się na tego skurwysyna. Spotkamy się z nim na US Open. A do tego czasu będziemy się przygotowywać, trenować i knuć.

Ponownie odczytuję cytaty z Beckera. Nie mogę w to uwierzyć. Wiedziałem, że mnie nie lubi, ale żeby coś takiego? Spoglądam w dół i spostrzegam, że zaciskam i rozwieram pięść.

Słyszałeś?, pyta Brad. Chcę, żebyś – załatwił – tego – KUTASA.

Masz to u mnie.

Stukamy się butelkami, zawierając pakt.

Co więcej, mówię sobie, po Beckerze mam zamiar dalej wygrywać. Po prostu przestanę przegrywać. Przynajmniej do czasu, gdy przymrozek zetnie dynie. Mam dość przegrywania, dość zawodów, mam po dziurki w nosie facetów nieszanujących mojej gry, tak jak ja jej nie szanuję.

I tak lato 1995 roku zostaje przemianowane na Lato Zemsty. Podsycany czystą wrogością przetaczam się niczym walec przez turniej w Waszyngtonie. W finale staję do walki z Edbergiem. Jestem lepszy, ale jest dobrze ponad trzydzieści stopni Celsjusza i taki upał bardzo wyrównuje szanse. W upale wszyscy cierpią tak samo. Na początku naszego meczu nie potrafię zebrać myśli, nie mogę wejść na właściwy tor gry. Na szczęście Edberg też nie. Wygrywam pierwszy set, on drugi, a w trzecim zyskuję przewagę 5–2. Kibice wiwatują – ci, którzy akurat nie mają porażenia słonecznego. Mecz zostaje kilkakrotnie zatrzymany, żeby udzielić komuś na trybunach pomocy medycznej.

Serwuję piłkę meczową. Przynajmniej tak się dowiedziałem. Mam zwidy. Nie wiem w ogóle, w co ja gram. W ping-ponga w kisielu? I ja mam niby odbijać tę włochatą piłeczkę tam i z powrotem? Do kogo odbijać?

Dzwonię zębami. Widzę trzy piłki szybujące nad siatką i odbijam tę w środku.

Mam jedynie nadzieję, że Edberg też ma halucynacje. Może zemdleje przede mną i wtedy wygram walkowerem. Czekam, bacznie go obserwuję, ale nagle robi mi się słabo. Czuję ucisk w żołądku. Edbergowi udaje się mnie przełamać.

Teraz on serwuje. Proszę o czas, schodzę i zwracam śniadanie do dekoracyjnej donicy na tyłach kortu. Kiedy wracam na miejsce, przeciwnik bez problemu utrzymuje serwis.

Znów serwuję piłkę meczową. Ganiamy się osłabieni, każdy z nas posyła niemrawe piłki na środek kortu jak dziesięciolatki grające w badminton. Przełamuje mnie – znowu.

Po pięć. Rzucam raketę i schodzę z kortu.

Jest taka niepisana zasada, a może i nawet ktoś ją spisał, że jeśli opuści się kort z raketą w rękę, to znaczy, że mecz jest poddany. Dlatego rzucam raketę, żeby ludzie wiedzieli, że tu wrócę. W moim delirycznym stanie wciąż pilnuję zasad tenisa, ale równie ważne są dla mnie zasady fizyki. W tym upale to, co zostało wchłonięte, musi zostać wydalone, i to szybko. W drodze do szatni wymiotuję kilka razy. Biegnę do toalety i pozbywam się posiłków sprzed wielu dni. Może sprzed wielu lat. Mam wrażenie, jakbym miał zaraz dostać udaru. Klimatyzacja w szatni w połączeniu z oczyszczeniem żołądka zaczynają mnie cucić.

Sędzia puka do drzwi.

Andre! Stracisz punkty, jeśli w tej chwili nie wrócisz na kort.

Wracam z pustym żołądkiem i zawrotami głowy. Przełamuję Edberga. Nie mam pojęcia, w jaki sposób. I wytrzymuję do końca meczu.

Człapię do siatki, o którą opiera się bliski omdlenia Edberg. Obydwaj mamy problemy z utrzymaniem się na nogach podczas ceremonii wręczenia nagród. Kiedy podają mi puchar, mam wielką ochotę zwymiotować do środka. Wciskają mi w dłoń mikrofon, żebym powiedział kilka słów, i wydaje mi się, że zaraz też go obrzygam. Przepraszam za moje zachowanie, szczególnie ludzi siedzących nieopodal zbrukanej donicy. Chcę na forum zaproponować, aby organizatorzy przenieśli ten turniej na Islandię, ale znów robi mi się niedobrze. Rzucam mikrofon i puszczam się biegiem.

Brooke pyta, dlaczego po prostu nie przerwałem meczu.

Ponieważ to jest Lato Zemsty.

Po meczu Tarango publicznie piętnuje moje zachowanie. Domaga się wyjaśnienia, dlaczego opuściłem kort. Czekał, by zagrać w deblu, i mój numer opóźnił jego mecz. Jest zirytowany. Ja zachwycony. Mam ochotę wrócić tam, odnaleźć donicę, kazać ją zapakować i posłać w prezencie Tarango z karteczką: Spróbuj to wyjaśnić, oszuście.

Nie zapominam. Jest to moja cecha, którą Becker będzie miał okazję poznać w niemiły sposób.

Z Waszyngtonu lecę do Montrealu, gdzie na całe szczęście jest lodówka. Pokonuję Pete'a w finale. W trzech ciężko wywalczonych setach. Zwycięstwo nad Pete'em zawsze dobrze smakuje, ale tym razem nawet go nie zauważam. Chcę dopaść Beckera. Wygrywam z Changiem w finale w Cincinnati, chwala Najwyższemu, a potem lecę do New Haven, znów na patelnię na północnym wschodzie. Docieram do finału i trafiam na Krajickę. Jest duży, ma przynajmniej dwa metry wzrostu, i do tego mocno zbudowany, a mimo to niezwykle chyży. Po dwóch susach staje z warkotem przy siatce, gotów zrobić sobie przekąskę z twojej wątroby. Ponadto ma potworny serwis. Nie zamierzam borykać się z tym przez trzy godziny. Po zwycięstwie w trzech turniejach z rzędu w krótkim czasie niewiele już mam w sobie energii. Jednak Brad nawet nie chce słyszeć podobnych deklaracji.

Masz trenować, pamiętasz jeszcze? Żeby zakończyć waśń jednym triumfalnym meczem? No to śmigaj, mówi.

Śmigam więc. Problem polega na tym, że śmiga też Krajicek. Pokonuje mnie w pierwszym secie 6–3. W drugim, dwukrotnie ma piłkę meczową. Nie poddaję się. Doprowadzam do wyrównania, zdobywam punkt i z łatwością zwyciężam w trzecim secie. Jest to moje dwudzieste zwycięstwo z rzędu oraz moja czwarta wiktoria w kolejnym turnieju. Wygrałem sześćdziesiąt trzy z siedemdziesięciu meczów w tym roku, czterdzieści cztery albo czterdzieści sześć na twardej nawierzchni. Dziennikarze pytają mnie, czy czuję się niezwyciężony, a ja zaprzeczam. Myślę, że to skromność, ale mówię, jak jest naprawdę. Opowiadam o swoich odczuciach. Tylko tak mogę się czuć w Lecie Zemsty. Duma działa na moją niekorzyść, stres wpływa na mnie pozytywnie. Nie chcę czuć się pewnie. Muszę odczuwać wściekłość. Nieskończony bezmiar pochłaniającej wszystko wściekłości.

W trasie rozprawia się głównie o mojej rywalizacji z Pete'em, przede wszystkim z powodu rozpoczętej nowej kampanii reklamowej Nike, której

częścią jest popularna reklama telewizyjna, w której wyskakuję z taksówki w centrum San Francisco, naciągam siatkę i ruszam do boju. „New York Times Sunday Magazine” publikuje długi artykuł na temat naszego współzawodnictwa i przepaści, jaka nas dzieli prywatnie. Opisuje zaabsorbowanie Pete’a tenisem, jego miłość do gry. Zastanawiam się, jak dziennikarz przedstawiłby tę lukę, gdyby znał moje prawdziwe nastawienie do tenisa. Gdybym mu tylko to wyjawiał.

Odkładam artykuł. Znow się za niego biorę. Nie chcę go czytać. Muszę. To dziwne, denerwujące, bo teraz wcale nie myślę o tym, jak pokonać Pete’a. W dzień i w nocy jest Becker, tylko Becker. A jednak przeglądając artykuł, krzywię się, kiedy pytają Pete’a, co we mnie najbardziej lubi.

Nie może niczego wymyślić.

W końcu odpowiada: Lubię to, jak on podróżuje.

W końcu nadchodzi sierpień. Gil i Brad wiozą mnie do Nowego Jorku na US Open 1995. Pierwszego poranka w szatni Louis Armstrong Stadium widzę, że Brad trzyma w dłoni wyniki losowania.

Dobrze jest, mówi, uśmiechając się. Och, jest bardzo dobrze. BD. Bardzo dobrze.

Jestem w połówce drabinki turniejowej z Beckerem. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem Brada, spotkam się z z nim w półfinale. Później z Pete’em. Myślę: Gdyby tak można było w dniu narodzin zerknąć na swój wylosowany życiowy zestaw, zaprojektować drogę do finału.

Na początku rozgrywek sunę jak na autopilocie. Wiem, czego chcę, rozumiem, czego chcę, widzę cel, a przeciwnicy są tylko zwykłymi słupkami na drodze. Edberg. Àlex Corretja. Petr Korda. Muszę ich wyminąć, by dotrzeć do mety, więc to robię. Po każdej wygranej Brad nie kipi radością jak zwykle. Nie uśmiecha się. Nie świętuje. Jest skupiony na Beckerze. Monitoruje jego postępy, kreśli wykres meczów. Chce, żeby wygrywał każdy mecz, żeby zdobył jak największą liczbę punktów.

Kiedy schodzę z kortu po kolejnym zwycięstwie, Brad odzywa się do mnie oschłym tonem: Jeszcze jeden dobry dzień.

Dzięki. Taa, dobrze się czuję.

Nie ty. Miałem na myśli B.B. Sokratesa. Wygrał.

Pete zajmuje się swoimi sprawami. Dochodzi do finału ze swojej strony drabinki i czeka na zwycięzcę meczu Agassi–Becker. Znow powtórka z Wimbledonu, odsłona druga. Tym razem nie myślę o meczu z Pete’em.

Nie patrzę w przyszłość. Namierzałem Beckera i teraz przyszła właściwa chwila – jestem tak skoncentrowany, że aż mnie to przeraża.

Jakiś znajomy pyta, czy kiedy mam zadrę wobec kogoś z przeciwników, nie czuję żadnego, najmniejszego nawet impulsu, żeby cisnąć rakieta i rzucić mu się do gardła. Gdy grasz taki mecz, w którym wyrównujesz zadawniony rachunek, kiedy jest zła krew, czy nie wolałbyś raczej kilku rund staromodnego boksu? Mówię mu, że tenis jest boksem. Każdy tenisista, wcześniej czy później, zaczyna porównywać się do boksera, ponieważ tenis jest pięściarstwem bezkontaktowym. Jest brutalną grą, *mano a mano*, a wybór jest równie brutalnie prosty co na ringu. Zabić albo dać się zabić. Pokonać albo dostać manto. Rany odniesione w wyniku tenisa są jedynie głębiej skrywane pod skórą. Przypomina mi starą metodę lichwiarzy z Vegas, kiedy to bili kogoś workiem pomarańczy, bo nie zostawiał siniaków.

A jednak powiedziawszy to, jestem tylko człowiekiem. Dlatego też przed wyjściem na kort, kiedy stoimy z Beckerem w tunelu, ostrzegam ochroniarza Jamesa: Trzymaj nas z dala od siebie. Nie chcę nawet patrzeć na tego cholernego szwaba. Zaufaj mi, James, ty nie chcesz, żebym go widział.

Becker ma takie same odczucia. Wie, co powiedział, i wie, że czytałem to z pięćdziesiąt razy, aż zapamiętałem. Wie, że karmiłem się tymi docinkami przez całe lato, i teraz chcę krwi. On też. Nigdy mnie nie lubił, a dla niego to też Lato Zemsty. Wychodzimy na kort, unikając kontaktu wzrokowego, nawet nie pozdrawiając tłumów, skupieni na sobie, na torbach tenisowych i paskudnej jatce, która zaraz się zacznie.

Od pierwszego dzwonka jest tak, jak miało być. Szydzymy, parskamy, przeklinamy w dwóch różnych językach. Wygrywam pierwszy set 7–6. Becker wydaje się wkurzająco niewzruszony. Niby dlaczego miałyby się przejmować? Tak właśnie zaczął się nasz mecz na Wimbledonie. Nie martwi się tym, że zostaje w tyle – udowodnił, że potrafi przyjąć mój najsilniejszy cios i ruszyć do kontrataku.

Wygrywam drugi set 7–6. Teraz zaczyna się więc, szuka możliwości zdobycia przewagi. Stara się zamieszać mi w głowie. Już widział, jak tracę opanowanie, więc robi to, co – jak myśli – wytrąci mnie z równowagi, najbardziej kastrującą przeciwnika sztuczkę, jaką tenisista może zrobić drugiemu: zaczyna posyłać całusy do mojej łoży. Do Brooke.



Udaje mu się. Jestem tak wściekły, że na chwilę tracę koncentrację. W trzecim secie przy moim prowadzeniu 4–2 Becker rzuca się do piłki, której nie ma prawa odebrać. Odbiera, zdobywa punkt, po czym przełamuje mnie i wygrywa set. Tłum szaleje. Chyba się zorientowali, że to bardzo osobiste starcie, bo zawodnicy się nie znoszą i załatwiają na korcie swoje porachunki. Podoba im się dramaturgia meczu. Chcą, żeby walka rozszalała się na całego, i teraz naprawdę mam wrażenie, że wróciliśmy na korty Wimbledonu. Becker żeruje na ich energii. Posyła kolejne całusy Brooke, uśmiechając się jednoznacznie. Udało się raz, dlaczego nie miałyby się udać ponownie? Patrzę na Brada obok Brooke, a on posyła mi opatentowane stalowe spojrzanie, które mówi: No, rusz się! Do roboty!

Czwarty set to wojna podjazdowa z podgryzaniem i wracaniem na upatrzone pozycje. Obydwaj bronimy serwisów, starając się znaleźć furtkę do przełamania. Zerkam na zegar. Wpół do dziesiątej. Ale nikt tu nie pójdzie do domu. Proszę zamknąć drzwi, zamówić kanapki, bo nie wyjdziemy stąd dopóty, dopóki nie rozstrzygniemy tego cholernego starcia. Napięcie jest niemal fizycznie wyczuwalne. Nigdy tak bardzo nie pragnąłem wygrać meczu. Nigdy niczego tak bardzo nie pragnąłem. Utrzymuję swój serwis i wychodzę na 6–5, więc teraz Becker serwuje, by pozostać w grze.

Wysuwa język na prawo, serwuje na prawo. Dobrze odgaduję i duszę cios w zarodku. Punkt. Zmiatam jego dwa kolejne podania. Teraz serwuje przy 0–40. Potrójna piłka meczowa.

Perry coś do niego szczeka. Brooke miota na niego przekleństwa wysokim głosem. Becker uśmiecha się i macha do nich, jakby był Miss America. Pali pierwszy serwis. Wiem, że drugi będzie bardzo agresywny. Jest mistrzem i zamierza rozegrać to jak mistrz. Poza tym wystawia język na środek ust. Z pewnością pośle drugi, niezwykle mocny serwis wprost na mój korpus. Zwykle trzeba się martwić, czy nie odskoczy za wysoko i polecą gdzieś w dal i należy podbiec, starając się przechwycić piłkę, zanim odbije się i polecą powyżej ramienia, ale stawiam wszystko na jedną kartę, ryzykuję i stoję na swoim miejscu – ryzyko popłaca. Jest piłka, prosto na mnie. Schodzę z jej toru biodrami i ustawiam się w pozycji dogodnej do zagrania bomby życia. Serwis jest nieco szybszy niż się spodziewałem, ale nadrabiam. Staję na palcach, czując się niczym Wyatt Earp, Spiderman i Spartakus w jednej osobie. Robię zamach. Stają mi wszystkie włoski na ciele. Kiedy piłka odrywa się od mojej rakiety, wydaję z siebie czysto

zwierzęcy okrzyk. Wiem, że nie uda mi się go już nigdy powtórzyć i że nigdy nie uderzę piłki tenisowej z większą siłą i precyzją. Posłanie śmiertelnej piłki za siatkę – tylko to może mi przynieść ukojenie. Łąduje z boku Beckera, a ze mnie znów wydobywa się ten jaskiniowy ryk.

AAAAAAGGGHHH.

Piłka mija Beckera ze świstem. Mecz dla Agassiego.

Becker podchodzi do siatki. Niech sobie tam postoi. Kibice wstają z miejsc i kołyszą się w ekstazie. Zerkam na Brooke, Gila, Perry'ego i Brada, a szczególnie na Brada. No, dalej! Wciąż patrzę. Becker wciąż stoi przy siatce. Nic mnie to nie obchodzi. Zostawiam go tam niczym świadka Jehowy przy drzwiach. W końcu, w końcu zdzieram moje frotki z nadgarstków i podchodzę do siatki z ręką wyciągniętą mniej więcej w tamtym kierunku, ale nie patrzę. Ściska mi dłoń, którą zaraz odbijam.

Jeden z dziennikarzy telewizyjnych wpada na kort i zadaje mi kilka pytań. Odpowiadam bez zastanowienia. Po czym patrzę w kamerę uśmiechnięty i mówię: Pete! Nadciągamy!

Wbiegam do tunelu, do sali gimnastycznej. Czeka tu na mnie zmartwiony Gil. On wie, ile to zwycięstwo kosztowało mnie fizycznie.

Jestem w złej formie, Gil.

Położ się, stary.

Dzwoni mi w głowie. Spływam potem. Jest dziesiąta wieczór, a ja muszę zagrać w finale za mniej niż osiemnaście godzin. Między teraz a jutro muszę wyjść z tego niemal psychotycznego stanu, wrócić do domu, zjeść dobry, gorący posiłek, wypić galon Wody Gila, aż wysikam nerki, po czym trochę się przespać.

Gil wiezie mnie do domu Brooke. Jemy kolację, po czym siedzę pod prysznicem przez godzinę. Jest to jeden z tych pryszniców, podczas których myślę, czy nie powinienem wypisać czeku dla kilku organizacji ekologicznych i może zasadzić drzewo. O drugiej nad ranem kładę się obok Brooke i zapadam w nicość.

Otwieram oczy pięć godzin później, nie mając pojęcia, gdzie jestem. Siadam i wydaję z siebie krzyk, który jest skróconą wersją okrzyku bojowego w meczu z Beckerem. Nie mogę się ruszyć.

Z początku myślę, że to tylko skurcz żołądka. Później uświadamiam sobie, że to o wiele poważniejsza sprawa. Przetaczam się po łóżku i łąduje na podłodze na czworakach. Wiem, co to jest. Zdarzyło mi się to już

wcześniej. Rozdarta chrząstka między żebrami. Mam pełną świadomość, która piłka ją rozerwała. Ale to uszkodzenie musi być szczególnie duże, bo nie mogę rozszerzyć klatki piersiowej. Po prostu nie mogę oddychać.

Pamiętam jak przez mgłę, że taką kontuzję leczy się mniej więcej przez trzy tygodnie. A ja mam dziewięć godzin do starcia z Pete'em. Jest siódma rano, mecz jest o czwartej. Wołam Brooke. Pewnie wyszła. Leżę na boku, powtarzając na głos: Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Proszę, niech to będzie sen.

Zamykam oczy i modlę się, bym mógł wejść na kort. Taka prośba jest idiotycznie wygórowana, bo w ogóle nie mogę wstać. Mimo że staram się, jak mogę, nie jestem w stanie się podnieść.

Boże, proszę Cię. Nie mogę nie zjawić się na finale US Open.

Pełnę do telefonu i wykręcam numer do Gila.

Gilly, nie mogę wstać. Dosłownie nie mogę wstać.

Zaraz u ciebie będę.

Do czasu, kiedy się zjawia, już stoję, ale wciąż mam problemy z oddychaniem. Słyszac, co podejrzewam, nie zgadza się ze mną. Patrzy na mnie, gdy piję kawę, i mówi: Już czas. Musimy jechać.

Patrzmy na zegar i obydwaj robimy to, co można zrobić w takiej chwili – wybuchamy śmiechem.

Gil wiezie mnie na kort treningowy. Tam odbijam piłkę i łapie mnie ból w żebrach. Odbijam drugą. Krzyczę z bólu. Odbijam trzecią. Wciąż boli, ale mogę to jakoś znieść. Mogę oddychać.

Jak się czujesz?

Lepiej. Na jakieś trzydzieści osiem procent.

Patrzmy na siebie. Może to wystarczy.

Tyle że Pete daje z siebie sto procent. Wychodzi przygotowany, gotowy na to, co widział w meczu z Beckerem. Przegrywam pierwszy set 6–4. Przegrywam drugi 6–3.

Jednak udaje mi się wygrać trzeci. Uczę się, co może mi ująć płazem. Znajduję skróty, idę na kompromisy, podążam bocznymi ścieżkami. Widzę kilka szans przemienienia tej porażki w cud. Tylko że nie mogę ich wykorzystać. Przegrywam czwarty set 7–5.

Dziennikarze pytają, jak to jest wygrać dwadzieścia sześć meczów z rzędu, wygrywać przez całe lato, tylko po to, by zatrzymać się na wielkiej siatce, jaką jest Pete. Myślę: A jak wam się wydaje, jak mam się czuć?

Mówię: Za rok mam zamiar trochę poprzegrywać. Na razie jest 26–1 i oddałbym wszystkie te wygrane za ten jeden mecz.

Po drodze do domu trzymam się za żebra i wyglądam przez okno, przypominając sobie każdą piłkę Lata Zemsty. Całą pracę, złość, wygrane, treningi, nadzieje i pot, które wiodły do tej samej zwodniczej pustki. Bez względu na to, ile razy się wygrywa, jeśli przegra się na końcu, to i tak jest się przegranym. I na końcu ja zawsze przegrywam, bo zawsze jest tam Pete. Zawsze ten Pete.

Spojrzenie Brooke mówi wszystko. Patrzy na mnie z sympatią i lekkim współczuciem, ale jest to spojrzenie oderwane od rzeczywistości, bo nie rozumie. Oczekuje ode mnie, że poczuję się lepiej, że to minie, że wszystko wróci do normy. Przegrana jest czymś anormalnym.

Brooke powiedziała mi, że ma swój rytuał, kiedy przegrywam, swoisty sposób na zabicie czasu, aż zostanie przywrócony stan równowagi. Kiedy ja cierpię w milczeniu, ona przeczesuje szafy i wyciąga wszystkie ubrania, których od miesięcy nie zakładała. Układa swetry i koszulki, przekłada skarpetki i pończochy, wkłada buty do pudeł i ustawia na półkach. Tego wieczoru, w dniu, w którym przegrałem z Pete'em, zerkam do szafy Brooke.

Nieskazitelny porządek.

W naszym krótkim związku miała mnóstwo czasu do zabicia.



Grając z Wilanderem w Pucharze Davisa, zmieniam sposób poruszania się, by chronić uszkodzoną chrząstkę, ale kiedy się chroni jedno, zwykle wystawia się drugie na urazy. Wychodzi mi dość dziwny forhend i czuję, jak naciągam mięśnie klatki piersiowej. Przez cały mecz są rozgrzane i nic nie boli, ale na drugi dzień, kiedy się budzę, nie mogę się ruszyć.

Lekarze wyłączają mnie na kilka tygodni. Brad chce się powiesić.

Taki przestój będzie cię kosztował pierwsze miejsce w rankingu, wyrokuje.

I żeby jeszcze mnie to coś obchodziło. Pete jest numerem jeden bez względu na to, co wskazuje komputer. Pete wygrał dwa szlemy w tym roku oraz pojedynkę między nami w Nowym Jorku. Poza tym naprawdę guzik mnie obchodzi to, czy dalej jestem na pierwszym miejscu. Było miło, ale nie stanowiło to mojego nadrzędnego celu. Pokonanie Pete'a też nie było moim celem, choć przegrana z nim wpędziła mnie w bezkresne przygnębienie.

Zawsze miałem kłopoty z pozbieraniem się po porażce, ale przegrana z Pete'em odbieram inaczej. To porażka ostateczna, über-porażka, utrata wszystkiego, ona przyćmiewa wszystkie klęski świata. Poprzednie porażki z Pete'em, przegrana z Courierem, przegrana z Gomezem – w porównaniu z tym, to wszystko były draśnięcia, bo teraz czuję się tak, jakby mi ktoś

włócznie wbił w serce. Każdego dnia inaczej mnie boli. Każdego dnia powtarzam sobie, żebym już przestał to roztrząsać i nie udaje mi się. Chwilę wytchnienia przynosi jedynie myśl o przejściu na tenisową emeryturę.

Tymczasem Brooke pracuje bez wytchnienia. Jej kariera aktorska nabiera rozpędu. Za namową Perry'ego kupiła dom w Los Angeles i ugania się za rolami w serialach. Teraz wygrała los na loterii i dostała małą gościnną rolę w jednym z odcinków serialu *Przyjaciele*.

To najpopularniejszy serial na świecie, mówi. Numer jeden!

Krzywię się. Znów to zdanie. Nie zauważa tego.

Producenci *Przyjaciół* zaproponowali Brooke rolę osoby, która prześladowuje znane postacie. Kulę się na samą myśl, bo przeżyła prawdziwy koszmar z nagabywaczami i przesadnie żarliwymi fanami. Ona jednak uważa, że doświadczenie z taką chmarą natrętów pomoże jej w dobrym przygotowaniu się do tej roli. Twierdzi, że rozumie sposób myślenia natręta.

Do tego, Andre, to przecież *Przyjaciele*. Serial numer jeden w telewizji. To może dać mi okresowy angaż w tym serialu. A poza tym, dlatego że *Przyjaciele* to serial numer jeden, mój odcinek zostanie nadany zaraz po rozgrywkach Super Bowl – zobaczy go pięćdziesiąt milionów widzów. To jest mój US Open.

Analogia tenisowa. Najpewniejszy sposób na odwrócenie mego zainteresowania całą sprawą. Ale udaję, że się cieszę, i mówię to, czego ode mnie oczekuje. Jeśli ty jesteś szczęśliwa, to ja też. Uwierzyła. Albo zagrała to, że wierzy. Co często odbieram jednakowo.

Postanawiamy pojechać wraz z Perrym do Hollywood i oglądać zdjęcia do odcinka z nią. Siedzimy w jej łóżu, tak jak ona zawsze siedzi w mojej.

No i co fajnie będzie?, pyta.

Nie będzie, myślę.

Tak, mówię, będzie fajnie.

Nie chcę tam jechać, ale też nie chcę już gnić dłużej w domu, rozmawiając z samym sobą. Z bolącą klatką piersiową i zranionym ego – nawet ja w takich okolicznościach nie mogę zostać sam na sam ze sobą.

Na kilka dni przed rejestracją epizodu *Przyjaciół* barykadujemy się w domu Brooke w Los Angeles. Codziennie któryś z kolegów aktorów przychodzi, by powtarzać kwestie z Brooke. Obserwuję ich. Ona jest skoncentrowana, pod presją i ciężko pracuje, ten proces nie jest mi obcy.

Jestem z niej dumny. Powtarzam jej, że będzie gwiazdą. Wydarzą się dobre rzeczy.

Zjawiamy się w studiu późnym popołudniem. Wita nas ciepło z pół tuzina aktorów. To obsada serialu, jak mniemam, owi słynni przyjaciele, ale jeśli chodzi o mnie, równie dobrze mogliby to być bezrobotni aktorzy z West Covina. Nie widziałem ani jednego odcinka tego serialu. Brooke ściska ich na powitanie, czerwienieje, zaczyna się jąkać, chociaż całymi dniami powtarzała z nimi swoje kwestie. Nigdy nie widziałem jej tak przytłoczonej. Przedstawiłem ją Barbrze Streisand i wtedy tak się nie zachowywała.

Stoję kilka kroków za Brooke, w cieniu. Nie chcę wkraczać w jej światła rampy, poza tym nie mam ochoty na pogaduszki. Jednak aktorzy są fanami tenisa i wciąż próbują mnie wciągnąć w rozmowę. Pytają o moją kontuzję, gratulują mi zeszłego, pełnego zwycięstw roku. Moim zdaniem wcale nie był dobry, ale dziękuję im grzecznie i znów cofam się w cień.

Nalegają. Pytają o US Open. O rywalizację z Pete'em. Jak to jest? Tenis jest dla was całym życiem.

No, tak.

Przyjaźnicie się?

Przyjaźnimy? Naprawdę padło to pytanie? Czy pytają mnie o to, bo sami są „przyjaciółmi”? Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, ale tak, chyba przyjaźnimy się z Pete'em.

Zwracam się do Perry'ego o wsparcie, lecz on jest taki jak Brooke, dziwnie onieśmielony. W gruncie rzeczy nawet się trochę pospolituje. Rozmawia na temat show-biznesu z aktorami, rzuca nazwiskami, odgrywa rolę bywalca.

Na szczęście wzywają Brooke do jej garderoby. Perry i ja idziemy za nią i siadamy obok, a cały zespół ludzi czesze i układa jej włosy, a drugi zajmuje się makijażem i garderobą. Patrę na Brooke, która spogląda na swoje odbicie w lustrze. Jest tak szczęśliwa, taka podeksycytowana, jak dziewczyna szykująca się do przyjęcia na swoje szesnaste urodziny, a ja zupełnie tu nie pasuję. Zamykam się w sobie. Mówię to, co powinienem, uśmiecham się i wspieram ją, ale wydaje mi się, że w środku zamyka się jakiś zawór. Zastanawiam się, czy to samo czuje Brooke, kiedy spinam się przed turniejem albo rozpaczam po przegranej. Moje udawane zainteresowanie, moje gotowe odpowiedzi oraz generalnie brak zainteresowania – czy wywołuję w niej takie same reakcje?

Idziemy na plan do fioletowawego mieszkania z używanymi meblami. Stajemy tam i zabijamy czas, wielcy faceci ustawiają światła, a reżyser konferuje z autorami scenariusza. Ktoś opowiada kawały, starając się rozgrzać zgromadzoną publiczność. Odnajduję krzesło w pierwszym rzędzie, nieopodal scenicznych drzwi, przez które ma wejść Brooke. Tłum szemrze, podobnie jak ekipa. Wyczuwa się narastające oczekiwanie. Nie mogę powstrzymać się od ziewania. Czuję się jak Pete zmuszony do obejrzenia *Grease*. Ciekawe, dlaczego Broadway cieszy się taką estymą, a to miejsce spotyka się z taką pogardą.

Ktoś krzyczy: Cisza na planie! Ktoś inny krzyczy: Akcja! Brooke podchodzi i puka do scenicznych drzwi. Otwierają się na oścież i Brooke wypowiada swoją pierwszą kwestię. Publiczność śmieje się i klaszcze. Reżyser krzyczy: Cięcie! Jakaś kobieta kilka rzędów nade mną krzyczy: Wspaniale ci idzie, Brooke!

Reżyser chwali Brooke. Ona słucha pochwał, kiwając głową. Dziękuję, mówi, ale mogę zagrać to lepiej. Chce powtórzyć ujęcie, chce wykorzystać swoją szansę do maksimum. Dobrze, zgadza się reżyser.

Kiedy przygotowują się do drugiego ujęcia, Perry daje Brooke wskazówki. Nic nie wie na temat aktorstwa, ale Brooke jest taka zagubiona, że teraz przyjmuje rady od wszystkich. Słucha i kiwa głową. Stoją tuż pode mną, a on robi jej wykład, jakby był szefem Actors Studio.

Proszę na miejsca!

Brooke dziękuje Perry'emu i biegnie do drzwi.

Cisza na planie!

Brooke zamyka oczy.

Akcja!

Puka do scenicznych drzwi i odgrywa scenę identycznie jak poprzednio.

Cięcie!

Wspaniale, chwali reżyser.

Brooke podbiega do mnie i pyta, co o tym sądzę. Niesamowite, mówię i nie kłamię. Była niesamowita. Choć telewizja mnie drażni, a atmosfera i całe to udawanie zniechęca mnie, szanuję jej ciężką pracę. Podziwiam jej zaangażowanie. Daje z siebie wszystko. Całuję ją i zapewniam, że jestem z niej dumny.

Skończyłaś?

Nie, mamy jeszcze jedną scenę.

Och.



Przenosimy się na drugi plan, do restauracji. Brooke grająca nagabywaczkę, ma randkę z obiektem swych westchnień Joeyem. Siedzi przy stoliku na wprost aktora grającego Joeya. Kolejna ciągnąca się w nieskończoność przerwa. Kolejne rady Perry'ego. W końcu reżyser krzyczy: Akcja!

Aktor grający Joeya wydaje się miłym facetem. Jednak kiedy zaczynają grać, wiem już, że za chwilę skopię mu tyłek. Jak się okazuje, scenariusz wymaga od Brooke, by chwyciła tego faceta za dłoń i polizała ją. Ona idzie o krok dalej i pożera jego rękę niczym lody w wafelku. Cięcie! Było wspaniale, mówi reżyser. Ale spróbujmy jeszcze raz. Brooke się śmieje. Joey się śmieje – wycierając dłoń serwetką. A ja patrzę na to wszystko, wybałuszając oczy. Brooke nie wspominała nic o lizaniu dłoni. Wiedziała, jaka będzie moja reakcja.

To nie jest moje życie, niemożliwe, żeby takie było. Nie ma mnie tutaj, tak naprawdę nie siedzę w otoczeniu dwóch setek ludzi i moja dziewczyna na moich oczach nie oblizuje łapy jakiegoś faceta.

Podnoszę wzrok na sufit i patrzę prosto w reflektory.

Za chwilę zrobią to jeszcze raz.

Cisza na planie, bardzo proszę!

Akcja!

Brooke bierze dłoń Joeya i wkłada sobie do ust, aż po kłykcie. Tym razem wywraca oczami i wodzi językiem wzdłuż...

Zrywam się na równe nogi, biegnę schodami w dół, wypadam przez boczne drzwi na zewnątrz. Już jest ciemno. Jak mogło się tak szybko zrobić ciemno? Tuż obok drzwi stoi mój wynajęty lincoln. Zza moich pleców wyłaniają się Perry i Brooke. Perry jest zadziwiony. Brooke reaguje histerycznie. Łapie mnie za ramię i pyta: Dokąd idziesz? Przecież nie możesz teraz wyjść!

Perry dziwi się: Co się stało? O co chodzi?

Wiesz dobrze. Obydwoje wiecie.

Brooke błaga mnie, bym został. Tak samo Perry. Oświadczam im, że nie ma żadnych szans, nie będę patrzył, jak oblizuje facetowi rękę.

Nie rób tego, mówi Brooke.

Ja robię? Ja? Ja niczego nie robię. Wracajcie i bawcie się dobrze. Połamania nóg życzę. Poćwicz sobie na innych dłoniach. Ja stąd spływam.

Jadę szybko autostradą, wymijając inne samochody. Nie wiem, dokąd jadę, poza tym, że z dala od Brooke. A pierdolić to. Nagle uświadamiam

sobie, że zmierzam prosto do Vegas i nie zatrzymam się, dopóki tam nie dojadę. Czuję się świetnie z tą decyzją. Dodaję gazu i z rykiem silnika mijam granice miasta, wjeżdżając na pustynię, a od mego łóżka dzieli mnie tylko piaszczysta połać i gwiazdny kobierzec nad głową.

Kiedy radio zaczyna skrzeczeć, staram się nastroić własne emocje. Tak, jestem zazdrosny, ale też zdezorientowany, tracę kontakt z samym sobą. Podobnie jak Brooke, ja też grałem swoją rolę, rolę głupkowatego narzeczonego, i myślę, że nieźle sobie z nią radziłem. Ale kiedy zaczęło się lizanie po rękach, rola zaczęła wymykać mi się spod kontroli. Oczywiście widziałem już, jak Brooke całuje się z facetami na scenie. Doświadczyłem też spotkania ze zbokiem, który nie mógł się opanować, by nie powiedzieć mi, jak migdalił się z moją dziewczyną na planie filmowym, gdy miała piętnaście lat. Teraz było inaczej. Przekroczono granicę. Nie będę udawał, że wiem, którądy ona przebiega, ale lizanie dłoni z całą pewnością leży poza nią.

Docieram do swej kawalerskiej gawry o drugiej w nocy. Jazda zmęczyła mnie, złagodziła mój gniew. Wciąż jestem zły, ale również skruszony. Dzwonię do Brooke.

Przepraszam. Musiałem po prostu – musiałem stamtąd wyjść.

Mówi, że wszyscy pytali, gdzie jestem, że upokorzyłem ją, naraziłem jej wielką szansę. Żali się, że wszyscy ją chwalili, ale nie była w stanie nacieszyć się swoim sukcesem, bo jedyna osoba, z którą chciała go dzielić, znikła.

Rozkojarzyłeś mnie!, podnosi głos. Musiałam wyrzucić cię z myśli, żeby skoncentrować się na kwestiach, i przez to wszystko było trudniejsze. Gdybym zrobiła coś podobnego tobie na meczu, byłbyś wściekły.

Nie mogłem patrzeć, jak oblizujesz łapę temu facetowi.

Ja grałam, Andre. Grałam. Zapomniałeś już, że jestem aktorką, że zarabiam tak na życie, że to wszystko udawanie? Symulacja?

Gdybym tylko potrafił zapomnieć.

Zaczynam się bronić, ale Brooke nie chce tego słuchać. Rzuca słuchawką.

Stoję pośrodku mojego salonu i czuję, jak podłoga drży. Przez chwilę zastanawiam się nawet, czy w Vegas może być trzęsienie ziemi. Nie wiem, co mam robić, gdzie mam stanąć. Podchodzę do półki z moimi trofeami i podnoszę jeden puchar. Ciskam nim przez pokój tak, że wpada do kuchni. Rozbija się na kilka kawałków. Podnoszę kolejny i rzucam nim o ścianę.

Jeden po drugim, robię tak ze wszystkimi swoimi pucharami. Puchar Davisa? Łup. US Open? Trach. Wimbledon? Trzask, trzask. Wyciągam rakiety z torby tenisowej i staram się stłuc szklaną ławę, ale niszczę tylko rakiety. Podnoszę potłuczone trofea i rzucam nimi o ścianę, a potem o inne przedmioty w domu. Kiedy zostaje to, czego nie mogę rozwalić, rzucam się na kanapę pokrytą odłupanymi kawałkami tynku.

Po kilku godzinach otwieram oczy. Robię przegląd zniszczeń, jakby ktoś inny był za nie odpowiedzialny – i to prawda. To był ktoś inny. Ten, który zawsze potrafił coś spieprzyć.

Dzwoni telefon. To Brooke. Znów ją przepraszam, opowiadam o zniszczeniu swoich trofeów. Jej głos łagodnieje. Jest zaniepokojona. Nie może znieść myśli, że byłem tak zdenerwowany, że byłem taki zazdrosny, że czuję ból. Mówię, że ją kocham.

Miesiąc później jestem w Stuttgarcie na rozpoczęciu sezonu halowego. Gdybym miał wymienić wszystkie miejsca na świecie, do których nie chcę przyjeżdżać, na wszystkich kontynentach i we wszystkich krajach, duże miasta, miasteczka, wioski, osady i sioła, Stuttgart znajdowałby się na początku tej listy. Myślę, że gdybym dożył wieku tysiąca lat, to i tak nic dobrego nie czekałoby na mnie w tym mieście. Nie mam nic przeciwko samemu Stuttgartowi. Po prostu nie chcę tu być teraz, kiedy gram w tenisa.

A jednak przyjechałem i będzie to ważny mecz. Jeśli wygram, utrzymam się na pierwszej pozycji w tenisowym rankingu, czego Brad łaknie jak kania dżdżu. Gram z MaliVai Washingtonem, którego znam doskonale. Walczyłem z nim mnóstwo razy, kiedy byłem w juniorach. To dobry sportowiec, kryje kort jak płachta brezentu i zawsze doprowadza do tego, że go pokonuję. Ma nogi niczym odlane z brązu, więc nie mogę atakować go z tej strony. Nie jestem go w stanie zmęczyć jak zwykłego przeciwnika. Muszę go przechytryć. I tak właśnie robię. Jestem w połowie seta, biegam po korcie i nagle czuję, jakbym nadepnął na łapkę na myszy. Spoglądam na stopy. Odpadła mi połowa podeszwy. Oderwała się.

Nie zabrałem dodatkowego obuwia.

Zatrzymuję grę, tłumaczę organizatorom, że potrzebuję nowych butów. Zostaje to ogłoszone przez głośniki w niecierpliwych, podniesionych niemieckich słowach: Czy ktoś może pożyczyć but panu Agassiemu? Rozmiar dziesięć i pół.

Musi to być but Nike, dodaję, z powodu mego kontraktu.

Jakiś mężczyzna z wyższych trybun podnosi się z miejsca, wymachując butem. Byłbym szczęśliwy, gdyby pan Agassi założył mój *Schuh*. Brad idzie na górę i odbiera but z trybun. Chociaż uczynny człowiek ma rozmiar dziewięć, wbijam swoją stopę w but niczym przygłupi Kopciuszek i wznawiam grę.

Czy to jest moje życie?

To nie może być moje życie.

Gram mecz o pozostanie na pierwszym miejscu w rankingu, mając na jednej nodze but pożyczony od mieszkańca Stuttgartu. Przypomina mi się tato, który naprawiał nam buty starymi piłkami tenisowymi, kiedy byliśmy mali. Teraz jest jeszcze bardziej krępująco, idiotycznie. Czuję się emocjonalnie wyczerpany i zastanawiam się, dlaczego nie odpuszczam. Żeby tak po prostu zejść z kortu. Rzucić to. Co mnie pcha naprzód? Jakim cudem udaje mi się dobiegać do piłek, odbierać serwisy i je bronić? Moja podświadomość opuszcza kort. Jadę w góry, wynajmuję domek narciarski, robię omlet, wyciągam się wygodnie, wdycham śnieżny zapach lasu.

Obiecuję sobie: Jeśli wygram ten mecz, przejdę na emeryturę. I jeśli przegram, też to zrobię.

Przegrywam.

Nie przechodzę w stan spoczynku. Robię coś wręcz przeciwnego: wsiadam do samolotu i lecę do Australii, by zagrać w Wielkim Szlemie. Australian Open 1996 zaczyna się za kilka dni, a ja jestem mistrzem broniącym tytułu. Nie jestem do tego przygotowany psychicznie. Wyglądam jak szaleniec. Mam przekrwione oczy i wychudłą twarz. Stewardesa powinna mnie wykopać z samolotu, niemal sam uciekam. Po kilku minutach, odkąd usiedliśmy z Bradem w fotelach, mam ochotę rzucić się do ucieczki. Brad, widząc moją minę, chwyta mnie za ramię.

Daj spokój, mówi. Odpręż się. Nigdy nie wiadomo. Może zdarzy się coś dobrego.

Łykam pigułkę na sen, zapijając wódką, i kiedy ponownie otwieram oczy, samolot ustawia się przy terminalu w Melbourne. Brad wiezie nas do hotelu – The Como. Odnoszę wrażenie, że tkwię we mgle tak gęstej jak budyń. Boy hotelowy prowadzi mnie do pokoju, w którym ustawiono fortepian, a pośrodku pną się do góry spiralne schody z błyszczącymi, drewnianymi stopniami. Uderzam od niechcienia w kilka klawiszy, po czym wlokę się na górę do sypialni. Przewracam się do tyłu. Kolanem zahaczam

o metalową balustradę i poważnie się ranię. Lecę w dół po schodach. Krew plami wszystko wokół.

Dzwonię do Gila. Jest u mnie w dwie minuty. Stwierdza, że to rzepka. Paskudna rana, dodaje. I siniak. Bandażuje mnie i kładzie na kanapie. Rankiem zamyka mnie w pokoju. Nie pozwala mi iść na trening. Musimy uważać z rzepką. To będzie cud, jeśli nie otworzy się podczas siedmiu meczów, martwi się.

Wyraźnie kulejąc, gram mecz pierwszej rundy z bandażem na kolanie i zaćmą w oczach. Kibice, komentatorzy i dziennikarze widzą wyraźnie, że nie jestem tym samym zawodnikiem, który zjawił się tu rok temu. Opuuszczam pierwszy set i od razu zostaję dwukrotnie przełamany w drugim. Będę pierwszym obrońcą tytułu od czasów Roscoe Tannera, który przetrząnął w pierwszej rundzie Wielkiego Szlema.

Gram z nieznanym zupełnie Gastónem Etlisem z Argentyny. On nawet nie wygląda jak tenisista. Raczej jak nauczyciel na zastępstwie. Widzę tylko kręgi potu na koszulce i złowieszczy, popołudniowy zarost. Zazwyczaj gra w deblach, ale pojawił się tutaj, bo jakimś cudem się zakwalifikował. Wydaje się kompletnie tym zaskoczony. Normalnie pokonałbym takiego faceta jednym twardym spojrzeniem jeszcze w szatni, ale wygrał pierwszy set i prowadzi w drugim. Wygląda, jakby miał czterdziestokilogramową ropuchę w gardle. Mam nadzieję, że starczy mu ikry, by mnie wykluczyć, wykończyć, bo dobrze mi zrobi, jeśli przegram na początku i zwinę manatki.

Jednak Etlis zacina się, tężeje, podejmuje absurdalnie złe decyzje na korcie.

Zaczynam odczuwać osłabienie. Rano ogoliłem głowę na zero, do gołej skóry, bo chciałem siebie ukarać. Dlaczego? Ponieważ wciąż siedzi we mnie to, że spieprzyłem występ Brooke w *Przyjaciołach*, bo rozwaliłem swoje trofea, bo zjawiłem się na szlemie bez przygotowania – i dlatego, że przetrząnąłem z Pete’em w pieprzonym US Open. Nie można oszukać faceta w lustrze, mówi zawsze Gil, więc teraz wystawiam temu facetowi rachunek. Przybieram przydomek na trasie – the Punisher – ponieważ ganiam przeciwników po korcie w tę i we w tę. Teraz skupiam się na ukaraniu mojego najbardziej krnąbrnego przeciwnika – siebie, wystawiając jego głowę na żar lejący się z nieba.

Udało się w stu procentach. Australijskie słońce pali żywym ogniem. Łajam się w myślach, po czym sobie wybaczam, wciskam przycisk

resetowania i udaje mi się wyjść z twarzą z drugiego seta. Potem wygrywam tie-break.

Pod czaszką mam kotłowaną myśl. Cóż innego mogę zrobić ze swoim życiem? Czy powinienem zerwać z Brooke? Czy powinienem ją poślubić? Przegrywam trzeci set. Znow Etlis nie potrafi wykorzystać okazji. Wygrywam czwarty w kolejnym tie-breaku. W piątym secie Etlis męczy się, daje za wygraną. Nie odczuwam ani dumy, ani ulgi. Jestem zażenowany. Moja głowa wygląda jak jeden wielki pęcherz. Zrób mu bąbla na mózgu.

Później dziennikarze pytają, czy przejmuję się poparzeniem słonecznym. Śmieję się. Naprawdę, odpowiadam, poparzenie to najmniejsza z moich trosk. Chce mi się dodać: Mentalnie już jestem przysmażony. Ale nie wypowiadam tego na głos.

W ćwierćfinale gram z Courierem. Pokonał mnie sześć razy z rzędu. Toczyliśmy straszliwe boje na kortach i łamach gazet. Gdy wygrał ze mną w 1989 roku na French Open, narzekał, że to ja skupiam na sobie uwagę wszystkich. Powiedział, że czuje się, jakby zawsze grał drugie skrzypce.

To zdaje się problem z brakiem pewności siebie, mówię dziennikarzom.

Na co Courier odpala: Mnie brak pewności siebie?

Ma też uraz z powodu moich ciągłych zmian wyglądu i nastawienia psychicznego. Zapytany, co myśli o nowym Agassim, powiedział kiedyś: Macie na myśli nowego Agassiego czy nowego nowego Agassiego? Od tamtej pory jakoś załagodiliśmy nasze napięte stosunki. Powiedziałem Courierowi, życząc mu powodzenia, że uważam go za przyjaciela, a on odwzajemnił mi się tym samym. Mimo to wciąż jest między nami jakieś napięcie i zawsze może tak być, przynajmniej do czasu rezygnacji ze sportu przez jednego z nas, ponieważ ta rywalizacja ciągnie się od czasów dojrzewania, od Nicka.

Mecz zaczyna się późno, bo przeciągnął się ćwierćfinał pań. Stajemy na korcie niemal o północy i gramy dziewięć gemów, wygrywając swoje podania. A więc tak to będzie. Nagle zaczyna padać deszcz. Organizatorzy zamknęliby dach, ale to zajęłoby czterdzieści minut. Pytają, czy nie możemy wrócić do gry jutro. Obydwaj na to przystajemy.

Sen pomaga. Budzę się rześki i nie mogę się doczekać, by pokonać Couriera. Jednak po drugiej stronie kortu nie zastaję Couriera – stoi tam jego wyblakła kopia. Chociaż prowadzi w dwóch setach, wygląda na spiętego, wypalonego. Rozpoznaję ten wygląd. Widziałem go wielokrotnie

w lustrze. Ruszam do natarcia. Wygrywam z Courierem po raz pierwszy od lat.

Kiedy dziennikarze pytają o jego grę, mówię: On chciałby być zupełnie gdzie indziej.

Pragnę dodać: Widzi się to bardzo często.

Wygrana pomaga mi odzyskać pierwszą pozycję w rankingu. Ponownie zdetronizowałem Pete'a, ale jest to jedynie kolejne przypomnienie momentów, w których nie mogłem, nie udało mi się go pokonać.

W półfinale gram z Changiem. Wiem, że mogę wygrać, ale zdaję też sobie sprawę, że przegram. W rzeczywistości chcę tej przegranej, muszę przegrać, bo w finale czeka na mnie Becker. Nie dam rady. Mając do wyboru Beckera i Changa, wolę już przegrać z Changiem. Poza tym pod względem psychologicznym porażka w półfinale jest zawsze łagodniejsza niż później.

No i przegrywam. Gratulacje, Chang. Mam nadzieję, że twój Mesjasz będzie zachwycony.

Niełatwo jest celowo przegrywać. Niemal trudniej, niż wygrywać. Należy poddać się w taki sposób, żeby publiczność się nie zorientowała, tak, że sam nie jesteś w stanie zwietrzyć oszustwa – ponieważ oczywiście celowa przegrana leży w podświadomości. Nie jest się tego nawet w połowie świadomym. Umysł knuje, ale ciało walczy dalej. To pamięć mięśniowa. To nawet nie umysł dąży do celowej przegranej, ale jego fragment, grupa rozłamowa szarych komórek. Celowo złe decyzje podejmowane są w mrocznych zakamarkach, głęboko pod powierzchnią. Nie wykonujesz tych drobnych czynności, które powinieneś wykonać. Nie dobiegasz tych dwóch kroków, nie rzucasz się do piłki. Zwalniasz i brakuje ci dosłownie kilku centymetrów. Wahasz się, czy się pochylić, czy wryć się w kort. Opierasz wszystko na ramionach, jakby zapominając o nogach i biodrach. Popełniasz nierozważny błąd, nadrabiając go efektownym strzałem, a później robisz dwa kolejne błędy i wolno, lecz pewnie usuwasz się w cień. Nigdy nie pojawia się myśl – zaraz zagram tę piłkę w siatkę. To bardziej skomplikowany, bardziej podstępny proces.

Na konferencji po meczu Brad informuje dziennikarzy: Dzisiaj Andre natrafił na ścianę.

To prawda, myślę. Szczera prawda. Ale nie mówię Bradowi, że codziennie trafiam na tę ścianę. To by mu złamało serce, gdybym mu powiedział, że dzisiejsza ściana wyglądała całkiem niegroźnie, że ją wręcz

ucałowałem, że cieszę się z przegranej, że wolę siedzieć w samolocie do Los Angeles, zamiast szykować się do kolejnego starcia z naszym starym przyjacielem B.B. Sokratesem. Wolałbym być gdziekolwiek indziej – nawet w Hollywood. Ponieważ przegrałem, uda mi się wrócić do domu na czas, żeby pooglądać transmisję Super Bowl, po której nastąpi emisja specjalnego, godzinnego odcinka *Przyjaciół* z udziałem Brooke Shields.





Perry zadrecza mnie codziennie, pytając, co jest nie tak, o co chodzi. Nie mogę mu powiedzieć. Sam nie wiem. A precyzując, nie chcę wiedzieć. Nie chcę przyznać się ani Perry'emu, ani sobie, że przegrana z Pete'em ma takie przedłużone działanie. Ponad wszystko nie mam ochoty odbywać nasiadówek z Perrym, podczas których będziemy rozbierać na czynniki pierwsze meandry mojej podświadomości. Dałem za wygraną i nie próbuję już siebie rozgryźć. Nie interesuje mnie autoanaliza. Po długiej przegranej walce z samym sobą, poddaję tyły.

Lecę do San Jose i zostaję zmieciony przez Pete'a. Zupełnie wbrew zaleceniom lekarzy. Kilkakrotnie podczas meczu tracę panowanie nad sobą, klnę w żywy kamień na raketę, wydzieram się na siebie. Pete wygląda na rozbawionego tą sytuacją. Sędzia nakłada na mnie karę za przekleństwa.

Och, podoba ci się? No to masz.

Serwuję Panu Bogu w okno.

Jadę do Indian Wells, przegrywam z Changiem w ćwierćfinale. Nie jestem w stanie zjawić się na konferencji po meczu. Wymykam się, za co słono płacę. Lecę do Monte Carlo. Przegrywam z Albertem Costą z Hiszpanii w pięćdziesiąt cztery minuty. Kiedy schodzę z kortu, słyszę gwizdy. Równie dobrze sam mógłbym siebie wygwizdać. Mam ochotę wrzasnąć do publiczności: Jestem tego samego zdania!

Gil pyta mnie: O co chodzi?

Walę mu prosto z mostu. Ponieważ przegrałem z Pete'em na US Open, straciłem wolę walki.

No to nie rób tego, stwierdza Gil. Musimy wiedzieć, co robimy.

Chcę zrezygnować, mówię, ale nie wiem, jak – ani kiedy.

Na French Open 1996 rozklejam się. Krzyczę na siebie przez cały mecz w pierwszej rundzie. Dostaję oficjalne ostrzeżenie. Krzyczę jeszcze głośniej. Dostaję karę – punkt w plecy. Jestem o jednego okurwiałego sukinsyna od wylania z turnieju. Zaczyna padać deszcz, podczas przerwy siedzę w szatni i patrzę prosto przed siebie jak zahipnotyzowany. Kiedy gra zostaje wznowiona, przetrzymuję mego przeciwnika Jacobo Diaza, którego w ogóle nie widzę. Jest rozmazaną, wodnistą plamą niczym kałuże wzdłuż bocznych linii kortu.

Pokonanie Diaza jedynie odroczyło to, co było nieuniknione. W kolejnej rundzie przegrywam z Chrisem Woodruffem z Tennessee. Zawsze przypominał mi piosenkarza country i gra tak, że widać wyraźnie, iż wolałby brać udział w rodeo. Jest jeszcze bardziej nieporadny na kortach ziemnych i nadrabia to agresywnością, szczególnie z bekhendu. Nie potrafię sprostać tej agresji. Robię sześćdziesiąt trzy niewymuszone błędy. Reaguje z nieposkromioną radością i patrząc na niego, nie zazdrozczę mu wygranej, ale jego entuzjazmu.

Dziennikarze sportowi oskarżają mnie o podkładanie się, że niby nie atakowałem wszystkich piłek. Nigdy tego nie rozumieją. Kiedy się podkładam, uważają, że nie jestem wystarczająco dobry, kiedy nie jestem wystarczająco dobry, mówią, że się podkładam. Już miałem na końcu języka, że się nie podkładałem, a tylko dręczyłem za to, że nie jestem wystarczająco dobry. Za każdym razem, gdy wiem, że nie zasługuję na wygraną, że jestem jej niegodny, torturuję się sam. Można to wyraźnie zobaczyć.

Nie mówię nic. Ponownie opuszczam stadion, nie uczestnicząc w obowiązkowej konferencji prasowej. Ponownie z dziką rozkoszą płacę za to grzywnę. To dobrze zainwestowane pieniądze.

Brooke zabiera mnie do lokalu na Manhattanie, gdzie pierwsza sala jest mniejsza niż wnętrze budki telefonicznej, ale jadalnia utrzymana w musztardowym kolorze jest przestronna i ciepła. Campagnola – podoba mi się, jak wymawia tę nazwę, podoba mi się zapach we wnętrzu i podoba

mi się też, że panuje tu niewymuszona atmosfera, jakby człowiek po prostu wszedł tu z ulicy. Bardzo podoba mi się zdjęcie Sinatry z autografem wiszące obok szatni.

To moje ulubione miejsce w Nowym Jorku, mówi Brooke, więc tym samym staje się moim ulubionym. Siadamy w rogu, zamawiamy lekki posiłek w czasowej smudze cienia między gorączką lunchu i obiadu. Zwykle nie podają jedzenia o tej porze, ale kierownik dla nas zrobi wyjątek.

Campagnola bardzo szybko zmienia się w aneks naszej kuchni, a następnie naszego całego związku. Brooke i ja chodzimy tam, by przypomnieć sobie, dlaczego jest nam dobrze razem. Bywamy tam ze specjalnych okazji i by monotonne dni w środku tygodnia sprawiały wrażenie specjalnych okazji. Jesteśmy tam tak częstymi gośćmi, a po każdym meczu na US Open zjawiamy się tam niemal odruchowo, że kucharze i kelnerzy zaczynają ustawiać sobie zmiany, opierając się na naszej obecności. W piątym secie czasami myślę o paczce w Campagnoli, wiedząc, że patrzą cały czas w telewizor i przygotowują mozzarellę, pomidory i prosciutto. Wiem, kiedy odbijam piłkę o ziemię tuż przed serwisem, że wkrótce zajmę stolik w rogu sali i zacznę pochłaniać krewetki smażone na maśle z sosem z białego wina i cytryny oraz tak słodkie i miękkie ravioli na osobnym talerzu, że mogą uchodzić za deser. Mam świadomość, że gdy tylko przekroczymy progi restauracji, bez względu na to, czy wygrałem, czy przegrałem, w całym lokalu rozlegnie się burza oklasków.

Frankie, szef Campagnoli, zawsze ma strój jak spod igły, tak jak Gil. Włoski garnitur, kwiecisty krawat, jedwabną chusteczkę. Zawsze wita nas szerokim uśmiechem oraz porcją świeżych dykteryjek. Jest moim drugim tatą, mówi Brooke, kiedy nas sobie przedstawia, i są to słowa magiczne. Zastępczy ojciec jest dla mnie tematem, do którego podchodzę z najwyższym szacunkiem, więc od razu nabieram do Frankiego sympatii. Stawia nam butelkę czerwonego wina, opowiada o gwiazdach, kanciarzach, bankierach i mafiosach pojawiających się w jego lokalu, aż policzki Brooke różowieją od śmiechu i teraz już go lubię naprawdę szczerze.

John Gotti? Chcecie posłuchać o Johnie Gottim?, pyta Frankie. Zawsze siada o tam, w rogu, twarzą do sali. Woli być przygotowany, gdyby ktoś go chciał załatwić.

Ja reaguję tak samo, mówię.

Frankie śmieje się posępnie, po czym kiwa głową. Wiem, dobrze wiem!

Jest szczery, pracowity, uczciwy, taki, jak lubię. Szukam jego uśmiechniętej twarzy zaraz po przekroczeniu progu. Czuję się lepiej, moje urazy i lęki rozplývają się, kiedy Frankie wznosi ramiona do góry i zagarnia nas, by zaprowadzić do naszego stolika. Czasami wyrzuca stamtąd innych klientów, a my udajemy, że nie widzimy ich groźnych min i nie słyszymy narzekania.

Główną zaletą Frankiego według mnie jest sposób, w jaki opowiada o swoich dzieciach. Kocha je, chwali się nimi, w jednej chwili wyciąga ich fotografie. Ale najwyraźniej martwi się ich przyszłością. Pewnego wieczoru, pocierając dłonią po zmęczonej twarzy, zwierza się, że jego dzieci są dopiero w podstawówce, a on już przejmuje się ich studiami. Złorzeczy na rosnące koszty edukacji. Nie ma pojęcia, jak na nią zarobić.

Kilka dni później rozmawiam z Perrym i proszę go, żeby odłożył część honorarium od Nike i zapisał ją Frankiemu. Kiedy wraz z Brooke zjawiamy się kolejny raz w Campagnoli, mówię o tym Frankiemu. Funduszy nie można ruszyć przez dziesięć lat, wyjaśniam, ale wtedy będą warte wystarczająco dużo, by zmniejszyć obciążenie finansowe związane ze studiami.

Frankiemu drży dolna warga. Andre, nie wierzę, że to dla mnie robisz.

Na jego twarzy widać całkowite zaskoczenie. Nie rozumiem znaczenia i wagi edukacji, trudności i stresu, jaki wywołuje to u większości rodziców i dzieci. Nigdy nie myślałem o wykształceniu w tym kontekście. Szkoła była miejscem, z którego udało mi się uciec, i nigdy nie marzyłem, żeby tam wrócić. Ustanowiłem ten fundusz tylko dlatego, że Frankie powiedział o college'u i chciałem mu po prostu pomóc. Kiedy jednak zobaczyłem, ile to dla niego znaczy, sam dowiedziałem się czegoś nowego.

Pomoc Frankiemu daje mi wiele satysfakcji i sprawia, bardziej niż cokolwiek innego, co wydarzyło się w 1996 roku, że czuję się żywą częścią społeczeństwa, czuję się sobą. Mówię do siebie: Zapamiętaj to. Trzymaj się tego. To jedyna doskonałość, perfekcja polegająca na pomaganiu innym. Jest to jedyna rzecz, która ma trwałą wartość i znaczenie. Dlatego żyjemy. Aby inni czuli się z nami bezpieczni.

Pod koniec 1996 roku bezpieczeństwo staje się szczególnie ważne. Brooke regularnie dostaje listy od natrętów, którzy jej grożą – i czasami mnie też – śmiercią oraz innymi niewyobrażalnie strasznymi rzeczami. Są to listy pełne szczegółów, paskudne i chore. Przekazujemy je FBI. Prosimy też Gila, by współpracował z agentami, a także monitorował postęp ich

prac. Kilkakrotnie, kiedy można wytropić nadawcę listu, Gil zmienia się w potwora. Wsiada do samolotu i składa natrętowi wizytę. Zwykle pojawia się wcześniej rano, tuż po świcie w domu lub w pracy prześladowcy. Pokazuje mu list i zwraca się do niego bardzo łagodnym tonem: Wiem, kim jesteś oraz gdzie mieszkasz. A teraz dobrze mi się przyjrzyj, bo jeśli będziesz jeszcze nękał Brooke czy Andre, to spotkamy się znowu, ale to ci się nie spodoba, bo wtedy dopiero się zaczniesz.

Autorów najstraszliwszych listów nie można wyśledzić. Kiedy przekraczają poziom makabry, kiedy grożą, że coś się wydarzy w konkretny dzień, Gil stoi na straży domu Brooke, kiedy śpimy. Mówiąc stoi, mam na myśli to, że naprawdę to robi. Na ganku. Z założonymi rękami. Staje na czatach, patrzy w lewo, potem w prawo i tak całą noc.

Noc po nocy.

Napięcie, nikczemność ludzka niezwykle przytłacza Gila. Stale się zamartwia, że nie wykonuje w pełni swych obowiązków, że może coś mu umknęło, że przyśnie albo spojrzy w złym kierunku i ktoś przemknie się koło niego niezauważony. Zaczyna mieć na tym tle obsesję. Wpada niemal w skrajną depresję z tego powodu, a ja wraz z nim, bo to ja jestem jej przyczyną. Ja to ściągnąłem na Gila. Mam głębokie wyrzuty sumienia i zadrecza mnie poczucie nieuchronności nadciągającego losu.

Staram się to sobie wytłumaczyć. Mówię, że nie można być nieszczęśliwym z pieniędzmi w banku i własnym samolotem. Ale nic na to nie poradzę, czuję apatię, beznadziejne uwięzienie w życiu, którego sam nie wybrałem, prześladowany przez ludzi, których nigdy nie widziałem na oczy. I nie mogę dyskutować na ten temat z Brooke, bo nie potrafię przyznać się do takiej słabości. Depresja po przegranej to jedno, ale bez konkretnej przyczyny, ogólna depresja życiowa to już zupełnie inna sprawa. Nie mogę się tak czuć. Odrzucam myśl o tym, że mnie to dotyczy.

Nawet gdybym chciał o tym porozmawiać z Brooke, to ostatnio komunikacja między nami nie przebiega najlepiej. Nie nadajemy na tych samych falach. Rozmijamy się. Na przykład, kiedy chcę porozmawiać z nią na temat Frankiego, o satysfakcji, jaką sprawia mi pomaganie mu, zdaje się mnie nie słyszeć. Po początkowym entuzjazmie, kiedy nas ze sobą poznawała, teraz jej uczucia wobec niego się ochłodziły, stała się obojętna, jakby wcześniej odegrała swoją rolę, a teraz on musi już zejść ze sceny. Jest to wstępem do kolejnych precedensów, wzoru postępowania powtarzanego wobec miejsc i ludzi, których Brooke wprowadziła w moje życie. Muzea,

galerie, sławy, pisarze, seriale, przyjaciele – często jestem z nimi bardziej związany niż ona. Kiedy tylko coś zaczyna mi się podobać, kiedy mogę się czegoś nauczyć, ona to odrzuca.

To sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy jesteśmy dobrze dobraną parą. Chyba nie. A jednak nie stać mnie na krok w tył, nie mogę zasugerować, że powinniśmy z sobą zerwać, bo już zacząłem się dystansować od tenisa. Nie mając ani Brooke, ani tenisa, zostanę z niczym. Boję się próżni, ciemności. Trzymam się więc Brooke, a ona trzyma się mnie i chociaż to trzymanie wydaje się przepełnione uczuciem, bardziej przypomina to z obrazu w Luwrze. Kurczowe trzymanie się życia.

Kiedy zbliża się nasza druga rocznica, postanawiam, że powinniśmy sformalizować to trzymanie się siebie. Dwa lata to niezwykle wyczyn w moim życiu uczuciowym. W każdym poprzednim związku dwa lata stanowiły moment przełomowy – i zawsze wybierałem przełom ostateczny. W ciągu wszystkich moich dwuletnich związków zaczynałem coraz bardziej się męczyć ze swoją dziewczyną albo też ona miała już tego dość, jakbym miał w sercu jakiś licznik. Byłem dwa lata z Wendi, gdy oświadczyła, że nasz związek jest otwarty, co było zapowiedzią końca. Przed Wendi spotykałem się z dziewczyną z Memphis przez dokładnie dwa lata, po czym wzięłem nogi za pas. Dlaczego mój miłosny cykl opiera się na dwuletniej cezurze, tego nie wiem. Nawet nie byłem świadomy tej prawidłowości, dopóki Perry nie zwrócił na to mojej uwagi.

Bez względu na powody, postanowiłem to zmienić. W wieku dwudziestu sześciu lat uważam, że muszę przerwać ten zaklęty krąg albo w wieku trzydziestu sześciu lat będę rozpamiętywał dwuletnie romanse zakończone porażką. Jeśli mam założyć rodzinę i być szczęśliwy, muszę zdjąć tę klątwę, co oznacza przełamanie dwuletniej cezury i zmuszenie się do złożenia poważnej deklaracji.

Oczywiście, mówiąc precyzyjnie, nie spędziłem dwóch lat z Brooke. Przy naszych napiętych kalendarzach wypełnionych tenisem i aktorstwem byliśmy z sobą tak naprawdę ledwo kilka miesięcy. Wciąż się poznajemy, wciąż się uczymy. Moje drugie ja wie, że nie powinienem się zmuszać do takiego kroku. Po części też nie chcę się jeszcze żenić. Ale kogo obchodzi to, czego ja chcę? Od kiedy to, czego chcę, jest dobrym wyznacznikiem tego, co powinienem zrobić? Jak często biorę udział w turnieju, chcę grać i przegrywam na samym początku? Jak często niechętnie przystępuję do turnieju w podłym nastroju i wygrywam? Może w małżeństwie –

ostatecznej piłce meczowej, w ostatecznym turnieju eliminacyjnym – jest tak samo?

Poza tym wszyscy wokół mnie się żenią. Philly, J.P., Perry. Philly i J.P. nawet poznali razem swoje przyszłe żony, jednego wieczoru. Po Lecie Zemsty nastąpiła Zima Ślubów.

Proszę Perry'ego o radę. Godzinami rozmawiamy o tym w Vegas i przez telefon. On skłania się ku małżeństwu. Brooke to ta jedyna, zapewnia. Niby jak miałbyś lepiej trafić niż na wykształconą w Princeton supermodelkę? W końcu, czy nie fantazjowaliśmy na jej temat lata temu? Czy nie przewidziałem, że wreszcie się pojawi w twoim życiu? I proszę, jest – czyste przeznaczenie. W czym problem? Przypomina mi *Cienistą dolinę*. C.S. Lewis nie żyje pełnią życia, nie dorasta, dopóki nie otworzył się na miłość. Dorastamy dzięki miłości, jak mówią w filmie. I tak jak Lewis przypomina swoim studentom: *Bóg chce, żebyśmy dorośli*.

Perry zna doskonałego jubлера w Los Angeles. U tego samego jubлера kupował pierścionek, kiedy sam się zaręczał. Odłóż *ad acta* kwestię oświadczać się czy nie, radzi, i przez chwilę skup się na pierścionku.

Wiem, jaki pierścionek chce dostać Brooke – okrągły, o szlifie Tiffany'ego – powiedziała mi to. Prosto z mostu. Nie ma wahań przed dzieleniem się swoim zdaniem na temat biżuterii, ubrań, samochodów, butów. Wręcz przeciwnie, najżarliwsze dyskusje, jakie toczymy, dotyczą przedmiotów. Kiedyś rozmawialiśmy na temat naszych marzeń, naszego dzieciństwa, uczuć. Teraz gorączkowo rozprawiamy o najlepszych sofach, najlepszych sprzętach stereo, najlepszych cheesburgerach i o ile uważam te rozmowy za interesujące, ponieważ dotyczą ważnego aspektu w sztuce życia, obawiam się, że Brooke i ja przykładamy do tego zbyt dużą wagę.

Zbieram się w sobie, dzwonię do pani jubiler i informuję ją, że jestem potencjalnym nabywcą pierścionka zaręczynowego. Słowa brzmią skrzekliwie. Czuję, jak wali mi serce. Pytam siebie: Czy nie powinna to być najbardziej radosna chwila w życiu – jeden z najwspanialszych momentów? Zanim jestem w stanie sobie odpowiedzieć, pani jubiler zasypuje mnie swoimi pytaniami. Jaki rozmiar? Ile karatów? Jaka barwa? Jaka czystość? Wciąż mówi o tej czystości, pyta mnie o czystość.

Myślę: Droga pani, zadaje pani pytanie o czystość nie tej osobie, co trzeba.

Mówię: Wiem tylko, że ma być okrągły, o szlifie Tiffany'ego.

Na kiedy pan go potrzebuje?

No nie wiem. Za jakiś czas?

Zrobi się. Myślę, że mam coś właśnie w tym stylu.

Kilka dni później kurier przynosi pierścionek. Znajduje się w dużym pudełku. Chodzę z pierścionkiem w kieszeni przez dwa tygodnie. Pudełko ciąży niczym ołów i jest niebezpieczne, tak jak ja.

Brooke wyjechała i kręci film. Co wieczór rozmawiamy przez telefon i czasami jedną ręką trzymam słuchawkę, a drugą bawię się pierścionkiem. Jest w górach Karoliny, gdzie panuje przeraźliwy chłód, ale w scenariuszu stoi, że pogoda jest łagodna, więc reżyser zmusza ją i innych aktorów, by ssali kostki lodu. Dzięki temu nie chuchają do kamery.

Lepsze to niż oblizywanie dłoni.

Powtarza przez telefon kilka swoich kwestii i śmiejemy się, bo brzmią bardzo sztucznie. Jak cytaty.

Po skończonej rozmowie ruszam na przejażdżkę z podkreślonym ogrzewaniem, a światła Stripu skrzą się jak diamenty. Powtarzam w myślach naszą rozmowę i nie widzę różnicy między naszą wymianą zdań a tym, co cytowała mi ze scenariusza. Wyciągam pudełko z kieszeni kurtki i otwieram je. W kamieniu odbijają się okruchy światła. Kładę je na desce rozdzielczej.

Czystość.

Kiedy Brooke kończy zdjęcia, ja finalizuję żalną serię meczów, o której komentatorzy sportowi mówią otwarcie, czasami z radością, że to mój koniec. Trzy szlemy, stwierdzają. To o wiele więcej, niż prognozowaliśmy, że wygra. Brooke sugeruje, że powinniśmy wyjechać. Gdzieś bardzo daleko. Tym razem wybieramy Hawaje. Pakuję pudełko z pierścionkiem.

Żołądek mi się wywraca, kiedy samolot zaczyna kołować w stronę wulkanów. Spoglądam na palmy, na spienione fale, plażę, zatopione we mgle lasy deszczowe i myślę: kolejna rajska wyspa. Dlaczego zawsze ciągnie nas na rajskie wyspy? Jakbyśmy cierpieli na syndrom błękitnej laguny. Wyobrażam sobie, że silnik samolotu zaczyna się krtusić i maszyna pędzi spiralnie w dół w rozwartą paszczę wulkanu. Ku memu rozczarowaniu lądujemy bezpiecznie.

Wynająłem bungalow w kurorcie Mauna Lani. Dwie sypialnie, kuchnia, jadalnia, basen i kucharz na pełnym etacie. Do tego długa biała plaża wyłącznie dla nas.



Pierwsze parę dni spędzamy, snując się po domu i odpoczywając przy basenie. Brooke jest pochłonięta książką, w której radzą, jak być samotną, ale szczęśliwą trzydziestoletnią osobą. Przystawia książkę do twarzy, oblizuje palec i głośno przewraca kartki. Nie przychodzi mi do głowy, że to może coś oznaczać. W ogóle nic mi nie przychodzi do głowy oprócz oświadczeń.

Andre, jesteś jakiś rozkojarzony.

Nie. Jestem tutaj.

Wszystko w porządku?

Proszę, daj mi spokój, myślę, staram się zdecydować, kiedy i gdzie mam ci się oświadczyć.

Jestem niczym morderca, który knuje, stale dopasowując czas i miejsce. Tylko że nim kieruje jakiś motyw.

Trzeciego wieczoru, choć planowaliśmy zjeść kolację w bungalowie, proponuję, żebyśmy się przebrali jak na specjalną okazję. Wspaniały pomysł, zgadza się Brooke. Godzinę później wyłania się z sypialni w powłóczystej białej sukni do kostek. Ja założyłem płócienną koszulę i beżowe spodnie, co było kiepskim pomysłem, bo spodnie mają płytkie kieszenie, do których nie chce zmieścić się pudełko z pierścieniem. Zakrywam dłonią kieszeń, by ukryć wybrzuszenie.

Rozciągam się, jakbym zaraz miał zagrać mecz. Rozluźniam mięśnie nóg, a następnie proponuję przechadzkę. Dobrze, zgadza się Brooke, doskonały pomysł. Bierze łyk wina i uśmiecha się od niechcienia, nie wiedząc, co się święci. Spacerujemy przez dziesięć minut, aż dochodzimy do tej części plaży, na której nie widać ani śladu cywilizacji. Wyciągam szyję, żeby sprawdzić, czy nikt się nie pojawi. Nie ma turystów. Nie ma paparazzi. Przedpole czyste. Przypomina mi się kwestia z *Top Gun*. Miałem okazję, nie było niebezpieczeństwa, więc zaryzykowałem.

Zostaję o kilka kroków za Brooke i przyklękam na jedno kolano na piasku. Odwraca się, spogląda na mnie i z jej twarzy odpływają wszystkie kolory, co stanowi przeciwieństwo do coraz wyrazistszych barw zachodzącego słońca.

Brooke Christo Shields?

Przystawia dłoń do czoła. Czekaj. Co się...? Czy ty...? Poczekaj. Nie jestem gotowa.

Czyli jest nas dwoje nieprzygotowanych.

Ociera łyzy, a ja wyciągam pudełko z kieszeni, otwieram je zamazyście i wyciągam pierścionek, po czym wsuwam go jej na palec.

– Brooke Christo Shields? Czy zechcesz...

Podnosi mnie z klęczek. Całuję ją, myśląc: Szkoda, że sobie tego nie przemyślałem. Czy to jest ta osoba, z którą Andre Kirk Agassi ma spędzić kolejne dziewięćdziesiąt lat życia?

Tak, mówi. Tak, tak, tak.

Zaczekaj, myślę. Poczekaj, proszę, poczekaj jeszcze.

Chce powtórki.

Dzień później dowiaduję się od niej, że na plaży była w takim szoku, że mnie nie słyszała. Chce, żebym powtórzył oświadczenia, słowo w słowo.

Chcę to usłyszeć jeszcze raz, upiera się, bo nie wierzy, że w ogóle to się zdarzyło.

Ja też nie.

Jeszcze przed wyjazdem z wyspy zaczyna planować ślub. A kiedy wracamy do Los Angeles, wznawiam nieplanowany, bezceremonialny koniec mojej tenisowej kariery. Jak zombie trafiam na jeden turniej po drugim. Przegrywam w pierwszej rundzie, tym samym wiele czasu spędzam w domu, co bardzo cieszy Brooke. Jestem spokojny, otepiały i mam mnóstwo czasu, by rozmawiać o tortach weselnych i zaproszeniach.

Lecimy do Anglii na Wimbledon 1996. Tuż przed rozpoczęciem turnieju Brooke nalega, byśmy pojawili się na podwieczorku w hotelu Dorchester. Błagam, że może jednak nie, ale ona jest nieugięta. Zostajemy otoczeni przez starsze pary, wszyscy noszą tweedy, muszki i wstęgi. Połowa z nich wygląda, jakby drzemała. Jemy podłużne kanapki z chleba z odciętą skórką, kopiałe półmiski z sałatką jajeczną i koreczki z dżemem oraz masłem – wszystkie potrawy, które zostały precyzyjnie wybrane, by blokować arterie bez konieczności angażowania w ten proces jakichkolwiek walorów smakowych. Robię się nerwowy od tego jedzenia, w ogóle cała sytuacja jest idiotyczna niczym podwieczorek w sierocińcu. Ale kiedy mam już zaproponować, żebyśmy poprosili o rachunek, zauważam, że Brooke jest w siódmym niebie. Wspaniale się bawi. Domaga się dokładki dżemu.

W pierwszej rundzie trafiam na Douga Flacha, który ma 281. numer w rankingu i zakwalifikował się tylko cudem, a jednak tego nie widać, gdy gra przeciwko mnie. Gra tak, jakby toczył pojedynek z Rodem Laverem, a ja gram niczym Ralph Nader. Jesteśmy na Cementarnym Korcie. Można by

pomyśleć, że powinienem mieć tu już plaketkę ze swoim nazwiskiem. Przegrywam tak szybko, jak tylko mogę, i wraz z Brooke pospiesznie lecimy do Los Angeles, by wdać się w głębokie dyskusje na temat koronek Battenburg i szyfonowych namiotów.

Zbliża się lato i tym samym jedno wyszukane widowisko, które mnie interesuje i pociąga. I nie jest to mój ślub. Chodzi o igrzyska olimpijskie w Atlancie. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że to coś nowego. Może dlatego, że czuję, iż nie mam z tym nic wspólnego. Będę grał w barwach mego kraju, grał dla drużyny składającej się z 300 milionów członków. Będę zamykał krąg. Mój ojciec był olimpijczykiem, a teraz zostanę nim ja.

Opracowuję plan treningowy z Gilem, reżim olimpijczyka i podczas naszych treningów daję z siebie wszystko. Co rano spędzam z Gilem dwie godziny, po czym odbijam z Bradem przez dwie kolejne, następnie w najgorętszej porze dnia wbiegam na Wzgórze Gila. Łaknę gorąca. Łaknę bólu.

Kiedy zaczynają się igrzyska, dziennikarze sportowi przejeżdżają się po mnie za opuszczenie ceremonii otwarcia. Perry też mnie za to opieprza. Tyle że nie przyjechałem do Atlanty na ceremonię, tylko po złoto i muszę trzymać w ryzach tę odrobinę koncentracji i energii, jakie udało mi się z siebie wykrzesać. Turniej tenisowy odbywa się w Stone Mountain, godzinę jazdy od centrum, gdzie zaplanowano wszystkie fety. Czy mam stać w gorącym, parnym powietrzu Georgii w marynarce i krawacie, czekać godzinami, by przejść się wokół stadionu, a potem jechać do Stone Mountain i dać z siebie wszystko? Nie. Nie mogę. Bardzo chętnie wziąłbym udział w uroczystościach, napawał się olimpijskim świętem, ale nie przed pierwszym meczem. Na tym muszę się skupić. To będzie świadczyło o zwycięstwie umiejętności nad wizerunkiem.

Po dobrze przespanej nocy w pierwszej rundzie pokonuję Jonasa Björkmana ze Szwecji. W drugiej przetaczam się przez Karola Kučerę ze Słowacji. W trzeciej rundzie czeka mnie trudniejszy sprawdzian w osobie Andrei Gaudenziego z Włoch. Prowadzi niezwykle siłowy tenis. Lubi mocne wymiany i jeśli zbyt się go szanuje, zmienia się w prawdziwego macho. Nie okazuję mu ani cienia szacunku, ale piłka nie szanuje mnie. Robię rozmaite niewymuszone błędy. Zanim się orientuję, jestem set do tyłu i zostaję przełamany. Patrzę na Brada. Co mam robić? Krzyczy: Przestań pudłować!

Aha, jasne. Mądra rada. Przystaję pudłować, nie staram się wygrywać każdej piłki i znów zaczynam wywierać nacisk na Gaudenziego. To naprawdę jest niezwykle proste i z satysfakcją wygrywam, choć może w nie najlepszym stylu.

W ćwierćfinale jestem o krok od wyeliminowania przez Ferreirę. W trzecim secie prowadzi 5–4 i serwuje piłkę meczową. Ale on nigdy wcześniej mnie nie pokonał, a ja dokładnie wiem, co dzieje się w jego organizmie. Przypominam sobie coś, co mówił mi ojciec: Jeśli wepchniesz mu w tyłek kawałek węgla, wyciągniesz diament. (Okragły, o szlifie Tiffany’ego). Wiem, że Ferreira mocno zwiera pośladki, co napawa mnie otuchą. Ruszam do natarcia, przełamuję go i wygrywam mecz.

W półfinale napotykam Leandera Paesa z Indii. Jest niczym latająca, podskakująca fasolka, naładowana energią kinetyczną kulka z najszybszymi dłońmi. Mimo to nigdy nie nauczył się odbijać piłki tenisowej. Zwalnia ją, stosuje slajsy i loby – taki Brad z Bombaju. Następnie, pomijając te wszystkie tanie sztuczki, podbiega do siatki i tak dobrze kryje, że wszystko mu uchodzi na sucho. Po godzinie człowiek ma wrażenie, że nie odebrał ani jednej prostej piłki – a jednak udaje mu się pokonać przeciwnika. Ponieważ ja jestem przygotowany na to, spokojny, pokonuję Paesa 7–6, 6–3.

W finale gram z Sergim Bruguerą ze Hiszpanii. Mecz opóźnia burza, a według prognozy pogody będziemy mogli wyjść na kort dopiero za pięć godzin. Dlatego też pożeram kanapkę z pikantnym kurczakiem u Wendy. Dobre jedzenie. W dniu meczu nie przejmuję się kaloriami ani wartościami odżywczymi. Martwi mnie jedynie brak energii i uczucie sytości. Ponadto z powodu moich nerwów rzadko bywam głodny przed meczem, więc kiedy tylko wraca mi apetyt, staram się z tego skorzystać. Daję żołądkowi to, czego pragnie. Jednak w momencie gdy pochłaniam ostatni kawałek, chmury się rozstępują, burza cichnie i wraca upał. Teraz mam pikantnego kurczaka w brzuchu, temperatura dochodzi do trzydziestu stopni, a powietrze robi się gęste niczym sos. Nie jestem w stanie się ruszyć – i ja mam walczyć o złoty medal? No to tyle w sprawie folgowania zachciankom – jest mi niezwykle ciężko na żołądku.

Ale co tam. Gil pyta, jak się czuję, a ja mu na to: Jak nowo narodzony. Będę gnał do każdej piłki, zmuszę tego faceta do biegania i jeśli myśli, że zabierze medal do Hiszpanii, to niech uważa.

Gil uśmiecha się od ucha do ucha. Zuch chłopak.

Jest to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy nie widzi strachu w moich oczach, gdy wchodzi na kort.

Od pierwszego serwisu walę w Bruguerę, ile wlezie, ganim go z jednego rogu na drugi, zmuszając do pokonywania przestrzeni wielkości Barcelony. Każdy punkt jest dla niego jak cios w brzuch. W połowie drugiego seta gramy długą i zawziętą wymianę. Zdobywa punkt i doprowadza do równowagi. Tak długo przygotowuje się do zdobycia kolejnego punktu, że według reguł powinienem zaprotestować u sędziego., a Bruguera powinien dostać ostrzeżenie. Wykorzystuję jednak tę chwilę, by podejść do chłopaka od podawania piłek, wziąć ręcznik i wyszeptać do Gila: No, co jest z tym naszym przyjacielem?

Gil uśmiecha się. Niemal wybucha śmiechem, ale Gil nigdy nie śmieje się podczas walki.

Mimo że Bruguera zdobywa punkt, Gil i ja widzimy, że ten będzie go kosztował następnych sześć gemów.

Gil krzyczy: Zuch chłopak!

Wspinając się na podium, myślę, jak to będzie. Tyle razy patrzyłem na ceremonię wręczania medali w telewizji, czy przebiegnie to tak, jak się spodziewam? A może jak przy wielu innych okazjach, będzie to jedno wielkie rozczarowanie?

Spoglądam w lewo i w prawo. Paes, brązowy medalista, stoi po jednej stronie. Bruguera, srebrny medalista, po drugiej. Mój stopień jest wyższy – jak rzadko kiedy jestem wyższy od przeciwników. Ale czuję się tak, jakbym miał ze trzy metry wzrostu – pod każdym względem. Jakiś człowiek zakłada mi złoty medal na szyję. Zaczynają grać hymn. Serce mi rośnie i nie ma to żadnego związku z tenisem ani ze mną, i tym samym przechodzi moje najśmielsze oczekiwania.

Spoglądam na tłumy i dostrzegam Gila, Brooke i Brada. Szukam wzrokiem mojego ojca, ale się gdzieś ukrywa. Dzień wcześniej, wieczorem powiedział, że udało mi się odzyskać coś, co jemu zabrano lata temu, a jednak nie chce się pokazać, nie chce psuć szczególnej atmosfery tej chwili. Nie rozumie, że ten moment jest szczególny właśnie dlatego, że nie należy do mnie.

Kilka dni później z powodów, których nie jestem w stanie pojąć, olimpijskie uniesienie znika. Jestem na korcie w Cincinnati i tracę rozum. Znów gram dla siebie i wymachuję rakieta w napadzie wściekłości. Jednak

zmierzam do wygrania tego turnieju, co wydaje się śmiechu warte i pogłębia jedynie moje przeświadczenie, że to wszystko żart.

Później, w sierpniu, na Mistrzostwach RCA w Indianapolis gram mecz w pierwszej rundzie z Danielem Nestorem, Serbem z Kanady. Mam dużą przewagę. Czuję się jednak przesadnie urażony tym, że przełamał mój serwis. Nie potrafię zapanować nad wybuchem gwałtownego gniewu. Spoglądam w niebo i mam ochotę odfrunąć gdzieś daleko. Ponieważ nie mogę odlecieć, mogę przynajmniej posłać w przestworza piłkę. Leć wolno, piłeczko. Walę w nią tak mocno, że wylatuje nad trybuny i znika za stadionem.

Przepisowe ostrzeżenie.

Sędzia Dana Locanto mówi do mikrofonu: Naruszenie zasad. Ostrzeżenie. Nieprzepisowe uderzenie piłki.

Pierdol się, Dana.

Wzywa do siebie sędziego głównego. Skarży się mu, że Agassi powiedział: Pierdol się, Dana.

Sędzia zbliża się do mnie i pyta: Powiedział pan tak?

Powiedziałem.

W takim razie jest po meczu.

Świetnie. Ty też się pierdol. I pierdolić sędziego, na którym jeździsz.

Publiczność wszczyna zamieszki. Nie rozumieją, co się dzieje, bo nie słyszeli, co powiedziałem. Wiedzą tylko, że zapłacili za mecz, który teraz zostaje przerwany. Buczą, ciskają poduszki z siedzeń i butelki z wodą na kort. Maskotką Mistrzostw RCA jest Spuds MacKenzie – pies, który teraz wchodzi na kort, uchylając się przed lecącymi poduszkami i butelkami z wodą. Dochodzi do połowy siatki, unosi tylną łapę i sika.

Jestem tego samego zdania, piesku.

Beztrósko zbiega z kortu. Jestem tuż za nim, pochylając głowę i ciągnąc za sobą swoją torbę tenisową. Tłum wrze tak jak tłuszcza z filmu o gladiatorach. Zarzucają kort śmieciami.

W szatni Brad pyta: Co do diabła...?

Zdyskwalifikowali mnie.

Dlaczego?

Tłumaczę mu.

Kręci głową.

Jego siedmioletni syn Zach płacze, bo ci niedobrzy ludzie są źli dla wujka Andre. I dlatego, że Spuds MacKenzie nasiusił na siatkę.

Wypraszam ich obu z szatni, po czym siedzę tam przez godzinę ze zwieszoną głową. No i proszę bardzo. Nowy dół. Świetnie. Dam sobie z tym radę. Nawet mi tutaj wygodnie. Mogę się tu umościć. Dno może być bardzo przytulne, ponieważ przynajmniej nie musisz się spinać. Wiesz, że przez jakiś czas nie ruszysz się z niego.

Mimo wszystko dno jest na dole. Jadę w 1996 roku na US Open i od razu jest jakiś dym. Chodzi o klasyfikację. Kilku moich kolegów skarży się, że traktuje się mnie specjalnie, że zostałem wywindowany w klasyfikacji przez organizatorów turnieju i CBS chce, żebyśmy się spotkali z Pete'em w finale. Muster twierdzi, że zachowuję się jak primadonna. Dlatego szczególną radość sprawia mi zlanie mu jego ufryzowanego dupska w ćwierćfinale, bo jestem wierny swej obietnicy, że nigdy więcej z nim nie przegram.

W półfinale spotykam Changa. Nie mogę się doczekać, kiedy mu złożę skórę po przegranej kilka miesięcy temu w Indian Wells. Nie powinienem mieć z tym problemu. Jest u kresu swej kariery, tak stwierdza Brad. Podobnie jak ja, jak twierdzą niektórzy. Tyle że ja mam złoty medal. Niemal żałuję, że nie mogę go założyć na mecz. Bombarduje mnie szesnastoma asami, wywija się z trzech break pointów, prowokuje mnie do popełnienia czterdziestu pięciu niewymuszonych błędów. Siedem lat po wygraniu swego ostatniego szlema, Chang jawi się jako wszechwładny, wszechpotężny. On jest wielki, a ja upadły.

Na drugi dzień rano gazety mnie masakrują. Dałem za wygraną. Podłożyłem się. Nie obchodziła mnie wygrana. Wydaje się, że są niemal na mnie źli. I wiem dlaczego. Z powodu mojej przegranej będą musieli jeszcze jeden dzień radzić sobie z Changiem.

Nie oglądam finału w telewizji, w którym Pete pokonuje Changa w trzech setach, ale czytam o tym. W każdym artykule dziennikarz stwierdza rzeczowo, że Pete jest najlepszym tenisistą swego pokolenia.

Wraz ze zbliżającym się końcem roku lecę do Monachium, gdzie gwizdy i buczenia są wręcz ogłuszające. Przegrywam z Markiem Woodforde'em, którego nie tak dawno, bo ledwo dwa lata temu pokonałem 6-0, 6-0. Brad wygląda, jakby miał dostać apopleksji. Błaga mnie, bym mu powiedział, co jest nie tak.

Nie wiem.

Powiedz mi, stary. Powiedz mi.

Powiedziałbym, gdybym wiedział.

Postanawiamy, że powinienem odpocząć, ominąć Australian Open.

Idź do domu, mówi. Odpocznij. Poświęć trochę czasu swojej narzeczonej. To cię wyleczy z tego, co cię gryzie.





Wraz z Brooke kupujemy dom w Pacific Palisades. Nie jest taki, jaki chciałem. Wyobrażałem sobie, że dom moich marzeń będzie wielkim, dość chaotycznie skonstruowanym wiejskim domem z rodzinnym pokojem tuż przy kuchni. Ale ona upodobała sobie ten, więc się wprowadzamy do osadzonej na brzegu klifu wielopiętrowej podróbki francuskiego domu na wsi. Nie ma w nim atmosfery i wydaje się sterylny do bólu, idealny dom dla bezdzietnej pary, która ma w planach spędzać sporo czasu w oddzielnych pokojach.

Agent sprzedaży nieruchomości gada jak najęty o widoku zapierającym dech w piersiach. W tle majaczy Sunset Boulevard. W nocy widzę Holiday Inn, w którym zatrzymałem się po naszej pierwszej randce. Wpatruję się w ten hotel i zastanawiam się, co by było, gdybym pojechał dalej, czy kiedykolwiek jeszcze zadzwoniłbym do Brooke. Stwierdzam, że widok z naszego nowego domu jest lepszy, kiedy mgła albo smog przesłaniają mi ten Holiday Inn.

Pod koniec 1996 roku wydajemy przyjęcie będące połączeniem parapetówki i imprezy noworocznej, zapraszając całą bandę z Vegas i przyjaciół Brooke z Hollywood. Rozmawiamy na temat bezpieczeństwa. Po nowej dawce zastraszających listów musimy chronić się przed intruzami, więc Gil przez większość wieczoru stoi na początku podjazdu,

bacznie przyglądając się przybyłym gościom. Zjawia się McEnroe i żartuję z nim, że udało mu się zmylić czujność Gila. Siedzi na tarasie i gada o tenisie, moim ostatnio najmniej ulubionym temacie, więc krążę wśród ludzi. Cała noc upływa mi na mieszanii margherit, obserwowaniu J.P., który klepie w swoje bębny stalowymi szczotkami w stylu Buddy'ego Richa, i siedzeniu przy kominku. Podsyacam ogień, dokładam drewna i wpatruję się w płomienie. Mówię sobie, że rok 1997 okaże się lepszy niż 1996. Przyrzekam sobie, że 1997 będzie moim rokiem.

Razem z Brooke uczestniczymy we wręczaniu Złotych Globów, kiedy dostaję telefon od Gila. Jego dwunastoletnia córka Kacey miała wypadek. Jeździła na sankach podczas organizowanej przez kościół wycieczki do Mt. Charleston, godzinę jazdy na północ od Vegas, i wpadła prosto w zamrzniętą zaspę. Ma pęknięte kręgi szyjne. Zostawiam Brooke i lecę do Vegas. Do szpitala wpadam w smokingu. Na korytarzu spotykam Gila i Gayer, którzy ledwo się trzymają. Ściskamy się, a oni mi mówią, że jest źle, bardzo źle. Kacey będzie musiała przejść operację. Lekarze twierdzą, że grozi jej paraliż.

Całymi dniami siedzimy w szpitalu, rozmawiamy z lekarzami, staramy się zapewnić Kacey najlepszą opiekę. Gil musi iść do domu i przespać się trochę. Ledwo stoi na nogach, ale nie chce się ruszyć, teraz będzie stał na straży swej córki. Wpadam na pomysł. Mam dużego, wypasionego minivana, którego kupiłem od ojca Perry'ego. Jest w nim antena satelitarna i rozkładane łóżko. Parkuję go przed szpitalem, przed głównym wejściem i instruuję Gila: A teraz, kiedy skończyła się pora odwiedzin, nie musisz wracać do domu, po prostu zejdiesz na dół i kimniesz się na kilka godzin w twoim nowym vanie. A ponieważ przed szpitalem jest parkometr, wypełniłem uchwyty na kubki ćwierćdolarówkami.

Gil patrzy na mnie dziwnie i uświadamiam sobie, że po raz pierwszy zamieniliśmy się rolami. Przez kilka dni to ja go wspieram i wzmacniam.

Kiedy tydzień później Kacey zostaje wypisana ze szpitala, lekarze uważają, że najgorsze już minęło. Operacja się udała, dziewczynka niedługo wyzdrowieje i stanie na nogi. Mimo to zamierzam jechać z nią do domu, zostać przez jakiś czas w Vegas, dopilnować jej powrotu do zdrowia.

Gil nawet nie chce o tym słyszeć. Wie, że mam turniej w San Jose.

Mówię mu, że wycofam się z turnieju.

Absolutnie nie, upiera się. Teraz pozostaje jedynie czekanie i modlitwa. Będę do ciebie dzwonił i informował na bieżąco. Jedź. Graj.

Nigdy nie pokłóciłem się z Gilem i nie mogę pozwolić, by teraz był ten pierwszy raz. Niechętnie wyruszam do San Jose i gram swój pierwszy od trzech miesięcy mecz. Występuję przeciw Markowi Knowlesowi, jednemu z moich dawnych kolegów z Akademii Bollettieriego. Po udanej karierze w deblu stara się dostać do grona singlistów. Jest wspaniałym sportowcem, ale nie powinienem mieć problemów z pokonaniem go. Znam tę grę lepiej niż on. A jednak przeciąga mnie aż do trzeciego seta. Choć wygrywam, nie jest to łatwe zwycięstwo, więc staje mi ością w gardle. Przedziera się przez turniej, pozornie kierując się wprost na Pete'a, ale w półfinale ulegam Gregowi Rusedskiemu z Kanady. Moje myśli biegną pospiesznie do Vegas, na wiele godzin przed tym, zanim zjawiam się tam osobiście.

W mojej kawalerskiej gawrze oglądam telewizję ze Slimem. Mam podły nastrój. Kacey nie wraca do sił, a lekarze nie wiedzą dlaczego. Gil jest na skraju załamania nerwowego. Tymczasem zbliża się mój ślub. Przez cały czas myślę, jakby go przesunąć albo w ogóle odwołać, ale nie wiem jak.

Slim też jest zestresowany. Ostatnio pękła mu prezerwatywa podczas intymnych chwil z dziewczyną, a teraz okres się jej opóźnia. Wstaje podczas reklamy i oznajmia, że pozostaje tylko jedno. Naćpać się.

Chcesz się ze mną naćpać?

Naćpać?

Jasne.

Czym?

Gackiem.

Co to, do diabła, jest gacek?

Krystaliczna amfa.

Dlaczego nazywają ją gacek?

Z powodu dźwięków, jakie wydajesz na haju. Myśli tak szybko ci pędzą, a ty tylko gadasz pi, pi, piiii.

Tak właśnie czuję się przez cały czas. Po co aż tak się spinać?

Bo czujesz się po tym jak Superman, stary. No mówię ci.

Słyszę słowa, które zdają się padać z czyichś obcych ust, jakby ktoś stojący tuż za mną mówił: A wiesz co? Pierdolić to. Jasne. Nawalimy się jak stodoła.

Slim wysypuje kupkę proszku na ławę. Robi działkę, wciąga nosem. Znów robi działkę. Ja też wciągam. Opieram się na kanapie i rozmyślam o Rubikonie, który właśnie przekroczyłem. Jest chwila, w której żałuję tego, co zrobiłem, po niej opada mnie bezbrzeżny smutek. Następnie nadchodzi fala euforii i wymywa wszystkie wisielcze myśli z mego umysłu, wszelkie, nawet te sprzed lat. Jakbym dostał zastrzyk z kortyzonu do kory mózgowej. Nigdy nie czułem się tak rześki, tak przepełniony nadzieją – a przede wszystkim nigdy nie czułem w sobie takiej energii. Opada mnie niezwykle pragnienie, przemożna chęć sprzątnięcia. Zaczynam przedzierać się przez cały dom, sprzątając go od parteru po dach. Odkurzam meble. Szoruję wannę. Ściele łóżka. Zamiatam podłogi. Kiedy już wszystko jest wysprzątane, robię pranie. Całe pranie. Składam w kostkę każdy sweter i każdą koszulkę, a i tak czuję, że rozpiera mnie energia. Ani mi w głowie, by usiąść. Gdybym miał srebra stołowe, wyczyściłbym je na pewno. Gdybym miał skórzane buty, wypastowałbym je i wyglancował. Gdybym miał wielki dzban z drobniakami, posortowałbym je i zawinął w papier. Szukam wszędzie Slima – znajduję go w garażu, gdzie rozbiera i składa na nowo silnik swego samochodu. Mówię mu, że teraz zrobiłbym cokolwiek, dosłownie wszystko, stary, wszystko, no zrobię, kurwa, wszystko, co trzeba. Mógłbym wsiąść do samochodu i pojechać do Palm Springs, żeby zagrać w golfa, wróciłbym do domu, zrobił lunch i poszedł popływać.

Nie śpię przez dwa dni. Kiedy w końcu zasypiam, jest to sen niewinnego nieboszczyka.

Kilka tygodni później gram ze Scottem Draperem. Leworęcznym, utalentowanym tenisistą, ale wygrywałem z nim gładko w przeszłości. Nie powinienem mieć z nim większych problemów, a jednak daje mi się we znaki. Jestem tak odległy od zwyciężenia Drapera, że naprawdę zaczynam się zastanawiać, czy to ja go wtedy pokonałem. Jak mogłem być o tyle lepszy jeszcze nie tak dawno temu? Ogrywa mnie w każdym stadium meczu.

Później dziennikarze pytają, czy dobrze się czuję. W ich głosach nie słychać oskarżycielskiego tonu ani złośliwości. Mówią jak Perry czy Brad. Są naprawdę zaniepokojeni i starają się dociec, co jest nie tak.

Brooke to jawnie nie obchodzi. Teraz cały czas przegrywam i nie dochodzi do porażki jedynie wtedy, gdy wycofuję się z turnieju, a jej jedynym komentarzem jest to, że lubi, kiedy jestem częściej przy niej.

A ponieważ gram rzadziej niż dotychczas, stwierdza też, że nie jestem taki kapryśny.

Jej obojętność po części bierze się z obowiązków związanych z planowaniem ślubu, ale również z rygorystycznej, niemal wojskowej dyscypliny, jaką sobie narzuca. Wciąż ćwiczy z Gilem, by założyć białą suknię. Biega, podnosi ciężary, rozciąga się i liczy każdą kalorię. Aby wzmocnić swoją motywację, do drzwi lodówki przykleja zdjęcie, wokół którego układa serce z magnesów. Na zdjęciu widać kobietę idealną. Doskonałą kobietę z doskonałymi nogami – takimi, jakie chciałyby mieć Brooke.

Zadziwiony wpatruję się w fotkę. Sięgam i dotykam magnesowej ramy.

Czy to jest...?

Taa, mówi Brooke. To Steffi Graf.

W kwietniu gram w Pucharze Davisa, szukając iskry bożej. Ciężko ćwiczę, trenuję, ile sił. Gramy przeciwko Holandii. Mój pierwszy mecz w Newport Beach rozgrywam ze Sjengiem Schalkenem. Ma dwa metry, ale serwuje jak tenisista wagi koguciej. Mimo to uderza piłkę czysto i podobnie jak ja zajmuje się karaniem przeciwnika, jest zawodnikiem grającym w głębi kortu – zawsze stoi z tyłu i stara się zagonić przeciwnika na śmierć. Wiem, czego mogę się spodziewać. Jest słoneczny, wietrzny dzień i co dziwne, Holendrzy noszą drewniane saboty i machają tulipanami. Pokonuję Schalkena w trzech wyczerpujących setach.

Dwa dni później gram z Janem Siemerinkiem o pseudonimie Śmieciarz. Jest leworęczny, ma doskonały wolej, szybko dochodzi do siatki i dobrze się pod nią czuje. To jest jedyny element jego gry, który nie jest komicznie, gruntownie słaby. Każdy forhend Siemerinka wygląda na niewypał, każdy bekhend zdaje się wymuszony, podobnie jak każdy serwis. Śmieci. Zaczynam mecz pewny swego, ale potem przypominam sobie, że jego brak kondycji jest straszną bronią. Jego denne piłki za każdym razem wytrącają przeciwnika z równowagi. Nie można dokładnie wyliczyć, kiedy taka piłka spadnie. Po dwóch godzinach bolą mnie stopy, dyszę ciężko i mam otepiający ból głowy. Ponadto dwa sety dzielą mnie od zwycięstwa. Jednak jakimś cudem wygrywam, dzięki czemu mam 24–4 w Pucharze Davisa, jeden z najlepszych wyników osiągniętych przez Amerykanina. Dziennikarze sportowi chwalą ten wycinek mojej gry i pytają, dlaczego nie mogę tak grać w innych turniejach. Chociaż ich pochwały są stonowane,

pławię się w nich z rozkoszą. Dobrze mi z tym. Po części mogę za to podziękować Pucharowi Davisa.

Z drugiej strony ta impreza wywraca do góry nogami mój plan wizyty u manikiurzystki. Brooke zrzuciła na mnie sporo spraw związanych ze ślubem, a jednym z zadań, które nie podlegają dyskusji jest to, by moje paznokcie były w idealnym stanie. Obgryzam skórki, jest to nerwowy nawyk, który mam od zawsze, ale ona mówi, że kiedy będzie mi wkładać obrączkę na palec, chce, aby moje dłonie wyglądały nieskazitelnie. Tuż przed meczem ze Śmieciarzem i zaraz po nim, ulegam. Siedzę w fotelu, patrzę, jak kobieta zмага się z moimi skórkami, i powtarzam sobie, że jest to równie deprimujące oraz męczące jak mój pojedynek ze Śmieciarzem.

Myślę: To dopiero prawdziwy śmietnik.

Biorę ślub z Brooke 19 kwietnia 1997 roku przy udziale czterech helikopterów wypełnionych paparazzi. Ceremonia zaślubin odbywa się w Monterey, w niewielkim kościółku, w którym jest ciasno i straszliwie gorąco. Dałbym wszystko za haust świeżego powietrza, ale okna muszą być zamknięte ze względu na hałas, jaki robią helikoptery.

Upał to jedna z przyczyn, dla których podczas zaślubin spociłem się jak mysz. Jednak głównym powodem jest to, że moje ciało i nerwy się buntują. Kiedy ksiądz monotonnym głosem wypowiada słowa modlitwy, kropelki potu gromadzą mi się na brwiach, ściekają po twarzy, pocą mi się uszy. Wszyscy na to patrzą. Oni też się pocą, ale nie tak jak ja. Marynarka mojego nowego smokingu od Dunhilla jest przemoczona. Nawet w butach mi chlupocze. Mają podwyższone obcasy, co jest kolejnym nienegocjowalnym warunkiem, jaki postawiła Brooke. Ona ma prawie metr osiemdziesiąt i nie chce górować nade mną na zdjęciach, więc zakłada staromodne czółenka ze śladowymi obcasami, a ja chodzę w swoich butach jak na szczydłach.

Przed wyjściem z kościoła dublerka panny młodej, zastępczyni Brooke, wychodzi pierwsza. Żeby zmylić paparazzich. Kiedy pierwszy raz usłyszałem o tym pomysłe, odleciałem, odmówiłem udziału w tej szopce. Ale teraz, kiedy widzę, jak dziewczyna podobna do Brooke wychodzi, ogarnia mnie myśl, która nie powinna się pojawić w dniu ślubu: Też chciałbym stąd wyjść. Chciałbym mieć kaskadera – dublera pana młodego, który zajmie moje miejsce.

Powóz ciągnięty przez konie czeka, by zawieźć nas na wesele na ranchu o nazwie Stonepine. Najpierw musimy jednak podjechać samochodem do powozu. Siadam w samochodzie obok Brooke, wbijając wzrok w swoje kolana. Jestem zażenowany atakiem histerycznych potów. Brooke mówi, że to nic. To słodkie, ale wcale nie jest tak, jak być powinno. Nic nie jest w porządku.

Wchodząc na salę weselną, zderzamy się ze ścianą dźwięku. Widzę wirujące twarze – Philla, Gila, J.P., Brada, Slima i moich rodziców. Są tu sławni ludzie, których nie znam, których nigdy nie poznałem, ale rozpoznaję ich jak przez mgłę. Czy to przyjaciele Brooke? Przyjaciele przyjaciół? Jacyś przyjaciele z *Przyjaciół*? Mignął mi gdzieś Perry, mój świadek i samozwańczy organizator wesela. Ma na głowie słuchawki z mikrofonem, aby być w stałej łączności z fotografami, kwiaciarzami i specami od cateringu. Jest tak podekscytowany, tak spięty, że aż ja zaczynam się denerwować, co wydawało mi się niemożliwe.

Pod koniec wieczoru chwiejnym krokiem udajemy się z Brooke do naszej sypialni nowożeńców, w której ktoś poustawiał setki świec. Za dużo tych świec – tu jest gorąco jak w piekarniku. Goręcej niż w kościele. Znów się pocę. Zaczynamy zdmuchiwać te świece i włącza się czujnik dymu. Wyłączamy go i otwieramy okna. Sypialnia się chłodzi, a my schodzimy na dół z powrotem na przyjęcie, by spędzić naszą noc poślubną, zajadając się mussem czekoladowym z innymi weselnikami.

Następnego popołudnia na grillu dla przyjaciół i rodziny Brooke i ja robimy wielkie wejście. Tak jak zakładał jej plan, mamy kowbojskie kapelusze, dzinsowe koszule i przyjeżdżamy konno. Moja klacz wabi się Sugar. Jej smutne, szkliste ślepie przypominają mi Peaches. Otaczają mnie ludzie, coś do mnie mówią, gratulują mi, klepią po plecach, a ja czuję, że muszę stąd uciec. Prawie cały czas na grillu spędzam z moim siostrzeńcem Skylerem, synem Rity i Pancho. Udaje się nam dorwać do łuku i strzał, więc ćwiczymy sobie strzały do odległego dębu.

Napinając łuk, czuję nagły skurcz w nadgarstku.

Wycofuję się z French Open w 1997 roku. Ze wszystkich nawierzchni ziemia jest najgorsza na kontuzjowany nadgarstek. Nie ma mowy, żebym przetrzymał pięć setów przeciwko któremuś ze szczurów pustyni, który ćwiczył i trenował na kortach ziemnych, podczas gdy mnie robiono manikiur i kazano jeździć na klaczy o imieniu Sugar.

Za to pojedę na Wimbledon. Chcę jechać. Brooke dostała jakąś rolę w Anglii, co oznacza, że może mi towarzyszyć. To będzie dobre, myślę sobie. Zmiana obiektu. Podróż, po raz pierwszy jako mąż i żona, do innego miejsca niż jakaś wyspa.

Chociaż, jeśli się tak głębiej zastanowić, to Anglia jest wyspą.

W Londynie spędzamy kilka szczęśliwych wieczorów. Jemy kolację z przyjaciółmi. Oglądamy eksperymentalną sztukę. Spacerujemy wzdłuż Tamizy. Wszystko układa się tak, że można się spodziewać dobrego Wimbledonu. I nagle postanawiam, że prędzej wskoczę do rzeki, niż wyjdę na kort. Zupełnie irracjonalnie nie jestem się w stanie zmusić do treningu.

Oznajmiam Bradowi i Gilowi, że wycofuję się z turnieju. Jestem w mglistym zamku.

Brad na to: A co, do diabła, ma znaczyć ten mglisty zamek?

Grałem w tę grę z wielu powodów i najwyraźniej żaden z nich nie wychodził wprost ode mnie.

Słowa te pojawiają się znikąd, bez zastanowienia, tak jak tej nocy ze Slimem. Brzmiają nadzwyczaj prawdziwie. Tak bardzo prawdziwie, że zapisuję je. Powtarzam je dziennikarzom. I lustrom.

Po wycofaniu się z turnieju zostaję w Londynie, czekając, aż Brooke skończy zdjęcia. Jednego wieczoru z grupą aktorów wychodzimy do miasta, do znanej na całym świecie restauracji, którą Brooke chce sprawdzić. Nazywa się The Ivy. Brooke rozmawia z aktorami, a ja w milczeniu pochylony nad stołem jem. A raczej pasę się. Zamawiam pięć dań, a na deser wsadzam sobie w usta trzy klejące się ciastka o smaku toffi.

Po niedługim czasie jakaś aktorka zauważa, ile jedzenia znika po mojej stronie stołu. Patrzy na mnie zaniepokojona.

Pyta: Zawsze tyle jesz?

Gram w Waszyngtonie i moim przeciwnikiem jest Flach. Brad dopinguje mnie, żebym wyszedł na kort i pomścił przegraną w Wimbledonie, ale nie mogę sobie wyobrazić bliższego powodu. Mścić się? Znowu? Czy czasem już tego nie graliśmy? Robi mi się smutno i jestem zmęczony tym, że Brad jest zaślepiiony swoją bradowatością i najwyraźniej nie wie, co czuję. Wydaje mu się, że kim jest – Brooke?

Oczywiście przegrywam z Flachem, po czym mówię Bradowi, że zamykamy sklepik na lato.

Brad na to: Na całe lato?



Do zobaczenia jesienią.

Brooke przebywa w Los Angeles, ale ja spędzam większość czasu w Vegas. Slim też tam jest i często dajemy sobie w nos. Jest to miła odmiana – czuję wielką energię, jestem szczęśliwy, mogę wyjść z mglistego zamku. Znowu nie jest mi wszystko jedno, nawet jeśli to natchnienie wywołuje chemia. Nie śpię przez całą noc, po kilka nocy z rzędu i napawam się ciszą. Nikt nie dzwoni, nikt nie śle faksów, nikt mi nie przeszkadza. Nie mam nic do roboty oprócz płasów po domu, składania prania i myślenia.

Chcę wyjść z próżni, mówię Slimowi.

Jasne, przytakuje. Pewnie. Próżnia.

Poza dreszczykiem emocji związanym z przyjmowaniem narkotyków, czerpię niezaprzeczalną satysfakcję ze szkodzenia sobie i skracania kariery. Po dekadach nurzania się w masochizmie, staje się to moją życiową misją.

Fizyczne następstwa są jednak odrażające. Pod dwóch dniach na haju, bez snu, wyglądam jak obcy. I do tego jeszcze mam czelność zastanawiać się, dlaczego tak się podle czuję. Jestem sportowcem, moje ciało powinno sobie z tym radzić. Slim cały czas ćpa i wydaje się, że wszystko z nim w porządku.

Nagle ze Slimem przestaje być w porządku. Coraz trudniej rozpoznać w nim dawnego Slima i narkotyki to tylko jeden z czynników tej przemiany. Już wcześniej wariował na samą myśl, że może zostać ojcem, teraz dzwoni do mnie w nocy ze szpitala ze słowami: Stało się.

Co się stało?

Urodziła dziecko. Na kilka miesięcy przed terminem. Chłopaka. Andre, waży tylko siedemset dwadzieścia pięć gramów. Lekarze nie wiedzą, czy przeżyje.

Pędzę do szpitala Sunrise, w którym urodziliśmy się wraz ze Slimem w odstępie ledwo dwudziestu czterech godzin. Patrę przez szybę na to, co jak mówią, jest tym wcześniakiem, choć jest wielkości mojej otwartej dłoni. Lekarze informują Slima, że dziecko jest bardzo chore. Dali mu kroplówkę z antybiotyków.

Na drugi dzień rano lekarze informują, że kroplówka wypadła. Krople wyciekały na nóżkę dziecka i teraz jest poparzona. Ponadto nie oddycha samodzielnie, więc muszą mu pomóc. Jest to ryzykowne. Lekarze martwią się tym, że płuca wcześniaka nie są jeszcze w pełni rozwinięte, nawet na

tyle, żeby mógł oddychać za pomocą respiratora, a bez respiratora i tak umrze. Po prostu nie wiedzą, co mają robić.

Jest jeszcze jedna nadzieja. Jest maszyna, która mogłaby spełniać funkcję respiratora, nie uszkadzając płuc. Maszyna, przez którą przetacza się krew dziecka, zostaje ona utleniona i następnie znów trafia do krwiobiegu, ale najbliższa taka maszyna jest w Phoenix.

Zamawiam samolot medyczny. Zespół lekarzy i pielęgniarek wypina dziecko z respiratora i niesie je niczym jajko na pas startowy. Następnie Slim, jego dziewczyna i ja wsiadamy do drugiego samolotu. Pielęgniarka daje nam numer, pod który mamy zadzwonić po wylądowaniu, żeby się dowiedzieć, czy dziecko przeżyło transport.

Kiedy koła samolotu dotykają pasa startowego w Phoenix, biorę głęboki wdech i wykręcam numer.

Czy on...?

Udało się. Teraz musimy podłączyć go do tej maszyny.

W szpitalu siedzimy bez końca. Zegar jakby stanął w miejscu. Slim odpala jednego papierosa od drugiego. Jego dziewczyna łka bezgłośnie pochylona nad magazynem. Odchodzę na chwilę, by zadzwonić do Gila. Z Kacey wciąż nie najlepiej. Cały czas cierpi. Wydaje się, że nie mówi tego Gil. Mam wrażenie, że to Slim jest po drugiej stronie linii.

Wracam do poczekalni. Pojawia się lekarz i ściąga maskę. Nie wiem, czy będę w stanie przyjąć kolejną hiobową wieść.

Udało się nam go podłączyć do maszyny. Jak dotąd wszystko idzie dobrze. Będzie wiadomo za pół roku.

Wynajmuję dom nieopodal szpitala dla Slima i jego dziewczyny. Potem lecę z powrotem do Los Angeles. Powinienem przespać się podczas lotu, ale zamiast tego wpatruję się w zagłówek fotela przede mną, myśląc, jakie to jest wszystko kruche. Będzie wiadomo za pół roku. Do którego z nas nie odnosi się ta złowieszcza deklaracja?

Siedzę w naszej kuchni i opowiadam Brooke całą tę smutną, straszną i cudowną historię. Jest zafascynowana – ale się dziwi.

Pyta: Jak mogłeś się w to tak zaangażować?

Jakżeby nie mógł?

Kilka tygodni później Brad namawia mnie do powrotu, na krótko, bym wystąpił na Mistrzostwach ATP w Cincinnati. Gram z Gustavem Kuertenem z Brazylii. Pokonanie mnie zajmuje mu czterdzieści sześć

minut. Moja trzecia przegrana z rzędu w pierwszej rundzie rozgrywek. Gullickson ogłasza, że rezygnuje z mojego udziału w drużynie Pucharu Davisa. Jestem jednym z najlepszych amerykańskich tenisistów, ale nie mam do niego żalu. Któż mógłby mieć pretensje w tych okolicznościach?

Na US Open w 1997 roku po raz pierwszy od trzech lat gram nierozstawiony. Noszę brzoskwiniową koszulkę i stoisko firmowe Nike nie nadąża z dostawami. Zadziwiające. Ludzie wciąż chcą się ubierać tak jak ja. Ludzie chcą wyglądać tak jak ja. Czy ostatnio przyjrżeli mi się dobrze?

Dochodzę do szesnastki i walczę z Rafterem, który ma wspaniały rok. Dotarł do półfinału French Open i jest moim faworytem w tym turnieju. Ma wspaniały serwis i wolej, przypomina mi nieco Pete'a, ale zawsze uważałem, że pod względem estetycznym Rafter i ja tworzymy bardziej widowiskową parę na korcie, bo jest bardziej konsekwentny. Pete potrafi odbębnić kiepskie trzydzieści osiem minut, po czym na chwilę zabłyśnie i wygrywa set, gdy tymczasem Rafter gra dobrze przez cały czas. Ma prawie dwa metry, nisko osadzony środek ciężkości i może zmienić kierunek biegu z prędkością samochodu wyścigowego. Jest jednym z najtrudniejszych przeciwników w ekipie zawodowców i jeszcze trudniej go nie lubić. Ma klasę bez względu na wynik meczu, a dzisiaj wygrywa. Podaje mi dłoń jak prawdziwy gentleman i uśmiecha się tak, że widać w tym uśmiechu cień niedającego się z niczym pomylić współczucia.

Dziesięć dni później gram w Stuttgarcie. Powinienem się wyciszyć, odpoczywać, trenować, ale muszę jechać do małego miasteczka w Karolinie Północnej, do Mount Pleasant z powodu Brooke. Zaprzyjaźniła się z Davidem Stricklandem, aktorem z jej nowego serialu *A teraz Susan*, a David jedzie do Karoliny Północnej, aby spędzić swoje urodziny z rodziną. Brooke chce, żebyśmy się z nim zabrali. Uważa, że wyjdzie nam to na dobre, bo będziemy na świeżym powietrzu i naprawdę nie znajduję żadnej sensownej wymówki na tę propozycję.

Mount Pleasant jest urokliwym miasteczkiem na Południu, ale ani nie widzę żadnej góry, ani też nie jest znowu tak przyjemnie\*. Dom Stricklandów jest wygodny, ze starymi drewnianymi parkietami, miękkimi łóżkami, z unoszącym się wokół ciepłym, obezwładniającym zapachem cynamonu i ciasta. Tylko że zupełnie absurdalnie znajduje się na polu golfowym, a tylna weranda wychodzi na jedną z tras, więc kątem oka zawsze widzę kogoś, kto przymierza się do wladowania piłki do dołka. Pani

domu, Babcia Strickland, zażywna staruszka o różanych policzkach, jakby prosto z angielskich bajek, zdaje się wiecznie stać przy piecu, piekąc ciasto czy przygotowując kolejną porcję paelli. Nie jest to dieta sportowa, ale chcąc być uprzejmym, zmiatam wszystko z talerza i proszę o dokładkę.

\* *Mount* – góra, *pleasant* – przyjemny, miły (przyp. tłum.).

Brooke jest w siódmym niebie i po części to rozumiem. Dom otaczają łagodne wzgórza i starodrzew, a liście mieniają się mnóstwem odcieni pomarańcza, poza tym uwielbia Davida. Istnieje między nimi specjalna więź, posługują się tajemnym językiem, śmieją się z tych samych dowcipów czy zachowań. Co jakiś czas przeistaczają się w postaci z filmów, odgrywają scenę, po czym zaśmiewają się do rozpuku. Po chwili pospiesznie wyjaśniają, co właśnie zrobili czy powiedzieli, starając się, abym nadażył, żebym nie czuł się wykluczony. Ale zawsze jest za mało, za późno. Jestem jak piąte koło u wozu i mam tego świadomość.

Nocą temperatura spada. Chłodne powietrze ma zapach igliwia i ziemi, co wywołuje u mnie nostalgię. Stoję na tylnej werandzie domu, patrzę w gwiazdy i zastanawiam się, co jest ze mną nie tak, dlaczego to piękne otoczenie nie jest w stanie mnie oczarować. Przypominam sobie chwilę, w której tak wiele lat temu wraz z Phyllym postanowiliśmy, że rzucę tenis w diabły. Wtedy zadzwonili do mnie stąd, z Karoliny Północnej. Reszta to już historia. Myślę raz za razem – co by było gdyby?

Postanawiam, że muszę popracować. Wysilek jak zawsze stanowi odpowiedź na wszystkie problemy. W końcu za kilka dni mam wystąpić w Stuttgarcie. Dobrze byłoby wygrać. Dzwonię do Brada, a on namierza kort w okolicy. Wynajduje mi też sparingpartnera, młodego amatora, który niczego bardziej nie pragnie, niż tylko poodbijać sobie ze mną co rano. Jadę przez poranną mgłę w kierunku Blue Ridge Mountains i spotykam się z amatorem. Dziękuję mu, że znalazł dla mnie czas, ale on mówi, że cała przyjemność po jego stronie. To będzie dla mnie zaszczyt, panie Agassi. Przepenia mnie samozadowolenie – przykładam się do pracy nawet w tak odległym miejscu – i potem zaczynamy trening. Na tej wysokości piłka lata na wszystkie strony, jakby opierając się prawom przyciągania ziemskiego. Jakbyśmy grali w kosmosie. Niewarta skórka wyprawki.

Nagle młody instruktor kasuje sobie bark.

Następne dwa dni naszej wyprawy na Południe upływają mi na wyżeraniu paelli i rozmyślaniach. Zaczynam nudzić się tak, że chce mi się

walić głową w sosnę. Wychodzę przed pole golfowe i staram się z ganku trafić jednym strzałem w dołek.

W końcu muszę jechać. Całuję Brooke i Babcie Strickland na do widzenia, zauważając, że w obu pocałunkach jest ta sama doza namiętności. Lecę do Miami, by złapać bezpośredni lot do Stuttgartu. No i kogo widzę, wchodząc przez bramkę na lotnisku? Pete'a. Wygląda, jakby nic innego nie robił, tylko trenował przez miesiąc, a kiedy tego nie robił, to leżał na pryczy w celi z gołymi ścianami i kombinował, jak tu mnie pokonać. Jest wypoczęty, skoncentrowany, całkowicie skupiony na jednym. Zawsze myślałem, że różnice między mną a Pete'em to kwestia fantazji dziennikarskiej. Fakt, że jesteśmy krańcowymi przeciwieństwami, wydawał się zbyt istotny dla fanów, dla Nike i dla gry – niczym tenisowi Yankees i Red Sox. Posiadacz najlepszego serwisu *versus* najlepiej grający w kontrze. Nieufny Kalifornijczyk *versus* bezczelny facet z Vegas. Wydawało się, że to wszystko kit i fotomontaż. Czy też, używając ulubionego słowa Pete'a, nonsens. Ale w tej chwili, kiedy tak sobie gadamy o bzdurach przy bramce, przepaść między nami wygląda niezwykle realnie, jest przerażająco szeroka niczym luka między złem a dobrem. Często mówiłem Bradowi, że tenis odgrywa zbyt dużą rolę w życiu Pete'a, ale zdaje się, że ma on wszystko ustawione we właściwych proporcjach. Tenis to jego praca i wykonuje ją z pasją oraz poświęceniem, natomiast cała moja gadanina o zachowaniu życia poza tenisem jest chyba tym, czym jest – gadaniną. Jedynie zręcznym sposobem na racjonalizowanie wszystkich moich wyskoków. Po raz pierwszy od kiedy się znamy – włącznie z momentami, gdy łoł mi skórę niemiłosiernie – zazdrozczę Pete'owi nijakości. Żałuję, że nie jestem w stanie naśladować jego całkowitego braku zainteresowania oraz szczególnego braku potrzeby inspiracji.

W Stuttgarcie przegrywam z Martinem w pierwszej rundzie. W drodze do hotelu Brad jest w nastroju, jakiego u niego jeszcze nie widziałem. Spogląda na mnie z zadziwieniem, smutkiem i współczuciem podobnym do tego, jakim obdarzył mnie Rafter. Kiedy dojeżdżamy, prosi mnie, żebym poszedł na chwilę do jego pokoju.

Przedziera się przez minibarek i wyciąga dwie butelki piwa. Nawet nie patrzy na etykiety. Nic go nie obchodzi, że to niemieckie piwo. Jeśli Brad pije niemieckie piwo bez zastrzeżeń i narzekania, coś jest nie tak.

Ma na sobie dzinsy i czarny golf. Wygląda poważnie, surowo – i starzej. Postarzyłem go.

Andre, musimy podjąć ważną decyzję i podejmiemy ją, zanim wyjdiesz z tego pokoju.

Co się dzieje, Brad?

Nie możemy tego ciągnąć dalej w ten sposób. Stać cię na dużo więcej. Przynajmniej kiedyś byłeś lepszy. Musisz albo zrezygnować, albo zacząć wszystko od początku, ale nie możesz dawać takich plam jak ostatnio.

Co...?

Pozwól mi skończyć. Opuściła cię wola walki. Przynajmniej ja tak to widzę. Wciąż jesteś w stanie wygrywać. Wciąż mogą wydarzyć się dobre rzeczy. Ale musisz wziąć się w karby. Wrócić do samego początku. Musisz wycofać się ze wszystkich turniejów i się przegrupować. Mam na myśli powrót na pierwszą linię frontu.

Wiem, że Brad mówi serio o wycofaniu się z turniejów.

Musisz zrobić tak, dodaje, zacząć trenować, tak jak nie trenowałeś od lat. Do bólu. Musisz doprowadzić organizm do formy, uporządkować myślenie i zacząć od samego dna. Rozmawiam z trenerami facetów, którym jeszcze niedawno nawet się nie śniło, że cię poznają, nie wspominając o tym, że mieliby z tobą grać.

Przerywa. Bierze duży łyk piwa. Ja milczę. Stanęliśmy na rozdrożu i dalej nie pojedziemy, a zdaje się, że zmierzałem w tym kierunku od wielu miesięcy. Wyglądam przez okno, patrząc na ruch uliczny Stuttgartu. Nienawidzę tenisa bardziej niż kiedykolwiek – ale siebie jeszcze bardziej. Tłumaczę sobie: Cóż więc z tego, że nienawidzisz tenisa? Kogo to obchodzi? Wszyscy ludzie, wszyscy, którzy nienawidzą swojej pracy, i tak ją wykonują. Może chodzi o to, by robić to, czego się nienawidzi, wykonywać starannie i z radością tego typu pracę. Nienawidzisz tenisa, tak?. Możesz sobie nienawidzić, ile chcesz. Musisz go jednak szanować – podobnie jak siebie.

Dobra, mówię, w porządku Brad. Jeszcze nie jestem gotów, by to zakończyć. Powiedz mi, co mam robić, a zrobię to.



Zmiany.

Czas na zamiany, Andre. Nie możesz tak dalej. Zmiany, zmiany, zmiany – powtarzam sobie to słowo po kilkanaście razy codziennie, smarując poranną grzankę masłem, szorując zęby, bardziej jako uspokajającą mantrę niż jako ostrzeżenie. Zupełnie mnie nie przygnębiając ani nie zawstydzając, myśl o tym, że muszę się całkowicie odmienić, sprowadza mnie na ziemię. Przede wszystkim nie słyszę uporczywego głosu zwątpienia, które towarzyszy osobistym postanowieniom. Tym razem nie zawiodę, nie mogę, bo albo teraz się zmienię, albo już mi się to w życiu nie uda. To właśnie pomysł, że mógłbym się w ogóle nie zmienić, trwać w tej stagnacji do końca swoich dni, wywołuje u mnie myśli depresyjne i rumieniec wstydu.

A jednak. Nasze najlepsze nawet intencje są często niweczone przez siły zewnętrzne – siły, które sami lata temu wprowadziliśmy w ruch. Decyzje, szczególnie te złe, mają swój moment pędu, który, jak każdy sportowiec wie, cholernie trudno jest wyhamować. Nawet jeśli obiecujemy sobie solennie, że będziemy się zmieniać, nawet jeśli żałujemy i pokutujemy za nasze błędy, impet naszej przeszłości spycha nas na złą drogę. Rozpędzi światem. Mówi: Zaraz, nie tak szybko, ja tu wciąż mam coś do powiedzenia. Tak jak lubi mawiać mój przyjaciel, cytując stary grecki epos: *Nie można w jeden dzień zmienić przekonania wiecznych bogów*<sup>\*</sup>.

<sup>\*</sup> Cytat pochodzi z *Odysei* Homera (przyp. red.)

Kilka tygodni po Stuttgarcie, idąc przez lotnisko La Guardia, dostaję telefon. Jakiś mężczyzna odzywa się opryskliwym tonem, w którym słyhać werdykt i potępienie. Jest lekarzem współpracującym z ATP. (Myślę, że to skrót od Association of Tennis Professionals<sup>\*\*</sup>). W jego głosie słyhać nadciągającą zagładę, jakby za chwilę miał mi powiedzieć, że zostało mi kilka dni życia. I wtedy właśnie to mi oznajmia.

<sup>\*\*</sup> Związek Zawodowych Tenistów (przyp. tłum.).

Do niego należało sprawdzenie próbki moczu podczas ostatniego turnieju. Moim obowiązkiem jest, mówi, poinformować pana, że nie zmieścił się pan w standardach ustalonych przez ATP na obecność narkotyków. Oddana przez pana próbka moczu zawierała śladową ilość krystalicznej amfetaminy.

Opadam na krzesło w sali odbioru bagażu. Plecak ześlizguje mi się z ramion i pada na ziemię.

Panie Agassi?

Tak. Jestem tutaj. I co teraz?

Cóż, to cały proces. Będzie musiał pan napisać list do ATP, przyznając się do winy albo zadeklarować swoją niewinność.

Aha.

Czy wiedział pan, że istnieje prawdopodobieństwo wystąpienia tego narkotyku w pańskim organizmie.

Tak. Tak, wiedziałem.

W takim razie, będzie musiał pan wyjaśnić w swoim liście, w jaki sposób narkotyk tam się dostał.

A potem?

Pański list zostanie oceniony przez komisję.

A potem?

Jeśli świadomie przyjął pan narkotyk – również jeśli przyzna się pan do winy – oczywiście zostanie pan ukarany.

Jak?

Przypomina mi, że w tenisie są trzy rodzaje naruszenia zakazu spożywania narkotyków. Narkotyki zwiększające skuteczność gry, oczywiście, zaliczają się do klasy 1 i wiąże się z tym zawieszenie na dwa lata. Jednak krystaliczna amfetamina należy do klasy 2. Do narkotyków rekreacyjnych.

Myślę: Rekreacja. Re – kreacja.

Mówię: A to znaczy?



Trzy miesiące zawieszenia.

Co mam robić, kiedy już napiszę ten list?

Mam dla pana adres. Ma pan coś do pisania?

Wyławiam z plecaka notatnik. Podaje mi ulicę, miasto, kod, a ja wszystko gryzmołę otępiały, nie mając najmniejszej ochoty na napisanie tego listu.

Lekarz podaje mi jeszcze kilka szczegółów, których nie słyszę, po czym dziękuję i się rozłączam. Na chwiejnych nogach wychodzę z budynku lotniska i zatrzymuję taksówkę. Jadąc na Manhattan i wyglądając przez zasmarowane okno, mówię do zagłównika fotela taksówkarza: I tyle, jeśli chodzi o zmiany.

Jadę prosto do mieszkania Brooke. Na szczęście jest w Los Angeles. Nie byłbym w stanie ukryć przed nią mych emocji. Będę musiał wszystko jej powiedzieć, ale teraz nie dam rady. Padam na łóżko i w jednej chwili tracę kontakt z rzeczywistością. Kiedy budzę się godzinę później, uzmysławiam sobie, że to był koszmar. Ale ulga.

Dopiero po kilku minutach dociera do mnie, że nie, telefon odebrałem naprawdę. Lekarz był prawdziwy. I amfa była aż nadto prawdziwa.

Moje dobre imię, moja kariera, losy wszystkiego ważyły się, niczym przy stoliku z kośćmi, gdzie nikt nie wygrywa. Cokolwiek osiągnąłem, cokolwiek sobie wypracowałem, może wkrótce obrócić się w proch. Częściowo powodem mej antypatii do tenisa było dokuczające mi wiecznie przeświadczenie, że jest on całkowicie pozbawiony znaczenia. Teraz miałem poznać prawdziwe znaczenie czegoś pozbawionego znaczenia.

Dobrze mi tak.

Leżę bez snu do świtu, zastanawiając się, co mam robić, komu mam powiedzieć. Staram się wyobrazić sobie publiczną hańbę, nie za sprawą moich ubrań czy gry, nie za marketingowy slogan, który ktoś mi doczepił, ale wyłącznie za moją bezdenną głupotę. Będę wyrzutkiem. Przykładem przywoływanym ku przestrodze.

Jednak pomimo cierpień przez kilka kolejnych dni nie panikuję. Jeszcze nie. Nie mogę, ponieważ ze wszystkich stron nadciągają równie poważne problemy. Ludzie wokół mnie, ludzie, których kocham, cierpią.

Lekarze muszą przeprowadzić drugą operację szyi Kacey. Najwyraźniej pierwsza została spieprzona. Organizuję transport powietrzny do Los Angeles, żeby miała najlepszą opiekę. W okresie po pierwszej operacji została ponownie unieruchomiona, leży na plecach na łóżku szpitalnym

i cierpi katusze. Nie może ruszać głową, mówi, że piecze ją skóra na głowie. Ponadto w jej sali jest niezwykle gorąco, a jest bardzo podobna do swego taty – nie może znieść upału. Całuję ją w policzek i mówię: Nie martw się. Zaraz coś na to zaradzimy.

Patrzę na Gila. Dosłownie niknie w oczach.

Biegnę do najbliższego sklepu z AGD i kupuję najlepszy, najmocniejszy klimatyzator, jaki mają na składzie. Instalujemy go z Gilem w jej oknie. Kiedy przekręcam gałkę na maksymalne chłodzenie i wciskam przycisk włączający urządzenie, klaszczemy i Kacey się uśmiecha, gdy chłodne powietrze zaczyna owiewać jej ładną, okrągłą buzię.

Następnie spieszę do sklepu z zabawkami, do działu dla młodych pływaków, i kupuję nadmuchiwany, półokrągły kaftanik do pływania dla dzieci. Wsuwam go Kacey pod głowę i delikatnie, stopniowo wdmuchuję powietrze, aż jej głowa unosi się bez zmiany kąta położenia w stosunku do szyi. Wyraz prawdziwej ulgi, wdzięczności i radości maluje się na jej twarzy. W tym spojrzeniu, w tej dzielnej dziewczynce odnajduję to coś, czego szukałem od wielu lat, kamień filozoficzny łączący wszystkie życiowe doświadczenia, dobre i złe. Jej cierpienie, jej uśmiech sprzeciwiający się bólowi, mój udział w ulżeniu jej mękom – to właśnie jest istotą człowieczeństwa. Ile razy musiałem to zobaczyć, by zrozumieć? Dlatego tu jesteśmy. By walczyć z bólem i kiedy to możliwe, by ulżyć innym. To takie proste. Jednocześnie tak trudno to dostrzec.

Odwracam się do Gila, a on to wszystko widzi i na jego policzkach połyskują ślady łez.

Później, kiedy Kacey zasypia, a Gil udaje, że nie śpi w rogu szpitalnej sali, siadam na twardym krześle obok jej łóżka i z podkładką na kolanach piszę list do ATP. Jest to pismo wypełnione kłamstwami przeplatanyimi okruciami prawdy.

Przyznaję, że mam ślady narkotyków w organizmie – ale zapewniam ich, że nie przyjmowałem ich świadomie. Piszę, że Slim, którego już wylałem z roboty, jest narkomanem i często dodaje amfetaminę do swoich napojów – co jest prawdą. Następnie przechodzę do głównego kłamstwa. Piszę, że ostatnio przypadkowo napiłem się napoju nafaszerowanego amfą, nieświadomie przyjmując narkotyk. Piszę, że myślałem, iż się czymś zatrąłem, a kiedy się zorientowałem, wydawało mi się, że narkotyk szybko zniknie z mego organizmu. Najwyraźniej tak się nie stało.

Proszę o wyrozumiałość i łagodne potraktowanie, po czym pospiesznie podpisuję pismo: Szczerze oddany...

Siedzę z tym listem na kolanach, obserwując córkę Gila. Oczywiście czuję wstyd. Zawsze byłem prawdomówną osobą. Kiedy kłamię, robię to niemal zawsze bezwiednie albo też okłamuję siebie. Ale gdy wyobrażam sobie wyraz twarzy Kacey, która dowie się, że wujek Andre jest narkomanem i ma trzymiesięczny zakaz gry, a następnie pomnożony przez x wyraz twarzy milionów fanów, nie znajduję innego sposobu – muszę łąć.

Obiecuję sobie, że przynajmniej to kłamstwo zakończy całą sprawę. Wyślę list, ale nie zrobię niczego więcej. Niech moi prawnicy zajmą się resztą. Nie stanę przez żadną komisją i nie będę kłamał na żywo. Nie będę mówił nieprawdy na ten temat publicznie. Od tej pory zostawię wszystko w rękach losu i facetów w garniturach. Jeśli będą to w stanie zatuszować w sekrecie, bez rozgłosu, to dobrze. Jeśli nie, jakoś przyjmę na siebie to, co potem nastąpi.

Gil budzi się. Składa list i wychodzę z nim na korytarz.

We fluoroscencyjnym świetle wygląda na wycieńczonego i pobladłego. Wygląda – nie mogę w to uwierzyć – słabo. Zapomniałem, że o tym, czym jest życie, najlepiej przekonujemy się na szpitalnych korytarzach. Obejmuję go, mówię, że go kocham i że jakoś przez to przejdziemy.

Kiwa głową, dziękuje mi, mamrocze coś niezrozumiale. Stoimy w milczeniu w najdłuższej chwili w życiu. Widzę w jego oczach, jak myśli krążą w otchłani. Po chwili stara się zająć czymś innym. Musi porozmawiać o innych sprawach, poruszyć tematy pozbawione lęku i zgryzoty. Pyta, jak mi idzie.

Mówię, że postanowiłem wrócić do tenisa, zacząć od mniej ważnych turniejów i pracowicie piąć się w górę. Mówię mu, że Kacey mnie zainspirowała, pokazała drogę.

Gil mówi, że chce mi pomóc.

Nie, teraz masz co innego na głowie.

Słuchaj. Pamiętasz, jak powiedziałem, że możesz stanąć na mych ramionach? No, pamiętasz?

Nie mogę uwierzyć, że wciąż ma tyle wiary. Dałem mu tyle powodów, by zwątpił. Mam dwadzieścia siedem lat, wiek, w którym gwiazda tenisa zaczyna już przygasać, i mówię o drugiej szansie, a jednak Gil nie marszczy czoła, nie unosi brwi ze zdziwienia.

Ruszajmy do pracy, zaczęło się.

Zaczynamy od początku, jakbym był nastolatkiem, jakbyśmy nigdy razem nie ćwiczyli, ponieważ tak to właśnie teraz wygląda. Jestem powolny, gruby i kruchy jak koteczek. Od roku nie miałem hantli w rękach. Najcięższy przedmiot, jaki ostatnio podniosłem, to był klimatyzator Kacey. Muszę na nowo poznać moje ciało, stopniowo i ostrożnie odkryć jego siłę.

Ale najpierw co innego: Jesteśmy w siłowni Gila. Siedzę na ławeczce, a on opiera się o podpórkę dla nóg. Opowiadam mu, co zrobiłem swemu ciału. Narkotyki. I o tym, że grozi mi zawieszenie. Nie mogę go prosić, by wy dostał mnie z otchłani, jeśli nie będzie wiedział, jak nisko upadłem. Wygląda na tak samo przybitego jak w sali szpitalnej swojej córki. Gil zawsze będzie kojarzył mi się z posągami Atlasa, ale teraz wygląda, jakby naprawdę podtrzymywał na barkach ciężar całego świata, jakby wyciskał na ławeczce problemy sześciu miliardów ludzi. Głos mu się łamie.

Nigdy nie czułem do siebie większej odrazy.

Zapewniam go, że skończyłem z prochami. Nigdy ich więcej nie tknę, ale to się rozumie samo przez się. On wie o tym równie dobrze jak ja. Odchrząkuje, dziękuje mi za szczerość, po czym odsuwa to wszystko na bok. Nieważne, mówi, dokąd cię życie zawiodło. Od tej pory skupimy się tylko na tym, co musisz zrobić.

Co musimy zrobić, dodaję.

Właśnie.

Kreśli plan. Ustala właściwą dietę. I nie licz na pobłażanie, ostrzega. Żadnych odstępstw, fast foodów, żadnego pójścia na skróty.

Wódę też będziesz musiał odstawić, zastrzega.

Przede wszystkim zmusi mnie do ścisłego trzymania się ustalonego planu. Posiłek, ćwiczenia, ciężary, tenis – w określonych porach dnia.

Wiodąc nowy, ascetyczny tryb życia, będę też rzadziej widywał się ze swoją żoną. Ciekawe, czy to zauważy.

Rozpoczynam szaleńczy miesiąc z Gilem, równie wycieńczający jak nasz obóz kondycyjny na początku 1995 roku. Następnie biorę udział w challengerze, na samym dole zawodowej tenisowej drabiny. Czeka dla zwycięzcy opiewa na trzy i pół tysiąca dolarów. Publiczności jest mniej niż na zwykłym meczu futbolowym w college'u.

Mecz odbywa się w sali UNLV. Jest to znane terytorium w zupełnie nieznanymi okolicznościach. Kiedy zajeżdżamy z Gilem na parking, myślę sobie, jak daleko zaszedłem i jak blisko jednocześnie. To są korty, na

których grałem, kiedy miałem siedem lat. To tutaj właśnie się zjawilem, by Gil rzucił dla mnie pracę. Stałem o tam, tuż przed jego biurem, podskakując na jednej nodze, ponieważ byłem tak bardzo podekscytowany drogą, jaka się przed nami otwierała. Teraz, rzut kamieniem od tego miejsca, będę grał z pretendentami i z przebrzmiałymi gwiazdami.

Innymi słowy, z moimi kolegami po fachu.

Challenger jest definicją tenisowego minimalizmu i najlepiej to widać w barze dla zawodników. Posiłek przed meczem przypomina jedzenie w samolocie – gumowaty kurczak, oklapłe warzywa i napój bez gazu. Dawno, dawno temu, podczas szlemów mogłem spacerować wzdłuż niekończącego się szwedzkiego stołu i gawędzić z odzianymi na biało kucharzami, którzy przyrządzali dla mnie lekkie jak piórko omlety i robili domowy makaron. Wszystko minęło.

Poniżenia na tym się nie kończą. Na challengerach jest mniej chłopców do podawania piłek. Ma to sens, ponieważ praktycznie nie ma tu piłek. Dostaje się jedynie trzy na mecz. Po obu stronach kortu są rzędy stanowisk, na których mecze toczą się jednocześnie. Przy podrzucie piłki do serwisu widzi się zawodników po lewej i prawej stronie. Słyszą ich kłótnie. Nie obchodzi ich to, czy cię dekoncentrują, czy nie. A pierdol się razem ze swoją koncentracją. Co jakiś czas z drugiego kortu czyjaś piłka wpada ci pod nogi i rozlega się: Czy można pana prosić?. Musisz przerwać to, co robisz, i odrzucić ją z powrotem. Teraz ty stajesz się chłopcem do podawania piłek. Znowu.

Musisz też sam wpisywać swoje wyniki na tablicy. Ręcznie. Podczas zmiany stron przekładam plastikowe płytki z cyframi, co przypomina jakąś dziecięcą zabawę. Kibice śmieją się i coś krzyczą. Im większy, tym niżej spada! Wizerunek to wszystko, co stary? Wysoki urzędnik organizacji tenisowej mówi, że Andre Agassi grający w challengerze jest jak Bruce Springsteen dający koncert w barze na rogu.

No i czy jest coś złego w tym, że Springsteen zagrałby w barze na rogu? Byłoby wspaniale, gdyby raz na jakiś czas mógł zagrać taki koncert.

Jestem sklasyfikowany z numerem 141 na świecie, najniżej podczas mego dorosłego życia, najniżej, jak tylko mogłem sobie wyobrazić. Dziennikarze piszą, że zostałem upokorzony. Piszą to z lubością. Nic bardziej mylnego. Zostałem upokorzony w pokoju hotelowym u Brada. Zostałem upokorzony, wciągając amfę ze Slimem. Teraz obecność tutaj sprawia mi radość.

Brad odbiera to tak samo. Nie widzi nic złego w udziale w challengerze. Ma nowy zapas energii, nowy cel i kocham go za to. Bardzo emocjonalnie podchodzi do tego turnieju i trenuje mnie tak, jakbym miał grać w Wimbledonie. Nie ma wątpliwości, że jest to pierwszy krok na drodze, która poprowadzi mnie z powrotem na szczyt. I jak się można było spodziewać, od pierwszej chwili wystawiam jego wiarę na próbę. Jestem cieniem swego dawnego siebie. Może i poprawiłem stan rąk i nóg, ale umysł wciąż jest w rozsypce. Docieram do finału i mój umysł daje za wygraną. Drżąc z napięcia, z wyobcowania i z powodu wrogości płynącej z trybun, przegrywam.

Brad jest niewzruszony. Trzeba ponownie opanować pewne techniki, mówi. Na przykład wybór rodzaju uderzenia. Musisz znów nauczyć swe mięśnie, że to tenista decyduje w ogniu walki, którego uderzenia użyć, a którego nie. Musisz zapamiętać, że nieważne jest, by posłać na drugą stronę najlepszą piłkę na świecie – pamiętasz? Jeśli chwila jest niekorzystna, to uderzenie i tak będzie złe.

Każda piłka to zgadywanka dla wtajemniczonych, a ja już nie jestem wtajemniczony. Jestem zielony jak junior. Dwadzieścia dwa lata zajęło mi odkrycie mego talentu, wygranie pierwszego szlema – i jedynie dwa lata utrata tego.

Tydzień po turnieju w Vegas gram w kolejnym w Burbank. Mecz toczy się w parku miejskim. Obok głównego kortu rośnie olbrzymie drzewo, które rzuca na niego wielki cień. W swojej karierze grałem na tysiącach kortów, a ten jest najgorszy z nich. Z oddali dobiegają mnie głosy dzieci grających w piłkę, w dwa ognie, odgłosy strzelających silników samochodów i dudnienie przenośnego sprzętu grającego.

Turniej odbywa się w weekend, na który przypada Święto Dziękczynienia. Dochodzę do trzeciej rundy. Zamiast zajadać się w domu indykiem, śmigam po parku w Burbank, sklasyfikowany o sto dwadzieścia miejsc niżej niż dwa lata wcześniej. Tymczasem w Göteborgu zaczyna się Puchar Davisa. Chang i Sampras kontra Szwecja. To smutne, ale słuszne, że mnie tam nie ma. Nie tam jest moje miejsce. Jest ono tutaj, pod tym idiotycznym drzewem. Jeśli nie pogodzę się z tym, gdzie jestem, to nigdy już nie będę tam.

Rozgrzewając się przed meczem, uświadamiam sobie, że znajduję się ledwo o kilka minut drogi od studia, gdzie Brooke kręci serial *A teraz*

*Susan*, a Perry jest teraz jego producentem. Serial stał się prawdziwym przebojem, więc moja żona jest zajęta i pracuje po dwanaście godzin na dobę. Mimo wszystko to dziwne, że tu nie zajrzała, nie popatrzyła na kilka wymian. Nawet kiedy wracam do domu, nie pyta mnie o mecz.

Ale też ja nie pytam ją o *A teraz Susan*.

Rozmawiamy na różne tematy. Rozmawiamy przeważnie o niczym.

Jedynym momentem, w którym przerywam trening, jest spotkanie z Perrym, w celu utworzenia mojej fundacji charytatywnej. O tym właśnie rozmawiało piętnaście lat temu dwóch idealistycznych nastolatków z ustami pełnymi chipwichów. Chcieliśmy osiągnąć poziom, z którego można już dawać coś od siebie innym. Wynegocjowałem ostatnio długoletnią umowę z Nike – mają mi zapłacić dziesiątki milionów w ciągu nadchodzącej dekady. Wykupiłem dom moich rodziców. Zabezpieczyłem każdego z członków mojej ekipy. Teraz w aspekcie finansowym mogę poszerzyć horyzonty i w 1997 roku, choć sam sięgnąłem dna, a może właśnie dlatego, jestem na to gotów.

Za cel obrałem sobie pomoc dzieciom z zagrożonych rodzin. Dorośli zawsze mogą prosić o wsparcie, ale dzieci są bezradne i tego nie potrafią. Dlatego pierwszy projekt mojej fundacji dotyczy dzieci wykorzystywanych i porzuconych, które zostały sądownie wzięte pod opiekę państwa. W moim przytulisku znajduje się obiekt dla dzieci o wątłym zdrowiu i szkoła zastępcza. Następnie uruchamiamy program, by co roku ubrać trzy tysiące dzieci z miast. Funduję też stypendia w UNLV. Później powstaje Klub Dziewcząt i Chłopców. Moja fundacja przejmuje rozpadający się budynek o powierzchni ponad dwustu metrów kwadratowych i robi z niego obiekt o powierzchni dwóch i pół tysiąca metrów kwadratowych z pracownią komputerową, stołówką, biblioteką i kortem tenisowym. Podczas otwarcia przemawia Colin Powell.

Swój wolny czas spędzam w Klubie Dziewcząt i Chłopców, spotykając się z dziećmi, słuchając ich opowieści. Zabieram je na kort tenisowy, uczę, jak trzymać raketę, i widzę, jak im się w oczach zapalają iskry, bo nigdy wcześniej nie miały jej w ręku. Siedzę z nimi w pracowni komputerowej, gdzie zapotrzebowanie na Internet jest tak duże, że ustawia się ogonek, a dzieci cierpliwie czekają na swoją kolej. To mnie szokuje, boli mnie, kiedy widzę, jak bardzo pragną się wszystkiego nauczyć. Kiedy indziej po prostu mam dyżur w klubie i gram z dziećmi w ping-ponga. Nie ma dnia,

żebym wchodząc do centrum rekreacji, nie myślał o podobnym pomieszczeniu w Akademii Bollettieriego, gdzie pierwszego dnia byłem taki przerażony i podpierałem ścianę. Na to wspomnienie mam ochotę adoptować te wszystkie dzieci.

Pewnego dnia w centrum rekreacji siedzę ze Stanem, który prowadzi Klub Dziewcząt i Chłopców. Pytam go: Co więcej możemy zrobić? Jak jeszcze możemy pomóc tym dzieciom?

Stan mówi: Musisz znaleźć jakiś sposób, by poświęcać im więcej czasu. Bo teraz robimy jeden krok w przód i dwa w tył. Naprawdę chcesz pomóc? Chcesz odcisnąć na nich trwałe piętno? Musisz dać im więcej siebie. Mówiąc szczerze, powinieneś oddać im cały wolny czas.

Dlatego w 1997 roku znów naradzam się z Perrym i wpadamy na pomysł, by dodać do tego edukację. Po czym postanawiamy, że będzie to główne zajęcie ośrodka. Ale jak mamy to zrobić? Przez chwilę zastanawiamy się, czy nie otworzyć prywatnej szkoły, ale za dużo jest biurokratycznych i finansowych przeszkód. Przypadkowo oglądam w programie „60 Minutes” materiał o szkołach społecznych i doznaję olśnienia. Szkoły społeczne są po części finansowane przez państwo, a po części z funduszy prywatnych. Zbieranie pieniędzy stanowi wyzwanie, ale korzyścią jest utrzymywanie pełnej kontroli. W szkole społecznej będziemy mogli robić to, co sobie zamierzmy. Będziemy mogli stworzyć coś wyjątkowego. Specjalnego. A jeśli to wypali, rozniesie się niczym pożoga. Może stać się modelową placówką dla wszystkich szkół społecznych w kraju. Może zmienić cały system edukacyjny.

Nie mogę uwierzyć w tę gorzką ironię losu. Materiał z „60 Minutes” spowodował, że mój ojciec wysłał mnie z domu do szkoły, co złamało mi serce, a teraz materiał z programu „60 Minutes” oświetlił mi drogę do domu, dał mi wskazówkę do odnalezienia sensu życia, mojej misji. Perry i ja postanawiamy stworzyć najlepszą szkołę społeczną w Ameryce. Zatrudnić najlepszych nauczycieli, dobrze im płacić i uczynić odpowiedzialnymi za stopnie i wyniki sprawdzianów. Zamierzamy pokazać światu, co można osiągnąć, kiedy podnosi się poprzeczkę niesamowicie wysoko i kiedy się otworzy portfel. Ściskamy sobie dłonie świadomi wagi tego, co się tworzy.

Dam miliony własnych pieniędzy, by otworzyć szkołę, ale będziemy musieli zebrać jeszcze więcej. Wystawimy obligację na czterdzieści milionów dolarów, która będzie spłacana z użyczenia i handlowania moją



sławą. Przynajmniej teraz będzie z niej jakiś pożytek. Wszystkie te gwiazdy, ludzi, których poznałem na przyjęciach i dzięki Brooke będę prosił, by poświęcili swój czas i talent mojej szkole, by odwiedzali dzieci i brali udział w dorocznej zbiórce pieniędzy, którą nazwaliśmy Wielkim Szlemem dla Dzieci.

Kiedy wraz z Perrym szukamy lokalizacji dla naszej szkoły, dostaję telefon od Gary'ego Mullera, obywatela RPA, który kiedyś grał i był trenerem w trasie. Organizuje mecz tenisowy w Kapsztadzie, by zebrać pieniądze na fundację Nelsona Mandeli. Pyta mnie, czy zechcę wziąć w nim udział.

Nie wiemy, czy sam Mandela tam będzie, mówi.

Jeśli jest nawet cień szansy, wchodzę w to.

Gary zaraz oddzwania. Dobre wieści, oznajmia. Spotkasz się z Szefem.

Żartujesz sobie.

Potwierdził to. Zjawi się na imprezie.

Ściskam mocniej słuchawkę. Od lat podziwiałem Mandelę. Śledziłem jego walkę, jego losy, kiedy był w więzieniu, jego cudowne uwolnienie i niezwykłą karierę polityczną z prawdziwym uznaniem. Na samą myśl, że go poznam, porozmawiam z nim, czuję zawrót głowy.

Mówię o tym Brooke. Jest to chwila, w której już dawno nie byłem taki szczęśliwy, i ona też cieszy się moim szczęściem. Chce jechać ze mną. Impreza ma się odbyć niedaleko tego miejsca, w którym kręciła film w Afryce w 1993 roku, gdy zaczęliśmy wymieniać fakсы.

Od razu rusza na zakupy, by zaopatrzyć się we właściwe ubrania.

J.P. podziela mój podziw dla Mandeli, więc zapraszam go, by poleciał z nami i zabrał swoją żonę, Joni, którą oboje z Brooke uwielbiamy. Nasza czwórka leci do południowej Afryki, a następnie przesiadamy się do samolotu lecącego do Johannesburga. Później rozklekotany samolot wiezie nas do serca Afryki.

Burza zmusza nas do nieplanowanego lądowania. Chronimy się w chacie ze słomianym dachem na zupełnym pustkowiu i słyszymy mimo trzasku piorunów, jak zwierzęta pierzchają, by się schować przed nawałnicą. Kiedy wraz z J.P. wyglądamy z chaty, spoglądając na bezkresną sawannę, nad którą chmury ciągną się aż po horyzont, stwierdzamy zgodnie, że jest to jedna z tych ważnych chwil. Czytamy wspomnienia Mandeli *Long Walk to Freedom* (Długi marsz ku wolności), ale czujemy się niczym bohaterowie

powieści Hemingwaya. Przypomina mi się coś, co Mandela powiedział w jednym z wywiadów: *Bez względu na to, w jakim momencie życia się znajdujesz, wciąż czeka cię wyprawa*. I przychodzi mi na myśl jeden z ulubionych cytatów Mandeli z wiersza *Invictus* (Niepokonany), który podtrzymywał go na duchu podczas tych momentów, w których myślał, że jego wyprawa zostanie gwałtownie przerwana: *Sternikiem swoich losów jestem sam / Własnej duszy kapitanem*<sup>\*\*\*</sup>.

<sup>\*\*\*</sup> William Ernest Henley, *Invictus*, przekład Czesław Sowa Pawłowski (przyp. red.).

Kiedy burza cichnie, wdrapujemy się ponownie na pokład śmigłowego samolotu i lecimy do rezerwatu zwierząt. Spędzamy trzy dni na safari. Codziennie przed świtem wsiadamy do dżipa. Jedziemy i jedziemy, po czym gwałtownie się zatrzymujemy. Siedzimy przez dwadzieścia minut w egipskich ciemnościach z włączonym silnikiem. Kiedy z wolna wschodzi słońce, okazuje się, że stoimy na brzegach olbrzymiego, spowitego we mgle bagna, wokół którego gromadzą się różne gatunki zwierząt. Widzimy setki antylop impala. Jest też niecała setka zebr. Zauważamy stadko żyraf wysokich jak dwupiętrowe domy, które tańczą wokół nas i suną wśród drzew, skubiąc liście z najwyższych gałęzi oraz wydając odgłosy, jakby ktoś chrupał seler. Czujemy, że natura przemawia do nas: Wszystkie te zwierzęta rozpoczynają dzień w tym niebezpiecznym świecie, zachowując niezwykle spokojny i godzący się z jego regułami – dlaczego ty nie możesz postępować tak samo?

Podróżuje z nami kierowca i myśliwy. Myśliwy nazywa się Johnson. Uwielbiamy go. Jest naszym afrykańskim Gilem. Stoi na straży. Wie, że go kochamy i uśmiecha się z dumą strzelca wyborowego. Zna też okolicę lepiej niż antylopy. W pewnym momencie macha ręką w stronę drzew i jakby na sygnał niczym jesienne liście spadają z nich tysiące małych małpek.

Pewnego ranka jedziemy głęboko w busz, kiedy dżipem nagle wstrząsa, po czym zjeżdża on na bok, a my przewalamy się w środku na prawą stronę.

Co się stało?

Niemal przejechaliśmy lwa, który spał na środku drogi.

Lew siada i patrzy na nas, jakby chciał powiedzieć: Obudziliście mnie. Ma olbrzymi łeb. Ślepie koloru limonkowo-cytrynowego gatorade. Roztacza wokół siebie tak intensywny, tak pierwotny zapach piżma, że aż się nam kręci w głowach.

Ma włosy takie, jak ja kiedyś miałem.

Niech nikt nawet głośniej nie odetchnie, szepcze kierowca.

Tylko bardzo proszę, dodaje szeptem Johnson, nie wstawajcie z miejsc.

Dlaczego?

Lew traktuje nas jak dużego drapieżnika. Teraz się nas boi. Jeśli wstaniecie, zobaczy, że w środku jest tylko kilku małych ludzików.

I wystarczy.

Po paru minutach lew wycofuje się w zarośla. Jedziemy dalej.

Później, wracając do obozowiska, nachyliłam się do J.P. i szepczę: Muszę ci coś powiedzieć.

No, dawaj.

Przechodzę teraz... cóż, bardzo trudny okres. Staram się zostawić za sobą wszystko to, co złe.

W czym problem?

Nie chcę się wdawać w szczegóły, ale chciałem przeprosić, jeśli wydaję się jakiś... inny.

Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, to prawda. Jesteś inny. Ale co się dzieje?

Powiem ci, kiedy się lepiej poznamy.

Śmieje się.

Jednak widzi, że nie żartuję. Pyta mnie: Nic ci nie jest?

Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Chcę mu powiedzieć o depresji, o dezorientacji, okresie przebywania ze Slimem, groźbie zawieszenia przez ATP. Ale nie mogę. Nie teraz. Muszę to jeszcze dalej za sobą zostawić. W tej chwili czai się to tak jak ten lew, wciąż o krok ode mnie, rzucając groźne spojrzenie. Nie chcę rozmawiać o swoich problemach z obawy przed tym, że wyjdą na powierzchnię i znów dadzą znać o sobie. Chcę jedynie ostrzec J.P., że istnieją.

Mówię mu też, że teraz skupiam się na tenisie i jeśli przejdę ten trudny etap, jeśli będę mógł wrócić, to odmieni się wszystko. Ja się zmienię. A nawet jeśli nie będę potrafił tego dokonać, jeśli się skończę, nawet jeśli wszystko stracę, to i tak będę inny.

Wtrąca: Skończysz się?

Chciałem, żebyś wiedział.

Jest to niczym spowiedź, wyznanie. J.P. spogląda na mnie ze smutkiem. Ścisną moje ramię i mówi w bardzo wielu słowach, że jestem własnej duszy kapitanem.

Jedziemy do Kapsztadu, gdzie gram w tenisa z wyraźną niecierpliwością, niczym dziecko, które wykonuje żmudne sobotnie prace domowe. W końcu nadchodzi ten moment. Lecimy helikopterem do budynku za ogrodzeniem i sam Mandela wychodzi nam na powitanie na lądowisku. Otaczają go fotografowie, dygnitarze, dziennikarze i asystenci – a on góruje nad nimi. Wygląda nie tylko na wyższego, niż się spodziewałem, ale też na silniejszego, zdrowszego. Ma prezencję byłego sportowca, co mnie zaskakuje, biorąc pod uwagę lata ciężkiej pracy i tortur, jakie przeszedł. Ale przecież jest byłym sportowcem, w młodości uprawiał boks – a w więzieniu, jak pisze w swych pamiętnikach, dbał o kondycję, biegając w miejscu w celi i od czasu do czasu grając w tenisa na zaimprovizowanym więziennym korcie. Jednak przy całej emanującej z niego sile, jego uśmiech jest słodki, niemal anielski.

Opowiadam J.P. o tym, że przypomina mi świętego. Takiego jak Ghandi, wyzbytego całej goryczy. Jego oczy jednak, nadwerężone ciężką pracą w ostrym świetle więziennego kamieniołomu, wypełnia mądrość. Jego oczy mówią, że dowiedział się o czymś, o czymś niezwykle istotnym.

Bełkoczę coś, kiedy spogląda na mnie tymi oczami, ściska dłoń i komplementuje moją grę.

Idziemy za nim do wielkiej sali, w której rozpoczyna się oficjalny obiad. Brooke i ja zostaliśmy usadzeni przy jednym stole z Mandelą. Brooke siedzi po mojej prawej stronie, a Mandela za nią. Przez cały obiad snuje różne opowieści. Mam do niego mnóstwo pytań, ale nie ośmielam się mu przerwać. Wspomina Robben Island, gdzie trzymano go przez osiemnaście z dwudziestu siedmiu lat spędzonych w więzieniu. To, jak przekabacił część strażników. Czasami dostawał od nich nagrodę – pozwalali mu podejść do brzegu niewielkiego jeziora z wędką, żeby mógł złapać sobie rybę na obiad. Uśmiecha się na wspomnienie tych wypraw niemal z nostalgią.

Po obiedzie Mandela wstaje i wygłasza poruszającą mowę. Jej motywem przewodnim jest stwierdzenie: Wszyscy powinniśmy się o siebie troszczyć – to nasze zadanie w życiu. Ale musimy też uważać na siebie, co oznacza, iż mamy być uważni w podejmowaniu decyzji, uważni w naszych znajomościach, uważni w naszych deklaracjach. Musimy uważnie postępować z naszym życiem, aby uniknąć stawania się ofiarą. Mam wrażenie, jakby kierował słowa wprost do mnie, jakby był świadom, że nierozważnie postępowałem ze swoim talentem i zdrowiem.

Mówi o rasizmie nie tylko w RPA, ale na całym świecie. Wynika on wyłącznie z ignorancji i edukacja jest jedynym nań lekarstwem. W więzieniu każdą wolną godzinę Mandela poświęcał na samokształcenie. Stworzył coś w rodzaju uniwersytetu i wraz ze współwięźniami wzajemnie się uczyli. Przetrwał osamotnienie ciągłego przebywania w zamknięciu, czytając – szczególnie upodobał sobie Tołstoja. Jedną z najcięższych kar wymyślonych przez strażników było odebranie mu na cztery lata prawa do nauki. Znów jego słowa zdają się odnosić bezpośrednio do mnie. Myślę o pracy, którą podjęliśmy z Perrym w Vegas, o naszej szkole społecznej i czuję przypływ energii. Ale też zażenowanie. Po raz pierwszy od wielu lat dobitnie odczuwam brak wykształcenia. Czuję to brzemię, nieszczęście z tym związane. Postrzegam to jako zbrodnię, której byłem współwinny. Myślę, ile tysięcy młodych ludzi w moim mieście popełnia tę zbrodnię w tym momencie, pozbawia się edukacji, nie mając świadomości, ile traci.

W końcu Mandela mówi o drodze, którą kroczymy. O trudnościach związanych z każdą podróżą człowieka – a mimo to, dodaje, w byciu podróżnikiem tkwi czystość i szlachetność. Kiedy przerywa i siada, wiem, że moja podróż w porównaniu z jego drogą jest niczym, a jednak nie w tym rzecz. Mandela twierdzi, że każda podróż jest ważna i nie ma takiej, której nie dałoby się odbyć.

Żegnając się z Mandelą, jestem zauroczony. Został mi wskazany właściwy kierunek. Pewien przyjaciel pokazuje mi później urywek z powieści nagrodzonej Pulitzerem *A Death in the Family*, dotyczy on kobiety pogrążonej w głębokiej żałobie:

Teraz bardziej przypominam dorosłą przedstawicielkę rasy ludzkiej... Myślała, że nigdy wcześniej nie miała okazji uświadomić sobie, jak wielką siłą dysponują ludzie, by przetrzymać; kochała i szanowała wszystkich, którzy kiedykolwiek cierpieli, nawet tych, którym nie udało się wytrwać.

Ten fragment mniej więcej oddaje moje uczucia, kiedy żegnam się z Mandelą. To właśnie myślę, kiedy helikopter nas unosi. Kocham i szanuję tych, którzy cierpią, którzy kiedykolwiek cierpieli. Teraz bardziej przypominam dorosłego przedstawiciela ludzkiej rasy.

Bóg pragnie, byśmy dorośli.

Sylwester, ostatnie godziny tego okropnego roku 1997. Wraz z Brooke wydajemy kolejne przyjęcie noworoczne, a na drugi dzień budzę się

wcześniej. Zaciągam kołdrę na głowę, później przypominam sobie, że jestem umówiony na trening z Vince'em Spadeą. Postanawiam to odwołać. Nie. Krzyczę na siebie. Nie możesz niczego odwoływać. Już nie jesteś tamtą osobą. Nie rozpoczniesz 1998 roku od tego, że zaśpisz i odwołasz trening.

Zmuszam się do wstania z łóżka i do spotkania ze Spadeą. Choć to tylko sparing, to obu nam zależy. On zmienia odbijanie piłki w bitwę, co bardzo mi się podoba, szczególnie że ją wygrywam. Schodząc z kortu, jestem zdyszany, ale mocny. Mocny w starym, dobrym stylu.

To będzie mój rok, mówię do Spadei. 1998 jest moim rokiem.

Brooke jedzie ze mną na Australian Open 1998 i patrzy, jak pokonuję pierwszych trzech przeciwników, ale niestety ogląda też mecz, który toczę z Albertem Berasategui z Hiszpanii. Wychodzę na prowadzenie dwa do zera w setach i nagle, niespodziewanie i zupełnie irracjonalnie przegrywam. Berasategui to paskudny rywal, a przecież miałem go już na widelcu. Jest to niepowetowana strata, jedna z tych kilku okazji, kiedy przegrałem mecz, prowadząc dwoma setami. Czy to wypadek przy pracy, czy też powrót w ślepej uliczce?

Lecę do San Jose i gram dobrze. W finale spotykam się z Pete'em. Wydaje się zadowolony z tego, że wróciłem, zadowolony, że mnie widzi za siatką i że tęsknił za mną. Muszę przyznać, ja też za nim się stęskniłem. Wygrywam 6–2, 6–4 i pod koniec jakby część jego się ode mnie dystansuje. Wie, co zamierzam i jak daleko mam zamiar pójść.

Drażnię się z nim w szatni, przechwalając się, jak łatwo go pokonałem.

Jak to smakuje przegrać z kimś spoza pierwszej setki?

Nie martwię się tym wcale, odpowiada. To się już więcej nie zdarzy.

Następnie żartuję sobie z niego na temat ostatnich doniesień o jego życiu osobistym. Zerwał ze studentką prawa i mówi się, że chodzi teraz z pewną aktorką.

Złe posunięcie, stwierdzam.

Te słowa sprawiają, że obydwaj wybuchamy śmiechem.

W sali, gdzie odbywa się konferencja prasowa, dziennikarze pytają mnie o Pete'a i Marcela Ríosa, którzy teraz stają w szranki o numer jeden w rankingu: Jak pan myśli, który z nich zdobędzie w końcu to pierwsze miejsce?

Żaden z nich.

Nerwowy śmiech.

Myślę, że ja zdobędę pierwsze miejsce.

Prawdziwy rehot na sali.

Nie. Naprawdę, wiem, co mówię.

Gapią się na mnie, po czym sumiennie zapisują moją wariacką przepowiednię w swoich notesach.

W marcu jadę do Scottsdale i wygrywam mój pierwszy poważny turniej. Pokonuję Jasona Stoltenberga z Australii. Jest to klasyczny kangur, solidny, przewidywalny, prezentujący godną pozazdroszczenia wszechstronną grę, która zmusza przeciwników do odsłonięcia kart. Jest dla mnie dobrym sprawdzianem psychologicznym, dobrym probierzem moich nerwów i zdaję ten egzamin na piątkę. Każdy, kto teraz stanie mi na drodze, będzie musiał poradzić sobie z kimś, z kim nie warto zaczynać.

Lecę do Indian Wells i pokonuję Raftera, ale przegrywam z młodym objawieniem Janem-Michaelem Gambillem. Mówi się, że jest najlepszym z młodych wilków pnących się w górę. Patrzę na niego i zastanawiam się, czy on wie, co będzie dalej, czy jest na to gotowy – jakby można się było w ogóle do tego przygotować.

Jadę do Key Biscayne. Chcę wygrać, aż wariuję, tak chcę zwyciężyć. To do mnie niepodobne, że tak bardzo pragnę tego zwycięstwa. Zwykle czuję pragnienie tego, by nie przegrać. Jednak rozgrzewając się przed meczem pierwszej rundy, wiem, że tego chcę, i wiem dlaczego. Nie chodzi o mój powrót. Chodzi o moją ekipę. Moją nową, prawdziwą ekipę. Gram, by zebrać pieniądze i skupić uwagę innych na mojej szkole. Po tych wszystkich latach, kiedy miałem wszystko to, czego chciałem, jest coś, dla czego można grać, o wiele ważniejszego ode mnie, a mimo to ściśle ze mną związanego. Dla czegoś, co nosi moje nazwisko, ale nie dotyczy mnie. The Andre Agassi College Preparatory Academy (Akademia Przygotowawcza Andre Agassiego)<sup>\*\*\*\*</sup>.

<sup>\*\*\*\*</sup> W dalszej części jako Agassi Prep (przyp. red.).

Początkowo nie chciałem umieszczać mego nazwiska w nazwie szkoły, ale moi przyjaciele wyperswadowali mi tę fałszywą skromność mówiąc, że moje nazwisko przyda szkole prestiżu i wiarygodności. Dzięki memu nazwisku będzie można efektywniej zbierać pieniądze. Perry wybrał nazwę „akademia” i dopiero po jakimś czasie zacząłem doceniać, jak na zawsze związało to moją szkołę z moją przeszłością, Akademią Bradenton i Akademią Bollettieriego – moimi poprawczakami z dzieciństwa.

Nie mam wielu przyjaciół w Los Angeles, a Brooke ma ich całe tabuny, więc w większości przypadków ona wychodzi na rozmaite spotkania, a ja zostaję w domu, sam.

Dzięki Ci, Boże, za J.P. Mieszka w Orange County, więc może z łatwością podjechać na północ, a później usiąść ze mną przy kominku, zapalić cygaro i pogawędzić o życiu. Czasy, kiedy był pastorem, zdają się teraz historią starożytną, ale podczas naszych rozmów przy ogniu mam wrażenie, jakby przemawiał do mnie z niewidzialnej ambony. Nie mam nic przeciwko temu. Podoba mi się to, że jestem jego jednoosobową trzódką, jego jednoosobową parafią. Na początku 1998 roku porusza wszystkie ważne tematy. Motywacji, inspiracji, dziedzictwa, przeznaczenia i odrodzenia. Pomaga mi podgrzać w sobie poczucie misji, które czułem w obecności Mandeli.

Pewnego wieczoru mówię J.P., że czuję niezwykłą pewność w swojej grze, nowy powód przebywania na korcie – dlaczego więc wciąż ogarniają mnie te lęki? Czy strach już mnie nigdy nie opuści?

Mam nadzieję, że nie, odpowiada. W lęku jest twój żar, Andre. Nie chciałbym zobaczyć, że całkowicie cię opuścił.

Po czym J.P. rozgląda się po domu, zaciąga się cygarem i stwierdza, iż nic nie jest w stanie na to poradzić, ale widzi, że mojej żony wciąż nie ma w domu. Za każdym razem, kiedy się pojawia, bez względu na porę dnia czy nocy, Brooke najwyraźniej przebywa w gronie swych przyjaciół.

Pyta, czy mi to nie przeszkadza.

Nawet nie zauważyłem.

Lecę do Monte Carlo w kwietniu 1998 roku i przegrywam z Pete'em. Wygraża mi pięścią. Już nie będę się hamował – rywalizacja rozpoczęła się na nowo.

Lecę do Rzymu. Leżę w hotelowym łóżku, odpoczywając po meczu.

Telefon za telefonem.

Najpierw Philly. Pociąga nosem, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Mówi mi, że jego żona Marti właśnie urodziła dziewczynkę. Dadzą jej na imię Carter Bailey. Mój brat mówi jakoś inaczej. Jest szczęśliwy, to zrozumiałe, i dumny jak paw, ale też odzywa się tak, jakby czuł błogosławieństwo Boże. Głos Philla brzmi tak, jakby spotkało go niezwykle szczęście.



Zapewniam go, że niezmiernie się cieszę, gratuluję Marti i jemu oraz że wrócę do domu tak szybko, jak to będzie możliwe. A wtedy od razu przyjedziemy do nich z Brooke i poznamy moją nową bratanicę. Mówię to, a głos grzęźnie mi w krtani.

Telefon znów się odzywa. Może po godzinie? Po trzech? W mojej pamięci te dwa telefony rozdzwoniły się niemal jednocześnie, choć równie dobrze mogło je dzielić kilka dni. To moja kancelaria prawna, prawnicy rozmawiają przez zestaw głośnomówiący. Andre? Słyszysz nas? Andre?

Tak, słyszę. O co chodzi.

No właśnie, ATP przeczytało i wnikliwie przeanalizowało twój list ze szczerym wyznaniem nieświadomego zażycia narkotyków. Miło mi przekazać, że twoje wyjaśnienia zostały przyjęte. Twój zły test został puszczony w niepamięć. Od tej chwili ta sprawa jest uważana za zamkniętą.

Nie jestem zawieszony?

Nie.

I mogę kontynuować karierę? Mogę spać spokojnie?

Tak.

Pytam jeszcze kilkakrotnie. Jesteś pewien? To znaczy, że już jest po wszystkim?

Jeśli chodzi o ATP to tak. Uwierzyli i przyjęli twoje wyjaśnienia. Z radością. Myślę, że wszyscy chcieli o tym zapomnieć i zająć się czymś innym.

Odkładam słuchawkę i patrzę w przestrzeń, powtarzając w myślach: Nowe życie. Nowe...

Lecę na French Open 1998 i staję przeciwko Maratowi Safinowi z Rosji. Nadwyrężam bark. Zawsze zapominam, jak na tej nawierzchni piłka potrafi być ciężka. Jakbym uderzał w kulę, którą ktoś pchnął w moją stronę. Bark boli jak jasna cholera, ale jestem wdzięczny za tę kontuzję. Nigdy więcej nie będę oczekiwał immunitetu od kontuzji na korcie tenisowym.

Lekarz stwierdza, że mam zgniecenie. Nacisk na nerw. Wyłączam się na dwa tygodnie. Żadnych treningów, żadnych ćwiczeń, nic. Tęsknię za grą. Co więcej, pozwalam sobie na tę tęsknotę. Raduję się i świętuję z okazji, że za nią tęsknię.

Na Wimbledonie staję na korcie z Tommym Haasem z Niemiec. W trzecim secie podczas zażartego tie-breaku sędzia liniowy robi straszliwie głupi błąd. Haas wyrzuca piłkę na aut i za wysoko, ale sędzia

liniowy uznaje, że była dobra, dając Haasowi znaczne prowadzenie 6–3. Jest to najgorsza sytuacja w mojej karierze. Wiem, że piłka była autowa, wiem to bez wątplenia, ale moje sprzeciwy są na nic. Drugi sędzia liniowy oraz sędzia główny podtrzymują decyzję o punkcie dla Haasa. Przegrywam w tie-breaku. Teraz jest dwa do jednego w setach, duża luka.

Organizatorzy przerywają mecz, przesuwają zakończenie z powodu zapadających ciemności. W hotelu, oglądając wiadomości, widzę, jak piłka o kilka centymetrów przekroczyła linię. Mogę się tylko śmiać.

Na drugi dzień, wchodząc na kort, wciąż się śmieję. Błędny werdykt nadal nic mnie nie obchodzi. Jestem po prostu szczęśliwy, że tu jestem. Może jeszcze nie wiem, jak jednocześnie być szczęśliwym i dobrze grać. Haas wygrywa czwarty set. Mówi później dziennikarzem, że byłem dla niego idolem, kiedy dorastał. Zawsze trzymałem kciuki za Agassiego, wyznaje. To dla mnie szczególna wygrana, bo on został mistrzem Wimbledonu w 1992 roku, a teraz mogę powiedzieć, że pokonałem Andre Agassiego, były numer jeden na świecie, który wygrał parę turniejów wielkoszlemowych.

Brzmi to jak mowa pogrzebowa. Czy temu facetowi się wydaje, że mnie pogrzebał?

A czy ktoś na konferencji nie mógł powiedzieć mu, że wygrałem trzy szlemy?

Brooke dostaje rolę w niezależnym filmie pod tytułem *Black & White*. Jest zachwycona, bo reżyser to geniusz, a scenariusz opisuje relacje międzyrasowe, do tego będzie improwizowała swoje kwestie i zrobią jej dredy na głowie. Zamieszka też w lesie przez miesiąc wraz z kolegami aktorami. Kiedy rozmawiamy przez telefon, opowiada, że będą wcielać się w swoje role dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czy to nie wspaniałe?

Wspaniałe, mówię, wywracając oczami.

Podczas jej pierwszego śniadania w domu, kiedy jemy posiłek w kuchni, zasypuje mnie mnóstwem historyjek na temat Roberta Downeya Jr. i Mike'a Tysona oraz Marli Maples oraz innych gwiazd z tego filmu. Staram się wykazać zainteresowanie. Pyta o tenisa i ona tym razem stara się wykazać zainteresowanie. Rozmawiamy bardzo ostrożnie niczym para nieznanym. Nie przypominamy małżeństwa dzielącego kuchnię – raczej nastolatki w schronisku młodzieżowym. Jesteśmy układni, grzeczni, nawet

mili, ale atmosfera aż zgrzyta, jakby wszystko za chwilę miało się rozpaść na tysiąc kawałków.

Wkładam kolejne polano do kuchennego paleniska.

No i mam ci coś do powiedzenia, oznajmia Brooke. Na wyjeździe zrobiłam sobie tatuaż.

Odwracam się na pięcie. Żartujesz sobie.

Idziemy do łazienki, gdzie jest jaśniej. Brooke zsuwa dzinsy i pokazuje mi. Na biodrze. Pies.

Czy przyszło ci do głowy, by mnie spytać o zdanie?

Pytanie najgorsze z możliwych, jak z podręcznika. Nazywa to kontrolowaniem. Od kiedy to potrzebuje mojego pozwolenia, by przyozdobić swoje ciało? Wracam do kuchni, nalewam sobie drugą filiżankę kawy i wpatruję się jeszcze bardziej w płomienie.

Wpatruję się mocniej.

Z powodu rozlicznych obowiązków nie mogliśmy pojechać z Brooke na miesiąc miodowy tuż po ślubie. Ale teraz, kiedy sfinalizowała zdjęcia, a ja po prostu skończyłem, zdaje się, że przyszedł na to idealny moment. Postanawiamy pojechać na wyspę Necker w archipelagu Brytyjskich Wysp Dziewiczych, na południowy wschód od wyspy Indigo. Należy do miliardera Richarda Bransona, który zapewnia nas, że bardzo się nam tam spodoba.

To rajska wyspa!

Od chwili wylądowania na miejscu całkowicie tracimy synchronizację. Nie możemy się zrelaksować. Nie potrafimy uzgodnić, jak mamy spędzać wspólnie czas. Ja chcę odpocząć. Brooke zamierza nauczyć się nurkować z akwalungiem. I pragnie, żebym uczył się razem z nią. Co oznacza udział w zajęciach. Mówię jej, że ze wszystkich rzeczy, które chciałbym robić podczas miesiąca miodowego, udział w zajęciach zajmuje poczesne miejsce, tuż obok lewatywy.

Podczas oglądania *Przyjaciół*.

Nalega.

Godzinami siedzimy na basenie, gdzie instruktor informuje nas o kombinezonach, butlach i maskach. Woda wciąż wcieka mi do maski, bo mam popołudniową szczecinę i nie chce dobrze przylegać do skóry. Idę do pokoju ogolić się.

Kiedy wracam, instruktor tłumaczy, że ostatnią fazą treningu będzie gra w karty pod wodą. Jeśli potrafisz siedzieć spokojnie pod wodą i grać w karty na dnie basenu, jeśli jesteś w stanie zagrać całą grę bez potrzeby wyjścia na zewnątrz, to stałeś się płetwonurkiem. No i proszę, oto ja w pełnym rynsztunku na Karaibach siedzę na dnie basenu i gram w Czarnego Piotrusia. Nie czuję się jak płetwonurek. Raczej jak Dustin Hoffman w *Absolwencie*. Wyłażę z basenu i mówię Brooke, że nie mogę dłużej.

Nigdy nie chcesz spróbować czegoś nowego.

Baw się dobrze. Wypłynij na środek oceanu, jeśli masz ochotę. Przywitaj się z Małą Syrenką. Ja wracam do pokoju.

Idę do kuchni i zamawiam wielki półmisek frytek. Następnie wracam do pokoju, kopniakiem zrzucam buty ze stóp, wyciągam się na kanapie i przez resztę dnia oglądam telewizję.

Opuszczamy rajską wyspę trzy dni wcześniej. Miesiąc miodowy się skończył.

Jestem w Waszyngtonie na Legg Mason 1998. Następna fala lipcowych upałów przetacza się przez miasto i zaczyna się kolejny wyniszczający turniej. Inni zawodnicy narzekają na upał i pewnie ja też bym narzekał, ale czuję jedynie chłodną wdzięczność i stalową wolę, które utrzymuję w sobie, wstając wcześniej co rano i zapisując moje cele. Po przelaniu ich na papier, wypowiadam je na głos: Żadnych skrótów.

Tuż przed rozpoczęciem turnieju, podczas ostatniego treningu z Bradem gram bez entuzjazmu. Perry odwozi mnie do hotelu. Wyglądam w milczeniu przez okno.

Zjedź na pobocze, mówię.

Dlaczego?

Po prostu zjedź.

Zjeżdża.

Jedź trzy kilometry i poczekaj na mnie.

O czym ty gadasz? Odbiło ci?

Jeszcze nie skończyłem. Nie przykładałem się dzisiaj do treningu.

Biegnę przez Rock Creek Park, ten sam, w którym w 1987 roku rozdałem bezdomnym swoje rakiety. Z każdym krokiem zbliżam się do omdlenia, ale nic mnie to nie obchodzi. Ten bieg, nawet jeśli spowoduje porażenie słoneczne, da mi spokój umysłu oraz niezwykle ważne dziesięć

minut przed snem. Teraz żyję dla tych dziesięciu minut. Mogę myśleć tylko o nich. Oklaskiwały mnie tysiące, wygwizdywały tysiące, ale nic nie smakuje tak gorzko jak gwizdy, które słyszysz we własnej głowie na dziesięć minut przed zaśnięciem.

Kiedy wsiałam do samochodu, mam twarz czerwoną jak burak. Osuwam się na siedzeniu pasażera, podkręcam klimatyzację i uśmiecham się do Perry'ego.

Tak właśnie my to robimy, mówi, podsuwając mi ręcznik i ruszając.

Dochodzę do finału. Znowu mam walczyć z Draperem. Pamiętam, że nie tak dawno zastanawiałem się, jak mam go pokonać. Pamiętam, jak kręciłem z niedowierzaniem głową na myśl o tym, czy kiedykolwiek byłbym w stanie go minąć. Jeden z paskudnych momentów życia. Teraz rozbrajam go w pięćdziesiąt minut, 6–2, 6–0. Wygrywam turniej po raz czwarty.

Na Mercedes Benz Cup docieram do finału bez utraty jednego seta i w końcu wygrywam turniej. Na du Maurier Open w Toronto znowu staję przeciw Pete'owi. Gra wspaniale w pierwszym secie, ale męczy się w drugim. Pokonuję go, co kosztuje go pierwszą pozycję w rankingu tenisistów, a mnie winduje na dziewiąte miejsce.

W półfinale spotykam się z Krajickiem. Wciąż ma dobre samopoczucie po wygranej Wimbledonu w 1996 roku, co udało mu się jako jedynemu Holendrowi. Pokonał wtedy Pete'a w ćwierćfinale, przez co ten przegrał Wimbledon po raz pierwszy od lat. Ale ja nie jestem Pete'em i nie jestem też sobą. Krajicek przegrywa set, serwuje na 3–4 w drugim secie, zero – czterdzieści. Potrójny break point. Posyłam mu najlepszą kontrę w całym moim dorosłym życiu. Piłka zdaje się sunąć o centymetr nad siatką, zostawiając dymiący ślad za sobą. To prawdziwa, staromodna rakietka. Krajicek zamyka oczy, wyciąga rakieta i wali z woleja na oślep. Piłka może polecieć wszędzie, on nie ma pojęcia, gdzie wyląduje, ale broni się. Gdyby jego rakietka była nachylona minimalnie pod innym kątem, piłka trafiłaby kogoś z pierwszego rzędu, ja przełamałbym serwis i zaczął kontrolować mecz. Jednak zdobywa punkt, utrzymuje serwis, pokonuje mnie w trzech setach i kończy mój ciąg wygranych meczów na liczbie piętnaście. W starych dobrych czasach miałbym problem, żeby się z tym uporać. Teraz mówię do Brada: Na tym polega tenis, co BG?

Rozpoczynając zmagania na US Open w 1998 roku, jestem sklasyfikowany jako ósmy zawodnik na świecie. Cała publiczność jest za

mną, co zawsze podnosi mnie na duchu, sprawia, że sunę lekko jak baletnica. W meczu o ćwierćfinał stoję przed Kučerą, który zdaje się miał ochotę popsuć mi szyki swoim serwisem. Podrzuca piłkę, zamiera, łapie ją i znów rzuca. Jest dwa do zera w setach dla niego i szczerze mnie ten facet wnerwia. Wtedy przypominam sobie: im lepszy tenis gra się z Kučerą, tym on gra lepiej. Strzel mu jakąś kupę, a wyjdzie z tego jeszcze większa. O to chodzi – gram za dobrze! Za dobrze serwuję. Kiedy przychodzi moja kolej, naśladuję Kučerę. Tłum wybucha śmiechem. Potem zagrywam jeszcze kilka fajansiarskich piłek. Wnerwiłem swojego rywala, na fali jego irytacji wracam do gry.

Pada deszcz. Mecz zostaje przełożony na jutro.

Brooke i ja idziemy na późną kolację z jej przyjaciółmi. Aktorami. Zawsze ci aktorzy. Niebo się przetarło, jemy więc na zewnątrz restauracji w centrum, gdzie stoły ustawiono na dachu. Po posiłku stoimy na ulicy, życząc sobie dobrej nocy.

Powodzenia jutro!, krzyczą aktorzy, wskakując do taksówek, bo jadą na popijawę.

Brooke patrzy za nimi, odwraca się do mnie. Wydyma dolną wargę. Jest rozdarta. Wygląda jak dziecko, które wie, co powinno, i wie, co ma ochotę zrobić.

Biorę łyk z buteleczki z Wodą Gila. Jedź, mówię.

Naprawdę? Nie będziesz miał mi za złe?

Nie, kłamie. Baw się dobrze.

Jadę taksówką do mieszkania Brooke. Sprzedała tamto i kupiła inne na Upper East Side. Brakuje mi dawnego mieszkania. Tęsknię za frontowymi drzwiami, przed którymi stał na straży Gil. Brakuje mi nawet bezokich, bezwłosych, afrykańskich masek, choćby tylko dlatego, że wtedy ani ja, ani Brooke nie nosiliśmy swoich. Kończę Wodę Gila, wślizguję się do łóżka. Odpływam, ale budzę się kilka godzin później, kiedy Brooke wraca do domu.

Śpij dalej, szepcze.

Staram się. Nie mogę. Wstaję i biorę pastylkę na sen.

Na drugi dzień mam potężną bitwę z Kučerą. Udaje mi się doprowadzić do remisu. On ma jednak więcej werwy, więcej wytrzymałości. Pokonuje mnie w ciężkim piątym secie.

Siedzę w rogu naszej łazienki w Los Angeles i patrzę, jak Brooke się szykuje do wyjścia. Ja zostaję w domu – znowu. Rozmawiamy o tym, dlaczego zawsze tak jest.

Rzuca oskarżenia, że odmawiam wejścia w jej świat. Uważa, że nie jestem otwarty na nowe doświadczenia, na nowych ludzi. Nie interesują mnie spotkania z jej znajomymi. Co wieczór ocierałbym się o prawdziwych geniuszy – pisarzy, artystów, aktorów, muzyków, reżyserów. Brałbym udział w otwarciach wystaw, w światowych premierach, spektaklach i prywatnych pokazach filmowych. A ja tylko chcę siedzieć w domu i gapić się w telewizor, w ostateczności, jeśli jestem w nastroju, mogę zaprosić J.P. i Joni na kolację.

Nie umiem kłamać. Zdaje się, że to będzie wspaniały wieczór.

Andre, mówi, oni źle na ciebie wpływają. Perry, J.P., Philly, Brad – hołubią cię, dogadzają ci, ustępują. Żaden z nich nie ma na względzie twego dobra.

Uważasz, że moi przyjaciele chcą dla mnie źle?

Wszyscy oprócz Gila.

Wszyscy?

Wszyscy. A szczególnie Perry.

Wiem, że ma zatarg z Perrym o to, że zrezygnował z roli producenta serialu *A teraz Susan*. Wiem, iż jest poirytowana, bo nie wziąłem jej strony w tym sporze. Ale nie miałem pojęcia, że zamierza skreślać wszystkie osoby z mojej ekipy.

Odwraca się od lustra ze słowami: Andre, uważam cię za różę wśród cierni.

Różę wśród czego...?

Niewinną osobę otoczoną przez ludzi, którzy pragną cię wykrwawić do końca.

Nie jestem aż tak niewinny. A te ciernie pomagały mi od dzieciństwa. Ciernie uratowały mi życie.

Krępują cię. Starają się nie dopuścić do tego, żebyś wydorósł. Żebyś się rozwinął. Jesteś niewyrobinny, Andre.

Perry i ja wybieramy na miejsce powstania szkoły najgorszą dzielnicę w zachodnim Las Vegas, bo może stać się wabikiem. Po miesiącach sprawdzania kolejnych lokalizacji, starań, by znaleźć działkę w dobrej cenie i zdolną pomieścić rozwijający się kampus, natrafiamy na ośmioakrową

parcelę, która odpowiada naszym wymaganiom. Znajduje się w centrum miejskiego ugoru otoczonego lombardami i domami, które już dawno należałoby zburzyć. Znajduje się na terenie pierwotnego Las Vegas, na dawno zapomnianym przyczółku, gdzie zjawili się pierwsi osadnicy, a później go porzucili. Podoba mi się to, że nasza szkoła powstanie na terenie, który też zna wagę porzucenia. Gdzieżby lepiej zapoczątkować w życiu dzieci zmiany, jakie sobie zaplanowaliśmy?

Na uroczystości wkopania kamienia węgielnego zjawili się kilkunastu polityków i dygnitarzy oraz przywódca z dzielnicy. Dziennikarze, kamery telewizyjne, przemowy. Wbijamy wypolerowaną do połysku łopatę w zaśmiecony grunt. Rozglądam się wokół i już niemal słyszę odgłosy dziecięcych zabaw, śmiech i zadawane pytania. Czuję obecność tych wszystkich, którzy tutaj zagoszczą i rozejdą się z tego miejsca dalej w świat. Kręci mi się w głowie na myśl o marzeniach, jakie tu się zrodzą, o istnieniach ludzkich, które zostaną tu ukształtowane i ocalone. Jestem tak pochłonięty tym, co się tu stanie w przyszłości, za kilka lat i wiele dziesięcioleci później, gdy mnie już nie będzie, że nie słyszę wystąpień. Przyszłość przyćmiewa teraźniejszość.

Nagle ktoś wyrywa mnie z zadumy, prosi, żebym ustawił się wraz z grupą do zdjęcia. Błyska lampa, jest to szczęśliwe wydarzenie, choć mnie zniechęca. Przed nami jeszcze wiele pracy. Walka o to, by otworzyć, uwierzytelnić oraz sfinansować szkołę, będzie ciężka. Gdyby nie postępy, jakie notuję, od kilku miesięcy walcząc o powrót na szczyt kariery tenisowej, by powrócić do dawnego zdrowia i równowagi, nie wiem, czy starczyłoby mi sił.

Ludzie pytają mnie, gdzie jest Brooke, dlaczego nie ma jej tutaj na ceremonii. Mówię im prawdę. Nie wiem.

Sylwester, zamknięcie 1998 roku. Razem z Brooke jak zwykle wydajemy przyjęcie noworoczne. Bez względu na to, jak oddaliliśmy się od siebie, nalega, by w święta nie dawać nic poznać po sobie przed przyjaciółmi i rodziną. Czuję, jakbyśmy byli aktorami, a nasi goście publicznością. A jednak, nawet jeśli widzów nie ma, ona odgrywa swoją rolę, a ja idę w jej ślady. Na kilka godzin przed przybyciem gości udajemy, że jesteśmy szczęśliwi – jest to swoista próba kostiumowa. Kilka godzin później, gdy już sobie idą, my udajemy dalej. Jest to przyjęcie specjalnie dla aktorów.



Dzisiaj chyba jest więcej znajomych i rodziny Brooke niż mojej publiczności. Do tej grupy zalicza się też jej nowy pies, pitbul albinos o imieniu Sam. Warczy na moich przyjaciół. Warczy, jakby został poinstruowany przez Brooke, poinformowany, co ona o nich myśli.

J.P. i ja siedzimy w rogu salonu, gapiąc się na psa, który leży u stóp Brooke, gapiąc się na nas.

Pies mógłby nawet być, uważa J.P., gdyby siedział tutaj. Wskazuje na podłogę przy moich stopach.

Śmieję się.

Nie. Mówię poważnie. To nie jest fajny pies. To nie jest twój pies. To nie jest twój dom. To nie jest twoje życie.

Hmm.

Andre, to krzesło jest w czerwone kwiaty.

Spoglądam na krzesło, na którym siedzi, i postrzegam je, jakbym patrzył na nie po raz pierwszy w życiu.

Andre, mówi, czerwone kwiaty. Czerwone kwiaty.

Kiedy pakujemy się na Australian Open w 1999 roku, Brooke marszczy brwi i tupie gniewnie po domu. Jest zirytowana moimi próbami powrotu na kort. Nie chodzi o to, że ruszam w trasę, biorąc pod uwagę panujące między nami napięcie. Mogę więc tylko podejrzewać, że uważa, iż marnuję czas. Z całą pewnością nie jest odosobniona w tym podejrzeniu.

Całuję ją na pożegnanie. Życzy mi szczęścia.

Docieram do ćwierćfinału. Wieczorem na dzień przed meczem dzwonię do niej.

Trudno jest, mówi.

Co takiego?

Z nami. Z tym.

Tak, jest ciężko.

Tak bardzo się oddaliliśmy się od siebie, stwierdza.

Australia jest daleko.

Nie. Nawet gdy przebywamy w tym samym pokoju, jest dystans.

Myślę: Powiedziałaś, że mam złych przyjaciół. Jak ma nie być tego dystansu?

Mówię: Wiem.

Kiedy wrócisz do domu, oznajmia, powinniśmy porozmawiać. Musimy porozmawiać.

O czym?

Powtarza: Kiedy wrócisz do domu. Zdaje się być czymś przytłoczona. Czy ona płacze? Stara się zmienić temat: Z kim grasz?

Odpowiadam. Nigdy nie pamięta nazwisk ani nie wie, z czym się kojarzą.

Pyta, czy będzie transmisja?

Nie wiem. Pewnie tak.

Będę oglądać.

Dobrze.

No to dobrze.

Dobranoc.

Kilka godzin później gram ze Spadeą, moim sparingpartnerem sprzed roku z dnia po sylwestrze. Nie jest nawet w połowie takim zawodnikiem jak ja. W czasach świetności pokonałbym go dziecięcą łopatką. Jednak byłem w trasie przez trzydzieści dwa z ostatnich pięćdziesięciu dwóch tygodni, nie wspominając o treningach z Gilem, walce o szkołę i manewrach miłosnych z Brooke. Wciąż mam w pamięci rozmowę telefoniczną z nią. Spadea dopada mnie w czwartym secie.

Gazety są okrutne. Wyliczają, że zostałem wyeliminowany z ostatnich sześciu szlemów. Wszystko prawda. Piszą też, że jestem żenujący. Zbyt długo na korcie, piszą. Agassi nie wie, kiedy skończyć. Wygrał trzy szlemy. Ma teraz prawie dwadzieścia dziewięć lat. Ile jeszcze ma nadzieję osiągnąć?

Każdy artykuł zawiera jedną myśl przewodnią: W wieku, w którym większość jego rówieśników myśli o emeryturze, on...

Wchodzę do domu i wołam Brooke. Cisza. Jest poranek, pewnie jest w studiu. Cały dzień czekam na jej powrót. Staram się odpocząć, ale trudno jest to zrobić, kiedy gapi się na ciebie pitbul albinos.

Brooke wraca, gdy jest już ciemno i pogoda zmienia się na gorsze. Zapada deszczowa, wietrzna noc. Proponuje, żebyśmy poszli gdzieś na kolację.

Na sushi?

Wspaniale.

Jedziemy do jednej z naszych ulubionych restauracji, do Matsuhisy, siadamy przy barze. Zamawia sake. Ja umieram z głodu. Zamawiam

wszystkie moje ulubione dania. Błękitna płetwa sashimi, krab z ogórkiem i awokado. Brooke wzdycha.

Zawsze zamawiasz to samo.

Jestem zbyt głodny i zmęczony, żeby przejmować się brakiem jej akceptacji.

Znów wzdycha.

Co jest nie tak?

Nawet nie mogę ci teraz spojrzeć w oczy.

Oczy ma wilgotne.

Brooke?

Nie, naprawdę. Nie mogę spojrzeć na ciebie.

Spokojnie. Weź głęboki wdech. Proszę, bardzo proszę, nie płacz. Zapłaćmy i idźmy stąd. Porozmawiamy o tym w domu.

Nie wiem dlaczego, ale po tym wszystkim, co o mnie wypisywano przez ostatnich kilka dni, jest dla mnie ważne, żeby w gazetach nie pojawiła się rewelacja, iż oto widziano mnie, jak kłóciłem się z żoną.

W samochodzie Brooke wciąż płacze. Nie jestem szczęśliwa, mówi. Nie jesteśmy szczęśliwi. Od dawna nie byliśmy szczęśliwi. I nie wiem, czy kiedykolwiek będziemy mogli zaznać szczęścia, jeśli zostaniemy razem.

No tak. Zaczęło się. Tak to więc jest.

Wchodzę do domu niczym zombie. Wyciągam walizkę z szafy, w której, jak zauważam, panuje wzorowy ład, jest tak czysto, że aż się mdło robi. Uzmysławiam sobie, jak trudno musiało się żyć Brooke z moimi porażkami, cichymi dniami, uniesieniami i depresjami. Ale zauważam też, jak niewiele miejsca w tej szafie przeznaczono dla mnie. Przypomina mi się J.P.: To nie jest twój dom.

Chwytam kilka wieszaków z moim rzeczami i niosę je na dół.

Brooke siedzi w kuchni i szlocha. Nie płacze tak jak w restauracji i w samochodzie, ale szlocha. Siedzi na wysokim stołku, na osobnej wyspie przy rzeźnickim kłocu. Zawsze te wyspy. Tak czy inaczej spędzaliśmy nasz wspólny czas na wyspach. My jesteśmy wyspami. Dwiema wyspami. I nie mogę sobie przypomnieć, kiedy było inaczej.

Pyta mnie: Co ty robisz? Co się dzieje?

Jak to, co się dzieje? Odchodzę.

Pada deszcz. Poczekaaj do rana.

Po co odwlekać? Najlepiej od razu.

Składam na kupę podstawowe przedmioty: ubrania, blender, ziarna kawy z Jamajki, francuską praskę – i prezent, który niedawno dostałem od Brooke. To przerażający obraz, który widzieliśmy z Phyllym w Luwrze. Zamówiła artystę, który zrobił jego dokładną kopię. Patrząc na człowieka wiszącego na skraju przepaści. Jak udało mu się do tej pory nie spaść? Wrzucam wszystko na tylne siedzenie mojego samochodu, utrzymanego w nienagannym stanie cadillaca eldorado z 1976 roku, z ostatniego roku, kiedy je jeszcze produkowali. Samochód ma barwę śnieżnobiałą, białą jak lilia, więc nazwałem go Lily. Przekręcam kluczyk w stacyjce Lily i tablica rozdzielcza rozświecła się niczym stary telewizor. Licznik wskazuje trzydzieści siedem tysięcy kilometrów. Uderza mnie to, że Lily jest moim dokładnym przeciwieństwem. Stara z niskim przebiegiem.

Wyjeżdżam z podjazdu na ulicę.

O kilometr od domu zaczynam płakać. Przez łąy i gęstniejącą mgłę ledwo widzę chromowany wieniec na masce. Ale jadę dalej i dalej, aż dojeżdżam do San Bernardino. Mgła zmienia się w śnieg. Przejazd przez góry jest zamknięty. Dzwonię do Perry'ego i pytam go, czy jest jakaś inna droga do Vegas.

Co się stało?

Będzie sądowa separacja, oznajmiam. Już się nie rozpoznajemy.

Przypomina mi się dzień zerwania z Wendi, kiedy zatrzymałem się i zadzwoniłem do Perry'ego. Myślę o tym wszystkim, co się wydarzyło od tamtego czasu – i proszę, znów się zatrzymałem i dzwonię do Perry'ego ze złamanym sercem.

Mówi, że nie ma innej drogi do Vegas, więc muszę zawrócić i jechać na wybrzeże, po czym zatrzymać się w pierwszym motelu, w którym będą wolne pokoje. Jadę powoli, przedzierając się przez śnieg, a samochodem zarzuca i miota po śliskiej autostradzie. Zatrzymuję się w każdym motelu. Nie ma miejsc. W końcu udaje mi się dostać łóżko w jakimś hoteliku w miejscowości Zadupie w stanie Kalifornia. Leżę w zajeżdżającej pościeli i przeprowadzam własne przesłuchanie. Jak tu się, do diabła, znalazłeś? Jak do tego doszło? Dlaczego tak reagujesz? Twoje małżeństwo jest dalekie od doskonałości, nawet nie jesteś pewny, po co w ogóle się żeniłeś, czy w ogóle chciałeś się żenić – dlaczego więc zmieniasz się w taki emocjonalny wrak na myśl, że może być już po wszystkim?

Ponieważ nienawidzę przegrywać. A rozwód to sromotna porażka.

Ale przecież znasz już gorycz porażki – dlaczego ta miałaby być inna?

Bo nie można wynieść z tej porażki żadnej lekcji, żeby móc się poprawić.

Dzwonię do Brooke dwa dni później. Ja jestem skruszony, ona stwardniała.

Obydwoje potrzebujemy czasu, by to przemyśleć, mówi. Przez jakiś czas nie powinniśmy się kontaktować. Musimy wejrzeć w siebie i nie przeszkadzać sobie nawzajem.

Wejrzeć w siebie? A co to ma w ogóle znaczyć – i na jak długo?

Na trzy tygodnie.

Trzy? Skąd ci się wzięły akurat trzy tygodnie?

Nie odpowiada.

Proponuje mi, żebym wykorzystał tę przerwę na odwiedziny u psychologa.

Jest drobną, ciemnowłosą kobietą w małym, zaciemnionym gabinecie w Vegas. Siedzę na kozetce dla zakochanych – co samo w sobie jest podszyte zjadliwą ironią losu. Ona siedzi na krześle o metr ode mnie. Słucha mnie, nie przerywając. Wolałbym, żeby przerywała. Chcę odpowiedzi. Im dłużej opowiadam, tym jaskrawiej dociera do mnie, że mówię sam do siebie. Jak zwykle. To nie jest sposób na uratowanie małżeństwa. Gadaniem jednej osoby nie ratuje się małżeństwa ani nie rozwiązuje problemów.

Tej nocy budzę się późno na podłodze. Plecy mam całe zeszywniałe. Idę do salonu i siadam na kanapie z podkładką i piórem. Piszę do Brooke. Jest to kolejny, napisany odręcznie, długi, błagalny list, ale ten jest prawdziwy. Rankiem faksuję strony do domu Brooke. Patrzę na kartki przechodzące przez maszynę i myślę o tym, jak to się wszystko zaczęło pięć lat temu, kiedy puszczałem fakсы przez maszynę Philla, wstrzymywałem oddech i czekałem na dowcipną, filuterną odpowiedź z jakiejś chaty w Afryce.

Tym razem odpowiedź nie nadchodzi.

Znów faksuję. Potem jeszcze raz.

Ona jest o wiele dalej niż w Afryce.

Dzwonię.

Wiem, że mówiłaś o trzech tygodniach, ale muszę z tobą porozmawiać. Myślę, że powinniśmy się spotkać. Powinniśmy razem przez to przejść.

Och, Andre.

Czekam.

Och, Andre, powtarza. Ty nic nie rozumiesz. Po prostu do ciebie nie dociera. Tu nie chodzi o nas – tu chodzi o mnie osobno i ciebie osobno.

Przyznaję jej rację, nie rozumiem. Mówię jej, że nie wiem, w jaki sposób do tego doszło. Wyznaję, jaki byłem nieszczęśliwy od dawna. Przykro mi, że tak bardzo oddaliliśmy się od siebie, że stałem się chłodny. Mówię jej o wirze, wiecznym wirze, sile odśrodkowej popieprzonego życia tenisisty. O tym, że od dawna, może od zawsze, nie wiem, kim jestem. Opowiadam o poszukiwaniu własnego ja, niekończącym się monologu w mojej głowie, o depresji. Zwierzam się ze wszystkiego, co mi leży na sercu, ale wypowiadam to w sposób niezdarny, nieporadny, zacinając się. To żenujące, ale konieczne, bo nie chcę jej stracić, mam już dość strat i wiem, że jeśli będę z nią szczery, da mi jeszcze jedną szansę.

Odpowiada, że bardzo mi współczuje z powodu moich cierpień, ale nie może nic na to poradzić. Nie potrafi mnie naprawić. Sam muszę to zrobić. Samodzielnie.

Wysłuchując się w ciągły sygnał w słuchawce, czuję zrezygnowanie i spokój. Teraz ta rozmowa telefoniczna wydaje się pospiesznym, szorstkim uściskiem dłoni przez siatkę dzielącą przeciwników.

Jem coś, oglądam telewizję, kładę się wcześniej spać. Rankiem dzwonię do Perry'ego i informuję go, że chcę mieć najszybszy rozwód w historii szybkich rozwodów.

Oddaję moją platynową obrączkę przyjacielowi, wskazując mu drogę do najbliższego lombardu. Bierz od razu, ile dają, mówię. Kiedy przynosi gotówkę, robię darowiznę dla mojej nowej szkoły od Brooke Christy Shields. Na dobre i złe, w zdrowiu i chorobie, na zawsze będzie jednym z pierwszych darczyńców.



Pierwszy turniej w moim nowym życiu bez Brooke odbywa się w San Jose. J.P. przyjeżdża na kilka dni z Orange County jako pogotowie psychologiczne. Zachęca mnie, radzi, nakłania, obiecuje, że nadejdą jeszcze lepsze czasy. Rozumie, że mam złe i dobre dni. W jednej chwili krzyczę: A do diabła z Brooke!, a w następnej żalę się, że za nią tęsknię. Stwierdza, że wszystko odbywa się jak w podręczniku. Uważa, że przez ostatnich kilka lat mój umysł był niczym bagno – stojąca, cuchnąca woda wyciekająca we wszystkich kierunkach. Teraz nadszedł czas, aby zmienił się w bystrą rzekę – spienioną, uregulowaną, a przez to czystą. Podoba mi się to. Zapewniam, że postaram się zachować ten obraz w pamięci. Jest mi dobrze, panuję nad wszystkim. Jego rady są niczym maska tlenowa na twarzy.

Później wyjeżdża z powrotem do Orange County, a ja znów się rozklejam. Stoję na korcie w środku meczu i myślę o wszystkim, tylko nie o moim przeciwniku. Pytam sam siebie: Skoro ślubowałeś przed Bogiem i rodziną, skoro powiedziałeś „tak”, a teraz się wypierasz, to kim jesteś?

Porażką.

Chodzę w kółko i klnę na siebie. Sędzia liniowy słyszy, jak traktuję się obelżywym słowem, mija mnie, przechodzi przez kort i zbliża się do sędziego stołkowego. Donosi mu, że używam wulgarnego języka.

Sędzia daje mi ostrzeżenie.

Wraca liniowy, przechodzi przez kort, mija mnie i zajmuje swoją pozycję. Rzucam mu wrogie spojrzenie. Kapuś z długim językiem. Żalony skarżypyta. Wiem, że nie powinienem, wiem, że pożałuję tego, ale nie jestem w stanie się powstrzymać.

Lachociąg.

Zatrzymuje się, odwraca, maszeruje prosto do sędziego głównego, znów na mnie donosi.

Tym razem otrzymuję punkt karny.

Sędzia liniowy znów wraca obok mnie i zajmuje swoją pozycję.

Mówię: I tak jesteś lachociągiem.

Zamiera, odwraca się, wędruje do sędziego stołkowego, który wzdycha i nachyla się na swoim krzeselku. Wzywa sędziego głównego, który też wzdycha i wzywa mnie do siebie.

Andre, czy nazwałeś liniowego lachociągiem?

Mam skłamać czy powiedzieć prawdę?

Muszę wiedzieć, czy to powiedziałeś.

Powiedziałem. I wie pan co? On jest lachociągiem.

Wywalają mnie z turnieju.

Kieruję się z powrotem do Vegas. Dzwoni Brad. Zbliża się turniej w Indian Wells, przypomina. Mówię, że mam teraz urwanie głowy, ale nie mogę mu powiedzieć z jakiego powodu. A udział w Indian Wells jest wykluczony.

Muszę wydobrzcć, uspokoić się, co oznacza mnóstwo czasu spędzonego z Gilem. Co wieczór kupujemy torbę hamburgerów i jedziemy na przejażdżkę po mieście. Opuszczam wiele treningów, ale Gil widzi, że potrzebuję pocieszenia. Widzi też, że może stracić palec, jeśli będzie się starał odebrać mi hamburgera.

Jedziemy w góry, w tę i z powrotem po Stripie, słuchając specjalnej płyty Gila. Nazywa ją Skurczem Bebechów. Filozofia mojego przyjaciela opiera się na szukaniu bólu we wszystkim, zabieganiu o jego względy, uzmysławianiu sobie, że ból to życie. Jeśli masz złamane serce, tłumaczy Gil, nie unikaj bólu. Rozkoszuj się nim. Boli nas, mówi, a niech boli. Skurcz Bebechów jest zestawem przepełnionych bólem piosenek miłosnych, najsmutniejszych, jakie zostały napisane. Słuchamy ich na okrągło i znamy słowa na pamięć. Po odtworzeniu jednego kawałka powtarzamy tekst. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że recytacja Gila jest



lepszą od każdego śpiewania. Może zawstydzić wszystkich muzyków razem wziętych. Wolę słuchać, jak Gil recytuje słowa, niż tego, jak Sinatra je wyśpiewuje.

Z każdym mijającym rokiem głos Gila staje się głębszy, dźwięczniejszy i bardziej aksamitny zarazem, a kiedy cytuje refren jakiejś łzawej piosenki, zdaje się łączyć w sobie smutek Mojżesza i kunszt Elvisa. Za swoją interpretację piosenki Barry'ego Manilowa *Please Don't Be Scared* powinien dostać Grammy:

*Bo ból mój drogi po to jest,  
By czy wciąż żyjesz, dowiedzieć się.*

Ale jego wersja utworu Roya Clarka *We Can't Build a Fire in the Rain* rusza mnie za każdym razem. Szczególnie tych kilka słów trąca w nas czułą strunę:

*Choć udajemy, przez życie idąc,  
Że jeszcze dziś los padnie w mig.*

Kiedy nie jestem z Gilem, zamykam się w moim nowym domu. Kupiłem go z Brooke na te nieczęste okazje, kiedy przyjeżdżaliśmy do Vegas. Teraz traktuję go jak kawalerską gawrę numer 2. Podoba mi się ten dom, jest utrzymany bardziej w moim stylu i nie przypomina domu z francuskiej prowincji, w którym mieszkaliśmy razem w Pacific Palisades, tylko że nie ma w nim kominka. Bez niego nie mogę myśleć. Muszę mieć ogień. Wynajmuję więc fachowca, żeby mi go postawił.

Dom podczas przebudowy przypomina pobojuwisko. Ze ścian zwieszają się wielkie plastikowe płachty. Wszystkie meble przykryte są brezentem. Na wszystkim leży gruba warstwa pyłu. Pewnego ranka, wpatrując się w niewykończony kominek, myślę o Mandeli. Myślę o obietnicach, które składałem sobie i innym też. Sięgam po telefon i dzwonię do Brada.

Przyjeźdź do Vegas. Jestem gotowy do gry.

Mówi, że już leci.

Niewiarygodne. Mógł mnie olać – nikt by go za to nie winił – ale on rzuca wszystko po jednym moim telefonie. Kocham tego faceta. A teraz, kiedy już wyjechał z domu, martwię się, że nie będzie mu wygodnie z powodu tych prac. Mimo to uśmiecham się. Mam dwa duże, ciężkie, skórzane fotele ustawione przed telewizorem i barek pełen piwa Bud Ice. Podstawowe wymagania Brada zostaną spełnione.

Pięć godzin później wchodzi do domu, rzuca się na jeden z foteli, otwiera piwo i od razu wygląda, jakby znalazł się w matczynej objęciach. Dołączam do niego z piwem. Robi się szósta. Przerzucamy się na zmrożone margherity. O ósmej wciąż siedzimy w fotelach, a Brad skacze po kanałach, szukając wiadomości sportowych.

Posłuchaj, Brad, muszę ci coś powiedzieć. Jest to coś, co powinienem był ci powiedzieć już jakiś czas temu.

Wpatruje się w telewizor. Ja gapię się w niedokończony kominek, wyobrażając sobie, że widzę w nim płomienie.

Widziałeś wczorajszy mecz?, pyta. W tym roku nikt nie pokona Duke'a.

Brad, to ważne. Musisz coś wiedzieć. Brooke i ja... to skończone. Nie uda nam się tego sklecić.

Odwraca się. Patrzy mi prosto w oczy. Następnie opiera łokcie na kolanach i zwiesza głowę. Nie miałem pojęcia, że tak go to kopnie. Zostaje w tej pozycji przez pełne trzy sekundy. W końcu podnosi wzrok i szczerzy do mnie zęby w pełnym uśmiechu.

To będzie wspaniały rok.

Co?

Będziemy mieli wspaniały rok.

Ale...

To jest najlepsze, co kiedykolwiek przydarzyło się twojej grze w tenisa.

Jestem w rozpacz. O czym ty gadasz?

W rozpacz? W takim razie patrzysz na to ze złej perspektywy. Nie macie dzieci. Jesteś wolny jak ptak. Gdybyś miał dzieci, rozumiem, byłby problem. Ale tak, upiekło ci się.

Chyba tak.

Trzymasz świat za jaja. Jesteś solo, bez łez i dramatów!

Wygląda, jakby mu odbiło. Jakby bredził w malignie. Wspomina, że zaraz zacznie się turniej w Key Biscayne, potem sezon na twardej nawierzchni, a potem – same dobre rzeczy, które się przydarzą.

Masz ciężar z głowy, mówi. Zamiast leżeć bykiem w Vegas i cierpieć, przyciśnijmy przeciwników do muru.

A wiesz co? Ty masz rację. To trzeba uczcić kolejną porcją margherity!

O dziewiątej stwierdzam, że powinniśmy coś zjeść.

Brad jest jednak w doskonałym nastroju i zadowala się zlizywaniem soli z brzegu kieliszka, a do tego znalazł tenis w telewizji, nocny mecz w Indian Wells. Steffi Graf kontra Serena Williams.

Odwraca się zamasyście i znów suszy do mnie zęby.

Tu masz godnego przeciwnika!

Wskazuje na telewizor.

Steffi Graf! To z nią powinieneś być.

Taa, jasne. Ona nie chce mnie znać.

Opowiedziałem Bradowi wszystko. O French Open w 1991 roku. O balu po Wimbledonie w 1992 roku. Próbowałem i próbowałem. Nic z tego. Steffi Graf jest jak French Open. Nie mogę przejść tej ostatniej linii mety.

To wszystko przeszłość, tłumaczy Brad. Poza tym twoje podejście było wtedy zupełnie nie twoje. Zapytałeś raz i się wycofałeś? Amatorszczyzna. Od kiedy to pozwalasz, żeby inni rozgrywali piłkę? Od kiedy to godzisz się z odmową.

Kiwam głową. Może.

Musisz tylko zerknąć, kontynuuje Brad. Potrzebujesz odrobiny, szczeliny. Okna. Otwarcia.

Następny turniej, w którym mamy grać ze Steffi Graf, to Key Biscayne. Brad mówi, żebym nie pękał, że mi to załatwi. Zna Heinza Gunthardta, trenera Steffi. Porozmawia z nim, żeby zorganizować wspólną sesję treningową.

Gdy tylko przyjeżdżamy do Key Biscayne, Brad dzwoni do Heinza, który jest zaskoczony tą propozycją. Odmawia. Twierdzi, że Steffi nigdy nie się zgodzi na zmianę grafiku ustalonych przygotowań i trening z nieznanym. Jest zbyt zdyscyplinowana. Ponadto jest nieśmiała. Będzie bardzo zmieszana. Brad jest natarczywy, a Heinz też musi mieć w sobie jakąś romantyczną strunę. Proponuje, żebyśmy zamówili z Bradem kort po treningu Steffi i pojawili się tam wcześniej. Heinz wtedy od niechcienia spyta, czy poodbija ze mną parę piłek.

Wszystko ustalone, podsumowuje Brad. W samo południe. Ja. Steffi. Heinz. Zaczniemy zabawę.

Ale wszystko po kolei. Dzwonię do J.P. i każę mu wziąć dupę w troki i lecieć na Florydę, biegusiem. Potrzebuję porady. Potrzebuję probierza. Potrzebuję skrzydłowego. Później pędzę na kort i zaczynam trenować.

Wyznaczonego dnia Brad i ja stawiamy się na korcie o czterdzieści minut przed czasem. Nigdy wcześniej nie miałem takiej zadyszki. Siedmiokrotnie grałem w finale Wielkiego Szlema i nigdy się tak nie czułem. Zastajemy Steffi i Heinza bardzo zaabsorbowanych treningiem. Stajemy z boku i się

przyglądamy. Po kilku minutach Heinz przywołuje Steffi do siatki i coś do niej mówi. Wskazuje na nas.

Spogląda.

Uśmiecham się.

Ona nie.

Mówi coś do trenera, on jej odpowiada, a potem ona kręci głową. Ale kiedy wraca na linię końcową, Heinz przywołuje nas na kort.

Szybko zawiązuję buty. Wyciągam rakietę z torby i wchodzę na kort – po czym impulsywnie zdzieram z siebie koszulkę. Wiem, że to bezwstydnie, ale jestem w desperacji. Steffi patrzy i ledwo zauważalnie zerka ponownie. Dzięki ci, Gil.

Zaczynamy odbijać. Oczywiście jest perfekcyjna, a ja walczę, żeby przebić piłkę przez siatkę. Siatka to twój największy wróg. Spokojnie, powtarzam w myślach. Przestań kombinować. No dalej, Andre, to tylko trening.

Nic nie mogę na to poradzić. Nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety. Stojąc w bezruchu, wygląda jak bogini, w ruchu to czysta poezja. Jestem zalotnikiem, ale też kibicem. Od dawna zastanawiałem się, jak to jest odebrać forhend Steffi Graf. Oglądałem jej grę w telewizji i na turniejach, zastanawiając się, jak czuje się piłka, odrywając się od jej rakiety. Piłka odbija się inaczej od rakiety każdego tenisisty – są nieznaczące, ale namacalne niuanse w sile i obrocie. A teraz, grając z nią, wyczuwam je wszystkie. Jakbym jej dotykał, chociaż stoimy od siebie daleko. Każdy forhend jest niczym gra wstępna.

Posyła mi serię bekhendów, siekąc kort na kawałki swoimi słynnymi bombami. Muszę zrobić na niej wrażenie umiejętności odbierania takich slajsów i zrobić z nimi to, co chcę. Ale jest to trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Opuuszczam jedną piłkę. Krzyczę do niej: Na drugi raz nie ujdzie ci to na sucho!

Nie komentuje tego. Posyła mi kolejnego slajsa. Odbieram bekhendem, uderzając w nią najmocniej, jak potrafię.

Dobija i trafia w siatkę.

Krzyczę: Ten strzał opłacił mi mnóstwo rachunków!

Znów nic. Po prostu uderza kolejną głębiej i niżej nad siatką.

Zwykle podczas takiego treningu Brad lubi coś robić. Śledzi piłki, daje wskazówki i gada cały czas. Nie tym razem. Siedzi na krzeselku sędziego

z otwartymi szeroko oczami niczym ratownik nad akwenem pełnym rekinów.

Za każdym razem, kiedy patrzę w jego stronę, wyszeptuje jedno słowo: Pięknie.

Wokół kortu zaczynają się gromadzić gapie. Kilku fotografów robi zdjęcia. Ciekawe dlaczego. Czy tak rzadko widuje się, jak trenują kobieta i mężczyzna? Albo może dlatego, że zachowuję się jak katatonik i przepuszczam co trzecią piłkę? Z oddali wygląda to, jakby Steffi Graf dawała lekcję jakiemuś szczerzącemu zębą niemowle bez koszulki.

Po godzinie i dziesięciu minutach, macha do mnie i podchodzi do siatki.

Bardzo ci dziękuję.

Drepczę do siatki i odpowiadam: Cała przyjemność po mojej stronie.

Udaje mi się zachować nonszalancję do chwili, w której opiera stopę na słupku i zaczyna rozciągać mięśnie nóg. Krew uderza mi do głowy. Muszę zacząć ćwiczyć, bo inaczej stracę przytomność. Nigdy wcześniej się nie rozciągałem, ale jest to odpowiednia chwila, by zacząć. Kładę nogę na słupku siatki i udaję, że mam giętki kręgosłup. Rozciągamy się, rozmawiamy o trasie, narzekamy wspólnie na trudy podróży, porównujemy opinie o odwiedzanych miastach.

Pytam: Które miasto lubisz najbardziej? Jak sobie wyobrażasz, gdzie zamieszkaż, kiedy przestaniesz już grać?

Och, tu jest remis. Między Nowym Jorkiem i San Francisco.

Myślę: A myślałaś kiedyś o zamieszkaniu w Las Vegas?

Mówię: To też moi dwaj faworyci.

Uśmiecha się. Cóż, jeszcze raz dziękuję.

Zawsze do usług.

Całujemy się po europejsku w oba policzki.

Brad i ja płyniemy z powrotem promem na Fisher Island, gdzie czeka już J.P. Cała nasza trójka przez resztę wieczoru rozmawia o Steffi, jakby była moim kolejnym przeciwnikiem, co w gruncie rzeczy jest prawdą. Brad podchodzi do niej jak do Raftera czy Pete'a. Ma mocne strony, ale ma też słabości. Rozbiera na czynniki pierwsze jej sposób gry, instruuje mnie. Co jakiś czas J.P. dzwoni do Joni, włącza zestaw głośnomówiący i staramy się w ten sposób poznać kobiecy punkt widzenia.

Rozmowa ciągnie się przez kolejne dwa dni. Przy kolacji, w saunie, w hotelowym barze mówimy wyłącznie o Steffi. Knujemy, używając

wojskowego żargonu ze słowami typu rozpoznanie czy wywiad. Czuję się tak, jakbyśmy planowali inwazję na Niemcy z morza i lądu.

Wydaje się dość chłodna w stosunku do mnie.

Brad na to: Nie ma pojęcia, że rozstałeś się ze swoją panią. Nie było o tym jeszcze w gazetach. Nikt nie wie. Musisz ją poinformować, jak jest, i powiedzieć o tym, co do niej czujesz.

Wyślę jej kwiaty.

Tak. Kwiaty są dobre, potwierdza J.P. Ale nie możesz ich wysłać od siebie. Przecieknie do prasy. Niech Joni je wyśle, z twoim nazwiskiem na bileciku.

Dobry pomysł.

Joni idzie do sklepu w South Beach i zgodnie z moimi zaleceniami kupuje wszystkie róże w kwiaciarni. Zamawia cały ogród różany, który wysyła do pokoju Steffi. W dołączonym liściku dziękuję Steffi za wspólny trening i zapraszam ją na kolację. Potem siadam i spokojnie czekam na telefon.

Nie dzwoni. Przez cały dzień.

Ani też dnia następnego.

Bez względu na to, jak mocno wpatruję się w telefon ani jak na niego krzyczę, nie chce dzwonić. Brad przychodzi do mego pokoju i martwi się, że będzie musiał mi dać coś na uspokojenie.

Krzyczę: To wszystko do bani! Dobra, nie jest zainteresowana, to rozumiem, ale może by tak chociaż „dziękuję”? Jeśli dzisiaj wieczorem nie zadzwoni, to Bóg mi świadkiem, ja zadzwonię do niej.

Przechodzimy na patio. Brad wygląda na przybitego i mówi: Aha.

Co?

J.P. powiedział mi, że wydawało mu się, iż widział twoje kwiaty.

Wskazują na patio pokoju po drugiej stronie. To pokój Steffi, oczywiście, ponieważ na stole stoi gigantyczny bukiet czerwonych róż na długich łożkach.

Nie jestem pewien, czy to dobry znak, zastanawia się J.P.

Nie, dodaje Brad. ND. Niedobry.

Postanawiamy, że zaczekam, aż Steffi wygra pierwszy mecz – co jest przesądzone – a kiedy zwycięży, zadzwonię. J.P. przygotowuje mnie do tej rozmowy. Odgrywa rolę Steffi. Przerabiamy wszystkie możliwe scenariusze. Zaskakuje mnie każdym tekstem, jaki mógłby paść z jej ust.

Steffi pokonuje swoją niefortuną przeciwniczkę z pierwszej rundy w czterdzieści dwie minuty. Dałem w łapę kapitanowi promu, żeby zadzwonił do mnie, gdy zobaczy, że weszła na pokład. Pięćdziesiąt minut po meczu dostaję wiadomość: Jest na pokładzie.

Daję jej piętnaście minut na dotarcie do wyspy, dziesięć na dojście z przystani do hotelu, a potem dzwonię do centrali, prosząc o połączenie z jej pokojem. Znam ten numer, bo przecież wciąż widzę te cholerne kwiaty na patio.

Podnosi słuchawkę po drugim sygnale.

Cześć. Tu Andre.

Och.

Chciałem tylko upewnić się, czy dostałaś moje kwiaty.

Dostałam.

Och.

Milczenie.

Nie chcę, żeby były między nami jakieś niedomówienia. Jest tu mój chłopak, wyjaśnia.

Rozumiem. Cóż, dobrze, nie mam pytań.

Milczenie.

Powodzenia na turnieju.

Dziękuję. Tobie też.

Kanion Kolorado ziejący ciszą.

No to do widzenia.

Pa.

Padam na kanapę i wbijam wzrok w podłogę.

Mam do ciebie jedno pytanie, mówi J.P. Co takiego mogła powiedzieć, że robisz taką minę? Czy nie przećwiczyliśmy jakiegoś wariantu?

Jej chłopak tu jest.

Och.

A potem uśmiech. Przewracam kartkę w podręczniku pozytywnego myślenia autorstwa Brada:

Może to jest wiadomość dla mnie. Naturalnie, że jej chłopak siedział koło niej.

No i?

Nie mogła rozmawiać i zamiast powiedzieć: Mam chłopaka, sprawa skończona; powiedziała: Mój chłopak tu jest.

No i?

Myślę, że chciała powiedzieć, iż mam szansę.  
J.P. proponuje mi drinka.

Turniej w niewielkim stopniu odwraca moją uwagę od Steffi. Niestety trwa to tylko kilka godzin. W pierwszej rundzie przeciwko Dominikowi Hrbaty'emu ze Słowacji mogę myśleć tylko o Steffi i jej chłopaku, bawiących się w najlepsze, bądź też o kłopotliwym zignorowaniu moich róż. Hrbaty leje mnie w trzech setach.

Odpadam z turnieju. Powinienem opuścić Fisher Island. Ale ja dalej tam tkwię, siedzę na plaży i knuję z J.P. oraz z Bradem.

Chłopak Steffi prawdopodobnie pojawił się niespodziewanie, analizuje Brad. Do tego ona nadal nie wie, że jesteś rozwiedziony. Wciąż myśli, że jesteś żonaty z Brooke. Daj sobie trochę czasu. Niech wieści się rozniosą. Wtedy uderzysz.

Masz rację, świętą rację.

Brad wspomina coś o Hongkongu. W obliczu mego popisu w meczu z Hrbatym muszę wziąć udział w jeszcze jednym turnieju przed rozpoczęciem sezonu na twardych kortach. Polećmy do Hongkongu, namawia. Już dość tego opieprzania się i rozmyślania o Steffi.

Zanim się zorientowałem, siadam w fotelu samolotu lecącego do Chin. Patrzę na ekran w kabinie: Szacowany czas przelotu: 15 godzin 37 minut.

Spoglądam na Brada. Piętnaście godzin i trzydzieści siedem minut? Na rozmyślanie o Steffi? Nie ma takiej możliwości.

Rozpinam pas i wstaję.

A dokąd to?

Wysiadam z samolotu.

Nie wygłupiaj się. Siądź. Odpocznij. Jesteśmy tutaj. Spakowani. Lećmy coś pograć.

Opadam na fotel, zamawiam dwa belwedery, łykam pigułkę nasenną i po miesiącu, jak mi się zdaje, budzę się po drugiej stronie kuli ziemskiej. Siedzę w samochodzie i pozwalam się wieźć po autostradzie w Hongkongu, spoglądając w górę na strzelisty budynek International Finance Centre.

Dzwonię do Perry'ego: Kiedy pojawią się wiadomości o moim rozwodzie?

Prawnicy załatwiają wszystko po cichu, mówi. Tymczasem musicie popracować z Brooke nad oświadczeniem dla prasy.



Faksem przesyłamy sobie szkice. Jej zespół, mój zespół. Prawnicy i spece od PR-u mają używanie. Brooke dodaje słowo, ja kasuję drugie. Faksy i jeszcze raz faksy. Zaczynaliśmy od faksów i na faksach kończymy.

Oświadczenie zostanie opublikowane, mówi Perry, i lada dzień pojawi się w prasie.

Brad i ja codziennie rano biegniemy do recepcji, kupujemy wszystkie gazety i siedząc przy śniadaniu, przeglądamy każdą stronę w poszukiwaniu właściwych nagłówków. Po raz pierwszy, od kiedy pamiętam, nie mogę się doczekać doniesień w gazetach o moim życiu prywatnym. Co dnia modłę się: Niech to będzie ten dzień, kiedy Steffi dowie się, że jestem wolny.

Dzień za dniem mija, a tu nic. Jakbym czekał na telefon od Steffi. Gdybym tylko miał włosy, to bym je sobie powrywał. W końcu na okładce „People” widzę moje zdjęcie z Brooke. Nagłówek krzyczy: *A teraz rozstanie*. Jest 26 kwietnia 1999, trzy dni przed moimi dwudziestymi dziewiątymi urodzinami, niemal co do dnia dwa lata po naszym ślubie.

Nowo narodzony i zregenerowany wygrywam turniej w Hongkongu – ale podczas lotu do domu nie mogę ruszyć ręką. Z lotniska pędzę prosto do domu Gila. Bada mój bark i krzywi się. Nie podoba mu się jego wygląd.

Być może będziemy musieli zamknąć sklepik na cały sezon na kortach ziemnych.

Nie, nie, nie, mówi Brad. Musimy być w Rzymie na Italian Open.

Proszę. Nigdy tam nie wygrałem. Dajmy sobie spokój.

Nie, upiera się Brad. Wybierzmy się do Rzymu i zobaczymy, co z tobą. Do Hongkongu też nie chciałeś lecieć i co? Wygrałeś, tak? Widzę tu pewną prawidłowość.

Pozwalam zaciągnąć się do samolotu i w Rzymie przegrywam w trzeciej rundzie z Rafterem, którego niedawno pokonałem w Indian Wells. Teraz naprawdę mam wszystkiego dość. Brad namawia mnie jednak, żebym zagrał w World Team Cup w Niemczech. Nie mam siły się z nim kłócić.

W Niemczech jest zimno, deszczowo, co oznacza, że gra się ciężko. Spoglądam na Brada z mordem w oczach. Nie mogę uwierzyć, że zaciągnął mnie do Düsseldorfu z kontuzjowanym barkiem. W połowie pierwszego seta, przy stanie 4–3 dla przeciwnika, nie mogę wziąć kolejnego zamachu. Poddaję mecz. Dość tego. Lecimy do domu, mówię Bradowi. Muszę wyleczyć ten bark. I muszę dowiedzieć się, jak mam to rozegrać ze Steffi.

Kiedy wsiadamy na pokład samolotu z Frankfurtu do San Francisco, nie odzywam się do Brada. Jestem wściekły jak osa. Czeka nas dwanaście

godzin lotu obok siebie, więc mówię do niego: Sprawa wygląda tak, nie spałem całą noc, bo mnie bolało. Mam zamiar łyknąć dwie pastylki na sen, dzięki czemu nie będę cię słyszał przez dwanaście godzin, co już samo w sobie będzie dla mnie jak pobyt w raju. Słyszysz? A kiedy wylądujemy, chcę żebyś od razu wycofał mnie z French Open.

Naciera na mnie i zadręcza przez dwie kolejne godziny. Nie wrócisz do Vegas. Nie wycofasz się. Jedziesz ze mną do domu w San Francisco. Mam domek gościnny, gdzie jest mnóstwo drewna na opał, tak jak lubisz, a potem polecimy razem do Paryża i zagrasz. To jest jedyny szlem, którego nie zdobyłeś, a zawsze chciałeś, nie możesz też go wygrać, jeśli nie zagrasz.

French Open? Proszę cię. Chyba sobie żartujesz. Ten statek już odpłynął.

A skąd wiesz? Kto powiedział, że to nie jest twój rok?

Zaufaj mi. Rok 1999 pod żadnym względem nie jest mój.

Słuchaj, właśnie zacząłeś pokazywać przebłycki tenisisty, którym kiedyś byłeś. Dostrzegłem w tobie coś, czego nie widziałem od lat. Musimy się tego trzymać.

Przejrzałem go na wylot. Nie chodzi o to, że istnieje minimalna choćby szansa, żebym zwyciężył we French Open. Ale jeśli wycofam się z turnieju, łatwiej będzie mi wycofać się z Wimbledonu i tak minie cały rok. Żegnaj, tenisie. Witaj, emeryturo.

Po wylądowaniu w San Francisco jestem znów zbyt zmęczony, by się kłócić. Wślizguję się do samochodu Brada, a on wiezie mnie do siebie i lokuje w domku gościnny. Śpię przez dwanaście godzin. Kiedy się budzę, na miejscu już jest chiropraktyk, gotowy, by się mną zająć.

Nic z tego nie będzie, stwierdzam.

Ależ będzie, upiera się Brad.

Mam zabiegi dwa razy dziennie. W wolnym czasie oglądam mgłę i podkładam do ognia. W piątek już czuję się lepiej. Brad się uśmiecha. Odbijamy trochę na jego korcie z tyłu domu, przez dwadzieścia minut, potem trenuję serwis.

Zadzwoń do Gila, mówię. Lećmy do tego Paryża.

W naszym paryskim hotelu Brad spogląda na losowanie.

Pytam, jak jest.

Milczy.

Brad?

Nie mogło być gorzej.

Naprawdę?

Koszmar. W pierwszej rundzie gram z Franco Squillarim, leworęcznym zawodnikiem z Argentyny, prawdopodobnie najtwardszym nierozstawionym zawodnikiem. Mistrzem paryskiej nawierzchni.

Nie mogę uwierzyć, że udało ci się mnie na to namówić.

W sobotę i niedzielę trenujemy. W poniedziałek start. W szatni owijają mi stopy i widzę, że zapomniałem spakować bieliznę. Mecz za pięć minut. Mogę grać bez majtek? Nawet nie wiem, czy to jest w ogóle możliwe.

Brad żartuje, że pożyczy mi swoje.

Aż tak bardzo nie chcę zwyciężyć.

Potem myślę: To idealnie. I tak nie chciałem tu się pojawiać, nie powinienem tu być, gram w pierwszej rundzie ze wzorcowym szczurem pustynnym na głównym korcie. Dlaczego nie miałbym pójść na całość?

Na trybunach zgromadziło się szesnaście tysięcy widzów, którzy drą się niczym banda wieśniaków nacierających na Wersal. Nie zdążyłem się nawet spocić, a jestem set i przełamanie do tyłu. Patrzę na moją lożę, gapię się na Gila i Brada. Pomóżcie mi. Wyraz twarzy Brada mówi jedno: Sam sobie pomóż.

Podciągam szorty, biorę najgłębszy wdech z możliwych i wolno wypuszczam powietrze. Dochodzę do wniosku, że gorzej już być nie może. Powtarzam: Wygraj tylko jeden set. Wygrana seta z tym facetem już sama w sobie będzie nie lada osiągnięciem. Jeden set – spróbuj. Analiza wszystkich za i przeciw dowodzi, że jest to wykonalne, i doprowadza do mojej porażki. Zaczynam knocić bekhendy i walić, gdzie popadnie. Tłum faluje, nie widzieli mnie na korcie od dawna. Wewnątrz mnie też coś zafalowało.

Drugi set zmienia się w burdę uliczną, walkę wrestlerów i strzelaninę na pięćdziesiąt kroków. Squillari nie chce ustąpić ani o centymetr i każdy punkt muszę mu wyrwać z gardła, 7–5. Potem dzieje się coś niezwykłego. Wygrywam trzeci set. Zaczynam odczuwać nadzieję, prawdziwą nadzieję, która pnie się ku górze od stóp. Całe moje ciało zaczyna drżeć. Zerkam na Squillariego – jest bez szans. Ma kamienną twarz. Jeden z najsprawniejszych zawodników w tourze nie jest w stanie zrobić kroku. Już po nim. W czwartym secie przetaczam się po nim i nagle schodzę z kortu z jednym z najbardziej nieprawdopodobnych zwycięstw w mojej karierze.

W hotelu cały pokryty ceglanym pyłem mówię do Gila:

Widziałeś go? Czy widziałeś, jaki sparaliżowany był ten szczur? Sparaliżowaliśmy go, Gil!

Widziałem.

Winda jest niewielka. Znajdzie się tu miejsce dla pięciu ludzi o przeciętnych rozmiarach albo dla mnie i Gila. Brad chce, byśmy jechali pierwsi, on pojedzie następną. Wciskam przycisk, Gil staje w jednym rogu windy, a ja w drugim. Czuję, że się na mnie gapi.

No co?

Nic.

Wciąż się gapi.

Co jest, Gil?

Nic. Uśmiecha się i powtarza: Nic.

W drugiej rundzie też nie zakładam bielizny. (Od tamtej pory gram zawsze bez. Jeśli coś działa, to nie ma sensu tego zmieniać). Gram z Arnaudem Clémentem z Francji. Wygrywam pierwszy set 6–2. W drugim mam przewagę i rozgrywam swój najlepszy mecz na tej nawierzchni. Kołyszę go do snu. Później Clément się budzi. Wygrywa drugi set – i trzeci. Jak to się stało? Serwuję przy 4–5, zero – trzydzieści w czwartym secie. Dwa punkty dzielą mnie od wykopania z turnieju.

Myślę: Dwa punkty. Dwa punkty.

Uderza bezbłędnym odwrotnym forhendem. Podbiegam i sprawdzam. Aut. Kreślę ślad rakietą. Sędzia liniowy podbiega, by potwierdzić. Bada znak niczym Herkules Poirot. Wyciąga dłoń. Aut!

Gdyby piłka musnęła linię, czekałby mnie potrójny meczbol. A tak jestem na 15–30. Co za różnica. A gdyby tak...?

W myślach błagam się, bym przestał roztrząsać, co by było gdyby. Nie myśl, Andre. Wyłącz sobie mózg. Gram dwie minuty najlepszego tenisa, na jaki mnie stać. Wygrywam gem. Jest po pięć.

Serwuje Clément. Gdybym był kimś innym, miałby przewagę. Ale jestem nieodrodnym synem swego taty. Potrafię skontrolować. Nic przeze mnie nie przejdzie. Potem ganim go z jednej strony na drugą. W tył i w przód. Język już ma na brodzie. Kiedy ani on, ani publiczność nie wierzy, że mogę go jeszcze poganiać, ganim go w dalszym ciągu. Jest niczym metronom. A potem już po nim. Rzuca się w przód, jakby ktoś go postrzelił w głowę. Jego skurcze też już mają skurcze. Wzywa na kort lekarza.

Doprowadzam do przełamania. Potem z łatwością utrzymuję swoje podanie i wygrywam czwarty set.

Piąty wygrywam 6–0.

W szatni Brad mówi coś do siebie, do mnie, do każdego, kto ma ochotę słuchać:

Strzeliła mu tylna opona! Widzieliście? Jasna dupa! Tylna opona – buuum.

Dziennikarze pytają mnie, czy to łut szczęścia, że Clémenta złapały skurcze.

Łut szczęścia? Ciężko pracowałem na te skurcze.

W hotelu, jadąc miniaturową windą razem z Gilem, widzę swoją twarz pokrytą pyłem. Oczy, uszy, usta mam wypełnione cegłą. Moje ubranie jest upstrzone drobkami czerwonego pyłu. Nigdy wcześniej nie zauważyłem, że po wyschnięciu mączka z kortów Rolanda Garrosa wygląda jak krew. Staram się ją z siebie zetrzeć, ale czuję, że Gil znów się na mnie gapi.

O co chodzi?

O nic, mówi i się uśmiecha.

W trzeciej rundzie spotykam się z Chrisem Woodruffem. Grałem z nim wcześniej raz, tutaj, w 1996 roku i przegrałem. Była to sromotna porażka. W obecnym sezonie w tajemnicy przed wszystkimi dobrze oceniam swoje szanse. Tym razem wiem od samego początku, że wygram. Nie mam wątpliwości, że się zemszczę, na zimno. Pokonuję go 6–3, 6–4, 6–4 na tym samym korcie, na którym złożył mi skórę. Brad domagał się tego, bo chciał, żebym pamiętał, iż jest to sprawa osobista.

Jestem w grupie szesnastu zawodników na French Open po raz pierwszy od 1995 roku. Moją nagrodą jest Carlos Moya, broniący tytułu mistrza.

Nie pękaj, mówi Brad. Choć Moya to mistrz, naprawdę dobry na tej nawierzchni, to możesz mu dać bobu. Możesz go przegonić, stać wewnątrz linii końcowej, wcześniej uderzać piłkę i napierać. Graj na jego bekhend, ale jeśli będziesz musiał zagrać na forhend, zrób to z pasją, z energią. Tylko nie idź za piłką – rozgrywaj ze środka. Niech cię poczuje.

W pierwszym secie to ja czuję Moyę. Szybko przegrywam. W drugim dwa razy mnie przełamuje. Nie gram po swojemu. Nie robię niczego, co kazał mi zrobić Brad. Spoglądam na łożę, a Brad krzyczy: Dalej! Do roboty!

Powrót do podstaw. Zmuszam Moyę do biegu. I biega. Ustanawiam prawdziwie sadystyczny rytm, nucąc sobie: Biegnij, Moya, biegnij.

Zmuszam go do robienia okrążeń, do przebiegnięcia maratonu bostońskiego. Wygrywam drugi set, a publiczność wiwatuje. W trzecim secie zmuszam Moyę do przebiegnięcia większego dystansu niż w moich trzech ostatnich meczach i nagle, w jednej chwili, jest ugotowany. Nie chce już dłużej biegać. Nie pisał się na nic podobnego.

Po rozpoczęciu czwartego seta ociekam pewnością siebie. Podskakuję. Chcę, żeby Moya zobaczył, ile mi jeszcze zostało energii. Widzi i wzdycha. Kładę go na łopatki i biegnę do szatni. Brad tak mocno przybija mi „żółwika”, że niemal łamie mi kości.

W windzie hotelowej czuję, że Gil znów wybałusza na mnie gały.

Gil, o co chodzi?

Mam przecucie.

Jakie przecucie?

Czuję, że pędzisz wprost na spotkanie.

Czego?

Przeznaczenia.

Nie jestem pewien, czy wierzę w przeznaczenie.

Zobaczymy. Nie można rozpalić ogniska w deszczu...

Mam dwa dni przerwy. Dwa dni, by odpocząć i pomyśleć o czymś innym niż tenis. Brad dowiaduje się, że Springsteen mieszka w naszym hotelu. Gra koncert w Paryżu. Brad proponuje, żebyśmy poszli. Załatwia nam trzy bilety w pierwszym rzędzie.

Na początku nie mam ochoty. Nie wiem, czy to taki dobry pomysł, by szaleć w Paryżu. Ale telewizja przynosi głównie wiadomości z turnieju, co nie poprawia mi nastroju. Przypominam sobie jednego z organizatorów challengera, który kpił ze mnie, porównując mój udział w tym turnieju do występu Springsteena w barze na rogu. Tak, mówię. Zróbmy sobie dziś wolne. Zobaczymy Szefa.

Wchodzimy na salę tuż przed pojawieniem się Springsteena na scenie. Kiedy biegniemy do naszych miejsc, kilku ludzi rozpoznaje mnie i zaczyna pokazywać sobie mnie palcami. Jakiś facet krzyczy moje imię. Andre! *Allez*, Andre! Kilku innych to podchwytuje. Siadamy. Reflektor prześlizguje się po tłumie fanów i nagle zatrzymuje się na nas. Nasze twarze pojawiają się na gigantycznym telebimie nad sceną. Tłum ryczy. Zaczyna skandować: *Allez*, Agassi! *Allez*, Agassi! Jakieś szesnaście tysięcy ludzi – mniej więcej tyle, ile kibiców na kortach Rolanda Garrosa – śpiewa,

skanduje i tupie. Allez, Agassi! Słysząc specyficzny zaśpiew, mocno akcentowany rytm jak w dziecięcej wylizance. Diit-diit, da, da, da. Jest niezwykle zaraźliwy. Brad też skanduje. Wstaję, macham wszystkim. Czuję się zaszczycony. Podbudowany. Żałuję, że nie mogę zagrać następnego meczu od razu. Proszę. *Allez, Agassi!*

Znów wstaję z sercem w gardle. W końcu na scenę wchodzi Szef.

W ćwierćfinale natykam się na Marcela Filippiniego z Urugwaju. Pierwszy set idzie gładko. Drugi również. Ganiam go, pada. Takie łajdaki jak my, mój mały, urodziły się, by biegać. Podoba mi się to tak samo jak wygrywanie – podcinanie nóg przeciwnikom, patrzenie, jak lata spędzone na katowni z Gilem zaczynają przynosić efekty w skumulowanych dwóch tygodniach. Wygrywam trzeci set 6–0, bez żadnej obrony ze strony Filippiniego.

Ty ich masakrujesz!, krzyczy Brad. O mój Boże, Andre, ty ich masakrujesz, do jasnej cholery!

Jestem w półfinale. Moim przeciwnikiem jest Hrbaty, który niedawno złożył mi skórę na Key Biscayne, kiedy myślałem tylko o Steffi. Wygrywam pierwszy set 6–4. Wygrywam następny 7–6. Nadciągają chmury. Zaczyna mżyć. Piłka robi się coraz cięższa, co uniemożliwia mi ofensywną grę. Hrbaty zdobywa przewagę i kończy trzeci set z wynikiem 6–3. W czwartym wychodzi na 2–1 i mecz, który już miałem wygrany, powoli wymyka mi się z rąk. Mój rywal ma w plecy jeden set, ale najwyraźniej złapał wiatr w żagle. Czuję się niepotrzebnym dodatkiem do kortu.

Patrzę na Brada. Wskazuje dłonią na niebo. Wstrzymać mecz.

Daję znać sędziemu zawodów i sędziemu głównemu. Wskazuję na nawierzchnię, która zmienia się w błoto. Mówię im, że nie będę grał w takich warunkach. To niebezpieczne. Badają błoto jak poszukiwacze złota. Konferują. Przerywają mecz.

Na kolacji z Gilem i Bradem jestem w podłym nastroju, bo wiem, że zaczynałem przegrywać ten mecz. Jedynie deszcz mnie uratował. Inaczej bylibyśmy już na lotnisku. A teraz nie mogę uwierzyć, że będę się przez całą noc zamartwiał i myślał o jutrze.

Wpatruję się w milczeniu w swój talerz.

Brad i Gil rozmawiają o mojej grze, jakby mnie tutaj nie było.

Pod względem fizycznym jest w porządku, ocenia Gil. Jest w dobrej kondycji. Zaczynaj mu więc prawić dobre kazanie, Brad. Podbuduj go.

Co chcesz, żebym powiedział?

Wymyśl coś.

Brad bierze łyk piwa i zwraca się do mnie: No dobrze, Andre. Posłuchaj. Sprawa wygląda tak. Jutro potrzebuję od ciebie dwadzieścia osiem minut.

Co?

Dwadzieścia osiem minut. To będzie sprint do mety. Stać cię na to. Masz pięć gemów do wygranej, tylko tyle, a to nie powinno ci zająć więcej niż dwadzieścia osiem minut.

Pogoda. Piłka.

Pogoda będzie piękna.

Zapowiadali, że będzie padać.

Nie, będzie piękna pogoda. Daj nam tylko od siebie te dwadzieścia osiem minut.

Brad zna mój stan umysłu, wie, jak to u mnie działa. Wie, że porządek, precyzja, prosty cel są dla mnie niby cukierki dla łośucha. Ale czy zna się też na pogodzie? Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że Brad nie jest trenerem, lecz prorokiem.

Już w hotelu razem z Gilem wciskamy się do windy.

Dobrze będzie, mówi.

Jasne.

Przed snem wmusza we mnie swoją wodę, Wodę Gila.

Nie chcę.

Wypij.

Kiedy jestem już tak nawodniony, że sikam na biało, pozwala mi iść spać.

Na drugi dzień wychodzę na kort spięty. Przegrywając 1–2 w czwartym secie, dwukrotnie zostaję przełamany. Nie, nie, nie. Walczę i doprowadzam do równowagi. Utrzymuję ją. Teraz jest remis. Oddaliwszy katastrofę, nagle rozluźniam się, czuję zadowolenie. To takie typowe w sporcie. Człowiek wisi tuż nad przepaścią. Patrzy śmierci w oczy. Następnie twój przeciwnik albo samo życie oszczędza cię i czujesz takie uniesienie, że grasz już bardziej żywiołowo. Wygrywam czwarty set i mecz. Jestem w finale.

Pierwsze spojrzenie kieruję na Brada, który podekscytowany pokazuje na swój zegarek i cyfrowy zegar na korcie.

Dwadzieścia osiem minut. Co do joty.



Moim przeciwnikiem w finale okazuje się Andriej Miedwiediew z Ukrainy, co jest zupełnie nieprawdopodobne. Po prostu niemożliwe. Kilka miesięcy temu w Monte Carlo wraz z Bradem natknęliśmy się na Miedwiediewa w nocnym klubie. Cierpiał tego dnia okropnie z powodu sromotnej porażki i pił, by zabić ból. Zaprosiliśmy go do siebie. Siadł z rozmachem na krześle przy naszym stoliku i oznajmił, że rzuca tenis.

Nie mogę już grać w tę kurewską grę, powiedział. Stary jestem. Gra mnie wyprzedziła.

Próbujemy wybić mu to z głowy.

Jak śmiesz, mówię. Ja, proszę bardzo, mam dwadzieścia dziewięć lat, mam kontuzję, rozwód na karku, a ty pieprzysz, że jesteś wypalony w wieku dwudziestu czterech lat? Twoja przyszłość maluje się różowo.

Gram do dupy.

No i co? Popraw się.

Prosi mnie o wskazówki, rady. Prosi mnie, żebym przeanalizował jego grę, tak jak ja kiedyś prosiłem Brada, żeby przeanalizował moją. I byłem niczym Brad. Brutalnie szczery. Powiedziałem Miedwiediewowi, że ma mocny serwis, dobrą kontrę i światowej klasy bekhend. Jego forhend nie jest najlepszy, to jasne, żadna tajemnica, ale może to ukryć, ponieważ jest na tyle duży, że może ganiać przeciwników po korcie.

Doskonale się ruszasz!, krzychałem. Wróć do podstaw. Bądź w ciągłym ruchu, serwuj mocno i bij z bekhendu tuż pod końcową linię.

Od tamtej nocy wziął sobie moje rady do serca i ruszył do boju. Zaczął wygrywać wszystko i dominować na turniejach. Za każdym razem, kiedy trafialiśmy na siebie w szatni albo na kortach Rolanda Garrosa, wymienialiśmy porozumiewawcze mrugnięcia i znaki.

Nawet mi się nie śniło, że będę z nim grał.

A więc Gil się pomylił. Nie szedłem ku przeznaczeniu, tylko wprost na zionącego ogniem smoka, którego sam pomagałem stworzyć.

Gdziekolwiek jestem, paryżanie podbiegają do mnie i życzą mi powodzenia. Turniej jest na ustach każdego w mieście. W restauracjach, kafejkach, na ulicy wszyscy wykrzykują moje imię, całują mnie w policzki i zachęcają, żebym parł dalej do przodu. Historia mojego powitania na koncercie Springsteena trafiła do gazet. Kibice i dziennikarze są zafascynowani moim niespodziewanym rajdem. Każdy się z nim

utożsamia. Widzą coś ze swojego życia w moim powrocie, w moim powstaniu z martwych.

Jest wieczór przed finałem i siedzę w pokoju hotelowym, oglądając telewizję. Wyłączam telewizor. Podchodzę do okna. Czuję mdłości. Myślę o tym ostatnim roku, o ostatnich osiemnastu miesiącach, o ostatnich osiemnastu latach. Miliony piłek, tyle samo decyzji. Wiem, że jest to ostatnia szansa, by wygrać French Open, moja ostatnia szansa, by wygrać wszystkie cztery turnieje wielkoszlemowe i zamknąć zestaw, co będzie moją ostatnią szansą na odkupienie. Przeraza mnie myśl o przegranej, a myśl o wygranej wzbudza we mnie mniej więcej takie same uczucia. Czy powinienem być wdzięczny? Czy będę tego godny? Czy będę na tym budował – czy roztrwonię wszystko?

W dodatku Miedwiediew niemal nie znika z mych myśli. Ma mój sposób gry. Sam mu go dałem. Ma nawet moje imię, Andriej. Będzie walczył Andriej z Andre. Ja kontra mój zły brat bliźniak.

Brad i Gil pukają do drzwi.

Gotów na kolację?

Przytrzymuję drzwi i proszę, żeby weszli na chwilę do środka.

Stoją jednak na zewnątrz i patrzą na mój otwarty barek. Nalewam sobie dużą wódkę. Bradowi opada szczęka, kiedy wypijam kieliszek na raz.

Co ty, do diabła...?

Jestem kłębkim nerwów, Brad. Nie byłem w stanie przełknąć dziś ani kęsa. Muszę coś zjeść, a to jedyny sposób, by sobie pomóc i zmniejszyć napięcie.

Nie przejmuj się, mówi Gil do Brada. Nic mu nie jest.

Przynajmniej popij to dużą ilością wody, upiera się Brad.

Po kolacji, kiedy wracam do pokoju hotelowego, biorę pigułkę na sen i wślizguję się do łóżka. Dzwonię do J.P. Mówi, że tam, gdzie jest, właśnie rozpoczęło się popołudnie.

A która u ciebie godzina?

Jest późno. Jest bardzo późno.

Jak się czujesz?

Proszę, proszę, porozmawiaj ze mną przez kilka minut o czymkolwiek, byle nie o tenisie.

Nic ci nie jest?

O czymkolwiek, byle nie o tenisie.

Dobra. Cóż. Zobaczymy. Może ci wiersz przeczytam? Ostatnio czytam dużo poezji.

Jasne. Dobrze. Jak sobie chcesz.

Podchodzi do półki z książkami, wyciąga jedną. Czyta cichym głosem:

*Wiele minęło, wiele trwa – i chociaż  
Już nie jesteśmy mocą tą, co niegdyś  
Ziemią i niebem trzęsła, czym jesteśmy  
Jesteśmy: związkiem mężnych serc, osłabłych  
Pod ciężkim czasu i losu brzemieniem,  
Silnych pragnieniem, by się z losem zmagać,  
Szukać, znajdować, wędrować do końca\*.*

\* Alfred Tennyson, *Ulisses*, w: Tennyson, *Poezje wybrane*, przekład Zygmunt Kubiak, Warszawa 1970 (przyp. red.).

Zасыpiam, nawet nie odłożywszy słuchawki na widełki.

Gil puka do moich drzwi ubrany jak na audyencję u de Gaulle'a. Ma na sobie doskonale skrojoną, czarną sportową marynarkę, czarne spodnie z kantem i czarny kapelusz. Do tego naszyjnik, który mu podarowałem. Ja mam taki sam kolczyk. Ojciec, Syn i Duch Święty.

W windzie mówi: Wszystko będzie dobrze.

Jasne.

Ale nie jest dobrze. Wiem to już podczas rozgrzewki. Spływam potem. Pocę się jak wtedy, gdy brałem ślub. Jestem kłębkiem nerwów i dzwonią mi zęby. Świeci jasne słońce, co powinno mnie wprowadzić w doskonały nastrój, ponieważ piłka będzie sucha i lekka, lecz ciepło sprawia, że pocę się jeszcze bardziej.

Kiedy zaczyna się mecz, jestem zlanym potem wrakiem człowieka. Robię głupie błędy, błędy żółtodzioba, wszelkiego rodzaju potknięcia i wpadki, jakie można sobie wyobrazić na korcie tenisowym. Tylko jedenaście minut zajmuje przegranie pierwszego seta 6–1. Tymczasem Miedwiediew jest najspokojniejszym człowiekiem na świecie. Dlaczego nie? Robi wszystko to, co miał robić, wszystko to, co mu poradziłem w Monte Carlo, żeby robił. Steruje tempem meczu, porusza się zwinnie i swoim bekhendem sieje spustoszenie pod linią końcową, tam, gdzie chce. Gra na chłodno, dokładnie i bezlitośnie. Gdy ja wchodzę w kort, jeśli staram się zdobyć punkt, podkradając się do siatki, on posyła miażdżący bekhend tuż koło mnie.

Ma spodenki w kratkę, jakbyśmy grali sobie na plaży i chciał zadać szyku na Riwierze. Jest świeży, żywotny, zupełnie jak na wakacjach.

Mógłby tak grać przez kilka dni i nie zmęczyć się ani odrobinę.

Kiedy zaczyna się drugi set, na niebie pojawia się ciemna chmura. Nagle zaczyna padać drobny deszczyk. Na trybunach pojawiają się setki parasoli. Gra zostaje wstrzymana. Miedwiediew biegnie do szatni, a ja za nim.

W środku nie ma nikogo. Chodzę od ściany do ściany. Woda kapie z kranu. Dźwięk odbija się metalicznym brzękiem od szafek. Siadam na ławce i pocąc się, wpatruję się w otwartą szafkę.

Wchodzą Brad i Gil. Brad w białej marynarce i białym kapeluszu stanowi mocny kontrast dla odzianego w czerń Gila. Wali drzwiami tak mocno, jak potrafi, i drze się: Co się dzieje?

On jest za dobry, Brad. Jest za dobry. Nie pokonam go. Ten skurwiel ma prawie dwa metry, serwuje jak z działa i nie pułkuje. Przygniata mnie tymi serwisami, przytłacza mnie bekhendem, nie mogę zdobyć ani jednego punktu przy jego serwisie. Nie nadążam.

Brad nic nie mówi. Przypomina mi się Nick stojący w tym samym miejscu, który nic nie mówił podczas przerwy z powodu deszczu, kiedy przegrałem z Courierem osiem lat temu. Pewne rzeczy są niezmiennie. Ten sam wymykający się z rąk turniej, te same mdłości, taka sama bezduszna reakcja mojego trenera.

Krzyczę na Brada: Jaja sobie ze mnie robisz? Ze wszystkich innych wybrałeś sobie właśnie ten moment, żeby zamilknąć? Ze wszystkich innych, w tej właśnie chwili, w końcu postanowiłeś się zamknąć?

Patrzy na mnie. Potem zaczyna krzyczeć. Brad, który nigdy nie podnosi głosu na nikogo, nie wytrzymuje.

A co ja mam powiedzieć, Andre? Co chcesz, żebym ci powiedział? Mówisz mi, że jest za dobry. A skąd ty, kurwa, możesz to wiedzieć? Nie jesteś w stanie ocenić, jak on gra! Jesteś tak zagubiony na tym korcie, tak zaślepiony paniką, że jestem zaskoczony, że w ogóle widzisz, gdzie stoi. Za dobry? To przy tobie wygląda dobrze.

Ale...

Wyluzuj. Jeśli masz zamiar przegrać, to przegraj na swoich warunkach. Zacznij uderzać w tę pierdoloną piłkę.

Ale...

A jeśli nie jesteś pewien, gdzie uderzać, to mam pomysł. Wal w to samo miejsce co on. Jeśli zagra bekhend po krosie, to ty też graj bekhend po krosie. Tylko lepiej. Nie musisz być lepszy niż cały ten pierdolony świat, zapomniałeś? Wystarczy, że będziesz lepszy niż ten jeden facet. Nie

pokazał ani jednego uderzenia lepszego od twoich. Pierdolić jego serwis. Jego serwis załamie się, kiedy zaczniesz normalnie uderzać piłkę. Po prostu wal w nią. Kurwa, wal. Jeśli dzisiaj przegrasz, nie ma sprawy. Przeżyję to jakoś, ale przegrywaj, dyktując warunki na swoich zasadach. Przez ostatnie trzynaście dni widziałem, jak stawiałeś wszystko na jedną kartę. Widziałem, jak pod presją darłeś ich na strzępy, masakrowałeś. Przestań więc uzalać się nad sobą i powtarzać, że jest za dobry, i na miłość boską, skończ z tym dążeniem do doskonałości! Po prostu, widzisz piłkę, walisz w nią. Słyszysz mnie, Andre? Widzisz piłkę. Walisz w piłkę. Niech sobie z tobą radzi. Spraw, by poczuł, że tam jesteś. Ty się nie ruszasz. Nie uderzasz. Może tak ci się wydaje, ale uwierz mi, tylko sobie tam stoisz. Jeśli masz przerznąć, dobra, skacz na główkę, ale strzelając z obu luf. Zawsze i wszędzie, na główkę i z obu luuuuf.

Otwiera szafkę i zatrzaskuje drzwiczki ze złością. Drzwiczki głośno uderzają i odskakują.

Pojawia się sędzia.

Proszę z powrotem na kort, panowie.

Brad i Gil wychodzą z szatni. Zauważam, że kiedy przemykają się przez drzwi, Gil klepie ukradkiem Brada po ramieniu.

Wolno wychodzę na kort. Mamy krótką rozgrzewkę, po czym wznawiamy grę. Zapomniałem o wyniku. Muszę spojrzeć na tablicę, żeby sobie go odświeżyć. A tak. Prowadzę 1-0 w drugim secie. Ale serwuje Miedwiediew. Znów przypomina mi się dawny finał z Courierem z 1991 roku, opóźnienie z powodu deszczu, które naruszyło mój rytm. Może czas na rewanż. Tenisową karmę. Tak jak tamta przerwa mnie zamroczyła, ta może pomóc mi się uspokoić.

Tyle że Miedwiediew liczy na swoją ukraińską karmę. Rozpoczyna tam, gdzie skończył, wciąż utrzymuje napięcie, zmusza mnie do wycofywania się i gry w defensywie, co nie należy do moich mocnych stron. Niebo zasnuwane jest teraz ciemnymi chmurami, jest wilgotno, co zdaje się jeszcze dodawać Miedwiediewowi siły. Lubi wolniejsze tempo. Jest jak rozwścieczony słoń, który niespiesznie miażdży mnie swymi stopami. W pierwszym gemie po przerwie serwuje z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W kilka sekund wynik wynosi 1-1.

Potem mnie przełamuje. Utrzymuje przewagę, znów mnie przełamuje i ciągnie to do końca drugiego seta, pokonując mnie z łatwością 6-2.

W trzecim secie wygrywamy swoje gemy serwisowe. Nagle, w niewyjaśniony sposób przełamuję go po raz pierwszy w tym meczu. Prowadzę 4–2. Słyszę zdławione okrzyki i szemranie tłumów.

Miedwiediew od razu robi to samo. Następnie wygrywa swoje podanie i kończy się na równowadze po 4.

Zza chmur wyłania się słońce. Świeci jasno i nawierzchnia zaczyna wysychać. Tempo gry znacznie wzrasta. Serwuję i przy stanie po piętnaście grymy szaleńczą wymianę, którą wygrywam pięknym wolejem z bekhendu. Teraz, kiedy jest 30–15, słyszę głos Brada mówiący mi, że mam zobaczyć piłkę i walnąć w nią. Pozwalam jej lecieć. Wpuszczam pierwszą piłkę serwisową z głośnym stęknieniem. Aut. Zbyt szybko serwuję drugi raz. Znów aut. Podwójny błąd serwisowy. 30–30.

No tak. Dograłem się. I tak przegram – Miedwiediewa dzieli od mistrzostwa ledwo sześć punktów – ale mam zamiar przegrać na zasadach Brada, a nie na moich.

Znów serwuję. Aut. Uporczywie nie chcę niczego wygrać z drugiego podania. Znów Aut. Dwa podwójne błędy z rzędu.

Teraz jest 30–40. Break point. Chodzę w kółko, zaciskam oczy tak, że niemal wyciskam z nich łzy. Muszę wziąć się w garść. Staję na linii, wyrzucam piłkę w górę i znowu robię błąd. Nigdy nie udało mi się zrobić pięciu błędów z rzędu. Rozpadam się. Jestem o jeden chybiony serwis, który da Miedwiediewowi wygraną we French Open w prezencie.

Nachyla się gotów skończyć mój drugi serwis. Zawodnik grający w kontrze, zwykle odgaduje meandry myśli przeciwnika, a Miedwiediew zna stan mojej psychiki po serii błędów serwisowych. Tym samym zgaduje, z dużą dozą prawdopodobieństwa, że nie będzie mnie stać na agresywne zagranie. Spodziewa się miłego, miękkiego serwisu. Wydaje mu się, że nie mam innego wyjścia. Podchodzi bliżej, daleko od linii końcowej, wysyłając wiadomość, iż spodziewa się miękkiej piłki i kiedy ją dopadnie, wbije mi ją do gardła. Jego mina bez pudła mówi: No dalej, suko. Bądź agresywna. Wyzywam cię.

Ta chwila jest prawdziwym sprawdzianem dla nas obu. To punkt zwrotny w meczu, być może w życiu nas obu. Sprawdźmy silnej woli, zaangażowania, męskości. Podrzucam piłkę w górę i nie mam zamiaru się poddawać. Wbrew oczekiwaniom Miedwiediewa serwuję mocno i agresywnie na jego bekhend. Piłka odbija się paskudnie podkrecona. Miedwiediew wyciąga się i zagarnia ją na środek kortu. Uderzam

z forhendu w to samo miejsce. Dobiega i uderza z bekhendu pod moje stopy. Schylam się, zagrywam nieporadnym wolejem z forhendu, który ląduje na linii, on przebija piłkę nad siatką, a ja muskam ją tak lekko z powrotem na jego połowę, że zamiera i jak na tak lekką piłkę jest bardzo zabójcza.

Wygrywam swoje podanie.

Idąc do krzesła, niemal podskakuję. Tłum szaleje. Szale się jeszcze nie przechyliły, ale drgnęły. To była szansa Miedwiediewa i ją przegapił, a sądząc po wyrazie jego twarzy, myślę, że o tym wie.

*Allez, Agassi! Allez!*

Myślę sobie, jeden dobry gem. Zagraj jeden dobry gem, a wygrasz set i wtedy będziesz mógł przynajmniej wyjść stąd z podniesioną głową.

Chmury gdzieś przewiało. Słońce wysuszyło kort na pieprz i gramy teraz w tempie błyskawicy. Przyłapałem Miedwiediewa, jak zerkał smętnie na niebo. Wolałby, żeby wróciły deszczowe chmury. Nie chce mieć do czynienia z oślepiającym słońcem. Zaczyna się pocić. Nozdrza mu falują. Wygląda jak koń – jak smok. Możesz pokonać smoka. Zostaje w tyle 0–40. Przełamuję go i wygrywam trzeci set.

Teraz gramy na moich warunkach. Przeszawiam Miedwiediewa z boku na bok, uderzam mocno piłkę na boki i robię wszystko to, co kazał Brad. Mój rywal jest o krok wolniejszy, wyraźnie rozkojarzony. Zbyt długo myślał o wygranej. Dzieliło go od niej pięć punktów, marne pięć punktów i teraz to go prześladuje. Ta myśl cały czas kołuje teraz w jego umyśle. Mówi sobie: Byłem tak blisko. Byłem tam. Widziałem metę! Żyje przeszłością, a ja jestem w terażniejszości. On myśli, ja czuję. Nie myśl, Andre. Uderzaj mocniej.

W czwartym secie znów go przełamuję. Później zaczyna się jatka. Gramy dobry, solidny tenis, każdy z nas pędzi do piłki, stęka i idzie do siatki. Set jest taki, że na dwoje babka wróżyła. Ale ja mam jedną znaczną przewagę, tajną broń, którą mogę wyciągnąć, kiedy będę potrzebował zdobyć punkt – moją grę przy siatce. Wszystko, co robię przy siatce, udaje się i to najwyraźniej niepokoi Miedwiediewa, bełta mu w głowie. Robi się płochliwy na granicy paranoi. Kuli się nawet, gdy udaję, że podbiegam bliżej. Ja skaczę, on się rzuca.

Wygrywam czwarty set.

W piątym secie przełamuję go wcześniej i jest 3–2. Widać wyniki. Koło fortuny obróciło się. Wygrana, która mogła należeć do mnie w 1990, 1991

i 1995 roku, znów zaczyna się przybliżać. Prowadzę 5–3. Serwuję, 40–15. Mam dwie piłki meczowe. Muszę to wygrać teraz, zaraz albo będę musiał serwować o mecz, a tego bym nie chciał. Jeśli teraz tego nie wygram, to może w ogóle mi się nie uda. Jeśli teraz nie dam rady, to za chwilę będę na miejscu Miedwiediewa, prześladowany myślami, jak blisko była wygrana. Jeśli teraz nie zwyciężę, to w podeszłym wieku będę wspominał French Open, siedząc w bujanym fotelu z kocem na kolanach, mamrocząc coś o Miedwiediewie. Już i tak od dekady mam obsesję na tle tego turnieju. Nie mogę znieść myśli, że obsesja będzie trwała jeszcze przez kolejne osiemdziesiąt lat. Po całej tej pracy w strugach potu, po zupełnie niewiarygodnym powrocie i tym cudownym turnieju, jeśli teraz nie wygram, nigdy nie zaznam szczęścia, prawdziwego szczęścia. A Brada zamkną w wariatkowie. Linia mety jest w zasięgu ręki. Czuję, jak mnie przyciąga.

Miedwiediew broni obie piłki meczowe. Odgania od siebie kostuchę. Powracamy do równowagi. Jednak zdobywam kolejny punkt. Znów piłka meczowa.

Krzyczę na siebie w duchu: Teraz, teraz. Musi ci się udać.

Ale broni kolejną piłkę meczową, po czym wygrywa gem.

Zmiana trwa całą wieczność. Wycieram twarz ręcznikiem. Patrzę na Brada, oczekując, że będzie równie niepokieszony jak ja. Jednak na jego twarzy widzę zacięcie. Unosi w górę cztery palce. Jeszcze cztery punkty. Cztery punkty przekładają się na cztery szlemy. No dalej! Do boju!

Jeśli przegram ten mecz, jeśli będę skazany na życie w wyniszczającym żalu, to nie stanie się tak dlatego, że nie zrobiłem tego, co mi kazał Brad. Słyszę w uchu jego głos: Wróć do studni.

Forhend Miedwiediewa to moja studnia.

Wchodzimy na kort. Mam zamiar posłać całą swoją amunicję prosto na forhend przeciwnika i on o tym doskonale wie. Przy pierwszym punkcie jest cały spięty, ostrożnie podbiega do mijającej go piłki w głębi pola. Pakuje ją w siatkę.

Jednak zdobywa kolejny punkt, kiedy ja z forhendu trafiam w siatkę. Nagle odkrywam swój serwis. Nagle, jakby znikąd, pojawia się u mnie pierwszy potężny serwis, którego nie jest w stanie odebrać. Stara się odbić wymęczonym forhendem i odbija za daleko. Posyłam mu następny, jeszcze mocniejszy, i znów z forhendu uderza w siatkę.



Punkt o mistrzostwo. Połowa publiczności wykrzykuje moje imię, a druga ją ucisza. Ciiii. Serwuję kolejną świszczącą petardę z pierwszego podania, a kiedy Miedwiediew schodzi na bok i macha jak kurczak skrzydłem, jestem drugą osobą, która wie, że wygrałem French Open. Pierwszą jest Brad. Miedwiediew jest trzeci. Piłka ląduje daleko za linią końcową. Obserwowanie, jak spada, mogę zaliczyć do największych radości mego życia.

Unoszę ramiona w górę, a rakieta pada na ziemię. Szlocham, pocierając głowę rękami. Jestem przerażony, jakie to wspaniałe uczucie. Wygrana nie miała sprawiać takiej radości. Nigdy nie miała tyle znaczyć, ale znaczy, naprawdę znaczy. Nic na to nie mogę poradzić. Jestem rozradowany, wdzięczny Bradowi, Gilowi, Paryżowi – nawet Brooke i Nickowi. Bez Nicka nie byłoby mnie tutaj. Bez wszystkich radości i smutków z Brooke, nawet bez goryczy ostatnich dni, nie byłoby to możliwe. Nawet rezerwuję nieco wdzięczności dla siebie, za wszystkie dobre i złe wybory, które mnie do tego doprowadziły.

Schodzę z kortu, posyłając całusy w cztery strony świata, najbardziej wzruszający gest, jaki mogę sobie wyobrazić, by wyrazić wzbierającą we mnie wdzięczność, emocje, które zdają się źródłem wszelkich pomniejszych radości. Obiecuję sobie, że będę to robił za każdym razem przy schodzeniu z kortu, obojętnie, czy wygram, czy przegram. Będę rozsyłał buziaki na wszystkie strony świata, dziękując wszystkim.

Zorganizowaliśmy niewielkie przyjęcie we włoskiej restauracji o nazwie Stressa w centrum Paryża, blisko Sekwany, blisko miejsca, w którym podarowałem Brooke bransoletkę w kształcie rakiety tenisowej. Piję szampana z mojego pucharu. Gil popija colę i jest fizycznie niezdolny do zachowania powagi. Co jakiś czas kładzie swoją dłoń na mojej – jest ciężka niczym słownik – i mówi: Udało ci się.

Nam się udało, Gilly.

Jest tu McEnroe i podaje mi telefon ze słowami: Ktoś chce się z tobą przywitać.

Andre? Andre! Gratulacje. Sprawileś mi wielką radość dzisiaj. Zazdrozczę ci.

Borg.

Zazdrościsz? Czego?

Dokonałeś czegoś, co niewielu z nas się udało.

Słońce już wstaje, kiedy wraz z Bradem idziemy do hotelu. Obejmuje mnie i mówi: Podróż zakończyła się właściwie.

Jak to?

Zwykle w życiu droga kończy się kurewsko źle, lecz tym razem zakończyła się bardzo dobrze.

Obejmuję Brada ramieniem. To jedna jedyna rzecz, którą prorok źle przewidział. Ta podróż dopiero się zaczęła.



Podczas lotu concorde'em do Nowego Jorku Brad tłumaczy mi, że to przeznaczenie – p r z e z n a c z e n i e. Wcześniej wypił już kilka piw.

Wygrałeś French Open 1999 mężczyzn, mówi. A jak myślisz, kto wygrał turniej kobiet? No, kto? Powiedz mi.

Uśmiecham się.

No właśnie. Steffi Graf. To przeznaczenie, że będziecie razem. Jedynie dwójka ludzi w historii tenisa wygrała jednocześnie cztery turnieje wielkoszlemowe i zdobyła olimpijskie złoto – ty i Steffi Graf. Złoty Szlem. Przeznaczone jest wam, że weźmiecie ślub.

Mówiąc szczerze, takie są moje przewidywania. Bierze reklamówkę concorde'a z kieszeni fotela przed sobą i bazgroli coś w prawym górnym rogu: 2001 – Steffi Agassi.

Co to, do diabła, ma znaczyć?

Weźmiecie ślub w 2001 roku. A pierwsze dziecko urodzi się wam w 2002.

Brad, ona ma chłopaka. Zapomniałeś?

Po tych ostatnich dwóch tygodniach chcesz mi powiedzieć, że są rzeczy niemożliwe?

No, mówię tak. Teraz, kiedy wygrałem French Open, czuję się nieco bardziej – bo ja wiem... jej godny?

No właśnie. Nareszcie coś do rzeczy.

Nie wierzę, że wygraną w turniejach tenisowych kieruje przeznaczenie. Może jest nam przeznaczone być z sobą, być może, ale posyłanie asów przeciwnikowi nie ma nic wspólnego z przeznaczeniem. I tak na wszelki wypadek i dlatego, że mi się podoba ten napis, oddzieram róg planu *concorde'a*, na którym zapisał swoje najnowsze proroctwo i wkładam sobie do kieszeni.

Spędzamy kilka dni na Fisher Island, odzyskując siły i świętując. Głównie to drugie. Ekipa rośnie. Przylatuje do nas Kimmie, żona Brada. Dołączają J.P. i Joni. Późno w nocy podkręcamy sprzęt i słuchamy raz po raz jak Sintara śpiewa *That's Life*, a Kimmie i Joni tańczą taniec go-go na stole i łóżku.

Później idziemy na trawiasty kort przy hotelu. Przez kilka dni trenujemy z Bradem, po czym wsiadamy do samolotu lecącego do Londynu. Gdzieś nad Atlantykiem zdaję sobie sprawę, że wylądujemy w dniu urodzin Steffi. Jakie mam szanse na spotkanie jej? A jeśli natkniemy się na nią przypadkiem? Miło by było, gdybym coś dla niej miał.

Spoglądam na Brada, który śpi. Wiem, że będzie chciał prosto z lotniska jechać na kort treningowy w Wimbledonie, nie będzie więc czasu, by zatrzymać się w sklepie z papeterią. Muszę teraz zrobić dla niej urodzinową kartkę. Ale z czego?

Zauważam, że menu pierwszej klasy ładnie wygląda. Na okładce widnieje fotografia z wiejskim kościółkiem, nad którym wisi księżyc w nowiu. Łączę dwie okładki w jedną kartkę i w środku piszę: *Droga Steffi, chciałem życzyć Ci wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Jaka musisz być dumna. Gratuluję tego, co – jak wiem – jest jedynie okruchem tego dobrego, co Cię czeka.*

Wybijam dziury w dwóch kartach. Teraz muszę znaleźć coś, żeby je połączyć. Pytam stewardesę, czy ma jakąś nitkę lub wstążkę. Może być lameta? Daje mi kawałek rafii owiniętej wokół szyjki butelki z szampanem. Ostrożnie przeplatam rafię przez dziurki. Czuję się, jakbym naciągał rakiętę tenisową.

Kiedy kartka jest gotowa, budzę Brada i pokazuję mu swoje rękodzieło.

Rzemiosło ze Starego Świata, mówi.

Przeciera oko kułakiem i kiwa z aprobatą głową. Wystarczy tylko spojrzenie, stwierdza. Otwarcie. Wsadzam kartkę do swojej torby tenisowej i czekam.

Są trzy poziomy kortów treningowych na Wimbledonie w Aorangi Park. Jest to góra z trzema poziomami, niczym aztecka świątynia tenisa. Brad i ja gramy na środkowym poziomie przez pół godziny. Kończymy i pakuję torbę, jak zwykle nie spiesząc się. Trudno jest dojść do siebie po locie przez ocean. Starannie wszystko układam i przekładam, wkładam moją moką koszulkę do plastikowej torby, kiedy nagle Brad daje mi kuksańca w ramię.

Nadchodzi, stary, nadchodzi.

Mam spojrzenie irlandzkiego setera. Gdybym miał ogon, to bym nim zamerdał. Jest od nas jakieś dwadzieścia metrów i ma na sobie obcisłe błękitne spodenki do rozgrzewki. Po raz pierwszy zauważam, że chodzi, stawiając palce lekko do środka, tak jak ja. Jej blond włosy związane w koński ogon lśnią w słońcu. Znowu wyglądają jak aureola.

Staje. Całuje mnie po europejsku w oba policzki.

Gratulacje za Francuza, mówi. Bardzo się cieszyła z twojej wygranej. Miałam łzy w oczach.

Ja też.

Uśmiecha się.

Ja tobie też gratuluję, mówię. Przetarłaś szlak. Rozgrzałaś dla mnie kort.

Dziękuję.

Milczenie. Na szczęście nie ma tu ani fanów, ani fotoreporterów, więc wydaje się rozluźniona i nie spieszy się nigdzie. Ja również, o dziwo, jestem spokojny. Jednak Brad zaczyna wydawać z siebie jakieś piski, jakby wypuszczał powietrze z balona.

Och, mówię. Słuchaj. Właśnie sobie przypomniałem. Mam dla ciebie prezent. Wiedziałem, że masz urodziny, więc zrobiłem ci kartkę. Wszystkiego najlepszego.

Bierze ode mnie kartkę, ogląda ją przez kilka chwil, po czym wyraźnie wzruszona podnosi wzrok.

Skąd wiedziałeś, że mam urodziny?

Po prostu – wiem.

Dziękuję ci. Naprawdę dziękuję.

Odchodzi pospiesznie.

Na drugi dzień Steffi schodzi z kortu treningowego w chwili, gdy pojawia się na nim z Bradem. Tym razem są wszędzie wokół watahy kibiców i fotoreporterów, dlatego jest niezwykle czujna. Zwalnia, macha do

mnie nieznacznie i scenicznym szeptem pyta: Jak mogę się z tobą skontaktować?

Dam mój numer Heinzowi.

Dobra.

Do widzenia.

Pa.

Po treningu ja, Perry i Brad siedzimy w wynajętym domu, debatując nad tym, czy zadzwoni.

Wkrótce, wyrokuje Brad.

Bardzo szybko, dodaje Perry.

Mijają trzy dni bez telefonu.

Mija kolejny dzień.

Cierpię katusze.

Wimbledon zaczyna się w poniedziałek, a ja nie mogę spać, nie mogę zebrać myśli. Pigułki na sen są bezsilne w obliczu takiego napięcia.

Lepiej, żeby zadzwoniła, prorokuje Brad, albo znów przegrasz w pierwszej rundzie.

W sobotę wieczór, tuż po kolacji dzwoni telefon.

Halo?

Cześć, tu Stefanie.

Stefanie?

Stefanie.

Stefanie – Graf?

Tak.

Och. Mam mówić do ciebie Stefanie.

Wyjaśnia, że jej mama nazwała ją Steffi lata temu, prasa to podchwyciła i przyłgnęło do niej. Ale ona uważa się za Stefanie.

W takim razie niech będzie Stefanie.

Rozmawiając z nią, szuram po salonie w przepoconych skarpetkach. Szusuję po drewnianym parkiecie. Brad błaga mnie, żebym przestał, żebym usiadł spokojnie na krześle. Jest pewien, że zaraz złamię nogę albo skręcę kolano. Zadowolam się prostym szusem narciarza biegowego wokół pokoju. Uśmiecha się i szepcze do Perry'ego: Będziemy mieć dobry turniej. To będzie dobry Wimbledon.

Ciii, uciszam go.

Potem zamykam się w pokoju na tyłach domu.

Posłuchaj mnie, mówię do Stefanie, tam w Key Biscayne powiedziałaś, żeby nie było między nami niedomówień i nieporozumień. Cóż, ja też tego bym nie chciał. Muszę ci więc powiedzieć... muszę to powiedzieć, zanim zajdziemy dalej, że uważam, iż jesteś piękna. Szanuję cię, podziwiam cię i bardzo, ale to bardzo chciałbym cię lepiej poznać. To jest mój cel. Taki mam plan. Powiedz mi, że to możliwe. Powiedz, że możemy zjeść razem kolację.

Nie.

Proszę.

To jest niemożliwe – nie tutaj.

Nie tutaj. Dobrze. Możemy pójść gdzieś indziej.

Nie. Mam chłopaka.

Myślę: Chłopak. Znowu. Czytałem o nim. Kierowca rajdowy. Ma tego samego chłopaka od sześciu lat. Staram się jakoś to mądrze spuentować, w jakiś sposób przekonać ją, by wzięła pod uwagę również mnie. W ciszy ciągnącej się nieprzyzwoicie długo mija chwila i stać mnie tylko na to:

Sześć lat to szmat czasu.

Tak, przyznaje. To prawda.

Skoro nie idziecie naprzód, to się cofacie. Przeżyłem to.

Nie mówi nic, ale chodzi o sposób, w jaki milczy. Musiałem poruszyć czułą strunę.

Ciągnę dalej.

Może to nie jest to, czego szukasz. Znaczy, nie chcę nic sugerować – ale...

Wstrzymuję oddech. Nie zaprzecza.

Nie chcę wykazać się brakiem szacunku ani pozwalać sobie na zbyt wiele, ale czy mogłabyś, proszę, bo ja wiem... po prostu mnie bliżej poznać?

Nie.

Może wspólna kawa?

Nie mogę się z tobą pokazać. To nie byłoby w porządku.

A może listownie? Mogę do ciebie napisać?

Wybuchają śmiechem.

Może mógłbym ci coś przysłać? Może pozwolisz, że najpierw dam ci się poznać, zanim podejmiesz decyzję, że chcesz mnie poznać?

Nie.

Nawet listownie?

Jest ktoś, kto czyta moje listy.

Rozumiem.

Przykładam pięść do czoła. Myśl, Andre, myśl.

Dobrze, a może zrobimy tak: grasz następny turniej w San Francisco. Będę tam trenował z Bradem. Mówiłaś, że uwielbiasz to miasto. Spotkajmy się w San Francisco.

To jest... możliwe.

To jest... możliwe?

Czekam, aż rozwinie temat. Nie rozwija.

Mogę więc do ciebie zadzwonić? A może ty zechcesz zadzwonić do mnie?

Zadzwoń do mnie po turnieju, mówi. Najpierw zagrajmy, a zadzwonisz do mnie, kiedy skończysz turniej.

Daje mi numer komórki. Zapisuję go na papierowej serwetce, całuję ją i wkładam do mojej tenisowej torby.

Docieram do półfinału i gram przeciwko Rafterowi. Pokonuję go w trzech setach. Nie muszę się głowić nad tym, kto czeka na mnie w finale. Pete. Jak zawsze, Pete. Wlokę się z powrotem do domu, mając w głowie jedynie prysznic, posiłek i łóżko. Dzwoni telefon – jestem pewny, że to Stefanie chce mi życzyć powodzenia w meczu z Pete'em i potwierdzić naszą randkę w San Francisco.

Ale to Brooke. Jest w Londynie i pyta, czy może wpaść do mnie w odwiedziny.

Kiedy odwieszam słuchawkę i odwracam się, niemal wpadam na Perry'ego.

Andre, proszę cię, powiedz, że odmówiłeś. Proszę cię, powiedz, że nie pozwoliłeś przyjść tu tej kobiecie.

Przychodzi. Rano.

Przed finałem Wimbledonu?

Nic nie będzie.

Przychodzi o dziesiątej, mając na głowie olbrzymi angielski kapelusz z szerokim, opadającym rondem i plastikowymi kwiatami. Robię jej krótką wycieczkę po domu. Porównujemy go z domami, które kiedyś razem wynajmowaliśmy, w dawnych czasach. Pytam, czy nie napiłaby się czegoś.

Masz trochę herbaty?

Jasne.



Słyszę, jak w sąsiednim pokoju kaszle Brad. Wiem, co znaczy to kasznięcie. Jest poranek przed finałem. Sportowiec nigdy w takim momencie nie powinien zmieniać rutynowego postępowania. Co rano podczas turnieju piłem kawę. Teraz też powinienem ją wypić.

Chcę być dobrym gospodarzem. Parzę dzbanek herbaty i pijemy ją przy stole pod kuchennym oknem. Rozmawiamy, nie mówiąc nic. Pytam, czy jest coś szczególnego, co chciała mi powiedzieć. To, że za mną tęskni. Chciała mi to powiedzieć.

Widzi stertę magazynów w rogu na stole, egzemplarzy ostatniego „Sports Illustrated”. Na okładce widnieje moje zdjęcie. Nagłówek brzmi: A teraz Andre (nagle zapalałem nienawiścią do tego zwrotu). Przysłali je organizatorzy turnieju, wyjaśniam. Chcieli, żebym złożył na nich autografy dla fanów, organizatorów Wimbledonu i obsługi.

Brooke bierze jeden magazyn i wpatruje się w moje zdjęcie. Patrzę, jak to robi. Przypomina mi się ten dzień sprzed trzynastu lat, kiedy siedzimy z Perrym w jego sypialni pośród setek okładek „Sports Illustrated”, marząc o Brooke. A teraz siedzi tutaj, ja jestem na okładce „Sports Illustrated”, Perry jest byłym producentem jej serialu telewizyjnego i wszyscy ledwo z sobą rozmawiamy.

Czyta nagłówek na głos: *A teraz Andre*. Czyta drugi raz: *A teraz Andre?*

Podnosi wzrok. Och, Andre.

Co?

Och, Andre, tak mi przykro.

Dlaczego?

To twoja wielka chwila, a oni wciąż piszą o moim serialu.

Stefanie też jest w finale. Przegrywa z Lindsay Davenport. Grała też miksta z McEnroe i dotarła do finału, ale wycofała się z powodu kontuzji stawu skokowego. Jestem w szatni i ubieram się na mój mecz z Pete’em, a McEnroe opowiada grupie zawodników, że Stefanie zostawiła go na lodzie.

No, popatrzcie jaka suka. Najpierw prosi mnie, żebym z nią zagrał w deblu i ja, kurwa, gram, a kiedy jesteśmy w finałach, ona się wycofuje!

Brad kładzie mi dłoń na ramieniu. Spokojnie, mistrzu.

Zaczynam z kopyta z Pete’em. Mój umysł wędruje w kilku kierunkach naraz – jak Mac śmie mówić takie rzeczy o Stefanie? O co chodziło z tym kapeluszem, który miała na sobie Brooke? – ale jakimś cudem gram dobry,

mięśisty tenis. Jest po trzy w pierwszym secie i Pete serwuje przy 0–40. Potrójny break point. Widzę, że Brad się uśmiecha, trąca Perry’ego i krzyczy: Dalej! Do boju! Pozwalam sobie przypomnieć Borga, ostatnią osobę, która wygrała French Open i Wimbledon jeden po drugim, co teraz jest w moim zasięgu.

Wyobrażam sobie, jak Borg znów do mnie dzwoni, by mi pogratulować. Andre? Andre to ja. Björn. Zazdroszczę ci.

Pete wytrąca mnie z marzeń. Serwisem nie do odebrania. Znów serwis nie do odebrania. Żółta mgiełka. As. Gem dla Samprasa.

Patrzę wstrząśnięty na Pete’a. Nikt żywy czy martwy nigdy nie serwował w ten sposób. Nikt w historii tego sportu nie byłby w stanie odebrać tych serwów.

Załatwia mnie w trzech setach, wykańcza mnie dwoma asami, dwoma płonącymi wykrzyknikami na koniec niezrównanego występu. To pierwszy mecz w szlemie przegrany od czternastu meczów, pokaz dominacji bezprecedensowy w mojej karierze. Ale historia odnotuje fakt, że jest to szósty Wimbledon Pete’a i jego szesnasty turniej wielkoszlemowy, plasujący go na pierwszym miejscu wśród tenisistów wszech czasów – i słusznie. Później Pete mówi mi, że nigdy nie widział, żebym tak mocno i czysto uderzał piłkę, jak podczas tych pierwszych sześciu gemów i to sprawiło, że musiał podciągnąć swoją grę, przyspieszyć serwis o jakieś trzydzieści kilometrów na godzinę.

W szatni muszę przejść obowiązkowy test na obecność narkotyków w organizmie. Tak bardzo chce mi się sikać i pobiec do domu, żeby zadzwonić do Stefanie, ale nie mogę, bo mam pęcherz niczym wieloryb. Trwa to wieki. W końcu pęcherz zaczyna współpracować z sercem.

Zostawiam torbę w przedpokoju i rzucam się do telefonu jak do slajsa. Wykręcam numer drżącymi palcami. Poczta głosowa. Zostawiam wiadomość: Cześć. Tu Andre. Już po turnieju. Przegrałem z Pete’em. Przykro mi z powodu twojej przegranej z Lindsay. Zadzwon, kiedy będziesz mogła.

Siedzę. Czekam. Mija dzień. Kolejny. Nikt nie dzwoni.

Trzymam telefon przed twarzą i rozkazuję: Dzwon!

Znów wykręcam jej numer, zostawiam kolejną wiadomość. Cisza.

Lecę z powrotem na wschodnie wybrzeże. Kiedy wysiadam z samolotu, sprawdzam wiadomości. Nic.

J.P. spotyka się ze mną w Nowym Jorku. Idziemy w miasto. Do P.J. Clarke's i do Campagnoli. Kiedy wchodzimy, rozlega się wielka owacja. Widzę mojego kumpla Bo Dietla, byłego gliniarza, obecnie gwiazdę telewizji. Siedzi przy długim stole ze swoją ekipą: Mike'em Ruskiem, Shelly Krawcową, Alem Tomatoes oraz Joeyem Pots and Pans\*. Nalegają, żebyśmy się do nich przysiedli.

\* *Pots and pans* – garnki i patelnie, ale też *pots* – trawa, marihuana (przyp. tłum.).

J.P. pyta Joeya Pots and Pans, skąd wziął się jego przydomek.

Uwielbiam gotować!

Później wszyscy wybuchają gromkim śmiechem, kiedy dzwoni telefon. Joey otwiera klapkę i krzyczy: Pots!

Bo oznajmia, że urządzają w ten weekend imprezę w Hamptons. Zaprasza mnie i J.P. Pots będzie gotował, zachęca. Powiedz, co lubisz jeść najbardziej, cokolwiek by to było, on ci to przyrządzi. Od razu przypominają mi się czwartkowe wieczory sprzed lat w domu Gila.

Zapewniam Bo, że nie przegapię takiej okazji.

Goście w domu Bo przypominają przemieszane obsady filmów *Chłopcy z ferajny* i *Forest Gump*. Siedzimy wokół basenu, palimy cygara, pijemy tequilę. Co jakiś czas przyglądam się wyciąganemu z kieszeni numerowi Stefanie. W pewnym momencie wchodzę do domu i dzwonię do niej z numeru stacjonarnego, na wypadek gdyby odrzucała moje telefony. Dodzwaniam się do poczty głosowej.

Sfrustrowany, niespokojny, wypijam trzy, cztery margherity za dużo, po czym kładę telefon oraz portfel na krześle i w ubraniu skaczę z rozbiegu na bombę do basenu. Wszyscy idą w moje ślady. Godzinę później znów sprawdzam skrzynkę odbiorczą. Masz nową wiadomość.

Z jakiegoś powodu mój telefon nie zadzwonił.

Cześć, mówi. Przepraszam, że nie oddzwoniłam od razu. Bardzo zachorowałam. Po Wimbledonie mój organizm się poddał. Musiałam wycofać się z turnieju w San Francisco i wrócić do domu, do Niemiec. Teraz czuję się już lepiej. Oddzwoń, kiedy będziesz mógł.

Oczywiście, nie zostawia numeru, bo już mi go dała, a ponieważ jest zastrzeżony, to nie ma go na wyświetlaczu.

Klepię się po kieszeniach. Gdzie ja dałem tę kartkę?

Serce mi zamiera. Pamiętam, że zapisywałem go na papierowej serwetce, która była w mojej kieszeni podczas skoku do basenu. Ostrożnie sięgam do

kieszeni i wyciągam chusteczkę. Wygląda jak makijaż Tammy Faye Bakker\*\*.

\*\* Tamara Faye LaValley Bakker Messner – amerykańska piosenkarka i ewangelistka telewizyjna, znana z przesadnego makijażu i wytatuowanych brwi.

Przypominam sobie, że dzwoniłem do Stefanie z telefonu Bo. Chwytam go za ramię i mówię, że cokolwiek trzeba będzie zrobić: wyświadczyć komuś przysługę, podpłacić kogoś, zastraszyć czy zabić, musi dać mi spis telefonów wychodzących z jego domu dzisiejszego dnia. I musi mi to dać teraz.

Załatwione, odpowiada Bo.

Zwraca się do faceta, który zna innego faceta, który ma kuzyna, którego przyjaciel pracuje dla firmy telefonicznej. Godzinę później mamy listę. Wygląda niczym panorama firm Pittsburgha. Bo krzyczy do imprezowiczów: Będę musiał mieć was wszystkich na oku! Nic dziwnego, że później płacę takie wielkie rachunki!

Ale mam numer. Zapisuję go w sześciu różnych miejscach, włącznie z dłonią. Dzwonię do Stefanie i odbiera po trzecim dzwonku. Zdradzam jej, że właśnie skończyłem ją tropić. Śmieje się.

Wkrótce obydwójce gramy turniej nieopodal Los Angeles. Możemy się tam spotkać? Co?

Po twoim turnieju, mówi. Tak.

Lecę do Los Angeles i gram dobrze. W finale spotykam się z Pete'em. Przegrywam 7–6, 7–6 i nic mnie to nie obchodzi. Zbiegając z kortu, jestem najszcześniejszym facetem na świecie.

Biorę prysznic, golę się, przebieram. Łapię za moją torbę tenisową i idę do drzwi – Brooke.

Słyszała, że jestem w mieście, i postanowiła przyjechać, żeby zobaczyć, jak gram. Przygląda mi się od stóp do głów.

Ojej, ale się wystroiłeś. Ważna randka?

Mówiąc szczerze, tak.

Och, a z kim to?

Nie odpowiadam.

Gil, pyta, z kim on się umówił?

Brooke, myślę, że powinnaś zapytać o to Andre.

Patrzy na mnie. Wzdycham.

Umówiłem się ze Stefanie Graf.

Stefanie?

Steffi.

Wiem, że obojgu przyszło nam na myśl to zdjęcie na drzwiach lodówki. Mówię: Proszę cię, Brooke, nie mów nikomu. Bardzo ceni sobie prywatność i nie chce zwracać na siebie uwagi.

Nikomu ani słówka.

Dziękuję.

Dobrze wyglądasz.

Naprawdę?

Aha.

Dzięki.

Biorę swoją torbę tenisową. Odprowadza mnie tunelem pod stadionem do miejsca, w którym zawodnicy parkują swoje auta.

Cześć, Lily, mówi, kładąc dłoń na lśniącej białej masce mojego cadillaca. Dach już spuściłem. Rzucam torbę na tylne siedzenie.

Baw się dobrze, mówi Brooke. Całuje mnie w policzek.

Ruszam wolno, zerkając na nią we wstecznym lusterku. Ponownie odjeżdżam od niej w Lily, ale wiem, że tym razem jest to ostatnia okazja, kiedy ze sobą rozmawialiśmy.

Po drodze do San Diego, gdzie gra Stefanie, dzwonię do J.P., który dodaje mi otuchy. Nie staraj się za bardzo, radzi. Nie staraj się być doskonały. Bądź sobą.

Andre, mówi, niektórzy ludzie są jak termometr, a niektórzy jak termostat. Ty jesteś jak termostat. Nie rejestrujesz temperatury w pomieszczeniu, ty ją zmieniasz. Bądź więc pewny swego, bądź sobą, przejmij dowodzenie. Pokaż jej swoje ja.

Myślę, że mogę to zrobić. Mam ją wozić z opuszczonym czy podniesionym dachem? Z podniesionym. Dziewczyny przejmują się swoją fryzurą.

Jak każdy. Ale czy nie jest chłodniej z opuszczonym dachem?

Włosy, Andre, jej włosy.

Dach mam opuszczony. Wolę być wyluzowany niż rycerski.

Stefanie wynajmuje mieszkanie w dużym kurorcie. Kurort znalazłem, ale nie mogę odnaleźć mieszkania, dzwonię więc po instrukcje.

Jakim samochodem przyjechałeś?

Cadillakiem, wielkim jak wóz cyrkowy.

Ach, tak. Widzę cię.

Podnoszę wzrok. Stoi na wysokim zielonym wzgórzu i macha do mnie.

Krzyczy: Poczekaj tam!

Zbiega z góry i zachowuje się tak, jakby miała zamiar wskoczyć do mego samochodu.

Czekaj, mówię. Mam coś dla ciebie. Mogę wejść do ciebie na chwilę?

Och. Hmm.

Tylko na chwilę.

Niechętnie ponownie wchodzi na górę. Jadę naokoło i parkuję przed wejściem do jej mieszkania.

Daję jej prezent, pudełko wymyślnych świec, które kupiłem dla niej w Los Angeles. Chyba się jej podobają.

Dobra, mówi. Gotowy?

Miałem nadzieję na drinka.

Na drinka? Jakiego drinka?

Bo ja wiem? Wino?

Odpowiada, że nie ma wina.

Możemy zamówić u obsługi.

Wzdycha. Podaje mi listę win i prosi, żebym wybrał butelkę.

Kiedy facet z obsługi puka do drzwi, prosi mnie, żebym zaczekał w kuchni. Nie chce, by widziano nas razem. Czuje się niepewnie na tej naszej randce. Czuje się winna. Wyobraża sobie, że facet z obsługi wróci do siebie, by powiedzieć o tym innym facetom z obsługi. Mam chłopaka, przypomina mi.

Ale my tylko...

Nie ma czasu na wyjaśnienia, mówi. Wpycha mnie do kuchni.

Słyszę biednego faceta, który jest lekko zadurzony w Stefanie. Ona jest równie nerwowa, choć z zupełnie innego powodu. Stara się go popędzać, a on gmera coś przy tej butelce i oczywiście ją upuszcza. Château Beychevelle rocznik 1989.

Kiedy mężczyzna wychodzi, pomagam Stefanie pozbierać kawałki potłuczonego szkła.

Mówię: Myślę, że nieźle to się zaczyna, nie uważasz?

Zarezerwowałem stolik w Georges on the Cove przy oknie z widokiem na ocean. Obydwoje zamawiamy kurczaka i warzywa na ziemniaczanym purée. Stefanie je szybciej niż ja i nawet nie tyka wina. Wiem już, że nie

jest łakomczuchą ani typem dziewczyny, która po trzech posiłkach jeszcze męczy się nad kawą. Wierci się, bo jakiś jej znajomy siedzi za nami.

Rozmawiamy o mojej fundacji. Jest zafascynowana pomysłem szkoły społecznej – ona ma swoją fundację, która udziela psychologicznej porady dzieciom dotkniętym wojną i przemocą w miejscach takich jak Afryka Południowa czy Kosowo.

W naturalny sposób pojawia się temat Brada. Opowiadam o jego niezwykłym talencie trenerskim oraz przedziwnych umiejętnościach oceniania ludzi. Śmiejemy się z drogi przez mękę, która doprowadziła do dzisiejszego spotkania. Nie wyjawiam jej przepowiedni Brada. Nie pytam o jej chłopaka. Interesuję się natomiast, co lubi robić w wolnym czasie. Mówi, że uwielbia ocean.

Zechciałabyś jutro pójść ze mną na plażę?

Myślałam, że macie jechać do Kanady.

Mógłbym jakoś znieść czerwone oczy jutro wieczorem.

Zastanawia się.

Dobrze.

Po kolacji podwożę ją do domu. Całuje mnie w oba policzki, co zaczyna mi przypominać jeden z ruchów karate. Wbiega do środka.

Jadąc z powrotem, dzwonię do Brada. On już jest w Kanadzie, a tam jest o wiele później. Budzę go. Podnosi się jednak, kiedy mówię, że randka się udała.

No dalej, zachęca sennym głosem, tłumiąc ziewnięcie. Do dzieła!

Rozkłada ręcznik na piasku i ściąga dzinsy. Pod spodem ma biały, jednoczęściowy kostium. Wchodzi do wody po kolana. Stoi tak, podpierając się dłonią o biodro, drugą osłania oczy przed słońcem i wpatruje się w horyzont.

Pyta mnie: Nie wchodzisz?

Nie wiem.

Mam na sobie białe tenisowe szorty. Nie pomyślałem, żeby zabrać kąpielówki, bo jestem dzieckiem pustyni. Nie radzę sobie najlepiej w wodzie, ale teraz popłynąłbym do Chin, jeśli bym musiał. Jedyne w tenisowych szortach podchodzę do miejsca, w którym stoi Stefanie. Śmieje się z moich gatek i udaje oburzenie, że nie noszę bielizny. Mówię jej, że nie noszę od French Open i nigdy już nie założę.

Po raz pierwszy rozmawiamy na temat tenisa. Kiedy wyznaję, że nienawidzę tenisa, odwraca się do mnie, a jej spojrzenie mówi: Oczywiście.

Wszyscy nienawidzą tenisa.

Opowiadam jej o Gilu. Pytam o jej trening. Wspomina, że kiedyś trenowała z niemiecką olimpijską drużyną biegaczek.

Na jakim dystansie najlepiej się czułaś?

Na ośmiuset metrach.

Jejku. To dopiero mordęga. Jaki miałaś czas?

Uśmiecha się nieśmiało.

Nie chcesz mi powiedzieć?

Brak odpowiedzi.

No, daj spokój. Szybka jesteś?

Wskazuje na czerwony balon w oddali na plaży.

Widzisz tę czerwoną kropkę?

Taa.

Nie przegonisz mnie, jeśli tam pobiegniemy.

Naprawdę?

Naprawdę.

Uśmiecha się. I rusza. Ja sunę za nią. Wydaje mi się, jakbym biegł za nią całe życie, a teraz dosłownie gonię za nią. Z początku wszystko, co mogę zrobić, to utrzymywać tempo, ale blisko mety zaczynam zmniejszać dystans. Dopada do czerwonego balonu o dwie głowy przede mną. Odwraca się i perły jej śmiechu docierają do mnie niczym ożywcza bryza.

Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy.





Jestem w Kanadzie, ona w Nowym Jorku. Jestem w Vegas, ona w Los Angeles. Łączymy się telefonicznie. Pewnego wieczoru prosi mnie o podanie moich ulubionych: piosenki, książki, potrawy i filmu.

Pewnie nawet nie słyszałaś o moim ulubionym filmie.

Powiedz mi, prosi.

Powstał kilka lat temu, nosi tytuł *Cienista dolina*. Opowiada o życiu pisarza C.S. Lewisa.

Słyszę odgłos, jakby jej upadła słuchawka.

To niemożliwe, stwierdza. To po prostu niemożliwe. To jest też mój ulubiony film.

Mówi o angażowaniu się w związek, o otwarciu się na miłość.

Tak, przytakuje. Tak, to ten, wiem.

*Jesteśmy niczym bloki kamienia... ciosy Jego dłuta, które tak nas bolą, doskonałą nas.*

Tak. Tak, doskonałą.

Gram w Montrealu w półfinale przeciwko Kafielnikowowi i nie mogę zdobyć ani jednego punktu. Znajduje się na drugiej pozycji w rankingu światowym i leje mnie tak, że ludzie na trybunach zakrywają oczy. Mówię sobie: Nie mam żadnego wpływu na wynik tego meczu. Nie mam prawa głosu, jeśli chodzi o to, co się dzisiaj ze mną stanie. Nie tylko mnie

pokonuje, on mnie pozbawia praw obywatelskich. Ale nic sobie z tego nie robię. W szatni widzę, jak trener Kafielnikowa Larry opiera się z uśmiechem o ścianę.

Larry, to był najpaskudniejszy pokaz tenisowy, jaki widziałem w życiu. Zmuszę cię, żebyś mi coś obiecał. Powiedz swojemu chłopakowi, że teraz ja mu sprawię kilka razy lanie.

Później tego dnia dostaję telefon od Stefanie. Jest na LAX.

Pytam: Jak ci idzie w turnieju?

Zostałam kontuzjowana.

Auć. Przykro mi.

Tak. I tyle w tej sprawie. Kończę.

Dokąd lecisz?

Z powrotem do Niemiec. Mam pewną niedokończoną sprawę do załatwienia.

Wiem, co to znaczy. Będzie rozmawiać ze swoim chłopakiem, powie mu o mnie i zerwie z nim. Czuję, jak na mojej twarzy pojawia się głupkowaty uśmiech.

Obiecuje, że kiedy wróci z Niemiec, spotka się ze mną w Nowym Jorku. Możemy spędzić trochę czasu razem przed US Open 1999. Wspomina, że będzie musiała zwołać konferencję prasową.

Konferencję prasową? Po co?

W sprawie mojego przejścia w stan spoczynku.

Ty – kończysz z tenisem?

To właśnie powiedziałam, kończę.

Kiedy powiedziałaś kończę, myślałam, że chodzi ci o turniej! Nie myślałam, że kończysz – k o ń c z y s z.

Czuję wielką pustkę na myśl o tenisie bez Stefanie Graf, największej tenisistki wszech czasów. Zagaduję ją, jak to jest wiedzieć, że już nigdy nie machnie się rakieta w turnieju. Pytania tego typu zadają mi cały czas dziennikarze, ale nie mogę się powstrzymać. Chcę wiedzieć. Dopytuję się z mieszaniną ciekawości i zawiści.

Mówi, że to przyjemne uczucie. Jest z tym pogodzona i gotowa jak nigdy, by skończyć.

Zastanawiam się nad tym, czy ja jestem gotów. Negocjuję z moją własną tenisową śmiertelnością. Ale tydzień później w Waszyngtonie gram z Kafielnikowem w finale. Pokonuję go 7–6, 6–1 i później posyłam jego trenerowi Larry’emu znaczące spojrzenie. Jak słowo, to słowo.

Uzmysławiam sobie, że ja jeszcze nie skończyłem. Mam kilka obietnic do spełnienia.

Znów niewiele mi brakuje, by wskoczyć na pierwsze miejsce w rankingu. Tym razem nie jest to cel mego ojca ani Perry'ego, ani Brada, i napominam się, że to też nie jest mój cel. Byłoby miło, tylko tyle. Byłoby to ukoronowaniem mojego powrotu. Byłby to kamień milowy na mojej drodze. Wbiegam na Wzgórze Gila jednym zboczem i zbiegam drugim. Trenuję, by dostać się na pierwsze miejsce. I do US Open. I w przedziwny sposób dla Stefanie.

Przylatuje do Nowego Jorku, więc zabieram ją do dziewiętnastowiecznego domu przyjaciela w północnym rejonie stanu. Posiadłość ma piętnaście tysięcy akrów i jest w niej kilka dużych, kamiennych kominków. W każdym pokoju możemy siedzieć, wpatrywać się w płomień i rozmawiać. Wyznaję jej, że kocham ogień. Ja też, odpowiada. Liście właśnie zaczynają żółknąć, a każda rama okienna okala pocztówkowy landszaft czerwono-żółtych lasów i gór. Wiele kilometrów wokół nie ma żywej duszy.

Czas upływa nam na spacerach, pieszych wędrówkach, wizytach w pobliskich miasteczkach i szperaniu w sklepach z antykami. Wieczorem leżymy na kanapie i oglądamy *Różową Panterę*. Po pół godzinie tak głośno śmiejemy się z popisów aktorskich Petera Sellersa, że muszę zatrzymać film, aby nabrać tchu.

Po trzech dniach Stefanie wyjeżdża. Musi pojechać na wakacje z rodziną. Błagam ją, by wróciła na ostatni weekend US Open. Żeby była tam dla mnie. W mojej łóży. Zastanawiam się, czy nie zapeszam zakładając, że będę walczył w finale, ale co mi tam.

Mówi, że się postara.

Docieram do półfinału. Mam grać z Kafielnikowem. Stefanie dzwoni, informując, że się pojawi, ale nie usiądzie w mojej łóży. Jeszcze nie jest na to gotowa.

W takim razie, pozwól, że załatwię ci jakieś miejsce.

Sama sobie załatwię, odpowiada. O mnie się nie martw. Znam tu wszystkie kąty.

Śmieję się. No, jasne.

Obserwuje mecz z górnego tarasu z czapką bejsbolową mocno nasuniętą na oczy. Oczywiście kamerzysta CBS wypatrzył ją w tłumie i McEnroe, komentując dla telewizji transmisję podczas US Open, zauważa, że

organizatorzy powinni się wstydzić, iż nie dali Steffi Graf lepszego miejsca. Znów pokonuję Kafielnikowa. Przekaż pozdrowienia Larry'emu.

W finale gram z Martinem. Myślałem, że będzie Pete. Powiedziałem publicznie, iż chcę grać z Pete'em, ale wycofał się z turnieju z powodu kontuzji pleców. A więc pozostaje Martin, który stał za siatką w kilku krytycznych punktach mojej kariery. Na Wimbledonie w 1994 roku, kiedy starałem się pojąć nauki Brada, przegrałem z nim w pięciosetowej wojnie podjazdowej. W tym samym roku na US Open Lupica przewidział, że Martin mnie przewróci w półfinale, a ja mu uwierzyłem, jednak udało mi się pokonać rywala i wygrać turniej. W Stuttgarcie w 1997 roku poniosłem sromotną klęskę w pierwszej rundzie, co doprowadziło Brada do ostateczności. Teraz Martin miał sprawdzać moją świeżo uzyskaną dojrzałość i pokazać, czy zmiany, jakie we mnie zaszły, są ulotne czy istotne.

Przełamuję go już w pierwszym gemie. Publiczność stoi za mną murem. Martin jednak nie składa broni, nie traci werwy. Każe mi się mocno napocić w pierwszym secie, po czym pojawia się na korcie jeszcze mocniejszy, doprowadzając do tie-breaku. Następnie wygrywa trzeci set – w jeszcze trudniejszym tie-breaku. Prowadzi dwa do jednego w setach i wysuwa się na prowadzenie w turnieju. Nikt tu w finale nie wychodzi z takiego dołka. Nie zdarzyło się to od dwudziestu sześciu lat. Widzę w oczach Martina, że to czuje i gotuje się, by wskazać stare pęknięcia w mojej mentalnej zbroi. Czeka, aż się posypię, aż da o sobie znać to słynne rozgorączkowanie, emocjonalny Andre, z którym tak często grywał w przeszłości. Ale ja się ani nie załamuję, ani nie poddaję. Wygrywam czwarty set 6–3 i w piątym secie pojedynku z Martinem, który już wygląda na zmęczonego, dopiero nabieram rozpędu. Wygrywam 6–2 i odchodzę, wiedząc, że zostałem uleczony, że wróciłem i raduję się, iż Stefanie mogła to zobaczyć. Popełniłem tylko pięć niewymuszonych błędów w ostatnich dwóch setach. Ani razu tego dnia nie zostałem przełamany, pierwsze pięć setów w mojej karierze bez pudła, a do tego wygrywam swój piąty turniej wielkoszlemowy. Kiedy wrócę do Vegas, mam zamiar postawić pięćset dolarów na numer pięć w ruletkę.

W sali konferencyjnej jeden z dziennikarzy pyta mnie, dlaczego moim zdaniem nowojorscy kibice byli za mną, dlaczego wiwatowali tak głośno.

Gdybym to ja wiedział. Ale zgaduję: Patrzyli, jak dorastam.

Oczywiście fani wszędzie obserwowali moje dojrzewanie, ale w Nowym Jorku oczekiwania są większe, co pomogło przyspieszyć i potwierdzić mój rozwój.

Po raz pierwszy wtedy poczułem czy też ośmieliłem się powiedzieć na głos, że dorosłem.

Stefanie leci ze mną do Vegas. Robimy wszystko to, co zwykle się tam robi. Gramy w kasynie, chodzimy na przedstawienia, oglądamy mecz bokserski wraz z Bradem i Kimmie. Oscar De La Hoya kontra Félix Trinidad – pierwsza oficjalna publiczna randka. Nasze wyjście na światło dzienne. Na drugi dzień w gazetach pojawia się zdjęcie, na którym trzymamy się za ręce i całujemy przy ringu.

Teraz nie ma odwrotu, mówię jej.

Patrzy na mnie, po czym wolno, z wdzięcznością uśmiecha się do mnie.

Spędza weekend u mnie w domu. Weekend zmienia się w tydzień. Potem w miesiąc. Pewnego dnia dzwoni J.P. i pyta, jak się sprawy mają.

Nigdy nie było lepiej.

Kiedy znów zobaczysz się ze Stefanie?

Ona wciąż tu jest.

Jak to?

Zakrywam usta dłonią i szepczę: Mamy wciąż Randkę Numer Trzy. Nie wyjechała.

Co takiego?!

Zakładam, że w końcu wyjedzie, poleci do Niemiec, zabierze swoje rzeczy, ale nie mówię o tym i nie chcę poruszać tego tematu. Nie zamierzam zrobić czegoś, co mogłoby wszystko popsuć.

Tak samo jak się nie powinno budzić lunatyka.

Wkrótce nadchodzi czas, kiedy ja muszę lecieć do Niemiec, aby zagrać w Stuttgarcie. Chce jechać ze mną – nawet godzi się na siedzenie w mojej łóżce – i jestem wniebowzięty, że mam ją koło siebie. W końcu Stuttgart jest miastem ważnym dla nas obojga. To tutaj przeszła na zawodowstwo, a ja do niego wróciłem. A jednak podczas lotu nie dyskutujemy o tenisie. Rozmawiamy o dzieciach. Wyznaję, że chcę mieć dzieci – z nią. Śmiała deklaracja, ale nie mogę nad tym zapanować. Ścisną moją rękę ze łzami w oczach, po czym wygląda przez okno.

W nasz ostatni dzień w Stuttgarcie Stefanie musi wcześniej wstać, bo ma poranny lot. Całuje mnie w czoło na do widzenia. Zakrywam twarz

poduszką i śpię dalej. Kiedy godzinę później budzę się i chwiejnym krokiem idę do łazienki, widzę pigułki antykoncepcyjne Stefanie w moim zestawie do golenia. Jakby chciała powiedzieć: Nie będą mi już potrzebne.

Nie tylko dostaję się na pierwsze miejsce rankingu, ale kończę rok 1999 na pierwszej pozycji, po raz pierwszy na szczycie na koniec roku. Przerывam sześćioletnią passę Pete'a, kiedy to kończył rok z numerem pierwszym. Następnie zwyciężam w Paris Open i staję się jedynym człowiekiem wygrywającym w jednym roku Paris Open i French Open. Ale na ATP World Tour Championship przegrywam z Pete'em. To nasze dwudzieste dziewiąte spotkanie. Prowadzi 17–11. W finałach turniejów wielkoszlemowych jest 3–1 dla niego. Nie jest to równa rywalizacja, stwierdza pewien dziennikarz, ponieważ zwykle wygrywa Pete. Nie mam się co kłócić z tym stwierdzeniem, ale też już mnie to nie martwi.

Robię jedynie, co mogę zrobić. Jadę do domu Gila, by zapalić mięśnie. Biegam w górę i w dół po Wzgórzu Gila, aż mam zwidy. Biegam rankami, biegam wieczorami. Biegam w Wigilię, a Gil mierzy mi czas stoperem. Mówi, że kiedy dobiegam do szczytu, dyszę tak głośno, że on słyszy mnie na dole. Biegam, aż w końcu pochylam się nad krzewami jeżyn i wymiotuję. Gil dołącza do mnie na górze i prosi, żebym już przestał. Stoimy i patrzymy na wszystkie świąteczne światła w oddali, a potem obserwujemy spadające gwiazdy.

Jestem z ciebie dumny, mówi. Że tu jesteś. Dzisiaj. W Wigilię Bożego Narodzenia. To coś znaczy.

Dziękuję mu za to, że jest ze mną. Za to, że oddał mi swoją Wigilię.

Pewnie jest tysiąc innych miejsc, w których wolałbyś teraz być.

Nie ma innego miejsca, w którym wolałbym być, zapewnia.

Na początku Australian Open 2000 pokonuję Mariano Puertę w trzech setach, a on głośno wychwala moją koncentrację. Czuję to, znów jestem na szlaku z Pete'em i z całą pewnością spotkamy się w półfinale. Przegrałem z nim cztery z ostatnich pięciu meczów i teraz jest tak dobry jak zawsze. Serwuje mi trzydzieści siedem asów, więcej niż kiedykolwiek przeciwko mnie z siebie wykrzesał. Tyle że ja jestem po Wigilii z Gilem. Na dwa punkty od przegranej wściekle kontratakuję. Wygrywam mecz i jestem pierwszym człowiekiem od czasów Lavera, który dotarł do finału w czterech szlemach z rzędu.

Na koniec znów spotykam się z Kafielnikowem. Sporo mi zajmuje rozgrzewka. Wciąż po starciu z Pete'em mam niepewny chód. Przegrywam pierwszy set, ale odnajduję rytm, rezon i pokonuję go w czterech. Mój szósty szlem. Na konferencji po meczu dziękuję Bradowi i Gilowi za to, iż nauczyli mnie, że wystarczy być lepszym. Jakiś fan wykrzykuje imię Stefanie i dopytuje, o co tu chodzi.

Pilnuj własnego nosa, żartuję. Chciałbym powiedzieć o tym całemu światu. I zrobię to. Wkrótce.

Gil w wywiadzie dla „New York Timesa” oświadcza: Naprawdę wierzę w to, że nigdy już nie zobaczymy, jak Andre przestaje walczyć.

Brad mówi w wywiadzie dla „Washington Post”: Ma wynik w meczach 27–1 w ostatnich czterech turniejach wielkoszlemowych. Jedynie Rod Laver, Don Budge i Steffi Graf uzyskali lepszy rezultat.

Nawet Brad nie w pełni zdaje sobie sprawę z tego, jaki jestem dumny, że zostałem wymieniony w tym towarzystwie.



Stefanie powiadamia mnie, że jej ojciec przyjedzie do Vegas w odwiedziny. (Jej rodzice rozwiedli się dawno temu, a matka, Heidi, mieszka o piętnaście minut drogi od nas). Tym samym nadchodzi nieunikniona chwila. Nasi ojcowie się spotkają. Ta perspektywa wywołuje u nas obojga wielkie zaniepokojenie.

Peter Graf jest gładki w obyciu, wyrafinowany, odcytany. Lubi opowiadać kawały, mnóstwo dowcipów, których nie rozumiem, bo jego angielski kuleje. Chcę go polubić i sprawić, żeby on polubił mnie, ale czuję się nieswojo w jego obecności, ponieważ mam doskonałą pamięć. Jest niemieckim odpowiednikiem Mike'a Agassiego. Byłym piłkarzem, fanatykiem tenisa, który zaczął trenować Stefanie, kiedy łąziła jeszcze w pieluchach. Jednak w odróżnieniu od mojego ojca Peter nigdy nie zrezygnował z kierowania jej karierą i finansami, nawet przesiedział dwa lata w więzieniu za uchylanie się od płacenia podatków. Ten temat nie pojawia się wcale, ale rzuca się czasami wielkim cieniem niemieckiego słonia w składzie porcelany.

Powinienem był się tego spodziewać: pierwszą rzeczą, jaką chce zobaczyć Peter po przybyciu do Nevady, nie jest Tama Hoovera czy Strip, ale machina do wyrzucania piłek mojego ojca. Słyszał już o niej sporo, a teraz chce się jej przyjrzeć z bliska. Wiozę go do domu rodziców i przez



cały czas on uprzejmie konwersuje. Ale niewiele z tego rozumiem. Czyżby to był niemiecki? Nie, to hybryda niemieckiego, angielskiego i tenisowego żargonu. Zadaje pytania na temat gry mego ojca. Jak często gra w tenisa? Czy gra dobrze? Stara się oszacować tatę jeszcze przed pojawieniem się u niego.

Mój ojciec nie przepada za ludźmi, którzy nie posługują się doskonałym angielskim, podobnie jak nie przepada za cudzoziemcami, wiem więc, że po przekroczeniu progu domu rodziców będziemy mieli niezłą przeprawę. Z ulgą jednak spostrzegam, że sport jest uniwersalnym językiem i tych dwóch mężczyzn, miłośników tenisa, byłych sportowców wie, jak komunikować się za pomocą mowy ciała poprzez wymachiwania, gesty i mruknięcia. Mówię ojcu, że Peter chciałby zobaczyć jego słynną maszynę do wyrzucania piłek. Aż cały kraśnieje. Zabiera nas na podwórko za domem, gdzie wyciąga smoka. Odpala silnik, po czym podnosi wysoko dyszę. Cały czas mówi, robiąc Peterowi wykład i przekrzykując smoka – na szczęście nieświadomy, że nasz gość nie rozumie ani słowa.

Idź, stań tam, każe mi ojciec.

Podaje mi raketę i wskazuje drugą stronę kortu, po czym wycelowuje maszynę prosto w moją głowę.

Zademonstruj.

Z drżeniem pojawiają się przed moimi oczami gwałtowne urywki z przeszłości, strzępy wspomnień i jedynie myśl o czekającej na mnie w domu tequila trzyma mnie przy życiu.

Peter ustawia się za mną i obserwuje moje uderzenia.

Aach, mówi, *Ja*, dobry.

Mój ojciec przestawia maszynę. Tak podkreśla prędkość, iż piłki wylatują niemal parami. Musiał podrasować nieco naszego smoka. Nie pamiętam, żeby piłki wylatywały z niego tak szybko. Nie mam czasu, by złożyć się do drugiego ciosu. Peter łaje mnie za pudłowanie. Zabiera mi raketę i odpycha na bok. Tak, poucza, tak powinieneś uderzać. Nie znałeś tego strzału. Pokazuje mi słynny slajs Stefanie, którego, jak twierdzi, od niego się nauczyła. Musisz spokojniej uderzać, instruuje. O tak.

Mój ojciec jest wściekły. Po pierwsze, Peter nie słucha jego wykładu. Po drugie, wtrąca się do gry jego mistrzowskiego ucznia. Tato podchodzi do siatki, krzycząc: Ten slajs jest gównem wart! Gdyby Stefanie grała tak, to lepiej by na tym wyszła! Demonstruje dwuręczny bekhend, którego mnie nauczył.

Z takim strzałem, mówi mój ojciec, Stefanie wygrałaby trzydzieści dwa szlemy!

Ci dwaj mężczyźni nie rozumieją się, jednak udaje im się rozpocząć żarliwą kłótnię. Odwracam się od nich plecami i koncentruję na uderzaniu piłek. Skupiam całą swoją uwagę na smoku. Co jakiś czas słyszę, jak Peter wymienia moich rywali, Pete'a i Raftera, na co mój ojciec odparowuje parą nemezis Stefanie – Monicą Seles i Lindsay Davenport. Wtedy mój ojciec rzuca coś o boksie. Wykorzystuje analogie bokserskie, na co Peter w proteście wyje.

Ja też byłem bokserem, prowokuje tato Stefanie, i położyłbym cię na łopatkach.

Wiele można mojemu ojcu powiedzieć, ale nie to. Tego nigdy. Kulę się cały, wiedząc, co nadchodzi. Odwracam się na pięcie dosłownie w tym samym momencie, kiedy sześćdziesięcioletni Peter Graf zdejmuję koszulę i mówi mojemu sześćdziesięciodziewięcioletniemu ojcu: Popatrz na mnie. Popatrz, jaką mam krzepę. Jestem wyższy od ciebie. Mogę trzymać cię na dystans szturchańcami.

Mój ojciec na to: Naprawdę tak myślisz? No, to chodź! Ty i ja.

Peter złorzeczy po niemiecku, a mój ojciec wyklina po asyryjsku i obydwaj unoszą pięści. Okrążają się, robią uniki, podskakują i kiwają się na boki, więc zanim dojdzie do zwarcia, wchodzę między nich i rozdzielam.

Tato krzyczy: Ten gnój pierdoli farmazony!

Może i tak tatko, ale – proszę.

Są zdyszani, spoceni. Ojciec ma rozszerzone źrenice, a naga pierś Petera jest zroszona potem. Widzą jednak, że nie zamierzam dopuścić, żeby nabroili, wracają więc do swoich narożników. Wyłączam smoka i schodzimy z kortu.

W domu Stefanie całuje mnie i pyta, jak poszło.

Później ci powiem, mówię, sięgając po butelkę tequili.

Nie wiem, czy margherita kiedykolwiek bardziej mi smakowała.

Po dobrej grze w Pucharze Davisa przegrywam wcześniej w Scottsdale, turnieju, który jest praktycznie mój. Źle wypadam w Atlancie i naciągam staw skokowy. Przegrywam w trzeciej rundzie w Rzymie i uświadamiam sobie z niechęcią, że nie da się tego dłużej ciągnąć. Nie mogę brać udziału

we wszystkich turniejach. Mając trzydziestkę na karku, muszę starannie wybierać swoje batalie.

Teraz co drugi wywiad dotyczy końca kariery. Mówię dziennikarzom, że najlepszą grę mam dopiero przed sobą, a oni uśmiechają się złośliwie, jakby żywili nadzieję, że żartuję. Nigdy nie byłem bardziej serio.

Kiedy wchodzę na korty Rolanda Garrosa, by bronić tytułu Mistrza French Open 2000, spodziewam się fali nostalgii. Ale wszystko jest inne – obiekt został odnowiony. Dodali więcej krzeseł. Przebudowali szatnie. Nie podoba mi się to. Ani trochę. Chciałem, żeby te korty pozostały na zawsze takie same. Chcę, żeby wszystko było takie samo. Miałem nadzieję wchodzić co roku na główny kort i przywoływać wspomnienia z roku 1999 – kiedy zmieniło się moje życie. Na konferencji prasowej po wygranej z Miedwiediewem powiedziałem dziennikarzom, że teraz mógłbym bez żalu rzucić tenis. Jednak rok później uzmysłowiłem sobie, że się myliłem. Zawsze będę żałował jednego – że nie mogę wrócić i jeszcze raz, raz za razem przeżywać French Open 1999.

W drugiej rundzie mam grać z Kučerą. Zawsze potrafił mnie rozszyfrować. Na sam mój widok do żył wlewa mu się czysta adrenalina. Nawet gdy widzę go w szatni przed meczem, wygląda niczym wyrzut sumienia, przypomnienie tego, jak mnie pokonał w 1998 na US Open. Zaczyna grać wyśmienicie, gania mnie po korcie i chociaż dotrzymuję mu kroku, robią mi się pęcherze na całej prawej stopie. Kuśtykam do linii bocznej, prosząc o przerwę z powodu kontuzji. Jeden z masażyistów ponownie owija mi stopy, ale prawdziwego bąbla mam na mózgu. Od tego momentu nie zdobywam nawet jednego gema.

Spoglądam na moją lożę. Stefanie siedzi ze spuszczoną głową. Nigdy nie widziała, jak przegrywam w taki sposób.

Później mówię jej, że nie pojmuję, dlaczego czasami się rozklejam – wciąż nie rozumiem. Opowiada mi o swoich doświadczeniach. Przestań myśleć, radzi. Musisz grać instynktem. Postępuj instynktownie.

Nic nowego, już to słyszałem. Brzmi to jak słodsza, łagodniejsza wersja przykazania mego ojca. Ale kiedy przekazuje to Stefanie, słowa zapadają we mnie głębiej.

Przez kilka dni rozmawiamy o rozumowym i instynktownym podejściu do gry. Stefanie twierdzi, że nie myśleć to jedno, ale nie można postanowić, że nagle, w tym momencie zaczniesz się grać, polegając tylko na wyczuciu.

Nie można starać się posługiwać instynktem. Trzeba po prostu zdać się na swój instynkt.

Kiedy indziej Stefanie wie, że nie da się więcej nic powiedzieć. Dotyka mojego policzka, przekrzywia głowę i widzi, że dotarło – rozumiem, o co jej chodzi – i to wystarczy. To jest dokładnie to, czego potrzebuję.

Jedziemy na Wimbledon 2000. Dużą przyjemność sprawia mi odkrywanie Londynu przez Stefanie. W końcu może naprawdę zwiedzić to piękne miasto, ponieważ nie patrzy na nie przez pryzmat presji oraz kontuzji. Tenisiści podróżują tyle samo co inni sportowcy, ale stres i reżim gry nie pozwalają nam dostrzec wielu rzeczy. Teraz Stefanie chce zobaczyć wszystko. Wszędzie chodzi, ogląda sklepy i parki. Wpada do znanej restauracji z naleśnikami, do której zawsze chciała wejść. Podają tu sto pięćdziesiąt różnych rodzajów naleśników, a ona próbuje niemal wszystkich, nie martwiąc się, że będzie ociążała na korcie.

Zgodnie z regułą w Londynie nie dostrzegam niczego oprócz mojego losowania. Z klapkami na oczach zdobywam sobie miejsce w półfinale. Trafiam na Raftera. Ma już za sobą piękną karierę. Jest dwukrotnym mistrzem US Open. Był numerem jeden na świecie. Teraz, jak mówią, stara się powrócić po operacji barku. Na korcie gania mnie na prawo i lewo. Kiedy nie ciska we mnie bomb, załatwia mnie swoimi serwisami i nie oddaje niczego. Próbuję go lobować. Uderzam w niego piłkami, które opuszczając moją raketę, zdają się pozornie nie do odebrania, ale zawsze jakoś udaje mu się dobiec do nich na czas. Gramy tenis doskonałej jakości przez trzy i pół godziny, a wtedy przychodzi szósty gem piątego seta. Starając się posłać rywalowi coś ekstra w drugim podaniu, robię podwójny błąd.

Break point.

Serwuję, świetny return Raftera i wbijam piłkę w siatkę.

Nie mogę go przełamać. Siedemdziesiąt cztery procent jego serwisów jest skutecznych i dzięki temu dochodzi do finału. Zdobył sobie prawo, by walczyć z Pete'em o mistrzostwo. To ja chciałem z nim grać na oczach Stefanie, ale nie było mi pisane. Rok temu pokonałem tu Raftera w półfinale, kiedy czuł pierwsze niepokojące rwanie w barku. Teraz powraca z całkowicie zaleczoną kontuzją i pokonuje mnie w półfinale. Lubię Raftera i lubię symetrię. Nie mogę się kłócić z takim obrotem sprawy.

Lecimy ze Stefanie do domu. Muszę odpocząć. Wtedy docierają do nas niepokojące wieści. Moja siostra Tami ma zdiagnozowanego raka piersi. Kilka dni później taką samą diagnozę słyszy moja mama. Rezygnuję z miejsca w ekipie olimpijskiej lecącej do Sydney. Zamierzam spędzić jak najwięcej czasu z rodziną. Muszę się wyciszyć na rok, przynajmniej do stycznia.

Mama nawet nie chce o tym słyszeć.

Jedź, mówi. Zagraj. Rób, co do ciebie należy.

Staram się. Lecę do Waszyngtonu, ale tracę punkty tak jak zawsze, kiedy jestem zdekoncentrowany. W meczu z Corretją łamię ze złości trzy rakiety i przegrywam w dwóch bezbarwnych setach.

Na US Open 2000 jestem rozstawiony z numerem pierwszym. Jestem typowany na zwycięzcę turnieju. W przeddzień rozpoczęcia zmagania siedzę z Gilem w hotelu Lowell, czując się nie faworytem, ale jakimś wrakiem. Powinna to być dla mnie chwila szczęścia. Mógłbym wygrać turniej i zadziwić świat. Ale nic mnie to nie obchodzi.

Gil, po co ja mam się jeszcze starać?

Może nie powinieneś.

Dlaczego czuję się w ten sposób – w ten dobrze znany sposób – znów?

To pytanie retoryczne. Kacey już w pełni wyzdrowiała i rozgorączkowana opowiada o college'u, ale Gil nigdy nie zapomni widoku ukochanej osoby w łóżku szpitalnym. Wie, co chce powiedzieć, nie mówiąc ani słowa. Dlaczego muszą cierpieć nasi ukochani? Dlaczego życie nie może być doskonałe? Dlaczego codziennie gdzieś na globie ktoś musi przegrywać?

Nie możesz grać, wyjaśnia Gil, bez natchnienia. To leży w twojej naturze od zawsze, od kiedy miałeś dziewiętnaście lat. Ale nie czujesz tego natchnienia, jeśli źle się dzieje twoim bliskim. I za to cię kocham.

Zawiodę wszystkich, jeśli nie zagram. Jeśli zagram, zawiodę swoją rodzinę.

Kiwa głową.

Dlaczego tenis i życie zawsze stoją na dwóch przeciwległych biegunach?

Milczy.

Już koniec, prawda? Dobieśliśmy do mety – mam rację? Skończyliśmy z tym głównym, mam rację?

Na to nie mogę odpowiedzieć, mówi. Wiem tylko, że jest jeszcze w tobie sporo energii, podobnie jak we mnie. Jeśli zrezygnujemy, dobrze. Ale wciąż

mamy coś do pokazania i myślę, że obiecywałeś sobie, że doprowadzisz swoją grę do końca.

Pierwszego dnia treningów podczas rozgrzewki z Bradem nie mogę zaserwować, nawet gdyby zależało od tego moje życie. Schodzę z kortu i Brad wie, że lepiej mnie o nic nie pytać. Wracam do hotelu, kładę się na łóżku i wpatruję w sufit przez dwie godziny. Mam pewność, że nie zabawię długo w Nowym Jorku.

W pierwszej rundzie gram ze studentem Stranforda Alexem Kimem, którego zżera trema. Współczuję mu, ale pokonuję go w trzech setach. W drugiej rundzie natrafiam na Clémenta. Jest gorąco i obaj pocimy się niemiłosiernie, zanim udaje się zdobyć pierwszy punkt. Zaczynam nieźle, przełamuję go i jest 3–1. Jest dobrze. I wtedy nagle zachowuję się, jakbym pierwszy raz trzymał rakietę w ręku. Przy pełnej widowni znikam z powierzchni ziemi.

Znów dziennikarze uderzają w stare tony. Agassi zbliża się do końca. Gil stara się im wytłumaczyć, przez co przechodzę: Andre kieruje się sercem, emocjami i wiarą. To są najbliższe mu osoby. Jeśli coś złego je spotyka, widać to w jego grze.

Wychodząc ze stadionu Arthura Ashe'a, jakaś młoda dziewczyna mówi do mnie: Przykro mi, że pan przegrał.

Och, skarbie, niech ci nie będzie przykro.

Uśmiecha się.

Pędzę do domu, do Vegas, by posiedzieć z mamą. Ale ona zupełnie się nie przejmuje chorobą zaabsorbowana swoimi książkami i układankami. Zawstydzają nas wszystkich anielskim spokojem. Widzę, że nie doceniałem jej przez lata. Mylnie brałem jej milczenie za słabość, przyzwolenie. Widzę, że na zewnątrz jest taka, jaką stworzył mój ojciec, jak my wszyscy, a jednak w środku jest to zupełnie inna osoba.

Widzę też, w tym dramatycznym momencie jej życia, że chciałaby, aby zwrócono na nią uwagę. Zawsze przyjmowałem bez zastrzeżeń, że chce być w cieniu, pragnie wtopić się w wystrój domu. Jednak teraz, w tym momencie chce, by ją zauważano, doceniono. Chce mi pokazać, że jest silniejsza, niż podejrzewałem. Poddaje się kuracji, nie narzeka, jakby czerpała z tego siłę, jakby chciała, żebym był z niej dumny, ponadto chce mi pokazać, że ja jestem ulepiony z tej samej gliny. Przetrwała życie z moim ojcem, podobnie jak ja. Teraz również przetrwa, podobnie jak ja.

Tami przechodzi kurację w Seattle i rokowania też są dobre. Miała operację, a przed rozpoczęciem chemioterapii przyjeżdża do Vegas, by spędzić kilka chwil z rodziną. Żali się, że bardzo boi się utraty włosów. Odpowiadam, że nie rozumiem dlaczego. Utrata włosów była wspaniałym momentem w moim życiu. Śmieje się.

Stwierdza, że może dobrze byłoby pozbyć się włosów, zanim zajmie się nimi chemia. Byłby to akt sprzeciwu, przejęcie kontroli.

Mówię, że podoba mi się ten pomysł. Pomogę.

Organizujemy grilla w moim domu i przed przybyciem gości zamykamy się w łazience. W obecności jedynie Philla i Stefanie w roli świadków rozpoczynamy oficjalną ceremonię postrzyżyn. Tami chce, żebym to ja uczynił jej ten zaszczyt. Podaje mi elektryczną maszynkę. Nastawiam ostrze na zero, najkrócej jak można, i pytam, czy nie chciałaby mieć najpierw irokeza.

To może być jedyna szansa, żebyś zobaczyła, jak w nim wyglądasz.

Nie, od razu ścinaj na zero.

Golę ją bardzo szybko. Uśmiecha się niczym Elvis w dniu, w którym wzięli go do wojska. Kiedy pukle jej włosów spadają na ziemię, zapewniam ją, że wszystko będzie wspaniale. Teraz jesteś wolna, Tami. Wolna. Ponadto mówię jej: Twoje włosy przynajmniej odrosną. U mnie i u Philla są stracone na wieki, maleńka. Śmieje się do rozpuku. Wspaniale się czuję, widząc, jak moja siostra jest roześmiana, kiedy właściwie każdy dzień powinien wyciskać jej łzy z oczu.

Do listopada 2000 roku moja rodzina zbiera siły na tyle, że znów mogę wyruszyć w trasę. W styczniu lecimy do Australii. Po wylądowaniu jestem w znakomitym nastroju. Uwielbiam ten kraj. Pewnie w poprzednim życiu byłem Aborygenem. Za każdym razem czuję się tu jak w domu. Zawsze odczuwam dużą radość, kiedy wchodzę na stadion Roda Lavera, grając niejako pod jego skrzydłami.

Zakładam się z Bradem, że wygram cały turniej. Czuję to. A kiedy to się stanie, on ma wskoczyć do rzeki Yarra – cuchnącego, zanieczyszczonego ścieku, który płynie przez Melbourne. Przedziera się do półfinału i znów staję przed Rafterem. Gramy trzygodzinny mecz, przypominający wojnę podjazdową, wypełniony obustronnym sapaniem po długich rajdach do piłki. Prowadzi dwa do jednego w setach. Ale wiedenie. Wszystko przez

australijski upał. Obydwaj zalewamy się potem, lecz on dostaje skurczów. Wygrywam kolejne dwa sety.

W finale gram z Clémentem i jest to wyrównanie rachunków za mecz sprzed czterech miesięcy, kiedy zmiotł mnie na US Open. Rzadko opuszczam linię końcową. Robię kilka błędów, ale szybko się z nich otrząsam. Gdy Clément mruczy coś do siebie po francusku, ja zachowuję stoicki spokój. Jaka matka, taki syn. Pokonuję go w trzech setach.

Jest to mój siódmy szlem, dzięki czemu znajduję się na liście zawodników wszech czasów. Wraz z McEnroe, Wilanderem i innymi – przed Beckerem i Edbergiem.

Wilander i ja jesteśmy jedynymi tenisistami, którzy wygrali trzy turnieje Australian Open od czasu, kiedy je organizują. Jednak w tej chwili pragnę jedynie zobaczyć, jak Brad ćwiczy pływanie na plecach w rzece Yarra, a potem wrócić do domu, do Stefanie.

Na początek 2001 roku wijemy gniazdko w kawalerskiej gawrze 2, przekształcając ją w prawdziwy dom. Zamawiamy meble, które nam obojgu się podobają. Wydajemy małe kolacyjki. Do późnej nocy rozmawiamy o przyszłości. Stefanie kupuje mi tablicę kuchenną, bym miał wgląd w listę swoich obowiązków, ale ja przekształcam ją w Tablicę Uwielbienia. Wieszam na ścianie w kuchni i przyrzekam Stefanie, że będę tu pisał o mojej miłości do niej – co wieczór wycierał i pisał od nowa. Do tego zamawiam też skrzynkę wina Beychevelle rocznik 1989 i przyrzekamy sobie otwierać nową butelkę w rocznicę naszej pierwszej randki.

W Indian Wells docieram do finału, gdzie czeka na mnie Pete. Pokonuję go, a w szatni po meczu mówi mi, że bierze ślub z Bridgette Wilson, aktorką, z którą chodzi.

Wciąż mam alergię na aktorki, stwierdzam.

Śmieje się, ale ja nie żartuję.

Zwiera się, że poznał ją na planie filmu *Ta przebrzydła miłość*.

Teraz ja się śmieję, a on nie żartuje.

Jest tyle rzeczy, które chcę przekazać Pete'owi, o aktorkach, o małżeństwie, ale nie potrafię. Nie trzymamy się aż tak blisko. Jest też wiele tematów, o które chciałbym go zapytać – o to, jak utrzymuje tak wielką koncentrację, o to, czy nie żałuje, że tak wiele uwagi w życiu poświęca tenisowi. Nasze odmienne osobowości, nasza rywalizacja skutecznie wyklucza tego rodzaju zażyłość. Uświadamiam sobie, że wbrew



wpływowi, jaki na siebie wywieramy, pomimo naszej niby-przyjaźni, jesteśmy sobie obcy i zawsze może tak być. Życzę mu szczęścia i jest to szczerze. Według mnie znalezienie odpowiedniej partnerki jest największą wygraną w życiu. Po tak długim okresie kompletowania mojej tak zwanej ekipy jedyne, czego pragnę, to mieć świadomość, że jestem prawowitym członkiem drużyny Stefanie. Mam nadzieję, że ona tak samo do tego podchodzi. Żywię nadzieję, że tak samo zależy Pete'owi na miejscu w sercu narzeczonej, jak na miejscu w historii sportu. Chciałbym mu to powiedzieć.

Godzinę po turnieju Stefanie i ja dajemy lekcję tenisa. Wayne Gretzky wykupił nas na charytatywnej aukcji i chce, żebyśmy uczyli jego dzieci. Bawimy się setnie z rodziną Gretzkich. Później, kiedy zapada już zmrok, jedziemy wolno samochodem do Los Angeles. Po drodze rozmawiamy o tym, jakie słodkie dzieci ma Wayne. Przypominają mi się dzieci Costnera.

Stefanie patrzy na coś za szybą, mrużąc oczy, potem mruga do mnie. Mówi: Myślę, że się spóźnia.

Co?

No, spóźnia się.

Och. Chcesz powiedzieć, że – och!

Zatrzymujemy się przy kilku sklepach, kupujemy wszystkie testy ciążowe z półek, po czym zatrzymujemy się w hotelu Bel-Air. Stefanie idzie do łazienki i kiedy wychodzi, ma nieprzenikniony wyraz twarzy. Podaje mi szpatułkę.

Niebieski.

Co to znaczy, że jest niebieski?

Myślę, że to oznacza – no wiesz.

Chłopak?

Myślę, że to znaczy, że jestem w ciąży.

Robi test ponownie. I jeszcze raz. Niebieski za każdym razem.

Tego właśnie pragnęliśmy i Stefanie jest wniebowzięta, ale też przestraszona. Tak wiele tych zmian. Co się będzie działo z jej ciałem? Mamy tylko kilka godzin dla siebie przed moim porannym wylotem do Miami, a jej do Niemiec. Idziemy na kolację do Matsuhisy. Siedzimy w barze sushi, trzymając się za ręce i wyobrażając sobie, jak to będzie wspaniale. Dopiero później uświadamiam sobie, że jest to ta sama restauracja, w której wszystko się skończyło z Brooke. Tak jak w tenisie. Ten sam kort, na którym cierpiałem z powodu dotkliwych porażek, może stać się areną największego triumfu.

Po kolacji, płaczu i świętowaniu mówię: Myślę, że powinniśmy wziąć ślub.

Otwiera szeroko oczy. Chyba tak.

Postanawiamy, że nie będzie żadnej fety. Bez kościoła. Bez tortu. Bez sukni. Zrobimy to pierwszego wolnego dnia podczas wyciszenia sezonu tenisowego.

Siedzę na trwającym godzinę wywiadzie z Charliem Rosem, genialnym prezenterem telewizyjnym, podczas którego kłamię jak z nut.

Nie chcę łąać, ale każde pytanie zadawane przez Rosa zdaje się zawierać z góry ustaloną odpowiedź, taką, jaką bardzo chce usłyszeć.

Czy kochałeś tenis w młodym wieku?

Tak.

Kochałeś ten sport.

Spałem z moją rakietą.

Kiedy spojrzysz na to, czego dokonał twój ojciec, myślisz: Dobrze kierował mną w dzieciństwie i uczynił mnie twardym?

Jestem bardzo zadowolony, że gram w tenisa. Cieszę się, że tatuś wciągnął mnie do tego.

Gadam niczym zahipnotyzowany albo jak po praniu mózgu, co nie jest żadnym *novum*. Mówię te same rzeczy, co wcześniej, te same frazesy, które padały z moich ust na niezliczonych konferencjach prasowych i w wywiadach oraz na koktajlowych pogaduszkach. Czy są to kłamstwa, skoro po części w nie wierzę? Czy jest to nieprawda, skoro przez choćby samo powtarzanie zaczęła zahaczać o prawdę?

Jednak tym razem kłamstwa brzmią nieco inaczej. Wiszą w powietrzu i mają gorzkawy posmak. Po wywiadzie czuję lekkie mdłości. Nie z poczucia winy, lecz z żalu. Z powodu utraconej okazji. Zastanawiam się, co by się stało, co powiedziałyby czy zrobił Rose, o ile lepiej bawilibyśmy się przez tę godzinę, gdybym był szczery do bólu z nim i z sobą też. Mówiąc szczerze, Charlie, ja nienawidzę tenisa.

Mdłości pozostają we mnie przez kilka dni. Jest gorzej, kiedy emitują ten wywiad. Obiecuję sobie, że pewnego dnia spojrzę dziennikarzowi o sławie Rosa prosto w oczy i rzucę mu całą prawdę.

Na French Open 2001 w mojej łóżce przebywa niewidzialny gość. Stefanie jest w czwartym miesiącu ciąży i obecność nienarodzonego dziecka uskrzydla mnie. Sprawia, że ganiam niczym nastolatek. Docieram

do szesnastki i gram ze Squillarim, z którym miałem już przejścia. Kiedy wchodzimy na kort, wydaje się, że mamy wspólną historię bogatszą niż Anglia i Francja. Widok Squillariego przywołuje na myśl rok 1999 – jeden z najtrudniejszych meczów w moje karierze. Jeden z punktów zwrotnych. Gdyby pokonał mnie tamtego dnia, dwa lata temu, to nie wiem, czy bym teraz tu z nim stał. Nie wiem, czy Stefanie by tu była – a z nią nasze dziecko.

Podbudowany tą myślą, uzbrajam się. W trakcie meczu staję się coraz bardziej świeży, skoncentrowany. Moja koncentracja jest nie do złamania. Jakiś niesforny kibic rzuca mi obelgę z trybun. Wybucham śmiechem. Przewracam się paskudnie, skręcam i rozcinam kolano. Nawet tego nie zauważam. Nic nie jest w stanie odwieść mnie od celu – a już najmniej Squillari. Stopniowo zatracam świadomość jego obecności. Jestem na korcie sam, bardziej niż zwykle.

W ćwierćfinale gram z Sébastienem Grosjeanem z Francji. Przelatuję przez pierwszy set, tracąc tylko jeden gem, po czym Grosjean dociera do jakichś ukrytych pokładów nadziei, że uda mu się wygrać. Teraz mamy taki sam poziom wiary we własne siły, ale jego uderzenia są doskonałe. Przełamuje mnie na 2–0, potem znów i wygrywa drugi set z taką samą łatwością, z jaką ja wygrałem pierwszy.

W trzecim secie przełamuje mnie od razu, wygrywając gem pięknym lobem. Utrzymuje przewagę i ponownie mnie przełamuje. Już po mnie.

W czwartym secie mam szansę przełamać jego serwis, ale nie potrafię wykorzystać przewagi. Mam tak słaby bekhend, zupełnie jak obca osoba, i kiedy patrzę, jak piłka szybuje daleko, wiem, że kończy mi się czas. On serwuje piłkę meczową. Trzymam się kurczowo i ładuję ją w siatkę. Grosjean wyklucza mnie asem.

Po meczu dziennikarze pytają, czy moja koncentracja została naruszona pojawieniem się prezydenta Billa Clintona. Ze wszystkich wymówek, jakie słyszałem i jakimi się zasłaniałem po przegranym meczu, ta jest najcieńsza i nigdy nie mógłbym czegoś takiego powiedzieć. Nawet nie wiedziałem, że Clinton tam jest, odpowiadam. Miałem inne rzeczy na głowie. Innych niewidocznych kibiców.

Zabieram Stefanie do siłowni Gila pod pretekstem, że niby mam ćwiczyć. Promienieje cała, bo wie, dlaczego tam jedziemy.

Gil pyta Stefanie, czy dobrze się czuje, czy nie chciałaby się czegoś napić, a może chce usiąść. Prowadzi ją do roweru stacjonarnego, a ona wspina się na siodełko. Przygląda się półkom, które Gil przytwierdził do ściany, by postawić na niej swoje trofea ze szlemów, włącznie z tymi, które zostały wymienione po moim napadzie szалу po rejestracji scen do *Przyjaciół*.

Bawię się linką od atlasu i mówię: Eee, słuchaj Gil. Wybraliśmy imię dla naszego syna.

O! No i jakie?

Jaden.

Podoba mi się, uśmiecha się i kiwa głową. Podoba mi się, naprawdę.

I pomyśleliśmy też, że mamy doskonale drugie imię dla dziecka.

A jakie?

Gil.

Wpatruje się we mnie.

Mówię: Jaden Gil Agassi. Jeśli okaże się choć w połowie taki wspaniały jak ty, to będzie miał same osiągnięcia, a jeśli ja stanę się w połowie takim ojcem, jakim byłeś dla mnie, to przekroczyć wszelkie standardy.

Stefanie płacze. Moje oczy wypełniają się łzami. Gil stoi o trzy metry od nas, przed maszyną do rozciągania nóg. Ma swoje znaki szczególne: ołówek za uchem i okulary zsunięte na koniec nosa oraz otwarty notes Leonarda. Pokonuje trzy dzielące nas kroki i obejmuje mnie swymi ramionami. Czuję jego naszyjnik na moim policzku. Ojciec i Syn, i Duch Święty.

Jestem bliski pokonania Raftera na Wimbledonie 2001. W piątym secie serwuję piłkę meczową, jestem dwa punkty od wygranej. Trafiam piłką w siatkę zachowawczym forhendem. W kolejnej wymianie przepuszczam łatwy bekhend. Przeciwnik odbija się od dna. Teraz to jemu się wydaje, że może mnie pokonać.

Krzyczę: Kurwa mać!

Pani sędzia liniowy od razu melduje o tym sędziemu głównemu.

Dostaję ostrzeżenie za używanie wulgarного języka.

Teraz myślę wyłącznie o nadgorliwej sędzi. Oddaję set 8–6 i przegrywam mecz. Porażka wywołuje jednocześnie rozczarowanie i poczucie, że jest niezwykle mało istotna.

Oprócz zdrowia Stefanie i naszej rosnącej rodzinie moje myśli nigdy nie opuszczają szkoły, która jesienią ma otworzyć swoje podwoje z dwiema setkami uczniów w klasach od trzeciej do piątej. Planujemy szybko się rozwinąć i przyjmować dzieci od przedszkola do klasy dwunastej. W dwa lata będziemy mieli wybudowane gimnazjum. W czasie kolejnych dwóch – liceum.

Bardzo podobają mi się projekty, plany, ale szczególnie dumny jestem z naszego wkładu finansowego w ten projekt. Mnóstwa pieniędzy. Perry i ja z przerażeniem dowiadujemy się, że stan Nevada wydaje najmniej pieniędzy w kraju na edukację – sześć tysięcy osiemset dolarów na ucznia w porównaniu z ośmioma tysiącami sześćset przeciętnie na rok w skali kraju. Obiecuję sobie, że w mojej szkole będzie inaczej, z nawiązką. Dzięki mieszanemu budżetowi środków państwowych i od prywatnych darczyńców mamy zamiar dużo inwestować w dzieci i tym samym dowieść, że w edukacji, podobnie jak w innych dziedzinach, za odpowiednie pieniądze dostaje się dobry towar.

Zamierzamy też dłużej zatrzymać uczniów w szkole – przez osiem, a nie jak przyjęto w Nevadzie przez sześć godzin. Jeśli czegoś się nauczyłem, to tego, że czas i praktyka równa się wynik. Co więcej, chcemy nalegać na rodziców, by angażowali się w szkolne życie. Przynajmniej jeden rodzic ucznia będzie musiał spędzić dwanaście godzin w miesiącu w placówce, pomagając w lekcjach czy pilnując dzieci na wycieczkach szkolnych. Pragniemy, by rodzice czuli się udziałowcami szkoły i byli odpowiedzialni za posłanie swoich dzieci do college’u.

Przez wiele dni, kiedy czuję się sterany i przygnębiony, jeżdżę na miejsce budowy i patrzę, jak szkoła przybiera konkretny kształt. Wobec moich licznych sprzeczności jest to zadziwiające i również zabawne – chłopak, który nienawidził szkoły i bał się jej, staje się człowiekiem na tyle natchnionym i zdecydowanym, by postawić własną szkołę.

Jednak nie mogę być na otwarciu. Gram na US Open 2001. Robię to dla szkoły, tym samym gram najlepiej jak potrafię. Przechodzę jak burza przez cztery rundy i spotykam się z Pete’em w ćwierćfinale. W chwili gdy wychodzimy z tunelu, czujemy, że będzie to nasz najzagorzalszy pojedynek. Po prostu wiemy. Jest to nasz trzydziesty drugi mecz, on prowadzi 17–14 i każdy z nas ma niespotykany zacięty uśmiech na twarzy. Tu i teraz, ta rozgrywka będzie decydująca w naszej rywalizacji. Zwycięzca bierze wszystko.

Pozornie Pete powinien grać na pół gwizdka. Nie wygrał szlema od czternastu miesięcy. Jest uparty i otwarcie mówi o zakończeniu kariery. Ale to wszystko bez znaczenia, ponieważ teraz gra ze mną. Mimo to wygrywam pierwszy set w tie-breaku i teraz już lepiej oceniam swoje szanse. Po zdobyciu pierwszego seta mam wynik 49–1 w tym turnieju.

Bardzo proszę, niech ktoś przypomni Pete'owi statystyki. Wygrywa drugi set w tie-breaku.

W trzecim też do niego dochodzi. Robię kilka głupich błędów. Zmęczenie. Wygrywa trzeci set.

W czwartym mamy kilka prawdziwie epickich wymian. Doprowadzamy do jeszcze jednego tie-breaka. Gramy od trzech godzin i żaden z nas nie przełamał jeszcze serwisu drugiego. Jest już po północy. Kibice – jakieś dwadzieścia trzy tysiące, a wciąż dochodzą nowi – nie pozwalają nam rozpocząć czwartego tie-breaka. Tupią i klaszczą, rozpoczynając swój własny. Chcą nam podziękować, zanim ruszymy dalej do boju.

Jestem wzruszony i widzę, że Pete reaguje podobnie. Ale nie mogę myśleć teraz o publiczności. Nie mogę sobie pozwolić na nic innego oprócz dotarcia do schronienia piątego seta.

Pete rozumie, że jeśli do tego dojdzie, to będę miał przewagę. Wie, że musi zagrać idealny tie-break, by zapobiec piątemu setowi. I mu się udaje. Noc idealnego tenisa kończy moja piłka w siatce zagrana forhendem.

Pete krzyczy.

Wręcz wyczuwam, jak zwalnia mi puls. Nie czuję się źle. Staram się czuć źle, ale nie potrafię. Zastanawiam się, czy przyzwyczailem się do przegranych z Pete'em w wielkich meczach, czy też po prostu jestem coraz bardziej zadowolony z mego życia i kariery. Tak czy inaczej, kładę dłoń na ramieniu Pete'a i życzę mu wszystkiego najlepszego, a chociaż to nie ma być pożegnaniem, zdaję sobie sprawę, że jest to próba generalna przed pożegnaniem, które nie będzie zbyt odległe.

W październiku 2001 roku, trzy dni przed terminem porodu Stefanie, zapraszamy do domu nasze mamy wraz z sędzią z Nevady.

Uwielbiam patrzeć na Stefanie z moją mamą. Dwie nieśmiałe kobiety mego życia. Stefanie przynosi jej kilka nowych układanek. I uwielbiam Heidi, mamę Stefanie. Wygląda tak jak ona i wita się ze mną swoim *Guten Tag*. Stefanie i ja na bosaka, w dżinsach stajemy na podwórku. Zamiast obrączek mamy kawałki rafii znalezione w szufladzie – takiej samej, którą

przyozdobiłem pocztówkę urodzinową dla Stefanie. Dopiero później zauważamy tę zbieżność.

Mój ojciec uparł się i nie jest ani trochę zainteresowany uczestnictwem w ceremonii. Nie chce zaproszenia. Bywanie na ślubach jest na końcu jego listy marzeń. Nie lubi ich. (Poszedł sobie w połowie moich pierwszych zaślubin). Twierdzi, że nie obchodzi go gdzie, kiedy i w jaki sposób poślubię Stefanie, jeśli oczywiście to zrobię. Jest największą tenisistką wszech czasów, stwierdza. Czego tu nie lubić?

Sędzia brnie w prawnych formułkach i wraz ze Stefanie mamy już wypowiedzieć sakramentalne „tak”, kiedy pojawia się grupa pracowników zieleni miejskiej. Wybiegam przed dom i proszę ich, by wyłączyli kosiarki do trawy i dmuchawy do liści na pięć minut, żebyśmy się mogli pobrać. Przepraszają. Jeden z nich kładzie palec na ustach.

Mocą powierzonego mi urzędu, mówi sędzia pokoju, i w końcu, po tak długim czasie w obecności dwóch matek i trzech zerkających do środka pracowników zieleni miejskiej Steffi Graf staje się Stefanie Agassi.



Jest to sezon narodzin i odrodzenia. W kilka tygodni po otwarciu szkoły pojawia się na świecie mój syn. W sali porodowej, kiedy lekarz podaje mi Jadena Gila, jestem oszołomiony. Kocham go tak mocno, że aż serce mi pęka niczym przejrzały owoc. Nie mogę się doczekać, żeby go lepiej poznać, ciągle, stale poznawać. Zastanawiam się też: Kim jest ten piękny intruz? Czy Stefanie i ja jesteśmy gotowi na nieznaną osobę w domu? Sam siebie dobrze nie znam – jak to będzie być moim synem? Czy mnie polubi?

Zabieramy Jadena do domu i przypatrujemy mu się godzinami. Pytam go, kim jest, skąd przybył, kim będzie. Pytam siebie, w jaki sposób uda mi się być dla niego wszystkim, czego kiedyś sam potrzebowałem i nie dostałem. Chcę zakończyć karierę, z dnia na dzień, poświęcić mu cały swój czas. Ale teraz muszę grać bardziej niż kiedykolwiek. Dla niego, dla jego przyszłości i przyszłości wszystkich innych dzieci z mojej szkoły.

Pierwszy mecz po urodzeniu syna wygrywam z Rafterem na turnieju Tennis Masters Series w Sydney. Po meczu mówię dziennikarzom, że wątpię, iż mojemu synowi uda się mnie zobaczyć na korcie, ale to z całą pewnością piękne marzenie.

Potem wycofuję się z Australian Open 2002. Boli mnie nadgarstek i nie mogę stanąć w turniejowe szranki. Brad jest sfrustrowany. Nie



spodziewałem się po nim niczego innego. Tym razem jednak ma problemy ze swoją frustracją. Tym razem jest inaczej.

Kilka dni później oznajmia, że musimy pogadać. Spotykamy się na kawie i on wyklada kawę na ławę.

Mieliśmy świetną passę, Andre, ale doszliśmy do kresu naszej drogi. Wkradł się zastój. Wyczerpałem już cały arsenał swoich środków, stary.

Ale...

Byliśmy razem osiem lat, moglibyśmy pociągnąć to jeszcze kilka, ale masz już trzydzieści dwa lata. Masz nową rodzinę, nowe sprawy. Może to nie jest taki zły pomysł, żebyś sobie znalazł nowego trenera. Kogoś, kto zmotywuje cię na nowo.

Milknie. Patrzy na mnie, po czym ucieka wzrokiem. Mówiąc krótko, dodaje, jesteśmy z sobą tak blisko, że najbardziej obawiam się jakiejś kłótni na koniec, w której nas poniesie.

Myślę: To niemożliwe, ale lepiej dmuchać na zimne.

Obejmujemy się.

Kiedy idzie do drzwi, czuję szczególną melancholię, jaka dopada człowieka zawsze w niedzielny wieczór po weekendowej idylli. Wiem, że Brad też ją czuje. Być może nie jest to najlepszy sposób na zakończenie wspólnej drogi, ale najlepszy z możliwych.

Zamykam oczy i staram się wyobrazić siebie z kimś innym u boku. Pierwsza pojawia się twarz Darrena Cahilla. Właśnie zakończył pasmo sukcesów, trenując Lleytona Hewitta, który był na pierwszym miejscu w rankingu i znalazł się wśród tenisistów wybierających najlepsze uderzenia, a gros tej sławy zyskał właśnie za sprawą Darrena. Ponadto ostatnio wpadłem na Darrena w Sydney i odbyliśmy długą rozmowę na temat ojcostwa. Była to niezwykle uczuciowa chwila. Darren, również świeżo upieczony tato, zwrócił moją uwagę na książkę poświęconą usypianiu dzieci. Zaklinał się, że dzięki niej jego syn jest znany z tego, że śpi niczym pijak.

Zawsze lubiłem Darrena. Podoba mi się jego niewymuszone podejście. Jego australijski akcent uspokaja mnie. Niemal usypia. Przejrzałem książkę, którą polecał, i zadzwoniłem do Stefanie z Australii, by przeczytać jej kilka urywków. Udało się. Teraz dzwonię do niego i zdradzam, że rozstałem się z Bradem. Pytam, czy jest zainteresowany posadą.

Odpowiada, że czuje się zaszczycony, ale ma już niemal podpisany kontrakt trenerski z Safinem. Przemyśli jednak moją propozycję i oddzwoni.

Nie ma sprawy, mówię. Nie spiesz się.

Dzwonię do niego po pół godzinie. Pytam go: A nad czym masz tu, do diabła, myśleć? Nie możesz trenować Safina. Jest nieprzewidywalny. Musisz pracować ze mną. Tu wszystko pasuje. Przyrzekam ci, Darren, nadal mam co nieco w zanadrzu. Nie skończyłem jeszcze. Jestem skoncentrowany – po prostu potrzebuję kogoś, kto podtrzyma moją koncentrację.

Dobra, zgadza się, śmiejąc do słuchawki. W porządku, stary.

Nawet nie wspomina o pieniądzach.

Stefanie i Jaden jadą ze mną do Key Biscayne. Jest kwiecień 2002 roku, kilka dni przed moimi trzydziestymi drugimi urodzinami, a na turnieju pełno zawodników młodszych ode mnie o połowę. Zawadiacy tacy jak Andy Roddick, kolejny zbawca amerykańskiego tenisa, biedny naiwniak. Ponadto jest też nowa *wunderwaffe* ze Szwajcarii – Roger Federer.

Mam ochotę wygrać ten turniej dla mojej żony i półrocznego synka, a jednak nie martwię się potencjalną porażką, nic mnie nie obejdzie, jeśli przegram, właśnie za sprawą ich obecności. Co wieczór w kilka minut po powrocie z kortu do domu, kiedy kołyszę Jadena i tulę Stefanie, nawet nie pamiętam dobrze, czy wygrałem, czy przegrałem. Tenis znika równie szybko jak światło dnia. Niemal widzę, jak odciski na mojej dłoni trzymającej raketę znikają bez śladu, jak zaognione nerwy na plecach zasklepiają się i przestają boleć. Najpierw jestem ojcem, a potem dopiero tenisistą i ta ewolucja zachodzi zupełnie bez mego udziału.

Pewnego ranka Stefanie wychodzi po zakupy i aby choć trochę poćwiczyć. Postanawia zostawić mnie pierwszego samego z Jadenem. Mój pierwszy samodzielny lot.

Poradzisz sobie?, pyta.

Oczywiście.

Siedzę z Jadenem w łazience i opieram go o lustro nad półką. Pozwalam mu bawić się szczoteczką do zębów, a sam się przygotowuję. Lubi sobie posać szczoteczkę, przyglądając się, jak golę sobie głowę za pomocą maszynki elektrycznej.

Co myślisz o swoim łysym tatusiu?

Uśmiecha się.

Wiesz, synku, kiedyś byłem taki jak ty. Miałem długie włosy sterczące na wszystkie strony. Ale nikogo nie oszukasz, czesząc się w ten sposób.

Uśmiecha się jeszcze szerzej, choć oczywiście nie ma pojęcia, co do niego mówię.

Mierzę długość jego włosów palcem.

Właściwie to jesteś strasznie rozczochrany, kolego. Przydałoby ci się strzyżenie.

Zmieniam ustawienie maszynki na przycinanie. Jednak kiedy przykładam maszynkę do główki Jadena, zostawia jasną ścieżkę pośrodku, tak białą jak linia kortu.

Złe ustawienie.

Stefanie mnie zamorduje. Muszę wyrównać chłopcu włosy, zanim wróci do domu. Ale przy moich gorączkowych próbach wyrównania fryzury, skracam mu włosy jeszcze bardziej. Po tych wszystkich staraniach mój syn ma mniej włosów na głowie niż ja. Wygląda jak miniatura Andre.

Kiedy Stefanie wchodzi do domu, staje jak wryta i oczy ma wielkie jak spodki. Co się...? Andre, krzyczy, co ci odbiło, do diabła?! Zostawiam cię na trzy kwadransy z dzieckiem, a ty go golisz na łyso?!

Po czym posyła mi wiązanekę po niemiecku.

Wyjaśniam, że to był wypadek przy pracy. Złe ustawienie maszynki. Błagam o wybaczenie.

Wiem, mówię, to wygląda, jakbym ostrzygł go celowo. Pamiętam, że zawsze żartuję sobie, że mam ochotę ogolić cały świat\*. Ale słowo ci daję, Stefanie, to była pomyłka.

\* W angielskim gra słów – *Save the World* – ocalić świat – *Shave the World* – ogolić świat (przyp. tłum.).

Staram się jej przypomnieć prawdę starych piastunek, że jeśli się ogoli dziecku głowę, to włosy odrosną szybciej i będą mocniejsze, grubsze, ale ona tylko unosi dłoń i zaczyna się śmiać. Aż się zgina wpół ze śmiechu. Jaden śmieje się dlatego, że mamusia się śmieje. Wszyscy chichoczą, pocieramy główkę Jadena i moją, żartując sobie, że teraz została tylko Stefanie i będzie musiała spać z otwartymi oczami. Śmieję się tak, że nie mogę mówić, a kilka dni później w finale Key Biscayne pokonuję Federera. To dobre zwycięstwo. Jest równie sprawny jak cały zestaw zawodników. Pojawił się na turnieju, mając na koncie dwadzieścia trzy wygrane w tym roku.

Jest to mój pięćdziesiąty pierwszy wygrany turniej, moje siedemsetne zwycięstwo w ogóle. A jednak zapamiętam ten turniej nie dlatego, że pokonałem Federera, ale z powodu tego napadu wesołości. Zastanawiam się, czy śmiech miał jakikolwiek wpływ na moją wygraną. Łatwiej być wolnym i zrelaksowanym oraz być sobą po zaśmiewaniu się do rozpuku z ukochanymi. Jest to dobre ustawienie.

Z Darrenem wchodzę na właściwą ścieżkę na początku 2002 roku. Mówimy tym samym językiem, widzimy świat w podobnych barwach. Wtedy umacnia moje zaufanie do siebie, moją niewzruszoną pewność co do niego, ośmielając się majstrować przy naciągu moich rakiet – poprawiając go.

Zawsze grałem na problendach, naciągu, który jest wykonany w połowie z kewlaru i z nylonu. Przy użyciu problędów można wyciągnąć na brzeg trzystukilowego marlina. Nigdy nie pęka, nie oddaje, ale też uniemożliwia podkręcanie piłki. To przypomina odbijanie piłki klapą od śmietnika. Ludzie mówią o zmianach w grze, o coraz to lepszych tenisistach i coraz to większych rakietach, ale największa przemiana w tym sporcie zaszła za sprawą nowych naciągów. Świt ery nowego naciągu z poliestru, który powoduje niezwykłą rotację piłki, zmienił średnich tenisistów w gwiazdy, a gwiazdy przemienił w legendy.

Mimo to zawsze byłem oporny na zmiany. Teraz Darren zachęca mnie, bym spróbował. Jesteśmy we Włoszech na Italian Open. Właśnie skończyłem mecz z Nicoląsem Kieferem z Niemiec – pierwsza runda. Pokonałem go 6–3, 6–2, ale uważam, że powinienem był przegrać. Grałem fatalnie. Na tej nawierzchni czuję się niepewnie. Gra na kortach ziemnych mnie przerasta.

Spróbuj nowego naciągu, stary.

Marszczę brwi. Jestem sceptyczny. Kiedyś próbowałem zmienić raketę. Nie było to ładne widowisko.

Wciąża nowy naciąg na jedną z moich rakiet i powtarza: Spróbuj.

Podczas treningu nie pułkuję ani razu. Tak samo przez cały turniej. Nigdy wcześniej nie wygrałem Italian Open, a teraz tak, za sprawą Darrena i jego magicznego naciągu.

Nagle zaczynam wyglądać za French Open 2002. Jestem podniecony, gotowy do walki i ostrożnie optymistyczny. Rozpaczynam od wygranej, Jaden śpi teraz więcej, a ja mam nową broń. W czwartej rundzie jestem do

tyłu o dwa sety i przełamuję zawodnika z dziką kartą, Francuza Paula-Henriego Mathieu. Ma dwadzieścia lat, ale daleko mu do mojej kondycji. Widzisz, synku, w tenisie nieważny jest kalendarz. Mogę grać cały boży dzień.

Pada deszcz. Siedzę w szatni i przypominam sobie, jak w 1999 roku wydzierał się na mnie Brad. Słyszę jego tyradę, słowo w słowo. Kiedy wchodzimy z powrotem na kort, uśmiecham się. Mam 40–0 i Mathieu mnie przełamuje. Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu robię to samo. W piątym secie podwyższa na 3–1. Znów nie zgadzam się na porażkę.

Gdybym grał z kimkolwiek, tylko nie z Agassim, mówi Mathieu dziennikarzom po meczu, wygrałbym.

Następnie gram z Juanem Carlosem Ferrero z Hiszpanii. Znów pada – tym razem proszę o wstrzymanie meczu do jutra. Ferrero prowadzi i nie chce przerywać. Robi się opryskliwy, kiedy organizatorzy przychylają się do mojej prośby i zawieszają mecz. Na drugi dzień wyżywa się na mnie. Mam niewielką szansę w trzecim secie, ale mi ją szybko zamyka. Wygrywa set, a ja widzę, że kiedy mnie eliminuje, jego pewność siebie rośnie niczym ciśnienie w kotle parowym,.

Czuję wielki spokój, schodząc z Darrenem z kortu. Podoba mi się to, jak grałem. Robię błędy, moja gra ma luki, ale wiem, że razem je naprawimy. Bolą mnie plecy, ale głównie z powodu nachylania się nad Jadenem, który uczy się chodzić. Cudowny ból.

Kilka tygodni później jedziemy na Wimbledon 2002 i opuszcza mnie moje nowe, cudowne nastawienie, ponieważ nowy naciąg szwankuje. Na nawierzchni trawiastej nowo poznany topspin sprawia, że piłka spada jak balon z helem. W drugiej rundzie gram z Paradornem Srichaphanem z Tajlandii. Jest dobry, ale nie aż tak. Tłamsi każdą piłkę, którą mu posyłam. Zajmuje sześćdziesiąte siódme miejsce w rankingu i myślę, że może mnie pokonać, po czym on sam przełamuje mnie w pierwszym secie.

Robię wszystko, by znów wskoczyć na siodło. Nic nie skutkuje. Moja piłka zachowuje się jak kremówka i Srichaphan pożera ją. Nigdy nie widziałem tak wielkich oczu przeciwnika jak u Srichaphana, kiedy przyjmuje mój forhend. Robi zamach, stojąc na piętach, i moja jedyna spójna myśl jest taka, że chciałbym tak grać i do tego skutecznie. Jak mam poinformować wszystkich na trybunach, że to nie ode mnie zależy, że to nie moja wina? Chodzi o naciąg. W drugim secie zmieniam taktykę, kontratakuję, gram dobrze, ale Srichaphan jest niezwykle pewny swego.

Myśli sobie, że to jego wielki dzień, a kiedy ktoś tak myśli, to przeważnie się to sprawdza. Wali na oślep w piłkę, która w magiczny sposób muska linię końcową, potem zwycięża w tie-breaku i prowadzi dwoma setami. W trzecim poddaje się bez walki.

Marne to pocieszenie, ale tego samego dnia przegrywa Pete.

Darren i ja eksperymentujemy przez dwa dni z rzędu z różnymi kombinacjami naciągu. Nie mogę grać z tym nowym poliestrem, a do tego nie jestem w stanie wrócić do starego naciągu. Jeśli wrócę do problenda, mogę w ogóle przestać grać.

Wygląda na przybitego. Jest moim trenerem od pół roku, dokonał drobnej korekty mego naciągu, która może nieodwołalnie przyspieszyć moją emeryturę. Obiecuje, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by znaleźć odpowiednią kombinację naciągów.

Znajdź coś, mówię, co pozwoli mi robić duży zamach i piłka będzie wpadać w kort. Jak to robi Srichaphan. Daj mi zagrać jak Srichaphan.

Załatwione, stary.

Pracuje dzień i noc nad nową kombinacją naciągów. Lecimy do Los Angeles i okazuje się, że jest idealny. Wygrywam Mercedes-Benz Cup.

Lecimy do Cincinnati i spisuję się dobrze, choć nie na tyle, by skończyć turniej jako zwycięzca. Później w Waszyngtonie pokonuję Enqvista, który zawsze jest dla mnie twardym przeciwnikiem. Wtedy natykam się na kolejną nową twarz, młodzieńca, który ma być następnym objawieniem – dwudziestodwuletniego Jamesa Blake'a. Prezentuje wspaniały, szykowny tenis, a ja nie jestem dzisiaj w jego lidze. Jest po prostu młodszy, szybszy i jest bardziej wysportowany. Ponadto za często przypomina mi się moją drogę, moje osiągnięcia, dzięki czemu gra jak natchniony. Podoba mi się, że zabiera się do tego niczym do polowania na niedźwiedzia. To mi schlebia, choć oznacza również, że jestem bez szans. Nie mogę tej porażki zrzucić na karb złego naciągu.

Jadę na US Open 2002 niepewny, czego mogę się po sobie spodziewać. Przelatuję przez pierwsze rundy, a w ćwierćfinale spotykam Maksa Mirnyja, Białorusina z Mińska. Nazywają go Bestia i jest to spory eufemizm. Ma prawie dwa metry wzrostu i jego serwis należy do najbardziej przerażających, z jakimi miałem do czynienia. Piłka przypomina żółtą smugę i niczym kometa najpierw szybuje wysoko nad siatką, po czym spada na mnie z góry. Nie umiem odebrać tego podania. Wygrywa pierwszy set z bestialską łatwością.

W drugim secie jednak Mirnyj robi kilka niewymuszonych błędów, dodaje mi siły i werwy. Zaczynam dostrzegać, że jego pierwszy serwis jest minimalnie lepszy. Gramy na światowym poziomie przez cały mecz, do końca, a kiedy jego ostatni forhend wypada za linię, nie mogę w to uwierzyć. Jestem w półfinale.

Za swoje zasługi dostaję randkę z Hewitem, rozstawionym z numerem pierwszym w turnieju, zwycięzcą tegorocznego Wimbledonu. Istotne jest też, że to były pupil Darrena. To, że trenował Hewitta przez tyle lat, dodaje jeszcze temu starciu wagi i napięcia. Darren chce, żebym pokonał Hewitta, a ja pragnę to zrobić dla Darrena. Ale w pierwszym secie szybko zostaję w tyle, 0–3. Mam w głowie wszystkie informacje na temat Hewitta, dane od Darrena zebrane na podstawie jego doświadczeń, lecz chwilę mi zabiera segregacja i uporządkowanie tych wiadomości. Kiedy mi się to udaje, wszystko zmienia się w błyskawicznym tempie. Nadciągam z całą nawałnicą i wygrywam pierwszy set 6–4. Widzę, że błysk w oku Hewitta nieco przygasa. Wygrywam drugi set. Dwoi się i troi, wygrywa trzeci. W czwartym secie nagle nie jest w stanie posłać na moją połowę poprawnej pierwszej piłki serwisowej i mogę skończyć jego drugi serwis. Jezu, jestem w finale.

To oznacza spotkanie z Pete'em. Zawsze ten Pete. Rozegraliśmy trzydzieści trzy mecze w naszej karierze, cztery razy w finale turnieju wielkoszlemowego. Ma przewagę 19–14 i 3–1 w finałach szlemów. Twierdzi, że wyzwalam w nim zwierzę, ale myślę, że to on wyzwala we mnie to, co najgorsze. Wieczorem przed finałem nie potrafię poradzić sobie z myślami o tych momentach, w których wydawało mi się, że pokonam Pete'a, miałem pewność, że go pokonam, musiałem go pokonać, a przerzynałem. A jego pasmo sukcesów w meczach ze mną zaczęło się tu, w Nowym Jorku, dwanaście lat temu, kiedy zaskoczył mnie wygraną w trzech setach. Wówczas, podobnie jak teraz, byłem faworytem.

Popijając przed spaniem magiczną Wodę Gila, powtarzam sobie, że tym razem będzie inaczej. Pete nie wygrał w szlemie od ponad dwóch lat. Zbliży się do końca kariery. A ja zaczynam wszystko do początku.

Włazę pod kołdrę i przypominam sobie spotkanie sprzed kilku lat w Palm Spring. Siedzieliśmy z Bradem we włoskiej restauracji Mama Gina's i spostrzegliśmy Pete'a siedzącego z przyjaciółmi po drugiej stronie sali. Wychodząc, podszedł do nas i przywitał się. Powodzenia jutro. Tobie też. Później obserwowaliśmy go przez restauracyjne okno, gdy czekał na

swój samochód. Nic nie mówiliśmy, bo każdy myślał o zamieszaniu, jakie wywoływał w naszym życiu. Kiedy Pete odjechał, zapytałem Brada, jak mu się wydaje, ile dał napiwku parkingowemu.

Brad aż gwizdnął. Pięć dolców, maksimum.

Nie ma mowy, odparłem. Ten facet ma miliony. Z samych nagród zarobił ze czterdzieści melonów. Stać go przynajmniej na dychę.

Zakład?

Zakład.

Szybko skończyliśmy posiłek i pognaliśmy na zewnątrz. Słuchaj, mówię do parkingowego, powiedz nam całą prawdę. Ile napiwku dał ci pan Sampras?

Chłopak wbił wzrok w ziemię. Nie chciał powiedzieć. Zastanawiał się, czy nie jest przypadkiem w ukrytej kamerze.

Zapewniliśmy go, że się o to założyliśmy i dlatego nalegamy, żeby nam powiedział. W końcu wyszeptał: Naprawdę chcą panowie wiedzieć?

Strzelaj.

Dał mi dolara.

Brad przyłożył dłoń do serca.

To nie wszystko, dodał młodzieniec. Dał mi dolara i przykazał, żebym podzielił się z tym, który mu przywiózł auto z parkingu.

Bardziej już nie możemy się różnić, Pete i ja, i zasypiając w noc przed finałem, być może naszym ostatnim finałem, obiecuję sobie, że świat dowie się jutro o różnicach między nami.

Rozpoczynamy z opóźnieniem z powodu gry nowojorskich Jetsów, która się przeciągnęła, opóźniając tym samym transmisję, a to wszystko działa na moją korzyść. Jestem w lepszej kondycji i podoba mi się perspektywa grania na korcie do północy. Ale od razu jestem do tyłu o dwa sety. Kolejne cięgi od Pete'a – nie mogę uwierzyć, że tak się dzieje.

Później jednak zauważam, że Pete jest wycieńczony. I stary. Wygrywam sporą przewagą trzeci set i publiczność na stadionie widzi, że szala zwycięstwa przechyla się na moją stronę. Publiczność szaleje. Nie obchodzi ich, kto wygra, chcą jedynie być świadkami pięciosetowego meczu Agassi–Sampras. Kiedy trwa czwarty set, wiem, jestem o tym głęboko przekonany, jak zawsze z Pete'em, że jeśli przeciągnę całą sprawę do piątego seta, wygram. Jestem zwawszy. Gram lepiej. Jesteśmy najstarszymi zawodnikami walczącymi w finale US Open od ponad trzydziestu lat, ale ja



czuję się jak jeden z tych nastolatków, którzy ostatnio dokazywali na turniejach. Czuję się tak, jakbym należał do nowego pokolenia.

Przy stanie 1–2 Pete serwuje i mam dwa break pointy. Jeśli wygram ten gem, będę serwował o set. A więc doszło do tego – gem meczu. Koncentruje się, utrzymuje pierwszy, a przy drugim break pencie robię ognistą kontrę pod jego buty. Wydaje mi się, że piłka jest daleko za nim – już świętuję – ale jakimś cudem odwraca się i odnajduje ją, po czym wali z półwoleja, a piłka wypada przez siatkę i zamiera na mojej połowie. Równowaga.

Jestem przestraszony. Pete zamyka gem i będzie starał się mnie przełamać.

Teraz serwuje piłkę meczową, a kiedy Pete serwuje o mecz, przypomina zimnokrwistego mordercę. Wszystko dzieje się bardzo szybko.

As. Smuga. Wolej z bekhendu. Nie ma mowy, by go dosięgnąć.

Aplauz. Uścisk dłoni nad siatką.

Pete posyła mi przyjacielski uśmiech, klepie mnie po plecach, ale jego miny nie można pomylić z niczym innym. Widziałem ją już nieraz.

Hej, mały, masz tu dolca. Przyrowadź mi samochód.



Wolno otwieram oczy. Leżę na podłodze obok łóżka. Siadam, żeby powiedzieć Stefanie dzień dobry i wtedy uświadamiam sobie, że ona jest w Vegas, a ja w Petersburgu. Nie, zaraz – w Petersburgu byłem w zeszłym tygodniu.

Jestem w Paryżu.

Nie, Paryż był po Petersburgu.

Jestem w Szanghaju. Tak, no właśnie, jestem w Chinach.

Podchodzę do okna i rozsuwam zasłony. Panorama zaprojektowana przez wielbiciela grzybów. Panorama, która wygląda jak Vegas z filmu *science fiction*. Każdy budynek jest niczym wariacki eksperyment architektoniczny i wszystkie widać na ciemnogramatowym, nieprzyjaznym niebie. Nieważne, gdzie jestem, mówiąc szczerze, bo po części jestem też w Rosji, we Francji i w tuzinie innych miejsc, w których grałem. A największa częśćka mnie, jak zwykle, jest w domu ze Stefanie i Jadenem.

Jednak bez względu na to, gdzie jestem, kort tenisowy jest taki sam, podobnie jak cel – w 2002 roku chcę znów zostać numerem jeden. Jeśli będę w stanie odnieść tu, w Szanghaju, zwycięstwo, jedno małe zwycięstwo, to będę najstarszym zawodnikiem z pierwszym numerem w rankingu w historii męskiego tenisa, bijąc rekord Connorsa.

To śmieć – ty jesteś legendą!

Chcę tego, powtarzam sobie. Nie potrzebuję, ale tego chcę.

Zamawiam kawę przez *room service*, po czym siadam przy biurku i piszę swój dziennik. To do mnie zupełnie niepodobne, że prowadzę dziennik, ale ostatnio zacząłem i szybko weszło mi to w krew. Muszę pisać. Obsesyjnie chcę zostawić ślad po każdym dniu, po części z powodu dławiącego mnie lęku, że nie pożyję na tyle długo, by Jaden mnie dobrze poznał. Mieszkam na pokładach samolotów w świecie, który staje się coraz groźniejszy, coraz bardziej nieprzewidywalny. Boję się, że nie będę w stanie przekazać Jadenowi wszystkiego, co widziałem i czego się nauczyłem. Dlatego co wieczór, gdziekolwiek bym był, kreślę do niego kilka linijek. Są to nieuporządkowane myśli, impresje, informacje na temat tego, czego się dowiedziałem. Teraz, przed pojawieniem się na kortach w Szanghaju, piszę:

Cześć, kolego. Jesteś w Vegas z mamą, a ja jestem w Szanghaju i tęsknię za tobą. Po tym turnieju mam szansę wylądować na pierwszej pozycji w rankingu. Ale przysięgam ci, że najbardziej chciałbym wrócić do domu i do was. Dużo biorę na swoje barki w tenisie. W przedziwny sposób coś mnie pcha do tego, by to ciągnąć. Sporo czasu mi zajęło przekonanie się, że tego właśnie chcę. Bardzo długo z tym walczyłem. Teraz po prostu pracuję najciężej, jak potrafię, i pozwalam, żeby wszystko toczyło się samo. Nadal przeważnie nie czuję się najlepiej, ale pcham ten wózek dalej, w imię dobra. Dla dobra gry, dla dobra przyszłości, dla dobra uczniów mojej szkoły. Zawsze doceniaj innych, Jadenie. Troska o innych daje niezwykły spokój. Kocham cię i zawsze jestem twój.

Zamykam dziennik, wychodzę z pokoju i dostaję lanie od Jiříego Nováka z Czech. To upokorzenie. Co gorsza, nie mogę wyjechać do domu. Muszę tu tkwić jeszcze jeden dzień i zagrać coś w rodzaju meczu pocieszenia.

W hotelu dławiony emocjami znów piszę do Jadena:

Właśnie przegrałem mecz i czuję się fatalnie. Nie chcę tam jutro wracać. Tak bardzo, że chciałem wręcz odnieść kontuzję. Wyobraź sobie, że tak mocno nie chcesz czegoś zrobić, że wolisz kontuzję. Jadenie, jeśli kiedykolwiek coś cię tak przytłoczy jak mnie dzisiejszy mecz, spuść głowę, pracuj i staraj się dalej. Zmier się z tym, co najgorsze, a przekonasz się, że nie jest aż tak źle. To będzie twoja furтка do wewnętrznego spokoju. Mam ochotę to rzucić, wyjechać do

domu i zobaczyć się z tobą. Trudno mi zostać i grać, łatwo wyjechać i spotkać się z tobą. Dlatego właśnie zostaję.

Pod koniec roku, jak się spodziewano, Hewitt dostaje pierwszą pozycję w rankingu. Mówię Gilowi, że czas podnieść poprzeczkę. Wyznacza nowy harmonogram dla staruszka. Pomysły czerpie ze swojego notesu Leonarda i poświęcamy wiele tygodni na poprawę kondycji moich nadwerężonych nóg. Dzień za dniem stoi nade mną i dudni: Do roboty! Australia wzywa!

Gil uważa, że słabe nogi rządzą, a mocne słuchają.

Kiedy trafiamy na pokład Ambien Express z Vegas do Melbourne, czuję, że chce mi się biegać i pływać. Jestem rozstawiony z numerem drugim w Australian Open 2003, wpadam na kort, warcząc wściekle i tocząc pianę z ust. Docieram do półfinału i pokonuję Ferreirę w dziewięćdziesiąt minut. W sześciu meczach oddaję tylko jeden set.

W finale zmagam się z Rainerem Schuettlerem z Niemiec. Wygrywam w trzech setach, tracąc jedynie pięć gemów, i osiągam najłatwiejsze zwycięstwo w Australian Open. Mój ósmy szlem jest jednocześnie moim najlepszym. Żartuję ze Stefanie, że jest podobnie jak w jej meczach, że zbliżyłem się do wyrażania dominacji w jej stylu.

Kiedy podają mi trofeum, zwracam się do publiczności: Nie znamy dnia ani godziny, a takie chwile jak ta są szczególnie rzadkie.

Ktoś powiedział później, że zabrzmiało to, jakbym otarł się o śmierć.

Raczej otarłem się o życie. W ten sposób mówi ktoś, kto niemal nie żyje.

Mając trzydzieści jeden lat jestem najstarszym zawodnikiem, który kiedykolwiek zdobył szlema i dziennikarze nie chcą się z tym pogodzić. Raz za razem przed wylotem z Australii pytają, czy planuję zakończenie kariery. Odpowiadam, że nie planuję końców, tak samo jak nie planuję początków. Jestem ostatnim przedstawicielem swego pokolenia na korcie, twierdzą. Ostatnim Mohikaninem lat osiemdziesiątych. Chang ogłasza zakończenie kariery. Courier zrobił to już trzy lata wcześniej. Ludzie traktują mnie jak dziadka, bo Stefanie znów jest w ciąży i powszechnie wiadomo, że przemierzamy się po Vegas w minivanie. Mimo to czuję się bosko.

Jak na ironię mój brak giętkości zdaje się paradoksalnie przedłużać moją karierę. Wspomaga moją wytrzymałość. Ponieważ nie jestem w stanie wykonać lekkiego skrętu, zawsze trzymam raketę blisko ciała, zawsze mam piłkę przed sobą. Tym samym nie przykładam niepotrzebnego

napięcia ani nie wykonuję zbyt gwałtownych skrętów. Z taką formą, jak mówi Gil, moje ciało może pograć jeszcze kolejne trzy lata.

Po krótkiej przerwie spędzonej w Vegas lecimy do Key Biscayne, Wygrywałem ten turniej dwa lata z rzędu, w sumie pięć razy i nic nie może mnie powstrzymać. Docieram do finału i pokonuję Moyę, mojego starego adwersarza z French Open, który ma piąte miejsce w światowym rankingu. To moje szóste zwycięstwo w tym turnieju, więc biję nawet rekord Stefanie. Znów żartuję sobie z nią na temat tego, co w końcu zrobiłem lepiej niż ona. Jednak duch rywalizacji tkwi w niej tak mocno, że wiem, iż nie mogę przesadzić z żartami.

Gram na US Men's Clay Court Championships w Houston. Wystarczy, że dotrę do finału, żeby znów zająć pierwszą pozycję w klasyfikacji tenisistów. I udaje mi się. Pokonuję Jürgena Melzera 6–4, 6–1, a potem wyruszam z Darrenem oraz Gilem, by świętować. Wypijam kilka kieliszków żurawinówki. Nic mnie nie obchodzi, że na drugi dzień gram w finale z Roddickiem – już jestem na pierwszej pozycji w rankingu.

I dlatego właśnie go pokonuję. Osiągnąłem idealne proporcje przejmowania się z nieprzejmowaniem – najlepszą mieszankę.

Kilka dni przed moimi trzydziestymi trzecimi urodzinami jestem najstarszym tenisistą, jaki kiedykolwiek był na pierwszym miejscu w rankingu. Lecę do Rzymu, czując się niczym Ponce de León\*, ale przy wysiadaniu łapie mnie geriatryczne rwanie w barku. W pierwszej rundzie gram kiepsko, lecz nie przejmuję się tym i wymazuję z pamięci. Kilka tygodni później na French Open 2003 bark wciąż mnie boli, ale na treningach zachowuję rzeźkość. Darren mówi, że jestem w pełni sił.

\* Juan Ponce de León y Figueroa (1474–1521), podróżnik i odkrywca. Pierwszy gubernator Portoryko z nadania korony hiszpańskiej. Przypisywano mu odkrycie Fontanny Młodości (przyp. tłum).

W drugiej rundzie znajduję się na korcie Suzanne Lenglen, z którym mam same złe wspomnienia. Przegraną z Woodruffem w 1996 roku. Przegraną z Safinem w 1998. Gram z młodziakiem z Chorwacji Mario Ančićem. Przegrywam dwa sety i wlokę się w trzecim. Przeciwnik ma dziewiętnaście lat, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, serwis i wolej, które się mnie nie boją. Kort Lenglen niby ma być gęstszy, wolniejszy, ale dzisiaj piłka lata bardzo szybko. Bardzo trudno mi ją kontrolować. Zbieram się jednak w sobie i wygrywam dwa kolejne sety. W piątym, wycieńczony mam wrażenie, że za chwilę odpadnie mi ramię, mam cztery piłki meczowe

i tracę je. Trzy razy robię podwójny błąd serwisowy. Pokonuję w końcu tego młokosa, ale tylko dlatego, że nieco bardziej niż ja obawia się porażki.

W ćwierćfinale gram z Guillermem Corią z Argentyny, kolejnym czupurnym nastolatkiem. Otwarcie mówi, że jestem jego idolem. Słucham tego. Wyjaśniam dziennikarzom, że wolałbym nie być jego idolem i grać na twardej nawierzchni, niż być jego idolem i grać na korcie ziemnym. Jak ja nienawidzę tej ziemi. Tracę pierwsze cztery gemy z pięciu. Potem wygrywam set. Jak ja kocham tę ziemię.

Jednak Coria nie daje po sobie niczego poznać. W drugim secie wyskakuje na 5–1. Niczego nie odpuszcza. Jest szybki i gra coraz szybciej. Czy ja kiedykolwiek byłem taki szybki? Staram się go zbić z tropu, poganiać do siatki – bez skutku. Jest dziś ode mnie lepszy. Eliminuje mnie z turnieju oraz strąca z pierwszego miejsca w rankingu.

W Anglii podczas rozgrzewki przed Wimbledonem pokonuję Petera Luczaka z Australii. To tysięczny mecz w mojej karierze. Kiedy ktoś mi to uświadamia, jestem tak przytłoczony, że muszę usiąść. Wypijam kieliszek wina ze Stefanie i staram się przypomnieć sobie wszystkie mecze z tego tysiąca. Pamiętam każdy z nich, mówię do niej.

Oczywiście, że pamiętasz, odpowiada.

Na urodziny Stefanie zabieram ją na koncert Annie Lennox do Londynu. To jedna z ulubionych wokalistek Stefanie, ale dziś wieczorem ona jest moją muzą. Dziś wieczorem śpiewa i mówi wprost do mnie. Postanawiam poprosić Gila, żeby nagrał jakieś kawałki Annie Lennox na naszej składance Skurcze Bebechów 2. Mógłbym słuchać jej przed meczami.

*To jest ścieżka, którą nigdy nie kroczyłam  
To są marzenia, zamiast których będę śniła...\*\**

\*\* Cytat pochodzi z piosenki Annie Lennox *Why* (1992) (przyp. red.).

Na Wimbledonie 2003 jestem jednym z faworytów. Jakim cudem? Od lat osiemdziesiątych żaden ojciec jeszcze nie został mistrzem Wimbledonu. Tatusiowie nie wygrywają turniejów wielkoszlemowych. W trzeciej rundzie walczę z Younesem El Aynaoui z Maroka. On też jest świeżo upieczonym tatą. Żartuję z dziennikarzami, że nie mogę się doczekać pojedynku z zawodnikiem, który na pewno tak jak ja ma niezwykle mało snu.

Udzielając mi przedmeczowych instrukcji, Darren mówi: Jeśli zobaczysz, że ten facet za wszelką cenę dąży do bekhendów już na początku meczu, kiedy zobaczysz, że gra slajsem, pamiętaj o dobrej kontrze. W ten sposób dasz mu do zrozumienia, że nie ujdzie mu na sucho

posyłanie bezpiecznych piłek z pozycji defensywnej. Musi wymyślić coś specjalnego. Tak właśnie wyślesz mu informację i wymusisz kolejne błędy w dalszej części meczu.

Dobra rada. Szybko osiągam przewagę, dwa sety do jednego, ale El Aynaoui nie chce się poddać. Przeciąga wszystko do czwartego seta, ma trzy piłki setowe. Nie chcę kończyć tego meczu w piątym secie. Ostatnie punkty czwartego seta są niezwykle ciężkie i robię wszystko, co potrzeba, wszystko, co mi radził Darren. Kiedy walka się kończy, kiedy wygrywam set i mecz, jestem wycieńczony. Mam dzień przerwy, ale wiem, że to o wiele za mało.

W czwartej rundzie walczę z Markiem Philippoussisem, australijskim dzieciakiem z mnóstwem talentu i reputacją, że go trwoni. Ma potężny serwis, niepokojąco silny, dzisiaj wyjątkowo. Wystrzeliwuje piłkę z prędkością 225 kilometrów na godzinę. Serwuje mi asa czterdzieści sześć razy. Pomimo to mecz trwa nadal i obydwaj wiemy, dokąd to zmierza – do piątego seta. Czuję już przedsmak zwycięstwa. Serwuje na mnie drugim podaniem z prędkością 222 kilometrów na godzinę. To zawrotna prędkość, ale takiej się spodziewałem. Wystawiam raketę do przodu, gram return, on zaś może tylko stać i patrzeć. Niemal dostaje lanie. A jednak piłka ląduje pół cala za linią. Aut.

Gdyby nie było autu, przełamałbym go, nabrałbym pędu i serwował o mecz. Ale nie tak było pisane. Teraz, wierząc w swoje zwycięstwo, Philippoussis prostuje się i przełamuje mnie. Wszystko w okamgnieniu. W jednej minucie niemal serwuję o mecz, w kolejnej on unosi ręce w zwycięskim geście. Cały tenis.

W szatni czuję, że znajduję się w obcym ciele. Trawiasta nawierzchnia stała się dla mnie prawdziwą męką, a pięciosetowy mecz na trawie wyczerpał mnie całkowicie. Ponadto na kortach Wimbledonu w tym roku gra się bardziej naturalnie, co wiąże się z dłuższymi wymianami, z większym ruchem, rzucaniem się do piłki i schylaniem. Nagle problemem stają się moje plecy. Nigdy nie były w idealnym stanie, ale teraz naprawdę mi dokuczają. Ból biegnie wzdłuż kręgosłupa, do pośladków, okrąża kolano, potem łączy się ponownie z goleniem i dociera do kostki. Z wdzięcznością przyjmuję porażkę z Philippoussisem, to, że nie awansowałem w turnieju, bo musiałbym poddać następny mecz.

Kiedy ma się rozpocząć US Open 2003, Pete ogłasza koniec kariery. Podczas konferencji prasowej kilkakrotnie przerywa, żeby się pozbiierać. Jak się okazuje, odbieram to bardzo osobiście. Nasza rywalizacja była jedną z gwiazd przewodnich mojej kariery. Przegrane z Pete'em kosztowały mnie sporo bólu, ale na dłuższą metę uodparniały mnie. Gdybym częściej z nim wygrywał albo gdyby należał do innego pokolenia, miałbym lepsze wyniki i mógłbym uchodzić za lepszego tenisistę, ale mniej bym umiał.

Przez wiele godzin po konferencji prasowej Pete'a czuję straszliwe osamotnienie. Jestem ostatnim sprawiedliwym. Jestem ostatnim amerykańskim zwycięzcą szlemów, który wciąż gra. Mówię dziennikarzom: Człowiek spodziewa się, że wyjdzie z potańcówki z tą osobą, z którą na nią przyszedł. Potem uświadamiam sobie, że to zła analogia, ponieważ nie porzucam naszego tańca – wciąż płasam.

Docieram do ćwierćfinału. Mam grać z Corią, który wyeliminował mnie z French Open. Aż mnie korci, żeby wyjść na kort, zdziesiątkować wszystkich, ale przez kilka dni powstrzymuje nas deszcz. Ponieważ utknąłem w hotelu, nie mając wiele do roboty, mogę tylko czekać i czytać. Patrę, jak krople deszczu spływają po szybie tak samo szare jak włosy na mojej brodzie. Każda kropla zdaje się kolejną topniejącą na zawsze minutą.

Gil zmusza mnie do picia Wody Gila i odpoczynku. Mówi, że będzie dobrze, ale on też wie. Czas ucieka. W końcu chmury się rozstępują, jesteśmy na korcie, a Coria nie jest tym samym facetem, którego widziałem w Paryżu. Ma kontuzję nogi, co wykorzystuję. Przeganiem go bezlitośnie, ścieram na proch, wygrywając pierwsze dwa sety.

W trzecim secie mam cztery piłki meczowe – i nie wykorzystuję ani jednej. Patrę na lożę i widzę, jak Gil się wije. W całej mojej karierze podczas moich meczów ani razu nie poszedł do toalety. Nigdy. Ani razu. Wyjaśnia, że nie chce ryzykować, bo nie widząc go na trybunach, mógłbym wpaść w panikę. Nie zasługuje na to. Skupiam uwagę na grze. Spoglądam w lewo, spoglądam w prawo, serwuję i wygrywam mecz.

Nie ma czasu na odpoczynek. Przez ten cały deszcz skurczył się harmonogram turnieju. Na drugi dzień mam stanąć w półfinale naprzeciw Ferrero, który właśnie wygrał French Open. Ma tyle pewności siebie, że wylewa się ona z niego wszystkimi porami. Jest młodszy ode mnie ze sto lat i to widać. Kładzie mnie na łopatki w czterech setach.

Kłaniam się na cztery strony świata, ślę całusy w tłum i myślę, że publiczność wie, iż dałem z siebie wszystko. Widzę Stefanie z Jadenem



czekających przed szatnią – Stefanie jest w ósmym miesiącu ciąży z naszym drugim dzieckiem – i rozczarowanie przegraną spływa ze mnie niczym kropla deszczu.

Nasza córeczka przychodzi na świat 3 października 2003 roku – kolejny piękny intruz. Dajemy jej na imię Jaz Elle – i podobnie jak przy naszym synu, ślubujemy w tajemnicy, że nigdy nie będzie grała w tenisa. (Nawet nie mamy kortu tenisowego na tyłach domu). Ale jest jeszcze coś, czego Jaz Agassi nie chce robić – nie chce spać. Przy niej jej brat jest narkoleptykiem. Na Australian Open 2004 wyjeżdżam więc, przypominając wampira. Tymczasem niemal każdy z zawodników robi wrażenie, jakby spał przez dwanaście godzin. Wszyscy mają błysk w oku i prężą mięśnie. Wydają się tak napakowani, jakby każdy z nich miał swojego Gila.

Moje nogi pozostają w dobrej formie do półfinału, kiedy natykam się na Safina, który gra jak wilkołak. Większą część roku odpoczywał z powodu kontuzji nadgarstka. Teraz wyleczony i wypoczęty jest nie do powstrzymania. Z boku na bok, z tyłu na przód, nasze wymiany ciągną się w nieskończoność. Nie pudłujemy, nie robimy niewymuszonych błędów i bardzo chcemy wygrać. Różnica polega na serwisie Safina. Wygrywa piąty set, więc zastanawiam się, czy właśnie nie odtrąbiono mojej ostatniej szarży w Australii.

Czy to jest koniec? Słyszałem to pytanie od wielu miesięcy, lat, ale teraz po raz pierwszy to ja je sobie zadaję.

Odpoczynek jest twoim przyjacielem, tłumaczy Gil. Musisz bardziej wypoczywać między turniejami i musisz sobie staranniej wybierać imprezy. Rzym i Hamburg? Odpuść. Puchar Davisa? Przykro mi, nie możesz. Musisz zachować energię na duże turnieje, a kolejnym dużym turniejem jest French Open.

Dzięki temu, kiedy przyjeżdżam do Paryża, czuję się zdecydowanie młodszy. Darren spogląda na listę wylosowanych zawodników i przewiduje bezproblemowe dojście do półfinału.

W pierwszej rundzie gram z Jérômeem Haehnelem, dwudziestotrzylatkiem z Alzacji sklasyfikowanym na 271. miejscu, który nawet nie ma trenera. Żaden problem, stwierdza Darren.

Wielki problem. Gram bez polotu. Każdy bekhend łąduje w siatce. Krzyczę na siebie: Przecież grasz dużo lepiej! To jeszcze nie koniec. To nie może się tak skończyć! Gil siedzący w pierwszym rzędzie wydyma usta.

To nie tylko metryka i nie tylko nawierzchnia. Nie uderzam czysto piłki. Jestem wypoczęty, ale zastały od zbyt długiego wypoczynku.

Gazety określają to najgorszą przegraną w mojej karierze. Haehnel zdradza dziennikarzom, że jego koledzy napompowali go przed meczem zapewnieniami, iż wygra, bo ja ostatnio przegrałem z zawodnikiem takim jak on. Pytany, co ma na myśli, mówiąc o tenisiście takim jak on, odpowiedział: Tak kiepskim.

Jesteśmy na ostatniej prostej, odpowiada dziennikarzom Gil – bylebyśmy tylko nie przekroczyli linii mety, kuśtykając.

Nadchodzi czerwiec, a ja wycofuję się z Wimbledonu. Przegrałem cztery zwykłe mecze – moja najgorsza passa od 1997 roku – i czuję, że mam kości z porcelany. Gil sadza mnie i mówi, że nie wie, jak długo jeszcze będzie mógł patrzeć na moje męczarnie. Muszę sobie dokładnie i starannie przemyśleć, czy nie nadeszła chwila, w której powinienem to zakończyć – dla naszego wspólnego dobra.

Obiecuję, że pomyślę o zakończeniu kariery, ale najpierw muszę pomyśleć o zakończeniu kariery Stefanie. Została wyróżniona przyjęciem do International Tennis Hall of Fame – oczywiście ma więcej wygranych szlemów niż jakakolwiek zawodniczka w historii tenisa, wyjąwszy Margaret Court. Chce, żebym ją wprowadził na ceremonii. Lecimy do Newport w stanie Rhode Island. To wielki dzień. Wtedy po raz pierwszy zostawiamy nasze dzieci pod czyjąś opieką na noc i jest to pierwszy raz, kiedy widzę Stefanie prawdziwie zdenerwowaną. Jest przerażona uroczystością. Nie chce skupiać na sobie czyjejś uwagi. Przejmuje się, że powie coś nie tak albo zapomni komuś podziękować. Cała się trzęsie.

Ja sam też nie jestem zrelaksowany. Od wielu tygodni mam obsesję na punkcie mojego wystąpienia. Jest to pierwszy raz, kiedy mam publicznie mówić na temat Stefanie, i przypomina mi to zapisywanie na Tablicy Uwielbienia w kuchni czegoś, co potem pójdzie w świat. J.P. pomaga mi zredagować kilka wersji przemówienia. Jestem przygotowany aż nadto, więc kiedy wchodzę na podium, dyszę ciężko. I wtedy, w chwili gdy otwieram usta, ogarnia mnie wielka ulga, ponieważ mówię na swój ulubiony temat, w którym uważam się za eksperta. Każdy mężczyzna powinien mieć szansę wprowadzenia swojej żony do Galerii Sław.

Patrzę na zgromadzonych gości, na kibiców, na twarze byłych mistrzów i chcę im opowiedzieć o Stefanie. Chcę, żeby wiedzieli to, co ja wiem. Porównuję ją do architektów i rzemieślników, którzy budowali wspaniałe

średniowieczne katedry: nie ograniczali swego perfekcjonizmu, kładąc dach, budując piwnicę czy tworząc niewidoczne elementy katedry. Byli perfekcjonistami w każdym calu, wyprowadzając każdy pion czy niewidzialny łuk – i taka właśnie jest Stefanie. Jednocześnie sama jest niczym katedra – jest pomnikiem doskonałości. Przez pięć minut wychwalam jej etykę pracy, jej godność, jej spuściznę, jej siłę i grację. Kończę najszczerzym wyznaniem, jakie z moich ust padło na jej temat:

Panie i panowie, przedstawiam wam najwspanialszą osobę, jaką znam.



Wszyscy wokół mnie bez końca gadają o zakończeniu kariery. O drodze Stefanie, Pete'a i mojej. Tymczasem ja wciąż gram i mam oko na kolejnego szlema. W Cincinnati, ku zaskoczeniu wszystkich, w półfinale pokonuję Roddicka, dzięki czemu znajduję się w pierwszym finale imprezy ATP od listopada. Następnie pokonuję Hewitta i staję się najstarszym triumfátorem ATP od czasów Connorsa.

W kolejnym miesiącu na US Open 2004 mówię dziennikarzom, że mam szansę wygrać cały turniej. Uśmiechają się jak do nieszkodliwego wariata.

Wraz ze Stefanie wynajmujemy dom za miastem, w Westchester. Jest tu przestronniej niż w hotelu i nie musimy się przejmować pchaniem wózka po zatłoczonych ulicach Manhattanu. A najlepsze ze wszystkiego jest to, że w piwnicy znajduje się sala gier, która w noc przed turniejem zmienia się w moją sypialnię. Mogę się przenieść z łóżka na podłogę, kiedy mnie obudzi ból kręgosłupa, nie przeszkadzając Stefanie. Ponieważ tatusiowie nie wygrywają szlemów, jak lubi mówić Stefanie, możesz sobie iść do piwnicy i poudawać, że jesteś kawalerem.

Widzę, jak moje życie jej ciąży. Jestem rozkojarzonym mężem, zmęczonym ojcem. Ona musi się częściej zajmować dziećmi. Mimo to nigdy nie narzeka. Rozumie. Jej misja, jej codzienna pasja polega na stworzeniu atmosfery, w której mogę myśleć wyłącznie o tenisie. Pamięta

z czasów, kiedy sama grała, jakie to istotne. Na przykład, gdy jedziemy na stadion, Stefanie wie dokładnie, które nagranie Elmo uciszy Jadena i Jaz, żebyśmy mogli z Darrenem omówić strategię. Jest również bardzo podobna do Gila w kwestii jedzenia: nie zapomina, że ważny jest nie tylko czas posiłków, ale też to, co się je. Po meczu, kiedy jedziemy do domu z Darrenem i Gilem, wiem, że gdy przejdziemy przez próg, będzie na nas czekała gorąca lasagne z serem, który wciąż bulgoce na wierzchu.

Wiem też, że dzieci Darrena oraz Jaden i Jaz będą nakarmione, umyte i ukołysane do snu.

Dzięki Stefanie docieram do ćwierćfinału, gdzie natykam się na Federera, zawodnika rozstawionego w turnieju na pierwszym miejscu. Nie jest to ten sam człowiek, którego pokonałem w Key Biscayne. Na moich oczach wyrasta z niego kolejny zawodnik wszech czasów. Metodycznie zdobywa przewagę, dwa sety do jednego i mogę tylko przyglądać się jakby z boku jego niezwykłym umiejętnościom oraz niezachwianemu spokojowi. Jest najbardziej królewskim z tenisistów, jakich widziałem w życiu. Jednak zanim ma okazję mnie wykończyć, z powodu deszczu mecz zostaje przesunięty na następny dzień.

Jadąc z powrotem do Westchester, wyglądam przez okno i powtarzam sobie: Nie myśl o tym, co będzie jutro. Do tego nie myśl nawet o tym, co będzie na kolację, ponieważ mecz został przerwany i wracasz do domu na kilka godzin przed czasem. Ale oczywiście Stefanie ma swoje źródło wśród ekipy meteorologów. Ktoś ją zawiadomił, że znad Albany nadciąga burza, więc wskoczyła do auta i pojechała do domu, by wszystko przygotować. Teraz, kiedy przekraczamy próg, całuje nas wszystkich i podaje nam talerze jednym ruchem, płynnym niczym serwis. Mam ochotę zaprosić do domu sędziego pokoju i odnowić przysięgę małżeńską.

Na drugi dzień pojawia się wyjący wiatr. W porywach do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Walczę z wiatrem oraz z Federerem, który ma siłę huraganu, i doprowadzam do stanu dwa do dwóch w setach. Federer zerka na swoje stopy, co jest u niego oznaką szoku.

Ale adaptuje się do warunków lepiej niż ja. Mam wrażenie, że do wszystkiego potrafi się przystosować w biegu. Zaczyna ciężki piąty set i przekazuje wszystkim informację, że jest w drodze na szczyt.

Wiatr jeszcze dobrze nie ucichł, a znów pojawiają się głosy o mojej emeryturze. Dziennikarze chcą wiedzieć, dlaczego nie zamierzam

zrezygnować. Wyjaśniam, że w ten sposób zarabiam na życie. Mam na utrzymaniu rodzinę i szkołę. Z jednego mojego uderzenia korzysta wiele osób. (Miesiąc po US Open wraz ze Stefanie organizujemy doroczny Turniej Wielkoszlemowy dla Dzieci, który przynosi sześć milionów dolarów. W sumie udaje nam się zgromadzić czterdzieści milionów dolarów na moją fundację).

Ponadto, mówię dziennikarzom, wciąż mam w sobie sporo sił. Nie wiem, jak dużo, ale myślę, że wciąż mogę wygrywać.

Znów patrzą się na mnie dziwnie.

Może są zdezorientowani, bo nie zdradzam im wszystkiego, nie wyjaśniam w pełni swoich motywacji. Nie mogę, bo sam dopiero się o tym przekonuję. Gram i wciąż chcę grać, bo taki jest mój wybór. I chociaż nie jest to idealne życie, zawsze można je wybrać. Bez względu na to jak ono wygląda, wybór zmienia wszystko.

Na Australian Open 2005 w trzech setach pokonuję Taylora Denta i przesuwam się do czwartej rundy. Przed szatnią zatrzymuję się, widząc niezwykle interesującego komentatora – to Courier. Dziwnie jest widzieć go w tej roli. Ja zawsze go postrzegam jako wielkiego mistrza tenisa. A jednak praca w telewizji służy mu. Robi to dobrze i wydaje się zadowolony. Mam dla niego sporo szacunku i żywię nadzieję, że on dla mnie też. Różnice między nami zdają się tak odległe i tak młodzieńcze.

Przystawia mi mikrofon do ust i pyta: Jak długo będziemy czekać aż Jaden Agassi zacznie grać z synem Pete'a?

Patrzę w kamerę i mówię: Najlepsze dla mego syna będzie to, jeśli się na czymś skupi.

Potem dodaję: Mam nadzieję, że wybierze tenis, bo bardzo kocham ten sport.

Stare kłamstwo z wielką brodą. Teraz jest jeszcze bardziej bezwstydne, bo wplątuje w to wszystko mego syna. Istnieje groźba, że kłamstwo stanie się moim dziedzictwem. Stefanie i ja jesteśmy zdecydowani bardziej niż kiedykolwiek, że nie chcemy tego wariackiego życia dla Jadena i Jaz, co więc skłania mnie do powtarzania tych bzdur? Jak zwykle, uważam, że to właśnie ludzie chcą usłyszeć. Ponadto jestem radosny po wygranej i myślę sobie, że tenis jest wspaniałym sportem, który dobrze mnie traktował w życiu, teraz ja chcę go uhonorować. Może też, stojąc przed mistrzem,

którego szanuję, czuję się winny, że nienawidzę tego sportu. Kłamstwo może być moim sposobem na ukrycie winy bądź zadośćuczynienie za nią.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Gil bardzo zmodyfikował metody mojego treningu. Każę mi jeść niczym spartańskiemu wojownikowi i dieta jest przyczyną mojej doskonałej kondycji.

Ponadto dostałem zastrzyk z kortyzonu, mój trzeci w tym roku. Można brać maksymalnie cztery na rok. Lekarze mówią, że jest ryzyko. Po prostu nie znamy długotrwałego działania kortyzonu na kręgosłup i wątrobę. Ale co mi tam. Byleby tylko plecy mnie nie bolały.

I nie bolą. Docieram do ćwierćfinału i znów trafiam na Federera. Nie jestem w stanie wygrać ani jednego seta. Karci mnie niczym nauczyciel mało zdolnego ucznia. On, w większym stopniu niż wszystkie te młode wilki przejmujące ster na kortach, sprawia, że czuję swoją metrykę na karku. Kiedy na niego patrzę, widzę niezwykłą wręcz zręczność, umiejętności odbijania piłki oraz płynne ruchy jak u pumy i przypominam sobie, że gram od czasów, kiedy były jeszcze drewniane rakiety. W końcu moim szwagrem był Pancho Gonzalez, mistrz z czasów mostu powietrznego w Berlinie Zachodnim, rywal Freda Perry'ego, a Federer urodził się w tym samym roku, w którym poznałem mojego Perry'ego.

Tuż przed Rzymem kończę trzydzieści pięć lat. Stefanie z dziećmi jadą ze mną do Włoch. Chcę wyjść ze Stefanie, zobaczyć Koloseum, Panteon, ale nie mogę. Kiedy byłem tu jako chłopak, byłem nieśmiały i ogromnie pochłonięty wewnętrznymi zawirowaniami, co uniemożliwiało mi opuszczenie hotelu. Teraz, choć bardzo chciałbym pozwiedzać, nie pozwala na to mój kręgosłup. Lekarze mówią, że długi spacer po chodniku może wiele zmienić, bo działanie kortyzonu trwa albo trzy miesiące, albo jeden.

Wygrywam pierwsze cztery mecze. Potem przegrywam z Corią. Zdegustowany sobą, czuję się winny, kiedy publiczność gotuje mi owację na stojąco. Znów dziennikarze zasypują mnie pytaniami o emeryturę.

Mówię: Myślę o niej tylko czternaście razy do roku, bo tyle gram turniejów w ciągu dwunastu miesięcy.

Innymi słowy: Tyle właśnie razy jestem zmuszony, by wysiadywać na tych konferencjach prasowych.

W pierwszej rundzie French Open 2005 gram z Jarkko Nieminenem z Finlandii. Ustanawiam rekord przez samo pojawienie się na korcie. Jest to mój pięćdziesiąty ósmy turniej wielkoszlemowy. O jeden więcej niż grali

Chang, Connors, Lendl, Ferreira. Więcej niż ktokolwiek od czasów organizowania turniejów open. Moje plecy jednak nie są w nastroju do świętowania. Kortyzon przestał działać. Serwowanie sprawia ból, stanie boli. Oddychanie jest utrudnione. Myślę o tym, by podejść do siatki i poddać mecz. Ale to są korty Rolanda Garrosa. Nie mogę zejść z kortu, nie z tego. Musieliby mnie ponieść na rakiemie.

Łykam osiem advili. Osiem. Podczas zmiany stron przykrywam twarz ręcznikiem, zagryzając drugi ręcznik, by złagodzić ból. W trzecim secie Gil już wie, że coś jest nie tak. Po uderzeniu piłki nie wracam na środek kortu. To nie do pomyślenia, to można porównać jedynie do jego wyjścia do toalety podczas meczu. Później, idąc z Gilem do restauracji, jestem pochylony niczym gigantyczna krewetka. Nie możemy bez końca czerpać z twego ciała, stwierdza.

Wycofujemy się z Wimbledonu, starając się przygotować na letnie rozgrywki na twardych kortach. To konieczne, ale też ryzykowne. Teraz poświęcam cały swój czas i wysiłek mniejszej liczbie turniejów, co oznacza, że margines błędu się zmniejsza, a presja się zwiększa. Straty będą bardziej bolały.

Gil zakopuje się w swych notatkach. Jest dumny z tego, że nigdy nie doznałem kontuzji na siłowni, ale teraz, kiedy moje ciało się starzeje, widzę, że jest spięty. Chodzi też o jego reputację.

Niektórych serii ćwiczeń nie możesz już wykonywać. Innych będziesz musiał wykonywać dwa razy więcej, wyrokuje.

Spędzamy długie godziny na siłowni, omawiając wpływ ćwiczeń na mój rdzeń kręgowy. Odtąd aż do mety, mówi Gil, wszystko podporządkujemy twemu rdzeniowi.

Ponieważ wycofałem się z Wimbledonu, gazety i magazyny zaczynają publikować nową dawkę mów pogrzebowych. W wieku, w którym większość tenisistów...

Odstawiam gazety i magazyny.

Pod koniec lata gram w turnieju Mercedesa i wygrywam. Jaden jest już na tyle duży, że może przyglądać się mojej grze, a podczas wręczania nagród wychodzi na kort, myśląc, że to nagroda dla niego. I właśnie tak jest.

Lecę do Montrealu, gdzie brnę do samego finału z hiszpańskim młokosem, o którym mówią wszyscy. To Rafael Nadal. Nie mogę go



pokonać. Nie mogę go oszacować. Nie widziałem nikogo, kto by się tak poruszał na korcie tenisowym.

Na US Open 2005 jestem nowinką, imprezą towarzyszącą, trzydziestopięcioletkiem, który walczy w turnieju wielkoszlemowym. Jest to mój dwudziesty rok z rzędu na tym turnieju – wielu z dzisiejszych zawodników nie było na świecie dwadzieścia lat temu. Pamiętam, jak grałem z Connorem i wyeliminowałem go z jego dwudziestego US Open. Nie jestem typem człowieka, który pyta: Gdzie się podziały te lata? Dokładnie wiem gdzie. W kręgosłupie czuję każdy set.

W pierwszej rundzie gram z Razvanem Sabau z Rumunii. Dostałem swój czwarty i ostatni zastrzyk z kortyzonu w tym roku, więc czuję odrętwienie pleców. Jestem w stanie nacierać zwykłym uderzeniem, co sprawia Sabau problemy. Kiedy twoje zwyczajne piłki są groźne dla przeciwnika, kiedy nie radzi sobie z piłką, którą jesteś w stanie odbić sto na sto razy, wtedy wiesz, że szykuje się dobry dzień. Jakby twoje ciosy zostawiały ślady na jego szczęce, a ty jeszcze nie wyprowadziłeś najskuteczniejszego uderzenia. Pokonuję go w sześćdziesiąt dziewięć minut.

Dziennikarze uważają, że to była masakra. Pytają, czy czuję się źle, że go pokonałem.

Mówię: W życiu nie chciałbym pozbawić kogoś doświadczenia porażki.

Śmieją się.

Mówię poważnie.

W drugiej rundzie gram z Ivo Karlovićem z Chorwacji. Podają, że ma dwa metry, ale kiedy go mierzyli, musiał stać w jakimś dołku. Wygląda jak indiański totem, słup telegraficzny, dzięki czemu jego serwis osiąga paskudną trajektorię. Kiedy Karlović serwuje, kort praktycznie powiększa się dwukrotnie. Siatka opada o kilkadziesiąt centymetrów. Nigdy nie grałem z takim wielkoludem. Nie wiem, jak mam się przygotować na przeciwnika tych rozmiarów.

W szatni przedstawiam się Karlovićowi. Jest uroczy, niezmanierowany i podekscytowany swoim udziałem w US Open. Proszę go, żeby podniósł do góry ramię, którym serwuje, tak wysoko, jak potrafi, i wołam Darrena. Wyciągamy szyje, patrzymy do góry, starając się dostrzec końce palców Karlovia. Nie możemy.

A teraz, mówię do Darrena, wyobraź sobie raketę w takiej ręce. Wyobraź sobie, jak skacze. No i wyobraź sobie, jak wysoko będzie ta

rakieta i jakim torem piłka poleci w moją stronę. Jakby serwować z balonu meteorologicznego.

Darren śmieje się, Karlović też. Mówi: Zamieniłbym swój zasięg za twoją kontrę.

Na szczęście wiem, że wzrost Karlovicia będzie dla niego również przeszkodą w pewnym stadium meczu. Niskie piłki będą stanowić problem. Rzucanie się do piłek nie będzie łatwe. Ponadto Darren uważa, że Karlović ma niepewne ruchy. Napominam się, by nie tracić energii na zamartwianie się za każdym razem, kiedy mnie ogra. Poczekaj tylko na jedną, drugą okazję, kiedy zepsuje pierwszy serwis, a wtedy rzucaj się na drugi. Te zadecydują o meczu. Chociaż Karlović też to wie, muszę go jeszcze bardziej oświecić w tej kwestii. Muszę sprawić, że to poczuje, stosując nacisk na drugi serwis i nie pułkując.

Pokonuję go w trzech setach.

W trzeciej rundzie gram z Tomaszem Berdychem, graczem nad graczami. Już wcześniej miałem z nim starcie, niemal dwa lata temu w drugiej rundzie Australian Open. Darren ostrzegał mnie: Za chwilę zaczniesz mecz z osiemnastolatkiem, który ma talent w rękach i lepiej się na tym skoncentruj. Potrafi uderzać piłkę z obu stron, ma serwis niczym granat i za kilka lat będzie w pierwszej dziesiątce.

Darren nie przesadzał. Berdych to jeden z najlepszych tenisistów, z jakimi przyszło mi toczyć boje w tym roku. W Australii pokonałem go 6–0, 6–2, 6–4 i miałem dużo szczęścia. Myślałem: Dobrze, że grałem z nim tak wcześnie w turnieju.

A teraz ku memu zdumieniu okazuje się, że Berdych nie poprawił się aż tak bardzo. Wciąż musi pracować nad procesem decyzyjnym. Jest taki jak ja, zanim spotkałem Brada: myśli, że jest w stanie wygrać każdą piłkę. Nie zna wartości pozwalania drugiemu zawodnikowi, by sam przegrał. Kiedy go pokonuję, gdy ściskam mu rękę, chcę mu powiedzieć, żeby odpuścił, u niektórych trwa to dłużej, u innych krócej. Ale nie mogę. To nie moja sprawa.

Następnie gram z Xavierem Malisse'em z Belgii. Porusza się nad podziw dobrze i ma katapultę w miejsce ramienia. Wypracował sobie potężny forhend i ostry serwis, ale jest niekonsekwentny. Do tego ma nijaki bekhend: wygląda, że powinien być wspaniały, bo tak pewnie go wyprowadza, ale bardziej interesuje go to, jak będzie się prezentować, niż to, jaki jest skuteczny. Po prostu nie potrafi zagrać z bekhendu pod linię,

a jeśli ktoś tego nie umie, nie pokona mnie. Zbyt dobrze kontroluję cały kort. Jeśli zawodnik nie potrafi posłać piłki z bekhendu pod linię, to ja dyktuję warunki. Przeciwnik musi mnie przesunąć, ściągnąć z pozycji, postawić mnie w takiej sytuacji, w której będę musiał sobie z nim radzić, jeśli nie, to gra toczy się na moich warunkach. A one są ostre. Szczególnie kiedy się starzeję.

W wieczór przed meczem idę z Courierem na drinka do hotelu. Ostrzega mnie, że Malisse dobrze gra.

Może i tak, odpowiadam, ale ja wręcz nie mogę się tego doczekać. Nie pada to często z moich ust, lecz teraz będzie niezły ubaw.

Ten mecz to naprawdę ubaw, niczym przedstawienie kukielkowe. Mam wrażenie, jakbym trzymał linę i za każdym razem, kiedy ją pociągam, Malisse podskakuje. Znow jestem zadziwiony łącznością dwóch tenisistów na korcie. Siatka, która ma oddzielać zawodników, w rzeczywistości wiąże przeciwników niczym sieć. Po dwóch ciężkich godzinach jesteś przekonany, że zamknęli cię z rywalem w klatce. Jesteś w stanie przysiąc, że pryska na ciebie potem, że jego oddech pokrywa mgłą twoje oczy.

Zdobywam przewagę dwa sety do zera i dominuję. Malisse'owi brak wiary w siebie. Myśli, że w ogóle tu nie pasuje. Ale na początku trzeciego seta ma już dość ganiań z jednej strony kortu na drugą. Takie jest życie. Wścieka się, zaczyna grać z pasją i wkrótce robi rzeczy, które zadziwiają nawet jego. Zagrywa bekhendem w głąb kortu, sprawnie, z uporem. Rzucam mu wrogie spojrzenia, które mówią: Uwierzę, jeśli dalej tak będziesz robił.

Robi to.

Widzę ulgę na jego twarzy. Wciąż nie myśli, że wygra, ale że odegra dobre przedstawienie i to wystarczy. Wygrywa trzeci set w tie-breaku. Teraz jestem wściekły. Mam poważniejsze sprawy na głowie niż stanie tu z nim przez kolejną godzinę. Tylko za to będzie cię bolało.

Tyle że Malisse już nie słucha moich poleceń. Jeden set, jeden mały set całkowicie zmienił jego nastawienie i przywrócił wiarę w siebie. Już się nie boi. Chciał tylko odegrać dobry spektakl i mu się udało, więc teraz gra sztonami kasyna. W czwartym secie zamieniamy się rolami i to on dyktuje tempo. Wygrywa set, doprowadzając do remisu.

W piątym secie jednak jest zmęczony, gdy ja zaczynam czerpać z niezmiernych zasobów ulokowanych tam przez Gila. Niewyczerpanych. Podchodząc do siatki, uśmiecha się i widać, że darzy

mnie niezwykłym szacunkiem. Jestem stary, a on sprawił, że poczułem się jeszcze starszy, ale wie, że zmusiłem go do gry, że spowodowałem, iż zajrzał głęboko w siebie i nauczył się czegoś.

W szatni odnajduje mnie Courier i daje sójkę w bok.

Rządzisz mistrzu. Mówiłeś, że będzie ubaw – i wyglądało na to, że nieźle się bawiłeś.

Ubaw. Bawiłem się, dlaczego więc wydaje mi się, że przejechała mnie ciężarówka?

Mam ochotę spędzić cały miesiąc w wannie z gorącą wodą, ale niedługo staję do kolejnych zmagani i mój przeciwnik gra jak nawiedzony. Blake. Grając bardzo agresywnie, położył mnie, kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem w Waszyngtonie. Wszyscy mówią, że od tamtego czasu z dnia na dzień rośnie w siłę.

Moją jedyną nadzieją jest to, że tym razem nie będzie grał agresywnie. Szczególnie, że jest chłodniej. Kiedy w Nowym Jorku robi się nieco zimniej, gra toczy się wolniej, co sprzyja takim jak Blake, czyli tym cholernie szybkim. Na wolnym korcie Blake może odebrać każdą piłkę, a ty nie, i tym samym może sprawić, że zacznasz naciskać. Czujesz potrzebę grania na zwiększonych obrotach, a stąd już niedaleka droga do sfiksowania.

Gdy wchodzimy na kort, moje najgorsze koszmary sprawdzają się co do joty. Blake zmienia się w Pana Wściekłego, stoi za linią końcową podczas moich drugich podań i uderza z obu stron tak, że od początku czuję mróz na plecach. Masakruje mnie w pierwszym secie 6–3. W drugim daje mi kolejną lekcję: 6–3.

Na początku trzeciego seta sytuacja zaczyna przypominać mecz z Malisse'em. Tylko że w rolę Malisse'a wcielam się ja. Nie potrafię pokonać tego faceta, wiem, że nie mogę, więc równie dobrze mogę odstawić niezły spektakl. Wyzwolony z myśli o zwycięstwie, od razu zaczynam lepiej grać.

Przestaję analizować, zaczynam czuć. Moje piłki stają się o pół sekundy szybsze, moje decyzje są wytworem instynktu, a nie logiki. Widzę, że Blake cofa się o krok i rejestruje zmiany. Co się stało? Lał mnie przez siedem rund, a na koniec ósmej ładuję mu podstępny cios w brzuch, który go wytrąca z równowagi tuż przed końcowym dzwonkiem. Teraz idzie do

naroźnika, nie mogąc uwierzyć, że ten kuśtykający, pozbawiony wiary w zwycięstwo przeciwnik wciąż żyje i ma się dobrze.

Blake ma sporą grupę fanów w Nowym Jorku i są tu dzisiaj wszyscy. Nike, którzy już mnie nie sponsoruje, daje jego kibicom koszulki i zachęca do wznoszenia okrzyków. Kiedy ogrywam Blake'a w trzecim secie, przestają wiwatować. Kiedy wygrywam set, zapada cisza.

Przez cały czwarty set Blake panikuje i już nie jest agresywny. Widzę, jak główkuje, niemal słyszę jego myśli: Cholera, nic mi nie wychodzi.

Wygrywam czwarty set.

Teraz, kiedy Blake dostrzegł korzyści wynikające z wyłączenia myślenia, postanawia tego spróbować. W miarę postępów piątego seta wyłącza umysł. W końcu po niemal trzech godzinach gramy na takich samych warunkach. Obydwaj zapalamy się, choć jego zapal jest nieco większy niż mój. W dziesiątym gemie ma szansę serwować o mecz.

I znów zaczyna kombinować. Odmienny umysł. Atakuje, ja odbijam trzy świetne kontry, przełamuję go i publiczność zmienia obiekt uwielbienia. Zaczynają skandować: An-dre, An-dre.

Serwuję, utrzymuję.

Podczas zmiany na stadionie jest jak na koncercie rockowym. Dzwoni mi w uszach. Dudni mi w skroniach. Jest tak głośno, że muszę zawinąć głowę ręcznikiem.

Serwuje. Utrzymuje. Gramy tie-break.

Słyszałem, jak weterani mówią, że piąty set nie ma nic wspólnego z tenisem. To prawda. W piątym secie chodzi wyłącznie o emocje i uwarunkowania. Powoli opuszczam swoje ciało. Miło cię było poznać, panie Agassi. Miałem kilka doświadczeń związanych z opuszczeniem ziemskiej powłoki w mojej karierze, ale to jest zdrowe. Ufam moim umiejętnościom i usuwam się w cień. Uwalniam się z tego równania. Przy piłce meczowej, 6–5, serwuję bardzo mocno. Return na mój forhend. Zagrywam doskonałą piłkę na jego bekhend. Krąży wokół tego i wiem – to błąd. Skoro biega wokół mej perfekcyjnej piłki, to znaczy, że chce przycisnąć. Nie myśli logicznie. Wychodzi ze swojej pozycji i pozwala, żeby to piłka nim grała. Nie daje sobie szansy, by uderzyć najlepiej, jak potrafi. Tym samym wiem, że może się zdarzyć jedno albo drugie. Zostanie spętany moją piłką i odbije ją słabo. Albo zostanie zmuszony do popełnienia błędu.

Tak czy inaczej mam całkiem dobre rozeznanie, dokąd leci ta piłka. Zerkam tam, gdzie z pewnością wyląduje. Blake obraca się w miejscu, schodzi dolną częścią korpusu z drogi i wali w moją stronę. Ląduje o dziesięć stóp dalej, niż przewidziałem. Punkt.

Myliliem się całkowicie.

Robię jedną rzecz, którą mogę zrobić. Wracam. Przygotowuję się na kolejny punkt.

Kiedy jest po sześć, tocymy zawzięty pojedynek na bekhendy, a ja jestem strzępkiem nerwów. Po dziesiątym bekhendzie wiesz, że za chwilę ktoś podbije stawkę i jesteś więcej niż pewny, że będzie to twój przeciwnik. I czekasz. Czekasz. Ale z każdym uderzeniem Blake ani myśli o ataku. Wypada więc, że ja muszę to zrobić. Wchodzę w kort tak, jakbym miał zamiar obić piłkę kijem, ale zamiast zaatakować walę skrót z bekhendu. Wróciłem.

Są takie momenty w meczu, kiedy masz ochotę zamachnąć się porządnie i uderzyć spokojną, pewną piłkę, ale masz we krwi tyle adrenaliny, że przebijasz. Blake'owi często się to zdarza, nie z zamachem, ale z prędkością. Biegnie szybciej, niż ma biec. Jest tak rozgorączkowany, że puszcza się pędem do piłki i dociera do niej wcześniej, niż się spodziewał. Teraz właśnie tak się dzieje. Pędząc ile sił w nogach do mojej niskiej piłki z bekhendu, tak trzyma rakietę, że musiałby podbić piłkę od dołu, ale dobiega do niej tak szybko, iż nie musi. Znaczy to, że piłka jest już na nim, a on źle trzyma rakietę. Zamiast potężnie ją uderzyć, musi przez swój uchwyt delikatnie ją przebić w moją stronę. Wtedy stoi blisko przy siatce, a ja zagrywam lobem z bekhendu. Piłka mija go w sporej odległości.

Teraz przy jego serwisie jest 6–7. Mam znów piłkę meczową. Psuje pierwszy serwis, a ja w ułamku sekundy muszę zdecydować, jaki będzie drugi. Agresywny? Zachowawczy? Stwierdzam, że popełni błąd i będzie grał bezpiecznie. Ma zamiar zagrać na mój bekhend. Jak bardzo więc ja mam być agresywny? Gdzie chcę się ulokować? Czy mam podjąć nieodwołalną decyzję, stać tam, gdzie, jeśli się nie mylę, będę mógł odbić piłkę? Tylko jak daleko będę w stanie sięgnąć, jeśli się mylę? A może powinienem zrównoważyć szanse i stanąć pośrodku, skąd będę mógł posłać stosunkowo dobry strzał po większości serwów, ale ani jednego idealnego?

Jeśli w tym meczu ktoś ma podjąć decyzję ostateczną, ostatnią ze stu tysięcy dziś wieczorem, chcę to być ja. Oznajmiam nieodwołalnie. Jak się spodziewałem, serwuje na mój bekhend. Wisi tam, gdzie spodziewałem się,

że zawiśnie niczym bańka mydlana. Czuję, jak stają mi włoski na rękach. Wiem, że publiczność też wstaje z miejsc. Powtarzam w myślach: A teraz doskonały strzał, no wal, wal, wal, ty kutasie. Kiedy piłka opuszcza moją raketę, śledzę każdy centymetr jej lotu. Widzę cień piłki nakładający się na nią samą. Kiedy z wolna scalają się w jedno, mówię na głos: Piłko, proszę cię, znajdź lukę.

Znajduje.

Kiedy Blake ściska mnie przy siatce, wiemy, że udało nam się osiągnąć coś wielkiego. Tyle że ja miałem łatwiej, bo grałem jakieś osiemset meczów więcej niż on. A ten wyróżnia się wśród nich wszystkich. Nigdy nie byłem bardziej intelektualnie świadomy, nigdy nie czułem potrzeby posiadania takiej świadomości, dlatego czerpię pewną intelektualną dumę z produktu końcowego. Aż chcę się pod nim podpisać.

Kiedy odcinają mi taśmę ze stóp, po konferencji prasowej Gil, Perry, Darren, Philly i ja idziemy do P.J. Clarke's, żeby jeść i pić. Potem wracam do hotelu, jest czwarta rano. Stefanie śpi. Gdy wchodzę do sypialni, siada na łóżku i uśmiecha się.

Ty wariacie, mówi.

To było niewiarygodne. Zrobiłeś tam prawdziwą furorę.

Zrobiłem, maleńka. Zrobiłem furorę.

Kładę się na podłodze obok łóżka, staram się zasnąć, ale nie mogę przestać wspominać tego meczu.

Słyszę jej głos w ciemności gdzieś nade mną, jakby mówił do mnie anioł.

Jak się czujesz?

To był doskonały sposób spędzenia wieczoru.

W półfinale mam grać z Robbym Gineprim, bardzo zachwalanym chłopakiem z Gruzji. CBS chce, żeby mecz odbył się późno. Idę do dyrektora turnieju i padam na kolana. Mówię mu, że jeśli dopisze mi szczęście i przejdę ten mecz, to będę musiał wrócić na drugi dzień. Proszę nie zmuszać trzydziestopięciolatka, żeby wracał do domu później niż jego dwudziestodwuletni przeciwnik w finale.

Przestawia mecz i gramy pierwszy półfinał.

Po dwóch pięciosetowych meczach z rzędu nikt nie daje mi szans z Gineprim. Jest szybki, wytrzymały, z mocnym bekhendem oraz forhendem, gra doskonały tenis – no i do tego jest młody. Przed meczem z Gineprim wiem, że muszę przede wszystkim przebić się przez ścianę własnego zmęczenia. Ostatnie trzy sety z Blakiem należały do najlepszych,

jakie zagrałem w życiu, ale też wyczerpały mnie do reszty. Powtarzam sobie, że w spotkaniu z Gineprim muszę sztucznie wywołać adrenalinowy zastrzyk, udawać, że jestem do tyłu o dwa sety i starać się odszukać ów pozbawiony kalkulacji stan umysłu, jaki uzyskałem w meczu z Blakiem.

Udaje się. Symulując sytuację krytyczną, wygrywam pierwszy set. Teraz muszę oszczędzać energię na jutrzejszy finał. Zaczynam grać zachowawczo, rozmyślając o kolejnym przeciwniku i oczywiście pozwala to Ginepriemu na pewną dowolność i ryzyko. Wygrywa drugi set.

Wyrzucam z umysłu wszelkie myśli na temat finału. Skupiam całą uwagę na Gineprim. Jest zbyt wypompowany, by wyrównać, dlatego wygrywam trzeci set.

On wygrywa czwarty.

Muszę zacząć piąty set z kopyta. Powinienem też uświadomić sobie, że nie mogę wygrywać każdej piłki. Nie wolno mi ganiać za wszystkimi ani rzucać się do każdego skrótów czy ścięcia. Nie mogę iść pełną parą na chłopaka, który wciąż ząbkuje. On chce tu siedzieć całą noc, ale ja mam jeszcze energii na czterdzieści pięć minut, na trzy kwadransy, przez które będzie jeszcze funkcjonować mój organizm. A może tylko na trzydzieści pięć minut.

Wygrywam set. Graniczy to z cudem, ale jestem w finale US Open, mając trzydzieści pięć lat. Darren, Gil i Stefanie zabierają mnie z szatni i przechodzą do reanimacji. Darren chwyta moje rakiety i pędzi do Romana, żeby je naciągnął. Gil poi mnie swoją wodą. Stefanie pomaga mi wsiąść do samochodu. Pędzimy co koń wyskoczy do hotelu Four Seasons, by obejrzeć mecz Federera i Hewitta, którzy walczą o przywilej gry ze starym kaleką z Vegas.

Jest to najbardziej relaksująca rzecz przed finałem, oglądać zmagania innych w półfinale. Mówisz sobie: Bez względu na to, jak się czujesz w tej chwili, jest to lepsze niż to, co czują oni. No i oczywiście Federer zwycięża. Opieram się na kanapie i mogę myśleć tylko o nim, wiem też, że gdzieś tam on myśli o mnie. Do jutrzejszego popołudnia muszę robić wszystko odrobinę lepiej niż on, włącznie z wyspaniem się.

Ale mam dzieci. W dniu meczu zwykłem spać do wpół do dwunastej w południe. Teraz nie mogę spać nawet po wpół do ósmej. Stefanie ucisza dzieci, ale moje ciało wie, że już wstały i że chcą zobaczyć swego tatę. Co więcej, tato też chce je widzieć.



Po śniadaniu całuję je na do widzenia. Milczę, jadąc na korty z Gilem. Wiem, że nie mam szans. Jestem dinozaurem, który grał trzy pięciosetowe mecze z rzędu. Bądźmy realistami. Moja jedyna nadzieja jest taka, że potrwa to przez trzy do czterech setów. Jeśli będzie to szybki mecz, gdzie kondycja nie odegra większej roli, to może mi się upiecze.

Federer wychodzi na kort i wygląda jak Cary Grant. Niemal się zastanawiam, czy nie powinien wystąpić w fularze i bonzurce. Jest jak wycięty z żurnala, a ja wciąż nerwowy, nawet serwując na 40–15. Jest również niezwykle niebezpieczny z różnych części kortu, bo nie ma się jak przed nim schować. Nie radzę sobie najlepiej, kiedy nie mam się gdzie schować. Federer zwycięża w pierwszym secie. Zaczynam grać gorączkowo, robię wszystko, by go wytrącić z równowagi. Przełamuję go w drugim. I jeszcze raz, po czym wygrywam drugi set.

Myślę sobie: Pan Grant może jeszcze mieć dzisiaj problemy.

W trzecim secie przełamuję go i jestem do przodu 4–2. Serwuję, mając wiatr w plecy, a Federer zaczyna knocić piłki. Teraz mam podwyższyć na 5–2 i przez jedną ulotną chwilę obydwaj mamy wrażenie, że stanie się tu coś niezwykłego. Patrzymy sobie w oczy. Dzielimy się tą chwilą. I wtedy przy 30 do zera uderzam mocno na jego bekhend, a on robi zamach i trafia piłkę ramą. Piłka, odbijając się od jego rakiety, jęczy fałszywie, tak jak ta celowo źle odbijana przeze mnie w dzieciństwie. Ale ten paskudny niewypał w niewyjaśniony sposób przelatuje nad siatką i spada w kort. Punkt. Przełamuje mnie i wracamy do serwów.

W tie-breaku pojawia się w miejscu, którego nie rozpoznaje. Odnajduje bieg, którego inni tenisisci po prostu nie mają. Wygrywa 7–1.

Teraz wszystko leci mi na głowę i nie chce się zatrzymać. Mięśnie krzyczą z bólu. Moje plecy zamykają na dzisiaj interes. Decyzje mam chybione. Przypominam sobie, jak wąski jest margines błędu na korcie tenisowym, jak niewielka przestrzeń dzieli wielkość od przeciętności, sławę od anonimowości, szczęście od rozpacz. Graliśmy zacięty mecz. Była to mniej więcej wyrównana gra. Teraz na skutek tie-breaku, od którego szczęka opada mi z podziwu, zaczyna się pogrom.

Podchodząc do siatki, jestem pewien, że przegrałem z lepszym zawodnikiem, gigantem następnego pokolenia. Aż mi żal młodych zawodników, którzy będą musieli się z nim zmierzyć. Współczuję facetowi, który będzie musiał być Agassim z tym Samprasem. Choć nie wymieniam Pete'a z imienia, jego przede wszystkim mam na myśli, mówiąc

dziennikarzom: To niezwykle proste. Większość ludzi ma słabości. Federer nie ma żadnej.



Wycofuję się z Australian Open 2006, a następnie z całego sezonu na kortach ziemnych. Nienawidzę się za to, ale muszę zachować siły na Wimbledon 2006, który jak postanawiam w skrytości ducha, będzie moim ostatnim. Oszczędzam się na Wimbledon. Kiedyś bym nie pomyślał, że coś takiego przyjdzie mi do głowy. Nawet mi się nie śniło, że właściwe, pełne szacunku pożegnanie z Wimbledonem będzie dla mnie takie ważne.

Wimbledon stał się dla mnie świętą ziemią. To tu błyszczała moja żona. To tutaj po raz pierwszy zacząłem podejrzewać, że jednak wygram i tutaj udowodniłem to całemu światu. Wimbledon jest turniejem, na którym nauczyłem się, jak się kłaniać, zginać kolana, robić coś, czego się nie chce, nosić to, czego się nosić nie chciało, i przeżyć. Ponadto bez względu na to, co myślę o tenisie, kort jest moim drugim domem. Nienawidziłem domu, będąc chłopcem, i wtedy go opuściłem, po czym wkrótce zacząłem za nim tęsknić. W końcowych godzinach mojej kariery to wspomnienie wciąż daje mi do myślenia.

Oznajmiam Darrenowi, że to będzie mój ostatni Wimbledon, a nadchodzący US Open będzie moim w ogóle ostatnim turniejem. Ogłaszamy to oficjalnie w chwili rozpoczęcia zawodów. Tuż po tym jestem zaskoczony, w jaki sposób traktują mnie inni tenisiści. Nie uważają mnie już za rywala, zagrożenie. Jestem emerytem. Jestem nieistotny. Mur runął.

Dziennikarze pytają: Dlaczego teraz? Dlaczego wybrałeś sobie ten moment na zakończenie kariery? Odpowiadam, że nie wybrałem. Po prostu nie mogę już dłużej grać. To jest ta linia mety, której szukałem, linia mety z nieubłagalnym ciężeniem. Nie mogę grać to co innego, niż nie zagram, bo nie. Nieświadomie szukałem tego momentu, w którym nie będę miał wyboru.

Bud Collins, czcigodny komentator tenisowy i historyk tej dyscypliny, współautor autobiografii Lavera, podsumowuje moją karierę, mówiąc, że z punka stałem się niedoścignionym wzorem, monolitem. Krzywię się. Według mnie Bud poświęcił prawdę na ołtarzu wzniosłych określeń. Nigdy nie byłem punkiem, nie wspominając już o monolicie.

Ponadto kilku dziennikarzy snuje dywagacje na temat mojej transformacji i to słowo też rozjątrza całą sprawę. Myślę, że jest chybione. Transformacja to przejście z jednego w drugie, a ja rozpoczynałem jako nikt. Nie przemieniłem się, zostałem uformowany. Kiedy zacząłem dobrze grać, byłem jak większość dzieciaków: nie wiedziałem, kim jestem, i buntowałem się przeciwko przykazaniom dorosłych. Myślę, że starsi powtarzają ten sam błąd z młodszymi, traktując ich jako skończony produkt, który w rzeczywistości dopiero się kształtuje. To przypomina wyrokowanie o wyniku meczu, zanim się skończy, a ja zbyt często wstawałem z martwych na korcie i miałem zbyt wielu przeciwników, którzy na mnie nacierali z rykiem, by uważać, że to dobry pomysł.

To, co ludzie widzą teraz, lepiej lub gorzej, to moje pierwsze ja, moje pierwsze wcielenie. Nie zmieniłem swego wizerunku, ja go odkryłem. Nie zmieniłem sposobu myślenia, ja otworzyłem swój umysł. J.P. pomaga mi przeanalizować tę ideę, wyjaśnić ją sobie. Uważa, że ludzi mylił mój zmieniający się wygląd, moje włosy, moje ubrania i wydawało im się, że wiem, kim jestem. Ludzie uważają moje odkrywanie samego siebie za wyrażanie samego siebie. Mówi, że jak na człowieka mającego tak ulotną tożsamość, to szokujące i symboliczne zarazem, że moje inicjały to A.K.A.\*

\* Aka – czyli, tak zwany (przyp. tłum.).

Niestety, na początku lata 2006 roku pomimo wysiłków J.P i innych nie umiem wyjaśnić tego dziennikarzom. Nawet gdybym mógł, to sala prasowa w All England Club nie jest właściwym do tego miejscem.

Stefanie również nie potrafię tego wyjaśnić, ale i nie muszę. Ona wie wszystko. W dniach i godzinach przed Wimbledonem patrzy mi w oczy i klepie mnie w policzek. Rozmawia ze mną o mojej karierze. Opowiada

o swojej. Opowiada mi o swoim ostatnim Wimbledonie. Nie wiedziała, że będzie jej ostatnim. Uważa, że tak jest lepiej, robić to świadomie, odchodzić na własnych warunkach.

Mając na szyi naszyjnik wykonany dla mnie przez Jadena – kilka klocków z literkami układającymi się w napis: Tatuś daje czadu – rozpoczynam mecz z Borisem Pashanskim z Serbii w pierwszej rundzie. Kiedy wychodzę na kort, publiczność wiwatuje długo i głośno. Przy pierwszym podaniu nie widzę kortu, bo oczy zachodzą mi łzami. Mimo wrażeń, że gram w pełnej zbroi, z plecami, które nie zegną się ani o cal, nacieram, wytrzymuję. Wygrywam.

W drugiej rundzie pokonuję w trzech setach Andreasa Seppiego z Włoch. Gram dobrze, co daje mi nadzieję na mecz w trzeciej rundzie przeciwko Nadalowi. Jest jak zwierzę, fanatyk, siła natury, silny i skoczny niczym baletmistrz – nigdy nie widziałem takiego tenisisty. Ale czuję – dzięki złudnemu zadowoleniu z odniesionych zwycięstw – czuję, że mogę go pokonać. Dobrze oceniam swoje szanse. Przegrywam pierwszy set 7–6, ale czerpię nadzieję z niewielkiej różnicy punktów.

I potem mnie niszczy. Mecz trwa siedemdziesiąt minut. Mój limit to pięćdziesiąt pięć minut. Po tym czasie zaczynam odczuwać ból pleców. Pod koniec meczu przy serwisie Nadala nie mogę już dłużej stać. Muszę biegać w kółko, tupać nogami, sprawić, żeby krew żwawiej krążyła w żyłach. Sztywnienie jest tak dokuczliwe, ból tak wielki, że kontry są ostatnią rzeczą, o której myślę. Koncentruję się jedynie na tym, by pozostać w pionie.

Później, w chwili ociekającej ironią losu, organizatorzy Wimbledonu łamią tradycję, aranżując wywiad z Nadalem i ze mną na korcie. Nigdy nie udziela się wywiadów na korcie. Odwracam się do Gila: Wiedziałem, że wcześniej czy później zmuszę Wimbledon do złamania jakiejś zasady.

Gil się nie śmieje. Nigdy się nie śmieje, gdy bitwa wciąż trwa.

Już prawie koniec, mówię mu.

Lecę do Waszyngtonu i gram z włoskim pretendentem Andreą Stoppinim. Pokonuje mnie, jakbym to ja był początkującym zawodnikiem i odczuwam wstyd. Wydawało mi się, że potrzebna mi jest rozgrzewka przed US Open, ale moja rozgrzewka doprowadziła do tego, że jestem w kawałkach. Mówię dziennikarzom, że pod koniec walka kosztuje mnie więcej, niż się spodziewałem. Stwierdzam, że najlepiej wyjaśnić to w ten sposób: Wielu z was, jestem pewien, nie lubi swojej pracy. Ale wyobraźcie

sobie, gdyby ktoś wam teraz powiedział, że artykuł o mnie będzie waszym ostatnim. Potem nie będziecie mogli napisać już ani słowa do końca życia. Jak byście się czuli?

Wszyscy jadą do Nowego Jorku. Cała ekipa. Stefanie, dzieci, moi rodzice, Perry, Gil, Darren, Philly. Najeżdżamy hotel Four Seasons i okupujemy restaurację Campagnola. Dzieci uśmiechają się, słysząc głośne powitanie, jakie nam zgotowano. Według mnie, oklaski brzmią teraz jakoś inaczej. Mają inny wydźwięk. Mają podtekst. Jakby oklaskujący wiedzieli, że nie chodzi o mnie, ale o to, że wszyscy kończymy razem pewien szczególny rozdział w życiu.

Frankie usadawia nas przy stole w rogu sali. Straszliwie roztkliwia się na widok Stefanie i dzieci. Patrzę, jak podaje Jadenowi wszystkie moje ulubione potrawy, i widzę, że mu smakują. Jedzenie smakuje też Jaz, chociaż domaga się, by każda potrawa była na osobnym talerzyku. Nie mogą się stykać. Jest to odmiana dziecięcych natręctw. Obserwuję Stefanie przyglądającą się dzieciom, uśmiecha się, i myślę sobie o naszej czwórce, o czterech różnych osobowościach. O czterech odmiennych powłokach. A jednak tworzą one pasującą do siebie całość. Dopełniającą się. W przeddzień mojego ostatniego turnieju raduję się tym, że wszyscy szukamy tej wiedzy, którą można zdobyć jedynie kilka razy w życiu, że nasze losy są połączone, załączki naszego końca były z nami od początku.

W pierwszej rundzie gram z Andrei Pavlem z Rumunii. Plecy odmawiają mi posłuszeństwa w połowie meczu i choć stoję wyprostowany, jakbym kij połknął, udaje mi się jakimś cudem wygrać. Proszę Darrena, by zamówił zastrzyk z kortyzonu. Nawet po zastrzyku nie wiem, czy będę w stanie zagrać kolejny mecz.

Z całą pewnością nie będę mógł zwyciężyć. Nie z Marcosem Baghdatisem. Zajmuje ósme miejsce w światowym rankingu. Jest wielkim, silnym młodzieńcem z Cypru i ma najlepszy rok w karierze. Dotarł do finału Australian Open i do półfinału Wimbledonu.

A potem w przedziwny sposób go pokonuję. Po spotkaniu ledwo jestem w stanie wejść tunelem do szatni, po czym moje plecy strajkują. Darren i Gil kładą mnie na kozetce do masażu jak worek z praniem, a ekipa Baghdatisa podnosi go na kozetkę obok. Cierpi z powodu strasznych skurczów. Pojawia się Stefanie, całuje mnie. Gil zmusza mnie do wypicia czegoś. Masażysta informuje, że lekarze już idą. Włącza telewizor na

ścianie i wszyscy wychodzą, zostawiając mnie i Baghdatisa wijących się i jęczących z bólu.

W telewizji pokazują urywki z naszego meczu. Kanał SportsCenter.

Kątem oka wyłapuję nieznaczny ruch. Odwracam się i widzę, że Baghdatis wyciąga do mnie rękę. Jego mina mówi: Dokonaliśmy tego. Sięgam do niego, chwytam go za dłoń i tak zostajemy, trzymając się za ręce, podczas gdy w telewizorze mrugają fragmenty z naszej dzikiej walki.

Przeżywamy mecz na nowo, a ja przeżywam na nowo swoje życie.

W końcu zjawiają się lekarze. Z pomocą masażyistów stawiają mnie i Baghdatisa na nogi dopiero po pół godzinie. Baghdatis jako pierwszy wychodzi z szatni, ostrożnie, oparty na swoim trenerze. Później Gil i Darren prowadzą mnie na parking, wabiąc mnie co kilka kroków czekającymi na mnie cheesburgerami i martini w P.J. Clarke's. Jest druga nad ranem.

Jeżu, jęczy Darren, kiedy wychodzimy na parking. Wóz stoi o tam, stary.

Mrużymy oczy, patrząc w kierunku samotnego samochodu pośrodku pustego parkingu. Stoi jakieś sześćset metrów od nas. Nie dojdę.

Nie, oczywiście, że nie, mówi. Poczekaj tutaj, aż go przyprowadzę.

Puszcza się biegiem.

Szepczę Gilowi, że nie mogę stanąć prosto. Muszę się położyć, czekając na samochód. Stawia moją torbę tenisową na betonie i siadam, a następnie kładę się na plecach, mając torbę za poduszkę.

Podnoszę wzrok na Gila i widzę tylko jego uśmiech i ramiona. Spoglądam poza jego ramiona na gwiazdy. Tak wiele gwiazd. Patrzę na wsporniki z reflektorami okalające stadion. Wydają się większymi, bliższymi gwiazdami.

Nagle rozlega się wybuch. Taki odgłos, jakby ktoś zgniótł wielką piłkę tenisową. Jeden z reflektorów gaśnie. Potem drugi i kolejny.

Zamykam oczy. Jest po wszystkim.

Nie. Diabła tam. Nigdy nie będzie po wszystkim.

Na drugi dzień rano kuśtykam przez lobby hotelu Four Seasons, kiedy z cienia wyłania się jakiś mężczyzna. Chwyta mnie za ramię.

Rzuć to, mówi.

Co?

To mój ojciec – czy też raczej duch mego ojca. Jest blady jak ściana. Wygląda, jakby nie spał od wielu tygodni.

Tatko? O czym ty mówisz?

Po prostu rzuć to. Jedź do domu. Udało ci się. Jest już po wszystkim.

Mówi, że modli się, bym skończył karierę. Nie może doczekać się, abym to zakończył, żeby już nie musiał oglądać tego, jak cierpię. Nie będzie musiał siedzieć i oglądać moich meczów z duszą na ramieniu. Nie będzie musiał czekać do drugiej w nocy, żeby obejrzeć jakiś mecz na drugiej półkuli, aby ocenić kolejne cudowne dziecko, z którym przyjdzie mi się zmagać. Ma już dość tego wszystkiego. Mówi tak, jakby... czy to w ogóle możliwe?...

Tak, widzę to w jego oczach.

Znam to spojrzenie.

On nienawidzi tenisa.

Prosi: Nie katuj się już dłużej! Po zeszłej nocy nie musisz sobie już niczego udowadniać. Nie mogę na ciebie patrzeć w tym stanie. To zbyt bolesne.

Sięgam i dotykam jego ramienia. Przykro mi, tatko. Nie mogę tego rzucić. To nie może się zakończyć moją rejteradą.

Na pół godziny przed meczem dostaję zastrzyk przeciwzapalny, ale jest to coś innego niż kortyzon, mniej skutecznego. Występując na korcie w trzeciej rundzie przeciwko Benjaminowi Beckerowi, ledwo trzymam się na nogach.

Spoglądam na tablicę wyników. Kręcę głową. Raz za razem zadaję sobie pytanie, jak to możliwe, żeby moim ostatnim przeciwnikiem był facet o nazwisku B. Becker? Wcześniej mówiłem Darrenowi, że chciałem rozegrać mecz z kimś, kogo lubię i szanuję, albo przeciwko komuś, kogo w ogóle nie znam.

No i dostałem to drugie.

Becker załatwia mnie w czterech setach. Czuję, jak piersią przerywam taśmę na mecie.

Organizatorzy US Open pozwalają mi przed wyjściem do szatni powiedzieć kilka słów do kibiców na trybunach i przed telewizorami. Wiem dokładnie, co chcę powiedzieć.

Wiedziałem od lat. Ale i tak odzyskuję głos dopiero po kilku chwilach.

Na tablicy wyników odnotowano dzisiaj moją porażkę, ale nie ma na niej informacji o tym, co dzisiaj zyskałem. W ciągu dwudziestu jeden lat odnalazłem lojalność: kibicowaliście mi na korcie, ale też w życiu.



Znalazłem natchnienie: sprawiliście, że odniosłem sukces, czasami nawet w najgorszych chwilach. Odnalazłem też szczodrość: daliście mi możliwość wsparcia się na waszych ramionach, by sięgnąć po marzenia – marzenia, które nie spełniłyby się bez was. W ciągu dwudziestu jeden lat zyskałem was i zachowam was oraz wspomnienie o was do końca życia.

Jest to największy komplement, jaki znam. Porównałem ich do Gila.

W szatni jest cicho jak makiem zasiał. W ciągu tych wszystkich lat zauważyłem, że kiedy się przegrywa, każda szatnia wygląda tak samo. Wchodzisz przez drzwi – które otwierają się z trzaskiem, bo pchnąłeś je mocniej niż potrzeba – i wszyscy pierzchają spod telewizora, w którym oglądali, jak na korcie kopano ci tyłek. Zawsze udają, że nie oglądali, nie mówili o tobie. Tym razem jednak wszyscy stoją dalej koło telewizora. Nikt się nie rusza. Nikt niczego nie udaje. Potem z wolna wszyscy podchodzą do mnie. Klaszczą i gwizdzą wraz z masażystami, organizatorami turnieju i ochroniarzem Jamesem.

Jeden człowiek tylko stoi z boku i nie klaszcze. Widzę go kątem oka. Opiera się o przeciwległą ścianę z wyrazem obojętności na twarzy i z ciasno splecionymi ramionami.

Connors.

Teraz trenuje Roddicka. Biedny Andy.

Śmiać mi się chce. Mogę jedynie podziwiać Connorsa za to, kim jest, że nigdy się nie zmienia. Wszyscy powinniśmy być wierni sobie, konsekwentni.

Mówię do tenisistów: Chłopaki, słyszeliście w życiu wiele oklasków, ale żadne nie znaczą tyle, ile te od waszych kolegów. Mam nadzieję, że każdy z was dostanie je na koniec.

Dziękuję wam wszystkim. Do widzenia. I trzymajcie się.



Deszcz pada z przerwami przez cały dzień.

Stefanie zerka na niebo i mówi: No i jak myślisz?

No, chodź, namawiam, spróbujmy. Jeśli ty chcesz, to ja jestem gotów.

Chce. Marszczy brwi. Ona zawsze chce, ale nie może odpowiadać za swą łydkę, z którą ma problemy od chwili zakończenia kariery. Szczególnie ostatnio. Spogląda na dół. Cholerna łydka. Ma mecz charytatywny w Tokio w przyszłym tygodniu. Gra, żeby zebrać pieniądze na przedszkole, które otwiera w Erytrei, i chociaż to tylko przedstawienie, chce dobrze wypaść. Czuje starą, dobrze znaną presję, by dobrze wypaść. Ponadto nic nie może na to poradzić, że chce sprawdzić, ile tenisowego zapachu jeszcze w niej zostało.

Zastanawiam się nad tym samym, myśląc o sobie. Minął rok, od kiedy zszedłem z kortu po raz ostatni na US Open. Teraz mamy jesień 2007 roku.

I tak planowaliśmy od tygodnia, żeby tu przyjść, pograć ze sobą, ale teraz, kiedy ten dzień nadszedł, okazało się, że trafiliśmy na jedyny deszczowy dzień w Vegas.

Nie można rozpalić ogniska w deszczu.

Stefanie spogląda na zaciągnięte niebo. Potem na zegar. Sporo spraw, stwierdza. Muszę odebrać Jadena ze szkoły. Mam tylko małe okienko.

Jeśli deszcz nie odpuści, jeśli nie pogramy sobie, to mogę pojechać do szkoły, bo jadę tam za każdym razem, kiedy mam czas. Nie mogę wprost uwierzyć, jak się rozrosła – teraz jest to kompleks edukacyjny o powierzchni prawie dwa i pół tysiąca metrów kwadratowych, w którym uczy się pięciuset uczniów, a na liście oczekujących jest osiemset osób.

Kampus postawiony za czterdzieści milionów dolarów zawiera wszystko, czego mogłoby pragnąć dziecko w wieku szkolnym. Jest tu wysokiej klasy studio telewizyjne. Sala komputerowa z dziesiątkami pecetów ustawionych wzdłuż ścian i wielka, biała, miękka sofa. Doskonała sala gimnastyczna z urządzeniami takimi jak w najbardziej szpanerskich klubach w Vegas. Jest też siłownia, sala wykładowa, łazienki tak nowoczesne i czyste, jak w najlepszych hotelach w mieście. A najważniejsze jest to, że wszystkie budynki są świeżo pomalowane i nieskazitelne. Uczniowie, rodzice, cała dzielnica, wszyscy szanują szkołę, bo wszyscy są jej właścicielami. Okolica jeszcze nie do końca zmieniła się od naszego przybycia. Kiedy ostatnio oprowadzałem kogoś, ktoś strzelał po drugiej stronie ulicy. Ale mimo to w ciągu ośmiu lat ani jedno okno nie zostało wybite, na murze nie pojawiło się ani jedno graffiti.

Wszędzie, gdzie spojrzeć, widać drobne oznaki, subtelne szczegóły świadczące o tym, że ta szkoła jest inna niż wszystkie, że jest kwintesencją doskonałości w każdym calu. Na frontowej witrynie widnieje jedno słowo, które jest nieoficjalnym mottem szkoły: UWIERZ. Każda klasa jest skąpana w naturalnym świetle. Nie pada ono wprost, z południowej strony, ale jest odbijane od świetlików przez wysokiej klasy lustra, co tworzy rozproszoną poświatę, która jest idealna do czytania i pozwala się skoncentrować. Nauczyciele nie muszą włączać świateł, co oszczędza energię, pieniądze, ale również nie wywołuje bólu głowy i nie daje wrażenia półmroku, jaki powodują zwykłe świetlówki, które pamiętam aż za dobrze.

Nasza szkoła została zaprojektowana na wzór uniwersyteckiego kampusu z miejscami do cichej nauki i gościnnymi obszarami wspólnymi. Ściany są z kamienia – z przydymionego fioletowego i blade łośosowego kwarcytu z miejscowych kamieniołomów – a ścieżki są otoczone wiotkimi śliwami, które zbiegają się przy pięknym dębie – Drzewie Nadziei, który zasadziliśmy jeszcze przed wykopaniem fundamentów. Wszystko po kolei, stwierdzili nasi architekci, więc zasadzili Drzewo Nadziei, a później prosili

robotników, żeby podlewali drzewko i chronili przed słońcem, stawiając wszystko wokół niego.

Parcela, na której wybudowano szkołę, jest wąska, ma tylko trochę ponad trzy tysiące dwieście metrów kwadratowych, ale brak przestrzeni wręcz pasował do ogólnego planu architektów. Chcieli, aby linia budynków kampusu przypominała krótką, krętą drogę. Jak życie. Z każdego miejsca uczeń może zobaczyć początek swej drogi, miejsce, gdzie zaczynał edukację, a kiedy odwróci się w drugą, wie, dokąd zmierza. Dzieci z przedszkola i szkoły podstawowej mogą patrzeć na wysokie, czekające na nie budynki gimnazjum – ale nie słyszą starszych dzieci. Nie chcemy ich straszyć. Uczniowie gimnazjum mogą zerknąć na budynek podstawówki, gdzie zaczynali – lecz nie słyszą wysokich głosików kolegów i koleżanek na placu zabaw. Nie chcemy im przeszkadzać.

Miejscowi architekci, Mike Del Gatto i Rob Gurdison, zapalili się do tego projektu. Miesiącami badali historię dzielnicy, sprawdzali szkoły społeczne w kraju, eksperymentowali z pomysłami. Po czym pracowali bez przerwy we dnie i w nocy, dywagując znad stołu do ping-ponga w piwnicy Mike'a. Najpierw zbudowali model szkoły z balsy i kartonu właśnie na tym stole do tenisa stołowego, nieświadomi zbieżności skojarzeń i ironii całego faktu.

To był ich pomysł, żeby budynki również uczyły, żeby opowiadały historie. Opowiedzieliśmy im to, co chcieliśmy opowiedzieć. Pośrodku szkoły postanowiliśmy umieścić wielkie fotografie Martina Luthera Kinga Jr. i Mahatmy Ghandiego, no i oczywiście Nelsona Mandeli, z ich złotymi myślami wymalowanymi na szkłe pod portretami. Ponieważ większość uczniów to Afroamerykanie, poprosiliśmy Mike'a i Roba, by w jedną ścianę wmurowali cegły z marmurkowego szkła przedstawiające Wielką Niedźwiedzicę, a po prawej stronie pojedynczą szklaną cegłę przedstawiającą Gwiazdę Polarną. Wielka Niedźwiedzica i Gwiazda Polarna były znakiem astronomicznym wskazującym zbiegłym niewolnikom drogę do wolności.

Mam i ja też swój drobny udział w tworzeniu wystroju szkoły: we wspólnej części budynku gimnazjum chciałem umieścić lśniący, czarny fortepian Steinwaya. Kiedy przywieziono instrument, wszyscy uczniowie zgromadzili się wokół, a ja zaskoczyłem ich, grając *Lean on Me*. To, co mnie najbardziej ucieszyło, to fakt, że uczniowie nie wiedzieli, kim jestem, a kiedy nauczyciele im powiedzieli, byli dalecy od entuzjazmu.

Marzyła mi się szkoła pozbawiona rygorystycznej rutyny, w której byłoby miejsce na szczęśliwy traf. Miejsce, w którym traf byłby normą. I to się udało. Codziennie w Agassi Prep może się zdarzyć coś fajnego: wpadnie tu prezydent Bill Clinton i zacznie uczyć historii. Shaquille O'Neal zastąpi pana od wufu. Na korytarzu można spotkać Lance'a Armstronga albo Muhammada Alego ze znaczkami gościa w klapie, który pokazuje pierwszoklasiście z gimnazjum, jak się walczy z cieniem. W każdej chwili można podnieść wzrok i natrafić na Janet Jackson czy Eltona Johna stojących w drzwiach klasy albo na członków Earth, Wind & Fire robiących przesłuchanie młodych talentów. I kolejny traf: kiedy otworzymy salę gimnastyczną, w Vegas odbędzie się Mecz Gwiazd NBA – najlepszych zawodników ze Wschodu i Zachodu. Zaprosimy drużynę naszych pierwszoklasistów i drugoklasistów ze szkoły średniej, by zagrali grę z wybieraniem zawodników w naszej sali – pierwszy mecz zagrany w Agassi Prep. Dzieci będą zachwycone.

Nasi nauczyciele są najlepsi, tak po prostu. Przy zatrudnianiu ich przyświecał nam cel, by wyłuskać inteligentnych belfrów z pasją i powołaniem, którzy zechcą uczestniczyć w naszym eksperymencie i zaangażują się w życie szkoły. Każdego nauczyciela prosimy o jedno – by uwierzył, iż każdego ucznia można nauczyć. Brzmi to jak wyświechtany truizm, jakby rozumiało się to samo przez się, ale w dzisiejszych czasach jest to problematyczne.

Oczywiście, ponieważ w Agassi Prep jest dłuższy dzień nauki i dłuższy rok szkolny niż w większości innych placówek, nasz personel może zarobić mniej niż w innych szkołach. Mają jednak do dyspozycji więcej środków i tym samym cieszą się większą swobodą, by wyjść poza program nauczania i zmienić życie tych dzieci.

Uważaliśmy, że to ważne, by uczniowie nosili mundurki. Tenisowe koszulki w oficjalnych kolorach szkoły: bordowym i granatowym, ze spodniami, szortami czy spódniczkami khaki. Uważamy, że to eliminuje rywalizację, i wiemy, że na dłuższą metę pozwala rodzicom na oszczędności. Za każdym razem, kiedy wchodzę do szkoły, czuję ten paradoks – stałem się teraz zwolennikiem uniformizacji. Czekam tylko na dzień, w którym któryś z organizatorów Wimbledonu będzie w Vegas i poprosi, by go oprowadzić po szkole. Nie mogę się już doczekać jego miny, kiedy będzie mu opowiadał o ścisłych zasadach dotyczących ubioru uczniów.

Jest jeszcze jedna reguła, należy do moich ulubionych. Jest to Zasada Szacunku, od której zaczynamy każdy dzień. Często wsadzam głowę do klasy i proszę uczniów, by wstali i powtarzali wraz ze mną:

*Istotą dobrej dyscypliny jest szacunek.  
Poszanowanie dla władzy i szacunek dla innych,  
Szacunek dla samego siebie i szacunek dla zasad.  
Jest to postawa wynoszona z domu,  
Szkoła ją wzmacnia,  
I stosuje się ją całe życie.*

Obiecuję im, że jeśli zapamiętają tę prostą zasadę, będą ją nosili w sercu, to zajdą bardzo daleko.

Spacerując po korytarzach, zaglądając do różnych klas, widzę, jak dzieci bardzo cenią sobie to miejsce. Słyszę to w ich głosach, odczytuję z zachowania. Od nauczycieli i pracowników dowiaduję się o ich historiach i wiem, że na wiele sposobów ta szkoła wzbogaca ich życie. Ponadto prosimy ich, by pisali osobiste wypracowania, których fragmenty zamieszczamy w programie corocznej zbiórki funduszy. Nie wszystkie prace dotyczą trudności i cierpienia. Wręcz przeciwnie. Ale te zapamiętuję. Jak tę o dziewczynie mieszkającej z chorą matką, która nie mogła pracować przez wiele lat na skutek nieuleczalnej choroby płuc. Żyją w zakaraluszonym norze w dzielnicy, gdzie rządzą gangi, więc szkoła jest schronieniem dla tej dziewczynki. Jej stopnie, mówi bez cienia przechwałki, są znakomite, *ponieważ uświadomiłam sobie, że jeśli będzie mi dobrze szło w szkole, nikt nie będzie kwestionował tego, co się dzieje w domu, a ja nie będę musiała opowiadać swojej historii. Teraz, mając siedemnaście lat, mimo że zostałam zmuszona do przyglądania się, jak moja matka więdnie w oczach, że musiałam mieszkać z The Bloods\* i karaluchami, by pracować na rodzinę, teraz idę do college'u.*

\* Bloods – amerykański gang uliczny powstały około 1972 roku w Compton, kalifornijskim mieście, jego członkami są głównie Afroamerykanie. Obecnie organizacja liczy około 15 000 członków w samych Stanach Zjednoczonych (przyj. red.).

Kolejna uczennica starszych klas pisze o swym bolesnym związku z ojcem, który większość jej dzieciństwa spędził w więzieniu. Ostatnio, kiedy wyszedł, poszła się z nim spotkać i zobaczyła *cień człowieka mieszkającego z zaniedbaną kobietą w zepsutym kamperze, który cuchnął ścięciem i krystaliczną amfą.*

Zdecydowana, by nie powtarzać błędów swoich rodziców, dziewczyna kończy Agassi Prep z wysoką lokatą. *Nie zawiodę się tak, jak zawodzą się*

*w życiu inni. Ode mnie zależy, czy zmienię swoją przyszłość i nigdy się nie poddam.*

Nie tak dawno, kiedy szedłem przez budynek szkoły średniej, zamachał do mnie pewien chłopak. Nieśmiały piętnastolatek ze smutnymi oczami i pyzatymi policzkami. Zapytał mnie, czy może ze mną porozmawiać na osobności.

Oczywiście, odparłem.

Weszliśmy do jednego z pomieszczeń.

Nie wiedział, od czego ma zacząć. Powiedziałem, żeby zaczął od początku.

Moje życie zmieniło się rok temu, powiedział. Umarł mój ojciec. Został zabity. Zamordowany, no wie pan.

Przykro mi.

Po tym naprawdę się zagubiłem. Nie wiedziałem, co będę robić.

Do oczu napłynęły mu łzy.

Potem dostałem się do tej szkoły, powiedział. I ona dała mi wskazówki. Dała mi nadzieję. Dała mi życie. Wyglądałem więc za panem, panie Agassi, a kiedy pan nadszedł, musiałem się przedstawić i panu powiedzieć – no wie pan. Dzięki.

Uściskałem go. Powiedziałem mu, że to ja powinienem mu podziękować.

W starszych klasach kładziemy nacisk na przyszłe studia. Uczniom wbija się do głowy, że Agassi Prep to jest tylko pierwszy etap. Nie spoczywajcie na laurach, mówimy im. Waszym głównym celem są studia. Jeśli zdarzy się im zapomnieć, wszystko wokół przypomina im o tym. Na ścianach wiszą symbole wyższych uczelni. Główny korytarz został nazwany College Street. Metalowa kładka łącząca dwa główne budynki nigdy nie była używana i nie będzie, dopóki pierwsi absolwenci nie odbiorą dyplomów i nie zaczną studiować w 2009 roku. Przechodząc przez tę kładkę, absolwenci będą wchodzić do tajnej komnaty, wpisywać swoje nazwiska do książki i zostawiać wskazówki dla następnych i jeszcze następnych – wszystkich swoich następców. Już się widzę, jak zwracam się do pierwszych absolwentów. Już pracuję nad tą mową z J.P. i Gilem i chyba mam jakąś obsesję na tym tle.

Skupię się, tak myślę, na sprzecznościach. Pewien przyjaciel zasugerował, by zahaczyć o Walta Whitmana.

*Czyż przeczę sobie? W takim razie doskonale, przeczę sobie\*\*.*

\*\* Walt Whitman, *Pieśń o sobie* (przyp. red).

Nie spodziewałem się, że jest to punkt widzenia do przyjęcia. Teraz kieruję się nim. Teraz to jest moja Gwiazda Polarna. I to właśnie mówię uczniom. Życie to mecz tenisowy między przeciwieństwami. Zwycięstwem i porażką, miłością i nienawiścią, między otwartością i zamknięciem się w sobie. Pomaga wcześniej rozpoznać bolesne fakty. Potem zauważyć w sobie przeciwieństwa, a jeśli nie jest się w stanie ich polubić czy też się z nimi pogodzić, to można przynajmniej je zaakceptować i iść dalej. Nie można tylko ich ignorować.

Jakie inne przesłanie mógłbym im przekazać? Jakiego innego przesłania można oczekiwać od kogoś, kto rzucił szkołę w dziewiątej klasie i jego największym osiągnięciem jest jego własna szkoła?

Przestało padać, mówi Stefanie.

No chodź, mówię. Biegiem!

Zakłada tenisową spódniczkę. Ja wciągam szorty. Jedziemy na miejski kort nieopodal. W niewielkim kantorku ze sprzętem nastolatka za ladą czyta plotkarski magazyn. Podnosi wzrok i guma do żucia niemal wypada jej z ust.

Cześć, mówię.

Cześć.

Macie otwarte?

Jasne.

Możemy wynająć kort na godzinę?

Eee. Pewnie.

A ile to kosztuje?

Czternaście dolarów.

Dobra.

Podaję jej pieniądze.

Mówi: Mogą państwo zająć główny kort.

Idziemy na dół schodami do miniamfiteatru, gdzie błękitny kort tenisowy otaczają metalowe trybuny. Stawiamy nasze torby obok siebie, po czym rozciągamy się i jęczymy, żartując z siebie nawzajem, że już dawno człowiek zapomniał, jak się to robi.

Przetrząsam torbę w poszukiwaniu frotki, taśmy, gumy.

Stefanie pyta: Po której stronie chcesz grać?

Po tej.

Wiedziałam.



Uderza miękko z forhendu. Skrzypię jak Żelazny Drwal, kiedy rzucam się do piłki, po czym ją odbijam. Wdajemy się w delikatną, ostrożną wymianę i nagle Stefanie uderza bekhend, który furkocze tak, jakby obok przejechał pospieszny. Posyłam jej wymowne spojrzenie. A więc masz zamiar tak grać, hmm?

Zagrywa „Ścinkę Stefanie” na mój bekhend. Uginam nogi i walę w nią tak mocno, jak potrafię. Krzyczę do niej: Ten strzał opłacił nam niejeden rachunek, kochanie!

Uśmiecha się i odrzuca pukiel włosów z oczu.

Ramiona luźno, mięśnie rozgrzane. Tempo jest coraz szybsze. Uderzam piłkę czysto, mocno, a moja żona odpowiada mi tym samym. Przechodzimy od odbijania bez celu do walki o każdy punkt. Wali wściekłym forhendem. Ja odpowiadam furkoczącym bekhendem – w siatkę.

To pierwszy bekhend po krosie, jaki schrzałem od dwudziestu lat. Gapię się na piłkę leżącą obok siatki. Przez chwilę się przejmuję. Mówię jej, że się przejmuję. Czuję rosnącą irytację.

Potem wybucham śmiechem, Stefanie mi wtóruje i zaczynamy od nowa.

Z każdym machnięciem rakiety jest wyraźnie bardziej zadowolona. Łydka jej nie dokucza. Wie, że w Tokio będzie na medal. Teraz, kiedy przestała się przejmować kontuzją, możemy grać, grać naprawdę. Wkrótce tak dobrze się bawimy, że gdy zaczyna padać deszcz, nawet go nie zauważamy. Kiedy pojawia się pierwszy kibic, jego też nie widzimy.

Nadciągają jeden po drugim. Pojawiają się twarze na trybunach, bo jeden dzwoni najwyraźniej do drugiego, a ten z kolei do dwóch innych, by powiedzieć im, że jesteśmy tutaj, na miejskim korcie i gramy wyłącznie o honor. Jak Rocky Balboa i Apollo Creed po wygaszeniu świateł i zamknięciu sali.

Deszcz pada coraz mocniej, ale my nie przerywamy gry. Idziemy na całość. Pojawiający się ludzie mają aparaty fotograficzne. Błyskają flesze. Wydają się niezwykle jasne, odbite i spotęgowane kroplami deszczu. Nic mnie to nie obchodzi, a Stefanie tego nie zauważa. Nie jesteśmy w pełni świadomi tego, co się dzieje, widzimy tylko piłkę, siatkę i siebie.

Długa wymiana piłek. Dziesięć uderzeń. Piętnaście. Kończy się tak, że pudłuję. Kort jest usiany piłkami. Zgarniam trzy i wkładam jedną do kieszeni.

Krzyczę do Stefanie: Wróćmy razem na kort! Co ty na to?

Nie odpowiada.

Ty i ja. Ogłosimy to w tym tygodniu!

Wciąż brak odpowiedzi. Jej koncentracja jak zwykle mnie zawstydzła. W ten sam sposób, w jaki nie marnuje ani jednego ruchu na korcie, nie strzępi języka na darmo. J.P. zauważył, że trójka najważniejszych osób w moim życiu – mój ojciec, Gil i Stefanie nie są *native speakerami*. I u całej trójki najwyrazistsza forma komunikacji to mowa ciała.

Jest pochłonięta każdym uderzeniem. Każda piłka się liczy. Nie męczy się, nie pudłuje. To wielka radość móc ją obserwować, ale też wielki przywilej. Ludzie pytają, jak to jest, i nie znajduję idealnego słowa na określenie tego, jedynie bliskoznaczny zamiennik. Przywilej.

Znów pudłuję. Mruży oczy, czeka.

Serwuję. Odbija, po czym macha jak moja Stefanie, jakby odganiała komara, co znaczy, że ma dość. Czas odebrać Jadena.

Schodzi z kortu.

Jeszcze nie, mówię do niej.

Co? Zatrzymuje się, patrzy na mnie. Potem wybucha śmiechem.

Dobra, zgadza się, wracając tyłem do linii końcowej. Nie ma to większego sensu, ale ja to ja i ona to rozumie. Mamy sprawy do zrobienia, piękne rzeczy. Nie może się doczekać, by rozpocząć pracę, tak samo jak ja. Nie jestem w stanie nic na to poradzić.

Chcę tylko jeszcze zagrać chwilkę dłużej.

## PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie mogłaby powstać bez udziału mojego przyjaciela, J.R. Moehringera.

To J.R., zanim jeszcze się poznaliśmy, jako pierwszy skłonił mnie do przelania mojej historii na papier. Podczas mojego ostatniego US Open w 2006 roku cały wolny czas poświęcałem na lekturę zdumiewającego pamiętnika J.R. *Bar dobrych ludzi*. Książka przemówiła do mnie. Tak bardzo mi się spodobała, że zacząłem sobie wydzielać porcje lektury, ograniczając się co wieczór do ustalonej liczby stron. Na początku odciągnęła moją uwagę od burzy emocji pod koniec mojej kariery tenisowej, ale stopniowo potęgowała moje lęki, bo zacząłem się obawiać, że skończę lekturę przed zakończeniem kariery.

Tuż po moim meczu w pierwszej rundzie zadzwoniłem do J.R. i mu się przedstawiłem. Powiedziałem, jak bardzo podziwiam jego dzieło i zaprosiłem go do Vegas na obiad. Od razu się polubiliśmy, czego się spodziewałem, i ten pierwszy wspólny posiłek dał początek wielu innym. W końcu poprosiłem J.R., by rozważył współpracę ze mną, żeby pomógł mi zmierzyć się z moimi pamiętnikami i nadać im właściwy kształt. Poprosiłem, żeby spojrział na moją historię przez pryzmat zdobywcy nagrody Pulitzera. Ku memu zaskoczeniu zgodził się.

J.R. przeniósł się do Vegas i z miejsca zabraliśmy się do działania. Jesteśmy obdarzeni tą samą etyką pracy, tym samym podejściem do wielkich celów, które można opisać jako wszystko albo nic. Spotykaliśmy się codziennie i ustaliliśmy surowy reżim – po pożarciu kilku burrito rozmawialiśmy godzinami przy włączonym magnetofonie J.R. Nie było tematów tabu, więc nasze sesje czasami były zabawne, a czasami bolesne. Nie kierowaliśmy się chronologią ani tematami – po prostu rozmawialiśmy, od czasu do czasu posiłkując się zestawami wycinków skrzętnie zebranych przez genialnego, młodego, wkrótce bardzo znanego Bena Cohena.

Po wielu miesiącach J.R. i ja mieliśmy całe pudło kaset, na których, mniej więcej, była zawarta historia mego życia. Nieulekła Kim Wells przetransponowała te wspomnienia na papier, a następnie J.R. przekształcił je w opowieść. Jonathan Segal, nasz mądry, wspaniały redaktor w wydawnictwie Knopf, Sonny Mehta – Rod Laver literatury, pomagali J.R. i mnie wypolerować pierwszy szkic, zmieniając go w drugi i trzeci, co wiązało się ze żmudnym sprawdzaniem faktografii przez Erica Mercado, drugie wcielenie Sherlocka Holmesa. Nigdy nie spędziłem tyle czasu na czytaniu, ponownym czytaniu i debatach, dyskutowaniu na temat słów, pasaży, dat i liczb. Wtedy byłem najbliżej, jak to tylko możliwe, czy też najbliżej, jak chciałem się znaleźć, wysiłku związanego z końcowymi egzaminami w szkole.

Wielokrotnie prosiłem J.R., by umieścił swoje nazwisko w tej książce. On jednak uważał, że tylko jedno nazwisko powinno znaleźć się na okładce. Choć był dumny z naszej wspólnej pracy, powiedział, że nie byłby w stanie wciskać się ze swoim nazwiskiem do mojego życia. To są twoje opowieści, powiedział, twoi znajomi, twoje bitwy. Właśnie taka szczodrość przebijała od razu z jego wspomnień. Wiedziałem, że nie ma sensu się kłócić. Upór jest kolejną naszą wspólną cechą. Ale nalegałem na to, by w tym właśnie miejscu opisać wielką rolę J.R. i publicznie mu za to podziękować.

Chcę także wymienić tu ekipę pierwszych zaangażowanych recenzentów, do których z J.R. wysyłailiśmy egzemplarze oraz wyjątki z rękopisu. Każdy miał swój wielki udział w tym procesie. Najgłębsze podziękowania składam: Phillipowi i Marti Agassim, Sloan i Rogerowi Barnettom, Ivanowi Blumbergowi, Darrenowi Cahillowi, Wendy Netkin Cohen, Bradowi Gilbertowi, Davidowi Gilmore'owi, Chrisowi i Varandzie Handym, Billowi Hustedowi, McGraw Milhavenowi, Steve'owi Millerowi, Dorothy

Moehringer, Johnowi i Honi Parentim, Gilowi Reyesowi, Jaimee Rose, Gunowi Ruderowi, Johnowi Russellowi, Brooke Shields, Wendi Stewart Goodson i Barbrze Streisand.

Specjalne podziękowania kieruję do Rona Boreta za bycie niewzruszonym, za odczytywanie mnie równie skutecznie, jak tej książki, za udzielanie mi nieocenionych rad na temat wszystkiego – od psychologii do strategii, i za pomoc w przedefiniowaniu tradycyjnego znaczenia słowa przyjaciel.

Przede wszystkim chcę podziękować Stefanie, Jadenowi i Jaz Agassim. Zmuszeni do egzystowania bez mnie przez niezliczoną ilość dni, zmuszeni do dzielenia się mną z tą książką ani razu nie mieli do mnie pretensji, a wręcz przeciwnie, zachęcali mnie do pracy, co pozwoliło mi ją skończyć. Niewzruszona miłość i wsparcie Stefanie dawało mi natchnienie, a codzienne uśmiechy Jadena i Jaz zmieniały się błyskawicznie w nowe pokłady energii z taką prędkością, jak pożywienie zmienia się we krwi w cukier.

Pewnego dnia, kiedy pracowałem nad drugim szkicem, Jaden zaprosił do domu kolegę. Na blacie kuchennym piętrzyły się sterty manuskryptu i kolega Jadena zapytał: Co to jest?

To jest książka mojego tatusia, powiedział Jaden głosem, który słyszałem u niego wyłącznie wtedy, gdy mówił o Świętym Mikołaju albo o grze „Guitar Hero”.

Mam nadzieję, że on i jego siostra będą czuli taką samą dumę z tej książki za dziesięć, trzydzieści i sześćdziesiąt lat. Została napisana dla nich, ale również do nich. Mam nadzieję, że dzięki niej będą mogli uniknąć niektórych pułapek, jakie na nich zastawiłem. Co więcej, mam nadzieję, że będzie to jedna z książek, które dadzą im pocieszenie, wskazówki i przyjemność. Sam późno odkryłem magię literatury. Ze wszystkich swoich błędów, przed którymi chciałem uchronić swoje dzieci, ten wpisuję na początek listy.

KONIEC

## NAJWAŻNIEJSZA AUTOBIOGRAFIA SPORTOWCA OSTATNICH LAT

Andre Agassi urodził się, by grać i wygrywać w tenisa. Ten wymyślony przez surowego i porywczego ojca plan realizował konsekwentnie już od czwartego roku życia. Jako dwudziestodwulatek wygrał swój pierwszy turniej wielkoszlemowy w Wimbledonie, zdobył sławę i bogactwo. Świącąc triumfy w dyscyplinie, której nienawidził, Agassi był często nieszczęśliwy i zagubiony. Wyznaje to z bolesną szczerością, opisując swoje życie balansujące między autodestrukcją i perfekcjonizmem. Przyznaje się do porażek, takich jak niszcząca depresja, groźny epizod z narkotykami, nieudane pierwsze małżeństwo z aktorką Brooke Shields. Z czułością opowiada za to o wielkiej romantycznej miłości, która zakończyła się ślubem ze znakomitą tenisistką Stefanie Graf.

Z pasją i fotograficzną dokładnością – o wszystkich ważnych meczach, aż po ten kończący jego karierę w 2006 r. Z dumą – o fundacji charytatywnej wspierającej kształcenie dzieci z trudnych środowisk, której jest założycielem i niezmordowanym opiekunem.

**ANDRE AGASSI** (ur. 1970), Amerykanin pochodzenia ormiańskiego, przez dwadzieścia jeden lat zawodowej kariery kilkakrotnie wspinał się na szczyt rankingu ATP. Wygrał osiem turniejów wielkoszlemowych i jest pierwszym tenisistą, który zdobył Złotego Szlema – wszystkie cztery tytuły wielkoszlemowe plus złoty medal olimpijski (Atlanta 1996). Mieszka w Las Vegas z żoną Stefanie Graf i dwójką dzieci.

„Pasjonująca (...) Inspirująca (...) *Open* opisuje prywatną odyseję Agassiego z werwą, bez ogródek i bez upiększeń”. WALL STREET JOURNAL

„Książka wyróżnia się na tle innych biografii niezwykłą szczerością. Znakomicie napisane wspomnienia sportowca”. NEW YORK TIMES

„Ta literacka, zajmująca książka, jest, jak zapowiada tytuł, szczerą spowiedzią Agassiego, przejmującą kroniką jego wysiłków, by odnaleźć siebie i wewnętrzny spokój w życiu sportowym i osobistym”. LOS ANGELES TIMES

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Wyłączny  
dystrybutor

